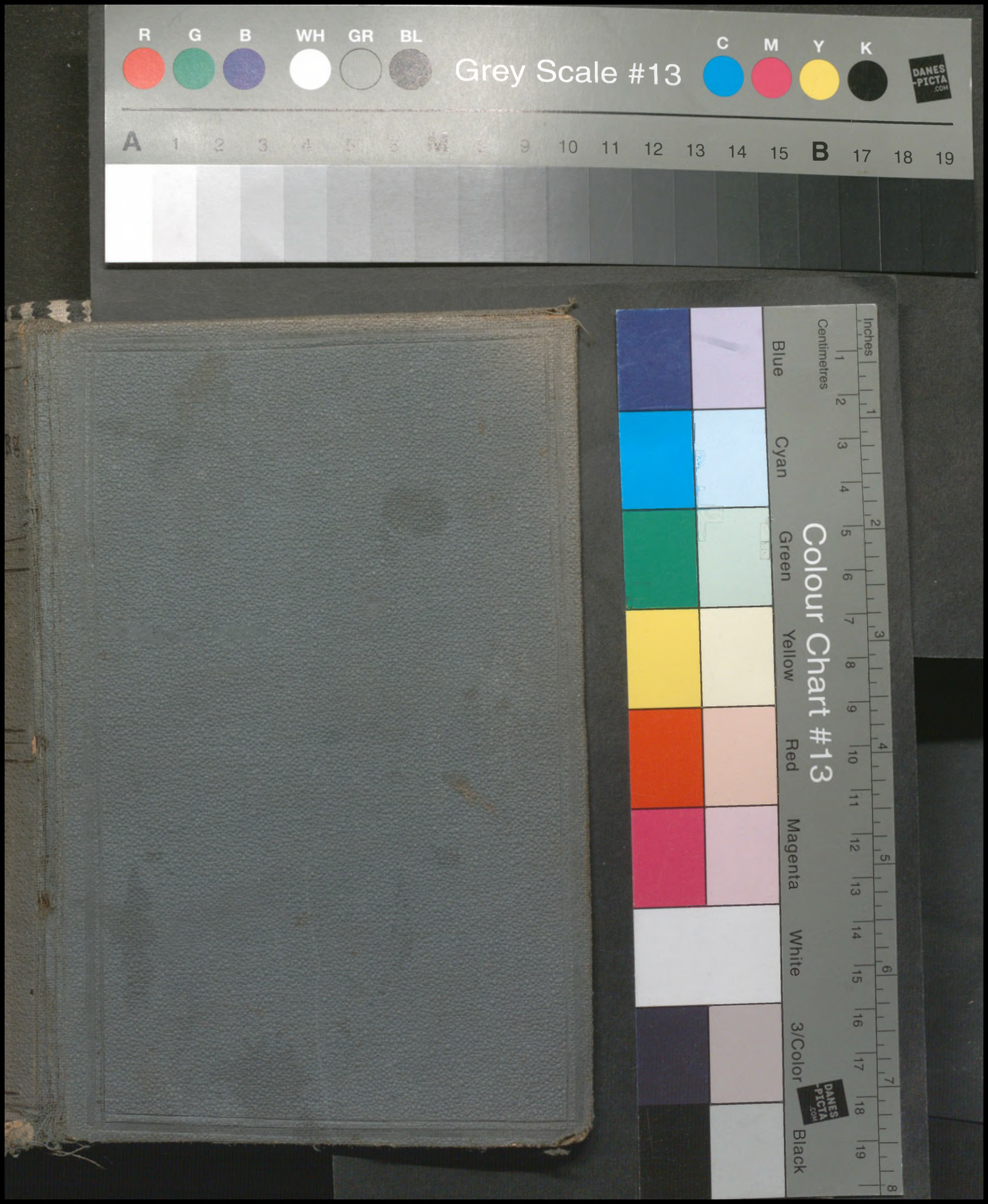

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH.

Prof. Mikołaj Berg.

Zapiski o polskich spiskach i powstaniach

PRZEKŁAD Z ROSYJSKIEGO.

CZĘŚĆ I.

WARSZAWA
DRUK A. T. JEZIERSKIEGO NOWY-ŚWIAT 47.
1906

93(438)9

6864/1

BIBLIOTEKA

PRZEDMOWA AUTORA.

Każdy czytelnik, a tembardziej historyk z zupełną słusznością zapytać może, co to za utwór ma przed sobą? co znaczą *Zapiski o wypadkach dziejowych?* na czem się opierają, zkąd się wzięły i jakie są dowody ich wiarogodności? Na te kilka pytań winien jestem dać odpowiedź.

Przybyłem do Warszawy w samym początku 1863 roku, z zamiarem śledzenia rewolucyjnego ruchu w jego rozwoju nietylko w Królestwie Polskiem lecz i w sąsiednich miejscowościach ziem zabranych, dokąd częste robiłem wycieczki. — W połowie 1864 roku, zupełnie niespodzianie, otrzymałem ze strony ówczesnego namiestnika hrabiego Berga, wezwanie, bym wypracował dla niego „historyczny memoryał o spiskach i powstaniach, jakie miały miejsce w Polsce od 1830 roku, aż po najnowsze czasy“, ku czemu dostarczy mi wszelkich materyałów źródłowych, którymi rozporządza.

Propozycyę taką skwapliwie przyjąłem, zastrze-

gając tylko, by mi hrabia wystawił list ochronny, że za wypowiedziane w tym memoryale przekonania i poglądy, czy to o osobach, czy o samym rządzie, nigdy i przez nikogo nie będę pociągany do odpowiedzialności, a także, że nikt nie będzie mieć praw zażądania odemnie wyjaśnień, zkąd zaczerpnąłem wiadomości o tym lub owym fakcie, nie podanym w źródłach urzędowych.

Hrabia się zgodził; zażądał, abym sam sobie ułożył wzór takiego listu chronnego, a gdym to uczynił, zatwierdził go bez zmiany.—Zgadzam się—data.—Hrabia Berg.

Zabrałem się więc do pracy. Ze względu na niebezpieczeństwo i nadzór dostarczanych mi bardzo ważnych materyałów, wyznaczono mi lokal na zamku, zaopatrzony we wszelkie przybory do pracy i odpowiednio umeblowany. Później mogłem pracować we własnem mieszkaniu, w hotelu europejskim. Na żądanie przynoszono mi tam akta z rozmaitych dykasteryi: sprawy śledcze z polowego audytoryatu; z kancelaryi generał policmajstra sprawozdania agentów policyjnych, różne sprawy sekretne, przejęte depesze rządu narodowego i jego wydziałów, plakaty, ryciny, fotografie, różne podziemne wydawnictwa; wreszcie z dyplomatycznej kancelaryi namiestnika zagraniczne polskie dzienniki. Nadto z listem otwartym namiestnika jeździłem po całem Królestwie, zbierając ustne opowiadania od dowódzców wojskowych i innych osób o bitwach i różnych wydarzeniach, w których brali czynny udział, lub tylko byli świadkami; miałem przytem prawo żądania, by mi były przedkładane wszelkie papiery i pisma, znalezione u powstańców.

Dla lepszego obeznania się z przeszłością, badałem archiwa warszawskiego wojennego okręgu i warszawskiej Aleksandrowskiej cytadeli, w których znalazłem nietylko miejscowe materyały, utrzymane w nadzwyczajnym porządku, skatalogowane i opatrzone indeksami, lecz także odpisy spraw politycznych i z innych zaborów, sporządzone z rozkazu Paskiewicza. Ma się rozumieć, że starałem się przeczytać wszystko, co o tych czasach wyszło z druku: oświadczenia członków centralizacyi, broszury, pamiętniki osób wybitniejszych, czego część znalazłem w wojennem archiwum, resztę zaś sprowadziłem z zagranicy.

Następnie udzielił mi namiestnik zapiski różnych ważniejszych działaczy powstania 1863 roku, członków rządu narodowego, dowódzców oddziałów, które były spisywane po uwięzieniu ich dla komisyi śledczych. Najważniejsze z nich i najczęściej rzucające światło na całą organizacyę rewolucyjną są zeznania Oskara Aweydy i Karola Majewskiego, którzy wchodzili w skład kilku po sobie następujących rządów, wiedzieli bardzo wiele i wiele wyjawiali. Wiarogodność tych zeznań stwierdza i ta okoliczność, że autorowie ich, osadzeni w różnych kazamatach, nic o sobie nie wiedzieli, a nawet nigdy nie byli z sobą konfrontowani, a mimo to w opowiadaniu wypadków, istotnie ważnych, są z sobą zupełnie zgodni i przytaczają wszędzie też same nazwiska osób, udział w sprawach tych biorących.

Te zeznania, jako stanowiące ważny historyczny materyał do ostatniego powstania, namiestnik kazał przetłómaczyć na język rosyjski i wydrukować w trzydziestu egzemplarzach, które rozesłano naj-

wyższym dostojnikom! Drukowano je w drukarni generał-policmajstra w Warszawie.

Zeznania Aweydy w druku sformowały cztery tomy. Zapiski Majewskiego bardzo skrócone, stanowią one broszurę grubości małego palca. Na obydwa te wydania bardzo często powołuję się w mej pracy, przytaczając tom i stronicę.

W 1868 roku przedstawiłem mą pracę namiestnikowi, spisaną w czterech grubych tomach *in folio*. Wyjątki z pewnemi zmianami były drukowane w *Ruskim archiwie* i *Ruskiej starinie*.

Potem dzieło uzupełnione zostało dalszemi badaniami nowych źródeł i materyałów, ogłoszonych w najnowszych czasach. Najpoważniejsze z nich to *Historya powstania narodu polskiego 1861 — 1864 roku* przez Agatona Gillera, wydana w czterech tomach; dzieło Lisickiego o Wielopolskim, po polsku w czterech, a po francusku w dwóch tomach dużego druku; oraz anonyma *Porozbiorowe aspiracye polityczne narodu polskiego*. — Mniej ważne materyały polskie i rosyjskie, drukowane lub w rękopismach, wymienione są w tekście, o ile się na nie powołuję.

Rozumie się, że niejedna rzecz mogłaby być opisaną szczegółowiej i dokładniej, lecz to, również jak i napisanie właściwej historyi tej epoki należy pozostawić przyszłym czasom.

Mikołaj Berg.

WSTĘP.

Od czasu gdy Rosya zajęła i rządzi pewną częścią ziem polskich, przeważnie w tak zwanem Królestwie kongresowem miało miejsce kilka spisków i powstań, co można po części wytłomaczyć i tą okolicznością, że spiskowcom zawsze chodziło o owładnięcie najważniejszego punktu, głównego ogniska polskiego politycznego życia z ostatnich czasów. Poruszyć Warszawę i Królestwo, znaczyło już prawie dokonać połowy dzieła.

Z drugiej jednak strony i rząd rosyjski, jakby umyślnie dopomagał, aby głównie w tym zaborze powstały spiski i wybuchały powstania; otwierał im po prostu drogę przez bezładny zarząd kraju, przez to ciągłe przerzucanie się od skrajnej surowości i represyi do pobłażania bez granic; przez zupełny brak jakiegoś prawidłowego systemu administracyjnego a głównie przez tę niezwykłą umiejętność drażnienia wszystkich wogóle i każdego z osobna, bez żadnej potrzeby lub przyczyny, ni ztąd ni zowąd, jedynie chyba *par l'art du métier*. Wskutek tego wyrobiło

się we wszystkich trzech zaborach to przekonanie, że największymi wrogami Polaków są Moskale.

Któryż z innych monarchów, władających częściami dawnej Polski, doprowadził do tego, że musiał przysłuchiwać się na ulicach Paryża okrzykom *Vive la Pologne!*

W innych państwach, gdy wybierają rządzcę dla kraju tak ważnego jak Polska, opatrzą go przedtem dokładnie w instrukcye; zbadają pod każdym względem jego przeszłość i wykształcenie: czy ma wyobrażenie o geografii, historyi, języku, literaturze i innych właściwościach kraju, którym ma zarządzać. On otrzymuje od rządu ścisłe i dokładne instrukcye, wynik długoletnich badań i doświadczeń, sam się też stara uzupełnić swe wiadomości o kraju, do którego jest przeznaczony; otacza się ludźmi, którzy tam służyli i zamieszkali od dawna. A jeśli taki rządzca rozmyślnie lub mimowolnie, zejdzie ze wskazanej mu drogi, zaraz się znajdzie ostrzeżenie, które mu wskaże błąd popełniony, wytknie zboczenie od przyjętego systemu. Gdy to nie pomaga, rządzcę zmieniają.

W Rosyi nic podobnego się nie dzieje! Na rządcę jakiejkolwiek prowincyi biorą bez ścisłego wyboru, pierwszego z brzegu starszego w służbie generała lub też kogoś, cieszącego się protekcyą tej lub owej wpływowej osobistości. W Rosyi według starej rutyny wielkorządcą, chociażby najobszerniejszej prowincyi, może być tylko człowiek wysokiej rangi, długoletniej służbowej karyery, posiadający liczne ordery, gwiazdy i wstęgi. Czy zaś człowiek ten posiada odpowiednie zdolności i wiadomości, o to nikt nie pyta. I bez nich można być wielkorządcą, mo-

źna mówić kilkoma językami i zgrabnie się znaleźć w salonie. Znajomość praw i obyczajów kraju, którym się ma zarządzać, zastąpi przyboczna kancelarya—a co się tyczy tej ręki opiekuńczej, wskazującej omyłki i zboczenia od systemu—o takim zbytku, o takich dziwnych rzeczach rosyjscy wielkorządzcy nawet nie słyszeli i nie mają pojęcia, że to może być gdziekolwiek. Zresztą, jakież mogą być zboczenia od systemu, gdy takowego w rządzie nie bywało i niema...

To też biedną Polską pod rosyjskim zaborem, trzęsie chroniczna febra powstań: nakształt nieuleczalnej choroby.—Hrabia Fryderyk Skarbek w dziele swojem *Dzieje Polski* część III, str. 183 powiada: „że febra powstańcza powtarza się w Polsce co lat szesnaście mniej więcej, to jest, gdy podrośnie pokolenie, które nie zaznało na sobie wszystkich nieszczęść powstania". Rosyanie patrzą na ten wiekowy przebieg dziejów porozbiorowych, jako na złe nieuniknione i nawet nie szukają środka skutecznego ku zapobieżeniu złemu. Owszem, częstokroć jakby dopomagali działaniom niszczącym. Wywołują powstania do spółki z Polakami i do tego stopnia nieraz serdecznie i gorliwie, że gdyby Polacy nie byli Polakami, t. j. gdyby byli zgodniejsi i nierozpadali się na tyle różnorodnych stronnictw, gdyby w swych działaniach politycznych okazywali więcej ładu organicznego i wytrwałości, jużby się Polska dawno wyzwoliła. Nieraz Polakom kładziono do ust wolność, chodziło tylko o to, by rozgryźć i przełknąć dawkę. Słabe, chorowite dzieci i tego uczynić nie były w stanie i nie umiały!...

Wszystkie polskie powstania układają się po-

dług jednego, stereotypowego szematu. Partya czerwona, gotowa zawsze do ruchu, wymyśli jakąś mniejszą lub większą manifestacyę, korzysta z każdej sposobności, by wykazać swe niezadowolenie z nienawistnych jej rządów; po największej części płomień wybucha nie w porę, przygotowania idą niedbale, niezdarnie, lecz za to prawie jawnie, tak że każdy rewolucyonista widny jak na dłoni. Byle dmuchnąć a mrzonka się jak mgła rozwieje. Tego wszakże bynajmniej nie robią, owszem zapomocą różnych bezmyślnych zarządzeń dolewają oliwy do ognia i jakby rozmyślnie podsycają płomień. Biali zarzucają młodzieży, co robi? że teraz nie czas na powstanie! Młodzież odpowiada starszym, „że są głupcy, przeżyci; w swoim czasie nie potrafili przeprowadzić rewolucyi jak należało, więc niech teraz milczą i nie przeszkadzają, niech się nie mieszają w nieswoje sprawy... obecnie wszystko jest doskonale obmyślane i odpowiednie środki po temu, by uniknąć dawniejszych błędów“.

Nareszcie w braku poważnej opozycyi ze strony starszych, a także wskutek ślamazarności władzy, następuje wybuch i wówczas ci sami starsi, płacząc nad dziećmi, przypasują pałasze i niosą siebie i wszystko co mają, „na ołtarz ojczyzny“.

Es ist eine alte Geschichte, doch bleibt sie immer neu!

Najbardziej chaotyczny i niedbały był zarząd Polską za czasów wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza. Na każdym kroku same przeciwieństwa. Z jednej strony liberalna konstytucya, własny rząd i własne wojsko, sejm i do pewnego stopnia *habeas corpus*, z drugiej zaś strony najdziksza, despotyczna

i brutalna samowola; codzienne obrażenie oficerów, łajanie ich od ostatnich słów na Saskim placu, wobec wojska i publiczności, legiony niezdarnych szpiegów, umiejących tylko drażnić i dokuczać spokojnym mieszkańcom a niedostrzegających tego, co właśnie należało przedewszystkiem widzieć.

W archiwum warszawskiego wojennego okręgu są przechowane codzienne raporta ówczesnej tajnej policyi, jedne pisane po francusku, drugie zaś po rosyjsku. Rosyjskie doniesienia przepisane są bardzo porządnie i oprawne w karton, latami, w piętnastu tomach *in folio*. Francuskie są pisane na ćwiartkach; pochodzą od różnych osób i nie zgadzają się z rosyjskiemi. Autor przejrzał te raporta za lata 1829 i 1830, jako poprzedzające wybuch rewolucyi. Szpiegowano przeważnie ludzi nieszkodliwych i obojętnych, spiskowców zaś, a przynajmniej główniejszych przywódców nie dostrzegano wcale, albo też bardzo powierzchownie. Ani o Zaliwskim, ani o Wysockim niema wzmianki w tej *Księdze żywota*, jako o ludziach choćby cokolwiek niebezpiecznych.

W czasie, gdy Piotr Wysocki stał na czele szeroko rozgałęzionego spisku i przygotowywał wybuch listopadowy, raz się tylko dostał do księgi szpiegowskich raportów i to z powodu, że któregoś dnia nie przybył na przegląd na Saskim placu!

Zato jakiegeś Westermajera śledzono na każdym kroku, podsłuchiwano jego najbłahsze rozmowy. Zapisywano także, kto bywał u księ-

żny Zajączkowej, jak długo bawił; również śledzono i księcia Lubeckiego.

O kimś donoszono, że gdy wjeżdżał do Warszawy, czekający nań u rogatki człowiek, podał mu czapkę

W ten sposób postępują i dotychczas. Na szpiegostwo w Królestwie wydają się bajeczne sumy, śledzą zaś Bóg wie za kim: „za muchą goniono z maczugą", ale nie uprzedzono jeszcze ani jednego powstania.

Czasem starsi agenci nasadzają podwładnych do śledzenia swych kochanek, pieniądze zaś, przeznaczone na śledzenie osób podejrzanych, tracą na hulankach ze swymi przyjaciółmi i kochankami... A jednak ten system trwa bez przerwy...

Po wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja, bezład ten wzmógł się jeszcze bardziej i doszedł do ostatecznych granic.

Wreszcie wielki książę Konstanty do tego stopnia był znudzony i zbity z tropu wręcz sprzecznemi i różnorodnemi doniesieniami tajnej policyi, że niczemu już nie chciał wierzyć i pomimo ostrzeżeń o grożącem mu bliskiem niebezpieczeństwie, nie zarządził żadnych środków ostrożności i jak wiadomo, omal, że nie zginął.

Wybuch musiał nastąpić, rewolucyi wszakże nikt nie przewidywał i zaskoczyła ona rząd i wszystkich zupełnie znienacka. Mimo to pożar w samym zarodku mógłby być z łatwością stłumionym, gdyby nie bezprzykładny i niczem nieuzasadniony popłoch wielkiego księcia. Gdyby nie to, z rana 30 listopada 1830 roku znaczna część mieszkańców Warszawy

mogłaby nawet nie wiedzieć, że w nocy zanosiło się na coś wcale poważnego.

Wiadomo, w jaki sposób ostatecznie został ugaszony ów pożar i jakie narzędzia musiano ku temu sprowadzać naprędce z Rosyi. Wiadomo także, że wkrótce po wzięciu Warszawy, tłumy zbrojnych Polaków przeszły granice i rozproszyły się po Europie, unosząc w swych piersiach wątek przyszłych spisków i te rewolucyjne zarodki, które przez długi czas potem, podsycane warunkami życia emigracyjnego, niezdrowy swój owoc wydawały.

Po uśmierzeniu powstania 1830 i 1831 roku zarząd Królestwa spoczął na długie lata w ręku Paskiewicza, zawdzięczającego swą niezwykłą karyerę nietylko szczęśliwym okolicznościom, lecz także rozumowi, zręczności i śmiałości, graniczącej z zuchwalstwem, w korzystaniu z każdej okoliczności dla swojego wyniesienia się.

Iwan Fiodorowicz Paskiewicz, herbu Radwan, pochodził z zamożnej białoruskiej szlachty, osiadłej w gubernii mohylewskiej. W jego formularzu służbowym wykazano, że wspólnie z ojcem posiadał w guberniach: połtawskiej, mohylewskiej i jarosławskiej 1160 dusz męskich dziedzicznych, zaś w petersburskiej 770 dokupionych. W dzieciństwie był to śmiały, ładny i bardzo żywy chłopak, o dużej kędzierzawej głowie, z ogromnem czołem, z pod którego błyszczała para nadzwyczaj przenikliwych, szarych ócz. Między tysiącem swych rówieśników on się odrazu wyróżniał. Po wyjściu z dzieciństwa z wcale nie osobliwem początkowem wychowaniem, został oddany do korpusu kadetów w Szkłowie, założonym przez faworytę Katarzyny, Zorycza, który

otrzymał Szkłów z przyległemi dobrami na własność.

W formularzu Paskiewicza niema wzmianki o tem, gdzie się wychowywał, tylko w rubryce, jakie posiada wiadomości, powiedziano: „umie czytać po rusku, francusku i niemiecku".

W roku 1798 cesarz Paweł w przejeździe zwiedził korpus kadetów w Szkłowie. Przechodząc między ustawionymi w rząd malçami zatrzymał się przed Paskiewiczem i zapytał go: „A tyś kto"? Paskiewicz—odpowiedział zwięźle i śmiało, patrząc przenikliwie wprost w oczy cesarzowi. „Przenieść go do korpusu paziów"—zakonkludował cesarz.

W korpusie paziów młody chłopak potrafił zwrócić na siebie uwagę cesarzowej Maryi Fiedorówny, która go wzięła na pazia pokojowego, a dnia 6 października 1800 roku awansował na porucznika gwardyi z równoczesnem naznaczeniem na skrzydłowego adjutanta przy cesarzu.

Miał wówczas lat 17; była to już karyera.

W roku 1806, jako sztabs-kapitan, Paskiewicz znalazł się w armii, działającej na Wschodzie. Brał udział w zdobyciu Braiły, przyczem został ranny kulą karabinową w głowę, następnie był w bitwach pod Kiustendżą, Razowatem, Sylistryą, Bazardżykiem, Warną, Szumlą i Bediną. Za odznaczenie się w bitwach otrzymał w 1809 roku stopień pułkownika, zaś 1810 roku został generałem.

Już jako generał był w bitwach pod Smoleńskiem i Borodiną, zaś po bitwie pod Lipskiem awansował na generała-porucznika.

Po ukończeniu wojny francuskiej, towarzyszył najmłodszemu bratu cesarza, wielkiemu księciu Mi-

chałowi Pawłowiczowi w jego podróżach po Rosyi i zagranicą, zaś w 1823 r. został mianowany generał-adjutantem cesarza Aleksandra.

We trzy lata potem odznaczył się w wojnie z Persyą i awansował na generała broni. Było to w rok po wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja.

Rozgłaszane dziwaczne wieści, jakoby naczelny wódz na Kaukazie, generał Jermołow, nosił się z zamiarem detronizacyi szacha perskiego i zajęcia jego miejsca, bardziej zaś nadzwyczaj szorstkie zachowanie się tegoż wobec cesarza Mikołaja, sprawiły, że Paskiewicz zajął miejsce tego generała.

Tak jak Jermołow przemawiał i pisał do cesarzy, nikt przedtem i potem nie odważał się do nich odzywać.

Od tej chwili koło fortuny naszego bohatera potoczyło się chyżej, śpieszniej niż wszelkie inne koła ulubieńców, szybciej nawet niż koła kibitek, rozwożących carskich kuryerów z rozkazami między Petersburgiem a Kaukazem.

Cesarz Mikołaj, uważający wszędzie i we wszystkiem siebie za pierwszego: jak był Mikołajem pierwszym, pierwszym mężczyzną co do urody i klasycznej budowy ciała z profilem rzymskich imperatorów; pierwszym władcą na ziemi, niejako imperatorem imperatorów, dla którego stanowczo było wszystko możliwe i który przedewszystkiem zważał na wspaniałe otoczenie—tak zdawało się, że się uwziął wytworzyć drugiego Suworowa, któryby tak wsławił jego panowanie, jak zwycięstwa Suworowa pierwszego wsławiły panowanie Katarzyny.

Na takiego Suworowa nadawał się najbardziej Jermołow, obdarzony bez porównania wyższemi, tak

wojskowemi, jak i administracyjnemi zdolnościami — lecz... sam nie chciał tego—zapomniał się! W Rosyi zaś potrzebni są Suworowowie nigdy się nie zapominający, pokorni, z umiejętnością niskiego kłaniania się; Suworowowie chłopy, niewolniczo tłumiący w sobie wszelkie zuchwałe porywy dumy, miłości własnej, żądzy sławy, a nawet ludzkiej godności wobec tych, którzy mogą jednem skinieniem w proch ich zetrzeć. Na takiego Suworowa Jermołow nie nadawał się wcale, lecz zupełnie był odpowiedni generał, który po nim objął dowództwo na Kaukazie. I dlatego ostrożny despota, całą siłą swych potężnych ramion, popchnął rydwan, wiozący nowego Suworowa Mikołajewskich czasów do świątyni sławy.

W rok po objęciu dowództwa na Kaukazie, Paskiewicz otrzymał naczelne dowództwo armii, wysłanej do Persyi. Tam pobił na głowę wojska perskie pod wodzą Abbassa Mirzy i zdobył Erywań. Za to zwycięstwo otrzymał milion rubli i tytuł hrabiego Erywańskiego.

W następnym 1829 roku za zwycięstwa nad Turkami otrzymał wielki krzyż orderu świętego Jerzego i stopień feldmarszałka. Gdy w 1831 roku kampania w Polsce zaczęła przyjmować obrót niepomyślny, cesarz wysłał tam swego ulubieńca, „by jaknajprędzej bieg rzeczy poprawił". Lecz Polacy, to nie Persowie ani Turcy, wojna się przeciągnęła i Paskiewicz nie bardzo umiał dawać sobie rady. Przy szturmie zaś Warszawy we wrześniu 1831 roku doniósł, że jest chory, natychmiast jednak wyzdrowiał, gdy Warszawa została wzięta przez hrabiego Tolla, szefa jego sztabu, człowieka wielkiej

energii i znakomitych zdolności, a który go na ten czas zastępował.

Cesarz nadzwyczaj niemile był dotknięty tym wybiegiem swego gagatka, którego obsypywał tyloma łaskami, tytułami, orderami i pieniędzmi; a że lubił zawsze okazywać niebacznym, że w Rosyi i z najwyższego stanowiska można odrazu spaść w błoto i zapomnienie, napisał więc do Paskiewicza, ubolewając z powodu jego nadwerężonego zdrowia i radząc mu usunąć się na jakiś czas do Homla [1]) dla wypoczynku.

Nie było rady, Paskiewicz wyjechał, a na pełniącego obowiązki namiestnika w Królestwie Polskiem został naznaczony generał-adjutant hr. Rüdiger, dowódca trzeciego korpusu czynnej armii, człowiek zdolny i z charakterem.

Siedząc w Homlu, Paskiewicz nie spuszczał z oka biegu spraw w Królestwie. Tam wypadki rozwijały się zwykłym urzędowym porządkiem, jak wogóle i w innych rosyjskich prowincyach, zarządzanych przeważnie przez generałów. Wydawano wiele i ważnych rozporządzeń, Rüdiger coraz bardziej uważał się za rzeczywistego namiestnika, zaś o pustelniku Homelskim zdawano się coraz bardziej zapominać, nawet nikt się nie dowiadywał o stanie jego zdrowia. Paskiewicz oceniając bardzo dobrze całe niebezpieczeństwo takiego zapomnienia, zdecydował się na krok ryzykowny; powiadają, że „tonący brzytwy się chwyta". Napisał do cesarza, że, „czując się już zupełnie zdrowym, wraca do swych

---

[1]) Homel, w bieleckim powiecie mohylewskiej gubernii, znaczne bardzo dobra, nadane Paskiewiczowi.

do swych obowiązków i obejmuje napowrót dowództwo pierwszej armii".

Cesarz jakoś to strawił i przywrócił swego Suworowa do dawnych łask i znaczenia, nadał mu tytuł Księcia Warszawskiego i zrobił namiestnikiem Królestwa. Paskiewicz zaczął rządzić Polską jak jaki królik.

Wschodnie właściwości, utarte w sferach otaczających feldmarszałka, niesłychana uniżoność i niewolnicza pokora jego podwładnych, wytworzyły z tego człowieka jakiegoś dzikiego, nieprawdopodobnego i prawie niemożliwego w wieku XIX satrapę. Brak słów na opisanie trwogi, jakiej wobec niego doświadczali jego podwładni. Pewien generał, który z obowiązku służbowego potrzebował codziennie stykać się z Paskiewiczem, opowiadał naiwnie autorowi, że „Boga tak się nie obawiał jak feldmarszałka. Spojrzy, bywało, na ciebie swojemi strasznemi, szaremi oczami, to dusza w człowieku zamiera, cały zdrętwiejesz, albo takie gorąco do głowy uderzy, że pot kroplisty na czoło wystąpi".

Książe Golicyn, członek rady państwa, kawaler orderu św. Andrzeja i mohilewsko-witebski generał-gubernator, przybył pewnego razu do miasta powiatowego Rohaczewa, na spotkanie przejeżdżającego tamtędy Paskiewicza. Gdy na stacyi pocztowej, w pełnym galowym mundurze, przy gwiazdach i wstęgach oczekiwał na przybycie feldmarszałka, spostrzegł zdala, że ten dojeżdża czegoś mocno rozdrażniony, krzycząc i łając. Nie namyślając się długo, usunął się na stronę i schował się za stojący w dziedzińcu chlewek. Szukano go wszędzie, lecz napróżno. Paskiewicz odjechał nie widząc go i do-

piero później dowiedział się o tem zdarzeniu i był z tego bardzo zadowolony.— (Opowiadanie generała A. S. Uszakowa).

I zapomocą tego strachu Paskiewicz potrafił prawie przez ćwierć wieku utrzymać we względnym spokoju kraj, „znajdujący się, według słów Mochnackiego [1]), w stanie ciągłego powstania".

Obawiano się go, wprost jego osoby; gdyż policya i żandarmerya były niezdarne za Paskiewicza tak samo, jak są nieodpowiednie obecnie i jak były do niczego i przedtem. On wiedział o tem i dlatego starał się o ile mógł nadrabiać sobą i wzbudzać strach przed swą własną osobą.

Ogólny kierunek spraw w Europie i Rosyi, ugniatanie niższych przez możniejszych, popieranie arystokracyi bez wyjątku i wszędzie, stawiało i Paskiewicza w położeniu, że potakiwał i zbliżał do siebie polskich panów. Wszakże ani jednemu nie pozwolił nawet na jedną chwilę się zapomnieć. Straszny wzrok feldmarszałka osadzał na miejscu każdego śmiałka, którenby poważył się przekroczyć granicę przez niego nakreśloną.

Zdarzało się to wszakże nader a nader rzadko; wszyscy chodzili na palcach, obawiali się, a nawet do pewnego stopnia poważali swojego satrapę; gdyż nie dostrzegali w nim żadnych zamiarów tłumienia w Polsce wszystkiego, co jest polskie. Za Paskiewicza Polska tak dobrze była Polską, jak za jego poprzednika, wielkiego księcia Konstantego. Paskiewicz miał dar rządzenia i był wrogiem wszel-

---

[1]) Tom II, str. 119, wydanie poznańskie z 1863 r.

kiej bezmyślnej represyi, wieszań setkami, zsyłania na Sybir tysiącami. Wszakże nie był to człowiek wielkich zdolności, a tem mniej genialny. Najlepiej charakteryzował go jego własny ojciec, do końca życia typowy małoruski obywatel. Gdy ktoś przy nim mówiąc o synu, nazwał go geniuszem, ojciec odparł żywo:—*Szczo henii, to ne henii; a szczo weze, to weze!* (Geniusz, nie geniusz; ale ma szalone szczęście).—Od pierwszej chwili swoich rządów troszczył się o zachowanie sił kraju, o poprawienie komunikacyi, o poprawienie rolnictwa, przemysłu, fabryk i rękodzieł.

Za jego rządów Warszawa z brudnego polsko-żydowskiego miasta, bez bruków i latarni na przedmieściach, przeistoczyła się na pokaźne europejskie miasto, z wodociągami i brukami. W 1846 r. zbudowano wspaniały i wygodny zjazd nad Wisłę. Drogi wszędzie były stanowczo lepsze, niż w Rosyi; dobra i folwarki obywatelskie porządnie zagospodarowane i zbudowane; uprawa pól zbliżała się do zagranicznej i Rosyanin, wjeżdżając w granice Królestwa, w jednej chwili uczuwał zmianę we wszystkich stosunkach, czuł się już jakby za granicą, w Europie. Za Paskiewicza Królestwo przybierało coraz bardziej pozór europejski, i każdemu Rosyaninowi życie tam było o wiele przyjemniejsze, niż we własnej ojczyźnie. Nieraz się zdarzało, że taki Rosyanin, szczególniej, jeżeli był nieżonaty, przybywszy do Polski w jakimkolwiek interesie na tydzień lub dwa, ugrzązł tam na stałe, zbliżył się do Polaków, odwykł od Rosyi, jej literatury, spraw i interesów i zaprzestawał zupełnie tęsknić do swoich.

Pozostali z owych czasów Rosyanie, przebywający w Polsce, zapewniają, że nawet ostatecznie zaczynało wyrabiać się pewne zbliżenie sprzecznych z sobą żywiołów, jakiego nigdy przedtem nie było, i którego nie prędko się znów doczeka ten kraj nieszczęśliwy. Znaczna część Polaków przyszła niejako do przekonania, że chyba inaczej być nie może; że my i oni — musimy się zlać w jedno, wytworzyć jakiś sposób wspólnego pożycia; że waśń do niczego nie doprowadzi, chyba tylko do coraz większego zniszczenia kraju; że jakkolwiek nie wiele otrzymują od rządu, pozostając z nim w zgodzie, to wszakże i to nie wiele jeszcze coś znaczy i żadne powstanie, chociażby nawet wywołane w tak pomyślnych warunkach jak 1830 roku, uzyskać tego nie zdoła.

Czy dobrze się działo Polakom za Paskiewicza? najłatwiej rozstrzygnąć, zapytując pierwszego lepszego miejscowego obywatela w Polsce „czy chciałby powrotu rządów strasznego Paskiewicza?"...

Bywały jednak i za Paskiewicza chwile, w których, czy to wskutek ogólnych ruchów europejskich, czy też skutkiem błędów rządu i niezręczności policyi, wulkan zaczynał dymić i uśmierzeni, że tak się powie, polacy-czerkiesi, w których już się zaczynało wyrabiać jakieś przychylne dla Rosyi usposobienie, naraz wychodzili z zawias, dowodzili i robili różne waryactwa, porywali się z dwoma tysiącami talarów na formowanie armii, mającej zwalczyć wszystkich i wszystko... Nie darmo, wszak Polska jest wulkanem, a Polacy Polakami.

Takie ruchy i porywy narodów ujarzmionych są bardzo naturalne, u namiętnych zaś i poryw-

czych Polaków naturalniejsze niż u kogobądź. Mickiewicz w przecudnym swym sonecie *Cisza morska*, doskonale oddał ten stan polskiej duszy:

„O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony.
O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiątek
Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony".

Paskiewicz wiedział jak postępować w podobnych chwilach. Dwóch, trzech najzapaleńszych usuwało się bez ceremonii z drogi; kilkudziesięciu pozbawiało się domu i rodziny; Warszawa na jakiś czas przybierała pozór oblężonego miasta; wojska, armaty, patrole... a potem wszystko wracało do zwykłego porządku. Moskale znów się całowali z miejscowymi mieszkańcami na wspólnych hulankach, wracały dawne, dobre czasy...

KSIĘGA I.

Śmierć Paskiewicza.—Książe Gorczakow mianowany namiestnikiem.—Charakterystyka i przeszłość tegoż. —Aleksander II w Warszawie —*Point de reveries* —Niezadowolenie i pierwsze kółka patryotyczne. — Andrzej hrabia Zamoyski —Towarzystwo rolnicze.– Muchanow. — Żydzi i artykuł Königa. — Kółka czerwone.—Jurgens.—Jankowski.—Akademicy.—Początek manifestacyi.—Bytność w Warszawie trzech monarchów.—Zuchwalstwa czerwonych —Nowakowski.—Manifestacye na Lesznie i na Starem Mieście.—Zebranie Towarzystwa rolniczego.—Strzały.—Pięć ofiar. — Delegacya. — Pogrzeb ofiar. — Ustępstwa władzy.

(20 stycznia 1856 do 27 lutego 1861 roku).

Nadszedł rok 1856. Dnia 20 stycznia o godzinie 9-ej rano zakończył życie człowiek, który mimo swych strasznych wad był najlepszym i najpoważniejszym wielkorządcą, jakich Rosya aż do chwili obecnej Polsce dała.

Na razie zastąpił go generał Wincenty hrabia Krasiński, lecz gdy wskutek tego zaczęto powszechnie mówić o radykalnej zmianie systemu rządowego w Polsce i gdy nadto sam generał zbyt gorączkowo zadarł na wstępie z kilku administracyjnymi tuzami, szczególnie zaś z Muchanowem, pełniącym obowiązki kuratora warszawskiego naukowego okrę-

gu, zaczęto szukać namiestnika w gronie starszych generałów, rodowitych Rosyan.

Bardzo naturalnie, że przedewszystkiem zwrócono w Petersburgu uwagę na wodza armii południowej w Krymie, księcia Michała Dymitrowicza Gorczakowa, który przez lat dwadzieścia zajmował przy Paskiewiczu różne wyższe stanowiska i powinien był znać dobrze stosunki miejscowe.

Mógł także i ten wzgląd zaważyć, że chciano grzecznie usunąć z dowództwa przestarzałego generała i wybrano dlań odpowiedniejsze, pokojowe stanowisko, ani przewidując, że wysyłają go do drugiego Sewastopola, gdzie się znajdą baterye niemniej niebezpieczne, jak francuskie i angielskie w Krymie.

Przedewszystkiem warto jest poznać przeszłość tego człowieka, który mimo braku wybitnych zdolności, wskutek zbiegu fatalnych okoliczności bywał stawiany na takie ważne i dziejowej doniosłości stanowiska, że stał się do pewnego stopnia wybitną osobistością, a przynajmniej taką, której nie można ominąć, omawiając wypadki owej epoki.

Większość Gorczakowych, pochodząc z rodziny wcale niezamożnej, potrzebowała w służbie rządowej szukać środków utrzymania i dalszej krescytywy. Do takich zaliczał się i urodzony w 1792 roku książe Michał.

Ojciec jego, książę Dymitr Piotrowicz, był człowiekiem wykształconym, zajmował się literaturą i należał do rosyjskiej akademii nauk w Petersburgu. Z pod pióra jego wychodziły satyry, komedye, powieści, opery i przysłowia[1]). Dzieciom dał staranne wychowanie, zwracając szczególniejszą uwagę na dokładną znajomość języka i literatury francuskiej. Książe Michał znał wszakże dokładnie także języki: niemiecki i rosyjski i naśladujac ojca pisywał rosyjskie wiersze.

---

[1]) Patrz historyczną chrestomatyę rosyjskiej literatury A Gałachowa, str. 170—176.

W 1807 roku zaciągnął się jako junkier do gwardyjskiej artyleryi i, mając zaledwie lat piętnaście, w tym samym jeszcze roku awansował na oficera. Fundusze jego podówczas tak były szczupłe, że kolegując ze swym bratem, księciem Piotrem, późniejszym generał-gubernatorem zachodniej Syberyi, w tej samej bateryi, mieli na dwóch jedną parę paradnych butów.

W czasie wojen napoleońskich książę Michał znalazł się w czynnej armii i stawał odważnie w wielu bitwach. W roku 1815 już w stopniu sztabskapitana zostaje adjutantem jenerał-porucznika barona Dybicza, szefa sztabu pierwszej armii. W 1817 roku jest pułkownikiem kwatermistrzowstwa w świcie Jego Cesarskiej mości (dzisiejszy sztab główny), a po trzech latach w r. 1820 zamianowany szefem sztabu trzeciego korpusu piechoty, bierze udział w wojnie tureckiej w latach 1828 i 1829 w stopniu generał-majora.

Był to wątły i niezgrabny młody człowiek, szczupły, z płaską mongolską twarzą, bez żadnego wyrazu, o wązkich, mongolskich oczach z opadającemi powiekami, wskutek czego chcąc coś widzieć dokładniej, bywał zmuszony do niezgrabnego zadzierania głowy. Z wiekiem coraz bardziej tracił siłę wzroku i bardzo wcześnie zaczął się posługiwać okularami. Wogóle, pomimo dokładanych starań, nigdy nie nabrał wojskowej fizyonomii.

Cudzoziemskie wychowanie, nieustanna francuszczyzna i wogóle jakieś szczególniejsze upodobanie do wszystkiego, co tylko nosiło na sobie piętno francuskie, uniemożliwiało zbliżenie się Gorczakowa z prostymi rosyjskimi wiarusami, umiejącymi mówić tylko swym rodowitym językiem. On nietylko uważał ich za gburów i nieuków, lecz jeszcze gardził nimi jako plebejuszami. Biada takiemu prostaczkowi, jeżeli się przy pierwszem spotkaniu nie potrafił zdobyć na jaki taki frazes francuski, książę bywał wprost grubiański, nawet bardzo grubiański. Lecz

jeśli przy pomocy bliższych a znających słabość księcia francuszczyzna poszła zwinnie, ucho księcia stawało się mniej wybredne i plebejusz mógł usłyszeć także z ust dostojnych parę łaskawych wyrazów, wypowiedzianych klasyczną francuszczyzną. Tak opowiada radca tajny Kazaczkowski, dyrektor kancelaryi namiestnika, który przed przedstawieniem księciu świeżo przybyłego urzędnika zwykł był zalecać, by tenże przemówił coś po francusku, gdyż wtedy przedstawienie pójdzie gładko.

Nic więc dziwnego, że wojsko i przeważna cześć oficerów, nie lubiła niedostępnego zfrancuziałego arystokraty. — Gorczaków był najniepopularniejszą osobistością w wojsku. Ci co go potrzebowali, musieli znosić wszstko, nawet wynajdywali w nim niebywałe zalety; lecz ludzie chociaż cośkolwiek niezawiśli, uważali go wprost za trutnia sztabowego, za oficera, który, gdyby nawet posiadał jakie wojskowe wiadomości, nie potrafił nigdy dojść do zrozumienia tych zasadniczych warunków i właściwości służby wojskowej, ani też poznać potrzeb żołnierzy i oficerów, gdyż przez cały czas swej służby nie dowodził żadnym oddziałem wojska, jak kompania, batalion lub pułk. Znający go doskonale, były jego szef sztabu a później namiestnik Królestwa Polskiego, E. Kotzebue, opowiadał autorowi, że w zimie 1853 roku, gdy jechali razem do Bukaresztu, a Gorczaków, jak to miał zwyczaj, mruczał coś do siebie pod nosem, naraz się odezwał głośuo: *Savez vous mon cher; je suis assez intelligent*; *j'ai étudié l'artillerie*, *la stratégie*, *le génie*... *mais j'ai fai des fautes o cause de n'avoir jamais commendé*... *C'est vrai mon Prince* — odpowiedział Kotzebue. — (Spisano dosłownie).

To też podawane na naradach wojennych wnioski i plany księcia Gorczakowa, wywoływały u ludzi fachowych a niezawisłych śmiech i żarty. Mimo to Gorczakow zawsze był jaknajlepszego rozumienia o swych wojskowych zdolnościach i uważał, że

wojskowa karyera najbardziej dlań jest odpowiednią, i w tem przekonaniu przy każdej sposobności narzucał się ze swymi planami bitw i poruszeń wojskowych, napraszał się o najtrudniejsze i niebezpieczne poruszenia.

W połowie czerwca 1829 roku trzeci korpus zajął Sylistryę i ztamtąd wyruszył pod Szumlę, celem osaczenia tej fortecy, i ułatwienia dwom innym korpusom wyprawy za Bałkany po bitwie pod Kulewczynem. W lipcu postanowiono zdobyć szturmem główny, przodowy szaniec, z zamiarem usadowienia się w niem silnie i połączenia przez to głównych swych sił z prawem skrzydłem wojsk blokujących Szumlę. — Gorczakow ułożył plan ataku, lecz wskutek zwykłego wahania się i braku stanowczości, pisząc i poprawiając bez końca, przewidując i uwzględniając wszelkie możliwe i niemożliwe zajścia i okoliczności, stworzył taką gmatwaninę, że gdy wysłane oddziały zaczęły wypełniać otrzymane rozkazy, nastąpiło takie zamięszanie, że Turcy szturm odparli i omal że niezdobyli kilku rosyjskich linii. W boju tym polegli: pułkownik Zełtuchin i major Rymski-Korsakow, dowódcy wysłanych oddziałów. — Porażka ta wywołała w całym korpusie szemranie, wszyscy głośno przypisywali doznaną porażkę niezdarności szefa sztabu i jego planom. Jego też obwiniono o nieporządki i brak czujności w okopach oblężniczych, które wskutek tego tylko co się nie dostały w moc nieprzyjaciela.

Nie zważając na to, w jakiś czas potem, temuż samemu Gorczakowowi polecono wyprawę w góry dla zapewnienia połączenia z armią zabałkańską. I w tym wypadku pomimo bardzo mądrze skombinowanych planów, został pobity na głowę i sromotnie przepędzony.

Tak opowiadają ówczesni towarzysze broni księcia Gorczakowa. Oficyalna historya, jak zwykle, przemilcza i nie wypowiada żadnej krytyki nad działaniami wyższych osobistości: dowódzców korpusu,

szefów sztabu, szczególniej, jeżeli to byli książęta lub hrabiowie, cieszący się protekcyą sfer petersburskich. Główny dziejopis tej wojny, N. J. Uszakow, zawisły przez całe życie od księcia Gorczakowa, nie śmiał wypowiedzieć nic niepochlebnego. Ale nawet i teraz potrzeba posiadać sporą dozę cywilnej odwagi, ażeby wystąpić publicznie z całą szczerością ze swem zdaniem o rosyjskich jenerałach. Autor miewał z tego powodu różne przeprawy z generałami. Łajano go prawie. Zresztą byli to tylko wojskowi generałowie, z cywilnych generałów jeszcze go żaden nie złajał.

Ponownie zaczęto mówić o niezdarności Gorczakowa i ponownie wszyscy na niego wyrzekali.

Przez cały czas wojny, szczęście nawet wypadkiem, ani na chwilę nie uśmiechnęło się temu człowiekowi. Wojskowi uważali go za zupełnego niezdarę, pobłażliwsi dowodzili, że książę ma tylko nieszczęśliwą rękę. Wszakże w długim, bardzo długim formularzu służbowym księcia, wszystkie te zawody i błędy zostały pokryte różnymi górnolotnymi frazesami z dodatkiem, że po zawarciu pokoju książe „za wzorowe męstwo okazane przy przeprawie przez Dunaj, za szczególniejszą odwagę i skuteczne prowadzenie oblężniczych robót pod Silistryą", i za takąż odwagę i działalność w bitwach pod Szumlą, został zaszczycony orderami: św. Jerzego, św. Włodzimierza drugiego stopnia i wielkim krzyżem św. Anny. oraz otrzymał złotą szpadę, osypaną brylantami z napisem: „za męstwo". Nadto zamianowanym został generał-adjutantem, a w 1830 roku po wybuchu powstania w Polsce, został szefem sztabu pierwszego korpusu piechoty, i jako taki odbył całą kampanię 1831 roku. Tutaj zdobył nowe wawrzyny, uwidocznione orderem św. Aleksandra Newskiego i nadaniem 12 letniej dzierżawy o 2000 rubli srebrnych rocznego dochodu.

Wojenny dyktator Paskiewicz, rozpoczynając swe długoletnie rządy nad uspokojoną Polską, przez

dłuższy czas nie mógł sobie dobrać odpowiedniego szefa sztabu. Ludzie nadający się na stanowisko, o ile tylko byli obdarzeni jakiem takiem poczuciem własnej godności, unikali tego zaszczytu i woleli szukać krescytywy w samej Rosyi.

Wzrok „jego świetłosti" zatrzymał się wreszcie na księciu Gorczakowie. Paskiewicz wiedział doskonale, że Gorczaków nie posiadał odpowiednich zdolności dla tak ważnego stanowiska, że zanadto troszczy się o drobiazgi, że niezdecydowany i roztargniony, że zabałamuci i generała i dyżurnego i innych swych podwładnych oficerów, zamęczy ich niekończącem się nigdy przerabianiem i przepisywaniem referatów, które musiały przechodzić przez jego ręce, jako szefa głównego sztabu, ale wiedział także, że wybraniec jego, o ile jest niezdecydowany i roztargniony, o tyle, a może jeszcze bardziej, nie odważy się głosu podnieść wobec każdego przełożonego; że jest uosobioną cierpliwością i milczeniem, potrafi jak nikt inny w danej chwili unicestwić się prawie. Takie przymioty w człowieku zbliżonym, którego codziennie się widzi i co chwila z nim styka, dla samowładnego dyktatora były rzeczą pożądaną i prawie niezbędną, a zresztą Paskiewicz zawsze sam się uważał za rzeczywistego swego szefa sztabu i czuł, że w każdej chwili, gdyby nominalny szef sztabu wskutek braku decyzyi nie zrobił coś tak, jak potrzeba, on zaraz potrafi rzecz naprawić i na właściwą drogę skierować. Byłże przecież Gorczakow szefem sztabu trzeciego i pierwszego korpusu i to w czasach wojny, i sprawy szły i idą... jak wszędzie; nikt się nie skarżył i nie wyrzekał, owszem bezpośredni dowódzcy przedstawiali księcia do nagród.

Radca tajny Czestilin, który z Gorczakowem przesłużył lat dwadzieścia i w końcu był dyrektorem jego kancelaryi, opowiadał autorowi, że pewnego razu Gorczakow dziewięć razy kazał zmieniać i przepisywać jakiś elaborat, w końcu zaś zapytał:

„a masz pierwszy operat"? — Jest mości książe! — „No to zostaw jak tam było"!

Setki takich historyjek możnaby przytoczyć. Dla przykładu podamy jeszcze jedną. W 1842 r. znany strategik, generał Jomini, został wysłany przez cara Mikołaja dla szczegółowego zbadania północno-zachodniej granicy i wybrania odpowiednich miejsc dla ufortyfikowania takowej, na Litwie i w Królestwie. Między innymi punktami miano ufortyfikować Grodno i Serock. Jomini przedewszystkiem przybył do Warszawy, dla porozumienia się w tej sprawie z feldmarszałkiem. Paskiewicz wśród wielu innych wojskowych rozrywek, urządził dla niego na zamku grę wojenną, mającą odtworzyć pewien epizod z wojny francusko-austryackiej z 1809 roku. Stroną zaczepną dowodził sam feldmarszałek, bronić się miał książę Gorczaków. Generałowie Jomini i hrabia Berg byli sędziami i świadkami walki, która trwała blisko dwa miesiące, gdyż grywano tylko raz na tydzień w gabinecie feldmarszałka. Obaj zapaśnicy mieli po kilku oficerów generalnego sztabu do pomocy. Pierwszych dni, gdy działano w oddaleniu, jedna strona wychodziła z pokoju, gdy druga ustawiała swoje figury, mające oznaczać różne oddziały wojska: pluton, kompanię, pułk, szwadron, bateryę i t. p. Gdy wracała, figury przeciwnika zakrywano papierem.

Jednego razu pomocnik Gorczakowa, kapitan Grossman zrobił uwagę, że należałoby przecież wskazany punkt obsadzić batalionem piechoty. Gorczakow natychmiast umieścił tam odpowiedni znaczek, lecz następnie rozpatrując całą miejscowość powiedział: „at głupstwo, po co tam batalion"? i zdjął znaczek. Zaproszono Paskiewicza, by już wszedł do pokoju. Ale Gorczakow ciągle z boku spoglądając z niepokojem na ów punkt wskazany, zatrzymuje feldmarszałka w progu, przepraszając i prosząc o chwilkę cierpliwości, gdyż ma zrobić jeszcze jedno poruszenie. Paskiewicz uśmiechając się, wrócił za

drzwi, a Gorczakow postawił pośpiesznie znak batalionowy w oznaczonym punkcie i, oświadczywszy feldmarszałkowi, że już gotów, miał się sam ku wyjściu. Widocznie wszakże coś go niepokoiło i szedł mrucząc pod nosem, naraz po raz drugi wstrzymuje Paskiewicza, podchodzi do stołu, zdejmuje znaczek, mówiąc: „co za głupstwo, po co tu wojsko, kto pójdzie tą drogą"?

Paskiewicz, wróciwszy do gabinetu, chciał już zakląć jakiemś słówkiem, nie nadającem się do druku, lecz obecność obcego człowieka, Francuza, sprawiła, że tylko przygryzł usta. Z tego szczegółu można osądzić, co za nieszczęśliwy był książe Gorczakow w rzeczywistym boju, wtedy, gdy czuł na sobie cały ciężar odpowiedzialności, i gdy nie można było nikogo poprosić na ustęp, dla poprawienia jakiegoś nieudałego poruszenia.

Generał hrabia Berg w czasie tej gry ogromnie kręcił, zmniejszał odległości, podbierał znaki, byle ułatwić feldmarszałkowi wygraną, a przytem wciąż pokpiwał z Gorczakowa, tak, że się ten w końcu obraził i gry musiano zaniechać. Nieporozumienie między Gorczakowem a Bergiem trwało do roku 1843, w którym się pogodzili przy jednoczesnym awansie na generałów broni

W ten sposób książę Gorczakow został szefem sztabu czynnej armii przy feldmarszałku. Ta ciężka 21-letnia służba wycisnęła piętno jeszcze większej nicości, zahukania i drobiazgowości na marnym i nieudolnym człowieku. Paskiewicz złamał w nim wszystko, co jeszcze na dnie duszy tliło własnego, żywotnego; zagasił w nim ostatnie iskry ducha. Inni, nie Gorczakowy, nie dopuściliby tego, drudzy zawczasu uciekli, lecz Gorczakow z natury skłonny do ustępowania, dozwolił, ani się spostrzegając, że go przerabiano, wywracano na nice. Zwolna, stopniowo, stał się innym człowiek, pozbawionym wszelkich właściwości człowieczeństwa. On nie dostrzegł, że od czasu zbliżenia się swego z Paskiewi-

czem, z tym *Torquemadą* najnowszych czasów, poddającym codziennie w oczach swego szefa sztabu różne osoby moralnym torturom i przyzwyczajającym go do widoku ciągłego poniewierania ludzkiej godności, jako do najzwyczajniejszych przejawów życia, nie odczuł, że do tej strasznej chwili przecież był jakimś innym człowiekiem, że wartością swoją wewnętrzną przedstawiał, bądź co bądź, jakąś dodatnią cyfrę, mającą sama przez się jakieś określone znaczenie. Lecz potem, po tej dwudziestoletniej tresurze, stał się najzupełniejszem zerem, które bez postawionej obok siebie jakiejś innej jednostki, absolutnie nic nie znaczyło.

Hrabia P. E. Kotzebue nieraz powtarzał autorowi, że książe Gorczaków, przed i po tresurze paskiewiczowskiej, były to dwie, zupełnie różne osobistości. Paskiewicz miał się podobno chwalić, „że złamał Gorczakowa". Gdy się dowiedział, że w 1845 roku car Mikołaj, spotkawszy Gorczakowa w Palermo, gdzie podówczas bawiła cesarzowa, powiedział mu „że go zrobi pomocnikiem feldmarszałka," zaczął żywo chodzić po gabinecie, mówiąc: „co mi to za pomocnik, to pionek, to zero! Ot co!" i pokazał figę. „Jak wszyscy sztabowcy i on chciał się nabredyczyć, alem go złamał, i każdego złamię", zakończył, zwracając się do Kotzebuego, który był podówczas generał-kwatermistrzem czynnej armii.— Gorczakow nie otrzymał tej nominacyi.

Nawet charakter pisma jego się zmienił i stał się tak nieczytelnym, że tylko czterech ludzi w Warszawie umiało dokładnie odcyfrowywać te istne hieroglify.

Tymczasem nadeszła starość i wszystko to skrzepło i skostniało na wieki. — Zdawałoby się, że takiego człowieka jużby należało pozostawić w spokoju i złożyć do archiwum; lecz nie, przeznaczenie kazało temu cieniowi człowieka, przez dłuższy czas jeszcze błąkać się po rosyjskich armiach i gmatwać rosyjskie sprawy. W Rosyi wystarcza dojść do wyż-

szego stanowiska, zachowywać się spokojnie i mieć jaką taką protekcyę, a wtedy, czy kto zdatny, czy do niczego, posuwają go i posuwają, nadają majoraty i dzierżawy, a w końcu pochowają przy odgłosie trąb i głośnym płaczu gazeciarskim. Ba, nawet zrobią, jeśli nie zupełnym bohaterem, to przynajmniej bardzo walecznym generałem, nawet generał-feldmarszałkiem swoich czasów, ozdobią galeryę ermitażu portretem bohatera, malowanym przez Dov'a. W Rosyi upadają tylko ludzie z talentem i charakterem, nie pozwalający na poniewieranie sobą wszelkiemu plugawstwu, znajdującemu się u góry, i czujący, że zachowanie swej ludzkiej godności droższe jest nad wszelkie ordery i możliwą służbową karyerę.

Paskiewicz umiał wynagradzać służących sobie, jak mówi przysłowie: „wiarą i prawdą". Wytyrany przez niego, albo (literalnie) przyciśnięty kolanem do ściany pierwszy lepszy generał-major, wiedział doskonale, że po każdej silniejszej burzy, tem piękniejsza następuje pogoda i cisza w powietrzu. Na szlifach generał-majora mogła także zabłysnąć druga gwiazdeczka. On dobrze pojmował, że przedstawienie Paskiewicza, to nie zwykłe przedstawienie innych naczelników, po których w Petersburgu wcale bez ceremonii przechadza się złowrogi ołówek i często bardzo je kreśli. Ołówka, odważającego się zmienić przedstawienie „ojca komendanta", w Petersburgu nie było, i gdy generał-major posłyszał, że go feldmarszałek przedstawił do awansu, to już śmiało jechał do magazynu zamówić sobie generał-porucznikowskie szlify.

Poczucie prawdy nakazuje dodać, że nagrody otrzymywane przez Gorczakowa przy Paskiewiczu, nigdy nie były spowodowane wyżej przytoczonemi burzami, które tak często wybuchały nad głowami innych generałów. Paskiewicz nie pozwalał sobie wobec Gorczakowa na nic podobnego, co spotykało

Wikińskiego, Storożenkę, Abramowicza lub Tichanowskiego.

Jenerał-porucznik Wikińskij był w epoce opisywanej dyżurnym generałem czynnej armii.—Generał-porucznik Andrzej Jakowlewicz Storożenko, był oberpolicmajstrem miasta Warszawy, potem głównym dyrektorem w komisyi spraw wewnętrznych. Jakiś czas przewodniczył śledczej komisyi. W roku 1849 wpadł w niełaskę i wówczas jego miejsce w komisyi spraw wewnętrznych zajął Wilkińskij*).

Ignacy Abramowicz z początku był adjutantem przy Paskiewiczu, potem dowódzcą warszawskich żandarmów, oberpolicmajstrem miasta Warszawy, w końcu dyrektorem teatrów i zawiadowcą cesarskich pałaców. Na tem stanowisku, w stopniu generała-porucznika, zastały go rządy ks. Gorczakowa.

Generał-major Nikita Mikołajewicz Tichonowskij, przed i w czasie kampanii węgierskiej pełnił obowiązki generał-intendenta czynnej armii. W 1854 roku uwolniony, został zaliczony do sztabu.

Paskiewiczowi wystarczały poddanie się i pokora księcia Gorczakowa. Zresztą straszny i nieugięty despota nigdy nie zapominał się do tego stopnia, by nie rozróżnić kogo można i należy od czasu do czasu przycisnąć do ściany, z kim zaś to jest zbyteczne a nawet nie zupełnie bezpieczne. Gorczaków przez cały czas swej służby przy *Świetlejszym*, zaliczał się do tych ostatnich. Raz tylko, w czasie wojny węgierskiej, w obozie pod Debreczynem, gdy w namiocie feldmarszałka zaczęto mówić o powodzeniach Radeckiego w wojnie włoskiej 1847 i 1848 roku, niezręczny Gorczakow zdobył się na uwagę, że „Radecki miał znakomitego szefa sztabu". Powiedzenie to wobec człowieka, który przez całe swe

*) O Wikińskim różne szczegóły podaje Giller — tom III. str. 213, 241 i 242).

życie uważał szefa sztabu za organ zupełnie zbyteczny, rozgniewało Paskiewicza, to też jak tygrys raniony, podbiegł do Gorczakowa i uderzając go kilkakrotnie palcem po nosie, powtarzał, „szef sztabu, zero! szef sztabu, zero“!*).

Nic podobnego już więcej Gorczakowa nie spotkało. Zresztą.. i to wystarczało... Paskiewicz wiedział doskonale, że i bez przyciskania do ściany człowiek ten ma dosyć za swoje, dlatego też stale przemyśliwał nad wynagrodzeniem go w sposób odpowiedni. Te lub owe ordery, gwiazdki na szlifach, i tym podobne rzeczy, mogły zaspokoić takich Abramowiczów lub Wikińskich, ale nie wystarczały dla Gorczakowa za wszystko, czego musiał wysłuchać i na co się napatrzeć w ciągu tych dwóch, nieskończenie długich dziesięcioleci swej służby przy feldmarszałku.

Nie mijały go nagrody, jakie nań przypadały z kolei, lecz w myślach Paskiewicza przygotowywało się dla niego wyższe, wyjątkowe wyszczególnienie, które nie każdego zasłużonego spotykało generała. W 1843 roku Gorczakow awansował na generała artyleryi, następnie zamianowany szefem (właścicielem) brańskiego pułku strzelców; otrzymał ordery austryackie: św. Leopolnda i św. Szczepana; sycylijski św. Januarego; pruskie: czerwonego i czarnego orła i *pour le mérite*, bawarski korony i t. d.

Przy rozpoczęciu wojny z Turcyą w 1853 roku, na przedstawienie Paskiewicza, księciu Gorczakowowi poruczono dowództwo armii, mającej zająć księstwa naddunajskie. Jednak cesarz Mikołaj bardzo był niezadowolony z jego działań, i gdy w lutym 1854 roku Paskiewicz objął naczelne dowódz-

*) Z opowiadania naocznego świadka, generała porucznika Wasyla Piotrowicza Kondratiewa, który w 1870 roku był pomocnikiem naczelnika artyleryi w Warszawie, następnie zaś został naczelnikiem artyleryi w kijowskim wojennym okręgu.

two, cesarz zamierzał go zupełnie odwołać z czynnej armii, jedynie w tym celu, aby przeszkodzić Paskiewiczowi zrobienie go ponownie swoim szefem sztabu. Widać to z listu do Gorczakowa, który umierający już Paskiewicz podyktował S. T. Paniutynowi dnia 16 września 1855*) roku. Autentyczność tego listu stwierdza fakt, że syn Paskiewicza list ten, odnaleziony w papierach swego ojca, odczytał w Homlu sąsiadowi swojemu, M. M. Gerardowi, który następnie został starszym prezesem warszawskiej izby sądowej, i o czem ten opowiadał autorowi. „Z przytoczonej powyżej rozmowy ze ś. p. cesarzem, możesz książe osądzić, że los wasz był w mojem ręku. Wystarczało bym milczał, aby się przeznaczenie wasze spełniło". Paskiewicz powstrzymał tę decyzyę cesarza, a gdy jakoby został zraniony pod Sylistryą, dnia 28 maja 1854 roku i opuścił armię, Gorczakow ponownie objął dowództwo nad Dunajem.

Podczas rekonesansu Paskiewicz oświadczył, że się czuje kontuzyowany od kuli działowej, która się koło niego przetoczyła. Są niektóre poszlaki, że myśl tę mu poddano... on zaś powiedział „tak, jestem kontuzyonowany". Wyjechał do Petersburga, a następnie wrócił do Warszawy, gdzie umarł.

Niepomyślne działania księcia Menszykowa w Krymie i pod Sewastopolem w końcu 1854 roku wymagały zmiany dowództwa. Właściwie zaś mówiąc, trzymający bank w faraona, gdy mu nie szło, zażądał nowej talii kart. Na szczęście podana talia nie była ani nowa, ani lepsza. Znowu za poradą Paskiewicza, zastąpił Menszykowa ten, tak często zwyciężany i poniewierany książę Michał Gorczakow.

Gorczakowa z początku naznaczono na naczelnego wodza armii południowej z główną kwaterą

---

*) Patrz *Ruską Starinę* z 1872 roku, tom VI., strona 427—435 i 604—606.

w Kiszyniewie. Gorczakow tak się ucieszył tą nominacyą, że skakał z radości jak dziecko, a kuryerowi, który przywiózł tę szczęśliwą depeszę, dał sto półimperyałów. Autorowi, służącemu wówczas także w armii południowej opowiadali to zaraz adjutanci księcia. Następnie w lutym 1855 roku, gdy książe Menszyków zażądał uwolnienia, polecono mu udać się niezwłocznie do Sewastopola i objąć naczelne dowództwo lądowych i morskich sił, działających w Krymie.

Stało się to przed samą prawie śmiercią Mikołaja. Nowy cesarz potwierdził nominacyę i książę Gorczakow z całym swym ogromnym sztabem i mnogimi adjutantami przeniósł się do Krymu. Co to za uganianie nastało podówczas między Kiszyniewem a Sewastopolem i ile to pocztowych koni zapędzono na śmierć!

Tak hojnie wynagrodził długoletnią cierpliwość i poddanie się swego szefa sztabu wszechmocny feldmarszałek! — Wszakże potem żałował tego, jak to dowodzi następujący ustęp z owego, wyżej powołanego listu: „wyznaję, żem zawinił wobec ojczyzny, pomagając do wyniesienia was, książę, na stanowisko, które obecnie zajmujecie". (str. 432).

W Sewastopolu bardzo prędko zaczęto mówić: „mimo to, zawsze jesteśmy bez wodza".

Rzeczywiście, noszący to głośnobrzmiące miano, zgrzybiały, roztargniony, plączący się w słowach i w myślach starzec, nie wyglądał na naczelnego wodza. Wzrok jego do tego stopnia już wówczas był osłabiony, że trzeciej, obok siedzącej przy stole osoby, nie mógł ropoznać. Słuch, a raczej cały organizm, tak już był przytępiony, że jeszcze w Kiszyniewie nie słyszał muzyki wojskowej, gdy o kilkanaście kroków przygrywała przed główną kwaterą. Cóż dopiero w Sewastopolu. Przechadzki jego nigdy nie miały jakiegoś wyraźnie zamierzonego celu, lecz jak dziecko, łaził po obozie bez myśli i planu.

Najczęściej zachodził do namiotu swego szefa

sztabu, małego Kotzebuego, gdyż tam potrafił dostać się sam, bez przewodnika. Namiot ten był oddalony o jakie piętnaście kroków od lepianki, w której się mieścił wódz naczelny. Kotzebue opowiadał, że Gorczakow przychodził do niego często w nocy, siadał na łóżku i zaczynał mówić bez przerwy. Najczęściej przedstawiał smutną przyszłość. Kotzebuemu z trudnością udawało się go uspokoić. Gorczakow wracał wówczas do swej lepianki [1]). Musimy zrobić uwagę, że podówczas właśnie Kotzebue był tą jednostką, obok której zero Gorczaków przedstawiał jakąś określoną cyfrę.

Wszelkie inne dalsze wyprawy, czy to do dyżurnego jenerała, czy do naczelnika artyleryi lub inżynieryi, czy też do atamana kozaków, książę odbywał w towarzystwie przewodnika, kozaka. Zdala można było spostrzedz oryginalną, cienką postać, w narzuconym na plecy szarym, wojskowym paltocie, w czapce z półłokciowym daszkiem, sterczącym jak dziób, krocząccgo szerokimi krokami bociana.

Zdarzało się, że kozak nie dosłyszał dobrze, dokąd mu nakazał prowadzić się mruczący jak zwykle pod nosem generał. Nie śmiejąc zapytać się, szedł na los szczęścia i nie rzadko przyprowadzał go nie tam, gdzie miał polecone. Wypadały ztąd pocieszne nieporozumienia. Gorczakow nikogo nie mógł rozpoznać, więc mając coś do powiedzenia generałowi dyżurnemu, wypowiadał to naczelnikowi artyleryi lub na odwrót.

W podobny sposób zwiedzał i baterye, wysunięte na linii bojowej. Bóg wie po co; kogo on tam mógł natchnąć męstwem i zapałem, on, niepopularny, prawie nieznany żołnierzom i majtkom. Czy widział co, czego nie dostrzegł? Odjeżdżając zwykł był nucić pod nosem jakąś francuską piosneczkę, najczęściej: *je suis soldat français* [2])...

---

[1]) „Sewastôpolski album". Moskwa 1858, str 12.
[2]) Opowiadania adyutantów.

Przedewszystkiem dziwny a nawet wprost nieprzyzwoity bywał książę Gorczakow na wszystkich wojskowych nabożeństwach. Zachowywał się jak dziecko, gwałtem przyprowadzone na mszę, które się nudzi nie do wytrzymania. Co chwila się odwracał, nieraz stając zupełnie tyłem do ołtarza i wziąwszy się obydwoma rękami pod boki, przypatrywał się żołnierzom i oficerom, ma się rozumieć, nic nie widząc w dodatku. W takiej postawie nieraz się zapomniał i przestał prawie przez cały czas nabożeństwa. Gdy wypadało przyklęknąć, to go męczyło, podsuwał się do którego z generałów i rozmową, pół szeptem, pół głośno prowadzoną, starał się skrócić nudę chwil takich. W tych właśnie okolicznościach wyjawiał się człowiek nietylko pozbawiony taktu, roztargniony i zapominający, lecz nadto nie posiadający nawet tego pierwiastkowego religijnego wychowania, któreby wskazywało, jak się należy zachować wobec obrzędów i zwyczajów religijnych. I pod tym względem był to więcej Francuz niż Rosyanin.

Różne anegdoty i opowiadania, przechodząc z ust sztabowców, rozszerzały się w kołach wojskowych. Czyż mogła armia zachować należną cześć dla takiego wodza, który co chwila bywał przedmiotem ogólnych drwin i dowcipów? Znana to maksyma znakomitych wodzów, w starożytności i najnowszych czasach; maksyma Napoleona I.: „jeśli chcesz, by cię słuchano, nie możesz być śmiesznym dla swych podwładnych".

O kierownictwie Gorczakowa sprawami wojskowemi nic się nie da powiedzieć; szły one, jak niemi pokierował szef sztabu, mały Kotzebue, który miał szczególniejszy talent uchylania się od jakiejkolwiek odpowiedzialności. W takich chwilach jedynka zwykle się odłączała gdzieś od zera, które pozostawione samemu sobie, nieporadne i biedne, wszystko gmatwało, zapominało, znów przypominało, by za chwilę zapomnieć na nowo .. ostatecznie zawsze zna-

leźli się polegli, na których można było zwalić błędy, jak np. w bitwie nad Czarną rzeczką z dnia 4 sierpnia 1855[1]) roku.

Okrutna francuska karykatura, wydana po tym dniu fatalnym, nadzwyczaj trafnie scharakteryzowała ówczesnego naczelnego wodza krymskiej armii. Przedstawia ona Gorczakowa, trzymającego w jednym ręku *ordre*, w drugim *contrordre*, na czole zaś ma napisane: *desordre*. Sprawiedliwy to portret księcia, nietylko w owe dni nieszczęsne, lecz z całego jego życia.

A mimo to trzymano go na tem stanowisku, i pozostawionoby nadal tak długo, jak długo istniałaby krymska armia, gdyby nie zaszła śmierć Paskiewicza.

Widzieliśmy, w jakich warunkach zamianowanym został miękki i słaby, a w dodatku co tylko sromotnie pobity przez Turków i Francuzów książe Gorczakow, na miejsce nieżyjącego feldmarszałka. Widzieliśmy, co myślał wtedy rząd o Polsce; teraz zaś możemy dodać i to jeszcze, że w chwili nadzwyczajnych zmian i reform, od których rozpoczęło się panowanie Aleksandra II, gdy po niezmierzonych przestrzeniach Rosyi powiało ciepłem, krymskiem powietrzem, gdy wszystkie rosyjskie oblicza były uśmiechnięte i pełne jakiejś błogiej nadziei, dziwnemby było, gdyby na miejsce zmarłego namiestnika osadzono kogoś podobnego, jakiegoś Paskiewicza drugiego.

Wszyscy byli przekonani, że bezpowrotnie wybiła ostatnia godzina dla wszelkiego rodzaju Paskiewiczów, i że oni nie są już potrzebni ani w głębokiej Rosyi, ani na jej pograniczach; niepotrzebni i niemożliwi; natomiast wszędzie potrzeba ludzi cy-

---

[1]) O tej bitwie wyraża się Paskiewicz w wyżej powołanym liście: „Bitwa pod Czarną pozostanie wieczną hańbą w naszej wojennej historyi".

wilizowanych, europejskich w całem tego słowa znaczeniu. A przytem Polacy w Królestwie przez cały czas wojny zachowywali się zupełnie spokojnie.

Gdy Gorczakow przybył do kraju, powierzonego jego rządom, nie znalazł w nim żadnych zmian, rzucających się w oczy. Jemu się zdawało, że on wcale nie wyjeżdżał, lecz wciąż przebywał na zamku królewskim, pisząc referaty dla feldmarszałka. Opowiadają, że raz tak się zatopił we własnych wspomnieniach, iż, zapominając o śmierci Paskiewicza, gdy mu podano do podpisu ekspedycyę, powiedział: „Dobrze... lecz pokażcie pierwej feldmarszałkowi".

Warszawa wyglądała wesoło i była ożywiona jak i przy Paskiewiczu. Na scenie teatru Rozmaitości bawił wszystkich niezrównany komik Żółkowski; w Wielkim teatrze tańczono te same mazury.

Rozpatrując się w planie miasta Warszawy, zdawałoby się, że ona jest rozległą. Patrząc wszakże ze stanowiska klasy zamożniejszej i bardziej oświeconej, granice, w których obraca się wszystko, co żyje życiem więcej ruchliwem i europejskiem, gdzie się rozstrzygają wszystkie żywotne interesa miasta, zamknąćby można w pięcioboku, leżącym między Nowym Światem, Krakowskiem Przedmieściem i Marszałkowską ulicą z jednej, a Jerozolimskiemi Alejami i ulicami Miodową, Długą i Rymarską z drugiej strony. W tym pięcioboku wszystko się mieści: i wykwintniejsze mieszkania i bogate magazyny, hotele, teatr, banki i prześliczny ogród publiczny, z drzewami, dożywającemi już drugiego stulecia. Tutaj bezwiednie podążają wszyscy mieszkańcy, nawet z najdalszych dzielnic, aby chociaż pogapić się na to lub owo, odetchnąć innem, wielkoświatowem, europejskiem powietrzem, brzemiennem w różne żywotne i zaciekawiające sprawy, pełnem ciekawych wieści, plotek i wniosków. Tutaj spędza dnie całe nawet znaczna część mieszkańców Pragi... Z tych też powodów bywają chwile takiej

ciżby na ulicach, że panuje na nich ruch, tłok i przepychanie, prawie jak na bulwarach paryskich.

Jak w domach bywają mieszkania, a w tych pokoje wygodniejsze i lepiej urządzone, w których przyjemniej przebywać, czytać lub rozmawiać, tak też i powyżej opisana część Warszawy, zajmowała takie uprzywilejowane stanowisko względem reszty miasta, nie mówiąc już o innych miastach prowincyonalnych. Wszystko to razem składało się i składa, że Warszawa jest przedewszystkiem miłem miastem, gdzie się żyje przyjemnie i wygodnie, gdzie się ma wszystko pod ręką, a wszystko wcale przyzwoite i znośne, mogące zaspokoić materyalne i duchowe potrzeby każdego przeciętnego Europejczyka.

Pomimo wszelakich ograniczeń i szykan cenzuralnych, w Warszawie zawsze panował ożywiony ruch literacki; w czasach, które opisujemy, ruch się ten wzmógł w dwójnasób. Sceny teatrów: Wielkiego i Rozmaitości, mogły rywalizować pod względem dramatycznych i komicznych talentów z najlepszymi teatrami Europy. Na scenach tych od czasu do czasu zjawiały się i pierwszorzędne znakomitości europejskie, które bądź umyślnie zjeżdżały do Warszawy, bądź też zatrzymywały się w przejeździe do Petersburga i Moskwy.

Blasku i ożywienia dodawały jeszcze polskiej stolicy, stale przebywające tam rodziny polskiej arystokracyi i bogatszej szlachty; tacy książęta Lubomirscy, hrabiowie: Potoccy, Zamoyscy, Krasińscy, Braniccy, Rzewuscy, Kossakowscy, Łubieńscy, Uruscy, Jezierscy i Ostrowscy, których nazwiska budzą w każdym Polaku dumne wspomnienia. Było komu za wszystko dobrze płacić, wspierać tem handel, przemysł i sztuki. Włościanin dostarczał jeszcze daremnej pracy, wszystko więc służyło panom. Osamotnione obecnie i pogrążone w mroku, poważne wiekiem pałace, gorzały jarzącem światłem oświeconych salonów i brzmiały weselem i muzyką. Ulice, na których obecnie prawie wyłącznie krążą monotonne

zaprzęgi dorożkarskie z woźnicami w płaszczach piaskowego koloru na koźle, wówczas roiły się różnorodnymi powozami, nieraz zaprzężonymi w konie po polsku; dawały się słyszeć trąbki pocztylionów i trzaskanie długich, polskich batów. Paskiewicz wcale nie bronił tych niewinnych objawów dawnej, polskiej fantazyi, byleby nie myślano o czemkolwiek innem.

Powierzchownie i teraz nic się nie zmieniło. Warszawa w 1856 r. wyglądała tak samo, jak w 1854 za czasów „świetlejszego". Uważniejszy wszakże i głębiej wnikający dostrzegacz już wówczas mógł zauważyć wiele zmian ważnych. Nie wiele dni ubiegło od czasu, gdy na zamku królewskim przestał kopać nogami, krzyczeć i wymyślać straszny wojenny dyktator, a ponieważ wiele wody upłynęło i w umysłach polskich dokonał się zwrot niemały. I wyższe i niższe warstwy społeczeństwa zaczęły myśleć i sądzić inaczej. W kawiarniach, bawaryach i po ogródkach, dokąd się schodził ludek pospolity na wytchnienie po ciężkiej pracy, na hulankę, w miarę swych skromnych zasobów, na jeden i drugi kufelek piwa, zaczęły pokazywać się postaci, od których Warszawa już była odwykła, a które w zwykłych czasach gdzieś się chowają, bledną i nikną, jak cienie magicznej latarni. Wśród zwykłych gawędek zatłuszczonych bluz i surdutów, zaczynały odzywać się jakieś gorące, podniecające mowy i napomknienia znaczące, tak, że niejeden spokojny obywatel czem prędzej dopijał zaczętego kufla i nie oglądając się po za siebie, wynosił się do domu. „Hydra Mickiewiczowska" ocknęła się i żyć zaczynała...

Gdy rozeszła się wiadomość o zapowiedzianem przybyciu do Warszawy nowego cesarza, Bóg wie z jakich powodów i dlaczego, myśli wszystkich Polaków skierowały się ku czasom Aleksandra I, ku liberalnej konstytucyi i wojsku polskiemu. Cesarza Aleksandra II uważano za powtórzenie pierwszego. Wszyscy dość dokładnie znali niedawną jego prze-

szłość, wiedzieli, jak będąc następcą tronu, zbierał anegdoty o dzikich i bezmyślnych wybrykach cenzury i czytywał *Kołokoła*. Wszyscy wiedzieli, że w Rosyi inny już wiatr powiał, że się przygotowują nadzwyczaj doniosłe reformy na najszerszą skalę, że w całem państwie walą się w gruzy dawne porządki.

Wiedziano, że za Polską i za zmianą dotychczasowego względem niej przyjętego systemu rządowego podniosły się doniosłe, sympatyczne głosy wśród rosyjskiej inteligencyi, że nawet stary Pogodin, w swem historycznem zaciszu na „dziewiczem polu" (plac w Moskwie) napisał obszerną rozprawę w kwestyi polskiej, w duchu niezmiernie dla Polaków przyjaznym, i posłał, albo też zamierzał ją przesłać, monarsze. Wiadomo też było, jak redakcye głównych dzienników w Petersburgu i Moskwie, chętnie przyjmowały Polaków, i że ci w codziennych stosunkach wcale nie kolidowali z Rosyanami, owszem żyli jak bracia i przyjaciele.

I tak różne rzeczy opowiadano sobie po ogródkach — a nawet i nie po ogródkach..

Pod wpływem takich pogłosek, wiadomości, opowiadań, wniosków i nadziei, mieszkańcy warszawscy przygotowywali się na przyjęcie nowego monarchy. Przybył on dnia 22 maja 1856 roku o kwadrans przed jedenastą w nocy. Ogłuszające okrzyki zagrzmiały na całej ogromnej przestrzeni, od rogatki petersburskiej aż do Belwederu. Lud zalegał wszystkie ulice, któremi miał cesarz przejeżdżać, nie zważając na tak spóźnioną porę; zdawało się, że do swej stolicy wjeżdżał jakiś zmartwychwskrzeszony Piast lub Jagiellończyk.

W orszaku cesarza zaczęto mówić, że takie entuzastyczne przyjęcie jest demonstracyą, po za którą ukrywają się pewne cele, i doradzano cesarzowi, by przy przyjęciu deputacyi nie robił zbytnich obietnic, gdyż Polacy uniesieni znaną fantazyą, wnet wzlecą gdzieś po nad obłoki, gdy przeciwnie

powinni siedzieć cicho i oczekiwać możliwych ustępstw i reform, któreby nie były sprzeczne z interesami Rosyi. Rady te pochodziły głównie od siostry cesarza, księżny Olgi Wirtembergskiej, surowej córy surowego ojca, i od kanclerza, księcia A. M. Gorczakowa.

Orszak cesarza składali: generał-adjutant hrabia Adelberg I, minister dworu; jenerał-adjutant hrabia Adelberg II; książe Gorczaków, minister spraw zewnętrznych; jenerał-adjutant hrabia Lambert; generał-adjutant baron Lieven; pułkownik Czebyszew, adjutant skrzydłowy; dr. Enochin, przyboczny lekarz. Z gości zagranicznych przybyli: szwagier cesarza, następca tronu wirtembergskiego, książe Karol z żoną; panujący książę sasko-wejmarski; nadzwyczajny poseł i pełnomocny minister króla pruskiego, baron von Werther; poseł szwedzko-norwegski, generał Nordeen; adjutant cesarza Napoleona, generał Ney; austryacka deputacya: marszałek-porucznik książe Lichtenstein, dowódzca korpusu; pułkownik von Leukann i rotmistrz hrabia Hunyady; pruska deputacya: generał kawaleryi hrabia von Gröben, dowódzca korpusu gwardyi i generał-adjutant króla i pułkownik Leszczyński, szef sztabu tegoż korpusu[1]).

Przy przyjęciu nazajutrz, dnia 23 maja deputacyi, złożonej z senatorów, szlachty i duchowieństwa, cesarz spotkał ją przemową we francuskim języku:

„Przybyłem do was, niepomny przeszłości, pełen dla was najlepszych zamiarów, do spełnienia których dopomódz mi musicie. Ale przedewszystkiem czuję się w obowiązku jasno określić nasze wzajemne stanowisko.

Wyście równie blizcy sercu memu, jak Finlandczycy i inni rosyjscy moi poddani, żądam wszakże,

---

[1]) Gazeta urzędowa Królestwa Polsk. 1856 r., Nr. 112 i nast.

aby przez ojca mojego ustalony porządek w niczem nie został naruszony. Dlatego też panowie, zaniechajcie marzeń *(point de rêveries!)* potrafię bowiem poskromić wszelkie marzenia, i potrafię zarządzić, by one nie przeszły po za granicę wyobraźni samych marzycieli. Pomyślność Polski polega na zupełnem zjednoczeniu się z innymi narodami mojego państwa. Wszystko, co zrobił mój ojciec, dobrze zrobił, i ja to utrzymam.

W ostatniej wojnie wschodniej, synowie wasi bili się na równi z innymi. Przytomny tu książe Gorczaków, jako naoczny świadek, zupełną im sprawiedliwość oddaje, że i oni równie mężnie i ofiarnie krew swoją w obronie ojczyzny przelali. Finlandya i Polska, jak i inne krainy państwa mojego, są równie mi drogie, ale dla dobra samychże was, Polaków, wiedzcie, że Polska na zawsze musi być zespoloną z wielką rosyjską rodziną. Wierzcie mi, że pełen jestem dla was najlepszych chęci. Wam należy tylko dopomagać mi do rozwiązania tego zadania, i dlatego raz jeszcze powtarzam, zaniechajcie wszelkich marzeń. Co do was, panowie senatorowie, postępujcie ściśle wedle wskazówek, jakich udzielać wam będzie przytomny tu mój namiestnik, książę Gorczakow.

Wy zaś arcypasterze, nie spuszczajcie z uwagi, że podstawą wszelkiej moralności jest wiara. Waszym obowiązkiem wpajać nieprzerwanie w serca Polaków to przekonanie, że ich pomyślność zawisła jedynie od zespolenia się w jedno ciało z Rosyą"[1]).

---

[1]) Receuil des traités, conventions et actes diplomatiques concernant la Pologne 1862 — 1863, par le comte d'Angeberg (Leonard Chodźko). Paris et Leipzig 1862, str. 1117. W skróceniu i z odmianami w Annuaire des *Deux-Mondes*, VI. 1885—1886, *la Russie* str. 660 i 670, i w *Journal de St. Petersbourg* z dnia 23 stycznia 1874 r.

Znanem jest wrażenie, wywołane tą mową. Wszyscy Polacy i bardzo wielu Rosyan zaczęło powtarzać *point de réveries!* Słowa te obleciały świat cały i powtarzano je wszędzie przez lat kilka. Warszawa wszakże nie długo się zastanawiała nad niemi, jakby były nie dość jasne i zrozumiałe i nie zmieniła wcale swego uroczystego i świątecznego nastroju. Tłumy ludu towarzyszyły wszędzie cesarzowi, darząc go pełnemi zapału okrzykami. Szlachta najspokojniej przygotowywała na dzień 26 maja bal w pałacu namiestnikowskim.

Za przybyciem cesarza, damy wyższego towarzystwa przeważnie młode i ładne, ustawiły się dwoma szeregami po obu stronach schodów i wchodzącego monarchę obsypywały kwiatami i girlandami. To usposobiło dobrze wysokiego gościa. Lecz za powrotem do Belwederu, jakby się przeląkł swej wesołości i swobody, i do przemowy, którą nazajutrz spotkał witającą go szlachtę, dodał wiele takiego, co jeszcze bardziej ponury cień rzuciło na mowę z dnia 23 maja.

Nazajutrz, więc dnia 27 maja, cesarz w ten sposób przemówił do zebranych u niego przedstawicieli szlachty:

„Bardzo mi miło, oświadczyć wam panowie, że dnie wśród was spędzone, istotną przyniosły mi przyjemność. Wczorajszy bal wypadł bardzo pięknie; pozostanie on w mej pamięci i dziękuję wam za takowy.

„Zapewne doszły was słowa, które przed pięciu dniami wypowiedziałem, przyjmując deputacyę waszą. Składając jedną z cesarstwem całość, trzymajcie się rzeczywistości i porzućcie wszelkie marzenia o niepodległości, gdyż te spełnić się nie mogą.

„Powtarzam wam panowie: przekonany jestem, że szczęście, że ocalenie nawet Polski polega na stałym i nierozerwalnym jej związku z pełną sławy dynastyą rosyjskich cesarzy tak, aby się stała

nieodłączną częścią wielkiej rodziny wszechrosyjskiego cesarstwa Pozostawiając Polsce prawa i instytucye nadane jej przez ojca mego, niezmiennie dbać będę o jej dobro i szczęście. Gotów jestem zapewnić jej to wszystko, co tylko rzeczywiście pożyteczne być może, co mój ojciec przyobiecał jej nadać, i to, co rzeczywiście nadał. W tym względzie żadnych odmian nie uczynię. Wszystko, co zdziałał mój ojciec, dobrze zdziałał. Moje panowanie będzie dalszym ciągiem jego rządów. Od was zależy uczynić mi łatwiejszem to zadanie. Powinniście mi dopomódz w tej pracy. Na was jedynie spadnie odpowiedzialność za wszelkie marzenia i przeszkody, któreby mi stanęły na drodze w urzeczywistnieniu mych przyrzeczeń.

„Aby wam dać dowód, że pragnę przynieść ulgę w losie nawet winnych, oznajmiam, że w tej chwili podpisałem amnestyę. Pozwalam wszystkim emigrantom, którzy tego żądają, powrócić do kraju. Mogą być pewni, że nikt ich spokojności nie naruszy i za przeszłość do odpowiedzialności nie pociągnie; odzyskają utracone cywilne prawa. Zrobiłem jeden tylko wyjątek, wyłączając z pod amnestyi ludzi, zakamieniałych w swych przestępstwach, i takich, którzy w ostatnich jeszcze latach nie przestali spiskować i przeciw nam walczyć.

„Ci, którzy wrócą, po trzechletniem spokojnem i nienagannem zachowaniu się, będą mogli stać się użytecznemi krajowi, wstępując do służby publicznej. Przedewszystkiem wszakże dołóżcie starań, by moje błogie względem was zamiary, mogły się urzeczywistnić, bym nie został zmuszonym do powściągania i karania; a gdyby to niestety stało się koniecznem, wierzajcie, że znajdę w sobie dość siły i woli, by być stanowczym. Pomnijcie więc, abyście mnie nigdy do tej ostateczności nie przywiedli".

Następnie widząc, że jeden z deputatów, Jan

hrabia Jezierski chciał coś przemówić [1]), przerwał mu, mówiąc dalej:

„Spodziewam się, żeście mnie zrozumieli. O wiele milej mi będzie nagradzać niż karać. Przyjemnie mi, jak to i obecnie czynię, oświadczyć wam moje zadowolenie, dawać wam nadzieję i wdzięczność waszą wzbudzać. Lecz wiedzcie i pamiętajcie o tem ciągle, że w danym razie potrafię stłumić i ukarać, a nawet srogo ukarać".

„Żegnam was panowie!" [2]).

Bardzo naturalnie, że po tej mowie niemiłe wrażenie jeszcze bardziej musiało się zwiększyć. Wszyscy zadawali sobie pytanie, po co ten ciągły nacisk na wyrzeczenie się wszelkich marzeń, gdy nikt o tych marzeniach nie wspomina? Na co to: „ja potrafię stłumić i ukarać"—gdy nic nie popełniono takiego, coby na najmniejszą naganę zasługiwało? Miasto tylko się cieszy i krzyczy wiwaty! [3])

---

[1]) Jezierski miał oddawna przygotowaną mowę i zamierzał wypowiedzieć ją przy przejeździe cesarza przez Mińsk (miasteczko pod Warszawą, należące do Jezierskich), lecz Gorczakow nie zgodził się na to. (*Pamiętniki hr. Skarbka*) str. 281 i 282). Lisicki. (tom II, str. 11) przytacza główne punkty memoryału, które Jezierski zamierzał podać cesarzowi. Należy dodać, że Jezierski w 1830 r towarzyszył księciu Lubeckiemu do Petersburga i od tego czasu zachował szczególniejsze względy cesarza Mikołaja. Starszy syn jego, służył w wojsku i umarł z ran, otrzymanych pod Sewastopolem.

[2]) Cenzura nie pozwoliła na ogłoszenie mów cesarza w żadnej polskiej, ani ruskiej gazecie, te dopiero w 1872 r. zostały wydane po raz pierwszy w *Ruskim Archiwie*. Cały świat przeczytał je we wszystkich organach zagranicznej prasy, a w Rosyi, gdzie je monarcha wypowiedział głośno i uroczyście, dopiero w piętnaście lat zezwolono na ich ogłoszenie. Ciekawy obrazek stosunków cenzuralnych

[3]) W *Gazecie Narodowej* z 1881 roku Nr. 67, str. 2, kol. 4, w artykule zatytułowanym „Zasługi Aleksandra II", powiedziano, że słowa: *point de rêveries, je sévirais et je saurais sévir*, zostały wypowiedziane na żądanie kanclerza Gorczakowa.

Lecz wśród ogólnego uroczystego nastroju i te niemiłe wrażenia na razie zostały przygłuszone. Warszawa imieniem całej ludności dawała cesarzowi bal w ratuszu.

Wskutek obecności na balu wszystkich stanów społeczeństwa, w dosyć ciasnych jeszcze podówczas lokalnościach ratusza, bal ten przybrał jeszcze bardziej przyjazny i serdeczny charakter. W ratuszu poprostu Polacy hulali ze swoim królem...

Opowiadają, że w czasie balu, siwy jak gołąb staruszek, zbliżył się do cesarza z kielichem szampana, czy węgierskiego i w zbytku uczucia przemówił: „kochajmy się cesarzu!" co miało znaczyć: „zapomnijmy, najjaśniejszy panie, wszystko przeszłe, co było między nami; po co nam kłótnie i spory, zbliżają się inne czasy, kochajmy się nawzajem!" i łzy, droższe nad wszelkie perły tej ziemi, popłynęły strumieniem z oczu starego.

Cesarz zapytał stojącego obok namiestnika, co to ma znaczyć? Gorczakow podług zwyczaju nie dosłyszał i nie dopatrzył dobrze, co zaszło i odpowiedział cesarzowi coś, ni to ni owo. Cesarz, zdawało się, że się zadowolił tem wyjaśnieniem, lecz odrazu stracił humor; jemu nie podobała się poufałość, z jaką zwrócił się do niego wcale nieznany człowiek, nawet może... nie z towarzystwa. Bal stracił dla niego cały urok i opuszczał go w zupełnie innem usposobieniu.

Po wyjeździe cesarza z Warszawy (dnia 28 maja), gdy wszyscy się uspokoili i miasto wróciło do normalnego, codziennego stanu, odżyły w głowach i zaczęły się w nich rozpierać różne zgryźliwe myśli i rozumowania, które dotychczas tłumiono w sobie.

Komentowano i rozbierano bez ogródek i bardzo surowo oba przemówienia cesarza. „A więc nie powinniśmy się spodziewać niczego; jak było, tak

ma i nadal pozostać! Wszystko co jego ojciec zrobił, dobrze zrobiono, i on to zachowa i utrzyma!"... Widocznie na innych drogach wypadnie szukać sprawiedliwości i ustępstw.

Po ogródkach i bawaryach jeszcze bardziej się wzmogły gawędy i wnioski, które tak przedtem przerażały spokojnych obywateli. Już nawet i po prowincyonalnych miastach zbierały się kółka, zawzięcie politykujące. Wszystkie te wszakże gawędy i nieporozumienia były tylko zaczynem kwasu, dopóki prawdziwego fermentu nie przynieśli, przybyli w połowie 1856 roku amnestyonowani sybiracy i tłumy emigrantów z zagranicy.

Żywioły te przyniosły z sobą do, wcale dotychczas spokojnego, Królestwa, zupełnie inne usposobienie [1]).

Naraz wszystko zaruszało się i przemawiać zaczęło inaczej Chaotyczne dotychczas kółka warszawskich i prowincyonalnych polityków, otrzymawszy doświadczonych przywódców i doradców, zaczęły się organizować w pewien ład i porządek. Na razie potworzyła się ich moc niezliczona; co ulica, to kółko. Grobla tamująca prysła i mętne strumienie popłynęły w różnych kierunkach, zanim się nie połączyły w dwa lub trzy potoki, szersze i widoczniejsze.

Najpierwej się zorganizowało kółko akademików, złożone z wszelkiej starszej szkolnej młodzieży: z uczniów szkół realnych i gimnazyów, szkoły sztuk pięknych, instytutu rolniczego w Marymoncie, do których się przyłączyli następnie studenci me-

---

[1]) Moller w *Situation de la Pologne*, str. 208 podaje, że po amnestyi 1856 r. wróciło do Polski i Litwy około 10,000 zesłańców i wychodźców N. A. Milutin potwierdził autorowi autentyczność tej cyfry, gdyż on tych dat Mollerowi dostarczył.

dyczno-chirurgicznej akademii, otwartej w październiku 1857 r. [2]).

Na wzór studentów Polaków na rosyjskich uniwersytetach, akademicy warszawscy zawiązali „towarzystwo bratniej pomocy" z własnym statutem, kasą i biblioteką. Do biblioteki sprowadzano głównie różne emigracyjne pisma polskie, ruskie i francuskie, zabronione przez cenzurę. Wszystko to dochodziło wówczas do Warszawy bez wielkich trudności. Pojęcia i wyznania tego kółka kształtowały się mniej więcej na zasadach wypowiedzianych w 1836 r. w manifeście towarzystwa demokratycznego, z różnemi późniejszemi dodatkami. Wogóle kółko to było jaskrawo-czerwone i wrzało nieubłaganym wstrętem do rządów rosyjskich, z którym odpychało jakiekolwiek, najmniejsze zbliżenie.

Za tem zjawiło się parę innych kółek z zawiązkami czerwonej, rewolucyjnej organizacyi. Wszystkie one utrzymywały stałe stosunki z akademikami i z nieco później zawiązanym w Petersburgu kółkiem oficerów Polaków, założonym w 1858 r. przez Jarosława Dąbrowskiego, kapitana generalnego sztabu pod niewinnym mianem „wieczorków literackich". Był to najpoważniejszy związek z pomiędzy wszystkich rewolucyjnych polskich kółek w Rosyi. Z początku do niego mieli dostęp sami tylko wojskowi, następnie wszakże zaczęto przyjmować i cywilnych. Policya nic nie wiedziała o tych zebraniach, które się odbywały w mieszkaniu Dąbrow-

[2]) Marymont (Marie-Mont), wzgórze na północ Warszawy, tuż pod miastem, na którem wznosił się letni pałacyk królowej Marysieńki, oddany w 1835 r. na pomieszczenie instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa. Instytut ten przeniesiono w 1861 r. do Puław. Gimnazyum realne i medyko-chirurgiczną akademię zwinięto w 1862 r., przy utworzeniu szkoły głównej. Szkoła sztuk pięknych istnieje do chwili obecnej, zajmując oddzielny lokal w gmachu uniwersyteckim.

skiego, przy ulicy Oficerskiej. W owych niezwykłych czasach, była to w swoim rodzaju szczególna, dobroduszna policya, drzemiąca spokojnie i przyjemnie w promieniach krymskiego słońca, wszystkich jednako a tak mile ogrzewającego. Czego to wówczas nie mogli pozwolić sobie oficerowie, a szczególniej oficerowie gwardyi!

W tym samym domu przy Oficerskiej ulicy, obok Dąbrowskiego, mieszkali i inni oficerowie polscy, a mianowicie: Ferdynand Warawski, podporucznik ładożskiego pułku piechoty; Emanuel Jundził, podporucznik saperów; Heidenreich de Henig, podporucznik ukraińskiego pułku dragonów; Bazyli Narbut, porucznik artyleryi; Hieronim Staniewicz, porucznik saperów; Andrzej Cytowicz, porucznik kijowskiego pułku grenadyerów; wszyscy oni uczęszczali do wojennej akademii. Z cywilnych: Witalis Opocki, urzędnik w ministeryum dóbr państwa; Konstanty Dąbrowski i Stefan Chodorowicz.

Oprócz tych osób, stałych jakby mieszkańców, bywali na zebraniach oficerowie generalnego sztabu: Zygmunt Sierakowski, Tytus O'Byrn, Szalewicz, Jeziorański, Podbielski, Pogorzelski, Obieżierski, Rydzewski; Władysław Koczowski, porucznik konnej artyleryi gwardyi; Turr, podporucznik artyleryi; oficerowie akademii inżynierów: Mikołaj i Piotr Chojnowscy, Wrześniowski, Miniewski, Zaleski, Wyleżyński, Niłowski; Mikołaj Waśkowski, porucznik saperów; Kapliński, Maksymilian Czeniak, Zieliński; Jan Staniewicz, dymisyonowany kapitan generalnego sztabu; oficerowie z akademii artyleryjskiej: Wierzbicki i Laskowski; junkrowie akademii inżynierów: Downar, Baranowski i Zapolski; urzędnicy różnych dykasteryi: Wiktor Kalinowski, Bołtuć; studenci i uczniowie różnych wyższych zakładów naukowych: Teodor Opocki, Ignacy, Bojomir i Maryan Staniewiczowie, Adam Kruszewski; Bucki, Franciszek Dalewski, dwaj bracia Kiersnowscy, obywatele ziemscy, wreszcie Józefat Ohryzko.

Wszystkie te jednak gorące a niemądre kółka, małoby co potrafiły dokazać, gdyby nie znalazły jednocześnie oddźwięku w stronnictwie białych. Gdyby to ostatnie wytrwało do końca na zajętem stanowisku, przychylnem rządowi, gdyby namiestnik, gdy był czas po temu, umiał w niem sobie wpływ pozyskać, wszystkie inne roboty nie wieleby skutku odniosły. Czerwoni, schodziliby się na hałaśliwe narady, urządzili parę dziecinnych manifestacyi i na temby się wszystko skończyło. Lecz na nieszczęście, naraz się odwróciła od rządu znaczna liczba białych, ludzi wpływowych i bogatych; stanęli na uboczu, bez żadnych dalszych zamiarów, jedynie pod wpływem chwilowego rozdrażnienia i niezadowolenia, które zapanowało w całym kraju, po wyjeździe cesarza, i bardzo być może, że w znacznej części było także wynikiem czyichś tajemnych i systematycznych podburzań.

Biali na razie nie stawiali przed sobą żadnego celu, a co najmniej myśleli o jakiemś powstaniu lub rewolucyi. Broń Boże!... ale był to już obóz przeciwrządowy, z którego, dzięki sprzyjającym okolicznościom, mogło się wytworzyć to, o czem się jeszcze wówczas nikomu, ani białym, ani czerwonym, nawet we śnie nie zamarzyło. Każdy przezorny i rozumny rządca powinien był nadzwyczaj pilnie i uważnie śledzić te objawy i natychmiast wykryć istnienie ich w społeczeństwie, lecz Gorczakow i większość otaczających go dygnitarzy nic nie spostrzegli i niczego nie widzieli. Oni głównie zajęci byli przypominaniem sobie drobnych szczegółów z pobytu cesarza w Warszawie, to był główny temat ich myśli, ich dziennych i wieczornych rozmów. Oni się ani nie domyślali, że wskutek napływu amnestyonowanych z Syberyi i z zagranicy, stosunki w kraju niepomyślnie się zmieniły, że zaczynały się zbierać chmury, któreby należało w pierwszym zawiązku rozproszyć. Taka praca, umiejętne obserwowanie wszelkich objawów życia społecznego

i zręczna walka z nieprzyjaznemi prądami, to rzecz niezwykła i mało dostępna dla władz rosyjskich, nie nadają się one do tego, szczególniej zaś nie nadawał się do niej zgrzybiały, były naczelny wódz armii krymskiej.

Jednocześnie z emigrantami i sybirakami otrzymało możność pobytu w Warszawie wiele takich osobistości, które z mocy szczególnych zarządzeń władz administracyjnych były dotychczas internowane w ściśle oznaczonych miejscowościach Królestwa i krajów zabranych.

Jednym z najznakomitszych wygnańców tej kategoryi był Andrzej hrabia Zamoyski.

Od lat trzystu nazwisko Zamoyskich głośne w Polsce. Historyczny protoplasta tej rodziny, Floryan Szary, albo Saryusz, w XIV wieku za Władysława Łokietka ciężko ranny w pewnej bitwie z Krzyżakami [1]) został obdarzony przez króla szczególniejszemi łaskami. Podanie zachowało ówczesną odpowiedź Floryana, przyjętą później jako dewizę rodowego herbu Zamoyskich. „Jam nie z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli" [2]).

Za Stefana Batorego, potomek Saryusza, Jan Zamoyski, zostaje kanclerzem i hetmanem wielkim koronnym (1576 do 1605 r.). Ożeniony z siostrzenicą króla, Gryzeldą Batorówną, za ogromny posag żony kupuje olbrzymie dobra około Zamościa, silnie przezeń ufortyfikowanego.

Podczas panowania Zygmunta III, fortuna ta jeszcze się bardziej zwiększyła, i w 1589 r. utwo-

---

[1]) Pod Płowcami

[2]) Pomieszane widocznie z odezwaniem się Stefana Czarnieckiego.

rzono z niej majorat zwany: „Ordynacyą Zamoyskich" [1]).

---

[1]) Najstarsze polskie ordynacye są następujące: Tarnowskich z 1470 r.; Lubrańskich z 1520 r.; Zamoyskich na Zamościu i Szczebrzeszynie z 1589 r; Radziwiłłów na Nieświeżu i Ołyce z tegoż roku; Myszkowskich na Pińczowie z 1601 r; książąt Ostrogskich z 1609 r; Sułkowskich na Rydzynie z 1775 r. i Krasińskich na Opinogórze z 1844 roku. Obecnie w Królestwie istnieją tylko trzy polskie ordynacye: Zamoyskich, Myszkowskich-Wielopolskich i Krasińskich.

Słowo *Ordinatio* znaczy rozrządzenie, i od tego słowa rozpoczyna się testament Jana Zamoyskiego: *Ordinatio bonorum hereditariorum Domui Zamosciannae, comitiis Generalibus Regni, binisque Constitutionibus, ab universis ordinibus concessa et approbata, per Illustrissimum et Excellentissimum D. Joannem in Zamoście Zamoyski, supremum Regni Cancellarium et exercituum Generalem, Ducem etc. coram actis tribunalitis Regni facta, in perpetuum serviens.*

Rosyjskich majoratów w Królestwie jest 265; pierwsza partya 131 rozdana w 1836 r., z dóbr rządowych i skonfiskowanych po 1831 r.; druga partya 73, rozdana w 1866 r. z dóbr rządowych i skonfiskowanych w 1831 i 1863 r.; trzecia partya 61 rozdana w latach 1869 i 1870 z dóbr rządowych Królestwa Nadto w czasie od 1835 do 1879 r. rozdano 13 rządowych dóbr, na prawach nieograniczonej własności, następującym osobom: 1) Synowi feldmarszałka Paskiewicza; 2) generałowi Kierbedziowi; 3) synowi zabitego w 1830 r. generała brygady Siemiątkowskiego; 4) synowi zabitego w 1830 r. generała wojsk polskich, generał-majorowi świty j. c. mości, Jankowskiemu; 5) wdowie po generał-adjutancie, baronie Korfie 3-cim; 6) podpułkownikowi Stachowiczowi; 7) generał majorowi Fiedorowi Tucholce; 8) generał-porucznikowi Witkowskiemu; 10) spadkobiercom rzeczywistego radcy stanu Schmidta; 11) ministrowi finansów Greigh'owi (las w gubernii piotrkowskiej, oszacowany na 4,500 rubli rocznego dochodu, sprzedany zaś hrabiemu Hänkel von Donnersmark za 960 000 rubli); 12) pomocnikowi tegoż ministra T. R. Szamszynowi las w gubernii siedleckiej (oszacowany na 3,000 rubli rocznego dochodu, sprzedany Hordliczce za 375,000 rubli); i 13) hrabiemu P. E. Kotzebu'emu, las w gubernii łomżyńskiej, oszacowany na 4,500 rubli rocznego dochodu, z którego w 1880 roku hrabia Kotzebue sprzedał 10,000 sztuk sosien po 9 rubli 25 kopiejek za sztukę.

Do tej ogromnej ordynacyi początkowo należały prawie całe dzisiejsze powiaty: zamościki i hrubieszowski, na przestrzeni 70 mil kwadratowych, 400 wsi i miasteczek.

Z potomków Jana Zamoyskiego najbardziej byli wybitni: syn jego, Tomasz, także wielki kanclerz koronny 1594—1638 i Andrzej Zamoyski, wielki kanclerz koronny 1716—1792 r. Syn ostatniego, Stanisław hr. Zamoyski, (tytuł hrabiów rzymskiego cesarstwa otrzymali Zamoyscy w 1780 roku), ożeniony z księżniczką Zofią Czartoryską, do 1830 r. prezes senatu Królestwa Polskiego, pozostawił siedmiu synów: Konstantego, Władysława, Zdzisława, Andrzeja, Jana, Augusta i Stanisława, którzy początkowo wychowywali się w Krakowie przy matce, wśród polityczno - literackiego otoczenia spółczesnej epoki, następnie poumieszczani zostali po najlepszych zagranicznych pensyonatach.

Hrabia Andrzej, urodzony w 1800 r. w Wiedniu, czas jakiś zostawał w paryskim pensyonacie Murenne'a, następnie w Genewie, ukończył zaś nauki na uniwersytecie w Edynburgu. Po odbyciu trzechletniej podróży naukowej, w 1824 r. ożenił się z Różą Potocką. W 1825 roku przybył do Warszawy i wstąpił do służby publicznej w komisyi spraw wewnętrznych, gdzie wkrótce otrzymał stopień referendarza i został zamianowany szambelanem dworu. Od 1828 do 1830 roku prowadził w komisyi dział spraw przemysłowych.

Rewolucya 1830 r. przerwała spokojną działalność hrabiego Andrzeja. Starszy jego brat, ordynat Konstanty, wystawił własnym swym kosztem całkowity pułk piechoty, przy którym się zaciągnął na prostego żołnierza. Andrzej został adjutantem dyktatora Chłopickiego i brał udział w bitwie pod Grochowem [1]).

[1]) Spasowicz powiada, że za rządu tymczasowego hrabia Andrzej przez jakiś czas pełnił obowiązki ministra spraw wewnętrznych. *Wiestnik Europy*, listopad 1880 r.

Wkrótce po tej bitwie rząd rewolucyjny wysłał hr. Andrzeja do Wiednia dla zbadania usposobienia gabinetu austryackiego, a zarazem proszenia o uznanie polskiego narodowego powstania, za stronę wojującą. Do Krakowa dostał się za paszportem guwernera Francuza, ztamtąd pojechał do Bobrku, majątku hrabiego Potulickiego, gdzie go wszyscy poczytywali za Francuza.

Wtajemniczony gospodarz ułatwił mu spotkanie się z hrabią Laryszem z Osieka i ten zobowiązał się uwiadomić księcia Metternicha o misyi hrabiego Andrzeja i otrzymał dlań paszport. Przy pierwszem zaraz widzeniu się z hrabią Zamoyskim w Wiedniu, kanclerz oświadczył, że gotów jest pośredniczyć między rządem narodowym a carem, lecz doradzał, aby działania ograniczono do samej Kongresówki i przyjęto warunki, które car za wstawieniem się Austryi podyktuje. Poczem książę Metternich zaprosił hrabiego na obiad i sprowadził go razem z posłem rosyjskim, hrabią Tatiszczewem. Tatiszczewowi Zamoyski wydał się podejrzanym, więc postarał się z nim zbliżyć i zaprosił do siebie. Po paru wizytach Zamoyski zaczął spotykać tam jakąś bardzo piękną Polkę. Dla zabicia czasu, nic nie podejrzewając, zawiązał z nią romansik i nie spostrzegłszy się, jak i kiedy, rozpowiedział jej, z czem do Wiednia przyjechał i po co tu bawi. Piękna Polka była poprostu szpiegiem w usługach rosyjskiego poselstwa.

Autorowi opowiadał to hrabia Berg, który miał czytać raporta Tatiszczewa do ministra spraw zagranicznych. Książę Metternich, który także o wszystkiem się dowiedział od Tatiszczewa, ochłódł odtąd dla hrabiego Zamoyskiego i dalsze ich spotkania nie miały żadnej doniosłości. Kanclerz szeroko się rozwodził o austryackich sympatyach dla Polski, o strasznym błędzie, popełnionym 1772 r., i na tem się wszystko kończyło. Hrabia Andrzej dowodził z młodzieńczym zapałem, że jeśli Austrya

obecnie tego błędu nie naprawi, to go pierwsza od pokutuje. Metternich tylko się uśmiechał, w końcu zaś oświadczył, że stan spraw politycznych w Europie zmusza go do ścisłego przestrzegania traktatów z 1815 r., gdyż na nich się opiera cała jego polityka[1]).

Z tem hrabia Andrzej powrócił do Warszawy, lecz w krótkim czasie został ponownie wysłany do Wiednia. Druga ta podróż odbyła się w znacznie trudniejszych warunkach; w Galicyi ostro śledzono za wszystkimi przyjeżdżającymi; znajomi odmówili hrabiemu pomocy i on przebywszy Wisłę wbród pod Szczucinem, przenocował u przemytnika i potem nocami przez Jasielskie dostał się na Węgry, za cudzym paszportem; ztamtąd już łatwiej przedostał się do Wiednia.

Książę Metternich wnet się dowiedział o powtórnem przybyciu Zamoyskiego, a chcąc się z nim spotkać, kazał mu przygotować mieszkanie na jakiejś ubocznej i oddalonej ulicy i kazał się mu tam przenieść i oczekiwać, jak najmniej się pokazując, póki go nie zawezwie[2]). Nie było rady, hrabia Zamoyski przeniósł się na czwarte piętro i dosyć dłu-

[1]) Znany pisarz niemiecki profesor historyi na wszechnicy w Zurychu, Joannes Scheer, wykładając dzieje XIX wieku, twierdził, że hrabia Andrzej Zamoyski, w czasie tej swojej bytności w Wiedniu, otrzymał tajne posłuchanie u cesarza Franciszka I, na którem imieniem rządu narodowego prosił go o udzielenie czynnej pomocy walczącej Polsce i o przeznaczenie którego z arcyksiążąt na przyszłego króla. Cesarz miał tę propozycyę przyjąć wcale przychylnie, a nawet wskazał, że młodszy syn jego, arcyksiąże Franciszek Karol, ojciec obecnego cesarza Franciszka Józefa, mógłby być tym wybranym. Na to hrabia Zamoyski miał jakoby odpowiedzieć, że dla Polaków potrzeba kogoś, koniecznie opromienionego sławą wojenną, naprzykład arcyksięcia Karola, co miało zrazić cesarza, który wysłańca pożegnał sucho i więcej już go nie wzywał do siebie. Profesor Scheer kładł nacisk na tę polityczną niezręczność hr Andrzeja. Było to w 1865 r. (*Przypisek tłómacza*).

[2]) Z opowiadania hrabiny Michałowej Potockiej, matki hrabiego Tomasza, której sam hrabia Andrzej miał to opowiadać

go tam przemieszkał. Książę Metternich przywołał go, gdy w Wiedniu wiedziano już o otoczeniu Warszawy przez wojska rosyjskie pod wodzą Paskiewicza i wiedziano, że rozwiązanie tragedyi lada chwila nastąpi. Kanclerz przyjął hrabiego nader uprzejmie i oświadczył, że gotów pośredniczyć w kapitulacyi, która jest nieuniknioną. Żadnej innej pomocy Polakom pod rosyjskim zaborem okazać nie może, radził więc, by Zamoyski bezzwłocznie wracał do Warszawy. Hrabia Andrzej usłuchał i z dodanym mu urzędnikiem austryackim, zaopatrzonym w list otwarty, wizowany w rosyjskiem poselstwie, pośpieszył do Warszawy. Jadąc wszakże przez Prusy, przybył do Warszawy już po opuszczeniu tejże przez rząd narodowy. Nazajutrz po zajęciu Warszawy przez wojska rosyjskie, hrabia Zamoyski stanął przed Paskiewiczem.

— Co pan tu robisz?—zapytał bardzo groźnie Paskiewicz, uwiadomiony przez Tatiszczewa o jego wiedeńskich wyprawach.

— Przyjechałem z Wiednia, z listem księcia Metternicha, jako wysłaniec rządu narodowego — odpowiedział zapytany.

— Wysłaniec rządu narodowego! — krzyknął Paskiewicz—a gdzież ten rząd? Ja cię, mój panie, każę rozstrzelać, to się wtedy dowiesz, jaki tam u mnie rząd narodowy!

Była to wszakże tylko czcza pogróżka, wyrzeczona na wiatr, bez dalszych następstw. Paskiewicz już kombinował na czem i na kim będą się musiały z konieczności oprzeć przyszłe jego rządy w Polsce, daleki więc od zrażania arystokracyi, nakazał hrabiemu natychmiast wyjechać do siebie na wieś i tam oczekiwać dalszych rozporządzeń.

Hrabia Zamoyski zamieszkał w Klemensowie. Urządził tam wzorowo dwa folwarki i żył, można powiedzieć, jak mały królik, wśród wygodnego i zbytkownego urządzenia, przez cały czas panowania cesarza Mikołaja.

Do Klemensowa zjeżdżali się sąsiedzi i goście z drugich gubernij Królestwa i zabranych prowincyj, obejrzeć wzorowe gospodarstwo, pomówić o różnych sprawach z wykształconym, szanownym przedstawicielem rodu Zamoyskich, który tyle wiedział i widział, od którego tyle nauczyć się i skorzystać można było. Przytem można było i zapolować i zabawić się w uprzejmem i wykwintnem towarzystwie.

Od czasu tych zjazdów klemensowskich datuje się popularność hrabiego Andrzeja. Pierwsze zjazdy rozpoczęły się jakoś wkrótce po 1840 r. kiedy Królestwo i Galicya w zupełnym śnie pogrążone były [1]). Imię jego nabierało rozgłosu, jako pożytecznego i pod wszelkiemi względami odznaczającego się człowieka, obywatela i patryoty.

Ku końcowi piątego dziesięciolecia, zjazdy te przybrały wcale szerokie rozmiary. Bywało po dwieście osób różnych stanów, odznaczających się jedynie wychowaniem i wiedzą. Można powiedzieć, że zbierał się tam wybór inteligencyi całego kraju [2]).

W tym także czasie odbywały się zjazdy obywatelstwa w Piotrowicach, u kasztelana Kajetana Koźmiana.

Ponieważ pod względem politycznym zachowanie się Zamoyskiego było bez zarzutu, Paskiewicz tolerował te szlacheckie zebrania [3]). Odbywały się one spokojnie, jakby za sankcyą groźnego feldmarszałka. Wszakże Lisicki powiada, że około 1850 r. zostały zabronione (I, str. 50—51).

W przestankach, między różnemi rozrywkami,

---

[1]) *Czas* z 1879 r. Nr. 223, str. 1, kolumna 3.

[2]) *Czas* z 1874 r. Nr. 250 — 252; *Gazeta Narodowa* Nr. 249; *Encyklopedya Powszechna* Orgelbranda, t. XXVIII, str. 256—278.

[3]) Autor piszący o Zamoyskim w *Czasie* z 1879 r. przypisuje wpływowi zjazdów klemensowskich, że katastrofa galicyjska 1846—1848 r. tak nieznacznie oddziałała na Kongresówkę.

w słotę, gdy wiatr ponuro szumiał po starych drzewach klemensowskiego parku, wykształcone i świetne towarzystwo, goszczące u hrabiego Andrzeja, zbierało się u płonących ogni na staroświeckich kominach, na rozmowy o stanie gospodarstwa krajowego, które miejscami było bardzo zaniedbane, gdyż opieszała i niedbała szlachta raczej myślała o hulankach, włóczeniu się po jarmarkach lub bezmyślnych podróżach za granicę (do czego nawet, szczególniej po 1846 r., sam rząd niejako zachęcał), niż o poważnej pracy na zagonie ojczystym. Zastanawiano się więc naturalnie nad sposobami, jakby temu zapobiedz, opamiętać szalonych, podnieść ich moralnie, zwrócić hulaszczych próżniaków ku pożytecznej pracy, a przez to stopniowo podnosić w kraju rolnictwo i przemysł, choć w części zrównać je z zagranicznem i powoli zamienić całe Królestwo na ogromny folwark klemensowski. Chociaż i bez tego, pod względem rolniczym, Polska stała bez porównania wyżej od Rosyi.

W ostatecznym wyniku, przed oczami wszystkich patryotów, zbierających się u Zamoyskich, przyświecała jak jasne marzenie: oczyszczona z grzechów, moralnie potężna, jednomyślna, bogata, rozumna i oświecona Polska, posiadająca, zamiast ciemnego bydła lud roztropny, pracowity i zdolny do coraz większego postępu ..

Takem silny, takem dumny
Siostro moja! Mnie się zdaje,
Że w tej chwili, ze snu trumny
Nasza Święta zmartwychwstaje!

Klemensowcy przyszli bardzo prędko do przekonania, że najłatwiej dałoby się społeczeństwo poprowadzić w danym kierunku i niejako wychować zapomocą towarzystwa rolniczego; ono jedynie mogło być tą szkołą zbawienną dla rolników, a przez nich dla całego społeczeństwa—w warunkach, w jakich się znajdowała podówczas Polska.

Lecz za Paskiewicza samo słowo „towarzystwo" miało tak dziwne, straszne i nietolerowane brzmienie, że tylko bardzo cicho, ostrożnie i prawie tajemniczo wymawiano je, nawet w ustronnych kniejach lasów klemensowskich.

Powiedziano jednak, i to przed wiekami, że myśl, zrodzona chociażby nie na czasie, nie mająca żadnych warunków natychmiastowego urzeczywistnienia, już jest krokiem naprzód. Takim krokiem stała się i myśl, zrodzona w Klemensowie o zawiązaniu towarzystwa rolniczego. Poruszając od czasu do czasu myśl tę, żywo ich wszystkich zajmującą goście pana Andrzeja ani spostrzegli, jak doszli do zgodnego rozstrzygnięcia wielu trudnych kwestyi w stosunkach rolniczych swej ojczyzny, i jak prawie wykończyli w projektach gmach, o którym marzyli. Sprawa przyszłego, patryotyczno-rolniczego towawarzystwa, skrystalizowała się w umysłach prędzej, niż się można było spodziewać. Przyszli jego członkowie, w początkach prawie sobie nieznani, po kilku peryodycznych zetknięciach się w tem samem miejscu, w jednakich warunkach, pod wpływem wysoce wykształconego, rozumnego i gościnnego gospodarza, pana z panów, a mimo to tak łatwego w obejściu, powoli zbliżyli się nawzajem, stali się ludźmi jednej wiary, jednych przekonań, usposobień i pojęć; utworzyli nieznacznie ścisłe i, można powiedzieć, polityczne kółko; ścisłe, chociaż bez zapowiedzianego programu, mające już swego przedstawiciela i wodza, którego wcale nie wybierano, lecz który sam się niejako narzucił, zupełnie naturalnie, a lepiej, niż wszelki wybrany prezes, odpowiadał upodobaniom i duchowi wszystkich członków koła. Kółko to, oryginalnie i wypadkowo wytworzone, również wypadkiem w 1842 r. przyszło do swego organu. Tym organem niewidzialnego i nieistniejącego prawie towarzystwa rolniczego, stały się „Roczniki gospodarstwa krajowego", redagowa-

ne przez pewnego pana I. Koniewicza [1]) W tym też czasie pan Andrzej uzyskał pozwolenie pobytu w Warszawie, i około 1850 r., w zbiegu Krakowskiego Przedmieścia z Nowym Światem, wybudował piękny pałac, w którym zwykle zimy przepędzał.

Naturalnie, że w Warszawie towarzystwo klemensowskie jeszcze łatwiej mogło się skupić koło hrabiego, który odrazu zajął bardzo wybitne stanowisko w towarzystwie warszawskiem, raz jako człowiek, który służył sprawie i cierpiał za nią, a powtóre jako osobistość, sama przez się nadzwyczaj sympatyczna. W jednej chwili stał się on ulubieńcem wszystkich. Polacy, Rosyanie i Zydzi; wyższe sfery i niższe; umiarkowani i niczem się nie zadawalniający korsykanie, trybunowie różnych zaułkowych kawiarń i bawaryi — wszyscy go jednako poważali i lubili. Hrabia Andrzej, bez ubiegania się o to, stanął jako rozjemca wśród żywiołów, na oko nieprzejednanych. Najbardziej uparci i zapaleni uspokajali się i ustępowali, gdy tylko odwołano się na ulubionego pana Andrzeja, gdy tylko on zwrócił ku nim swe łagodne, spokojne i głębokie spojrzenie.

W owej porze hrabia nie był już młody; dobiegał sześćdziesiątki; wyglądał wszakże na swój wiek doskonale, chodził prosto i elastycznie jak młodzieniec; idąc po schodach, brał zawsze po dwa stopnie naraz; jego piękna, szlachetna postać, miała w sobie coś niewymownie pociągającego. Z jakiejbądź strony oglądany z blizka czy z daleka, dokładnie czy tylko powierzchownie — w najmniejszym swym ruchu, w każdem, chociażby niedbale i bez namysłu wypowiedzianem słowie, przedstawiał on zawsze typ wykwintnego, dobrze wychowanego, najczystszej krwi arystokraty. W Warszawie, a wkrótce i w całym kraju nie nazywano go inaczej jak tylko: „pan An-

[1]) Hrabia Andrzej dużo pisywał do tych roczników.

drzej," nązwisko rzadko kiedy dodawano jakby w całej Polsce jeden był tylko dany od Boga hr. Andrzej. Rosyanie nazywali go „Andruchą" czem chcieli wyrazić dobroduszność jego, połączoną z prostotą.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie na wszystkich, a szczególniej na samym namiestniku, sprawiło zjawienie się na zamku wykwintnego hrabiego, z jego pańskiem, swobodnem obejściem i jego klasyczną francuzczyzną. Paskiewicz, plebejusz z rodu, z politycznego wyrachowania schlebiał polskiej arystokracyi, naśladując w tem zresztą i Petersburg, lecz jednocześnie pozostawał wobec nich niezmiennie tą wyższą osobistością, okrytym laurami bohaterem licznych wypraw wojennych, namiestnikiem i przyjacielem cara, jakimś małym carem Mikołajem.

Lecz Gorczakow, sam arystokrata, czuł jakiś szczególniejszy pociąg do arystokracyi wogóle, bez względu na kraj i narodowość. Nie darmo od dzieciństwa nasłuchał się od rodziców, od wszystkich cioć i wujaszków, dziadziów i babuń, że arystokraci to inni ludzie, białej kości i krwi błękitnej, urobieni z lepszego, szlachetniejszego materyału; że plebs... to prawie nie ludzie, coś pośredniego między prawdziwym człowiekiem a szympansem.

Gorczakow „padał do nóg" wszystkiemu, co nosiło na sobie arystokratyczne piętno w Polsce. On i jego żona przyjmowali u siebie polską arystokracyę tak, jak ona nigdy przedtem nie była przyjmowaną na zamku. Ileż to ubliżeń znieść przytem musieli Rosyanie!.. Tylko Rosyan w ten sposób można traktować i obrażać.

Hrabiostwo Andrzejowie Zamoyscy wprędce w domu księstwa znaczyli więcej niż sami gospodarstwo. Raz (a może i nieraz) zdarzyło się, że w cza-

ne przez pewnego pana I. Koniewicza [1]) W tym też czasie pan Andrzej uzyskał pozwolenie pobytu w Warszawie, i około 1850 r., w zbiegu Krakowskiego Przedmieścia z Nowym Światem, wybudował piękny pałac, w którym zwykle zimy przepędzał.

Naturalnie, że w Warszawie towarzystwo klemensowskie jeszcze łatwiej mogło się skupić koło hrabiego, który odrazu zajął bardzo wybitne stanowisko w towarzystwie warszawskiem, raz jako człowiek, który służył sprawie i cierpiał za nią, a powtóre jako osobistość, sama przez się nadzwyczaj sympatyczna. W jednej chwili stał się on ulubieńcem wszystkich. Polacy, Rosyanie i Żydzi; wyższe sfery i niższe; umiarkowani i niczem się nie zadawalniający korsykanie, trybunowie różnych zaułkowych kawiarń i bawaryi — wszyscy go jednako poważali i lubili. Hrabia Andrzej, bez ubiegania się o to, stanął jako rozjemca wśród żywiołów, na oko nieprzejednanych. Najbardziej uparci i zapaleni uspokajali się i ustępowali, gdy tylko odwołano się na ulubionego pana Andrzeja, gdy tylko on zwrócił ku nim swe łagodne, spokojne i głębokie spojrzenie.

W owej porze hrabia nie był już młody; dobiegał sześćdziesiątki; wyglądał wszakże na swój wiek doskonale, chodził prosto i elastycznie jak młodzieniec; idąc po schodach, brał zawsze po dwa stopnie naraz; jego piękna, szlachetna postać, miała w sobie coś niewymownie pociągającego. Z jakiejbądź strony oglądany z blizka czy z daleka, dokładnie czy tylko powierzchownie — w najmniejszym swym ruchu, w każdem, chociażby niedbale i bez namysłu wypowiedzianem słowie, przedstawiał on zawsze typ wykwintnego, dobrze wychowanego, najczystszej krwi arystokraty. W Warszawie, a wkrótce i w całym kraju nie nazywano go inaczej jak tylko: „pan An-

[1]) Hrabia Andrzej dużo pisywał do tych roczników.

drzej," nazwisko rzadko kiedy dodawano jakby w całej Polsce jeden był tylko dany od Boga hr. Andrzej. Rosyanie nazywali go „Andruchą" czem chcieli wyrazić dobroduszność jego, połączoną z prostotą.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie na wszystkich, a szczególniej na samym namiestniku, sprawiło zjawienie się na zamku wykwintnego hrabiego, z jego pańskiem, swobodnem obejściem i jego klasyczną francuzczyzną. Paskiewicz, plebejusz z rodu, z politycznego wyrachowania schlebiał polskiej arystokracyi, naśladując w tem zresztą i Petersburg, lecz jednocześnie pozostawał wobec nich niezmiennie tą wyższą osobistością, okrytym laurami bohaterem licznych wypraw wojennych, namiestnikiem i przyjacielem cara, jakimś małym carem Mikołajem.

Lecz Gorczakow, sam arystokrata, czuł jakiś szczególniejszy pociąg do arystokracyi wogóle, bez względu na kraj i narodowość. Nie darmo od dzieciństwa nasłuchał się od rodziców, od wszystkich cioć i wujaszków, dziadziów i babuń, że arystokraci to inni ludzie, białej kości i krwi błękitnej, urobieni z lepszego, szlachetniejszego materyału; że plebs... to prawie nie ludzie, coś pośredniego między prawdziwym człowiekiem a szympansem.

Gorczakow „padał do nóg" wszystkiemu, co nosiło na sobie arystokratyczne piętno w Polsce. On i jego żona przyjmowali u siebie polską arystokracyę tak, jak ona nigdy przedtem nie była przyjmowaną na zamku. Ileż to ubliżeń znieść przytem musieli Rosyanie!.. Tylko Rosyan w ten sposób można traktować i obrażać.

Hrabiostwo Andrzejowie Zamoyscy wprędce w domu księstwa znaczyli więcej niż sami gospodarstwo. Raz (a może i nieraz) zdarzyło się, że w cza-

sie wizyty u namiestnikowej pani Łazarewoj-Staniczewoj, której mąż zajmował wysokie dosyć urzędowe stanowisko, i także należał do rosyjskiej arystokracyi, weszła do salonu hrabina Andrzejowa. Księżna Gorczakow do tego stopnia się zapomniała, że nie zważając na wszelkie względy przyzwoitości, powiedziała do siedzącej pani Łazarew: *veuillez bien Madame, céder votre place à madame la comtesse!* Dama była przytomna, niezmieszana, więc, wstając, odrzekła: *Je puis Madame, si vous le désirez, vous céder même le salon!* i z temi słowy opuściła pokoje. Radca tajny Czestilin, ówczesny dyrektor kancelaryi namiestnika, był świadkiem tej sceny i opowiadał to autorowi.

Stronnictwo klemensowskie, do którego należało dużo ludzi bogatych i arystokratycznego pochodzenia, widywanych bardzo mile na zamku, poczuło swe siły i to, że się czasy zmieniły; że tak leżąca im na sercach sprawa Towarzystwa rolniczego może być poruszoną, że przynajmniej spróbować nie zawadzi. Lecz do jakiego stopnia nie byli jeszcze pewni położenia, dowodzi to, że postanowili, by hr. Andrzej w odpowiedniej chwili, sposobem próby, wspomniał Gorczakowowi o potrzebie zawiązania jakiegokolwiek towarzystwa, chociażby naprzykład Towarzystwa żeglugi parowej na Wiśle, na które już przed dziesięciu laty, w 1846 roku, Francuz Guibert uzyskał był koncesyę z pozwoleniem budowania parostatków i zaprowadzenia stałej żeglugi nietylko na Wiśle, lecz i na innych spławnych rzekach Królestwa. Chodziło więc teraz tylko o wznowienie koncesyi, w swoim czasie nie wprowadzonej w życie, jedynie wskutek wybuchłych zaburzeń. Zresztą we wrześniu 1846 roku zjawiły się parostatki Guiberta na Wiśle, lecz bardzo prędko kursować przestały. Jeśli to pierwsze towarzystwo zatwierdzenie uzyska, można będzie rozpocząć starania o uzyskanie zezwolenia na zawiązanie Towarzystwa rolniczego.

Gorczakow nie powiedział żadnego -- ale — gdy hrabia Andrzej wszczął rozmowę o wznowieniu koncesyi Guiberta. Zażądał tylko by hrabia rozmówił się z głównym dyrektorem komisyi spraw wewnętrznych Muchanowym, bez którego podówczas namiestnik nie decydował żadnej ważniejszej sprawy. Hrabia Zamoyski zawczasu wiedział, że bez Muchanowa rzecz się nie załatwi, i zanim zaczął mówić z księciem, miał już przyrzeczenie Muchanowa

Paweł Aleksandrowicz Muchanow, urodzony w 1798 roku, po ukończeniu nauk w moskiewskim uniwersytecie, wstąpił do wojska, do kwatermistrzowstwa, co odpowiada teraźniejszemu generalnemu sztabowi. W 1816 roku awansował na oficera i odrazu został adjutantem przy hrabim Tołstoju, dowódzcy piątego korpusu armii. W 1829 roku, w czasie wojny tureckiej był w sztabie marszałka Dybicza, i brał czynny udział w kilku wycieczkach pod Silistryą, następnie w różnych spotkaniach przy osaczeniu Szumli, oraz w bitwie pod Kulewczą. Następnie razem z Dybiczem przeszedł do armii, działającej w Polsce, i za odznaczenie się w bitwie pod Ostrołęką otrzymał stopień pułkownika, z naznaczeniem na urzędnika do szczególnych poruczeń przy naczelnym wodzu. Od 1832 do 1834 roku widzimy go prezesem komisyi kwaterunkowej w Warszawie, z której dla nieznanych nam przyczyn, ustąpił i powrócił do Rosyi. Przez następne dwa lata bawił się w Moskwie literaturą, jako członek Wolnoekonomicznego towarzystwa i Moskiewskiego towarzystwa badaczów przyrody. Należał także do Towarzystwa rolniczego i historyczno-literacko-archeologicznego.

Gdy w królestwie urządzano Okręg naukowy warszawski, na wzór istniejących w cesarstwie, Muchanow, słynący zawsze z dzielnego pióra i rozległej wiedzy, przy pomocy niezbędnej protekcyi, został pomocnikiem kuratora, generała Okuniewą. Tak kurator, jak i Paskiewicz nie lubili Muchanowa,

a gdy Okuniew w 1850 roku, dla zdrowia musiał wyjechać na Maderę, Paskiewicz długo się wahał i bardzo niechętnie zezwolił, aby Muchanow zastępczo pełnił tegoż obowiązki. Złe języki mówią, że Muchanow rozmaitemi sposobami starał się o pozyskanie łask feldmarszałka, raz nawet za pośrednictwem jakiejś pięknej praczki, lecz wszystko to nie odniosło pożądanego skutku, i Paskiewicz do końca życia był dlań, jeśli nie niełaskaw, to zupełnie obojętny.

Za Gorczakowa rzeczy zupełnie inną przybrały postać. Przewidując, że prędzej czy później książę Gorczakow zostanie następcą feldmarszałka, Muchanow zawczasu, gdy ten był jeszcze jenerał-gubernatorem, starał się pozyskać jego względy. Zaś w 1853 roku, gdy tenże wyjechał do czynnej armii, ów zajął się zarządem jego majątków i przez czas swej administracyi znacznie je uporządkował.

Usługa osobista jakoś zawsze lepiej się wraża w pamięć, niż wszelkie inne, nawet i u tak roztargnionych ludzi jak Gorczakow. W karyerze urzędowej nie ten wygrywa, kto służy, lecz ten, który się zasługuje. Uwaga to jeszcze Grybojedowa — niestety i dzisiaj zupełnie na czasie. Zostawszy namiestnikiem w Warszawie, książę nie wiedział, jak dostatecznie wywdzięczyć się swemu „rządcy", i niespełna w miesiąc po swojem przybyciu, dnia 8 maja 1856 roku zrobił go głównym dyrektorem w komisyi spraw wewnętrznych, na miejsce Wikińskiego. Z tym obowiązkiem połączył jeszcze zarząd warszawskiego okręgu naukowego oraz spraw duchownych. Odtąd Muchanow zupełnie opanował słabego Gorczakowa i stał się drugim *alter ego*.

Zważając na wykształcenie, rozum i obszerną wiedzę, Muchanow najniezawodniej może być uważanym za najlepszego ministra spraw wewnętrznych i najlepszego kuratora, jacy byli z ramienia rządu od roku 1830. Z początku pilnie przestrzegał rosyjskiego wpływu i rosyjskich interesów, lecz jako

człowiek w najwyższym stopniu niesympatyczny i nawet z powierzchowności niemiły, nigdy nie potrafił skupić koło siebie poważniejszego stronnictwa i zawsze stał odosobniony. Dlatego wszelkie jego usiłowania, dążące do wytworzenia jakiejś podstawy dla rosyjskich interesów w tym kraju, po większej części nie osiągały zamierzonego skutku.

Ku końcowi szóstego dziesiątka lat i Muchanow poddał się ogólnemu nastrojowi rządowemu, panującemu w Rosyi. Zachowywał się na równi z innymi dygnitarzami, otaczającymi namiestnika; albo mu we wszystkiem potakiwał, albo też milczał; czyli stał się drugim Gorczakowem: chwiejnym, ustępującym, bez charakteru i zdania, a nawet często jakby onieśmielonym, chociaż naprawdę, wstydzić się nie było czego.

Osoby bliżej znające Muchanowa tak się o nim wyrażały:

Senator Kruzenstern. Był to genialny intrygant, fałszywy i lichy człowiek, oglądający się na dwie strony i szukający miru u rządu i u Polaków.

Radca tajny Kazaczkowskij. Był to najnieprzyjemniejszy i najmniej sympatyczny człowiek, jakiego w życiu swojem znałem.

Fryderyk hr. Skarbek tak go opisuje: Człowiek atletycznej postawy, z wzrokiem, w którym się malowały duma, surowość i fałsz. Posiadał światową ogładę, lecz z niższymi od siebie zachowywał się pogardliwie i grubijańsko. Powierzchowność już jego malowała wewnętrzną złość i porywczość, a ta ostatnia dochodziła do tego stopnia, że raz uderzeniem laski zabił stróża, który mu nie dość prędko w nocy bramę otworzył. Popędliwość tę starannie ukrywał, umiał nawet przypochlebiać się tym, których zamierzał zadrasnąć lub ukąsić. Chciwym na pieniądze nie był, lecz tem rządniejszy władzy i znaczenia. — (Pamlętniki str. 291).

Jan Papłoński, były profesor Szkoły Głównej i cenzor, zapewniał autora, że Muchanow, jako ku-

rator, ścieśniał oświatę, nie chcąc, by ona w Polsce wyżej stała niż w Rosyi. Na czyjąś uwagę, że należałoby w Warszawie utworzyć uniwersytet, Muchanow miał odpowiedzieć „tak, ale jednocześnie potrzebaby wybudować drugą cytadelę!" (To samo powtarza i Lisicki. I. str. 101). Za to, jako główny dyrektor komisyi spraw wewnętrznych nie miał sobie równego i bardzo się przyczynił do podniesienia rolnictwa i przemysłu w kraju.

Kraszewski w rozmowie z autorem tak się odezwał o Muchanowie: Dosyć dobry lecz nie miły i bez taktu człowiek, istny rosyjski Wielopolski! I to się zdaje być najdosadniejszem określeniem Muchanowa: „Rosyjski Wielopolski".

Hrabia Andrzej z łatwością zjednał sobie tego *alter ego* Gorczakowa. Sekretarz stanu, Tymowski, przeprowadził sprawę żeglugi parowej w komitecie dla spraw Królestwa polskiego w Petersburgu, i koncesya Guiberta dostała się Zamoyskiemu. On zaraz z dwoma synami wyruszył parostatkiem dla badania Wisły; mierzył głębokość tej kapryśnej rzeki, badał stosunki i naradzał się z różnymi specyalistami nad dalszym rozwojem przedsiebierstwa.

Cała ta podróż hrabiego Andrzeja była jednym ciągiem królewskich prawie przyjęć i owacyj we wszystkich miejscowościach, gdzie się tylko parostatek zatrzymał. Obiady, toasty, okrzyki, podług staro-nowo-polskiego zwyczaju, jak to się mówi po prostu, że aż się w niebie robiło gorąco. W dodatku do całej tej polsko-politycznej sprawy wciągnięto bardzo zręcznie kilku Rosyan wybitnych, między innymi hrabiego Bobryńskiego. Akcye Towarzystwa wyśrubowano sztucznie do 300 rubli sr. za 120, wszakże bardzo prędko kurs ich spadł niżej pari.

Przedsiębiorstwo weszło w życie. Dyrektorem Towarzystwa został Leon Królikowski, człowiek skrajnie czerwonych zasad i naczelnik kółka nieprzejednanych. Jakim sposobem się stało, że taki biały, legalny, umiarkowany podówczas hrabia Za-

moyski, wybrał sobie na pomocnika takiego zapaleńca i rewolucyonistę, trudno zrozumieć; ale tak się stało. Mogli mu go narzucić różni przyjaciele, niezdecydowanych usposobień, których mnóstwo pod ten czas kręciło się koło hrabiego. Oni może liczyli na to, że towarzystwo żeglugi parowej odegra w bardzo niedalekiej przyszłości takąż rolę, jaką miało odegrać Towarzystwo Guiberta, gdyby zamierzone powstanie 1846 r. tak się rozwinęło, jak się spodziewali spiskowcy.

Dnia 20 lipca 1857 r., w gmachu Towarzystwa na Solcu, nastąpiło otwarcie żeglugi parowej; poczem zaproszeni goście i akcyonaryusze zasiedli do uczty, zakończonej toastami prozą i wierszem. Znany improwizator, redaktor popularnego *Kuryera Warszawskiego*, Kucz, pełen werwy i nadzwyczaj dowcipny człowiek, wygłosił wierszowany toast, zakończony strofą:

Lecz wśród głosów tysięcy
Jedno śpiewam z kolei:
Daj nam Boże! a więcej
Takich jak ten, Andrzei!

Po tak utartej ścieżce, nie trudno już było hrabiemu Andrzejowi uzyskać zezwolenie na zawiązanie Towarzystwa rolniczego. Wprawdzie Muchanow, dla zachowania pozorów, robił trudności i podnosił zarzuty, lecz ostatecznie się zgodził. Do uzyskania tego zezwolenia przyczyniły się w znacznym stopniu nieporozumienia, istniejące między Muchanowem a Kotzebue'm. Kotzebue proponował, zamiast jednego Towarzystwa na całe Królestwo, utworzyć powiatowe zjazdy obywateli ziemskich, któreby wybierały przedstawicieli na zjazdy gubernialne. Na czele zaś stanąłby centralny komitet rolniczy z Warszawy, wybierany przez zjazdy gubernialne. Projekt ten znalazł wielu zwolenników, lecz Muchanow, na przekór swemu antagoniście,

przeprowadził jedno ogólne w Warszawie zebranie wszystkich członków Towarzystwa z komitetem na czele.

Hrabia Uruski miał podobno powiedzieć w kółku swych zaufanych: „Ależ takie towarzystwo nieodmiennie przybierze charakter polityczny". To się rozeszło po mieście, i na jakiś czas musiał wyjechać za granicę, by się usunąć przed ogólną niechęcią. (Dziennik pułkownika Krywonosowa).

Autor broszury *Sprawa polska w 1861 r. List z kraju* (Paryż 1872 r.) powiada, że Zamoyski, zawiązując Towarzystwo rolnicze, wprost naśladował Cavour'a, który od podobnego kroku rozpoczął dzieło wyswobodzenia Włoch. W kraju, gdzie wszelka polityczna działalność wzbroniona i niemożliwa, koniecznie potrzeba każdą sprawę zamieniać na polityczną.

Bolesławita w powieści *Dziecię starego miasta* wyraża się: „Towarzystwo to, doskonały przekład z włoskiego Cavour'a".

Hrabia Skarbek w *Dziejach Polski*, III. str. 224, zapewnia, że: „Rząd wiedział, że Towarzystwo rolnicze podszyte jest polityką".

Tymowski ponownie przeforsował sprawę w Petersburgu, przy pomocy pewnego rosyjskiego wpływowego kółka, (o którem później będzie mowa, a bez której to pomocy oba projekta nie przeszłyby tak gładko przez komitet dla spraw Królestwa polskiego i przez Radę państwa), i Towarzystwo zostało otwarte uroczyście w sali posiedzeń kuratoryi okręgu naukowego, dnia 16 stycznia 1858 roku przemową Muchanowa, poczem mówili: ksiądz arcybiskup Fijałkowski i hrabia Zamoyski [1]). Poczem ten ostatni, jako główny redaktor *Roczników gospodarstwa*

---

[1]) Patrz XXXII tom *Roczników gospodarstwa krajowego* z r. 1858. Mowa Muchanowa str. 149; arcybiskupa str. 160; hrabiego Andrzeja str. 160.

krajowego, wezwał obecnych innych członków redakcyi i zaproszonych dwadzieścia osób wybitniejszych z kraju do zawiązania się i ukonstytuowania w Towarzystwo, jak tego wymagał zatwierdzony statut. Zebrani wybrali prezesem hrabiego Andrzeja, wiceprezesem Aleksandra hr. Ostrowskiego, oraz szesnastu członków komitetu. Nazwiska wybranych podaje *Kuryer Warszawski*, 1858 r., nr 15, str. 68. Starał się tam dostać i Aleksander hr. Wielopolski, mało podówczas znany w Warszawie, lecz nie został wybrany. Zwykle powiadają, że nawet przy wyborze na członka towarzystwa został przekreskowany, lecz na pewne nikt tego udowodnić nie może. Po śmierci margrabiego, *Czas* twierdził że Wielopolski był członkiem towarzystwa, *Gazeta Narodowa* temu zaprzeczała. — (U Lisickiego o tem. I, strona 106).

Nazajutrz członkowie założyciele dawali dla swego prezesa obiad w hotelu Angielskim, na który był także zaproszony i Muchanów. Było osób 60, były i nieuniknione mowy. Opis obiadu, a następnie rautu w Resursie kupieckiej zamieszczają wszystkie ówczesne dzienniki. (Patrz *Kuryer Warszawski* Nr 16, str. 74, 1858 rok).

Towarzystwo nie potrzebowało troszczyć się o własny organ, gdyż takowy istniał już *à priori* od lat piętnastu, obecnie tylko *Roczniki gospodarstwa krajowego* przeszły z rąk jakiejś tajemniczej i bezimiennej spółki w zawiadywanie Towarzystwa i były rozsyłane *ex offo* wszystkim członkom towarzystwa [1]).

Jawnym redaktorem Roczników został W. Garbiński, sekretarz hrabiego Andrzeja, rzeczywistym wszakże kierownikiem pisma był Aleksander Kra-

---

[1]) Podaje o tem XXXII tom *Roczników* ze stycznia 1858 roku, który stanowi zarazem tom pierwszy tychże *Roczników*, jako organu Towarzystwa.

jewski, który tylko co powrócił z Syberyi, ongi członek Związku polskiego ludu.

Jakim sposobem dostał się do najbliższego otoczenia hrabiego Zamoyskiego ten drugi zapaleniec, czerwieńszy jeszcze od Królikowskiego, także niewiadomo. Wprawdzie w pierwszych chwilach powrotu z wygnania udawał człowieka uspokojonego i ostygłego, lecz w głębi duszy burzył się i wrzał po dawnemu. Próżne to mniemanie, że Sybir, wygnanie lub więzienie uspokaja zapalone umysły; ani trochę. Wracają one ztamtąd jeszcze gorętsze, bardziej rozdrażnione, a zarazem zahartowane w cierpieniach i odosobnieniu. Jeżeli emigracya może być nazwaną rodzajem gimnazyów dla tych panów, to Sybir z wszelką słusznością może być poczytywany za uniwersytet.

Po zatwierdzeniu tych dwóch najważniejszych instytucyi, inne ustępstwa następowały niejako same z siebie. Zezwolono więc na zakładanie w Warszawie i po kraju szkółek niedzielnych (których powstało do 2000), szkółek rzemieślniczych i ochronek, pozostawiając im wszelką swobodę działania. Aweyde przyznaje, że szkoły te najbardziej się przyczyniły do rozwoju osobnego działu literatury ludowej i wraz z nią zasad polskiego katechizmu.

Agaton Giller, literat, sybirak, który powrócił wskutek amnestyi 1856 roku, został redaktorem bardzo taniego tygodniowego pisemka *Czytelnia Niedzielna*, które kosztowało 12 złp. rocznie, a założone było przez panią Petrow, córkę byłego generał-intendenta armii Pogodina, urodzoną w Polsce, Polkę z wychowania, przekonań i języka.

Warszawski księgarz Merzbach otrzymał pozwolenie na wydanie poetycznych dzieł Mickiewicza, tego samego Mickiewicza, którego imię tylko z trwogą odważano się w Rosyi wymówić. Najniewinniejszy wiersz Puszkina do niego, w wydaniu Annenkowa, tom III, str. 41, nosił tytuł: „Do M***.“

Księgarz Orgelbrand rozpoczął wydawnictwo

swej wielkiej *Encyklopedyi*, będącej obecnie rzadkością bibliograficzną.

A nawet w budownictwie obudziło się nowe życie. Wzniesiono gmach Towarzystwa kredytowego ziemskiego, na wzór weneckich prokuratoryi; do tego gmachu przeniosły się wkrótce biura Towarzystwa rolniczego, z początku umieszczone przy ulicy Świętokrzyskiej, w domu Malcza. Powstał hotel Europejski na rogu Czystej i Krakowskiego Przedmieścia, i w jednej chwili stał się modnym, zmógłszy wszystkich współzawodników na tem polu.

Na obu scenach: Wielkiego i Małego teatru, panowały taki ruch i ożywienie, publiczność tak się niemi interesowała, że dzisiejsi Warszawiacy, tak ospale odwiedzający teatra, nie potrafią wyrobić sobie dokładnego o ówczesnych stosunkach wyobrażenia. Wszystko żyło, wrzało i ruszało się, co najmniej życiem zdwojonem.

Jednocześnie i petersburscy Polacy uzyskiwali swojego rodzaju nabytki. Wyjednano u rządu zezwolenie na wydawnictwo w Petersburgu pisma peryodycznego, politycznego, w języku polskim (w podaniu powołano się na istnienie od 1829 do 1853 roku *Tygodnika Petersburskiego* pod redakcyą Przecławskiego), i założenie własnej drukarni na wielką skalę. Redakcyę tego dziennika pod tytułem *Słowo*, objął urzędnik z ministeryum Udziałów, Józefat Ohryzko, jak widzieliśmy, jeden z tych, którzy odwiedzali kółko rewolucyjne przy ulicy Oficerskiej. On również objął zarząd drukarni polskiej i wkrótce wydał wspaniały przedruk zbioru polskich praw *Volumina legum* w dziesięciu tomach.

Takie ożywienie sprawy polskiej w kraju i powodzenie, stopniowo uzyskiwane, pobudziły do działania i za granicą. Towarzystwo Demokratyczne i inne, bardziej wpływowe kółka emigracyjne, zaczęły bacznie śledzić ruch ten w kraju, i zachęcać rodaków do dalszych postępów na tej drodze. Nie uszło to naturalnie uwagi i sąsiednich państw zagra-

nicznych, zawistnem okiem spoglądających na wszelkie objawy poprawy wewnętrznego stanu Rosyi i jej stosunku do Polaków. W tym zgodnym ruchu Rosyi i Polski do reform, w tem nawoływaniu rosyjskiej inteligencyi do ustępstw na rzecz Polaków, w tej skrytej pomocy, okazywanej przez wyższe sfery rządowe polskim narodowym interesom, nakoniec w tej szczerej chęci cesarza Aleksandra II, doprowadzenia do zgodnego pożycia z Polakami, do tego „Kochajmy się cesarzu" staruszka z ratusza—w tem wszystkiem państwa ościenne widziały coś podejrzanego i upatrywały niebezpieczeństwo.

Politycy europejscy uznali, że potrzeba wdać się w tę sprawę i, poddając Polakom różne, nie dające się urzeczywistnić nadzieje, poróżnić ich z Rosyą. Wywołanie najdalej idących nadziei nigdy nie było trudne, a cóż dopiero w owej epoce podnieconej fantazyi i rozgorączkowanych uczuć.

Kogo z europejskich najserdeczniejszych przyjaciół Rosyi można uznać za inicyatora w tej sprawie, dziś jeszcze orzec niepodobna. Najjaskrawiej i najzaczepniej występowała Francya, tak niedawno formująca polskie legiony nad Bosforem. Czy sama się ona poruszyła, czy też ktoś ją do tego podjudził? Mam silne podejrzenie, że nie obeszło się tu bez pruskich wpływów i podżegań... Napoleon i jego ministrowie od czasu do czasu wypowiadali słowa, dające się najrozmaiciej tłómaczyć, szczególniej przy nieco podnieconym nastroju umysłów Książę Napoleon, czy z upoważnienia cesarza, czy też przez kokieteryę dla opozycyi, zbliżył się do polskich emigracyjnych kółek czerwonych, szczególniej zaś Mierosławskiego, i zaczął wypowiadać różne mgliste przyrzeczenia na wypadek, gdyby coś zaszło! A potem we wrześniu 1858 roku, w czasie zjazdu cesarza z księciem regentem pruskim, przybył bezczelnie do Warszawy i występował prawie otwarcie, jako rewolucyjny agitator. Mówiono później, że książę Karol bawarski, gdy się dowiedział o przyjeździe

księcia Napoleona do Warszawy, zaraz wyjechał i, aby się nie spotkać z „przyjacielem", przez kilka dni przesiedział w Skierniewicach, zanim ten nie odjechał.

Księcia Napoleona umieszczono w pałacu Łazienkowskim, zkąd jawnie znosił się i naradzał z wybitniejszemi osobami różnych stronnictw.

W otoczeniu cesarza, oraz miejscowe wyższe władze cywilne i wojskowe, domyślały się doskonale, w jakim charakterze przybył ten gość niepożądany do Warszawy, to też zachowywali się względem niego zupełnie inaczej, niż wobec innych wysokich gości swego monarchy. Na przeglądach wojskowych dostawały się mu najgorsze konie wierzchowe, wskazywano mu fałszywie miejsca, tak, że raz wcale nie mógł odszukać cesarza. Wszystko to książę strawił na pozór spokojnie i obojętnie, nie okazując nawet, że dostrzegł, lecz po powrocie nad brzegi Sekwany tem silniejszą rozwinął agitacyę antyrosyjską.

Były to stare, znane, tylokrotnie powtarzane sztuczki, lecz dla Polaków niestety one nigdy się nie przestarzeją, zawsze będą *immer neu*. I niech tylko Bonaparte znowu zasiądzie na tronie francuskim, Europa gotowa zobaczyć ponowne powtórzenie znanych jej przygód!..

Ku końcowi 1858 roku przybyło jeszcze więcej życia i wrzenia we wszystkich polskich kółkach w Warszawie. Kto z niej wyjechał, po paromiesięcznem oddaleniu się nie poznawał za powrotem miasta. Wszystko coraz bardziej czerwieniało i wypowiadało coraz głośniej dziwne jakieś nadzieje. W dziennikach pojawiały się artykuły z jakiemiś tajemniczemi półsłówkami i niedopowiadaniami, doskonale zrozumiałemi dla tych, co się oddawna wyuczyli czytać między wierszami. Towarzystwo rolnicze urządzało wystawy i rozdawało nagrody i medale, nie pytając nawet o pozwolenie naczelnej władzy w kraju. Ładu wszakże i harmonii między

różnorodnemi kołami społeczeństwą nie było. „Jeden do lasa, a drugi do Sasa", zapanowało w całem tego słowa znaczeniu. Ludność żydowska po dawnemu stanowiła coś odrębnego w kraju. Obyczajem i dążnościami była narodem w narodzie. O jakiemkolwiek zbliżeniu między Polakami a Żydami nie było jeszcze żadnej wzmianki.

Na dowód, jak obcą była jeszcze podówczas myśl wszelkiego zbliżenia się, może posłużyć następujący szczegół: W styczniu 1859 roku, w sprawozdaniu o koncercie sióstr Neruda, redaktor König w *Gazecie Warszawskiej* napisał, że koncert ten nie powiódł się dlatego, że artystki „nie posiadają orlich nosów, smagłej twarzy i kruczych włosów, że wymawiają dobitnie literę *r*, i że ich nazwisko nie ma zakończenia na *blatt*, *kranz* lub *stern;* słowem, że nie posiadają tych koniecznych przymiotów dodatkowych, któreby im mogły zapewnić opiekę i poparcie koteryi, która całą Europę, szczególniej zaś Polskę trzyma w swym uścisku, a działając wszędzie i zawsze z dziwną zgodą i jednomyślnością, stara się każdego ze swoich wypchnąć na pierwsze plany, czy to bankiera, czy skrzypka, tenora, czy też najzwyklejszego spekulanta"... (*Gazeta Warszawska* z r. 1859, Nr 4, str. 4).

Artykuł ten wywołał straszliwe krzyki oburzenia między całą żydowską inteligencyą Warszawy. Żydzi, gdyby mogli, utopiliby *Gazetę Warszawską* z całą jej redakcyą. Kilkunastu młodych przedstawicieli wyższego żydowskiego towarzystwa, wystosowało do naczelnego redaktora *Gazety* list obelżywy, grożący mu wprost obiciem. Lesznowski zażądał opieki sądowej, autorowie listu musieli odpokutować swój wojowniczy animusz kilkodniowym aresztem, a w dodatku przeprosić Lesznowskiego [1]) Wzbu-

[1]) Patrz artykuł Przecławskiego w *Ruskim Archiwie*. Maj 1872 str. 1037 „Józefat Obryzko i jego gazeta *Słowo*".

rzyło to jeszcze bardziej Żydów. Wyszukano cięte pióra, które stanęły w obronie Żydów, wszczęły gwałtowną polemikę, wykazując ich zasługi i przedstawiając, że miękka i leniwa słowiańska ludność Polski stanowczo nie mogłaby się obyć bez Żydów. Przytaczano: że gdy w szabas Żydzi pozamykają swe sklepy, chrześcijanie pozostają bezradni; że Polska duchowy swój rozwój zawdzięcza przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, Żydom; że najlepsze drukarnie prowadzą Żydzi, najznakomitsze patryotyczne wydania wychodzą nakładem Żydów, że redaktorzy licznych dzienników są żydowskiego pochodzenia, że nawet Pismo Święte, starego i nowego zakonu, wydane we wszystkich językach świata, sprzedaje się wyłącznie tylko w żydowskiej księgarni; że nakoniec Zydzi w Królestwie są tak dobrzy Polacy, jak i inni jego mieszkańcy, że zawsze w ciężkich chwilach byli gotowi i nieśli wraz z innymi wszelkie ofiary na rzecz wspólnej ojczyzny, na co mogą przytoczyć mnogie historyczne dowody.

Nietylko pozyskana część prasy warszawskiej, lecz i organa zagranicznej prasy stanęły zgodnie w obronie Żydów. Brukselski *Nord* wystąpił z polemiką przeciw *Gazecie Warszawskiej*, a nawet Herzen w *Kołokole* wypowiedział słów kilka w ich obronie. (№ 39, str. 322).

W Warszawie w pierwszej linii występowali bracia Natansonowie, których przezwano rodziną Machabeuszów.

Odpowiadano im, że nikt nie zaprzecza zasług, położonych dla kraju przez żydowską inteligencyę, lecz że obok tej, istnieje jeszcze druga, daleko znaczniejsza część żydowskiego społeczeństwa, ciemna, brudna, licha; zdolna do wszelkiego rodzaju podłych, nikczemnych i obrzydliwych czynów; na wszelkie oszustwa, szpiegostwo, przemytnictwo, fałszerstwo dokumentów i pieniędzy, wyzyskująca społeczeństwo najniesprawiedliwszymi i najbardziej godnymi potępienia środkami. Część ta żydowstwa zaciężyła na

dobrobycie wszystkich stanów, lecz najbardziej przygniotła i zatruła ekonomiczny byt warstw niższych, tych podwalin każdego społeczeństwa. Musi się więc każdemu nasuwać pytanie, co robić? Czy żyć obok narodu w narodzie i dać się mu wyzyskiwać, czyli też dążyć do jak najprędszego oswobodzenia się od tej zarazy?

Żydzi wnet się spostrzegli, że polemika [sprowadzona na te tory, wytrąca im oręż z ręki. Dalej prowadzić walkę, szczególniej obcemi, płatnemi piórami, było rzeczą prawie niepodobną. Organa, które im dotychczas stały do dyspozycyi, mogły w każdej chwili odmówić swych usług. Dla dalszego działania, czy to w obecnej chwili, czy, co ważniejsza, w przyszłości, potrzebowali koniecznie zdobyć się na własny organ, swój moralnie i materyalnie, swój dziennik. Ówczesny wódz i kierownik całego ruchu żydowskiego w kraju, bogaty bankier Leopold Kronenberg, postanowił założyć taki dziennik w Warszawie. Przedewszystkiem wszakże chodziło mu o zmuszenie do milczenia swych wrogów, chociażby na ten krótki przeciąg czasu, nim nie załatwi swej sprawy i nie uzyszcze koncesyi na wydawnictwo dziennika. W tym celu użył ostatecznego środka: broni słabszych. Zaskarżył niespokojnych przeciwników przed Enochem, starszym prokuratorem jednego z departamentów warszawskiego rządzącego senatu, który, jak już samo nazwisko wskazuje, posiadał orli nos i krucze włosy, a właśnie w owym czasie zaczynał zdobywać ogromny wpływ u ks. Gorczakowa. Ten już we wszelkich ważnych i nieważnych sprawach, zasięgał rady nie Muchanowa lecz Enocha, co zaraz dało powód Warszawianom do dowcipnej uwagi, że w Warszawie tak dalece nikt nie potrafi obejść się bez faktora, że nawet namiestnik musiał się postarać o tego, w osobie Enocha!

Enoch przyrzekł Kronenbergowi, że postara się rzecz tę jakoś załatwić; w najbliższym więc czasie, Kronenberg w jednej z poufnych rozmów z na-

miestnikiem, zwrócił jego uwagę na nieprzyzwoitość i zgorszenie, wypływające z tej waśni, prowadzonej w pismach publicznych między Żydami i Polakami. Waśń ta, nietylko, że paraliżuje żywotne interesy kraju, lecz nadto przeszkadza normalnemu rozwojowi obu, równie niezbędnych i nawzajem się uzupełniających składników społeczeństwa.

Namiestnik ze swej strony zwrócił na to uwagę cenzury, czyli Muchanowa i... polemika ucichła. Kronenberg mógł spokojnie jechać do Petersburga i tam czynić starania o uzyskanie tyle pożądanej koncesyi.

Redakcya *Gazety Warszawskiej*, pozbawiona przez cenzurę możności prowadzenia dalszej walki na miejscu, nie dała wszelako za wygraną, lecz wysłała zjadliwy antyżydowski artykuł do petersburskiego *Słowa*, które artykuł ten ogłosiło. Żydzi się wściekali; powiadają, że Kronenberg aż płakał ze złości, czytając ten artykuł *Słowa*. Znów się udano pod opiekę wszechmożnego Enocha, który właśnie przybył do Petersburga w towarzystwie Gorczakowa. Enoch zaraz opowiedział namiestnikowi o zachowaniu się *Słowa*, i dodał zjadliwą uwagę, że wszelki rząd w Królestwie stanie się niemożliwy, jeżeli zarządzenia namiestnika będą mogły być bezkarnie krytykowane przez lada pierwszego kolegialnego asesora w Petersburgu (alluzya do ówczesnej rangi, czyli czynu Ohryzki).

Namiestnik nie omieszkał przedstawić tej rzeczy w należytem oświetleniu cesarzowi. *Słowo*, które na parę dni przedtem otrzymało ostrzeżenie za umieszczenie zupełnie niewinnego listu Lelewela do Czajkowskiego i prośby do Lelewela, by tenże, jako wychowawca całych pokoleń polskiej młodzieży, pobłogosławił początkom nowego dzieła, zostało zamknięte, Ohryzkę zaś osadzono w petropawłowskiej cytadeli.

Czajkowski bardzo poważnie zajmował się kwestyą żydowską wogóle i nawet ogłaszał wcale dla

Zydów sympatyczne prace w tym przedmiocie. Otóż pewnego dnia zjawił się u niego Kronenberg z propozycyą, by na jego koszt wyjechał zagranicę, dla zbadania w różnych krajach Europy stanu kwestyi żydowskiej, i aby potem napisał w tej sprawie poważną rozprawę, którą wyda Kronenberg własnym kosztem w kilku europejskich językach, pozostawiając mu cały dochód z rozsprzedaży. „Ja pana nie przekupuję, gdyż i bez tego podzielasz nasze przekonania. Pisz, jakeś dotychczas pisał o Zydach, niczego więcej nie żądamy". Czajkowski chętnie przyjął zrobioną mu propozycyę; zwiedził Anglię, Francyę, Hiszpanię, Włochy i Austryę, wszędzie najsumienniej badając położenie i sprawy Żydów, i zbierając argumenta na udowodnienie konieczności zupełnego równouprawnienia Żydów. Rezultatem tych badań było, że im bardziej rozpoznawał badacz stan sprawy i wpływ wyzwolonego żydowstwa na społeczeństwo, tem bardziej tracił wiarę w żydowstwo i swe dotychczasowe ideały. Przekonał się, że niema ani Francuzów, ani Anglików mojżeszowego wyznania, lecz są tylko wszędzie Żydzi, popierający swe wyłączne, odrębne interesy. Ze stając w obronie Żydów, nie służy się ani ojczyźnie, ani Europie, lecz wyłącznie strasznemu celowi, zapanowania żydowstwa nad całym światem. Przerwał więc Czajkowski swą pracę i, przeprosiwszy Kronenberga, powrócił do Petersburga.

Poglądy profesora Czajkowskiego, w zasadzie, mogą być zupełnie sprawiedliwe, lecz jak niema prawidła bez wyjątków, tak też autor, zwracając przez lat dwadzieścia baczną uwagę na zachowanie się Żydów w Polsce, przyszedł do tego przekonania, że między nimi są prawdziwi Polacy-Żydzi, pracujący dla sprawy ojczystej i gotowi dla niej wszystko poświęcić. Za Kronenberga autor zupełnie nie ręczy, lecz przypuszczając nawet, że miał jakieś odrębne, specyficzne żydowskie wyrachowania i cele, to zawsze trzeba mu przyznać, że robił on i zrobił bar-

dzo wiele dla Polski, jako wierny i najbardziej oddany syn kraju, i pozostawił po sobie jak najlepszą pamięń i żal powszechny.

Któż z współczesnych Rosyan nie pamięta, jakie to wywołało oburzenie w Moskwie, Petersburgu i innych większych centrach cesarstwa. Wszyscy mówili: „Po co to rozprawiać o jakichś nadzwyczajnych zmianach i reformach, gdy naraz, na pierwsze słowo jakiegoś na wpół zidyociałego generała, chwytają niewinnych ludzi i bez sądu i śledztwa pakują ich do kazamat! Wszak i za niezapomnianego cara Mikołaja—nic się gorszego nie działo!“

Znany Turgeniew i poeta Żemczużników wystosowali listy do cesarza, w obronie Ohryzki. W najwyższych sferach, a nawet w samym Zimowym pałacu zjawili się jeszcze potężniejsi obrońcy, i w rezultacie... Ohryzkę uwolniono, a Gorczakowowi niewinnemu winowajcy całego tego zajścia, polecono usprawiedliwić się przed ministrem oświaty, Kowalewskim. Oświecony minister oświaty był na tyle grzeczny, że, dla okazania swego lekceważenia, przyjął, jak powiadają, namiestnika Królestwa polskiego—w szlafroku.

Taki był ogólny nastrój umysłów. Książę Gorczakow nie wiedział, jak uniknąć ironicznych spojrzeń, uśmiechów i sarkastycznych przymówek. Dobrze przynajmniej, że, będąc na wpół głuchy i ślepy, zaledwie część jakąś tego wszystkiego dostrzegł i dosłyszał. Jednak na jednem z posiedzeń komitetu ministrów, zdobył się na te znaczące i prorocze słowa: „jeżeli panowie tutaj tak postępować będziecie, to mi wkrótce wypadnie strzelać kartaczami na ulicach Warszawy!“

Powiadają, że grzmot nie zawsze towarzyszy uderzeniom pioruna i że Bóg czasem zsyła mądrość i na niewidzących; to też biedny, umysłowo i fizycznie zniedołężniały Gorczakow widział lepiej i dalej następstwa danej chwili, niż rozumni i przewi-

dujący doradcy cesarza, którzy podówczas tak kpili i wyśmiewali się z niego...

Gdy namiestnik przed wyjazdem do Warszawy przyszedł z pożegnaniem do cesarzowej, powiedziała mu ona: „Nigdy panu nie przebaczę, żeś spowodował cesarza do popełnienia pierwszej niesprawiedliwości“. Słowa podobne na każdym zrobiłyby wrażenie, a cóż dopiero dziać się musiało z Gorczakowem, truchlejącym całe życie przed każdym, choć cokolwiek wyższe zajmującym od niego stanowisko. Słowa te, z ust cesarzowej, jak grom spadły na niego i spowodowały, że jeszcze bardziej stał się głuchym i ślepym na wszystko, co się koło niego działo. Słowa te później prześladowały go w Warszawie, jak istne *mane*, *tekel*, *fares* Baltazarowe. Przy każdem zarządzeniu i postanowieniu truchlał, by nie popełnić jeszcze coś takiego, błędu jakiego lub nieostrożności, czemby mógł zasłużyć na nową cesarską wymówkę.

Gdy w połowie 1859 roku mała garstka Rosyan, przebywających w Warszawie, z inicyatywy generała Siemeki, umyśliła zawiązać rosyjski klub, Gorczakow i tego się przeląkł. Prośby wprawdzie nie odrzucił, lecz zażądał, ażeby projektowany klub nie nosił miana „rosyjskiego“, lecz został nazwany „Warszawskiem powszechnem zebraniem [1])“. Późniejsi członkowie tego klubu, spotykając na bieliźnie, naczyniu i starszych sprzętach tajemnicze litery W. O. S. (*Warszawskoje obszczestwiennoje sobranie*), nie domyślają się nawet, że zestraszony Gorczakow taką wymyślił nazwę dla miejsca towarzyskich zebrań rosyjskiego towarzystwa w Warszawie. Jeszcze za czasów Paskiewicza starano się o uzyskanie zezwolenia na zawiązanie rosyjskiego klubu w Warszawie, lecz ten stale odmawiał, motywując to w ten

---

[1]) Został otwarty pod tem mianem w początkach 1860 roku przy ulicy Senatorskiéj, w domu Młokosiewicza.

sposób: „Na co wam klub? czy na to, aby się zbierać i przesądzać o tem, co do was nie należy? Nigdy nie pozwolę!"

I tak, nic nieznaczący spór żydowsko-polski, jakiś artykuł Königa, wpłynął na zmianę stosunków na ogromnych przestrzeniach krajów, podległych Rosyi. Sprawa, polska, już i bez tego mająca za sobą opinię ludzi inteligentnych, olbrzymim krokiem postąpiła naprzód, stała się głośną w całej Rosyi i pozyskała sympatye w jeszcze szerszych kołach. W Polsce zaś samej zyskała na tem swoboda działania; różnolite żywioły zaczęły się porozumiewać i zbliżać.

Z zawieszeniem *Słowa*, w którem jeszcze możliwa była walka Machabeuszów z epigonami Jana Sobieskiego, ciężka zasłona milczenia zakryła dalsze kształtowanie się wzajemnych stosunków. Samo przeznaczenie przeszkodziło dalszym swarom. Wszyscy uznali, że droga ta nie prowadziła do zamierzonego celu, czuli potrzebę pokoju i odetchnienia. W każdym razie walka nie pozostała bez pewnych rezultatów. Kronenberg przywiózł z Petersburga konsens na wydawnictwo codziennego politycznego dziennika. Nie zważając na pewną zmianę stosunków, nie mógł i nie chciał zaniechać raz powziętego zamiaru. Przyszłość w żadnym razie nie mogła być bezwzględnie pewną, zawsze więc korzystnem było dla żydów mieć własny organ w kraju.

Kronenberg wszakże, człowiek praktyczny i obyty w interesach, postanowił jeszcze w Petersburgu, dla zyskania na czasie, nie zakładać nowego pisma, co jest zawsze rzeczą kłopotliwą i zmudną, lecz zamierzył kupić jakąkolwiek już istniejącą gazetę. Za powrotem więc do Warszawy, zaproponował przez swych agentów, Aleksandrowi Niewiarowskiemu, właścicielowi *Gazety Codziennej*, nabycie tego pisma, zupełnie już upadającego, i ofiarował mu za nie wcale przyzwoitą sumkę i tymcza-

sowe stanowisko redaktora. Niewiarowski zażądał kilku dni do namysłu.

Tymczasem rzecz się rozniosła po Warszawie. Pewnego dnia przychodzi do Niewiarowskiego obywatel ziemski, bawiący się w literata, Sarnecki, z ostremi wymówkami, że zdradza sprawę i zaprzedaje się Żydom. „Potrzębujesz pieniędzy, my damy tyle, ile daje Kronenberg". Jednakże czy to, że nie zdołał zebrać tej sumy, czy też, że Żydzi postąpili w cenie, *Gazeta Codzienna* przeszła na własność Kronenberga, jak mówią, za 12,000 r. sr., które Niewiarowski potrafił bardzo prędko przetrwonić do wspólki z Bakałowiczową.

Najpierw należało pomyśleć o redaktorze. Ponieważ rzecz była założona na szerokie rozmiary i nie żałowano pieniędzy (Kraszewski powiada, że w 1860 roku Kronenberg wydał na gazetę 250,000 złp. Książka jubileuszowa str. XCVII), więc i na redaktora nie można było wziąć pierwszego lepszego literata z brzegu, lecz kogoś z głośnem, już ustalonem imieniem.

Czyjeż nazwisko mogło być głośniejsze nad Kraszewskiego, który podówczas mieszkał z rodziną w Żytomierzu, w zupełnie uregulowanych stosunkach materyalnych. Żeby go poruszyć ztamtąd, należało użyć silnych wpływów i ofiarować ponętne warunki pieniężne. O tych ostatnich mówią rozmaicie. Franciszek Sobieszczański, były przy Wielopolskim redaktor *Dziennika Powszechnego* a zarazem cenzor *Gazety Codziennej*, przezwanej następnie *Polską*, mówi autorowi, że Kraszewski pobierał 3,000 rb. sr. stałej płacy i po 10 kopiejek od wiersza druku za swe artykuły, czy to w *Gazecie*, czy w odcinku umieszczane.

Naprawdę, warunki takie nie mogły skusić Kraszewskiego do rzucenia Żytomierza i do związania się z Żydami w Warszawie, co, bądź co bądź, narażało go w opinii zwolenników i ogółu. Inne wpływy działały na Kraszewskiego, i on nie zdawał so-

bie sprawy, jak i kiedy uległ burzliwemu prądowi czasu, poczynającemu już wstrząsać Polską. I on zaczynał marzyć, porówno z innymi dziećmi wszelkiego wieku i stanu...

Kraszewskiego trwożyła, ale zarazem i pociągała kwestya żydowska, zaczynająca odgrywać pewną rolę w tym ruchu. Od dawna dążył do zbliżenia Żydów ze społeczeństwem w kraju, w którym Żydzi tak ważny czynnik ekonomiczny stanowili. Jeszcze jako współpracownik *Gazety Warszawskiej* staczał niejedną walkę z Lesznowskim i Königiem, ujmując się za Żydami. Obecnie, gdy Polska była w oczekiwaniu koniecznych reform, gdy była w przededniu walki, może nawet rozpaczliwej o ich otrzymanie, należało się starać nadewszystko, aby społeczeństwo całe było silnie zespolone i ożywione jednym duchem. Każdy więc, cokolwiek przewidujący patryota, winien był dołożyć możliwych starań, by żywioły dotychczas niejednolite, zespoliły się i zlały ze sobą, chociażby duszę przyszło oddać za to.

Takie były przekonania Kraszewskiego. Nadto, jako poeta i człowiek wrażliwy, rad się był wyrwać z zaściankowych stosunków, gdzie go nie pojmowano, a nawet niejedną rzecz, wyszłą z pod jego pióra, wrogo przyjmowano (patrz *Książkę jubileuszową* str. LXXI, LXXXV—LXXXVI); rad był zbliżyć się do Europy, przenieść się na szerszą widownię, w sam środek rozpoczynającego się ruchu, i to nie na prostego widza, lecz na jednego z ważniejszych działaczów, przeznaczonego do wzięcia czynnego udziału w rozpoczynającej się akcyi. Z tego punktu widzenia, rzecz w istocie była ponętną.

Nie prozaiczne więc wyrachowanie, lecz wyższa, poetyczna i polityczna idea skłoniła Kraszewskiego do opuszczenia swego wołyńskiego *tusculum*. Wprawdzie i proza nie została zapomnianą, gdyż o tej Kraszewski nigdy nie zapomniał i umiał siebie cenić.

Dla bliższego przypatrzenia się i ocenienia sytuacyi, Kraszewski zaraz po otrzymaniu propozycyi Kronenberga w połowie czerwca 1859 roku przyjechał do Warszawy. Dnia 10 sierpnia został ze strony rządu zatwierdzony, jako naczelny redaktor *Gazety Codziennej*, wszakże nie zaraz zasiadł do redakcyjnego stołu [1]). Niejedno przedtem musiał zorganizować w redakcyi, a potem widział i czuł, że namiętności jeszcze się nie uspokoiły, że jeszcze możliwa walka wśród żywiołów, mających się zespolić do jednego mianownika, że nawet od czasu do czasu walka ta wybuchała. W październiku 1859 roku żydowska koteryą, nie skora do zapominania i przebaczania uraz, nasadziła na Königa Floryana Niewiarowskiego, brata byłego redaktora *Gazety Codziennej*. Nastąpił pojedynek; dnia 20 października strzelano się w Młocinach za Bielanami, i dopiero za czwartym strzałem König otrzymał ranę powyżej kolana.

Kraszewski nadewszystko się obawiał, żeby go nie poczytano za jurgeltnika żydowskiego w walce ze swoimi, tem bardziej, że nim jeszcze coś napisał, już otrzymał kilka obelżywych anonimów, zowiących go „zdrajcą i zaprzańcem", że „wziął się nie za swoje", że „zdradził jeśli nie Chrystusa, to co najmniej boga muz i poezyi Apolla".

Czy wskutek tych pism i gawęd, czy też wskutek redakcyjnych kłopotów, niemiłego zawsze usuwania dawnych stosunków i porządków, dosyć, że zachorował i musiał się położyć do łóżka. Przyszedł do siebie zaledwie w połowie listopada i zaraz wyjechał do Żytomierza, zkąd przez czas jakiś przy-

---

[1]) Nr. 214 *Gazety Codziennej* z dnia 16 sierpnia 1895 roku podaje na wstępie ogłoszenie podpisane przez I. J. Kraszewskiego, donoszące o objęciu redakcyi przez niego i zasadach, któremi się pismo to kierować będzie.

patrywał się bacznie rozwijającym się wypadkom w Warszawie.

Wreszcie w miesiącu lutym 1860 roku Kraszewski zdecydował się przesiedlić na dobre do Warszawy, pozostawił jednak rodzinę w Żytomierzu, gdzie go wcale obojętnie pożegnano. Zaraz wziął się silnie do pracy i wiele zdziałał dla podniesienia *Gazety*. Ze swych prac literackich umieścił w odcinku: *Dziś i temu lat trzysta*, *Silwa rerum* i *Listy z tamtego świata*. Imię jego, dobór artykułów, nie trudny do uzyskania wobec dobrych honoraryów, płaconych przez Kronenberga współpracownikom, wzmogły odrazu prenumeratę z dwóch na pięć i pół tysięcy egzemplarzy, jednocześnie zaś *Gazecie Warszawskiej* spadła liczba prenumeratorów z siedmiu na dwa tysiące. Redaktor tejże, Lesznowski, oryginalna i całej Warszawie znana postać, objętości słonia, który miał specyalnego fiakra, którym jeździł, stołki, na których siadał, miejsce podwójne w teatrze, obok orkiestry; spożywający na jedno śniadanie tyle, że dla pięciu wystarczyłoby na obiad, z ciągłej irytacyi zachorował i umarł. Mówią, że przed śmiercią powiedział Kraszewskiemu: „Zabiłeś mnie!"

Kraszewskiemu wszakże ani w myśli było współzawodnictwo, a tem mniej uśmiercanie kogoś. On tylko rzetelnie pracował, jak to mówią „zawinąwszy rękawy"; pracował w kierunku i duchu, jakiego wymagały okoliczności, które się już zbijały w ciężkie, groźne burzą i zniszczeniem chmury. On wnet spostrzegł, że poróżnione żywioły i bez jego współudziału, pchane rozwojem wypadków, same się jednoczą, potrzeba zaś czego innego, oto śmiałego wystąpienia do walki z warchołami, ze skrajnemi przekonaniami; potrzeba zapobiedz bezmyślnemu wybuchowi, korzystając jednocześnie z każdej przyjaznej okoliczności, dla uzyskania możliwych ustępstw dla kraju.

Obserwujące się nawzajem stronnictwa nie przestawały znosić się ze swymi przyjaciółmi za

granicą. Ztamtąd odpowiadano zachęcająco, że według wszelkich kombinacyi i politycznych danych, właśnie nadchodzi czas działania, wywołania jakiejś ogólnej manifestacyi, któraby pozwoliła osądzić, czy rzeczywiście ludność jest już dostatecznie przygotowaną do podjęcia walki z rządem, czy też potrzeba będzie walkę tę jeszcze na czas dalszy odłożyć.

Wówczas policya warszawska, pod kierunkiem tęgiego oberpolicmajstra Trepowa, chociaż wogóle nieliczna, była jednak wcale dobra i jeszcze nie zdezorganizowana przez spisek. Od 1856 do 1861 roku, warszawska policya dzieliła się na dzienną i nocną. W dziennej było: feldfebel 1, podoficerów 5, stójkowych 112; w nocnej zaś: feldfebli 5, podoficerów 16 i stójkowych 263. Zarząd się składał: z naczelnika, jego pomocnika, 3 oficerów, 12 komisarzy i 120 rewirowych—razem 540 osób.

Ówczesny ober-policmajster, później tyle wsławiony T. T. Trepow, był podobno naturalnym synem generała Stengera, i znaleziony w 1809 roku jako podrzutek na schodach jego mieszkania, ztąd z niemiecka nazwany Trepow (od *Treppe*, schody). Wychowany w domu generała, gdy wyszedł z dzieciństwa, oddano go do szkoły konduktorów, istniejącej przy głównej szkole inżynierów. Ztamtąd po roku uwolniony dla słabego zdrowia. W 1828 roku wstąpił jako dyurnista do biur ministeryum dóbr państwa, 14 stycznia 1831 roku uwolnił się i zaraz zaciągnał się na ochotnika do nowogrodzkiego pułku kirasyerów. Za odznaczenie się w boju, w czerwcu tegoż roku został oficerem.

Przechodząc następnie zwykłe stopnie służbowe, w marcu 1854 roku otrzymał w Kijowie dowództwo pułku żandarmów, i wkrótce potem ożenił się z miejscową obywatelką, Łukaszewiczową. Po zwinięciu pułku, otrzymał w nagrodę koszary, wraz

z placem musztry i całem urządzeniem na własność. Zaliczony do armii, w listopadzie 1860 roku został mianowany warszawskim ober-policmajstrem.

Otóż policya się dowiedziała, że studenci medycznej akademii urządzają jakieś nabożeństwo żałobne podejrzanego znaczenia, i zawiadomiła o tem kuratora. Muchanow polecił rektorowi Cycurynowi, wywiedzieć się sekretnie, co to za nabożeństwo i jacy studenci najbardziej niem się zajmują.

Cycuryn zdał raport, że urządza się nabożeństwo za dusze: Adama, Juliusza i Zygmunta, a głównymi kierownikami są studenci: Jan Kurzyna, Pelszewski i Władysław Jaśniewski; ze rozrzucono po Warszawie mnóstwo kartek o tem nabożeństwie, a nawet ogłoszono je przez dzienniki. Jan Kurzyna, syn podoficera warszawskiej policyi, był do roku 1857 w nowicyacie księży Pijarów w Opolu; uchodził za emisaryusza i agenta Towarzystwa Demokratycznego.

Jaśniewski pochodził z miasteczka Bodzanowa, w płockiej gubernii.

Muchanów udał się do oberpolicmajstra z żądaniem wzbronienia nabożeństwa, lecz już było za późno; publiczność w oznaczonym dniu i wskazanej godzinie zaczęła napływać do katedry św. Jana, wiedząc doskonale za jakich to: Adama, Juliusza i Zygmunta, będą się modlić. Demonstracya przyszła do skutku i dowiodła aranżerom, że jest współczucie dla każdego patryotycznego objawu, że zatem można czegoś więcej popróbować.

Zarząd akademii, chcąc zapobiedz powtórzeniu się podobnej swawoli, postanowił przyśpieszyć pierwsze egzamina z 1859 roku, z zamiarem utrudnienia ich dla niektórych. Kurzyna i inni wybitniejsi kierownicy „Kółka Akademików" domyślili się odrazu, o co chodzi. Skłonili więc kolegów do podania protestu przeciw temu zarządzeniu. Wszyscy, z wyjątkiem czterech, którym obiecano za to szubienicę, protest wnieśli.

Cycuryn zarządził śledztwo, celem wykrycia winnych tego nowego spiskowania. Ponownie udowodniono kierownictwo Kurzynie i Jaśniewskiemu. Z polecenia namiestnika wydalono ich obydwóch z akademii i internowano Kurzynę w Lublinie, Jaśniewskiego w Płocku, oddając ich pod nadzór miejscowej policyi.

Nadzór ten jednak był tego rodzaju, że obaj potrafili umknąć za granicę. Jaśniewski wprost z Płocka, Kurzyna zaś, nie mogąc wystarać się o paszport zagraniczny, przyjechał najspokojniej do Warszawy, i tu przy pomocy Narcyza Jankowskiego, dymisyonowanego oficera, uzyskał paszport, za którym przybył do Paryża. W Paryżu zaraz się poznał z Ludwikiem Mierosławskim, i stał się wiernym jego adherentem i współpracownikiem aż do końca życia.

Wyjeżdżając z Warszawy, Kurzyna przelał swą władzę na Karola Majewskiego, który właśnie tylko co wstąpił do akademii. Był to chłopak zdolny i energiczny, lecz nadzwyczaj zarozumiały i żądny znaczenia. On zaprowadził w kółku pewną organizacyę; podział na piątki i dziesiątki, już w kilku innych organizacyach zastosowane, np. w komitecie Dąbrowskiego w Petersburgu; w uniwersytecie kijowskim. Następnie pomnożył bibliotekę kółka, sprowadzając same utwory emigracyjne i zakazane przez cenzurę [1]).

W tym samym czasie powstało poważniejsze kółko rewolucyjne, zawiązane przez wspomnianego już Narcyza Jankowskiego. Do tego kółka należało mieszczaństwo różnych stanów, kupcy, literaci, technicy, drobniejsi urzędnicy i księża.

---

[1]) Zeznania Majewskiego i Aweydy. System dziesiątek przy spiskach pierwszy wprowadził w życie Filip Buonaroti (1761 — 1837) potomek Michała Anioła. Należał on do różnych działań spiskowych i napisał kilka utworów rewolucyjnych.

Oba te kółka: akademików i Jankowskiego, wiedziały o sobie; od czasu do czasu schodzili się nawet na wspólne narady; układali plany wspólnych, przyszłych wystąpień. Była nawet mowa o zlaniu się w jedną wspólną organizacyę, lecz do tego nie przyszło.

Patrząc na te schadzki i rozprawy bez żadnych dodatnich rezultatów i jasno wytkniętego celu, Edward Jurgens, urzędnik w Komisyi spraw wewnętrznych, postanowił zawiązać własne kółko, nie czerwone ani białe, gdyż był przekonany, że ani zapał i skrajna gorączka Jankowskiego, ani wyrachowanie i spokój, oraz pańskie kunktatorstwo stronnictwa białych, skupionych przy hr. Zamoyskim, nie doprowadzą do żadnych pozytywnych rezultatów, i są zarówno bezskuteczne; wierzył, że dla działania ze skutkiem i powodzeniem, potrzeba połączyć spokój i rozwagę umiarkowanych z energią, dobrą wiarą i zapałem skrajnych. Takich właśnie ludzi postanowił wyszukiwać i kupić koło siebie w jedno stronnictwo.

Jurgens był synem zamożnego cieśli z Płocka; w krwi jego była przymieszka krwi semickiej, czyli że łączył słowiańską odwagę i zuchwałość (szczególniej właściwą polskiemu szczepowi) z przebiegłością, wytrwałością i skupieniem semickiego plemienia. Nadzwyczaj był bystry i przenikliwy. Dla fizyonomisty od razu wpadał w oczy dziwnie wydatny skład jego czoła, bardziej jednak zastanawiały błyszczące, przenikliwe oczy. Zdawało się, że on wszystko wie i wszystko widzi; zaczynając z kimkolwiek rozmowę, po chwili jakby przenikał i czytał najtajniejsze myśli człowieka. To też niebawem robiło się jakoś nieswojsko, trwożliwie pod tym badawczym wzrokiem, chociaż obdarzony nim ani myślał o wywołaniu jakiegoś szczególniejszego wrażenia. Wzrok ten działał sam przez się, jakby obdarzony nim naiwnie i prosto patrzał, jak nieraz spozierają jasne oczy dzieci, nie myślących o niczem i nie wiedzą-

cych nawet, że istnieją na świecie: efekt, wychowanie, kokieterya, myśl skryta i utajona.

Po ukończeniu gimnazyum w Płocku Jurgens odbył kurs nauk uniwersyteckich w Dorpacie.

Już na ławie szkolnej objawiał niepodległego, rewolucyjnego ducha. Lubiał rozprawiać o wszelkich ruchach narodowych, śledzić pilnie postępy każdego rewolucyjnego wybuchu w Europie. Czytał z zapałem wszystko, co mu wpadło pod rękę z pism rewolucyjnych i zakazanych, uwielbiał bohaterów, którzy swe zamiary życiem lub wolnością przypłacili. Sądy jego o wszelkich zarządzeniach władzy, o pierwszym lepszym wypadku politycznym, były nacechowane taką skrajną stanowczością, że to przerażało nawet jego przyjaciół.

Jakiś czas w 1841 roku próbował w gimnazyum płockiem rewolucyjnej propagandy; później w 1847 roku należał do sprawy Henryka Krajewskiego, lecz był jednym z tych nielicznych wybrańców losu, którzy uniknęli więzienia i zsyłki.

W epoce, którą opisujemy, Jurgens mógł służyć za typ skończonego i wyrobionego rewolucyonisty, z ustalonemi ideałami; zdolnego do kierowania drugimi. Miał swoich zwolenników nietylko w kraju, lecz i w innych częściach Polski na emigracyi. Znał się osobiście ze wszystkimi głównymi przywódcami emigracyi: z Mierosławskim, Wysockim i niejednym z wybitniejszych członków Towarzystwa demokratycznego, jak również z księciem Czartoryskim i otoczeniem hotelu Lambert. Najbardziej wszakże lgnął do generała Wysockiego. Podobno nawet, wskutek narady z Wysockim i Elżanowskim [1]), Jurgens zaczął skupiać koło siebie w Warszawie wyżej już wymienione stronnictwo pośrednie.

---

[1]) Elżanowski umarł w Paryżu w 1874 roku; jego biografię zamieściły *Roczniki Towarzystwa historyczno-literackiego* w Paryżu w roku 1874, tom II, str. 264—277.

Zasady tego kółka Aweyde tak określa:

„Polska nie zginęła i każdy Polak obowiązany jest dążyć do jej wskrzeszenia drogą rewolucyi. Rewolucya ta wszakże może być tylko uwieńczeniem długotrwałych i usilnych prac i trudów, prowadzonych rozumnie i oględnie.

Rewolucya, bądź co bądź, bez należytego przygotowania i wywołana nie w porę, jest wprost występkiem... wskazaną zaś patryotycznej działalności spiskowców jest jedynie droga stopniowego uzyskania u rządu ulg i ustępstw, droga wyzyskiwania w porze właściwej każdej nadarzającej się przyjaznej okoliczności; w końcu należy się starać, jeżeli już nie o pomoc, to chociażby o poparcie innych rządów europejskich. Bynajmniej zaś nie należy stawać wobec władzy w bezwzględnej opozycyi i rządzić się uczuciem ślepej nienawiści. Owszem, wypada starać się o możliwe porozumienie z rządem, uważać go jako potęgę, z którą otwarta walka albo wcale jest niepodobna, albo co najmniej bardzo a bardzo trudna, lecz którą zawsze, nawet przy niewielkich usiłowaniach da się wyzyskać na korzyść związanego z nią narodu... Ofiarowanych stanowisk urzędowych, nietylko nie należy odpychać (czem zwykle grzeszyli biali), lecz owszem, starać się o nie we wszelkich gałęziach służby publicznej. Nie wstrzymywać i nie ubezwładniać wprowadzanych reform, lecz, o ile się da, przyśpieszać i ułatwiać ich ostateczny rozwój. Postępując jednak w ten sposób, nigdy nie zapominać ostatecznego celu wszystkich usiłowań, to jest powstania, które ma być zakończeniem, ostatnim aktem dramatu.., do którego to celu należy usilnie gromadzić zasoby materyalne, w miarę możności i środków każdego".

Były to, z bardzo małemi wyjątkami, zasady, wyznawane przez białych; różnica polegała tylko w gotowości zajmowania służby rządowej, od której biali stale stronili, oraz w tem, że Jurgens i jego zwolennicy głośno nazywali siebie stronnictwem,

i wobec zaufanych wcale nie ukrywali ostatecznych celów, do których zmierzają, ani też tego, na kim w kraju i za granicą głównie się opierają. Biali o tem wszystkiem zachowywali głuche milczenie, najbardziej zaś, tak wtedy jak później, unikali nazwy stronnictwa, nie zważając, że ono w istocie od dawna istniało i oddawało rzetelne usługi krajowi wówczas, gdy inne zabierały się dopiero do pracy. Zresztą, może to unikanie nazwy stronnictwa pochodziło z głębszych politycznych pobudek i tego wyrachowania, że przez nich stawiane żądania nie są wyrazami jakiejś części, lecz żądaniami całego społeczeństwa.

Jankowski pierwszy spostrzegł, że dotychczasowe działanie czerwonych do niczego nie prowadzi i jest tylko próżną stratą czasu. On był przekonany, że każdej z zarysowujących się partyi: jego, Majewskiego i Jurgensa, niewiele braknie do przeistoczenia się w prawdziwie rewolucyjne stronnictwo. Gdyby zwolennicy jego albo Jurgensa mogli nabrać zapału akademików, albo gdyby ci ostatni, zamiast rzucania się jak wściekli i poczytywania za święte i nienaruszone tego wszystkiego, co im bają czerwieńcy emigracyjni, otarli się o Jurgensistów albo chociażby i jego zwolenników, mogłoby się utworzyć dzielne i poważne stronnictwo, zdolne do pracy skutecznej dla kraju. Stronnictwa białych, a właściwie Zamoyskiego, Jankowski zupełnie nie uznawał i odmawiał mu wszelkich zasług, mimo że te, szczególniej w ostatnich czasach, dla każdego nieuprzedzonego były tak widoczne. Widział w nich przeszkodę do każdego energiczniejszego działania; niedostępnych arystokratów, trzymających się zdala od wszystkiego, co żywsze i ruchliwsze w kraju; obawiających się najmniejszego zbliżenia z każdym, choć cokolwiek źle widzianym u rządu. Z tych przyczyn Jankowski ani myślał o zbliżeniu się do tych ludzi. On próbował, czy nie uda mu się połączyć w jedno tych trzech, powyżej wymienionych, niejako powino-

watych z sobą kółek, i w tym celu przedewszystkiem zbliżył się do Jurgensistów. Przy bliższem atoli zetknięciu, znalazł ich na tyle niewyraźnymi, do takiego stopnia pozbawionymi gruntu i *mille-ainerami*, to jest, według wyrażenia Mierosławskiego, na tysiące lat rozkładającymi rewolucyjne działania, że po pewnych rokowaniach, zerwał z nimi stanowczo i zawiązał stosunki z kółkiem Majewskiego [1]).

Po wspólnych obradach nad połączeniem się dla wspólnej pracy, obie partye, Jankowskiego i akademików, postanowiły wybrać delegatów dla dalszych pertraktacyi, które się miały prowadzić w mieszkaniu Majewskiego przy ulicy Chmielnej. Akademicy, którzy już i z po za ścian szkolnych pozyskiwali zwolenników, wysłali jako swych przedstawicieli: Stanisława, Jana i Leona, trzech braci Frankowskich z akademii; Karola Nowakowskiego ze szkoły sztuk pięknych; zaś z miasta: Rafała Krajewskiego budowniczego, Jana Banzemera i Lewenhardta literatów, a zarazem przedstawicieli młodzieży z uniwersytetów berlińskiego i krakowskiego. Z Jankowskim przyszli Bolesław Denel, współpracownik *Gazety codziennej*, i młodzi obywatele ziemscy: Stanisław Krzemiński i Julian Wereszczyński.

Po dosyć nieporządnych, ale za to głośnych obradach i sporach, delegaci przyszli jednak do zgody, i celem jednolitego działania wybrali wspólny komitet rewolucyjny. Wybrani: Jankowski, Denel, Krzemiński, Wereszczyński i Majewski, który został kasyerem komitetu.

---

[1]) Aweyde powiada, że w Warszawie nazywano Jurgensa i jego stronników „partyą filozofów, coś niby jak naukowych waryatów, nie wiedzących dokąd dążą i jaki cel ich roboty mają“. Kraszewski zaś Majewskiego nie brał na seryo: „był to spiskowiec, nie wiedzący dokąd idzie“; Jurgensa stawiał znacznie wyżej, lecz także zarzucał mu, że nie umiał sobie zdawać jasno sprawy z celów, do których dążył. Spasowicz, znający osobiście Jurgensa, zalicza go do wybitniejszych osobistości powstania 1863 roku.

Komitet ten był praojcem znanego „Komitetu centralnego.” Zbierał się w mieszkaniu Jankowskiego przy ulicy Marszałkowskiej Dzień zawiązania się oznaczyć trudno, było to zawsze w końcu 1859 roku.

Członkowie komitetu podzielili się czynnością w ten sposób: Denel, jako współtowarzysz Mierosławskiego z roku 1848, wziął na siebie stosunki z Mierosławskim i Kurzyną; Wereszczyński, jako były student kijowskiego uniwersytetu, podjął się komunikacyi z Rusią; Löwenhardt z Krakowem i Galicyą. Krzemiński został bibliotekarzem [1]).

Wkrótce potem przybył do Warszawy student uniwersytetu wrocławskiego, Adam Protazy Asnyk i został przyjęty do połączonego grona kółek Majewskiego i Jankowskiego, (które się wszakże nigdy zupełnie z sobą nie zlały), i zawiązał stosunki z wielkiem Księstwem Poznańskiem [2]).

Na czem polegały te stosunki zawiązanego komitetu z Europą i Rosyą, niewiadomo... Zdaje się, że były nic nieznaczące, jak wogóle cała działalność komitetu. Na prawdę czynne było tylko stronnictwo Zamoyskiego. Jego spokojna, nieznana, ale też nikogo nietrwożąca praca (założenie dwóch towarzystw, otwarcie mnóstwa szkół ludowych, wpływ na złagodzenie cenzury, na cały ruch

---

[1]) W spisie głównych uczestników powstania 1848 roku, wydannym przez pruską policyę, nazwiska Denela nie znajdujemy. Patrz tom XXIX *Biblioteki pisarzy polskich* str. 278—287.

[2]) Zeznania Majewskiego — O Asnyku mówiono później, że przybył do Warszawy w celu założenia Towarzystwa Czarnych braci, mającego za zadanie budzenie ducha, podnoszenie zapału i posłuszeństwa dla przywódzców. Majewski i Aweyde zaprzeczają temu, przyznają jednak, że Asnyk znosił się bezpośrednio z komitetem i urządzał niektóre drobne manifestacye na własną rękę. Zdzisław Janczewski, który nieco później wstąpił do czerwonej organizacyi, podaje, że Apollo Korzeniowski był twórcą projektu założenia Towarzystwa Czarnych braci.

literacki, na scenę, można powiedzieć, że na wszystkie objawy życia narodowego i społecznego) miała wyraźny, jasno określony charakter, i była dla wszystkich widoczną i zrozumiałą.

Jurgens ze swymi przyjaciółmi, przypatrując się wszystkiemu, co się naokoło niego działo, chciał także wyjść z bezczynności, coś projektował, szukał sposobności działania, lecz śladów tej pracy dopatrzeć nie możemy.

Wojna francusko-włoska-austryacka wzbudziła nowe nadzieje, nietylko u czerwonych Polaków wszystkich trzech zaborów. Zdawało się, że pożar ogarnie całą Europę. Rok 1860 tych nadziei nie osłabił. Poznańczycy toczyli walkę z rządem i niemieckim żywiołem, jak w roku 1848. Krakowska młodzież zażądała polskich wykładów na uniwersytecie Jagiellońskim. W Austryi wydane zostały tak zwane patenty październikowe o zwołaniu reprezentacyi krajowych, i wogóle cała wewnętrzna polityka austryacka przybrała inny charakter. Smolka w wiedeńskiej Radzie państwa wygłaszał płomienne mowy. Niegolewski w Berlinie stawił policyę poznańską pod pręgierz uczciwej opinii w Europie. Nawet dotychczas spokojni i na pozór zadowoleni Ślązacy, słali deputacyę ze skargami na ucisk i gnębienie narodowości. W Galicyi zaczęły się walki między demokratami a arystokracyą, między Rusinami a Polakami, między krajem a niemiecko-czeską biurokracyą. Na południu Europy inny ruch zapanował. Dokonywało się połączenie Włoch nowych. Marsalski tysiąc zdobywa Neapol. „Anioł rewolucyi," zostawszy dyktatorem, zamyślał o formowaniu jakiegoś międzynarodowego legionu, nad którym dowództwo miał objąć Mierosławski.

Wszystko to, mgliste i niejasne, ubarwione dodatkami, dochodziło różnemi drogami do Warszawy—powtarzane wszędzie na najrozmaitsze tony. Komitet połączonych kółek zaczął częściej się zbierać na posiedzenia, w których zaczynały już przyj-

mować udział i inne gorętsze żywioły z miasta. Tymczasem rząd nakazał rozciągnąć nadzór ściślejszy nad Czerwonymi; kilku z nich uwięziono. Jankowski uznał za bezpieczniejsze usunąć się za granicę.

Na tę ucieczkę Jankowskiego towarzysze jego różnie się zapatrywali. Jedni zarzucali mu wprost tchórzostwo; drudzy, a w ich liczbie i Aweyde, twierdzili, że „wódz czerwonych" wyjechał w celu porozumienia się z Mierosławskim co do międzynarodowego legionu i szczegółów, jakby ten projekt można było zastosować i spożytkować dla robót rewolucyjnych w kraju.

Bądź co bądź, z wyjazdem Jankowskiego kółko straciło wszelki hamulec. Jankowski umiał powściągać i miarkować porywy nazbyt gorących, i sprzeciwiał się urządzaniu drobnych, bezcelowych manifestacyjek, śpiewaniu hymnów, rozszerzaniu podburzających odezw z portretami Kościuszki i Kilińskiego, do czego Mierosławski i Kurzyna ciągle parli i zachęcali. Jankowski nawet nie dopuszczał nikogo ze skrajnych na posiedzenia komitetu od czasu, gdy ludzie z po za jego grona, wbrew wszelkim regułom, zaczęli tam przybywać w rodzaju dawnych sejmowych arbitrów. Z wyjazdem Jankowskiego drzwi komitetu rozwarły się na oścież, i obok członków zasiadali w nim regularnie panowie: Frankowscy, Nowakowski, Cielecki, Śniegocki i im podobni narwańcy, u których w myśli i na języku nic innego nie postało, jak tylko manifestacya; okazywanie Moskwie ciągłego, niewykorzenionego, wrodzonego wstrętu i nienawiści. Oni to nazywali ruchem, postępem; wszelkie zaś wyczekiwanie, zaprzestanie manifestacyi — ospałością i samobójstwem.

Naprożno umiarkowańsi, jak Banzemer, Majewski i inni, przedstawiali już nie komitetowi, lecz prawie całej Akademii, pomieszanej z różnymi ulicznymi żywiołami, że manifestacye jedynie mogą za-

szkodzić poważnej pracy wszystkich wogóle kółek, a nawet i działaniom Białych, których nikt nie może nazwać szkodliwymi dla kraju. Tacy kawalerowie, w rodzaju Frankowskich i Nowakowskich, ani słyszeć o tem nie chcieli i postanowili skorzystać z pierwszej nadarzonej sposobności, aby na złość Moskalom, oraz dla zbadania nastroju umysłów w mieście, urządzić jakąkolwiek większą manifestacyę.

Nadeszła więc chwila panowania szaleńców i dzieci, gdzie kierownictwo objęli „smarkacze," jak ich nazywano w poważniejszych kołach; „politycy serca," jak ich tytułuje zbliżony do nich Aweyde. Spełniła się straszna biblijna przypowieść „a rozum was opuści, a niedorośli rząd nad wami trzymać będą."

Dnia 10 czerwca 1860 roku umarła wdowa po znanym generale polskim z 1831 roku, Sowińskim, który przy szturmie Warszawy, w dniach 6 i 7 września 1831 roku bronił wolskiej rogatki i zginął z bronią w ręku na stopniach ołtarza w kościołku, do dziś dnia istniejącym na prawosławnym cmentarzu za wolskiemi rogatkami.

Na dzień 13 czerwca wyznaczono pogrzeb Akademicy i uczniowie szkoły sztuk pięknych zwołali przed mieszkanie zmarłej ogromne tłumy ludu[1]). Studenci ponieśli trumnę na cmentarz protestancki, gdyż tego wyznania była zmarła, a gdy pastor Pleszewski w mowie pogrzebowej nazwał ją pułkownikową, tłum mu przerwał krzykami „generałowa"[2]).

---

[1]) Giller powiada, że pierwszy pomysł do tej demonstracyi wyszedł od Mateusza Gralewskiego, oficera z wojsk kaukazkich, który oddany do wojska za jakieś przewinienie w szkołach, wrócił na mocy amnestyi 1856 roku do kraju. Był to syn zagonowego szlachcica z Mazewa w łęczyckiem. (Tom I,, str. 151)

[2]) Sowiński oficyalnie był tylko pułkownikiem, gdyż na generała awansował po wybuchu powstania. Pleszewski,

Przed spuszczeniem trumny do grobu, kierownicy całej tej manifestacyi obcięli tren od sukni zmarłej, i tnąc go na kawałki, rozdawali obecnym na pamiątkę; gdy tego nie wystarczyło, oberwano obicie trumny i galony, zaczęto obłamywać gałązki z obok stojących krzewów i te rozdawano. (Opowiadania naocznych świadków).

Pogrzeb ten zwykle bywa uważany za pierwszą manifestacyę w ruchu 1863 roku. Policya, przeprowadzając następnie dochodzenie o tem zajściu, wykryła, że przed pogrzebem Sowińskiej akademicy rozpowszechniali po mieście „wezwanie Mierosławskiego," drukowane na cienkim, welinowym papierze" podpisane przez Mierosławskiego i Kurzynę. Niektórzy płacili po rublu srebrnym za to wezwanie. Policya doszła także nazwisk głównych aranżerów manifestacyi, lecz namiestnik, niechcąc niepokoić Petersburga, kazał sprawę zatuszować, jako wybryk, nie zasługujący na uwagę. Żadnych więc aresztowań, a tem mniej kar nie było. To zachęciło i ośmieliło Czerwonych do dalszych prób w tym rodzaju.

Gdy rozeszła się wiadomość o mającym nastąpić w Warszawie zjeździe trzech sprzymierzonych monarchów, ciż sami aranżerowie rozrzucili po mieście odezwę tej treści:

„Warszawa wkrótce ujrzy w swych murach sępów, którzy naszą ojczyznę rozszarpali. Bracia! ważna to będzie chwila w dziejach nieszczęść naszych. Zjazd ich, prawdopodobnie nie pozostanie bez wpływu na przyszłe nasze losy, i być może, że ujrzymy nowy program działania, dążący, pod po-

należący do tak zwanego spisku z 1850 roku, był zesłany do Iszymu w gubernii tobolskiej. Powróciwszy na mocy amnestyi z 1856 roku, czuł nad sobą oko policyi, i dlatego chciał być ściśle oficyalnym w swem przemówieniu.—(Giller tom IV, str. 253—259).

zorem zbawiennych reform, do zupełnej zagłady naszej narodowości. Nadto, zjazd ten ma inne cele. Tyrani sprzysięgli się na zniszczenie wszystkiego, co sprawiedliwe. Polacy! czy pojmujecie nieprzyjazne zamiary wrogów naszych? Nadeszła chwila, w której dawna stolica wielkiej Rzeczypospolitej powinna jawnie okazać wzgardę i nienawiść, jakiemi pała serce każdego prawego Polaka ku tym świętokradcom, którzy wbrew wszelkim przykazaniom Boskim, targnęli się na wolność i niepodległość naszej ojczyzny. Polacy! nie zapominajcie tej chwili; niech gród nasz w czasie pobytu naszych ciemiężców przybierze na się postać grobu, okrytego kirem; niech on na każdym kroku przypomina im zbrodnię na nas popełnioną; niech wszelką radość całun śmiertelny przykryje. Polacy! na was woła duch przeszłej wielkości naszej, do was odzywają się głosy tysięcy braci, poległych w obronie ojczyzny!"

W czasie samego zjazdu dopuszczono się kilku najnieprzyzwoitszych wybryków.. Naprzykład w czasie uroczystości założenia kamienia węgielnego pod most żelazny na Wiśle, na której był obecny cesarz, łobuzy obrzynali paniom suknie, lub oblewali je kwasem siarczanym. Wieczorem, przed przybyciem monarchów do teatru, oblano lożę cesarską czemś cuchnącym, tak, że zaledwie zdołano odmienić meble i zmienić firanki i obicie. Podczas samego zaś przedstawienia [1]) spuszczano z galeryi pęcherzyki napełnione czemś nieznośnie cuchnącym. W czasie przejazdu monarchów do teatru, eskortę składało sześciu żandarmów, oficer i pięciu żołnierzy. Ci u wejścia do teatru, od drzwiczek powozu do drzwi wschodowych, sformowali już pieszo szpaler, między którym przeszli wszyscy goście [2]).

---

[1]) Dawano balet *Modniarki*, czyli *Karnawał paryski*.
[2]) Dziennik pułkownika Krywonosowa podaje w swym

W czasie iluminacyi, urządzanych przez miasto, łobuzerya gasiła światła; przechadzających się oblewano kwasem siarczanym i t. p. Policya, już po części dotknięta tą zarazą spisku, patrzała na te wybryki przez palce, z rzadka tylko kogoś aresztując. Śledztwo, wytoczone z powodu rozlanych cuchnących płynów w teatrze, nic nie wykryło. Gdy w Petersburgu dowiedziano się o tych wszystkich zajściach warszawskich, cesarzowa matka z przerażenia zachorowała, obawiając się o życie syna. Cesarza telegraficznie zawiadomiono o chorobie matki, który też, nie czekając na wyjazd gości, pośpieszył do Petersburga. Tegoż dnia wieczorem opuścił Warszawę cesarz austrycki, nazajutrz zaś rano książę regent pruski.

Upodobanie do manifestacyi zaczęło się objawiać i między białymi. W teatrach amatorskich, urządzanych częstokroć i w wyższych sferach towarzyskich, z lubością dodawano różne uwagi okolicznościowe w przedstawianych rolach, najczęściej wytykające błędy i niedostatki istniejących warunków rządowych. (Aweyde II, 3). Na pewnej maskaradzie, w salach redutowych, obywatel ziamski Załuskowski ukazał się przebrany za niewolnika, skuty kajdanami, za co zaraz został przez policyę zaaresztowany. Uwięziono następnie jeszcze kilka osób. Dzieciuchy się zlękły. Komitet, a właściwie gromadka aranżerów podzieliła się na dwie grupy, białych i czerwonych. Biali domagali się zupełnego zaniechania manifestacyi, czerwoni protestowali, do-

---

poglądzie krytycznym na wypadki 1861—1863 roku, że wówczas, w czasie przejazdu cesarza austryackiego, z wagonu cesarskiego skradziono tekę z papierami. Z początku sądzono, że to zwykła kradzież, gdyż wraz z teką zginęły i jakieś pieniądze. Te ostatnie wkrótce zwrócono za pośrednictwem któregoś z księży Kapucynów, teka zaś znikła bez śladu. (*Gazeta narodowa* z 1879 roku, nr. 251, str. 2, szp. 2 i 3).

wodząc, „że raz poprzerywane nici, nie dadzą się potem nawiązać; że masy stanęły widocznie po stronie ruchu i zaczynają pomagać spiskowi; że zaniechanie manifestacyi znów je osadzi na miejscu, z którego trudno będzie poruszyć je na nowo."

Skończyło się na tem, że biali z Majewskim na czele przystąpili do partyi Jurgensa. Krzemiński zaś i Wereszczyński usunęli się z Warszawy, pierwszy do Heidelberga, gdzie się podówczas skupiała polska i inna rewolucyjna młodzież, drugi do Kijowa.— Denel zawiadomił o tym wypadku Mierosławskiego, który natychmiast przysłał do Warszawy, jako swojego agenta, Franciszka Godlewskiego, człowieka rzutnego i roztropnego, dając mu polecenie „przywrócenia porządku w czerwonym obozie," w którym czuł się już gospodarzem i naczelnikiem, którego władza i znaczenie z dniem każdym, niemal z każdą godziną wzrastały.

Gutry powiada, że 1860 roku Mierosławski sam się narzucił na przewódcę ruchu rewolucyjnego w Polsce. Wysyłanie agentów nazywa „samowolą, która wywołała anarchię." W tem ma zupełną słuszność. Niecierpliwi warszawscy agitatorzy radzi byli stanąć pod sztandarem naczelnika z ustaloną rewolucyjną przeszłością i sławą, nad którym już był zawisł topór kata. Wszystko, co było brzydkiego, niewyjaśnionego w jego przeszłości; wszystko, co wykazywało brak charakteru, zapominano lub tłómaczono na dobre.

W umówionym kluczu dla tajnej korespondencyi, Mierosławski nazywał się Magdaleną; wybuch— ślubem; spisek— gospodarstwem; Miłkowski—energią; wojsko— zbożem; broń— narzędziami rolniczemi; demonstracya— festynem; donos—prośbą; szpieg— psem; powstańcy— rublami; emisarysz—ekonomem; Warszawa—Kiejdanami; Wilno—Szawlami; Prusy— sąsiadem; Rosya—opiekunem; proch—herbatą; Galicya — podstawą. — (*Pan Ludwik Mierosławski* str. 5—12).

Godlewski przy pomocy Denela i Jana Frankowskiego zawiązał nowy komitet pod nazwą „Komitet Jankowskiego," którego spodziewano się powitać wkrótce z powrotem w murach Warszawy. Jakoż w istocie w grudniu 1860 roku wybrał się do kraju, lecz przychwycony w Krakowie, po niejakim czasie został wydany władzom rosyjskim [1]).

Rozważniejsza cząstka czerwonych, która się już przedtem odłączyła wraz z Jurgensem i jego stronnikami, patrząc na panujący wśród spiskowych rozgardyasz, istną „Sodomę i Gomorę" jak mówili, obowiązując się, by z tego nie wykłuło się coś zgubnego dla całej sprawy, postanowili na nowo zbliżyć się z Denelem i Godlewskim. Nawzajem i u tych spotkali równe chęci; i ci pragnęli połączenia się z dawnymi towarzyszami, szczególnie, że przez to odzyskali Majewskiego, a z nim szeroko rozgałęzione wpływy i stosunki w mieście. Przedstawiono więc sobie wzajemne warunki pojednania. Umiarkowani i Jurgensiści żądali, ażeby komitet Jankowskiego, bez względu na swą nienawiść ku szlachcie, szedł na rękę z Towarzystwem rolniczem i popierał jego zbawienne dla kraju działania.

Denel zaś i jego czerwoni towarzysze domagali się dalszego prowadzenia manifestacyi, jako jedynej drogi, na której do jakichś donioślejszych ustępstw ze strony rządu dojść było można.

Warunki zobopólnie przyjęto i strony zwaśnione się pogodziły. Właściwie zaś nigdy się one nie rozchodziły; krzykliwe ich zgromadzenia miały nieraz charakter podobnego pojednania i następnie rozterek. Ztąd też pochodzą owe różnice w opisach naocznych świadków; jedni widzieli pojednanie i zgodę tam, gdzie drudzy mówią o burzliwych obradach i rozterkach.

---

[1]) Umarł w cytadeli. — (*Przypisek tłómacza*).

Nie wiadomo, w jaki sposób komitet Jankowskiego, złożony z Denela, Godlewskiego, Majewskiego, Banzemera i Löwenhardta, i czy kiedy pomagał Towarzystwu rolniczemu, lecz działania manifestacyjne bardzo jasno się zarysowały. Na skinienie akademików uliczna hołobuzerya tłukła okna wskazanych pomieszkań, gdzie się odbywały jakiekolwiek oficyalne przyjęcia. W tej zabawce głównie przewodzili uczniowie gimnazyalni: Kozubski, Jaczewski i Świegocki. Policya już wtedy tak się rozluźniła, że ani jeden z tych dowódców nie dostał się w jej ręce. Aresztowania rozpoczęły się dopiero w 1863 roku za hrabiego Berga, gdy więziono bez wyboru, masami.

Wśród białego dnia zrywano szyldy z rosyjskiemi napisami, a gdy właściciel wzywał opieki i pomocy policyi, ściągał na siebie tem większe uliczne prześladowanie. Osoby, nie poddające się rozkazom czerwonych, próbowano teroryzować przez nasyłanie pism obelżywych lub grożących, ma się rozumieć bezimiennych.

W pamiętny dzień rocznicy listopadowego powstania, 29 listopada 1860 roku akademicy umyślili urządzić maleńką manifestacyę, jakby dla wypróbowania, jak się rząd wobec tego zachowa? Wybrano na ten cel już na ustroniu położony, kościół księży Karmelitów na Lesznie, gdzie i dozór policyi nie tak baczny i u końca ulicy niema prawie stójkowych.

O dwunastej w południe zebrało się w kościele mnóstwo publiczności, w której wszakże przeważali akademicy i rzemieślnicy, zaczynający lubować się w patryotycznych mowach i śpiewach. W czasie nabożeństwa rozdawano wizerunki Kościuszki i Kilińskiego. Mowy żadnej nie było, chociaż urządzający nabożeństwo usilnie starali się skłonić ku temu księży; zresztą nabożeństwo odbyło się w porządku i wszystko poszło jak z płatka. Mimo to, aranżerowie z niepokojem cały dzień wyglądali, co

powie na to władza! czy wie co i z czyjej inicyatywy działo się u księży Karmelitów na Lesznie?

Władza o niczem nie wiedziała! — Jak tylko czerwoni przyszli do tego przeświadczenia, postanowiono powtórzyć manifestacyę jeszcze tego samego dnia wieczorem, lecz już na większe rozmiary i jawnie, wcale nie oglądająca się na to, co powie policya. Najbardziej nastawał na to nieprzejednany fanatyk, Karol Nowakowski, gotów zawsze do największych wybryków i szaleństw.

Gdy zaczął dowodzić o nadzwyczajnej doniosłości projektowanych manifestacyi, już go nikt nie mógł przekonać i uspokoić; bardzo też być może, że nikt podówczas tego trudu zadawać sobie nie myślał. Większość czerwonych, a nawet i ci czerwono-biali, którzy jeszcze wczoraj odwodzili od podobnych, drażniących władzę wystąpień, pod wrażeniem porannej manifestacyi, nie zdając sobie nawet sprawy z ogarniającego ich uczucia, podążali na wieczorne powtórzenie tego samego widowiska. Udały wybryk był podnietą do dalszych podobnych wystąpień. Nowakowski zajął się urządzaniem manifestacyi z całym zapałem, jako praktyczny gospodarz, świadomy swego zadania. Pod jego kierownictwem, między szóstą a siódmą godziną wieczorem, przed figurą Matki Boskiej na Lesznie zebrał się ogromny tłum ludu, przyniesiono stół, zapalono lampy, i gdy modlący się padli na kolana, Nowakowski, chłop duży i obdarzony tubalnym głosem, zaintonował hymn *Boże coś Polskę*, starą, zapomnianą pieśń, napisaną przez Alojzego Felińskiego, w drugim czy trzecim dziesiątku bieżącego stulecia, w zupełnie innym celu i warunkach. Wywołało to niesłychane wrażenie; obecni z rozrzewnienia płakali...

Był to pierwszy śpiew hymnu, tej Marsylianki 1863 roku. Potem prześpiewano: *Z dymem pożarów*, *Boże Ojcze! Twoje dzieci żebrzą, płaczą Twej litości!*, a na zakończenie *Jeszcze Polska nie zginęła*; poczem

znów rozdano mnóstwo portretów Kościuszki i Kilińskiego, oraz zeszytów z drukowanemi hymnami i innemi patryotycznemi śpiewami [1]).

I ta manifestacya udała się, jak nie można szczęśliwiej. Policya patrzyła na wszystko obojętnie [2]). Manifestanci, widząc, że im się udaje, postanowili posunąć się ku środkowi miasta [3]).

Mniej więcej w tydzień potem, gromadka uczniów z niższych klas gimnazyum realnego, zebrała się w kościele księży Bernardynów na Krakowskiem przedmieściu, gdzie się odprawiało nabożeństwo żałobne za poległych w walkach 1831 roku. Na zakończenie odśpiewano kilka pieśni narodowych; nie aresztowano nikogo. Lecz gdy taką samą manifestacyę powtórzyli uczniowie klas wyższych już łącznie z publicznością, kierowaną przez Asnyka w kościele św. Krzyża, policya zaczęła aresztować uczestników. Asnyk z wielu innymi dostali się do cytadeli. (Asnyk wkrótce uwolniony, wyjechał za granicę).

Całe miasto zaczęło mówić o manifestacyach.

---

[1]) Drukowaniem tych rzeczy zajmowali się szczególniej bracia Frankowscy. Wówczas też wydano *Adwent Polski*, oraz odezwy o oddaniu naczelnego dowództwa w zbliżającem się powstaniu generałom: Wysockiemu i Mierosławskiemu.

[2]) Aweyde tom II, str. 4. Szczegóły manifestacyi wyjęte także z jego zeznań. Dalsze opisy z Aweydy i Majewskiego uzupełnione opowiadaniami różnych naocznych świadków.

[3]) Wielu mniema, że policya, zachowując się biernie wobec tych nieporządków, działała z pewnem wyrachowaniem, że rząd miał w tem swe widoki i działał ze złą wiarą. Wobec powtarzających się dziś jeszcze zarzutów tego rodzaju, możemy najbardziej stanowczo zapewnić, że w tem nie było żadnego ukrytego podstępu; po prostu Gorczakow obawiał się jakich nowych nieprzyjemności, nie chciał narazić się na niezadowolenie i wymówki w Petersburgu. Była to najwyższa nieudolność rządzenia miastem i krajem i nic więcej.

Stronnictwo białych udało się do przewódców znánych nam kółek czerwonych z przedstawieniami i żądaniem, aby zaprzestano dalszych nieporządków, gdyż te krzyżują i stają na zawadzie rozpoczętym poważnym działaniom w kraju, a nawet mogą je zupełnie zwichnąć. Czerwonym niezmiernie to pochlebiało, że dotychczas ignorujący ich zupełnie panowie, zostali zmuszeni do odezwania się do nich, jako przedstawiających pewną siłę w kraju; odpowiedzieli więc z pewną dumą, że „natychmiast zaprzestaną manifestacyi, jeżeli tylko Towarzystwo rolnicze zdecyduje się na podanie adresu do cesarza, nie żądając na to upoważnienia namiestnika. W adresie zaś ma być wypowiedziana jeśli nie skarga na złe i bezprogramowe rządy w Polsce — to przynajmniej zaznaczona konieczność zaprowadzenia odpowiednich duchowi czasu reform, szczególniej wobec tych nadzwyczajnych przeobrażeń, jakie dla cesarstwa są projektowane. Jeśli biali tego nie zrobią, to przywódcy czerwonych wcale nie myślą powstrzymywać młodzieży, i manifestacye będą jedne po drugich następować, bez względu na mogące ztąd wyniknąć następstwa. Lecz komuż przypisać winę? Czy Fabiuszom kunktatorom z obozu białych, ceniącym wyżej swe dobre u Moskwy zachowanie nad zbawienie ojczyzny, czy tej pełnej zapału i poświęcenia młodzieży, niosącej krajowi w ofierze przyszłość swą, wolność osobistą, a nawet życie.., niech to przyszłe dzieje rozstrzygną; przewódcy kółek zawczasu nie biorą żadnej za następstwa odpowiedzialności.

Gorętsza część białych była zdania, że siła manifestujących była li tylko negatywną, polegającą na niewytłómaczonej słabości rządu w Warszawie; że niech tylko rząd ten otrząśnie się z otrętwienia, siła ta czerwonych w jednej chwili jak mgła się rozwieje; to też ta część białych była gotową zgodzić się na postawione żądania i napisać coś ostrego do Petersburga; zażądać naprzykład, wprowa

dzenia w życie statutu organicznego z 14 lutego 1832 roku (który wskutek spisku Zaliwskiego nie wszedł w wykonanie, i dopiero w 1862 roku został[1]) zastosowany przez Wielopolskiego dla rozwiązania kilku zasadniczych kwestyi). Druga jednak, rozważniejsza część białych, nie obałamucona jeszcze biegiem wypadków, wręcz odmówiła temu żądaniu czerwonych i oświadczyła, że gdyby ci wystąpili wrogo i nieprzyjaźnie wobec prowadzonych poważnych robót, — oni nie zawahają się przed wydaniem ich rządowi z imienia i nazwiska[2]).

Tak w pierwszych chwilach zadecydowała większość w obozie białych; lecz gdy rozpatrzyli rzecz całą dokładniej, gdy rozważyli, co to za istota siedzi w Warszawie na stolcu namiestnikowskim, jak to coś dla każdego stronnictwa małą gwarancyę przedstawiało, że potrafi utrzymać spokój i porządek w kraju — biali oświadczyli ostatecznie stronie przeciwnej, że komitet Towarzystwa przedstawi postawione kwestye do rozpatrzenia i postanowienia na najbliższem ogólnem zebraniu Towarzystwa rolniczego, które się ma odbyć w styczniu 1861 r.

Lecz i to, według mniemania czerwonych, odwlekało sprawę na czas nieoznaczony, gdy tymczasem sprawa ta nie cierpiała najmniejszej zwłoki. Postanowili więc postępować dalej raz obraną drogą i nie zaprzestawać manifestacyi, bez względu na wyniknąć mogące ztąd skutki.

Należy dodać, że w owym czasie do partyi Godlewskiego i Jurgensa przystąpiło kilku ludzi, o zasadach i przekonaniach których do niedawna nie podobna było coś stanowczego powiedzieć. Była to najruchliwsza część warszawskiej burżuazyi; ludzie dosyć daleko posunięci w swych zapatrywa-

---

[1]) Miał być po części zastosowany. — (*Fryp. tłómacza*).

[2]) To fałszywe.—(*Przypisek tłómacza*).

niach socyalnych, lecz dzięki swemu stanowisku w społeczeństwie, unikający występowania obok młokosów. Oni długo się rozpatrywali, do kogo się mają przyłączyć, gdyż wobec powszechnej gorączki, żaden Polak nie mógł pozostać obojętnym i trzymać się zdala od wszelkiego działania. Stronnictwo Komitetu rolniczego stanowczo nie zaspakajało tych panów, oni znajdowali, że prace białych były stanowczo za powolne i za ostrożne, szczególniej, gdy się uwzględniało ówczesny stan polityczny Europy i Rosyi, a zresztą i samo usposobienie, panujące w rosyjskich sferach rządowych. Burżuazya znajdowała, że z panami z komitetu można było doskonale spożyć od czasu do czasu wykwintną kolacyjkę, przy której wybornie umieli rozprawiać w panującym duchu, lecz co do przekonań ich i zasad—te odbiegały gdzieś daleko, w przeciwnym kierunku... Na stronnictwo zaś przeciwne spoglądali jak na coś bardzo niedojrzałego, zapalnego i popędliwego, postępującego zupełnie przeciwnie, nie tak, jakby w takich chwilach postępować i działać powinni prawdziwi radykali.

Czas wszakże upływał i to szybciej niż kiedykolwiek. Burżuazya spostrzegła, że się naraz znalazła wśród objawów już wcale nie dziecinnych, z po za których wyglądała już walka wcale nie na żarty, walka z rządem, do której zmierzali i którą starali się wywołać ci czerwoni urwisze! Nadeszła chwila, że nie można było dłużej zwlekać, wyczekiwać, lecz należało działać, zdecydować się tak lub owak, przyłączyć się tam lub tu...

Namyślali się dosyć długo i... bardzo być może, że z ciężkiem sercem, lecz stanęli po stronie... młokosów!

W pierwszych wszakże chwilach ci nowi zwolennicy partyi ruchu byli w niej żywiołem obcym, oziębiającym; doradzali wszystkim cokolwiek starszym i rozważniejszym, by o ile można powstrzymywali niecierpliwą i zapalną młodzież od wszelkich

nierozważnych wybryków; jednocześnie zaś starali się poruszyć białych, skłonić ich do wstąpienia na drogę wskazywaną już nietylko przez czerwonych, lecz przez opinię prawie całego kraju, to jest namawiali do podania adresu do cesarza z wyrazem wszystkich krzywd i żalów naszych. Lecz jakież były środki do osiągnięcia tego celu? Ktoś w kółku powiedział, że gdyby cała warszawska inteligencya: wpływowi kupcy i przemysłowcy, kapitaliści, urzędnicy, literaci, adwokaci wraz z jednomyślną częścią szlachty, szczerze i stanowczo zażądali podania adresu, to ultra biali z komitetu nie byliby w stanie temu się sprzeciwić. Zaraz się jednak rodziło pytanie, jakim sposobem poruszyć tę żywszą część poważnej, umiarkowanej ludności, posiadającej w swym gronie także swego rodzaju panów i półpanków, którzy chociaż nie śpią do tego stopnia, jak ultrabiała szlachta, lecz także na arenę publicznego działania występują nader niechętnie, zwolna i ostrożnie.

Po pewnych naradach, przedstawiciele kółka, a w ich liczbie i Jurgens, wymyślili taki środek: postanowiono wysłać do wszystkich rosyjskich uniwersytetów agentów, którzyby skłonili polską uniwersytecką młodzież do wysłania do Warszawy deputacyi z adresem, wystosowanym do różnych stanów społeczeństwa polskiego i żądającym przeniesienia katedr prawa polskiego z Petersburga do Warszawy i nadania im przywilejów uniwersyteckich [1]). Jeśli się to uda i kraj zdecyduje się po-

[1]) Od 1841 do 1859 roku istniały dwie katedry polskiego prawa: w Petersburgu i Moskwie. W 1859 roku zniesiono je i zaprowadzono w Petersburgu cztery katedry polskie:

1. Historyę prawa polskiego i prawa kryminalnego, obowiązującego w Królestwie, wykładał profesor Czajkowski.
2. Kodeks cywilny i prawo hipoteczne — prof. Budzyński.

przeć żądania młodzieży, to musi być podany adres do cesarza, a w nim da się umieścić i jedno i drugie, ultra-czerwoni będą zmuszeni przycichnąć, a jeśli tego nie zrobią, to kraj potrafi zmusić ich do milczenia.

Ktoś zauważył, że to może myśl praktyczna, ale niewłaściwa i niebezpieczna. Nie należy powoływać młodzieży, jako odrębnego stanu, i to do spraw dla niej niewłaściwych; drudzy dodawali, że projekt cały zanadto subtelny; lecz Jurgens zakonkludował, że „subtelny czy nie subtelny, lecz innego wyjścia niema. Pomysł jest dowcipny i prawdopodobnie pomyślny odniesie skutek".

Ponieważ wszystko to się odbywało koło Bożego Narodzenia 1860 roku, w czasie zimowych uniwersyteckich feryi, więc w Warszawie znalazło się kilkunastu studentów Polaków z różnych uniwersytetów rosyjskich. Jurgens wybrał z pomiędzy nich najspokojniejszych i najrozważniejszych, i zapropo-

---

3. Proces cywilny — profesor Hube — i
4. Prawo administracyjne — profesor Łaguna.

Spasowicz rzecz tę przedstawia obszerniej: Za Paskiewicza były kursa prawne w Warszawie, na których wykładano: Kodeks Napoleona. W 1840 roku kursa te zniesiono, natomiast w Petersburgu i Moskwie otworzono po dwie katedry prawa polskiego. W Moskwie wykładali: prof. Korowicki — prawo i procedurę cywilną; Pawłowski — prawo kryminalne. W Petersburgu zaś: Romuald Hube wykładał historyę prawa polskiego, prawo kryminalne i sądownictwo; Cypryan Zaborowski — kodeks Napoleona, czyli prawo i procedurę cywilną.

Po uwolnieniu Hubego, jego miejsce zajął w 1847 roku Antoni Czajkowski z Warszawy, zaś na miejsce Zaborowskiego w 1850 roku przybył prof. Krzyżanowski. Nadto przy Czajkowskim adjutantem został Stosław Łaguna, przy Krzyżanowskim Włodzimierz Spasowicz, który po wyjeździe w 1857 roku Krzyżanowskiego za granicę objął tegoż katedrę. Później Spasowicz przeszedł na katedrę ruskiego prawa, miejsce zaś jego zajął Stanisław Budzyński. Wszystkie te katedry zwinięto przy wprowadzeniu reformy naukowej Wielopolskiego.

nował im przejechać się po uniwersytetach w wiadomej misyi, ofiarując im zwrot kosztów podróży. Młodzi ludzie z ochotą przyjęli zrobioną im propozycyę, i natychmiast wyruszyli w różnych kierunkach. Cała rzecz nader szybko została przeprowadzoną; uniwersytety: petersburski, moskiewski i dorpacki wybrały po dwóch delegatów; kijowski przysłał ich trzech, którzy też swoją zagorzałością psuli nieco ogólną harmonię.

Za przybyciem do Warszawy wysłańcy uniwersyteccy naprzód się zeszli z Jurgensem w mieszkaniu Adolfa Pieńkowskiego, nauczyciela gimnazyalnego. Umówiono się zwołać ogólne zebranie dla rozważenia kwestyi, w jakim duchu ma być spisany adres pełnomocników młodzieży do obywateli miasta Warszawy. Na zebraniu tem, na które, oprócz wysłanników z cesarstwa, przybyli przedstawiciele warszawskiej medycznej akademii, instytutu rolniczego w Marymoncie, szkoły sztuk pięknych i gimnazyum realnego, jeden z kijowskich studentów podjął się ułożenia adresu zaraz, na poczekaniu. Rzecz wszakże wypadła tak dziecinnie górnolotna i gorączkowa, że zebranie wysłuchawszy w milczeniu ten elaborat, nie wypowiedziało żadnego zdania, a milczenie to było wymowną odpowiedzią. Wówczas Jurgens wezwał jednego z delegatów do odczytania zawczasu już przygotowanego projektu. Wszyscy od razu spostrzegli szaloną różnicę tej obmyślanej pracy w porównaniu z frazesami swego współkolegi. Adres Jurgensa jednomyślnie przyjęto i zebrani zaraz go przepisali w kilkudziesięciu egzemplarzach. Poczem delegaci podzielili się na trzy partye, z których każda, nie tracąc czasu, miała obejść wyznaczone sobie znakomitsze osobistości w Warszawie: Andrzeja hr. Zamoyskiego, Tomasza hr. Potockiego, Ludwika Górskiego, generała byłego wojska polskiego: Józefa Lewińskiego, Leopolda Kronenberga, Mathiasa Rosena, Ksawerego Szlenkiera, I. J. Kraszewskiego, winiarza Fukiera, szewca Hiszpańskiego

i jeszcze kilkunastu innych.—(Było to w końcu stycznia 1861 roku).

Andrzej hr. Zamoyski deputacyi nie przyjął. (Przez swych agentów, których miał wszędzie, był uprzedzony, co to za deputacya i z czem przychodzi). Tomasz hr. Potocki, chociaż niechętnie zgodził się na przyjęcie deputacyi, lecz członków jej powitał grzecznie i oświadczył, że „podziela w zupełności zdania, wyrażone w adresie, a nawet sądzi, że w danej chwili rzecz byłaby możliwą do przeprowadzenia, byle tylko nie zbaczać z drogi legalnej. Osobiście będzie wszelkiemi siłami popierał myśl podania adresu do cesarza, i głośno to oświadczy gdzie potrzeba—zobowiązań wszakże żadnych naprzód nie przyjmuje.

Generał Lewiński [1]) powiedział deputacyi, że nie rozumie dobrze celu, w jakim do niego przychodzą, gdyż on obecnie jest już tylko ruiną, przypuśćmy nawet, że poważną, ale zawsze tylko ruiną—bez wpływów i znaczenia. Zresztą podziela opinie, wypowiedziane w adresie młodzieży, pochwala je i rad jest bardzo z obranego kierunku.

Ludwikowi Górskiemu przyjście młodzieży widocznie było nie na rękę i długo nie umiał znaleźć stosownej odpowiedzi. Lecz, gdy się nieco uspokoił i rozmowa na dobre się ożywiła, zapytał: „A teraz, powiedzcie mi, panowie, otwarcie, czyście już wszystkie wasze żądania wypowiedzieli w tym adresie? czy na tem poprzestaniecie, czy też raz to otrzymawszy, posuniecie się dalej?"

Przewodniczący tej cząstkowej deputacyi oświadczył, że „w tem się zawierają wszystkie ich żąda-

---

[1]) Józef Lewiński, pułkownik wojsk polskich za czasów wielkiego księcia Konstantego, po wybuchu powstania 1830 roku został generałem i pełnił obowiązki szefa sztabu przy Małachowskim. *Ruskij Archiw* z 1879 roku ks. XII, str 459, mówiąc o generale Krukowieckim, podaje i o Lewińskim kilka szczegółów.

nia i oni na tem poprzestaną", lecz przerwał mu jakiś marymontczyk, podobno nawet nie delegowany, który na własną rękę poszedł z deputacyą — a może jako wysłannik kółka czerwonych—i dodał z pewnem uniesieniem: „Poprzestaniemy, ale tylko do czasu, gdyż Polacy nie mogą ostatecznie zadowolnić się takiemi drobnostkami! Nie byłbyś pan Polakiem, gdybyś nie czuł, co u każdego z nas leży na dnie duszy. Polska w granicach 1772 roku jest kresem naszych usiłowań, jeśli mamy mówić szczerze i otwarcie!"

— O tem właśnie chciałem wiedzieć moi panowie — odparł na to Górski. — Uzyskać polski uniwersytet w Warszawie, nie sądzę, żeby było rzeczą bardzo trudną, wobec usposobienia panującego w Rosyi, gdy rząd sam przez się skłania się do licznych ustępstw. Lecz chcąc iść dalej, odbierać Polskę od morza do morza, na to potrzeba przedewszystkiem licznej armii i ogromnych pieniędzy, na czem nam najzupełniej zbywa Nie równa to walka — karła z olbrzymem. Powiedzieliście, że jestem Polakiem i to jest najzupełniejszą prawdą; myśli i dążenia nasze nie w jednem są wspólne; nie mniej od was pragnę dla Polski szczęścia i pomyślności, lecz dla odzyskania bytu politycznego nie pójdę drogami, które, według mego najgłębszego przeświadczenia, nietylko, że są nadzwyczaj ryzykowne i w skutkach swych problematyczne, lecz wprost prowadzą do zguby ojczyzny. I ja wam szczerze i otwarcie powiem: dla sprawy, którą przedsiebierzecie, palcem nawet nie ruszę!" — I tem ich pożegnał.

Kronenberg przyjął wysłaną młodzież w swem pysznem biurze przy ulicy Marszałkowskiej, jak to mówią, z otwartemi rękami i rozpromienionem obliczem. Dla człowieka, jąk on ambitnego i chorującego na popularność, nadzwyczaj było pochlebne, że został zaliczony do rzędu znakomitości warszawskich. W tym uprzejmym bankierze, który w tej chwili przyjmował deputacyę młodzieży polskiej, niktby nie

poznał tego niedawnego, zaciętego, zgrzytającego zębami i płaczącego ze złości przewódcę żydowstwa, którego śmy przed paru laty spotykali w Warszawie i Petersburgu. W tej chwili był to zapalony polski patryota, myślący tylko o Polsce i gotowy na wszelkie dla niej ofiary; nagadał deputacyi mnóstwo najprzesadniejszych uprzejmości i przyobiecał ze swej strony uczynić wszystko dla poparcia ich zamiarów.

Szlenkier również uprzejmie przyjął deputacyę, oświadczając, że dzieli ich zasady i popierać będzie ich zamiary wśród tych kół kupieckich, w których pewien wpływ posiada

Za to bankier Rosen — przyjął wysłanników jak najgorzej, nawet nie uznał za potrzebne przywdziać do nich surduta, spotkał ich, jak był, w szlafroku, i nie poprosił usiąść. — „Co za adres? co zamyślacie panowie? — przemówił szybko. — Wiem, czem to pachnie. Idźcie do innych i śpiewajcie im piosnki o adresach; ja do takich ryzykownych i niebezpiecznych rzeczy się nie mieszam!"

Powiadają, że Kronenberg, dowiedziawszy się o tak nieprzyzwoitem przyjęciu młodzieży przez Rosena, pojechał do niego i usposobił inaczej...

Fukier przyjął młodzież, jak rodzonych braci... Najbardziej mu się podobał ustęp adresu, w którym wypowiedziano, że rozszerzenie przez polski uniwersytet oświaty w kraju, przyczyni się do zrównania stanów: szlachty z kupcami, mieszczan z rzemieślnikami... „Wiecie co, panowie! wy wprowadzacie przewrót warunków naszego społecznego ustroju! wy tworzycie epokę! Ale czy macie przyobiecane poparcie od kogokolwiek z wpływowych osobistości z naszego kupieckiego świata?"

Gdy mu odpowiedziano, że Szlenker, Kronenberg i inni przyobiecali deputacyi wszelką pomoc — zawołał:

„No, kiedy ci obiecali, to nie troszczcie się o innych. Ja panowie, jestem człowieczek mały, bez

znaczenia i wpływu — ale mam coś, czego inni nie mają. Proszę was do mojej piwniczki, którą zaszczycali odwiedzinami bardzo i bardzo wysokie figury; należy się nam parę buteleczek na powodzenie waszych zamiarów" [1]). Nie potrzeba zapewniać, że żaden z deputatów nie odmówił zaproszeniu!

Bytność u Kraszewskiego delegaci odkładali na sam koniec, niby na ukoronowanie swych zachodów. Każdy dobijał się o zaszczyt przedstawienia się ówczesnemu największemu luminarzowi na polu piśmiennictwa polskiego. Do cichego i ustronnego domku przy ulicy Mokotowskiej zebrało się bez porównania więcej delegatów, niż u któregobądź innego z potentatów, gdyż w zebraniu tem delegaci stanowili bardzo mały procent, większość zaś składała się z różnorodnej młodzieży. Kraszewski przyjął ich przyjaźnie, szczerze i serdecznie; oświadczył największe swe współczucie dla podjętej myśli i dodał: „wierzę w powodzenie obecnych zachodów, gdyż... Żydzi w to wierzą, a oni na pewno coś przewąchali! Oni wszystko wiedzą, wszystko przeczują!" [2])

Wspomnieliśmy, że deputacye miały odwiedzić wiele innych, jeszcze wybitniejszych osobistości. Prawie wszędzie spotkane zostały słowami współczucia i obietnicami poparcia. Lecz na tem wszystko się skończyło i słowa nigdzie się w czyn nie zamieniły.

Partya czerwona, widząc i wiedząc wszystko, kpiła z deputatów i nikt z prawdziwie czerwonych nie brał na seryo tej uniwersyteckiej ekspedycyi,

---

[1]) Sławna winiarnia Fukiera na Starem Mieście, jeszcze do dziś dnia posiada kilkaset butelek bardzo starych i kosztownych win węgierskich. Niektóre pochodzą jeszcze z XVI wieku, z piwnicy jakiegoś Potockiego. Cesarz Franciszek Józef na swoje wesele kazał sprowadzić kilka butelek tego wina, za które zapłacono po 100 złr. za butelkę. W 1880 roku miało być jeszcze coś około pięćdziesiąt butelek tego wina.

[2]) Dosłownie słyszane z ust jednego z deputatów, którzy byli u Kraszewskiego.

nikt się nie powstrzymał w swych działaniach manifestacyjnych. Owszem, jeszcze bardziej utwierdzili się w przekonaniu, że tylko zapomocą nieustających manifestacyi można się będzie dobić jakiegoś skutku. Nawet Jurgens i ci z jego zwolenników, którzy się najbardziej przyczynili do wywołania tego uniwersyteckiego poselstwa, teraz się przekonali, że przy panującem rozbiciu stronnictw, oraz wobec ospałości i zupełnej apatyi najwyższych warstw społeczeństwa, niema co marzyć nawet o urzeczywistnieniu myśli adresu do cesarza, podać się mającego w imieniu całego kraju. Widocznie dziarska młodzież intuicyjnie nie myli się i w swej nienawiści do arystokratów i w swych porywach, dążących do wywołania ogólnego wstrząśnienia, któreby rozbudziło i otrzeźwiło wszystkich bez wyjątku... Odtąd Jurgens, rozmyślając nad wyborem dalszego sposobu postępowania, z coraz większem rozrzewnieniem, z jakąś nieokreśloną lubością przypatrywał się robotom Nowakowskich, Cieleckich, Frankowskich... ci zaś na wyścigi szyli chorągwie, przygotowywali rozmaite manifestacyjne emblematy, obrazy, portrety bohaterów dawnej Polski; drukowali patryotyczne pieśni i wiersze...

Drobne manifestacye, w których przeważnie brała udział niedorosła młodzież, nie ustawały. W wigilią nowego roku wybito okna w mieszkaniu marszałka szlachty, hrabiego Uruskiego, za wydanie balu; za toż samo wybito okna u marszałkowej Kuczyńskiej. Głośno zaś powtarzano, że za parę tygodni odbędzie się manifestacya w wielkim stylu.

W tym czasie jeden z deputatów spotkał na ulicy młodego chłopaka, swego znajomego z Petersburga, należącego do ultra-czerwonych, i wstąpili dla rozmówienia się do winiarni.

— Słyszałem że jesteś członkiem deputacyi — zaczął młodzieniaszek — nie macie co lepszego robić....

— Pobądź no z nami jeszcze z parę tygodni,

a zobaczysz co będzie! Przejdziemy całą Warszawę z chorągwiami! Wszystko już przygotowane, jak się należy! Urządzimy niebywałe widowisko.

Ten, do którego to mówiono, chciał pozostać dla przypatrzenia się tej niebywałej rzeczy; lecz jeszcze tego samego dnia został uwięziony wraz z innymi deputatami i wydalony za granice Królestwa, gdzie ich wszystkich z polecenia namiestnika uwolniono, zalecając, by każdy wracał zkąd przybył, nie chwaląc się ze swej warszawskiej wyprawy. Nikt nie został pociągnięty do dalszej odpowiedzialności.

Na parę dni przed uwięzieniem i wywiezieniem deputatów z Warszawy, zaprosił ich pewien bogaty obywatel ziemski na ucztę w hotelu Saskim. Ludzi zebrało się ogrom, pod koniec wszyscy byli w nieco podnieconych humorach i, jak w takich wypadkach zwykle bywa, stali się bardziej szczerymi i otwartymi. Wypowiadano niezliczone kombinacye i wnioski co do rozpoczynających się manifestacyi i ruchu rewolucyjnego. Większość szermierzyła językiem na nutę patryotycznych, lecz nieziszczalnych mrzonek. Jeden tylko stary szlachcic siedział milcząc w fotelu, popijał zwolna węgrzyna i mruczał pod nosem, ale tak, aby go inni mogli słyszeć: „Ej! ej, panowie, nasza pora minęła i nie wróci. Jam nie gorszy patryota od was, zarówno niecierpię Moskali i życzę, żeby ich dyabli wzięli — lecz niestety — oni nas pobiją! Pamiętajcie moje słowa, pobiją. Musimy ustąpić im miejsca na widowni politycznej. Niech oni działają, my zaś pozostaniemy widzami. Myśmy już swoją rolę skończyli dawno, a skończyliśmy dlatego, żeśmy się pozbyli zasobów wiary, która u Moskali żywa jest i pełna. Do nich niestety, należy przyszłość, gdyż, wierzcie mnie, staremu, wiara nie rozum zwycięża!" Niektórzy, słysząc to, pozwieszali smutnie głowy, lecz poważna większość mówiła: „At, podpił stary i plecie od rzeczy!"

I w rzeczy samej, skrajnie-czerwone stronnictwo wszystko przygotowało dla wywołania tłumnej manifestacyi; umiarkowańszy zaś odcień, podrażniony lekceważącym zachowaniem się białych i biernem odrzuceniem projektu, jaki obmyślili właśnie dla uspokojenia gorętszych wśród siebie żywiołów; napastowany ciągle wymówkami o obojętność dla sprawy narodowej; nie wiedząc ostatecznie co począć, połączył się z manifestantami, wychodząc z tej błędnej zasady, że lepiej, chociażby napróżno, zginąć za sprawę ogólną, niż nosić na sobie podejrzenie odstępstwa, braku uczuć patryotycznych i tchórzostwa, niż być potępionym przez wszystko, co nie śpi i jeszcze żyje w kraju. Jurgens, jak było do przewidzenia, znalazł się także w ich liczbie i wspólnie z wczorajszymi przeciwnikami zaczął obmyślać i przygotowywać wszelkie szczegóły niebezpiecznego przedsięwzięcia, i zwolna wyszedł na głównego wodza całej awantury. On rozliczał, że przy pomocy swych stronników potrafi zebrać na danym punkcie miasta do dwóch tysięcy osób; inne kółka obiecywały przyprowadzić co najmniej drugie parę tysięcy; miasto zaś samo, choćby przez ciekawość, coś dorzuci, tak, że zbierze się tłum, który cały zaaresztować nie da się. To nie Asnyk z malcami u św. Krzyża. Gdyby zaś zaszło jakie starcie z wojskiem, tem lepiej; wówczas bez żadnych adresów Petersburg się dowie, jak rzeczy właściwie stoją. (Motywa podane przez Aweydę).

Gdy już rzecz cała była przygotowana, umiarkowańsi zaproponowali, ażeby raz jeszcze popróbować układów z białymi. Wysłano więc ponownie deputacyę do komitetu Towarzystwa rolniczego, z szczegółowem wyjaśnieniem stanu rzeczy i z prośbą, ażeby dla zapobieżenia łatwo wyniknąć mogącej katastrofie zdecydowano się na wysłanie do cesarza adresu z wyrażeniem ogólnych żądań kraju, a mianowicie: polskiego uniwersytetu w Warszawie, lep-

szego sądownictwa i chociażby już tylko wprowadzenia statutu organicznego.

Komitet Towarzystwa rolniczego oświadczył, jak przedtem, że wszystkie te postulaty przedstawi na zebrać się mającem ogólnem zgromadzeniu Towarzystwa i dołoży ze swej strony wszelkich usiłowań, ażeby uczynić zadosyć wyrażonym tu żądaniom.

Po otrzymaniu takich zapewnień, przewódcy partyi czerwonych zdecydowali się oczekiwać w spokoju na zwołane już ogólne zebranie członków Towarzystwa.

W tem dnia 8 lutego uwięziono Majewskiego, a w kilka dni potem Denela. Wzburzyło to i zaalarmowało czerwonych. Skrajni wyłamali się z karności i krzyczeli, że gdyby biała zaraza nie przeniknęła do ich grona, gdyby nie zmarnowano Bóg wie na czem tyle drogiego czasu, i manifestacya projektowana, ów niewidziany koncert nad koncertami, jużby się odbyła, rząd musiałby robić ustępstwa, a Majewski i Denel byliby wśród swoich! Gdyby zaś nawet przyszło do otwartego starcia i rząd zwyciężył, to wówczas Polacy wiedzieliby przynajmniej, czego się trzymać i jaką drogą nadal mają postępować. Tak zaś, jak jest obecnie, we wszystkiem panuje niepewność, wahanie, bezmyślna cisza i spokój bezcelowy. Trudno nawet wystawić sobie głupsze położenie.

Wśród takiego rozdrażnienia czerwonych i młodzieży zwołane zostało przyobiecane ogólne zebranie członków Towarzystwa na dzień 21 lutego 1861 [1]) roku. Towarzystwo, rozpatrzywszy się w sytuacyi, nie uznało za stosowne podawanie już teraz adresu do cesarza, owszem, sądziło, że krok taki mógłby raczej powstrzymać rozwijające się wypadki. Re-

---

[1]) Podług Spasowicza miało się zjechać do 1500 członków.

formy i bez adresu przygotowują się i zostaną wprowadzone; do tego popycha rząd siła zbiegu różnych okoliczności, sympatya dla Polaków samego cesarza i rosyjskiej inteligencyi. Fal, poruszających umysły w całej Rosyi powstrzymać się nie da, ale też nikt o to się nie kusi... Daleko więc roztropniej zachować się spokojnie, oczekiwać biegu naturalnego wypadków i nie drażnić ani cesarza, ani opinii w Rosyi.

Mogliby byli Zamoyski i komitet odezwać się inaczej, gdzieś prywatnie, w domu u którego z zaufanych, lecz nie na publicznych zebraniach, w pałacu Namiestnikowskim, pod okiem komisarza rządowego, nieodstępnie obecnego na wszystkich posiedzeniach Towarzystwa rolniczego.

Muchanow, główny sprawca, że zezwolono na zawiązanie Towarzystwa rolniczego, czuł się moralnie wobec rządu za nie odpowiedzialnym i tem baczniej śledził za wszystkiem, co się w łonie jego dzieje, szczególniej od czasu, gdy się rozpoczęły manifestacye. Wiedział on i widział doskonale, kto się narzuca na doradcę i kierownika jego ulubionego dziecięcia. (*Giller* otwarcie powiada, że czerwoni starali się wciągnąć Towarzystwo rolnicze do swoich zamiarów, skłonić je do założenia protestu przeciw wszelkim obostrzeniom ze strony rządu, i w końcu doprowadzić do podania adresu do cesarza).

Odpowiedziano więc czerwonym, że towarzystwo nie może narażać swego istnienia i do pewnego stopnia powierzonych sobie interesów kraju. Ono zajmuje się przeważnie sprawami ekonomicznemi i rolniczemi, a wszelkie inne sprawy nie wchodzą w zakres działania Towarzystwa.

Odpowiedź ta, a szczególniej ton, w którym była dana, wywołała oburzenie czerwonych, natychmiast więc postanowiono przekonać szlachtę, że oni „czerwoni" nie są żywiołem tak nieznaczącym w kraju, jak sądzą ci „urodzeni wodzowie i kierownicy

społeczeństwa, którym jakoby powierzone zostały jego interesy!" że oni, chociaż młodzi i niedoświadczeni, jednak przedstawiają siłę, z którą koniecznie liczyć się potrzebują nietylko „zmartwiałe męty, osad i pleśń narodu", lecz nawet i rząd, dzierżący w ręku władzę.

Uchwalono więc zerwanie stosunków z białymi wszelkich odcieni i wywołanie wielkiej jakiejś manifestacyi. Omówiono jej plan ostateczny i gorączkowo przystąpiono do jego wykonania

Stan średni, burżuazya warszawska, wiedząc o zamysłach młodzieży i widząc całe ich niebezpieczeństwo i cel chybiony, głośno się odzywali, że obowiązkiem jest starszych zapobiedz i niedopuścić do wykonania tego, co uważają za szkodliwe dla kraju. Należy więc przedewszystkiem uspokoić zapalonych, a to się nie da uskutecznić inaczej, jak tylko przez wystosowanie adresu do cesarza; a więc napisać adres i wysłać go do Petersburga bez względu, co powiedzą na to hr. Zamoyski, Towarzystwo rolnicze, oraz ich satelici, zebrani w Warszawie.

Gdy jednak przyszło do zredagowania adresu, nie umiano dać sobie rady; zbierano się bez przerwy rozprawiano i radzono hałaśliwie, jednak do żadnego praktycznego rezultatu nie doprowadzono. Wybrano komitet, lecz i ten adresu nie zredagował.

Wśród tych daremnych usiłowań różnych kół, a po części i Towarzystwa rolniczego, pewnego dnia przybył do Kraszewskiego Zygmunt hr. Wielopolski, najstarszy syn margrabiego, z oświadczeniem, „że po mieście obiega pogłoska, jakoby jakieś grono osób układało adres do cesarza, i nie może się zgodzić na jego ostateczną decyzyę. Tymczasem, każda chwila jest drogą, czerwoni wszystko mogą sparaliżować przez manifestacyę, z którą zamierzają wystąpić w dniu 25 lutego; na wypracowanie tak ważnego aktu niema dosyć czasu i spokoju, taka rzecz nie da się napisać na kolanie. Otóż on, w imie-

niu ojca oświadcza, że adres taki jest, od dawna spokojnie obmyślany i napisany, że gdyby ten adres zyskał uznanie i został przyjęty, margrabia gotów z nim jechać do Petersburga i ręczy wszystkim za pomyślny skutek."

Kraszewski przyrzekł zwołać w tym celu swoich znajomych.

Jak to urządził, czy zaraz, czy nazajutrz, dokładnie nie wiadomo; w każdym razie nie zwłóczył, gdyż czasu nie było do stracenia.

Adres margrabiego, była to obszerna praca, w której wiersz każdy, niemal frazes i słowo każde, było obmyślane i rozważone. Praca nie dnia jednego ani miesiąca, ale praca lat całych, rozpoczęta jeszcze w 1856 roku, a ukończona w dopiero co opisane chwile burzliwe. Adres zaczynał się od wyrażenia monarsze głębokiej wdzięczności za wszystko, nadane Polakom od czasu jego pierwszej bytności w kraju. Następnie upraszał o puszczenie w niepamięć przeszłości, o zaufanie szczerym intencyom ludności, a tylko z daleka i delikatnie wspominał, że miejscowe władze Królestwa nie w zupełności zastosowały się do wspaniałomyślnych obietnic, wypowiedzianych przez cesarza dnia 27 maja 1856 r. w Łazienkach, i dlatego dotychczas kraj nie posiada właściwego organu, za pośrednictwem którego mógłby przedstawić monarsze swe żywotne potrzeby, i który mógłby być tych potrzeb orędownikiem u tronu. — (*Lisicki* tom II, str. 24—37).

Zebrani u Kraszewskiego zauważyli, że mimo wielu znakomitych zalet, w adresie margrabiego jest potępienie 1830 roku, jakkolwiek, nie bardzo surowe ale stanowcze; zawsze potępienie, na które Polakowi trudno się zgodzić i to jeszcze w jakiej chwili? gdy w kraju gotują się do powstania stokroć nieoględniejszego i nieroztropniejszego, a jednak znajdują szerokie i gorące poparcie... tak, że należy się spodziewać, że powstanie prędzej do skutku przyjdzie, jak nie... Chyba, żeby to jakoś zmienić, zła-

godzić, albo najlepiej zupełnie opuścić te wszystkie niedogodne ustępy?...

— Ani zmienić, ani wyrzucić nic się nie da, gdyż cała praca stanowi organiczną całość, którą w całości przyjąć, albo też odrzucić można — oświadczył obecny na zebraniu syn margrabiego.

— A więc próżna dalsza dyskusya, gdyż to nie doprowadzi do żadnego rezultatu — odezwał się ktoś z obecnych.

Hr. Zygmunt odebrał adres i wrócił do domu. Wszakże dumny i uparty margrabia, przyzwyczajony od dawna iść na przebój w życiu, nie opuścił rąk po tem pierwszem niepowodzeniu i spróbował szczęścia u białych. Łączyły go dosyć ścisłe stosunki z Tomaszem hr. Potockim, więc poprosił go o toż samo o co prosił Kraszewskiego, to jest by zebrał kółko swych poważniejszych znajomych i odczytał im przygotowany adres. Potocki zaprosił, kogo uznał za stosowne i posłał do margrabiego po adres, lecz ten osobiście przybył do hr. Tomasza. Gospodarz nie wprowadził go jednak na zebranie, lecz sam przedstawił tę pracę zgromadzonym. Rozpoczęła się dyskusya; uwagi przeważnie były niechętne; gdy jednak projekt znalazł także zwolenników, gorące rozprawy trwały do 4 rano. Ostatecznie większość oświadczyła się przeciw adresowi.

Margrabia oczekiwał wyniku w gabinecie gospodarza.

— Robiłem, co mogłem, bracie! i wszystko na próżno! — rzekł gospodarz, wchodząc o piątej rano do dobrowolnego więźnia. Na twarzy Wielopolskiego nie drgnął żaden muskuł, nie przemknął nawet cień jakiegoś niezadowolenia lub wzruszenia. Milcząc, włożył papier do kieszeni i, uścisnąwszy rękę gospodarza, odjechał [1]). W myśli atoli dodał:

---

[1]) W *Wiestniku Europy* za luty 1881 r. i dziele swem o Wielopolskim, Spasowicz na podstawie opowiadań Jurgen-

„stało się; w domu, między swoimi wszystkich dróg próbowałem, napróżno; teraz nie pozostaje nic innego, jak pomówić z Moskalami."

Tymczasem generał Jołszyn, naczelnik trzeciego okręgu żandarmskiego, uwiadomiony przez żonę swą Polkę o wielu rzeczach, które się działy, lub które się przygotowywały w mieście, ostrzegł namiestnika, że na 25 lutego przygotowuje się jakaś demonstracya na polach Grochowa, jakiś obchód żałobny na ogromną skalę, i doradzał, by zawczasu obmyśleć kroki w celu niedopuszczenia do tej demonstracyi.

Gorczakow zaraz posłał po szefa tajnej policyi, i zapytał o co tylko otrzymaną, wiadomość. Generał Paulucci, od pewnego czasu zachowujący się nader dwuznacznie, niewiadomo, czy wiedział co, lub czy też zupełnie nie wiedział o tem, co się przygotowywało, upewnił wszakże Gorczakowa, „że wszystko jest spokojne, a strachy są wytworem bujnej imaginacyi Jołszyna [1]).

---

sa podaje: że u Tomasza Potockiego na długo przedtem zbierali się mężowie zaufania w liczbie 16, wybrani z Towarzystwa rolniczego, dla rozpatrywania i decydowania wszystkiego, co się odnosiło do działalności partyi czerwonych w kraju. Ciż sami mężowie zaufania rozpatrywali i adres Wielopolskiego, wszakże na zebraniu tem było kilka innych, wybitniejszych osób zaproszonych przez Potockiego. — *Lisicki*, „Le marquis Wielopolski", tom II, str. 129—140 i *Jeziorański*, „Pamiętniki", tom I, str. 42—44, mówią, że Potocki przedstawił i bronił projektu adresu w mieszkaniu hrabiego Andrzeja dnia 27 lutego 1861 roku. *Jeziorański* dalej przytacza, że Wielopolski, gdy mu powiedziano, że projekt jego nie został przyjęty, miał się odezwać: „postąpili głupio i niepraktycznie. Adres jakiego im się zachciewa, obrazi cesarza... w żaden sposób nie chcą zrozumieć, że panowanie ich chwilowe, a zwycięstwo ich to tylko pozorna wygrana i nic więcej!" *Lisicki* dodaje, że Wielopolski przytem powiedział: „Towarzystwa rolniczego nie ocalą i kraj zgubią!"

[1]) Margrabia Amilkar Paulucci, rodem z Włoch i katolik, po ukończeniu nauk na uniwersytecie w Modenie

Na takie zaręczenie Paulucciego, Gorczakow oświadczył Jołszynowi, że obowiązkiem żandarmeryi jest zapobieganie rzeczywistości, a bynajmniej nie wymyślanie płonnych strachów.

Po wysłuchaniu takiej wymówki, Jołszyn podał się do dymisyi i został uwolniony dnia 20 lutego 1861 roku z pozostawieniem w polowym audytorya-

---

i następnie w tamtejszej wojennej akademii, zaciągnął się do wojska Modeńskiego, z którego przeszedł do służby rosyjskiej, wszakże poddaństwa rosyjskiego nie przyjął. Zamianowany oficerem w 21-szym roku życia, brał udział w wojnie polskiej, i za odznaczenie się w boju został przeniesiony do gwardyi. We wrześniu 1832 roku zostaje adjutantem generał-adjutanta hr. Kreutza, dowódzcy drugiego korpusu armii, z przeniesieniem do linii. W 1836 roku, za wyszczególnienie się w służbie, ponownie zaliczony do gwardyi, z pozostawieniem na tem samem stanowisku, na którem w 1844 roku dosłużył się stopnia kapitana gwardyi.

W tym czasie zawakowała posada szefa tajnej policyi w Warszawie. Paskiewicz, wiedząc już z doświadczenia, jak dobre usługi na takich stanowiskach oddają cudzoziemcy, zaproponował Paulucciemu objęcie tej posady. Paulucci oświadczył, że najchętniej przyjąłby ten obowiązek, lecz wzgląd na żyjącą jeszcze we Włoszech staruszkę matkę, zmusza go na razie do nieprzyjęcia propozycyi. — Przecież wiecznie żyć nie będzie — powiedział feldmarszałek i nie obsadzał opróżnionej posady. Gdy w 1845 r. sztab drugiego korpusu opuszczał Warszawę, Paskiewicz przeniósł Paulucciego do głównego sztabu czynnej armii. W miesiąc potem Paulucci zameldował namiestnikowi, że właśnie otrzymał wiadomość o śmierci matki, i że od tej chwili jest na rozkazy księcia feldmarszałka; wskutek czego tegoż samego dnia został zamianowany urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy głównodowodzącym (5 czerwca 1845 r.). W tym charakterze odbył przy boku Paskiewicza kampanię węgierską, i następnie wrócił do Warszawy, spełniając wszelkie dawane mu poruczenia gorliwie, pomysłowo i ogłędnie, za co, oprócz stopnia pułkownika, otrzymywał liczne ordery od wszystkich trzech dworów rozbiorowych

Gdy ks. Gorczakow został namiestnikiem i naczelnym wodzem pierwszej armii (w marcu 1856 roku), Paulucci pozostał na dawnem stanowisku, lecz znacznie osłabł w gorliwości. Mimo to miał zaufanie swego nowego przełożonego, w sierpniu 1856 r. awansował na generała.

cie (*Gazeta Rządowa Królestwa Polskiego* 1861 rok, nr 61, str. 378) [1]).

Jednakże Kotzebuemu, Muchanowowi i oberpolicmajstrowi miasta Warszawy udało się przekonać księcia Gorczakowa, że w mieście przygotowuje się żałobna manifestacya na dzień 25 lutego. Gorczakow zapytał Petersburg, jak się ma zachować w razie, gdyby projektowane na polach Grochowa nabożeństwo miało przyjść do skutku? — Podobno odpowiedź miała brzmieć: „Niech się modlą za swoich, a wy odprawcie nabożeństwo za naszych poległych".

O odpowiedzi tej, prawdziwej czy zmyślonej, wnet wieść rozbiegła się po mieście. Rosyanie zastanawiali się, w jaki to sposób uda sie w jednem miejscu urządzić jednocześnie nabożeństwo dwóch różnych wyznań i w imieniu dwóch różnych narodo-

---

Po pierwszych manifestacyach 1859 roku zaczął okazywać szczególniejszą opieszałość a nawet wprost kokietowanie z Polakami, gdy jednocześnie jego właściwa ojczyzna, nowe Włochy, podawały rękę wszelkim rewolucyonistom świata, a zatem i polskim.

Raz w rozmowie z generałem Sawinem odezwał się: „A co? jacy Polacy! ciekawym, co teraz z nimi zrobicie?" — Dlaczego nie powiadasz „zrobimy" — zauważył Sawin. — Bo jestem Włochem, złożyłem waszą służbową przysięgę, lecz nie przyjąłem waszego poddaństwa!

W końcu Paulucci tak się stał opieszałym w służbie, że rząd był zmuszony dodać mu pomocnika w osobie pewnego Podwysockiego, który w 1853 i 1854 służył w armii południowej, lecz, wskutek podejrzeń wydalony z wojska, dostał się do komisyi wyznań i oświaty w Warszawie, gdzie rozkazem namiestnika z dnia 24 maja 1861 roku powołany został na to nowe stanowisko.

[1]) Następnie generał Jołszyn został komendantem Dynaburga, lecz i tam mu się nie wiodło. W kwietniu 1863 wysłał z nieliczną eskortą transport broni i amunicyi który pod wsią Krzesławką został zabrany przez powstańców. Murawiew nieoględnego komendanta oddał pod sąd wojenny, czem Jołszyn tak się zirytował, że ze wzruszenia śmiertelnie zachorował i już z tej choroby nie wyszedł.

wości? Rozprawiano o tem i w rosyjskim klubie. Lecz sama przyroda przyszła w pomoc rozwiązaniu tego trudnego zadania. Wskutek silnej odwilży, lód na Wiśle w wielu miejscach ruszył, z czego korzystając policya nakazała sprowadzenie mostu łyżwowego. W istocie 23 lutego Wisła ruszyła i komunikacya między Warszawą a Pragą została przerwaną. Wówczas to Jurgens przeniósł pole działania na Stare Miasto, owo tradycyjne „serce Warszawy“, jak się wyraża Aweyde.

Jest jakaś powaga w tem Starem Mieście miasta Warszawy. Tutaj początki dawnej, starożytnej Warszawy, stolicy książąt mazowieckich. Lubownik starożytności przepędzić tam może niejedną godzinę na rozglądaniu się po tych oryginalnych, wysokich a wązkich domach, po tych szczególnych przyczółkach, bogatych w różne starożytne ozdoby i postacie świętych. Domy te ścieśniają się w cztery ściany równoległoboku, na którym skupiały się przed laty—główne życie i ruch stolicy. Wejścia do tych domów o dwóch, a nawet o jednem oknie, przypominają raczej furtki forteczne niż drzwi nowoczesne, tak są zamczysto a zarazem sztucznie i ozdobnie okute. Nad każdem wejściem umieszczone jakieś godło: okręt, lew, krzyż... wszystko to niegdyś bywało świadkiem lepszej, świetniejszej przeszłości, niepowrotnych, sławnych czasów Polski. Nic więc dziwnego, że każdy Polak, biały czy czerwony, pogodzony lub oporny Rosyi, jeśli w piersi nosi serce a nie kawał drzewa, gdy się znajdzie na rynku Starego Miasta, doznaje dziwnego uczucia; z martwych powstaje przeszłość jego, w oczach się roją, Bóg wie, jakie widziadła i marzenia, a łza wilży powieki.

Rosyanie zaś mogą przypomnieć, że na tym placu rozległo się właśnie sławne „słyszę“ Tarasa Bulby. (Z powieści małoruskiej M. Gogola).

Obecnie Stare Miasto jest sobie zwykłym ryńkiem, zapełnionym osobliwszymi sklepikami i stra-

ganami przekupek i tandeciarzy. Gwar i krzyki przekupniów i drobnych handlarzy wszystko zagłuszają. Ruch tam wre ciągły od rana do nocy. Na środku placu wznosi się statua Syreny z szablą w ręku, herb miasta Warszawy, godło, zdobiące wszelkie miejskie studnie i fontanny. I tu Syrena chroni wodotrysku.

Warszawianie prawdziwie kochają się w swem Starem Mieście; mieszkańcy tej części miasta, tak już przywykli do swych mieszkań, że prawie się z niemi nie rozstają. Gdy o św. Janie, lub św. Michale, zwykłych terminach wynajmowania mieszkań, ulice Warszawy roją się od wozów, przewożących meble i ruchomości — Stare Miasto wcale nie odczuwa tej gorączki, w niem niezamącony spokój panuje.

Zrozumiemy więc dlaczego, gdy wyprawa na pola Grochowa napotkała na niezwalczone przeszkody, Jurgens się zwrócił do Starego Miasta.

Gdy wreszcie do grona przywódców przyłączył się wypuszczony dnia 20 lutego z cytadeli Karol Majewski, cały ruch jeszcze się bardziej ożywił. W całej Warszawie mówiono o przygotowującej się manifestacyi, jakby o jakim balu publicznym. Z rąk do rąk przechodziło następujące drukowane wezwanie:

„Wzywamy was, bracia, do jak najliczniejszego zebrania się dnia 25 lutego, w poniedziałek o godzinie pół do szóstej wieczorem na rynku Starego Miasta, w celu uroczystego obchodu trzydziestoletniej rocznicy zwycięstwa Polaków na polach Grochowa"!

Odezwę tę nietylko rozdawano przechodniom, lecz i rozlepiano po rogach ulic tak jawnie, że policya przyłapała na gorącym uczynku ucznia szkoły sztuk pięknych, z pędzlem, klajstrem i odezwami.

Zdawałoby się więc, że rząd z wszelką łatwością mógł przeszkodzić manifestacyi. Wszak najdokładniej było wiadomem, gdzie, kiedy i co ma nastąpić.

Lecz książę Gorczakow dla jakichś wyższych względów nie kazał zaczepiać nikogo, ani dochodzić źródła odezw, oczekując biernie rozwoju dalszych wydarzeń [1]).

Policya już i bez tego silnie zdemoralizowana, widząc takie folgowanie rządu opuściła zupełnie ręce i dozwoliła wysłańcom Jurgensa i Majewskiego uprzątnąć z rynku wszystkie żydowskie budki, jatki i stragany, wszystkie stoły, ławy i koszyki. Oberpolicmajster, nauczony świeżym przykładem generała Jołszyna, machnął na wszystko ręką i ani troszczył się o to, co się działo na Starem Mieście.

Ku wieczorowi tłumy ludu ze wszech stron popłynęły na rynek, i gdy wkrótce w natłoku ruszyć się prawie nie można było, wówczas wystąpiła policya, wzywając przybyłych do rozejścia się. Ma się rozumieć, że nikt nie myślał o usłuchaniu wezwania. Łobuzy wdawali się z policyantami w dysputy. Gdy zapytywał którego: „Czego tu stoisz"? odbierał odpowiedź. „A sam czego stoisz"?—„Ruszaj, nie wolno się zatrzymywać"—„Cóż to? niewolno stać na ulicy! a gdzież to napisano"?

Podobne przekomarzania toczyły się na różnych punktach, często wśród żartów i poufałej rozmowy samychże policyantów z publicznością, którzy także byli radzi, że się coś „na złość Moskalom" urządza, jak wtedy powszechnie mówiono.

Zresztą należy dodać, że w tych warunkach, nawet przy najlepszych chęciach, policya była za słabą, by coś poradzić mogła. Na kilkotysięczne, ciągle wzrastające tłumy, cóż znaczyła setka poli-

---

[1]) Hrabia Kotzebue mówił autorowi, że na to postanowienie namiestnika głównie wpływały wskazówki jego stryjecznego brata, księcia kanclerza, który prawie w każdym swym liście powtarzał: *ne faites pas de ces petits désordres une question politique et diplomatique.*

cyantów; oni formalnie zniknęli w tem zbiegowisku [1]).

Podczas tego na Zamku naradzano się: „co robić“?

Oberpolicmajster radził wysłać stojące na placu zamkowym wojsko i rozpędzić zbiegowisko siłą. (Od ulicy Świętojańskiej do Zjazdu stał batalion piechoty, sotnia kozaków i dwa plutony żandarmów). Książe Gorczakow polecił wszakże oberpolicmajstrowi, by przedewszystkiem osobiście sprawdził, co się dzieje na Starem Mieście, i czy koniecznie potrzeba będzie uciec się do tak energicznych zarządzeń.

Pułkownik Trepow pojechał powozem, lecz znalazłszy się wśród zbiegowiska, wysiadł i śmiało wszedł w tłum. Powiadają, że spotkała go tam niemiła przygoda... czy naprawdę, na pewne twierdzić trudno — lecz zaraz po mieście przyśpiewywano, że:

Na Starem Mieście, przy wodotrysku,
Pan policmajster dostał po pysku!

Ma się rozumieć, że pułkownik wrócił pośpiesznie na Zamek i doniósł namiestnikowi, że bez użycia siły porządek nie da się przywrócić.

Wówczas dopiero książę Gorczakow upoważnił go do rozpędzenia tłumów przy pomocy żandarmów.

W tym samym czasie kierownicy manifestacyi: bracia Frankowscy, Szachowski, Nowakowski, Wasilewski (naczelni przywódcy, jak: Jurgens, Majewwski, Godlewski nie pokazywali się wśród tłumów), w otoczeniu co najrezolutniejszych i roztropniejszych rzemieślników i czeladzi, wyruszyli procesyą

---

[1]) W początkach 1861 r. skład policyi wynosił: stójkowych 500; podoficerów 27; wachmistrzów 6; naczelnik, oficer sztabowy 1; rewirowych 120; komisarzy 11 — razem 665 ludzi. (Ze źródeł urzędowych).

z kościoła księży Paulinów (róg Freta i Długiej) ku rynkowi, poprzedzani chorągwią narodową (którą niósł szewc Poradowski) i drugą z wyobrażeniem Matki Boskiej Częstochowskiej, oraz innemi chorągwiami o barwach narodowych. Śpiew patryotyczny i po raz pierwszy rozwinięty sztandar z białym orłem, wywołały entuzyazm nie do opisania. Wszystko rzuciło się ku chorągwi. Policyanci, którzy w tej chwili poczuli się takimiż Polakami, jako zebrane tłumy, dali pokój ulicznikom i zespolili się uczuciami, a nawet okrzykami z ludem, który zwolna, poprzedzany sztandarem, ruszył w kierunku ulicy Świętojańskiej ku Zamkowi. U Zapiecka, na początku ulicy Świętojańskiej, tłum spotkał się z żandarmami Trepowa. Nastąpiło krwawe starcie. Chorągiew, wyrwaną Poradowskiemu, podjął student Przesmycki, od którego ją ostatecznie odebrano. W końcu tłum ustąpił, pozostawiając na placu, jako trofea, połamane chorągwie i niedopalone pochodnie. U ośmiu uwięzionych, między którymi nie było nikogo z wybitniejszych osobistości, znaleziono proklamacye Mierosławskiego i portrety Kilińskiego, szewca i pułkownika Kościuszkowskiego, ofiarowane „braciom rzemieślnikom i braciom chłopkom na pamiątkę uroczystego obchodu zwycięstwa, odniesionego przed 30-stu laty nad Rosyanami, przez ojców ich na polach Grochowa".

Niepomyślny rezultat wystąpienia nie zniechęcił wcale manifestantów. Postanowili powtórzyć widowisko dnia 27-go lutego, urządzając procesyę z Leszna przez Stare Miasto, ulicę Świętojańską ku Zamkowi, dalsze działanie pozostawiając okolicznościom.

Nie drukowano ani też nie rozlepiano żadnych wezwań, tylko ustnie wydano hasła, gdzie należało. Tymczasem zaś z oburzeniem powtarzano o barbarzyństwie Rosyan, napadających i mordujących bezbronnych ludzi. Na wzór Węgrów z 1848 roku, nastrzępiono cylindry na znak żałoby.

Policya dowiedziała się jednak, że się coś przygotowuje u Karmelitów na Lesznie. Postawiono tam straże, a gdy lud zaczął się gromadzić, oberpolicmajster udał się osobiście na Zamek i zażądał od namiestnika rozkazów.

Polecono mu, by z plutonem piechoty i z oddziałem policyi stanął przy kościele Karmelitów na Lesznie. Jeśli się tam będzie odprawiać tylko żałobne nabożeństwo, chociażby z towarzyszeniem hymnów patryotycznych, to nie przeszkadzać i nikogo nie zaczepiać. W razie wyruszenia procesyi, postępować za nią spokojnie.

Gdy się to działo na mieście, Towarzystwo rolnicze odbywało swe obrady w pałacu Namiestnikowskim. Prezes Towarzystwa, uważając, że położenie nie jest zupełnie bezpieczne, a przytem chcąc okazać, że się Towarzystwo nie łączy z ulicznemi zajściami, zażądał [1]) od namiestnika ochrony wojskowej, na wypadek najścia Towarzystwa z ulicy, czego się obawiano. Namiestnik polecił oberpolicmajstrowi uczynić zadosyć temu żądaniu.

Trepow wysłał do pałacu Namiestnikowskiego batalion piechoty i kilku żandarmów z ordonanshauzu, sam zaś udał się na Leszno, jak miał polecone.

Gdy przybył na miejsce, kościół był już natłoczony publicznością: studenci, akademicy, uczniowie różnych szkół, rzemieślnicy i młodzież cywilna w żałobie. Odprawiało się nabożeństwo za poległych w 1831 roku Nie zaszło nic podburzającego. Jedynie zaczęto śpiewać bez księży suplikacye, potem jakąś antyfonę do Matki Boskiej. Po skończonem nabożeństwie, kilkanaście głosów krzyknęło: „Obywatele miejscy i wiejscy, wiwat! Dziękujemy wam!“ Zaraz jednak ktoś stłumił okrzyki uwagą, że to kościół. Hymnów zupełnie nie śpiewano.

---

[1]) Fałsz. — *Przypisek tłómacza.*

Po nabożeństwie, koło godziny jedenastej, lud wyruszył z kościoła w procesyi z kościelnemi chorągwiami, kierując się przez Przejazd na ulicę Długą. Kierownicy (także nie główni) wołali na przechodniów: „Panowie! prosimy na środek!" Spotykanych w powozach proszono, by wysiedli i szli za procesyą; wielu zastosowywało się do żądania. W ten sposób tłum postępujący wciąż wzrastał. Na Lesznie nie było więcej jak tysiąc osób; gdy się zbliżali do Długiej, już się zebrało do trzech tysięcy, w końcu obliczano tłum na sześć tysięcy ludzi.

Za procesyą, podług polecenia namiestnika, postępował pluton piechoty.

Z ulicy Długiej procesya skręciła na Gołębią i tu, uszykowawszy się przed kościołem księży Paulinów, zaintonowała *Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny!* Wszyscy obecni odkryli głowy. Toż samo zrobili żołnierze eskortujący procesyę [1]). Ze śpiewem tym ruszono na Stare Miasto, gdzie z któregoś okna podano duży obraz Matki Boskiej. W ulicy Świętojańskiej rozdawano z okien krzyżyki i obrazki świętych; młodzież zawieszała je na laskach i niosła potem na ramieniu.

W zamku wiedziano o zbliżającej się procesyi i nakazano na placu zamkowym ustawić się wojsku, w sile batalionu piechoty i sotni kozaków, którymi dowodził Asauł Zawarow [2]).

---

[1]) Zeznanie Boguckiego, adjunkta z drugiego cyrkułu, złożone w sprawie „o zajściach z dnia 27 lutego 1861 roku w Warszawie". Dalszy opis przeważnie zaczerpnięty jest z tychże aktów, zawierających zeznania i sprawozdania różnych osób.

[2]) Pułkownik Krywonosow zapisuje w swym dzienniku, że Gorczakow nie otrzymał z Petersburga ścisłych instrukcyi, jak ma postąpić w razie ponownych zbiegowisk. Podobno na depeszę, donoszącą o zajściach z dn. 25 lutego, otrzymał odpowiedź: „Dobrze. Wydaj zarządzenia, jakie uznasz za konieczne. Oczekuję dalszych wiadomości". Trudno wszakże powstrzymać się od uwagi i zapytania: Po co

Gdy procecya znalazła się u wylotu ulicy św. Jana, zagrodził jej drogę Asauł Zawarow z pół sotnią kozaków i wezwał lud do rozejścia się. Zawarow przemawiał po polsku jak umiał, lecz nie chciano go słuchać i pchano się naprzód. Manifestacya zmieniła charakter; procesya znikła bez śladu, pozostał lud, tłoczący się ku kolumnie Zygmunta i Krakowskiemu Przedmieściu, gdzie chciano zapytać obradujące w pałacu Namiestnikowskim Towarzystwo rolnicze, czy to prawda, że zażądało ono ochrony wojskowej w obawie napaści własnych swych współrodaków?

Zawarow widząc, że upomnienia skutku nie odnoszą, wydał rozkaz przypuścić na lud atak nahajkami (*udarit' w nagajki*). Tłum jednak tak był w ulicy stłoczony, że nahajki nic poradzić nie mogły. Lud nieco się cofnął i stał nieruchomy. Na przodzie stało trzech jegomościów z obrazami, między którymi i ów obraz Matki Boskiej ze Starego Miasta Zawarow nakazał kozakom odebrać te obrazy. Przy starciu, jakie nastąpiło, jeden ołtarzyk upadł i rozbił się na kawałki, dwa drugie gdzieś zniknęły, i znów wobec kozaków stał tłum ludu ścianą nieruchomą.

Może po kwadransie oddzieliła się z tłumu gromadka młodych ludzi, z powierzchowności wyglądających na wiejskich obywateli, i zbliżywszy się do Zawarowa, prosili o przepuszczenie ich na Krakowskie Przedmieście, gdyż podążają na posiedzenie Towarzystwa rolniczego, jako członkowie tegoż. Zawarow ich puścił, za nimi przeskoczyło kilkunastu innych, nie żądając już pozwolenia, i podążyło do tłumów, zebranych po drugiej stronie placu Zamkowego, przed kościołem księży Bernardynów, i śpiewających *Boże coś Polskę!*

---

te instrukcye na każdym kroku? Paskiewicz nikogo nie pytał o takie drobnostki, ale, i tylko w razie zajść ważniejszych, donosił cesarzowi, jak i dlaczego co zarządził.

Dla rozpędzenia tego drugiego zbiegowiska, Zawarow posłał drugą pół-sotnię swych kozaków z uriadnikiem Czernobrowym.

Zaraz za kościołem OO. Bernardynów wznoszono wówczas gmach Resursy obywetelskiej. Na ulicy leżały stosy cegły i kamieni, przygotowane do budowy. Kozaków przywitał tłum tymi materyałami przy głośnym okrzyku „hura!" Czernobrow nadto zdał raport, że ktoś na kozaków rzucił butelką, podaną sobie z kościoła.

Po siedmiokrotnem uderzeniu na tłumy, kozacy przyszli do przekonania, że są za słabi, nietylko do rozpędzenia coraz to liczniej napływającego ludu, ale nawet do utrzymania go na wodzy.

Tego dnia w kościele OO. Bernardynów odbywał się pogrzeb urzędnika Łempickiego. Przed głównem wejściem do kościoła stał przygotowany karawan. Gdy wyniesiono trumnę z ciałem nieboszczyka i ustawiono na marach, wysunął się przed karawan dziadek kościelny z krzyżem i ksiądz, prowadzący kondukt. Kierownicy zaburzeń skorzystali z tego i przyłączyli się do pogrzebu, który ruszył przy śpiewie hymnów, przez kościół przepisanych.

Lecz kozacy Czernobrowa i przysłani im z pomocą w pół sotni Reutowa mieli wyraźny rozkaz nie przepuszczania żadnej procesyi. Zabiegli więc drogę konduktowi, przyczem i ksiądz i dziadek z krzyżem oberwali po plecach. Artyści manifestacyjni natychmiast skorzystali z tego i wnet rozległy się krzyki, pełne zgrozy i oburzenia: „Krzyże nam łamią, bezczeszczą świętość!" Słowa te w jednej chwili przebiegły ulicę i rozeszły się dalej, a krzyż złamany figuruje jako godło na medalach, broszurach i chorągwiach powstańczych.

W istocie zaś, w tym dniu nie połamano nigdzie krzyża. Na dowód cytujemy z powyżej już przytoczonych aktów zeznania tych, którzy nieśli krzyże. Prawda i szczerość malują się w każdem ich słowie. I tak: dziadek kościelny, dymisyonowa-

ny żołnierz byłych wojsk polskich, 70-letni Franciszek Rosiński zeznaje: „Skropił mnie (kozak) parę razy przez plecy nahajką, w krzyż atoli nie uderzył i nic z niego nie utrącił“. Braciszek kapucyn, Roger Zawistowski, oświadcza: „Na krzyżu, który ja niosłem, odbito dwa ciernie z korony Pana Jezusa i palec wielki u prawej ręki Pana Jezusa, czego wprzódy nigdy nie dostrzegłem“. Na dowód, że tak się stało, jak mówił, okazał komisyi krzyż z świeżo ułamanemi częściami.

Obaj zeznający towarzyszyli pogrzebowi na Powązki, niosąc w ręku krzyże też same, z którymi wyszli z kościoła, a które wrzekomo miały być połamane.

Dano znać namiestnikowi o położeniu kozaków przed kościołem OO. Bernardynów. Ten kazał wysłać jeszcze jeden pluton kozaków z sztabskapitanem Dołhijewem, a gdy to nie pomogło, polecił dowódcy muromskiego pułku, pułkownikowi Hartoungowi, by z dwoma kompaniami piechoty oczyścił ulicę. Była godzina druga po południu.

Hartoung poprowadził wojsko obydwoma chodnikami, lecz zaledwie zrównało się ono z kościołem OO. Bernardynów, kolumna, idąca lewym chodnikiem, została osypana kamieniami i błotem z za sztachet żelaznych, otaczających dzwonnicę, i z samej dzwonnicy—w końcu zaś od tłumu, skupionego przed głównym odwachem. Mimo to piechota oczyściła ulicę aż do miejsca, gdzie się ulica zwężała, a gdzie obecnie znajduje się skwer, na miejscu zburzonych domów Malcza i innych. Wówczas pogrzeb mógł się ruszyć i, postępując tuż za wojskiem, doszedł do figury Matki Boskiej.

O jakie dwadzieścia kroków dalej wznosił się, występując na ulicę, trzypiętrowy dom Orgelbranda, znany powszechnie pod imieniem domu Malcza, za którym aż do kościoła księży Karmelitów ciągnął się szereg domów, formujący z domami po drugiej stronie, gdzie się mieściły: apteka Hakebeila,

hotel Saski i cukiernia Clotin'a, owo sławne wązkie Krakowskie Przedmieście, miejsce zgonu jeszcze sławniejszych pięciu ofiar.

Tu atoli musimy na chwilę przerwać ciąg opowiadania i sprawdzić, co się jednocześnie działo w Towarzystwie rolniczem, które od kilku dni było zebrane na walne ogólne zgromadzenie.

Jako pierwszy przedmiot obrad, narzucało się z samej natury rzeczy naprężone położenie miasta, wynikłe wskutek dziwnej i niewytłomaczonej pobłażliwości władzy wobec czerwonego warcholstwa. Należało jaknajprędzej zdecydować się „co robić?" jakie stanowisko wobec manifestacyi zająć? Gorętsza część zgromadzonych odzywała się, „że jeśli i teraz, według zwyczaju, zaczną rozprawiać bez końca i nie powezmą jakich stanowczych postanowień i to natychmiast, na tem jeszcze posiedzeniu, to rzeczy mogą wziąć zły obrót. Rząd widocznie unika wszelkiego energicznego wystąpienia; igra z ogniem; lud, z trudem dziś rozpędzony przez kozaków, zbierze się jutro, zbierze się pojutrze jeszcze w większych tłumach, i w końcu doprowadzi do starcia z wojskiem. Warszawa, a za nią kraj cały stanie wrogo wobec rządu; łagodnego i podatnego Gorczakowa zastąpi jaki inny, energiczniejszy generał, i wówczas wszystko dotychczas uzyskane, napowrót zostanie stracone, reformy powstrzymane i mogą wrócić czasy Mikołaja i Paskiewicza. Po przegranej kampani biali albo będą musieli na długo wyrzec się wszelkiego dodatniego działania dla kraju, albo też zmienić barwę i zbliżyć się do czerwonych i wraz z Szachowskimi [1]), Nowakowskimi i Frankowskimi zejść na ulicę i po kościołach śpiewać *Boże coś Polskę!* złączyć się z tymi, prze-

[1]) Obecnie profesor lwowskiego Uniwersytetu. (*Przyp. tłómacza*).

ciw którym na parę godzin przed tem zażądano [1]) od namiestnika wojskowej ochrony.

Bądź co bądź, należy temu zapobiedz; chociażby wysłać na zamek deputacyę z przedstawieniem, czego mianowicie domagają się czerwoni. W żądaniach tych zresztą niemasz nic strasznego, a sama próba poparcia tych żądań może najzbawienniejszy wpływ wywrzeć na wszystkie więcej umiarkowane żywioły w ich stronnictwie, na wielu z ich przewódców, którzy do niedawna byli prawie biali, a zwrócili się ku czerwonym jedynie dlatego, że widzieli brak zgody i harmonii w narodzie, wskutek lekceważenia przez białych usposobienia kraju.

Prezes, hr. Andrzej, zaczął oponować, wychodząc głównie z tej zasady, że „siła czerwonych tak długo jest siłą, dopóki rząd się nie ocknie; niepodobna zaś przypuszczać, by takie odrętwienie trwać miało wiecznie. Przypuszczając nawet, że Gorczakow się nie zmieni, to pozostaje jeszcze Petersburg; ztamtąd gdy nadejdą stanowcze rozkazy, w jednej chwili w całym kraju wszystko przybierze inną postać; znikną gdzieś te orły i chorągwie, te portrety Kilińskiego i Kościuszki, i odezwy Mierosławskiego.

— Ładnie się to wszystko mówi—odparł któryś z gorętszych—ale czyż nie widoczne, że Petersburg tak samo postępuje jak Gorczakow? [2]).

Wtem drzwi się otwierają i na saię wprowadzają członka Towarzystwa, Józefa Narzymskiego, znanego w Warszawie obywatela ziemskiego, hulakę, a dla swych zdolności i skrajnych przekonań mającego mir i wpływy w mieście. Narzymski brał czynny udział we wszystkich manifestacyach, znalazł się więc i wśród ostatniej, i pod kolumną Zy-

---

[1]) Nieprawda.—(*Przypisek tłómacza*)

[2]) Spisane z opowiadań pewnego Polaka, który brał udział osobiście w tem właśnie posiedzeniu Towarzystwa rolniczego.

gmuntowską oberwał od któregoś kozaka. Przyjaciele „artyści" wsadzili go do dorożki i przywieźli wprost na posiedzenie Towarzystwa. Tu go, zbroczonego krwią i jęczącego, posadzono na fotelu, i zaczęły się opowiadania o zajściach, które w czasie tym działy się na ulicach.

Dosyć było spojrzeć na całą tę scenę, by spostrzedz, co się po za nią ukrywa. Dostrzegł też tego wykwintny i dobrze wychowany hrabia Andrzej, i gdy opowiedziano z wszelkiemi szczegółami odyseę skrwawionego bohatera, smętnym głosem zapytał: „Czegoż chcecie panowie?"

— Żądamy — odpowiedzieli otaczający ofiarę — wysłania deputacyi do Zamku, któraby przedstawiła namiestnikowi w należytem świetle stan naszej sprawy; napad wojsk na lud bezbronny; znieważenie świętości; poranienie licznych, niewinnych i spokojnych przechodniów, i zażądała ochrony od podobnych napaści.

Na to hrabia odpowiedział tymże smutnym, przytłumionym głosem: że Towarzystwo rolnicze nie ma prawa mieszać się do zarządu miasta, że dla podobnych spraw ustanowione są inne instytucye, np. Ratusz, dokąd właściwie należałoby zawieźć rannego a nie tutaj, do Towarzystwa rolniczego [1]).

— Przecież to obywatel ziemski i członek Towarzystwa — zakrzyczały liczne głosy z opozycyi — to nasz brat, czyż nie mamy ująć się za nim?

— Jeśli to nasz członek, to powinien był tu być z nami, a nie leźć wraz z młokosami w awanturę z wojskiem. Gdyby tu był, nicby mu się nie stało [2]).

---

[1]) W Warszawie nazywają zwykle ratuszem zarząd oberpolicmajstra, umieszczony w gmachu ratuszowym. Ztąd: „Odstawić na ratusz;" wzięli do ratusza," znaczy to samo, co gdzieindziej do „policyi."

[2]) Niedokładne. — (*Przypisek tłómacza*).

Słowo „młokosy," wypowiedziane do tego w rozdrażnieniu, dotknęło do żywego agitatorów, którzy wraz z Narzymskim dostali się na salę. Odpowiedzieli też hrabiemu bardzo ostro, do nich przyłączyły się dosyć liczne głosy czerwonych członków Towarzystwa. Hrabia usłyszał wyraźne przytyki: że przyjaźń i stosunki z Rosyanami muszą dla każdego porządnego Polaka mieć pewne, ściśle określone granice, i że są pewne obowiązki, które winne być wyższe nad obawę skompromitowania się wobec kogokolwiek; że są czasy, wymagające od każdego, który się czuje Polakiem, ofiar, bez względu na obóz, do którego należy!...

Hrabia, pozwoliwszy się wygadać wszystkim „patryotom" Towarzystwa, oświadczył zgromadzonym spokojnie ale stanowczo: że nie obawa przed kompromitacyą wobec władz rosyjskich, lecz wprost poczucie przyzwoitości zmusza go do odmówienia żądaniu tych panów jakiegokolwiek wdania się w ich sprawy. Gotów jest każdej chwili udać się do namiestnika, gdy tego będą wymagały okoliczności, lecz deputacyi za nic nie wyszle, gdyż nie widzi dostatecznych ku temu powodów.. Co zaś do jego patryotyzmu, to sądzi, że o nim nie wątpią ci, co go znają.

Powiadają (?), że wówczas miały się mu wyrwać słowa: „chcecie, żebym przewodniczył burdzie? Nigdy!"

Na to powstał bałas, większy niż przedtem. Jedni popierali hrabiego, inni dowodzili, że potrzeba koniecznie wysłać do Zamku deputacyę; że bez tego rzeczy muszą się koniecznie skończyć katastrofą, po której wszelkie deputacye będą już nie na czasie, a nawet dziwne.

Hrabia chciał coś jeszcze przemówić i wzywał dzwonkiem do porządku, lecz widząc, że nie może uspokoić krzykaczy, zamknął obrady i z częścią obecnych opuścił pałac Namiestnikowski, udając się z bramy na lewo, ku swojemu domowi. Inni zwró-

cili na prawo — zobaczyć, co się też rzeczywiście dzieje przed Bernardynami. Między tymi, główną osobą, koło której grupowały się czerwieńsze żywioły Towarzystwa, był Marceli Karczewski, obywatel, dochodzący siedemdziesiątki, lecz gwałtowniejszy i burzliwszy od niejednego młodzika. Garstka ta poszła, bardzo być może, bez najmniejszego zamiaru brania czynnego udziału w zajściu. Lecz niezwykły ruch na ulicy, widok kozaków i żołnierzy ucierających się z ludem, posłyszane głosy o znieważeniu świątyni, podziałały podniecająco na gorączkowo usposobionych: Karczewskiego i jego towarzyszy. Zaczęli pomagać manifestantom — czem kto mógł, Karczewski zaś mianowicie miał urządzić z dorożek barykadę naprzeciw gmachu poczty.

Gdy się to działo w Towarzystwie rolniczem i na ulicach, wyszedł z Zamku człowiek, który miał się stać historyczną postacią dnia tego; był to dyżurny generał głównego sztabu pierwszej armii, generał Zabłockij. Wyszedł, pomieszany i wzburzony. Panujący na Zamku rozgardyasz, to niezrozumiałe pomieszanie namiestnika i całego jego otoczenia, te ustawiczne *ordre'y* i *contre-Ordre'y* — tak nań wpłynęły, że zupełnie nie pojmował, co się wokoło niego dzieje i co właściwie należałoby robić. To, co spostrzegł na mieście: Plac Zamkowy i Krakowskie-Przedmieście zapełnione wzburzonym ludem; zatrwożone oblicza oficerów, uganiających kozaków, wogóle zamieszanie, jakie bywa tylko przed wkroczeniem nieprzyjaciela do miasta—wszystko to jeszcze bardziej zawróciło głowę generałowi: stracił wszelkie poczucie — zapomniał kim jest i gdzie się znajduje; zapomniał, że w głównym sztabie leżą zapieczętowane rozkazy z najdokładniejszą i stanowczą dla każdego naczelnika instrukcyą, co ma robić

na wypadek alarmu. — Wprawdzie alarmu jeszcze nie było, lecz można się było każdej chwili go spodziewać, tembardziej, że słyszał, jak na Zamku rozprawiano, że najskuteczniejby było zaalarmować miasto i załogę, lecz namiestnik na to się nie zgodził... Generałowi zdało się — niewiedzieć zkąd i dlaczego — że on potrzebny głównie tu, na ulicy, dla wydania zarządzeń, objęcia dowództwa; że dla przywrócenia porządku za mało jest wojska, że wahanie się z jego strony i opuszczenie stosownej do działania chwili sprowadzi jeszcze większe zaburzenia i nieporządki. Pod wpływem takich rozumowań, generał bezwiednie znalazł się w manežu pałacu Prymasowskiego, gdzie na wszelki wypadek była skonsygnowana kompania piechoty. Zabołockij, zabrawszy tę kompanię, ruszył z nią Kozią ulicą na Krakowskie Przedmieście. Tam uszykował ją na placyku przed starą pocztą, (gdzie obecnie wznosi się dom Szajblera), lecz wnet spostrzegł, że w tym punkcie niema nic do czynienia. Na ulicy gdzieniegdzie stały kupki ludu, kozacy snuli się tam i na powrót, niebezpieczeństwo nikomu nie zagrażało. Wyprowadziwszy wszakże raz wojsko, należało mu znaleźć jakieś zajęcie. Na Zamku jeszcze generał słyszał, że manifestanci starają się dostać do Towarzystwa rolniczego, i że to zażądało od namiestnika ochrony wojskowej; gdy spostrzegł w stronie Namiestnikowskiego pałacu jakieś poruszenie na ulicy, przypomniał to sobie, poprowadził więc tam swoją kompanię wojska, lecz i tu spostrzegł, że jest niepotrzebny: na dziedzińcu za kratami stał uszykowany cały batalion piechoty i o napadaniu nań nikt nie myślał.

Generał zawrócił napowrót i dla zoryentowawania zatrzymał się na rogu ulicy Czystej, gdzie przestał blizko pół godziny. Tutaj podeszli do niego jacyś oficerowie i opowiedzieli mu o starciu ludu z kozakami przy głównej strażnicy. Generał machinalnie poprowadził swą kompanię w tę stronę.

Naprzeciw ulicy Bednarskiej stał w poprzek ulicy wóz bez koni, naładowany cegłą, oraz kilka zestawionych dorożek, coś w rodzaju barykady, o której potem mówiono, że ją urządził Karczewski. Nie mogąc postępować środkiem ulicy, generał skierował swych żołnierzy na chodnik, koło cukierni Clotin'a i dalej. Gdy wyszli na szerokie Krakowskie Przedmieście, Zabołockij spostrzegł przed sobą kolumnę wojska a za nią postępujący karawan. Był to już powyżej opisany pogrzeb Łempickiego. Iść dalej nie było poco; generał więc uszykował swą kompanię wzdłuż chodnika od apteki Hakebeila do przejścia na uliczkę Kozią, dziś już nieistniejącego. Przez cały czas, gdy żołnierze Zabołockiego postępowali gęsiego chodnikiem, z przeciwnej strony ulicy sypał się na nich grad kamieni, a jeszcze więcej, gdy żołnierze się uszykowali. Głównie sypały się kamienie z pośród tłumu ludu, skupionego przy domu Malcza. Kilka kamieni rzucono z drugiego piętra tegoż domu.

Tymczasem kolumna Hartounga i Fenchav'a, wraz z postępującym za nią karawanem, dotarła do wązkiego Krakowskiego-Przedmieścia. Dla oczyszczenia jej drogi, generał posłał dwóch kozaków, by rozpędzili dorożki, tworzące barykadę. Kozacy wszakże nic nie mogli poradzić, gdyż tłum niedopuszczał ich do dorożek. Jeden kozak został ciężko raniony kamieniem i sam Zabołockij dostał kamieniem w plecy. To go wzburzyło, nakazał żołnierzom oczyścić ulicę bagnetami, a gdy lud nie ustępował i z każdą chwilą stawał się śmielszy i groźniejszy, generał ostrzegł, że każe strzelać. Odpowiedziano mu śmiechem i drwinami, krzyczano: „Niemasz prawa! Napoleon nie pozwolił!"

Na to Zabołockij zakomenderował, by broń nabito, lecz nie pozwolił nakładać kapsli i ponownie oświadczył, „że każe strzelać", jeśli nie oczyszczą ulicy. Posłyszano ponownie tęż samą odpowiedź

i sypnięto kamieniami. Naraz któryś z żołnierzy zawołał: „strzelają, strzelają!"

Wystrzału tego na pewno, stanowczo, nikt nie słyszał i, jak się zdaje, wcale go nie było. Mimo to okrzyk „strzelają, strzelają" rozległ się wśród wojska i rozstrzygnął sprawę. Generał zakomenderował „ognia." Kapsle jakoś same się znalazły na kominkach i strzały huknęły, skierowane częścią w dom Malcza, częścią zaś wzdłuż ulicy. Wojsko do tego stopnia było rozdrażnione, że kolumna Fenchav'a, gdy usłyszała strzały, bez rozkazu zaczęła broń nabijać.

Strzelał jeden pluton, postawiony naprzeciw domu Malcza. Strzały do domu poprostu były zemstą żołnierzy za rzucane ztamtąd kamienie, nikt wszakże w domu tym nie zginął, a nawet na 23 strzały zaledwie pięć szyb wybito. Lecz na ulicy, naprzeciw poczty i dalej padło pięciu ludzi i drugie tyle było rannych. Ulica w jednej chwili opustoszała; świadkowie tej sceny opowiadają, że to się stało jakby za dotknięciem laseczki czarnoksięskiej. Jedni kryli się do bramy i na dziedziniec, inni uciekali do otwartych sklepów i magazynów lub w boczną ulicę Kozią i Trembacką. Dorożkarze zacięli konie — i barykada znikła. Wtedy kolumna Hartounga i Fenshave'a przeszły swobodnie i, dotarłszy do ulicy Czystej, wróciły do Zamku, gdyż nie miały już co robić na ulicach. Karawan z nieboszczykiem pędem skręcił na ulicę Trębacką, i dopiero na Bielańskiej połączył się z księżmi i procesyą pogrzebową.

Według źródeł oficyalnych—zamieszanie w tej chwili było tak wielkie, że na razie nie spostrzeżono, gdzie się podział karawan. To spowodowało późniejsze gawędy, że cały pogrzeb był udany i że manifestanci urządzali pogrzeb rosyjskiemu rządowi. Generał Ratez, wydrukował to nawet jako fakt stwierdzony. My wszakże zapewniamy czytelników, że to był najprawdziwszy pogrzeb urzędnika Józefa

Łempickiego, o którym zawczasu było ogłoszenie w numerze 54 *Kuryera Warszawskiego*, a w oktawę, w numerze 62 *Kuryera*, zaproszenie na nabożeństwo żałobne.

Na Zamku, gdy usłyszano wystrzały, namiestnik wyszedł do sali audyencyonalnej, zapełnionej od rana do późnej nocy tłumem wojskowych różnych stopni i broni, oczekujących na rozkazy księcia. — „Kto i gdzie strzela?" — Ktoś odpowiedział, że strzelają przy domu Malcza, na Krakowskiem Przedmieściu. Namiestnik wysłał natychmiast generała Weselickiego, by się dowiedział szczegółowo o wszystkiem, co zaszło, i zaraz go uwiadomił. Weselicki, przypędziwszy konno do domu Malcza i dowiedziawszy się o wszystkiem, zaczął robić Zabołockiemu wyrzuty za takie samowolne postępowanie. Zabołockij na to ofuknął się gniewnie: „Nie panu będę zdawać sprawę!"

Weselickij uznał za stosowne przerwać dalsze wyjaśnienia.

Tymczasem na Zamku rozeszła się pogłoska, że buntownicy z domu Malcza strzelali do wojska, i wojsko tylko odpowiedziało. Gorczakow przywołał generał-kwatermistrza Siemekę, kazał mu wziąć kompanię piechoty z dziedzińca zamkowego i jeżeli sprawdzi się wieść, że w istocie strzelano z domu Malcza, otoczyć ten dom i uwięzić wszystkich, których tam znajdzie. Siemeka natychmiast wyruszył z wojskiem, lecz, nie doszedłszy do kościoła Bernardynów, spotkał Zabołockiego, prowadzącego z obnażoną szablą swą kompanię. Ten dowiedziawszy się, z czem Siemeka został wysłany, powiedział: „Uspokój się, to nie z domu Malcza, to ja strzelałem." (Autorowi opowiadał o tem sam generał Siemeka). Poczem obaj wrócili do Zamku, kompanię zaś swoją Zabołockij odesłał do pałacu Prymasowskiego, gdzie zaraz obliczono wystrzelone ładunki.—Padło 55 strzałów.

Obaj generałowie weszli do salonu, poło-

żonego między salą audyencyonalną a gabinetem namiestnika, i tam spotkali księcia Gorczakowa. Siemeka pozostawił Zabołockiemu przedstawienie namiestnikowi przebiegu całej sprawy, w której tak czynny i poważny wziął udział. Zabołockij opowiedział wszystko, co zaszło: krzyki i pogróżki manifestantów, drwiny i obelgi skierowane do wojska, wreszcie rzucanie kamieniami. „Spróbowawszy wszystkich środków perswazyi i uspokojenia, dodał generał, i przekonawszy się, że one żadnego skutku nie odnoszą, kazałem strzelać!"

— *Parfaitement fait!* — mruknął namiestnik i wrócił do swego gabinetu. (Z opowiadania generała Siemeki, który stał obok księcia Gorczakowa). Zabołockij zaś wrócił do sali audyencyonalnej, gdzie ponownie opowiedział zebranym całe zajście i uskarżał się na ból w krzyżach od uderzenia. Radzono mu, by wracał do domu i przywołał zaraz lekarza. On wyszedł zupełnie spokojny i pewny siebie, ani domyślając się, jakie znaczenie mogą mieć u księcia Gorczakowa, słowa: *parfaitement fait.*

Tymczasem lud znów się zaczął gromadzić koło poczty. Inni rzucili się podejmować zabitych i rannych. Na rogu ulicy Bernardyńskiej podniesiono Karczewskiego, dającego jeszcze oznaki życia. Wsadzono go do dorożki i powieziono do jego mieszkania w hotelu Smoleńskim; tam go jednak nie chciano przyjąć, komuś więc przyszło na myśl zawieźć go do sióstr Kunke, mieszkających w domu Malcza, które utrzymywały tam magazyn mód i znane były z gorących swych uczuć patryotycznych. U nich też, mimo natychmiast danego ratunku z apteki Hakebeila, Karczewski wyzionął ducha.

Tam też przywieziono jeszcze dwa trupy: Rutkowskiego, obywatela ziemskiego, i Brendla, robotnika z jakiejś fabryki żelaza. Czwartego zabitego, Arcichiewicza, ucznia gimnazyum realnego, odwieziono do domu rodziców, mieszkających w pałacu hrabiego Andrzeja Zamoyskiego. Piątego trupa

nie zdołano dnia tego rozpoznać, później sprawdzono, że to był Adamkiewicz, robotnik przy budującym się moście na Wiśle.

Tego ostatniego trupa zamierzano zawieźć do Zamku dla pokazania go namiestnikowi i zaniesienia zarazem skargi na oburzające postępowanie wojska, lecz kozacy zawrócili dorożkę z trupem przy kolumnie Zygmunta, nie dopuszczając do Zamku. Udano się i z tym trupem do sióstr Kunke, lecz te oświadczyły, że mają już dosyć trzech zabitych i więcej u siebie nie przyjmą. Wiozący więc trupa, w otoczeniu już znacznego zbiegowiska ludu, po krótkiej naradzie skierowali się do hotelu Europejskiego. Tłum wynosił już do tysiąca osób, wykrzykiwano do spotykanych: „Czapki z głowy, cześć ofiarom" — wszyscy szli z odkrytemi głowami. Zabołockiego głośno łajano i przeklinano. Później przezwano go duc d'Orgelbrand od domu Orgelbranda czyli Malcza, przy którym się wsławił.

Wówczas zarządzał hotelem Europejskim Niemiec Knoll. Ten na razie chciał się sprzeciwić złożeniu trupa, lecz nikt go nie usłuchał. Wniesiono ciało na korytarz i zażądano odpowiedniego lokalu. Jeden ze współwłaścicieli hotelu, Wambach, podówczas obecny na miejscu, rozkazał dać salon narożny na II piętrze, oznaczony numerem 64 (obecnie 82) i przeznaczony dla koncertów i innych zebrań, a więc zwykle niezajęty. Tam tedy, około godziny czwartej po południu, złożono na materacu, przykrytym czystą bielizną, ciało Adamkiewicza czy Brendla.

Komuś przyszła myśl, ażeby tam przenieść trupy innych. Stało się to w nader prosty sposób: zbito na prędce po kilka desek i z niemi udano się do domu Malcza, do sióstr Kunke. Trupy umieszczono na zaimprowizowanych noszach i uroczyście przeniesiono do hotelu Europejskiego. Tłum, złożony z paru tysięcy osób, był już widocznie kierowany przez praktyków paryskich z 1848 roku,

którzy doskonale oceniali wrażenie takiego wystąpienia.

Przyniesionych, z wyjątkiem Arcichiewicza, który pozostał u rodziców w domu Andrzeja hr. Zamoyskiego, ułożono w tymże 64-tym numerze rzędem na materacach, przykrytych białemi prześcieradłami. Hotel Europejski stawał się jednym z historycznych gmachów miasta Warszawy.

Od tej chwili zapanowało w mieście coś zupełnie niezwykłego.

Naprzód, z rozporządzenia jakiejś tajemniczej władzy, obito czarnym kirem ściany salonu, w którym ciała były złożone. W pałacu hrabiego Zamoyskiego okryto czarnym suknem drzwi, prowadzące z dziedzińca do mieszkania Arcichiewiczów, na co właściciel zezwolić musiał [1]).

U wejścia do numeru, w którym złożono zabitych, ustawiono straż honorową, złożoną ze studentów akademii medycznej, którzy pilnowali porządku, wojskowych zaś wpuszczali z pewną trudnością i po dosyć długich parlamentowaniach [2]). Wojskowi zresztą, przejęci duchem i nastrojem Zamku, spokornieli i pozwalali na wszystko; nic nie słyszeli, niczego nie dostrzegli i nic należycie nie rozumieli. Jeśli się zdarzały wyjątki od tego ogólnego prawidła, to bardzo i bardzo nieliczne.

Ktoś dostarczył do hotelu kilka skrzyń czarnej krepy, pociętej już na kawałki, ile potrzeba do zrobienia przepaski na ramieniu. Wszystkim Polakom przewiązywano krepę na lewem ramieniu. Toż samo wnet powtórzyło się na ulicach. Jacyś ludzie zapytywali przechodniów: „Czyś pan Polak?" Na potwierdzającą odpowiedź mówiono: „Daj pan lewe ramię." Ręka się przeciągała i znak żałoby został

---

[1]) Notatki pułkownika Dobrodiejewa, dyrektora departamentu w zarządzie oberpolicmajstra miasta Warszawy.

[2]) Tamże.

nawiązany. Do wieczora cała Warszawa nosiła już tę odznakę.

Mimowoli nasuwa się pytanie, co robił rząd? policya? Jak się to stało, że ciała zabitych w starciu ludu z wojskiem, pozostawiono w rękach tłumu? Czego rząd się uląkł? Na te pytania zapewne i sam Gorczakow gdyby wstał z martwych, nie potrafiłby dać odpowiedzi. Zdarzyło się tu, jak bywa wszędzie; szczególniej jednak podobne objawy właściwe są rosyjskim, bezmyślnym i chaotycznym rządom, u których za nic nie można ręczyć i za nic brać odpowiedzialności.

W kronice Warszawy i jej polsko-rosyjskich dziejów zanosiło się na coś niesłychanie dziwnego i niewytłomaczonego. Waryaci i smarkacze, których niedawno starsi, w ostateczności, chcieli (?) wydać w ręce władzy, jako ludzi zaburzających publiczny spokój i porządek, jako przeszkodę w powodzeniu sprawy, naraz przemienili się w bohaterów, wodzów i kierowników miasta i kraju całego! Nieoczekiwany i nieprawdopodobny sukces ich manifestacyi; niesłychane zwycięstwo nad władzą; jakiś cud nadprzyrodzony przez nich zdziałany — dowiodły najlepiej, że oni jedynie pojmowali charakter rządzących i nastrój chwili; że oni jedynie wiedzą, „jak i co robić;" ich więc jedynie słuchać należy. „Jak rzymskie gęsi obnoszono ich w tryumfie po mieście, przy odgłosie trąb i okrzyków" — powiada Aweyde.

Zapewne, że w smutnym tym objawie nie małą rolę odegrała i znana lekkomyślność warszawskiej ludności. Nigdzie bowiem niema tylu waryatów co w Polsce i nigdzie obłęd nie jest tak łatwo zaraźliwym, ogarniając w jednej chwili wszystko i wszystkich. Przeraził się i stracił głowę Zamek, nastąpił chaos w zarządzeniach władz i urzędów drugo i trzeciorzędnych, straciło głowę i miasto, niepomne, że w jednej chwili wszystko mogło przybrać zupełnie inną postać. Nie dziś, to jutro, jeśli nie Gorczakow, to kto inny z tych „rzymskich gęsi" może

przyrządzić najzwyczajniejsze rosyjskie pieczyste... nad tem nikt się nie zastanowił, nikt ani pomyślał o położeniu tamy waryacyi. Wszyscy się tylko cieszyli jak dzieci; jak długa i szeroka Warszawa, wszyscy literalnie wyszli z równowagi. Z rana byli w niej jeszcze ludzie, zdrowo zapatrujący się na rzeczy, wieczorem—nie było już ani jednego. Hrabia Andrzej, patrząc z wysokości swego gabinetu przy Nowym Świecie na ten rozgardyasz, zrozumiał dopiero, jak był naiwny i niedomyślny, gdy, przemawiając do swych towarzyszy, wyrzekł uroczyście: „Pamiętajmy, abyśmy nic takiego nie popełnili, przez co byśmy zasłużyli, aby być nieszczęśliwymi!...“ Słowa stwierdzone drukiem. (*Czas* z 1879 roku Nr. 226, str. 1, szpalta 2). Co miał teraz robić w tym wirze, porywającym wszystkich za sobą, w tym ogólnym zamęcie waryacyi i lekkomyślności? Myślał długo i ważył, w końcu stracił głowę jak wszyscy.

Jest w Warszawie, niedaleko Rymarskiego placu, niepokaźna, jednopiętrowa, popielata kamienica, wznosząca się w głębi dziedzińca a raczej placyku, i prawie niewidzialna po za innemi budynkami. Domek cichy, odosobniony; po obu stronach wznoszą się tak zwane oficyny, a w głębi sam korpus domu. Jest to zwykła postać dawnych, polskich pałaców [1]).

Opisany powyżej dom czy pałac, była to skromna Resursa Kupiecka do której schodzili się wieczorami, jak zwykle do klubu, mieszkańcy średnich warstw towarzystwa, czyli wszystko, co było najbardziej żywe, myślące i czynne z pomiędzy ludno-

---

[1]) Widok tego pałacu podał *Tygodnik illustrowany* z 1870 r., Nr. 151, str. 245.

ści warszawskiej. Innego klubu polskiego podówczas nie było; obywatelską, właściwie szlachecką resursę, dopiero budowano.

Do rewolucyi 1830 r. uczęszczali tam wszyscy. Szary domek, który zresztą był wcale wygodnie urządzony i posiadał obszerną balową salę, cichy był tylko zdaleka i powierzchownie, wewnątrz widział on i słyszał o wiele więcej, niż inne świetne i wspaniałe pałace.

Tu między innemi, zadziwił i zastanowił pułkownika Kickiego niezwykły jakiś wyraz, malujący się na obliczach podchorążych, którzy zjawili się na balu, dawanym dnia 27 listopada 1830 r. *(Mochnacki.* „Powstanie narodu polskiego 1830 — 31", tom II, str. 316, edycya poznańska z 1865 r).

Jakieżby teraz nasunęły się myśli pułkownikowi Kickiemu, gdyby podobnie jak wtedy, znalazł się w znanej mu resursie dnia 27 lutego 1861 r.? Ileż to nienaturalnego, niezwykłego i nieodgadnionego dostrzegłby na obliczach ludzi, krążących tam, nie garstkami, jak ci, którzy weszli z Nabielakiem, lecz tak zwartemi tłumami, że się zdawało, jakoby resursa dawała przyjęcie dla całej Warszawy.

Podwoje na oścież stały otworem. Tłum wchodził i wychodził. Lica jaśniały. Rozmowa i gwar były nie do pojęcia. Dzierżawca monopolu tytuniowego, bankier Kronenberg, kazał podawać bezpłatnie najrozmaitsze trunki, cygara i papierosy; jego też głos wszędzie było słychać.

W jednej starej, zakopconej i pamiętającej Bóg wie jakie czasy sali zebrało się dla omówienia kwestyi, niecierpiącej zwłoki, wszystko, co się tylko w stronnictwie ruchu uważało za starsze i bardziej wpływowe [1]). Było tam i całe mieszczaństwo, któ-

---

[1]) *Gazeta Narodowa* z 1878 r. Nr. 83, str. 2, szp. 5, pisze: „W Nicei dnia 5 kwietnia umarł najbogatszy z bankierów warszawskich Leopold Kronenberg. Zmarły liczył 66

re słuchało Jurgensa i Denela, i różni inni, którzy w ostatnich dniach z nimi się połączyli, a którzy właściwie do żadnej partyi nie należeli; przyszło też wielu innych menerów i oratorów z różnych kół i kółeczek. Wszystkim chciało się odgrywać historyczną rolę, ukazać się na widowni w chwili... tak wielkiej. Wszystkim się zdawało, że chwila ta w rzeczy samej nadeszła.

Gdy chaotyczny zgiełk i wrzawa, nieuniknione przy podobnych zebraniach, nieco ucichły, uchwalono wysłanie deputacyi do Zamku, któraby przedstawiła namiestnikowi we właściwem świetle smutny fakt napaści wojska na lud bezbronny i prosiła go o wysadzenie śledztwa dla zbadania czynności generała Zabłockiego. Deputacya, czyli, jak mówią Polacy, delegacya składała się z następujących osób: ze stanu duchownego kanonicy: ksiądz Józef Wyszyński i ksiądz Józef Stecki; z obywatelstwa: Jakób Piotrowski; z kółka literatów: Ignacy Józef Kraszewski i Józef Kenig; ze stanu wojskowego: Józef Lewiński, generał b. w. p.; ze świata finansowego, bankierowie: Leopold Kronenberg i Mathias Rosen; dr. Tytus Chałubiński; prezes kongregacyi kupieckiej Ksawery Szlenkier; fotograf Karol Bajer; adwokat August Trzetrzewiński; starszy cechu szewckiego Stanisław Hiszpański i znany już z rewolucyi 1848 r. w Krakowie, jako zwolennik zbliżenia Żydów z Polakami, starszy rabin Beer Majzels [1]).

łat wieku, a przez całe życie zajmował nadzwyczaj wpływowe stanowisko. W r. 1861, po wypadkach lutowych, gdy obywatele zebrali się w resursie Kupieckiej, on pierwszy wpadł na pomysł wysłania deputacyi do ks Gorczakowa na rzecz reform instytucyi Królestwa Polskiego. On także pierwszy dał pomysł do utworzenia delegacyi miejskiej i straży bezpieczeństwa i był jednym z przewodców ruchu narodowego w 1861 r.

[1]) O wyborze delegacyi: *Giller* tom IV, str. 175. Spasowicz opowiada nieco inaczej o wyborze miejskiej delegacyi. Patrz *Życie i polityka margrabiego Wielopolskiego* str. 115.

Ale nim jeszcze złożono tę delegacyę, najpoważniejsze osoby z miasta zdołały się już dostać do zamku, a między niemi w pierwszym rzędzie: ksiądz arcybiskup Fijałkowski, Tomasz hr. Potocki i Andrzej hr. Zamoyski, którzy przybyli do księcia Gorczakowa około godziny 8-ej wieczorem. Opowiadano, że gdy w rozmowie książę Gorczakow zagroził, że każe dać ognia ze wszystkich dział cytadeli, ksiądz arcybiskup miał odpowiedzieć: „A ja każę uderzyć we wszystkie dzwony".

Na Zamku wszystko się zmieniło od czasu, gdyśmy go opuścili. Księcia Gorczakowa, który tak lekko i spokojnie oświadczył Zabołockiemu: *parfaitement fait*, niktby nie poznał. Biegał po salonach przerażony i przybity jak nigdy, i zdawało się, że szuka tylko kogoś, na kim z ufnością mógłby się oprzeć, a chociażby spotkać się z jakiemś sympatycznem i wlewającem otuchę spojrzeniem. Nic takiego i nikogo nie spotykał koło siebie, jak gdyby wszystko, co było obdarzone zdrowym rozsądkiem, charakterem i cywilną odwagą, wymarło i zniknęło. Czuł się coraz bardziej opuszczonym i osamotnionym, bez wszelkiej pomocy i pociechy. Były to może najstraszniejsze chwile w życiu tego człowieka. Cierpiał, cierpiał straszliwie, straciwszy bezmyślnie w bitwie nad Czarną dziesięć tysięcy godnych podziwu, walecznych, żądnych walki, jak jakiej zabawy, bohaterów; rwał się sam naprzód, chcąc razem z nimi zginąć. Jeszcze bardziej cierpiał, oddając wrogowi Sewastopol; łzy nieraz zawisły na jego starych powiekach... lecz tam przynajmniej miał tę pocieszającą wymówkę, że ustępował przed przewagą czterech państw sprzymierzonych. Lecz teraz, ustępstwo, przed kim? Komu oddawano, nieobległany przez nikogo „Sewastopol"? I jak się to wszystko spełniło w jednej chwili, nagle — a zarazem nie do darowania głupio? Biedny, godny pożałowania staruszek, chwytał się co chwila za głowę, powtarza-

jąc machinalnie: *donnez moi reflechir!* (Od jego adjutanta pułkownika Fenshave'a).

Parfaitement fait Zabłocki przedstawiał się i teraz księciu w zupełnie innem świetle: to był burzyciel porządku, nadużywający swej władzy; człowiek, którego należałoby przykładnie ukarać. Podzielało to usposobienie księcia Gorczakowa i całe jego otoczenie — ciż sami ludzie, którzy przed kilkoma godzinami z taką ciekawością słuchali jego opowiadania o strzałach, potakując mu i wysyłając go z taką przyjacielską troskliwością do doktora. Teraz to wszystko oburzyło się i rzuciło się na starego generała. I co mówili o nim na burzliwem zebraniu w Kupieckiej resursie polscy zapaleńcy, podnieceni i tłumem i roznoszonym kronenbergowskim węgrzynem, to samo powtarzali na Zamku zupełnie nie zagorzali Rosyanie, którzy od rana i kropli wina nie pokosztowali.

W taką chwilę przybyła do Zamku pierwsza, arystokratyczna deputacya. Członkowie jej w jednej chwili z wyrazu twarzy uprzejmie spotykającej ją świty namiestnika, spostrzegli, jaka zmiana musiała zajść w usposobieniu przedstawiciela najwyższej władzy w kraju; przybrali też natychmiast ton wojowniczy i poufały. Książę Gorczakow usłyszał od nich tyle i takich rzeczy, jakich od nikogo nie słyszał żaden namiestnik na świecie! Dziwnie zwłaszcza zachowywał się hrabia Tomasz Potocki, jak zgodnie zapewniają naoczni świadkowie tej sceny.

Gdyby jedno takie słowo, jakich dziesiątki nagadał wtedy nieostrożny i uniesiony magnat, zostało wyrzeczone w Zamku w przytomności zmarłego feldmarszałka; gdyby jedno tylko... mój Boże! Ale za feldmarszałka niby się podobnego nie stało; i manifestacyi nie byłoby, i niebyłoby do kogo strzelać, i delegacyi by nie obierano. Hrabia Skarbek (*Dzieje Polski* t. III, str. 187) zapewnia, że Gorczakow, jak wszyscy ludzie słabego charakteru, spotkał tych panów ostremi wyrazami: „Dam się raczej

na kawałki posiekać, a nie ustąpię przed buntownikami." Nie upłynęło wszakże paru godzin, a porobił Bóg wie ile i jakich ustępstw. *Lisicki* (tom I, str. 145) powiada, że na zapytanie księcia „cóż mam teraz robić?" hrabia Zamoyski miał odpowiedzieć: „Wynosić się ztąd."

O godzinie 10-ej w nocy przybyła deputacya z resursy w strojach, jak kto był ubrany na zgromadzeniu. Przyjęta, jak i pierwsza, w mniejszej sali przed gabinetem namiestnika Na lewo u okna stanął Szlenkier, z nim w jednym rzędzie na prawo Kronenberg, następnie księża: Wyszyński i Stecki. Za nimi ugrupowali się inni. Szewc Hiszpański stanął zupełnie z tyłu, przy drzwiach wchodowych. (Opowiadanie generała Siemeki).

Książę Gorczakow wszedł w towarzystwie Muchanowa i przemówił dosyć surowym głosem: *Un malheur est arrivé! — Un grand malheur*"— powtórzył Szlenkier, podnosząc głos. Zmieszało to księcia, zmienił więc ton i prosił o wyłuszczenie celu przybycia deputacyi. Kilku członków przemawiało jeden po drugim. Treść tych przemówień zawierała krótki rys rannych wypadków, zaszłych na Krakowskiem-Przedmieściu, poczem mówiono o nadzwyczajnem rozdrażnieniu umysłów w mieście, o konieczności użycia najenergiczniejszych środków celem uniknięcia smutnych następstw.. Dr. Chałubiński w gorączkowem przemówieniu między innemi rzeczami, powiedział: *la corporation des bouchers est prête à marcher contre vos canons et demain si les corps des saintes victimes ne sont pas rendus à la ville pour y être solennellement ensevelis, vous marcherez dans notre sang jusq'aux genoux!* (Siemeka i Fenshave). Fotograf Bajer w prywatnym jednym liście tak opisuje delegacyę resursy: „Byliśmy rozdrażnieni w najwyższym stopniu i nikomu nawet na myśl nie przyszło, że to właśnie wywoływało największe wrażenie. Audyencya trwała blizko godzinę i wszyscyśmy, albo razem, albo z osobna wypowiadali, cośmy mieli na

sercu, bez żadnych ogródek. Nikt z nas mieszczuchów, nie mówi dobrze po francusku. Wystąpił Szlenkier i wystąpił energicznie, za nimi inni, jak kto umiał, bądź po polsku, bądź po francusku lub wreszcie po niemiecku. Aleśmy wyszli z niczem. Nieco później, poświęcono nam Trepowa, dalej już wszystko poszło jak po maśle... przedstawiciele władzy stracili głowę, nie wiedząc co począć; wszyscy byli jacyś chwiejni i niezdecydowani; co dzisiaj było dobre, już jutro okazywało się do niczego; kto dziś był górą, jutro leciał na dół, na łeb na szyję!" *(Lisicki* I, str. 145—146).

Poczem Gorczakow zaczął wypowiadać takie urywkowe zdania, że żaden stenograf nie potrafiłby ich spisać i odszukać w nich myśli i wzajemnego związku. Muchanow starał się być słodkim jak cukierek. Potem nastąpiła zwyczajna rozmowa. Deputacya zapomniała prawie, że jest wysłanniczką, jeśli nie całego miasta, to przynajmniej znacznej części jego mieszkańców do przedstawiciela najwyższej władzy w kraju. Niestosowne stroje, te klubowe, domowe paltociki i katanki, a do tego niezwykły i niewłaściwy u wszelkiej władzy ton jakiejś obawy i wstydu; ten miły i uprzejmy Muchanow, jakim go nikt jeszcze i nigdzie nie widział; nocna pora—wszystko to nastrajało członków deputacyi dziwnie, bezceremonialnie, jak ich paltociki i katanki. Nic więc dziwnego, że człowiek prosty, bez salonowego ułożenia i wyższego wychowania, szewc Hiszpański, stracił niejako przytomność i świadomość siebie, widząc przed sobą władzę, wcale nie taką, jaką sobie z poza ubogiego swego warsztatu wyobrażał. On jeden wszelako z pomiędzy wszystkich miał słuszność i, mówiąc z namiestnikiem śmiało i poufale, nic niedorzecznego nie powiedział.

Kiedy książę, żegnając deputacyę po raz setny, powtórzył, że „wszystko się stało przez omyłkę, wskutek źle zrozumianego rozkazu; że ustano-

wiona w tym celu komisya wykryje, kto winien a kto nie winien, Hiszpański miał na to odpowiedzieć:

— Oto ja, mości książę, szewc jestem i mam kilkunastu czeladzi, ale jeśli z mego warsztatu wyjdą złe buty, nikt nie zapyta, który to niezręczny czeladnik towar zepsuł, ale powie: partacz Hiszpański!

— A zatem, według ciebie, ja jestem winien? —uśmiechając się, zapytał książę.

— Z przeproszeniem, nikt inny.

Ta odpowiedź, a może i co innego wówczas wypowiedzianego, zrobiła Hiszpańskiego popularnym. Nazwisko jego zaczęto powtarzać i każdy pragnął mieć jego fotografię. Do 1863 r. można było widzieć na Krakowskiem Przedmieściu ogromny jego portret fotograficzny, gdy on sam już był w Wiatce. Powiadano, że książę Gorczakow nazywał go małym Cavour'em i zapraszał do siebie na jakieś poufne rozmowy.

„Co stare, to i dzielne"...

Delegacya żegnając namiestnika, podała na piśmie, czy też wypowiedziała (dokładnie niewiadomo) prośbę, zawartą w następujących sześciu punktach:

1) Dozwolić pochować zabitych z odpowiednią uroczystością.

2) Na czas pogrzebu usunąć wojsko i policyę.

3. Uznać do ukończenia pogrzebu wybraną przez miasto delegacyę.

4) W miejsce pułkownika Trepowa mianować oberpolicmajstrem generała Paulucciego.

5) Uwolnić zaraz wszystkich uwięzionych z d. 27 lutego.

6) Dozwolić wysłania do Petersburga przez wybraną w tym celu deputacyę, adresu do cesarza.

Z wyjątkiem 4-go i 6-go, inne punkta natychmiast zostały przyjęte i namiestnik, żegnając delegacyę, przyrzekł, że do pierwszego zbiegowiska na

ulicy sam wyjdzie dla wysłuchania niezadowolonych [1]). Czyż nie było to toż samo, co wzywać ponownie lud przed Zamek?

W resursie, gdzie wszyscy oczekiwali niecierpliwie powrotu delegatów, spotkano ich z krzykiem uniesienia. Wszystkie oblicza jeszcze się bardziej rozpłomieniły, gdy delegaci powtórzyli to wszystko, co słyszeli i widzieli na Zamku, o tem co uzyskali na razie. Od tej chwili delegaci nie opuszczali resursy, nie rozbierali się i nie spali aż do pogrzebu pięciu ofiar, t. j. przeszło dwie doby z rzędu. W resursie wrzało; wszyscy naraz mówili; każdy wypowiadał swe zdanie i rady, co i jak działać na przyszłość, każdy podnosił niezwykłą doniosłość obecnej chwili, niewytłomaczoną bojaźń Rosyan. Najwięcej dowodził Chałubiński, nie spoczywający ani chwili.

W zamku po wyjściu delegacyi nastąpiła narada namiestnika z kilku wyższymi w hierarchii rządowej osobistościami, nad temi dwoma, postawionemi w zawieszeniu, punktami prośby, czy też żądania, tylko co pożegnanych gości. Zdecydowano się jeszcze na dalsze ustępstwa, przyjęto punkt czwarty. Namiestnik usunął Trepowa, lecz na jego miejsce naznaczył nie Paulucciego, jak tego żądała delegacya, lecz pułkownika Demoncal'a, który był przedtem naczelnikiem Warszawskiej straży pożarnej. Licząc na zamiłowanie warszawiaków do swej „straży ognio-

[1]) Zapiski pułkownika Dobrodiejowa. Aweyde tak opowiada o tej delegacyi i jej przyjęciu przez księcia Gorczakowa: „Namiestnik przyjął deputatów wahająco, był naprzemian to groźnym, to ustępującym, wszelako ciągle mu niedostawało stanowczego postanowienia. Na przedstawione mu żądania odpowiadał raz groźnie i odrzucał je, to znowu pochwalał i przyjmował Tak tedy, zmieniając wciąż ton i zachowanie, skończył na tem, jeśli się nie mylę, że na wszystko się zgodził i tem uznał się przez tłum zwyciężonym". Aweyde przytacza to z opowiadania drugich, gdyż w czasie tych wypadków nie był w Warszawie. *Spasowicz*, str. 116 powiada, że „przyjęcie przeciągnęło się do godziny wpół do 2-iej w nocy".

wej", spodziewano się, że jej naczelnik, Polak rodowity, a przynajmniej zupełnie spolszczały Francuz, będzie równie miły miastu, jak nieco zruszczały Włoch, Paulucci. Nadzieja ta wszakże zawiodła. Gdy prezydent miasta Andrau z polecenia namiestnika o godzinie 2-ej w nocy zawiadomił o tej nominacyi delegatów, stara dziatwa, straciwszy wszelką miarę w swych wymaganiach, zaczęła jeszcze bardziej domagać się Paulucciego, dowodząc, że on jako oddawna zamieszkały w Warszawie, jest dobrze wszystkim znany, a Demoncal, człek nowy, którego naprawdę nikt nie zna.

Dzieci były jak ta rybaczka, której mąż dostał nowe koryto — „Wróć i pokłoń się rybie"! — (Bajka rosyjska).

Nie było rady: Andrau udał się do Zamku i... rzecz nie do uwierzenia, książe jeszcze ustąpił. Ponieważ zaś rozkaz, tyczący się Demoncala, był już oddany i zmieniać go nie wypadało, wymyślano więc dla Paulucciego osobny tytuł: głównego naczelnika policyi z podporządkowaniem jego władzy oberpolicmajstra miasta Warszawy. Rozkaz był wydany jeszcze tej samej nocy. (Patrz numer 56 *Gazety Warszawskiej* z 1861 roku). Paulucci nazwany tam: Zawiadującym naczelnie warszawską policyą. Ogłoszono o tem w numerze 48 *Gazety urzędowej* Królestwa Polskiego z 1861 r. Dziwne, że oprócz tej nominacyi, żadnych innych opisów w gazecie nie było, ani o niepokojach w mieście, ani o strzałach Zabołockiego, ani o zatwierdzeniu przez namiestnika miejskiej delegacyi, ani o wysłaniu do cesarza adresu z osiemnastu tysiącami podpisów. Literalnie nie wspomniano o niczem, co wszakże przedewszystkiem powinno było służyć za materyał dla oficyalnej gazety. W epoce tej jeszcze w całem państwie panował wschodni system zatajania wszelkich niemiłych rzeczy przed czytającą publicznością, przed historyą, przed Europą, system, który niczego ukryć nie potrafił.

Uwolniony tedy Trepow, poobwijał się bandażami i położył do łóżka, jako ranny w dniu 25 lutego. Odwiedził go zaraz nazajutrz namiestnik ze swym szefem sztabu, generałem Kotzebue. Ten ostatni, opowiadając o tych odwiedzinach, dodawał zawsze, że sądząc z tego, co wówczas jemu i namiestnikowi nagadał Trepow, należałoby przypuszczać, że nie był zupełnie przytomnym.

Po kilku dniach Trepow zaczął wyjeżdżać, lecz zawsze obandażowany i tak nawet dał się fotografować u Bajera. Potem dostał się do Petersburga, odgrywał tam rolę pokrzywdzonego. Dnia 2 kwietnia 1861 roku cesarz awansował go na generała, zaliczył do wojsk zapasowych i udzielił całorocznego urlopu do wód zagranicznych. Nadto otrzymał dożywotnej pensyi 3,750 rubli srebrnych rocznie.

Na Paulucciego książę Gorczakow był zagniewany i gdy ostrzeżenia Jołszyna się sprawdziły, namiestnik chciał go nawet usunąć. Nie otrzymywał odtąd literalnie żadnych poleceń i gdyby go sobie nie przypomnieli Polacy, musiałby chcąc nie chcąc ustąpić.

Inni znów Polacy, a między nimi i późniejszy prezydent miasta Warszawy, generał-porucznik Witkowski, mówili potem: „Zmiłujcie się, jak nie mieliśmy stracić głowy, kiedyście wy władza rządowa, a straciliście ją zupełnie? Trudno nam było walczyć z samymi sobą; patrzym—dają, dają bez miary. Zaczęliśmy więc brać, co się dało i żądać jeszcze więcej.

Ostatni punkt prośby delegacyi, z małą tylko zmianą w szczegółach, został także uwzględniony. Namiestnik zezwalał na wysłanie adresu do cesarza, lecz pocztą, nie zaś przez osobną deputacyę.

Zaczęto więc pośpiesznie układać adres... ale o tem później będzie mowa. Czas spuścić zasłonę nocy po tym dniu burzliwym i nieprawdopodobnym, chociaż nader nieliczni i wyjątkowi Warszawianie

potrafili zasnąć tej nocy. Wszędzie czuwano... i rozprawiano... każdy po swojemu i o tem, co się stało i o tem, co ma być jutro, pojutrze...

Czerwoni wysłali kuryerów do kraju dla rozgłoszenia odniesionych zwycięstw nad rządem i z wezwaniem wszystkich stanów do jaknajliczniejszego zjazdu na uroczysty pogrzeb pięciu ofiar. Na kuryerów zgłosili się dobrowolnie studenci medycznej akademii i innych naukowych zakładów, a między nimi i młodzi dwaj bracia Frankowscy: Jan i Leon. Ma się rozumieć, że tacyż kuryerzy zostali wysłani i do Europy.

DODATEK.

Wymiana depesz między namiestnikami Królestwa a cesarzem Aleksandrem II.

Do księgi I. — od 26 do 27 lutego 1861 roku.

Warszawa—Petersburg. 26 lutego 1861 roku.

Dnia 25 lutego szajka wichrzycieli zamierzała urządzić uliczną demonstracyę, połączoną z nabożeństwem za poległych pod Grochowem i w tym celu zwołała lud na Stare Miasto.

O 6-ej wieczorem zebrało się do 5,000 ludzi na rynku Starego Miasta. Policya, zawczasu uprzedzona, rozproszyła zbiegowisko bez rozlewu krwi. Procesyę, postępującą z kościoła księży Paulinów z chorągiewkami, pochodniami, przy śpiewie hymnów, rozpędzili konni żandarmi. Kilku ludzi uwięziono. Obecnie panuje spokój.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 28 lutego 1861 roku.

Dnia 27 lutego liczne zbiegowiska ludu wystąpiły na różnych ulicach. W niektórych miejscach rzucano kamieniami na wojsko, stojące w pogoto-

wiu. Jedną kompanię piechoty, stojącą na Krakowskiem Przedmieściu, zarzucano kamieniami tak dalece, że dla utorowania sobie drogi pierwszy pluton musiał dać ognia. O ile na razie dało się skonstatować, zabito sześciu ludzi i tyluż raniono. Wkrótce potem tłum ustąpił, a z nastaniem nocy spokój został przywrócony. W mieście panuje wielkie rozdrażnienie umysłów i bardzo być może, że niepokoje dziś się powtórzą. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 28 lutego 1861 roku.

Gubernialni marszałkowie szlachty, widząc, że nie mają żadnego wpływu na obywateli, wczoraj rano złożyli dymisyę. Wzburzenie w mieście wzmogło się, szczególniej po strzałach wojska, które obrzucano kamieniami. Strzelać rozkazał Zabołockij wbrew memu wyraźnemu zarządzeniu, aby broni nie nabijano. Z tego powodu zarządziłem śledztwo. Poleciłem Trepowowi, by się podał za chorego, gdyż taką nienawiść wywołał, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo. W tej chwili spokojnie, lecz obawiam się groźnych zaburzeń. Proszę o zezwolenie na ogłoszenie w razie potrzeby stanu oblężenia.
Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 28 lutego 1861 roku.

Niecierpliwie oczekuję wiadomości, jak upłynie dzień dzisiejszy. Jestem pewny, że zarządzicie wszystko, co potrzeba wskaże dla przywrócenia należnego porządku. Czy są ranni wśród wojska? i czy zauważono uzbrojonych w tłumach.—W razie potrzeby proszę mnie uwiadamiać rano i wieczorem.
Aleksander.

Petersburg.—Warszawa. 28 lutego 1861 roku.

Uważam dymisyę marszałków zupełnie nie na czasie i dowodzącą z ich strony braku charakteru. Nie mogę też pochwalić zarządzenia co do Trepowa. W obecnych okolicznościach każdy powinien

się znajdować na wskazanem stanowisku. Ogłoszenie stanu oblężenia pozostawiam zupełnie waszemu uznaniu. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg. 28 lutego 1861 roku.

W tej chwili arcybiskup Fijałkowski z pięcioma najznakomitszemi osobistościami w kraju, przedstawili mi prośbę, podaną na imię Waszej Imperatorskiej Mości. W ogólnikowych i nader liberalnych wyrażeniach żądają nadania Królestwu Polskiemu różnych praw. Proszący oświadczyli, że przedłożenie tej prośby do stóp W. C. Mości wielce się przyczyni do uspokojenia umysłów. Wyszlę ją dzisiejszej jeszcze nocy ze szczegółowemi wyjaśnieniami. Obecnie w mieście panuje spokój.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 28 lutego 1861 roku.

Jeżeli prośba Fijałkowskiego w istocie zawiera to, o czem mi wspominasz, to nie należało jej przyjmować. Czekam waszych wyjaśnień. W każdym razie teraz nie czas na ustępstwa i na nie nie zezwolę. *Aleksander.*

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

KSIĘGA II.

Podanie adresu do cesarza.—Sądowo-lekarskie oględziny zabitych z ramienia drugiego oddziału waszawskiego sądu policyi poprawczej.—Przeniesienie zwłok do kościoła ś Krzyża.—Przygotowania do pogrzebu.—Charakterystyka polskich kobiet.—Pogrzeb pięciu ofiar.—Wyjazd Karnickiego do Petersburga.—Posiedzenia delegacyi w resursie i w ratuszu.—Oktawa — Śledztwo w sprawie strzałów Zabołockiego. — Margrabia Wielopolski. — Zatwierdzenie reform, zaprojektowanych przez niego. — Manifestacya studentów w kościele św. Katarzyny w Petersburgu. — Następstwa.— Zebranie studentów petersburskiego uniwersytetu u kolegi Niekludowa. — Nowe wybryki czerwonych w Warszawie. — Odpowiedź cesarza na adres. — Rozkaz namiestnika z dnia 16 marca. — Okólnik Muchanowa.— Następstwa. — Wyjazd Muchanowa — Demonstracye przed mieszkaniem Abramowicza i Enocha.— Osadzenie przez wojsko Teatru Rozmaitości.— Podział Warszawy na cztery okręgi wojenne.—Rozwiązanie delegacyi.— Zamianowanie Wielopolskiego dyrektorem komisyi wyznań i oświaty.—Od 28 lutego do 22 marca 1861 r.

Huczało w resursie Kupieckiej w dzień zabicia pięciu ofiar; nie mniej wszakże było zgiełku i nazajutrz dnia 28-go lutego na ogólnem zebraniu członków Towarzystwa rolniczego, których się zebrało do 2,000 osób. Zebrani uznawali, że kraj przechodzi nadzwyczajną epokę, z której, jeśli się

tylko rozumnie skorzysta, da się wiele dla kraju uzyskać.

Rząd się przeląkł, stracił głowę i gotów jest do ustępstw. Potrzeba tylko nastrój ten przez jakiś czas podtrzymać oraz ostrożnie i z taktem przedstawić żądania kraju, nie przekraczając wszakże pewnych granic. Lecz kto to ma zrobić? Kto wskaże zupełnie obałamuconej i podobnej do małych dzieci publiczności te granice, po za które przekroczyć się nie da? Sfery, w których te sprawy dały się zasadniczo omówić i zadecydować, zapomniane i odsunięte od wszystkiego; o nich nikt nie chce ni słyszeć, ni wiedzieć. Na scenie zjawił się jakiś dziwny, nieprawdopodobny senat narodowy, uznany ku ogólnemu zdumieniu przez najwyższą władzę w kraju. I on to, a nikt inny, ma rozwiązać mnóstwo palących kwestyi, któremi przepełniona atmosfera polityczna kraju; na niego zwrócone są oczy miasta i kraju. Tymczasem ten senat mimo poważnych lat, łysiny i siwych włosów wielu swych członków, składa się z takich samych marzycieli i dzieci, jak pierwsze lepsze kółko akademików. Jeśli naprawdę, odda się im sprawę w ręce, wszystko zostanie spaczone i sprawa w zarodzie przegrana. Usunąć ich i zająć ich miejsce, rzecz na razie niemożliwa; raz, że ci senatorowie stoją już niejako pod opieką prawa, a powtóre, i co najważniejsza, że mają poparcie całego miasta. Oni, bądź co bądź, przedstawiają poważną siłę, której biali przemódz nie potrafią. Nie pozostaje więc nic innego, jak połączyć się z tym senatem i innymi podobnymi żywiołami, i starać, o ile się da, opanować tę siłę i nadać jej możliwie najlepszy i najrozumniejszy kierunek. Rzecz była niezmiernie trudna do przeprowadzenia. Biali, czyli wyższe stany, nie cieszyli się nigdy sympatyami mas. Uważano ich zawsze jako ludzi podatnych i schlebiających rządowi, pragnących żyć z nim na dobrej stopie i przy jego pomocy odgrywać rolę w kraju; przewodzić nad niższemi klasami, a nawet

poprostu je wyzyskiwać, by módz potem trwonić zebrane środki na swoje widzimisię i rozrywki. Czyż można było oczekiwać, by w chwili, której wyjątkową ważność niemal instynktownie pojmowało każde dziecko, kraj oddał układy z wrogiem w ręce jego stałych zwolenników i aliantów? w ręce tych niepoprawnych trutniów, niezdolnych do niczego samolubów i wyzyskiwaczy swej młodszej braci?

Wszystkie ujemne strony tak zwanych białych jeszcze jaskrawiej wystąpiły przed oczy rozgorączkowanych tłumów Niewielkie grono najlepszych przedstawicieli tego koła, kilku obywateli z najbliższego otoczenia hrabiego Andrzeja, mających wyrobioną w kraju opinię, jako dobrzy patryoci i gotowi zawsze do pracy dla kraju, nie miało wówczas dla nikogo wielkiego znaczenia, a nawet i na nich miasto patrzyło z pewnem podejrzeniem, gdyż i oni kokietowali z Zamkiem, a może nawet więcej od innych

„Chcąc zwrócić na siebie uwagę ulicy i być dopuszczonym do obrad nad rozwiązaniem narzucających się ogólnych zadań, Towarzystwo rolnicze z konieczności połączyć się musi z chwilowymi, czerwonymi przewódcami kraju, następnie zaś jakiemś wspaniałem, wielkodusznem wystąpieniem wstrząsnąć wszystkich umysły i porwać z sobą. Naprzykład ogłosić natychmiastowe uwłaszczenie włościan. Toby bezwątpienia wywołało dobroczynną i daleko sięgającą zmianę w usposobieniu umysłów i pozyskałoby serca bardzo wielu dla białych. Bez żadnych starań i zabiegów, z naturalnego porządku rzeczy, zostaliby dopuszczeni do ogólnych narad i tam zajęliby przewodnie stanowisko. W przeciwnym razie, kraj przejdzie nad nimi do porządku dziennego; wśród żywych odegrają rolę martwego trupa".

Za takiem wystąpieniem, zaproponowanem przez kilku członków, byli prawie wszyscy mniej zamożni obywatele, lecz nie w ich mocy leżało rozstrzygnięcie tego zadania; decydował komitet, a ten się skła-

dał z najbogatszych właścicieli ziemskich, którzy nie mogli tak łatwo zdobyć się na zrzeczenie się swych praw i uświęconych wiekami przywilejów; podnosić samobójczą rękę na siebie, na swe materyalne interesy i siły. Jakkolwiek nadzwyczajną i niebezpieczną wydawała się chwila, obawa wszakże natychmiastowego pozbycia się ogromnej ilości rąk bezpłatnych nieodzownie potrzebnych do prowadzenia prawidłowego gospodarstwa w kraju; zdecydowanie się w jednej chwili na opuszczenie dotychczasowego stanowiska królików wśród „bydła" — przemogło nad wszelkiemi innemi względami. Z wyjątkiem kilku tylko członków, komitet Towarzystwa uznał, że „uwłaszczenie włościan musiałoby iść w parze z ich usamowolnieniem, do czego ci wszakże nie są jeszcze dostatecznie przygotowani, dlatego też zamiast usamowolnienia i uwłaszczenia, byłoby stosowniej wprowadzić system angielskich długoletnich dzierżaw", co też większością głosów uchwalono.

Największym zwolennikiem długoletnich dzierżaw był sam Andrzej hrabia Zamoyski i on propagował te zasady od początku zjazdów klemensowskich. Chcąc zaś dotykalnie, na przykładach okazać następstwa tego systemu, sprowadził ze Szkocyi kilka rodzin i rozdzierżawił między nie niektóre swe folwarki. Sam zaś dzierżawił z dóbr ordynackich folwarki: Michałów i Deszkowice. *(Czas* z 1879 r. Nr. 222, str. 1, szp. 5). *Lisicki* (t. I, str. 61) powiada: „Wielu przeciwników uwłaszczenia, z Andrzejem hr. Zamoyskim na czele, przemawiało za wieczystą dzierżawą".

Gdy miasto dowiedziało się o takiej uchwale komitetu Towarzystwa rolniczego, niechęć do białych jeszcze bardziej się wzmogła. Dotychczas albo wcale o nich nie mówiono, albo powiadano, że czas ich znaczenia już przeszedł, że zrobili już swoje i powinni ustąpić miejsca innym: ludziom nowym, teraz wszakże, po powzięciu powyższej uchwały, poczęto ich potępiać, ogłaszać za zacofańców, mar-

twych trupów, dzikich a nawet głównych wrogów ojczyzny [1]).

Komitet, spostrzegłszy takie usposobienie przeważnej większości opinii w kraju, stracił głowę i nie znalazł innego wyjścia, jak prawie gwałtem narzucić się resursie i przyjść jej, przynajmniej w pierwszych chwilach, z rzetelną i energiczną pomocą we wszelkich jej pokuszeniach i zamiarach.

Resursa, otrzymawszy pozwolenie namiestnika, zamyśliła podać adres do cesarza. Biali poddali jej nietylko swoje poglądy, lecz ofiarowali swą czynną pomoc w redakcyi, oraz odpowiedni lokal, w którym swobodnie i bezpiecznie, bez obawy przed niepowołanymi słuchaczami, mogliby omówić wszystkie tak ważne i drażliwe materye. Biali nie odmówili nawet swych podpisów na wspólnej pracy. Dla drugiej zaś strony, współudział i podpisy najpierwszych arystokratycznych imion, oraz innych wybitnych osobistości w kraju, były rzeczą wielkiego znaczenia, i dlatego czerwoni chętnie się połączyli ze swymi przeciwnikami w tych robotach, i w ten sposób w owej porze cała Warszawa stała się jakby jednem ciałem, ożywionem jedną myślą i duchem. Zabiegi białych okazały się o ile gorliwe, o tyle

---

[1]) *Aweyde* tom II, str. 10, uwaga. Wiarogodność tego potwierdzają i artykuły o hr. Zamoyskim, zamieszczone w *Czasie* z 1879 r., patrz Nr. 222, oraz artykuł *Dwutygodnika polskiego* we Lwowie z 1878 r. o „Gospodarce rosyjskiej w Królestwie Polskiem", gdzie w uwadze piszą: „Niczem nie można usprawiedliwić Towarzystwa Rolniczego, że nie usamowolniło włościan. Srodze nas za to los ukarał; przyszło uwolnienie z urzędu, i ci, którzy w swoim czasie nie zdobyli się na stosunkowo niewielkie ofiary, później musieli patrzeć na wstrząśnienie i rozbicie swojej gospodarki". Przeciw tym twierdzeniom wystąpił wszakże jeden z dawnych członków komitetu Towarzystwa Rolniczego. (*Czas* 1878 r., Nr. 92, str. 1). Korespondencya z Warszawy z dnia 16 kwietnia.

zręczne. Oni owładnęli całem polem działania i ułożyli adres jakby bez współudziału czerwonych[1]).

Po rozpatrzeniu kilku projektów różnych a nawet wręcz sprzecznych z sobą, grono najpoważniejszych ludzi z obu stronnictw zgodziło się na adres, ułożony przez Edmunda Stawiskiego, rozumnego i wysoko wykształconego człowieka.

Nadzwyczaj trudno zebrać dokładne dane, jak się mianowicie układał adres. W druku żadnych szczegółów nie ogłoszono. Aweyde, podówczas nieobecny w Warszawie, tylko ze słyszenia podaje następujące szczegóły: „Piszący podzielili się na dwa główne obozy. Jedni domagali się w adresie jasnego sformułowania i określenia żądań kraju co do przywrócenia konstytucyi 1815 roku ze stosownemi zmianami i z tą różnicą, że nie robiono wzmianki o własnem polskiem wojsku. Drudzy przedstawiali projekt adresu ogólnikowy, wyrażający niezadowolenie z panujących stosunków i rządu, nie zastosowanego do potrzeb kraju, i żądali większej niż dotychczas prawnej opieki dla spraw kraju.

Opowiadano, kończy Aweyde, że większość oświadczyła się za tym drugim, ogólnikowym adresem, ze względów, że nie znając usposobienia cesarza, obawiano się obrazić go ściśle sformułowa-

---

[1]) *Giller* twierdzi, że hrabia Andrzej osobiście nie podzielał myśli adresu, uważając się wszakże za naczelnika, niejako za przedstawiciela całego kraju, stanowczo żądającego podania adresu, wziął czynny udział w ułożeniu tego i następnie sam go wręczył namiestnikowi. To samo mówi *Paweł Popiel* w broszurze: „Kilka słów z powodu odezwy księcia Adama Sapiehy". Lipsk, 1864 r. „Pan Andrzej żadnego adresu nie chciał". *Lisicki*, t. I, str. 148. „Zamoyski pierwszy, acz niechętnie, podpisał adres i zaniósł go do namiestnika". We francuskiem wydaniu powiada nawet: „*après un combat acharné?* tom II, str 141. *Hrabia Skarbek* w „Dziejach Polski", tom III, str. 199 przytacza: „Chciano podać drugi adres, lecz książę Gorczakow stanowczo się temu sprzeciwił".

nemi żądaniami, a następnie samym sobie związać nęce na przyszłość, gdyby okoliczności dozwoliły na postawienie szerszych żądań, naprzykład wojska polskiego i przyłączenia do Królestwa Litwy i Rusi. „W adresie ogólnikowym nie wypowiadamy, czem się ostatecznie gotowi jesteśmy zadowolić – a milcząco, lecz zrozumiale dla wszystkich, dopuszczamy możność żądania — chociażby przywrócenia niepodległej Polski w granicach przedrozbiorowych; a więc możność rewolucyi". (Tom II, str. 16).

(*Stawiski* w znanem dziele „O stosunkach włościańskich w Polsce" twierdzi, iż niektóre ustępy adresu miały wyjść z pod pióra Kraszewskiego, jak naprzykład: „Naród polski nie może inaczej podać głosu jak jękiem ofiar, dlatego też nie przestaje składania tych ofiar").

Adres brzmiał jak następuje:

„Smutne wypadki, niedawno zaszłe w Warszawie, rozdrażnienie, jakie je poprzedziło i głęboka boleść, jaka po nich nastąpiła i przejęła serca nasze, ośmielają nas zanieść do stóp W. C. Mości prośbę całego kraju, w nadziei, że szlachetne Twe, N. Panie, serce nie odrzuci głosu nieszczęśliwego narodu.

Wypadki te, których bolesnego obrazu przedstawiać nie chcemy, nie wynikły bynajmniej skutkiem burzliwych namiętności niektórych klas społeczeństwa, przeciwnie, są jednomyślnym i wymownym wyrazem odtrąconych uczuć i potrzeb zapoznanych. Więcej niż półwiekowe cierpienia, znoszone przez cały naród, który przez długi przeciąg wieków rządził się liberalnemi prawami, i którego pozbawiono nawet drogi legalnej dla zaniesienia skargi Monarsze i przedstawieniu Mu społecznych swych potrzeb, doprowadziły go do takiego stanu i położenia, że głosu swego nie może inaczej dać słyszeć, jak tyl-

ko przez jęk swych ofiar i dlatego właśnie tych ofiar przynosić nie przestaje.

W głębi duszy każdego mieszkańca tego nieszczęśliwego kraju tkwi silne uczucie własnej narodowości, odrębnej od innych ludów Europy. Czas i wypadki uczucia tego zatrzeć nie potrafiły; niedola nietylko je nie osłabiła, ale przeciwnie, jeszcze je bardziej spotęgowała. Cokolwiek to uczucie obraża lub nieoględnie je dotyka, oburza umysły wszystkich. Ze smutkiem kraj widzi, że jeżeli potrzeby jego nie będą zaspokojone, to zaufanie, jakie powinno istnieć między rządzącymi a rządzonymi zniknie, a wskrzesić go nie zdołają ani przymusowe, ani gwałtowne nawet środki, które do niczego nie doprowadzą. Naród, niegdyś w oświacie stojący na równi z sąsiedniemi ludami Europy, nie może się rozwijać ani moralnie, ani materyalnie, dopóki jego wiara, jego prawodawstwo, wychowanie publiczne i ustrój społeczny będą pozbawione własnej narodowości i dziejowych tradycyi.

Żądania naszego narodu są tem silniejsze, że on jeden wśród licznej rzeszy ludów europejskich pozbawionym jest obecnie tych niezbędnych warunków życia, bez których żadne społeczeństwo nie może dążyć drogą postępu do celów, wytkniętych mu przez Opatrzność.

Zanosząc do stóp tronu głos niedoli naszej i gorących naszych pragnień, ufni w wysoką sprawiedliwość i sąd Waszej Cesarskiej Mości, ośmielamy się, Najjaśniejszy Panie, błagać Cię o wspaniałomyślność.

Waszej Cesarskiej Mości wierni poddani".

Warszawa, dnia 27 lutego 1861 r.

Adres ten, przetłómaczony na język francuski przez Andrzeja hr. Zamoyskiego, podpisał najprzód ksiądz arcybiskup Fijałkowski, następnie 180 osób, należących do pierwszych rodzin w Królestwie Pol-

skiem. Gotowy przedstawiono namiestnikowi, który go natychmiast wysłał do Petersburga.

Następnie podpisy zbierały się po całem mieście, w różny sposób i na różnych puuktach. Naprzykład w cukierni Conti'ego, obecnie Lours'a, w hotelu Europejskim przyzywano przechodniów z ulicy, po 20 — 40 osób, odczytywano im głośno adres i podawano arkusze do podpisu.

Przez parę dni zebrano tym sposobem 18,000 podpisów, poczem namiestnik zakazał dalszego podpisywania.

W owym czasie w salonach Europejskiego hotelu zbierały się tłumy szlachty i urzędników niższych stopni, wśród których prowadzono też same rozprawy, jakie toczono w Resursie kupieckiej; mianowicie zaś podnoszono ważność danej chwili, ustępstwa rządu, jego trwogę; rozprawiano o adresie i o urządzającym się uroczystym pogrzebie pięciu poległych ofiar. Niejaki Leya, urzędnik drogi żelaznej warszawsko - wiedeńskiej z obywatelem ziemskim Jakóbem Piotrowskim, przybrawszy kilku jeszcze pomocników, zbierali przez okna do kapeluszy składki na sprawę narodową, które tłumnie na placu zgromadzona publiczność bądź pieniędzmi, bądź w kosztownościach chętnie składała[1]). W mieście każdy robił, co mu się żywnie podobało i Warszawa przedstawiała podówczas wyjątkowy obraz wielkiego miasta bez policyi, a nawet, można powiedzieć, bez rządu.

Dnia 28 lutego o godzinie 11-ej przed południem wszedł na salę generał Paulucci i zapytał przytomnych, czy go chcą na głównego naczelnika policyi? Odpowiedziano okrzykami „wiwat!" ktoś in-

---

[1]) *Kuryer Warszawski* w N-rze 62 z 1861 r. podaje, że do dnia 5 marca złożono w kasie Jakóba Piotrowskiego złp. 74,421 i groszy 17 na opędzenie kosztów pogrzebu poległych w dniu 27 lutego.

ny dodał: „Garibaldi Włoch i Paulucci Włoch, niech żyją Włosi, niech żyje Garibaldi! Paulucci niech żyje!" [1]). Zapytanie to powtórzył Paulucci do stojących we drzwiach i na placu. Odpowiedziano głośnemi okrzykami.

Poczem generał udał się do sali № 64, gdzie się odbywały sądowo-lekarskie oględziny zabitych, dokonywane przez drugi oddział sądu policyi warszawskiej, który zjechał w komplecie, przez prawo przepisanym, z rejentem i dwunastoma świadkami ze sfer obywatelskich. Do sali tej natłoczyło się nadto mnóstwo ciekawej różnolitej gawiedzi. Był także ze swym aparatem narodowy fotograf Bayer i zdjął wizerunki z zabitych w całej ich grozie i wspaniałości, z ziejącemi ranami. Kartki te w niezliczonych ilościach egzemplarzy rozleciały się po całej Polsce.

Komisya sądowa, z uwagi na wszystkie okoliczności, towarzyszące tej sprawie, spisała na razie następujący protokuł: „Zważywszy, że według zebranych wiadomości, nie może ulegać wątpliwości, że oglądane przez komisyę sądowo-lekarską osobistości poniosły śmierć wskutek ran, zadanych bronią palną przez wojsko, za co winowajcy mogą być następnie pociągnięci do odpowiedzialności, więc według przepisów obowiązującego prawa, koniecznem jest zawezwanie do składu komisyi delegowanego od wojska".

Zażądano więc wydelegowania takiego deputata, i wistocie o godzinie 2-ej popołudniu przybył do № 64 hotelu Europejskiego w tym charakterze kapitan Medel, jeden z plac-adjutantów m. Warszawy.

Wówczas dokonano sekcyi ciał i spisano nowy protokuł, nazwany: „Śledztwem w sprawie wykrycia

---

[1]) Z opowiadań naocznych świadków. *Aweyde*, t. II, str. 12 i 13, uwaga.

przyczyny śmierci panów: Rutkowskiego, Karczewskiego, Adamkiewicza i Brändla".

Sprawę o „Arcychiewiczu" spisała taż sama komisya oddzielnie ze względu, że ciało było złożone w innem miejscu.

Obie te sprawy są nader ciekawe i doskonale malują okoliczności danej chwili i ówczesny nastrój umysłów w mieście. Nietylko najpoważniej opisano położenie każego trupa na materacu w takim, a takim numerze hotelu, dokąd je przywieziono po długich wędrówkach i gdzie je ułożono w najdogodniejszych dla zdjęcia z nich fotografii pozycyach, lecz nawet zapisano do protokułu „zanieczyszczenie u jednej ofiary pewnej części ciała, oraz niezupełnie przetrawione ziemniaki w żołądku drugiego trupa, albo szczegółowe opisanie kuli wydobytej z trzeciego".

Jednem słowem nie była to poważna sprawa, lecz raczej nieprzyzwoita zabawka dzieci, nieostrożnie wypuszczonych przez piastunkę z pasków. I tę swawolę, te ironiczne kpiny z władz i rządu, musiał podpisać delegowany deputat armii rosyjskiej!

Po odbytej komisyi ciała złożono do trumien, obitych kirem z srebrnemi gwoździkami i przeniesiono w nocy z 28 lutego na 1 marca do górnego Świętokrzyskiego kościoła[1]). Wokoło trumien, ustawionych w piątkę, ustawiono mnóstwo kwiatów i zieleni, dostarczonych z najpierwszych ogrodów i cieplarń w mieście. Całą świątynię obito kirem, dostarczonym bezpłatnie z różnych fabryk. Umyślni konstable narodowi, ustanowieni wedle pomysłu Kro-

[1]) Zwykle do wystawiania ciał służy kościół dolny u Św. Krzyża, w którym odbywały się pogrzeby i takich osobistości jak: Augusta hr. Potockiego z Wilanowa, zmarłego w 1867 r.; dziekana uniwersytetu, sławnego oryentalistę i filologa O. Kowalewskiego zmarłego 1879 r.; Apolinarego Kątskiego, dyrektora konserwatoryum muzycznego w 1879 r.; muzyka Henryka Wieniawskiego w 1880 r.

nenberga z uczniów szkół i innej miejskiej młodzieży [1]), każdy z białą przepaską na lewem ramieniu, utrzymywali porządek przy wejściu i wyjściu, wpuszczając lud przez kaplicę a wypuszczając głównem wejściem naprzeciw figury Zbawiciela. W kościele ścisk był niesłychany. Wszystko co żyło w mieście, począwszy od dziesięcioletnich dzieci aż do zgrzybiałych starców, cisnęło się u trumien, aby się pomodlić, wypłakać i wyzwać pioruny gniewu Bożego na głowy znienawidzonych Rosyan. Wszyscy naturalnie byli w grubej żałobie.

Wśród tych czarnych, kirem okrytych fal ludu, tłoczącego się tam i napowrót u katafalku, najbardziej uderzały, lekkie, migotliwe i ożywione postacie istot, których w żadnej chwili nie brak w Warszawie, a których w obecnej, jakby w dwójnasób jeszcze przybyło. Powiewne te i pełne wdzięku istoty, odgrywają ważną rolę w życiu Polaków wogólności; w powstaniach zaś biorą udział z szczególnym zapałem, odwagą i prawdziwem poświęceniem.

Nie wiele jest krajów na świecie, w którychby żywioł ów występował tak wybitnie i tyle miał znaczenia dla swego narodu, jak w Polsce. Między męską ludnością w Polsce zachodzą pewne różnice, zależne od politycznych przekonań każdego i od ludzi, będących u steru społeczeństwa. Ludność ta może się w danej chwili cofnąć, ustąpić lub inną przybrać barwę, może poprostu znużyć się walką i wpaść w odrętwienie, może nawet zaprzestać spiskować (chociaż Mochnacki twierdzi, że spiskowanie wieczne istnieje w społeczeństwie polskiem); ludność jednak żeńska nigdy się nie zmienia i zawsze jednę i tę samę zachowuje barwę. Kobieta polska jest wiecznym, nieubłaganym i niewyleczonym spiskowcem... Polak może być białym, czerwonym,

---

[1]) W liczbie około tysiąca, według *Gillera*.

czarno-żółtym — słowem różnych odcieni i kolorów, Polka tylko czerwoną być może.

Polki wogólności są przystojne; wszystkie wrą i kipią, prawdziwe małe, ruchome wulkaniki! Zaledwie się ich dotknąć, wnet posypią się iskry! Ich niczem niepowstrzymana wyobraźnia rozwija się i ulatuje w niezmierzone przestworza. Kobieta polska jest cała wyobraźnią, promieniem, modlitwą! W pewnych chwilach wprawdzie może na nią podziałać ksiądz, wskazujący jej krzyż Zbawiciela, nadzieję odpuszczenia grzechów, lub groźbę mąk wiecznych i potępienia, lecz innego nad sobą zwierzchnictwa nie uznaje. Przeciwnie, ona stale się stara wszystko w prześliczne swe rączki zagarnąć i prawie zawsze to się jej udaje. Pełna to charakteru i odwagi, ta polska kobieta. Jest w niej coś rycerskiego i męskiego, zaprzeczyć się nie da. Pilnie się przypatrując postaciom i charakterom polskich niewiast i dziewic, przychodzą na myśl Zaremy z Bachczysaraju, różne Wenecyanki lub Hiszpanki, w każdym razie, południe nie północ. Szujski w rozmowie swej z Kraszewskim dnia 5 października 1879 roku powiedział, że „naród polski wybucha jak dynamit". Z czemże porównaćby można ten najbardziej zapalny żywioł w polskiem społeczeństwie, polską kobietę? Podobnie łatwo wybuchającej masy jeszcze nie wynaleziono... O! nie żartujcie z nią, z tą polską kobietą! Ona prawdziwie niebezpieczna.

Typowy herb Warszawy nie darmo przedstawia „Syrenę z szablą", jest on niezaprzeczenie trafny i historycznie prawdziwy. Dla uzupełnienia wizerunku, w drugą rękę tej syrenie włożylibyśmy książkę do nabożeństwa „Złoty ołtarzyk", którego nie opuszcza. Ona istotnie jest owym mnichem, rycerzem, który według słow Mickiewicza:

„Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szacie
Nabija strzelbę i liczy różaniec".

Takim jest w ogólności charakter polskiej kobiety. Wyprzedzają one wszelkie ruchy burzliwe i wszystkie są ożywione jednym i tym samym duchem. Najwięcej wszakże współczuje i dopomaga wszelakim ruchom średnia klasa, a nawet nie średnia, ale owe córki „rządców domów", „pryncypałów" różnych rzemieślniczych zakładów, niższych urzędników, oficyalistów bogatszych państwa, ów cały światek teatralny; zresztą Bóg jeden raczy wiedzieć, czyje córy, panny i nie panny, służące, nie służące, „gryzetki" i nie gryzetki, które ranne promienie słońca, zwłaszcza w dni jasne i pogodne, wywołują z ich skromnych mieszkań, z tak zwanych facyatek, z trzeciego lub czwartego piętra na ożywione chodniki Warszawy. Biegną i rozpraszają się na wszystkie strony, podobne do tych jasnych i barwnych promieni; bystrem okiem gazeli strzelają na przechodniów, lub zaglądają do wszystkich magazynów.

Są one zawsze nader gustownie, niekiedy nawet bardzo wykwintnie ubrane. Nie sądźcie wszakże o reszcie z tej świetnej powierzchowności. Trudno przypuścić, po jakich schodach, obok jakich naczyń przebiegają te czarujące nóżki, obute w trzewiczki tak świeże, jakby dopiero uszyte; na jakich stołach i komodach składają się te błyszczące kolczyki i pierścionki, do jakich szaf zamykają owe pyszne burnusy i mantylki, nareszcie, jakie to zupy i potrawki pochłaniają te dzielne młode żołądki zgłodniałych syren.

Wieczorem wiele z nich bywa w teatrze, nie płacąc nigdy za miejsca. Zkąd i jakiemi drogami dostają bilety wstępu na wszelkie zabawy? odpowiedź zbyt daleko zawiodłaby nas... Syreny lubią namiętnie teatr, maskarady, taniec, najbardziej taniec. Dla jednej przedłużonej godzinki tańca, dla maskarady lub zabawy, niejedna taka syrena gotowa postawić na kartę nawet swe życie lub przyszłe zbawienie duszy i w tem objawia się istotną kobietą,

słabem, bezsilnem stworzeniem. Powiedzcie jej w danej chwili, że jeśli raz jeszcze przetańczy walca lub ochoczego mazura, świat się skończy, gromy uderzą i ziemia pod jej stopami zapadnie — nie zwróci nawet na to uwagi i z takim zapałem puści się w wir tańca, o jakim my z tobą, poważny czytelniku, nawet wyobrażenia nie mamy.

Syreny te śmiało patrzą w oczy całemu światu, prosto i naiwnie, jak tylko chyba aniołowie mogą spoglądać, gdy schodzą na ziemię. Zdawałoby się, że to jeszcze nie tknięta pługiem dziewicza rola, kraina, w której nikt nie gościł. Lecz jak w czasie wędrówek narodów, nieznane i napozór przez nikogo nie zajęte krainy, okazywały się zaludnionemi przez jakieś tubylcze ludy, tak samo i przy bliższem poznaniu syreny, natrafiało się zwykle na dawnych tubylców, którzy gościli w tych, na oko niezamieszkałych rozłogach. Takimi tubylcami bywają zwykle studenci, z warszawska „akademikami" zwani. Doświadczeńsze wszakże syreny na takich akademików nie patrzą, mówiąc z lekceważeniem, że ich znosić nie mogą! One nawet nie nadają im całego nazwiska, lecz w swym syrenim żargonie zwą w skróceniu „miki".

Lecz obecnie, gdy nastąpił taki nagły przewrot, gdy „miki" zajęli przodujące stanowisko i sam namiestnik uznał ich władzę i pozostawił ich panami w mieście, w tę niepojętą chwilę poddały im się i syreny, wogóle nie lubiące nikogo słuchać. One, literalnie patrzały w oczy swym rozkazodawcom i najlepiej zrozumiały, jak i co należało wówczas robić każdemu patryocie i patryotce. Wszędzie się zjawiały tłumnie, roznosiły po mieście różne wiadomości, wciskały się nawet tam, dokąd, zdawało się, dostęp był już wcale niemożliwy.

Dnia 1 marca całe fale syren spłynęły do kościoła św. Krzyża, zajęły pierwsze miejsca koło katafalku; wszędzie ich było pełno; zmięte, z podeptanemi nóżkami, lecz rumiane, rozpłomienione, z łzą

w oku, brzęczały jak czarne muchy, wyraźnie chcąc pokazać, że i one są członkami wielkiej, patryotycznej rodziny, wiernemi córami budzącej się ojczyzny i niemniej od każdego gotowemi do wszelkich dla niej ofiar. Jakoż istotnie, niejedna para ostatnich, drogich sercu kolczyków, wrzuconą została do czapki Leya, wystawionej z okna hotelu Europejskiego, lub też potajemnie złożoną została na ręce księdza lub kogo innego, zbierającego „składki" na sprawę ojczystą.

Po trzecich i czwartych piętrach zręczne rączki syren szyły żałobę dla ludzi ubogich, przygotowywały czarne zasłony z białemi szlakami i krzyżami dla okrywania balkonów we wspanialszych mieszkaniach. Któżby zdołał przygotować tyle żałobnych odznak dla całej Warszawy, gdyby nie ta masa zręcznych i gorliwych patryotycznych rączek.

Na drugiego marca wszystko było gotowe. Umysły znacznie się uspokoiły. Najtrudniej było przekonać Nowakowskiego i jego kolegów, którzy w resursie i wszędzie, gdzie tylko mogli się dać słyszeć, głośno nawoływali, że „nie może być dogodniejszej sposobności, jak w danej chwili do zdobycia szturmem cytadeli i zamku, przy pomocy ogromnej manifestacyi".

Wskutek tego rozeszła się wieść po mieście, że w czasie pogrzebu wybuchnie rewolucya, i że cała uroczystość ma jedynie na celu zgromadzenie jak największych tłumów ludu. Mówiono dalej, że rzeźnicy z Solca i wyrobnicza ludność z różnych innych zakątków miasta, mają przybyć na pogrzeb nzbrojeni w noże i topory. Książę Gorczakow tak dalece uwierzył wszystkim tym baśniom, tak się o swój Zamek przeląkł i tak nie liczył na wojsko, że przywołał do siebie znanego z rozwagi i uczciwości oficera, członka komisyi śledczej, Korolkowa, i wręczył mu dwie szkatułki z rozkazem odwiezienia ich do komendanta fortecy i przechowania ich tam aż do dalszego rozporządzenia. Dowiedziawszy

się o tem szef głównego sztabu, także powierzył mu jakąś szkatułkę, a generał-gubernator Paniutyn już przedtem dwa duże kufry odesłał do cytadeli. Uczyniło toż samo ze swojemi rzeczami ze dwudziestu innych wyższych dygnitarzy. Kazano nawet rozstawić wojsko na wałach cytadeli i ponabijać armaty [1]).

Taki nie do uwierzenia a nawet komiczny był przestrach w rządzie, do którego przecież należeli ludzie, którzy nie jedną bitwę i nie jeden szturm widzieli. Książę Gorczakow i generał Kotzebue wysłali swoje rodziny do Drezna [2]).

Delegaci wszakże zapewniali, że wszystko odbędzie się spokojnie i w porządku i niema najmniejszego powodu do obaw. Lubiany i poważany przez wszystkich dr. Chałubiński chodził, jak powiadają, osobiście uspakajać rzeźników, by zaniechali swych fantastycznych i nierozsądnych pomysłów, które mogłyby sprowadzić bardzo smutne następstwa i wniwecz obrócić wszystko, co do tej chwili osiągnięto. Rzeźnicy mieli mu przyrzec uroczyście, że się zachowają spokojnie. Mimo to, znając niewyleczalną lekkomyślność pewnej części ludności, delegaci uważali za potrzebne ogłosić we wszystkich dziennikach następujące dwie odezwy:

„W sobotę, dnia 2 marca o godzinie 10 rano, odbędzie się pogrzeb ofiar, zabitych dnia 27 lutego. W imię miłości ojczyzny, oraz najświętszych i najdroższych dla każdego z nas obowiązków, zaklinamy mieszkańców miasta, aby czci, oddawanej ofiarom w chwili złożenia ich do grobu, towarzyszyły największy porządek i spokój. Mieszkańcy War-

---

[1]) Szczegóły te udzielili autorowi sam Karolkow, późniejszy pułkownik w Turkestanie i generał Gryszyn, naoczny świadek.

[2]) Kotzebue opowiadał autorowi, że na propozycyę jego umieszczenia swych rodzin w cytadeli, gdzie będą zupełnie bezpieczne, książę Gorczakow odpowiedział: „jeszcze bezpieczniejsze będą w Dreznie, *mon cher!*...

szawy! usłuchajcie głosu braci waszej!". (Następują podpisy delegatów: ksiądz Wyszyński, ksiądz I. Stecki, Ksawery Szlenkier, Jakób Piotrowski, Józef Lewiński, Teofil Piotrowski, A. Trzetrzewiński, J. I. Kraszewski, Józef Kenig, Karol Bayer, S. Hiszpański, doktór Chałubiński, L. Kronenberg i Maciej Rosen).

Druga odezwa z dnia 1 marca brzmiała:

„My, niżej podpisani delegaci miasta Warszawy czynimy wiadomem, że ktokolwiek z mieszkańców spostrzeżony zostanie w dniu jutrzejszym z orężem w ręku, będzie uważany za zdrajcę ojczyzny".

Nadszedł dzień 2 marca. Od wczesnego rana Warszawa przyoblekła się w głęboką żałobę, po mieście zapanowała cisza i poważny nastrój; zdawałoby się, że kilku królów naraz mają chować.

W ulicach, któremi pogrzeb miał przechodzić, rozwieszono w oknach i z wielu balkonów czarne opony z białemi krzyżami. Wszędzie rozstawiono konstablów narodowych z oznaką na czapce i białą przepaską na ramieniu. Policyi nawet cienia nigdzie nie było, a wojskowi, oficerowie i żołnierze otrzymali surowe, chociaż sekretne polecenie, by się nie pokazywali na ulicach. Mała tylko garstka żołnierzy przypatrywała się z dachów ratusza i arsenału zabronionemu widowisku. Lud, śmiejąc się, palcami sobie ich pokazywał. Wojskowi wszakże głośno wypowiadali swe niezadowolenie z tych zarządzeń najwyższej władzy w kraju. Powtarzali, „że książę Gorczakow już w piętkę goni — zwaryował i oddał Warszawę Polakom!"—Krytyki tej nikt im nie mógł zabronić.

Wspaniała pogoda sprzyjała uroczystości.

O godzinie 10-ej, gdy uczniowie instytutu muzycznego pod dyrekcyą Apolinarego Kątskiego wykonali *Requiem*, kompozycyi I. Stefaniego, w którem sola odśpiewali najlepsi artyści opery polskiej, procesya wyruszyła z kościoła św. Krzyża przez Krakowskie Przedmieście na lewo.

Zamiast wojska, jechało naprzód kilku jeźdźców ulubionej w mieście straży ogniowej z brandmistrzem na czele.

Potem jechał konno generał Paulucci, w pełnej gali, jedyny wojskowy dopuszczony do orszaku pogrzebowego, jednak i temu, nie zważając na wyjątkową podówczas popularność, dodano dla bezpieczeństwa, znanego i wpływowego między czerwonymi Sybiraka, Karola Ruprechta [1]). Dalej szły sieroty i starcy z warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, uczniowie różnych zakładów naukowych, wszystkie cechy z chorągwiami, okrytemi krepą. Były też chorągwie z herbami Polski i Litwy.

Następnie postępowało duchowieństwo katolickie; dalej zwłoki zabitych, niesione przez obywateli znakomitych; duchowieństwo izraelickie z rabinem na czele w swym rytualnych stroju i z nakrytemi głowami, jak tego wymaga obrządek. Pochód zamykali druciarze w swych charakterystycznych guńkach z szerokimi kapeluszami w ręku.

Jednem słowem nie przepomniano nikogo w Warszawie.

Przy trumnach pierwsze miejsce zajmował komitet Towarzystwa rolniczego. Opowiadano, że Andrzej hr. Zamoyski szedł pod rękę z jakimś włościaninem. Współczesna litografia, przedstawiająca pogrzeb ofiar i nosząca podpis: „Wspomnienie dnia 2 marca 1861 roku“, wyobraża hrabiego Zamoyskiego, postępującego obok wysłużonego żołnierza dawnych wojsk polskich, do którego jest zwrócony, jakby coś przemawiał. Żołnierz ma rękę na temblaku, a więc jest to jeden z rannych w spotkaniu z dnia 25 lub 27 lutego.

Wiele dam prosiło o pozwolenie niesienia na swych ramionach jednej trumny; nie zgodzono się na to, lecz w zamian dano im ogromny wieniec cier-

---

[1]) *Gazeta Narodowa* 1875 rok, numer 133.

niowy, „godło zwycięstwa i niewinności“, jak się o tem wyraził jeden z dzienników [1]).

Tłumy ludu, towarzyszące pogrzebowi, dochodziły, wedle podania dzienników, liczby 100,000, inni obliczali na 160,000.

Doszedłszy do hotelu Europejskiego, pochód zwrócił na lewo przez Plac Saski, Wierzbową, Bielańską i Przejazd, na Powązki. Na Powązkach wszystkie pięć trumien spuszczono do jednego wspólnego grobu, ustawiono je jedna przy drugiej i nad każdą usypano oddzielną mogiłę Wszystkie natychmiast pokryte zostały całą górą wieńców i kwiatów; nad każdą zaś wetknięto krzyżyk [2]).

Po spuszczeniu ciał do grobu, wypowiedziano kilka mów patryotycznych przez księży, studenci zaś rozdawali obecnym fotografie zabitych, cząstki koron cierniowych, które były złożone na trumnach, i po pięć kawałeczków płótna, zmaczanych w krwi niewinnej. (Notatki pułkownika Dobrodiejowa).

Artyści opery, uczniowie Instytutu muzycznego i chór, złożony z kilkuset osób, odśpiewali marsza Nideckiego [3]).

---

[1]) *Gazeta Codzienna* z 1861 roku, numer 60.

[2]) W takim stanie grób ten pozostawał do roku 1867. Obecnie w głównej alei, niedaleko parkanu, przy słupie z numerem 179 widać płaszczyznę wyasfaltowaną, na niej usypana mogiła z ziemi i kamieni. Na mogile wznosi się niewielki krzyż drewniany. W 1878 roku, gdy autor grób ten oglądał, mógł odczytać na krzyżu niebieskim ołówkiem napisane: „pięciu poległych... póki my żyjemy... niech żyje Polska. *Vive la Pologne!!!*.

Obok wznosi się pomnik z napisem: „Ś. p. Karol Rokicki, były oficer wojsk polskich, obywatel ziemski. Umarł dnia 6 maja 1875 r. w wieku lat 78“—Z drugiej strony do grobu pięciu ofiar przytyka pomnik Wandy Maternickiej, urodzonej dnia 13 stycznia 1849 roku, zmarłej 24 listopada 1862 roku.—O trzy pomniki dalej, stoi spiżowe działo na zielonej lawecie, pomnik Jędrzeja Węgłowskiego.

[3]) *Gazeta Warszawska* z 1861 roku, numer 60.

Gdy tłumy pogrzebowe wróciły do miasta, pozdzierano afisze teatralne, wystawione po ulicach. Powtórzyło się to i dnia następnego.

W dzień pogrzebu przedstawień w teatrach nie było. Nazajutrz, dnia 3 marca dawano w Wielkim teatrze dwa akty z *Lunatyczki* i dwa akty z baletu Esmeralda; w Małym teatrze *Klara i dziwadła* czyli *Odrodzony*. Na przedstawienia przyszli tylko sami Rosyanie.

Zaczynała się żałoba narodowa i wstrzymanie się od wszelkich zabaw. Po mieście krążył okólnik, jakoby wydany przez księdza arcybiskupa Fijałkowskiego, polecający wszystkim mieszkańcom „odwiecznej Polski" przywdzianie żałoby na czas nieograniczony. Kobietom dozwolono jedynie w dzień ślubu przywdziewać strój biały [1]).

Wszyscy się zastosowali do tego okólnika. Dorośli i dzieci—wszyscy ubrali się czarno... Uczenice różnych zakładów, nazajutrz po pogrzebie zasiadły w swych ławkach w grubej żałobie.. Gdy dozorczyni szkoły rządowej zapytała, co to ma znaczyć, odpowiedziały „że tak nakazano". „Ojczyzna w rozpaczy!" Większość władz szkolnych patrzała na tę żałobę pobłażliwie i sama ją przywdziała. Gdy w instytucie panien w Puławach nakazano zdjąć wychowankom żałobę, wiele dziewcząteк porobiło sobie atramentem czarne pasy na szyi i ręku, nazywając to „żałobą nie do zrzucenia". W Warszawie, gdy także nakazano zrzucić żałobę, uczenice oświadczyły, że pójdą za przykładem Puław. W wielu zakładach, przed przyjściem nauczycieli, uczenice śpiewały „Boże coś Polskę" i to nikomu się nie wzbraniało. Rosyjskie podręczniki zupełnie zarzucono.

---

[1]) Okólnik ten znajduje się w broszurze, wydanej w Lipsku w 1863 roku pod tytułem: „Wiadomości z kraju z lat 1860—1861. Tłómaczenie rosyjskie w „Bibliotece dla cztenia" z 1864 roku, styczeń, stronica 27.

Jeśli która z uczenic chociażby jednem słowem odezwała się po rosyjsku, przezywano ją „moskiewskim duchem“ i wystawiona bywała na rozmaite dokuczania koleżanek. Męskie zaś szkoły prawie zupełnie opustoszały [1]).

Zdawałoby się, że po odbytym pogrzebie zabitych dnia 27-go lutego, powinien był ustać ten anormalny stan miasta, i wszystko powinno było wrócić do zwykłego trybu. Zadośćuczynienie odbyło się, publiczność była zadowoloną a przedmiot podniecający i drażniący umysły już nie istniał i spokojnie spoczął w grobie.

Cóż więc stanęło na przeszkodzie, by wezbrane nurty do dawnego wróciły łożyska? Ludzie energiczniejsi w otoczeniu namiestnika doradzali natychmiastowe ogłoszenie w Warszawie stanu wojennego, do czego już nawet było przygotowane zarządzenie, rozwiązanie delegacyi i Towarzystwa rolniczego z poleceniem, by wszyscy zamiejscowi członkowie tego towarzystwa natychmiast opuścili Warszawę. O konieczności zaprowadzenia stanu wojennego wnieśli do namiestnika przedstawienie, generałowie: Siemieka i Weselickij dnia 27 marca 1861 r. Generał Zabołocki gdy je przeczytał, odezwał się: „Zanadto krótkie, a zresztą, byleby tylko była zgoda!“ na co, lubiący zawsze drwić pułkownik sztabu głównego, D. I. Czernickij, dodał: „Ależ my zawsze zgodni i bardzo nawet zgodni. Wszyscyśmy potracili głowy i robimy głupstwo za głupstwem [2]).

Proponowano następnie, by obsadzić wojskiem resursę kupiecką, po mieście rozesłać patrole, i do-

---

[1]) Z opowiadań ówczesnych wychowanków.

[2]) Dziennik pułkownika Krywonosowa. Całe to zajście opowiadał także autorowi T. R. Kazaczkowskij, ówczesny naczelnik kancelaryi namiestnika.

piero po wyczekaniu, jakie wrażenie zarządzone środki zrobią, rozstrzygnąć pytanie co dalej czynić? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że te zarządzenia doprowadziłyby do uspokojenia, umiarkowańsze zaś żywioły stanęłyby po stronie władzy raczej wtedy, gdy ta okazywałaby siłę, aniżeli wówczas, gdy siłą być przestawała.

Nawet czerwoni spiskowcy i manifestanci, ochłonąwszy z obłędu przyznawali, że „delegacya i wszystkie jej następstwa były wielkim błędem ze strony władzy". *Aweyde* mniej więcej toż samo powiada w swych zeznaniach: „Było to obowiązkiem rządu, zaraz po pogrzebie pięciu ofiar, rozwiązać delegacyę, klub i delegacyjną policyę. Gdy tego nie uczynił, musi się koniecznie podzielić z Polakami odpowiedzialnością za następstwa tego czterdziestodniowego bezkrólewia... Lud zbałamucony tym stanem rzeczy, przywykł do nieporządków i począł je uważać za zwykły i naturalny tryb życia".

Dlaczego nie usłuchano rady ludzi praktycznych? Na to jeden tylko książę Gorczakow może dać odpowiedź! On, który nikogo wówczas nie chciał słuchać. Dozwolono więc, by zadzierzgnięty węzeł sam się rozwikływał, własnym ciężarem, jak Bóg da... Nie ogłoszono stanu wojennego; zaczęte budowy baraków dla wojska w różnych częściach miasta przerwano; narodowemu senatowi w Kupieckiej resursie dozwolono spokojnie pracować nad rozwiązaniem zadań, które należały wyłącznie do rządu.

Senat ten i otaczający go tłum najbardziej wrzących i niepraktycznych ludzi w Warszawie, myślał jedynie o urządzaniu dalszych manifestacyi, które tak odurzająco i zastraszająco oddziaływały na rząd i władzę. Zastanawiał się nad zjednoczeniem wszystkich Polaków w swych uczuciach i dążeniach, by i nadal przedstawiali tę jednolitą, patryotyczną masę, która co tylko postępowała za trumnami pięciu ofiar; masę, rozumiejącą na czem właściwie polega rdzeń samej sprawy. Dlatego delega-

cya nazajutrz po pogrzebie wydała dalszą odezwę do narodu: „Wczoraj odbył się pogrzeb ofiar, zabitych we środę; wczoraj Naród dowiódł, że rozumie znaczenie swych obowiązków względem Ojczyzny. Wszyscy, bez wyjątku, zbratani jednem i tem samem uczuciem, żegnaliśmy zmarłych. Bracia! niech to poczucie obowiązków naszych, rządzi nami na przyszłość!“ Nie potrzeba tu było nic podkreślać, ani też drukować rozstawionemi literami; czytelnicy wiedzieli doskonale, na czem położyć nacisk, doskonale rozumieli, co się mieści między wierszami. Słowa: „zbratani jednem i tem samem uczuciem“, stały się typowem wyrażeniem wielu podobnych odezw.

Aby nie dać się prześcignąć resursie, Towarzystwo rolnicze także wydało podobną odezwę, przeznaczoną głównie dla szkolnej młodzieży.

„Komitet Towarzystwa rolniczego, w imieniu wszystkich jego członków, składa Ci dzięki, szlachetna młodzieży, wychowańcom szkół i akademii, za okazaną pomoc w zachowaniu porządku w chwili tak smutnego a zarazem tak uroczystego obrzędu pochowania ofiar, poległych dnia 27 lutego, w liczbie których znajdowało się dwóch członków Towarzystwa rolniczego.

„Przykładnem zachowaniem się waszem daliście dowód, że posiadacie wszystkie te zalety, które w przyszłości zrobią z was dostojnych i pożytecznych synów ojczyzny, przez nas, wraz z wami całem sercem ukochanej, a której służyć każdego z nas jest najświętszym obowiązkiem“.

Następnie, przedewszystkiem delegacya wybrała komitet, który się miał zająć wystawieniem pomnika na cześć poległych w dniu 27 lutego, niesieniem pomocy pozostałym po nich rodzinom, a także rannym w dniach 25 i 27 lutego. W skróceniu komitet zwał się „pomnikowym“, a posiedzenia odbywał w tejże Resursie kupieckiej. W skład komitetu weszli: ksiądz kanonik Wyszyński jako prezes, Karol Bayer, Karol Majewski, Wambach współwła-

ściciel hotelu Europejskiego, Karol Kucz i Józef Lewiński, generał b. wojsk polskich, jako członkowie. Później, gdy przybyło zajęcia, przybrano akademika Szaniawskiego i Fochta. Zebrano do 260,000 złp.—(Z zeznań Majewskiego).

Nadto sformowała się jeszcze: „Dyrekcya straży bezpieczeństwa i publicznej spokojności", pod prezydencyą kupca Józefa Kwiatkowskiego. Członkami tej dyrekcyi byli: Edward Jurgens, Karol Majewski, Karol Ruprecht, pastor Otto, emigrant Józef Grabowski i akademik Świetlicki.

Już sam wybór komitetu dla budowy pomnika dla ofiar, o których we wzajemnym interesie należałoby naprawdę jak najprędzej zapomnieć, przyczyniał się tylko do ciągłego drażnienia umysłów, gdy przez kilka tygodni z rzędu we wszystkich warszawskich dziennikach ciągle o tem rozprawiano. Ten jeden fakt wystarcza, by osądzić, w jakim kierunku poprowadziła swe działania delegacya i jak wielka była doza zaślepienia i marzeń w umysłach nawet najspokojniejszych i najumiarkowańszych ludzi.

Gdy już coś zrobiono dla poległych i rannych, bystry i energiczny Kronenberg pośpieszył z poruszeniem kwestyi, najbliżej mu na sercu leżącej, kwestyi żydowskiej. Potrafił on natchnąć swych współkolegów w delegacyi myślą, i to tak zręcznie, że początkowo wcale nie wychodziła od niego, lecz zjawiała się sama przez się, jakby natchnienie z nieba, jako rosa ożywcza: że w takiej nadzwyczajnej chwili, gdy spełniają się rzeczy trudne do uwierzenia, gdy niewiadomo, co jeszcze przyszłość przyniesie, zależy bardzo krajowi na upewnieniu się, na czyją stronę przechylą się Żydzi ze swymi kapitałami, przedsiębierczością, wytrwałością i cierpliwością; Żydzi, których w samej Warszawie liczą około stu tysięcy; czyli, że nie należy i nie można dopuścić, by wskutek jakiegoś fałszywego lub nieopatrznego kroku, Żydzi stanęli po stronie rządu.

W rzeczywistości nikt nie wątpił, że polski Żyd, zwłaszcza wykształcony, prędzej zostanie Polakiem niż Rosyaninem, że on nie zamieni Polski na żaden inny kraj na ziemi, i na równi z Polakami uważa Rosyanów za barbarzyńców i tyranów. Jednakże, jakoś się to stało, że ci dwaj Polacy nie mogą z sobą przyjść do zgody; że patrzą na siebie podejrzliwie—omal że nie wrogo. Czyż to dawno, jak dla jakiejś błahej przyczyny wywiązało się między nimi starcie, jakby między najzaciętszymi wrogami... Potrzeba więc dołożyć możliwych starań, by to załagodzić, o wszystkiem zapomnieć. Polakom, jako właściwym gospodarzom kraju, należy zrobić krok pierwszy. Przodkowie tych gospodarzy orzekli kiedyś, że Żydom nie przysługują te same prawa co innym mieszkańcom kraju; do potomków więc należy uczynić teraz coś na korzyść Żydów, coś takiego istotnego, coby w całym kraju wywołało wrażenie.

Myśli takie, rzucone zręcznie w wątek ówczesnych rozpraw w Resursie kupieckiej, wkrótce wydały pożądany dla Kronenberga skutek. Przedewszystkiem podniesiono, że wedle dawnych praw kraju, warszawscy Żydzi nie mogą należeć do Zgromadzenia kupieckiego i tworzą oddzielną korporacyę żydowskich kupców; że nie mogą być również wybierani na członków sądu handlowego ani też sprawować innych godności. Na wniosek Szlenkiera, prezesa kongregacyi kupieckiej, kupcy warszawscy przyjęli do swego grona kupców żydowskiego pochodzenia, a bankier Kronenberg został wybrany starszym zgromadzenia.

Następnie, poważany przez wszystkich, mimo swego żydowskiego pochodzenia, Jakób Piotrowski, został prezesem warszawskiej dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa kredytowego ziemskiego [1]).

[1]) Piotrowski był mechesem, jak zwykle przezywają w Polsce Żydów, którzy jeszcze w połowie zeszłego stulecia, pod wpływem nauki mołdawskiego Żyda, Jakuba Lei-

Rząd zatwierdził wybór Kronenberga i Piotrowskiego. Żydzi odwdzięczając się (bardzo być może, że z porady Kronenberga), wydali odezwę: „Okólnik Izraelitów miasta Warszawy do swych współwyznawców w kraju!" pełną przyjaznych uczuć dla Polaków i wzywający Żydów Królestwa do niesienia wszelakiej pomocy chrześcijanom katolikom, wśród których porodzili się i żyją; przyczem obwiniano rząd o wszelkie klęski i niedole żydowstwa, Muchanowa zaś nazywano „szatańskim wrogiem".— (*Aveyde* tom II, str. 39).

Polacy posłali w darze dla synagogi wspaniały świecznik (*Gazeta Codzienna* z 1861 r. № 78). Mówiono, że odwzajemniając się, Żydzi ofiarowali prześliczny krucyfiks ze słoniowej kości z podpisem: „Bracia—braciom" [1]).

Nie wiemy nic więcej o działalności delegacyi między 1 a 6 marca.

W tem Gorczakow się ocknął z dręczącej go zmory i dał się przekonać, że ustanowienie delegacyi wcale nie odpowiada widokom rządu, że jest rzeczą niepraktyczną a nadewszystko szkodliwą dla interesów Rosyi w tym kraju. Delegaci ani trochę nie przyczynią się do wyjaśnienia zagmatwanej sprawy, owszem, jeszcze bardziej ją zawikłają. Dosyć

---

bowicza Franka, przyjęli chrystyanizm. Frank skłaniał swych współwyznawców, by dla osiągnięcia równouprawnienia, przyjmowali powierzchownie chrystyanizm i zmieniali swe nazwiska na krajowe, zachowując zawsze w głębi duszy i w domu obyczaj żydowski. Żydzi wszakże, którzy w ten sposób pozornie na razie przyjęli chrześcijaństwo, w drugim już pokoleniu przerodzili się na prawdziwych Polaków i katolików. Mimo to, w kraju pamiętają zawsze o ich pochodzeniu i każdy chłopak potrafi ich rody wyliczyć na palcach, a podrażniony—nazwie ich Żydami albo mechesami.

Szczegóły o życiu i nauce Jakóba Józefa Franka, ogłosił Skimborowicz w broszurze, wydanej w 1866 roku.

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa, który powiada, że to się miało stać w początkach marca 1861 roku.

przyjrzeć się ich działalności w resursie po pogrzebie pięciu ofiar, by nabrać przekonania, że oni tacy sami czerwieńcy, jak ci warcholi, którzy w lutym urządzali mniejsze i większe demonstracye; że oni wszyscy działają jednomyślnie i Bóg wie dokąd i do czego dążą. Należy więc ich jaknajprędzej usunąć a przynajmniej obezwładnić i sparaliżować ich działalność przez wydanie energicznych zarządzeń w duchu rosyjsko-rządowym.

Na energiczne zarządzenia książę Gorczakow zdobyć się nie umiał. Postanowiono jednak, by w sposób oględny i delikatny obezwładnić delegacyę. Dnia 6 marca oświadczono jej, że dla nadania jej oficyalnego, poważniejszego znaczenia – posiedzenia delegacyi będą się odbywały w ratuszu, pod przewodnictwem generała Paulucciego. Wiceprezesem został naznaczony generał Lewiński. Czynność delegacyi trwać miała do czasu nadejścia odpowiedzi od cesarza na podany adres.

Dla osłodzenia pigułki dozwolono delegatom przybrać do swego grona, jeśli uznają tego potrzebę, jeszcze dwunastu towarzyszów.

Nie było rady, delegaci przybrali jeszcze dwunastu członków i przenieśli swe posiedzenia do ratusza. Nie wszystkie wszakże sprawy tam się roztrząsały. Rozpoczęte narady w ratuszu, wobec rządowego rosyjskiego generała, kończono i uzupełniano na dobre w resursie przy swoim, polskim generale. Protokuły z tych poufnych resursowych posiedzeń odsyłano do Poznania na ręce D-ra Władysława Niegolewskiego; narady zaś w ratuszu następnie odbijano litograficznie, w dosyć znacznej liczbie egzemplarzy i półjawnie rozrzucano je po mieście i rozsyłano po kraju w formie sprawozdań wobec kraju i społeczeństwa z działalności delegacyi: co ona robi i jak staje w obronie narodowych interesów. Przytem, dla wywołania większego wrażenia, niejedno w druku inaczej się przedstawia, niż było w rzeczywistości, tak, że Paulucci, czytając

takie litografowane sprawozdanie, nieraz niemógł rozpoznać się w obradach, którym sam przewodniczył [1]).

Policya wiedziała o tem sekretnem wydawnictwie protokułów bez uprzedniej cenzury, lecz otrzymała polecenie, by patrzała na to przez palce, również na żałobę, którą przywdziała cała ludność, jak i na tę niezliczoną ilość fotografii pięciu ofiar i ich pogrzebu, rozchodzących się po całym kraju z warszawskich fotograficznych zakładów.

Obok fotografii komitet czerwony kazał wybić i rozszerzał po kraju medale z Matką Boską po jednej, zaś ze złamanym krzyżem, liczbami 25 — 27 i napisem „Ratuj Ojcze!“ po drugiej stronie.

Cyfry te wyrzynano na ławkach i drzewach, po ogrodach i skwerach, i zapewne do dzisiaj jeszcze niejedno drzewo istnieje ze śladami tych napisów.

W kraju, przy drogach wznoszono krzyże, często z surowego, nie obrobionego drzewa, z koroną cierniową i cyframi 25—27.

W wielu prowincyonalnych miastach pozawiązywały się samowolnie, bez żadnego upoważnienia, prowincyonalne delegacye, na wzór warszawskiej, ze strażą narodową i poborcami składek. Pod wpływem strachu, który owładnął przedstawiciela najwyższej władzy w kraju, oraz tego wszystkiego co zaszło na Zamku zaraz po 27 lutego, nikt z miejscowych na-

---

[1]) Powiadają, że raz książę Gorczakow, lubiący, jak wiadomo, zmieniać i poprawiać bez końca swe pisma, zażądał zwrotu jakiejś odezwy, przesłanej delegacyi. Odpowiedziano mu, że akt ten zaginął; w rzeczywistości zaś odezwa ta wraz z protokułem odbytego posiedzenia została odesłaną do Poznania do Władysława Niegolewskiego.

Jeden z delegatów opowiadał autorowi, że hrabia Andrzej Zamoyski wysyłał na zebrania w resursie hrabiego Henryka Potockiego, który zwykł był się zjawiać nietrzeźwy.

czelników nie spróbował nawet opozycyi i zarządzenia jakichkolwiek środków zapobiegawczych, celem zwinięcia tych samozwańczych delegacyi lub usunięcia tego mnóstwa, demonstracyjnie stawianych krzyży! Nawet nie wszyscy naczelnicy zawiadamiali przełożone władze o wszystkiem co zaszło. Jednem słowem, w całym kraju od razu zapanował taki sam rozstrój, takaż bierność policyi, wojska i rządowych władz rosyjskich, jaka zachodziła w Warszawie i w jej *forum* narodowem — w Resursie kupieckiej. Prowincya zapatrywała się na stolicę Królestwa i naśladowała ją, o ile się tylko dało.

Stolica zaś, pochowawszy uroczyście znakomitych pięciu, po tygodniu zamierzyła sprawić zwyczajowe nabożeństwo żałobne, czyli tak zwaną oktawę za dusze zabitych, i to z wspaniałością, odpowiednią samemu pogrzebowi. Policya patrzała na jawnie robione przygotowania i zażądała rozkazów namiestnika. Ten polecił, by się do niczego nie mieszać i pozostawić miastu zupełną swobodę. Urządzono więc manifestacyę i to nie jedną lecz kilka na raz. U św. Krzyża uczniowie instytutu muzycznego, dyrygowani przez swego dyrektora, odśpiewali *Requiem*. Damy z wyższych sfer towarzystwa kwestowały. Początek zrobiła księżna Lubomirska, z domu brabianka Zamoyska. Wśród zebranych tłumów uzbierano oprócz pieniędzy mnóstwo kosztowności: kolczyków, broszek, bransolet i pierścionków. Na co? na jakie cele? nikt o to nie pytał. Wszyscy byli nadzwyczaj wzruszeni, kobiety na głos płakały.

W kościele OO. Reformatów przy ulicy Senatorskiej, chórem dyrygował Moniuszko. Na zakończenie pierwszy tenor opery polskiej, Dobrski, odśpiewał hymn patryotyczny, na ten obchód ułożony.

Zapewne nie da się absolutnie stwierdzić, żeby delegacya, a przynajmniej większa część jej członków, w tem wszystkiem czynną brała inicyatywę, lecz nikt się nie starał zapobiedz temu. Uczu-

cia ich były zgodne z nastrojem tłumów; nie chcieli, czy też nie umieli spostrzedz, że naród zaczyna grę niebezpieczną i dąży gdzieś po omacku, bez jasno wytkniętego celu.

Aweyde taki sąd wydaje o delegacyi: „Pomimo szanowny osobisty charakter wszystkich, bez wyjątku, członków delegacyi, ich oględność i życiowe doświadczenie, delegaci, pod względem wrażliwości uczuć, niczem się nie różnili od najmłodszych manifestantów. Oni zarówno z nami wszystkimi zachwycali się porywami tych religijno-patryotycznych uniesień i nietylko nie starali się uspokajać wzburzone umysły, nie troszczyli się i nie zapobiegali nowym jakim demonstracyom, lecz owszem, to ciągle trwające wzburzenie im się podobało, oni je podtrzymywali.. i potakiwali tym chaotycznym zebraniom różnego rodzaju domorosłych polityków w resursie. Oni na te zebrania przychodzili ze sprawozdaniami, kokietowali z tłumami... Resursa była w tym czasie ostoją i punktem zbornym; warsztatem przygotowawczym przyszłych manifestacyi i spisków“.

„Nie przypuszczano, by w umysłach konserwatywnych członków delegacyi mógł powstać projekt sprzysiężenia; jestem przekonany, że wobec rządu działali oni z zupełnie dobrą wiarą i najlepszymi zamiarami, lecz jednocześnie nie gorzej, a bodaj nawet że lepiej, niż dobrze zorganizowani i świadomi swych celów spiskowcy“. (Tom II, str. 23—26).

W spełnieniu przyrzeczenia danego delegacyi, że sprawa strzałów będzie należycie zbadaną, namiestnik wyznaczył osobną *ad hoc* komisyę, która się zebrała dnia 11 marca w pałacu Namiestnikowskim w następującym składzie; prezes, dowódca drugiego korpusu armii, generał piechoty Liprandi; członkowie: komendant miasta Warszawy, generał-major Mielników; prezes sądu kryminalnego Wieczorkowski; radca prawny komisyi skarbu, obrońca

przy IX i X departamentach rządzącego senatu, mecenas Kojsiewicz.

Wiadomo, że w Rosyi specyalne takie komisye są tylko wyrazem zapatrywań naczelnej władzy na badane fakta. Wysadzona więc i ta komisya zapatrywała się na całe zajście oczami księcia Gorczakowa i niektórych dygnitarzy, podzielających te poglądy. Nadto członkowie komisyi Polacy, rozumiejący doskonale istotę sprawy i jej doniosłość, jako prawnicy znali najdokładniej wszelkie przepisy i paragrafy praw dotyczących. Chociażby więc nawet wyższa władza dążyła do usprawiedliwienia i uniewinnienia generała Zabołockiego, na co w zbiorze ustaw znalazłby się niejeden paragraf, polskim członkom komisyi chodziło o co innego. Miasto żądało ukarania Zabołockiego, dlatego też zawczasu można było przewidzieć ostateczny wynik tych dochodzeń.

Zaczęto od rozpatrzenia przedewszystkiem formalnej strony zajścia. Stwierdzono, że Zabołocki bez rozkazu wyprowadził wojsko z pałacu Prymasowskiego i na własną rękę wywołał całe zamieszanie, czemu Zabołocki wcale nie przeczył, owszem, w raporcie złożonym dnia 26 lutego do liczby 18, dowódcy drugiego korpusu, otwarcie i śmiało, jak przystało żołnierzowi, podaje: „do użycia siódmej kompanii Nizowskiego pułku piechoty nie miałem rozkazu“.

Komisya chciała widzieć tylko literę prawa, nie uwzględniając bynajmniej ukrytego w niem ducha. Żadne okoliczności łagodzące nie zostały uwzględnione, a jednak tyle ich było! Ani mowy nie było o jakiejkolwiek wyrozumiałości dla człowieka wzburzonego i wzruszonego, a do tego rannego, który w fatalnej chwili stracił głowę, jak tylu wokoło je potraciło. Komisya nie uznawała nawet najzwyklejszych wyjaśnień generała i drugich osób wmieszanych w tę sprawę. Gdy naprzykład Zabołockij i starsi adjutanci dyżurstwa pierwszej armii: podpułkownik Griszyn i kapitan Rottkirch stanowczo twierdzili, że

przy poczcie podjechał do nich kozak kubański i powiedział to i to, komisya nie poprzestała na tem, lecz zapytała asauła Zawarowa, czy to być mogło?

I—*sancta simplicitas*—odważny kozaczysko Zawarow, nastojaszczy i czystej krwi Rosyanin, usposobiony jak wszyscy (wszak sam namiestnik powiedział o Zabołockim i Trepowie *il faut les sacrifier*), odpowiedział, że „generał nie mógł spotkać żadnego kozaka przy poczcie, gdyż wszyscy byli przed kościołem Bernardynów i na placu Zamkowym". Zabołockij i oficerowie z siódmej kompanii Nizowskiego pułku piechoty upierali się jednak przytem, że spotkali kozaka przy poczcie, że w tem niema nic dziwnego, wszak od kościoła Bernardynów do poczty zaledwie kilkadziesiąt kroków; że na ulicy panował zgiełk i zamieszanie, i że łatwo który z kozaków, uganiających się za ludem, mógł się zapędzić i znaleźć obok poczty.

Wówczas komisya zawezwała Zawarowa, by z całym swym oddziałem przybył na Plac Zamkowy, i zmusiła starego, osiwiałego w służbie generała do chodzenia między szeregami i rozpoznania kozaka, na którego się powoływał [1]). Generał poddał się temu żądaniu i na swoje nieszczęście kozaka nie odszukał. Zawarow tryumfował, a członkowie komisyi Rosyanie nietylko mrugali oczami, nie spostrzegając, co za zgorszenie wywoływała ta cała scena wśród wojska i w mieście, jak była szkodliwą dla ruskich interesów i dla sprawy uspokojenia kraju.

Dalsze, równie dziwne i nieprawdopodobne rozporządzenie komisyi, polegało na danem poleceniu wydziałowi weterynaryi przy Akademii, by opatrzono konie kozackie, poranione w starciu dnia 27 lutego ostremi narzędziami. Spisano akt na kilku ar-

---

[1]) Wyjęte z cytowanych już aktów „O zajściach w Warszawie dnia $^{15}/_{27}$ lutego 1861 roku", str. 82.

kuszach, w dwa tygodnie po zajściu mierzono rany na cale i linie! Opisanie jednej rany zajmuje pół arkusza! I na co to było potrzebne komisyi, która miała zbadać i ocenić, o ile zawinił generał Zabołockij, wydając samowolnie rozkaz strzelania do bezbronnego ludu?

Gorliwa ta praca komisyi przeciągała się blizko miesiąc, przypominając spisanymi protokułami owe sławne sądowo-lekarskie oględziny ciał zabitych, dokonane w 64 numerze hotelu Europejskiego. Następnie posiedzenia komisyi przeniosły się z pałacu Namiestnikowskiego do kwatery prezesa, gdzie się odbywały coraz bardziej niedbale. Może być, że się i na Zamku spostrzeżono, że w obu tych razach nie załatwiano poważnej sprawy, lecz dokazywano, jak rozswawolone dzieci. Ci zaś, którzy mieli sobie poruczone role opiekunów lub dozorczyń, nic nie rozumieli lub się nie chcieli niczego domyślić.

Mówiono wprawdzie, że wskutek otrzymanych wskazówek, komisya starała się usprawiedliwić Zabołockiego i skonstatować, że padły strzały z domu Malcza, lecz żołnierze, którzy to z początku twierdzili, ostatecznie pod przysięgą zeznania swoje cofnęli [1]).

Dnia 26 maja, na cztery dni przed zgonem księcia Gorczakowa, niewiadomo z czyjego polecenia, komisya została rozwiązana i rzecz całą puszczono w niepamięć. Tymczasem zaś spisano 329 arkuszy protokułów.

Na dwa lub trzy tygodnie przed opisywanemi wypadkami, zebrani u namiestnika rozmawiali o odbywających się manifestacyach i rozprawiali, jakby uchronić kraj od wstrząśnień i nieporządków, i zapobiedz im na przyszłość, czyli, że radzono nad sposobami stanowczego uspokojenia kraju.

---

[1]) O tem wspominają i wyżej cytowane akta.

W owym czasie nie odstępował księcia Gorczakowa jego zręczny i przebiegły faktor Enoch, wijąc się jak ów wąż biblijny, który naszą prarodzicielkę wywiódł na pokuszenie. Enoch władał doskonale ulubionym przez księcia francuskim językiem, był zawsze wesół, umiał od czasu do czasu wcale dowcipnie zażartować i wywołać uśmiech na usta otaczających osób i to w chwilach, gdy nikomu śmiać się nie chciało. Książę z tej przyczyny prawie go nie wypuszczał z zamku.

Raz zostali sami Książę w przystępie szczerości odezwał się do faktora:

— Bardzo źle, *mon cher*, im dalej tem gorzej. Robimy ustępstwa w nadziei, że się upamiętają i zadowolnią, że pobawiwszy się w manifestacye, zmęczą się i uspokoją. Ale nic z tego, oni jeszcze bardziej dokazują i do dzieci łączą się już wcale nie dzieci. Okropnie! nie wiem sam co robić! Jak sądzisz, co z tego wyniknie?

— Trudno to odpowiedzieć na razie... dużo i długo dałoby się o tem mówić. Wolę przeto rzecz tę wyłożyć na piśmie!

— Ależ doskonale! napisz, przeczytam to z największą uwagą i ciekawością!

Memoryał został ułożony nadzwyczaj prędko, przy pomocy, jak się niektórzy domyślają, Wielopolskiego, jeżeli nawet cały nie wyszedł wprost z pod pióra margrabiego. Datowany dnia 2 marca 1861 roku, w dzień pogrzebu ofiar, jakby sam autor wskazywał, że należałoby jednocześnie pogrzebać i pochować wszelkie głupstwa, omyłki i beztakt, a zacząć zupełnie inne rządy – znalazł się niebawem w ręku zgrzybiałego księcia. Memoryał ten roztrząsał najprzód wypadki z dni 26 i 27 lutego, przyznawał zbieg różnych fatalnych okoliczności, następnie dowodził, że rząd aż nadto posiada sił i środków, by przywrócić powierzchowny porządek i spokój. Wszakże wewnętrzna, utajona w głębi serc i ducha strona sprawy pozostanie zawsze nie-

zmienną. Aby i w tym kierunku zapanował spokój, konieczne są pewne reformy w zarządzie i kraju i stosunku władzy do mieszkańców, reformy tak już szczęśliwie opromieniające początek panowania Aleksandra II.

Autor memoryału sądził, że przedewszystkiem należy bacznie przejrzeć przepisy, normujące sprawy religijne i kościelne, niemniej odnoszące się do wychowania, prawodawstwa i sądownictwa. Znajdował, że potrzeba zreformować szkoły, powiększyć ich liczbę, wskrzesić uniwersytet, ażeby zapobiedz temu włóczeniu się młodzieży po zagranicznych zakładach, gdzie przesiąka teoryami różnych szaleńców o przebudowaniu całego społecznego ustroju. Radził znieść komisyę kodyfikacyjną, która, mimo 30-letniego istnienia, nie przyniosła żadnej korzyści krajowi — wywołała zaś swemi zarządzeniami rozstrój i nieporządki. W miejsce komisyi kodyfikacyjnej i ogólnego zebrania departamentów senatu, radził utworzyć istniejącą już po części w Królestwie radę stanu; uznawał konieczność dopuszczenia pewnego stopnia samorządu przez utworzenie rad gubernialnych, powiatowych i miejskich, pochodzących z wyboru. Wszelkie zaś wyskoki i porywy rewolucyjne radził poskramiać i karać najsurowiej. Następnie wskazywał, jako na największą niewłaściwość, że w kraju tak religijnym i katolickim na czele komisyi wyznań stoi prawosławny dyrektor. Przedstawiał konieczność powierzenia tej godności katolikowi i Polakowi—i dodawał, że najwłaściwiej byłoby powierzyć tej samej osobie i sprawy oświaty i wychowania [1]).

Namiestnik, przeczytawszy ten dokument, który mu się nadzwyczaj podobał i uderzył swą treści-

---

[1]) Oryginalny tekst francuski przytoczony w dziele *Lisickiego*, „Le marquis Wielopolski,“ tom II, str. 39—47.

wością, tak niepodobną do przyjętych rządowych form biurokratycznych, zrobił domniemanemu czy też właściwemu autorowi jedyną uwagę, że „nadzwyczaj będzie trudno znaleźć Polaka, mającego ustalone stanowisko i wpływy w społeczeństwie, a do tego posiadającego odpowiedni rozum i zdolności, któryby się zdecydował służyć szczerze rządowym widokom, szczególniej w tak niespokojnym czasie, gdy w kraju wszystko wyszło ze stanu normalnego, straciło miarę i nosi się Bóg wie z jakiemi marzeniami, gdy najumiarkowańsi przestali być umiarkowanymi; któryby zechciał otwarcie wobec swoich i obcych przywdziać rosyjski mundur i walczyć — może na wzór Donkiszota — z wiatrakami tylko!—Gdzie wynaleźć takiego osobliwszego i nieprawdopodobnego Polaka?"

— Ja sądzę, że się znajdą, a nawet mam takich dwóch do wyboru—odparł Enoch.

— Któż są oni?

— Hrabia Tomasz Potocki i margrabia Wielopolski [1]).

— Potockiego znam — zamruczał książę — w istocie człowiek to poważny i wykształcony, ale zdaje mi się bardzo chorowity [2]).

---

[1]) *Spasowicz.* „Życie i polityka margrabiego Wielopolskiego," strona 137.

[2]) W istocie był sparaliżowany i prawie bezwładny. Na posiedzenie Towarzystwa rolniczego dnia 27 lutego wniesiono go na fotelu. Enoch wspomniał o nim jedynie, aby wymienić kogoś drugiego, gdy naprawdę drugiego kandydata nie było. Potocki umarł w grudniu 1861 roku w wieku lat 52. Był to człowiek nadzwyczaj zdolny, uczciwy, szlachetny, patryota podniosłej duszy—jeden z nielicznych członków arystokracyi, którzy otrzymali gruntowne i poważne wychowanie. Z pod jego pióra wyszły następujące dzieła:

1. „O organizacyi wojsk polskich." Paryż 1834 i 1843.

2. „Stosunek polityczno-religijny Rusi do Polski,

— Prawda, że bardzo wątłego zdrowia, nawet miał już atak apoplektyczny. Powiadają, że za młodu zanadto czcił Bachusa, kiedy to wszyscy pili, szczególniej wojskowi, a on służył w 1830 r. w wojsku polskiem. — Drugi ze wszechmiar silniejszy. Jest to człowiek obszernej wiedzy, prawnik, mówca, dyplomata — wszystko, co kto chce, a przytem od dawna szczery zwolennik Rosyi. Syna oddał do wojska, i ten jako oficer ułanów odbył całą sławną krymską kampanię.

W dalszych rozmowach w tej samej materyi, które się powtórzyły na drugi, czy trzeci dzień po pierwszej [1]), Enoch już jasno określił warunki, w których musiałby być postawiony człowiek, jakiego Rosya potrzebowała, a którego, można powiedzieć, wynaleziono. „Margrabia nie jest popularny—nawet między swymi. Z racyi odziedziczonej po przodkach dumy i swych własnych przyzwyczajeń nie umiał i nie mógł kłaniać się nikomu. Między nim a głównym przywódcą białych od dawna tleją niechęć i antagonizm. Przedział ten zwiększył się jeszcze bardziej od czasu istnienia Towarzystwa rolniczego. Niema więc obawy, by mogło nastąpić między nimi porozumienie, niebezpieczne dla rządu. Umiarkowanie margrabiego od dawna

---

oraz katolicyzmu do Rosyi i prawcsławia.“ Kraków 1848.

3. „Głos Polski, pod panowaniem rosyjskiem zostającej, do sejmu frankfurckiego.“ Kraków 1848.
4. „Głos Polski z pod zaboru rosyjskiego do braci w Galicyi i Poznańskiem.“ Kraków 1848.
5. „O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce.“ — Poznań 1851 i 1859.
6. „Poranki Karlsbadzkie, czyli rozbiór zarzutów, uzupełnień i uwag nad pismem o urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce “ Poznań 1858.

[1]) Wiadomo, że nazajutrz po pogrzebie, a więc 3-go marca najbliższe otoczenie księcia Gorczakowa, zebrane na Zamku, rozpatrywało memoryał Enocha.

znane. W bitwie się wyróżniał od gorących zapaleńców w 1831 roku. Zagranicą nigdy się nie zbliżył do czerwonych. Czasem spotykano go w hotelu Lambert, lecz nigdzie więcej. Usposobienie to nie dozwoli mu zbliżyć się z drugą partyą w Królestwie, stojącą pod hasłem kupieckiej resursy. A zresztą i tak okrzyczana resursa, o której tyle mówią i której tak się boją — cóż w niej strasznego? To urojenie, *fata morgana*, nocna mara, która w nic się rozwieje przy pierwszych promieniach jasnego słońca. Rachować się potrzeba tylko z białymi. Z tej strony tylko spodziewać się należy pewnego oporu i walki. Tam potrzeba szukać zwolenników i poparcia, a lepiej od Wielopolskiego nikt tego nie potrafi. Jeśli on tego nie dokaże, to wszelka praca, w tym kierunku podjęta, będzie marna."

Książe Gorczakow wyraził życzenie bliższego poznania się z Wielopolskim, a gdy Enoch oświadczył, że go w tej chwili niema w Warszawie, książe polecił natychmiast odnieść się do niego, a na wspomnienie o Chrobrzu przypomniał sobie, że córka jego, zamężna Pankratiewa, sąsiadująca z Wielopolskim z tytułu posiadanej donacyi, opowiadała mu przed swym wyjazdem do Drezna o nadzwyczaj rozumnym i znakomitym obywatelu, sąsiedzie swym z Chrobrza. (Opowiadał to senator Kruzensztern i potwierdziły inne osoby).

Zanim więc nadejdzie do Warszawy ów upragniony zbawca z Chrobrza, zajrzyjmy do jego rodowodu i przeszłości. Zrobimy to w zastępstwie tych, którzy powinni byli to uczynić we właściwym czasie... lecz tego nie zrobili. Wogóle rosyjscy wielkorządcy nie lubią tego rodzaju dochodzeń i badań i mało zajmują się historyą. Należy wszakże przyznać, że książe Gorczakow posiadał ładną bibliotekę wojskową i czytywał dosyć.

W połowie XVI wieku biskupem płockim a następnie krakowskim był Piotr Myszkowski, znany w dziejach z głębokiej wiedzy i zamiłowania do nauk i sztuk pięknych. Umierając pozostawił swym synowcom, Zygmuntowi i Piotrowi Myszkowskim, ogromny spadek, wynoszący w samych kapitałach 8 milionów ówczesnych złotych, oprócz dóbr ziemskich; Chrobrza, Mirowa, Książa Wielkiego i Pinczowa, w województwie krakowskiem; Oryszowa i Szymanowa w województwie mazowieckiem, oraz Wieprza na Śląsku.

W pięć lat po śmierci stryja, Zygmunt Myszkowski otrzymał od papieża Klemensa VIII-go tytuł margrabiego, a książe mantuański, Wincenty Gonzaga, przybrał go do swego herbu i nazwiska.

Nowy margrabia wraz z bratem swoim Piotrem utworzył w 1601 roku ordynacyę imienia Gonzagów-Myszkowskich.

Ku końcowi XVII wieku ostatni ordynat z rodu Myszkowskich umierał bezdzietnie. Córka jego brata, Anastazya, była wydaną za Jordana, wojewodzica bracławskiego. Założyciel ordynacyi, Zygmunt, oprócz syna miał córkę Annę, wydaną za Mikołaja Komorowskiego. Syn z tego małżeństwa, Krzysztof, był ożeniony z Przytycką i pozostawił jedyną córkę Krystynę, zamężną z Janem hr. Wielopolskim [1]), stolnikiem a następnie wielkim kanclerzem koronnym (1678 roku).

---

[1]) Ród Wielopolskich pochodzi ze starej krakowskiej rodziny Bonarów, przez kilka pokoleń z ojca na syna żupników Wielickich. W końcu XIV wieku od posiadłości w Krakowie, zwanej Wielopole, Bonarów zwać zaczęli Wielopolskimi. Jan Bonar, syn Mikołaja, pierwszy już urzędownie przybrał to nazwisko w 1396 roku. Do połowy XVII wieku Wielopolscy bywali burgrabiami na zamku królewskim w Krakowie, sędziami i podkomorzymi krakowskimi. Jan Wielopolski, syn Kaspra, w 1636 roku otrzymał krzesło w senacie, a dnia 29 listopada 1656 roku otrzymał od ce-

Syn ich Franciszek hr. Wielopolski wszczął z Jordanami proces o ordynacyę Myszkowskich. Po wielu sporach w sądach i wielu zajazdach, ostatecznie Wielopolski wygrał. Trybunał Lubelski przyznał jego rodowi prawo na dziedziczenie ordynacyi Myszkowskich i używania tytułu margrabiego.

Starszy syn Franciszka, a drugi ordynat z domu Wielopolskich, Karol hr. Wielopolski, margrabia Gonzaga-Myszkowski, koniuszy a następnie wielki chorąży koronny, zajmował się z upodobaniem literaturą: pisywał polskie i francuskie wiersze i tłómaczył wiele rzeczy poważnych.

Trzeci ordynat Franciszek, syn Karola, żył już za czasów Stanisława Augusta. Prowadził dom nadzwyczaj wystawny i zabrnął w długi. Chciał uporządkować swe interesa, sprzedając część dóbr ordynackich, lecz mimo usilnych starań na sejmie czteroletnim, nie uzyskał na to zezwolenia. Po zaszłym następnie rozbiorze kraju, ordynacya myszkowska znalazła się w zaborze austryackim, gdzie prawa ordynackie nader ściśle były przestrzegane. W 1809 roku margrabia Franciszek umarł, a w tym samym czasie ta część kraju została przyłączona do Księstwa Warszawskiego, w którem obowiązywał kodeks Napoleona, nie uznający substytucyi, a zatem majoratów i ordynacyi. Jednak prawo to nie posiadało wstecznego działania na majoraty już istniejące. Nie zważając na to, Józef Jan Nepomucen, syn Franciszka, a czwarty ordynat z rodu Wielopolskich, znalazł sposoby sprzedania części posiadłości ordynackich. Przeciw tej sprzedaży zaprotestował najbliższy następca bezdzietnego ordynata, Józef Stanisław hr. Wielopolski, stryjeczny stryj margrabiego. Wszczął się spór sądowy, któ-

---

sarza Ferdynanda III-go tytuł hrabiego św. Państwa rzymskiego.

ry skończył się ugodą, zawartą dnia 7 kwietnia 1813 roku, mocą której Józef Stanisław otrzymał od ordynata wraz z tytułem margrabiowskim klucze: Chroberski, Książski i Kozubowski w zamian za zrzeczenie się w imieniu własnem i innych magnatów wszelkich praw i pretensyi do innych dziewięciu kluczów, składających ordynacyę.

Margrabia Józef Stanisław był ojcem Aleksandra Ignacego Jana Piotra czterech imion hr. Wielopolskiego, margrabiego na Mirowie, Gonzaga-Myszkowskiego, urodzonego dnia 13 marca 1803 roku w Sendziejowicach pod Pińczowem, którego dalsze koleje właśnie mamy opowiedzieć.

Rodzice nie szczędzili żadnych kosztów, by jedynakowi dać najstaranniejsze humanitarne wychowanie. W domu zaczął się uczyć języków starożytnych, historyi, geografii, prawa—obok języków nowożytnych; następnie oddano go w Wiedniu do Theresianum, zkąd przeszedł na uniwersytet warszawski. Dla uzupełnienia i wykończenia pobieranych nauk, słuchał jeszcze wykładów najznakomitszych profesorów w Getyndze i Paryżu, i w listopadzie 1824 roku otrzymał stopień doktora filozofii. Na nalegania matki oddawał się szczególniej prawu, studyował kodeks Napoleona, a to, aby z czasem objąwszy zarząd majątku, mógł napowrót przywrócić i powołać do życia dawną ordynacyę Myszkowskich w rozmiarach i granicach, zakreślonych przez jej założyciela za czasów Zygmunta III.

Młody margrabia od dzieciństwa słyszał z ust matki [1]) o świetności dawnej ordynacyi i marzył

---

[1]) Matka margrabiego, Aleksandra Eleonora Dembińska, siostra generała Henryka Dembińskiego, widziała w swym synu wskrzesiciela zachwianej ordynacyi i ku temu skierowała całe jego wychowanie. Margrabia stracił ojca, mając lat dwanaście i młodość jego rozwijała się pod wyłącznym wpływem matki.—(Patrz *Spasowicz*, oraz *Dziennik poznański* z 1878 roku, numer 3, str. 1, szpalta 3.)

zawsze o odzyskaniu nieprawnie, jak był przekonanym, oderwanych włości z wspaniałej fortuny swych przodków. Głośne ich imiona, od dzieciństwa znane mu były tak dobrze, jak pacierz codzienny, szczególniej zaś postać Piotra na Mirowie Myszkowskiego, sławnego męża stanu i uczonego, żyjącego za szczęśliwych czasów Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Zygmunta III, którego sława nietylko w Polsce, lecz i po ościennych krajach rozbrzmiewała, jak o tem wspomina w swych nieśmiertelnych pieniach książę polskich poetów, Jan Kochanowski.

Zapamiętał on także i tę okoliczność, że miasteczko Pinczów, dawną stolicę ordynacyi, jeszcze za Oleśnickich nazywano polskiemi Atenami. Temi wyobrażeniami od dzieciństwa przesiąknięty, nic dziwnego, że uważał ród swój za pierwszy w kraju. Te poglądy obok wspaniałego, magnackiego otoczenia, te uroczyste przyjęcia, służba, herby na każdym kroku, ta uniżoność drobnej a często i niedrobnej szlachty, ścielącej się co słowo do nóg, pieszczoty rodziców, literalnie ubóstwiających syna—i także ludzi dumnych i ambitnych — wszystko to wywarło stanowczy wpływ na naszego bohatera. Wyrósł on na zimnego, zamkniętego w sobie i nieprzystępnego magnata z zakusami, datującemi z epoki panującego feudalizmu. Zawsze miał myśl zwróconą na to, jakby się okazać wybitniej, wspanialej, przodować innym i nad wszystkimi zapanować. Co do wykształcenia w istocie nie wielu miał równych sobie wśród hulaszczej i nader powierzchownie wychowanej młodzieży; lecz co do majątku niejednego miał współzawodnika. Przed innymi wszakże przodowali Zamoyscy ze swoją olbrzymią ordynacyą, od kilku wieków nie uszczuplaną.

Współzawodnictwo tych dwóch rodów widoczne nie od dzisiaj. Już w XVII wieku Zamoyski i Zebrzydowski sprzeciwiają się mianowaniu Zygmunta Myszkowskiego marszałkiem koronnym (1601 roku), co przeszło z czasem w dziedziczną niechęć.

Wyrażamy się najłagodniej, bo trudno słowami dokładnie określić, co wrzało i kotłowało w najskrytszych głębiach ducha jednych i drugich, przy wzajemnych spotkaniach. Żyjąc tylko dłuższy czas w Polsce i badając bliżej stosunki, można dopiero zrozumieć takie wzajemne rodowe usposobienia.

Zapewne, dostatki odgrywają wielką rolę w życiu każdego człowieka, lecz dla magnata, dziedziczącego po przodkach znakomite nazwisko, są one koniecznością. Arystokrata bez dostatków jest uboższym od najbiedniejszego żebraka; każda korona na herbowej tarczy zblednie, gdy brak złota dla podtrzymania jej blasku.

Majątek, jaki odziedziczył po rodzicach margrabia Aleksander, był wcale znaczny, ale on czego innego pragnął. Pod tym względem chciał stanąć w pierwszym rzędzie i dlatego, skoro się tylko poczuł na siłach, z całym zapałem wziął się do odzyskania utraconej ordynacyi. A sił czuł w sobie dosyć, sił młodych i niezwykłych. Nadmiar ten musiał użyć i spożytkować w jakimkolwiek kierunku — pod obawą moralnego przekrwienia. Innego pola działania nie widział przed sobą. Służyć brutalnemu despotyzmowi, kryjącemu się pod maską liberalnej konstytucyi, wysłuchiwać dzikich krzyków, częstokroć z dodatkiem moskiewskich ulicznych wyzywań z ust W. Księcia (jakto codziennie musieli słuchać na Saskim Placu oficerowie i nieoficerowie, którzy z czasem przywykli do tych wybuchów, jak do wybuchów jakiej innej brutalnej, nieokiełznanej siły), margrabia nie mógł i nie chciał; wszak nie na darmo odebrał europejskie wychowanie.

Oddany swym własnym interesom, uznał naprzód za nieprawny układ swego ojca ze stryjecznym kuzynem Janem Nepomucenem z d. 7 kwietnia 1813 roku. Lecz przez to samo odrzucając rozdział ordynacyi na dwie części, niejako na dwa oddzielne majoraty, któryto rozdział, wypływając z dobrowolnego, przez władzę zatwierdzonego ukła-

du, uzyskał już pewną sankcyę prawną — cofał margrabia całą sprawę dziedzictwa majątku do tego punktu, w którym ojcu jego groziła zupełna utrata spadku a nawet tytułu margrabiowskiego.

Strona przeciwna, złożona z kilku rodzin, które ponabywały od Jana Nepomucena dobra ordynackie, wybrała swym obrońcą i zastępcą zdolnego i doświadczonego adwokata, a przytem na wielką skalę spekulanta, Jana Bonawenturę Olrycha, najbardziej w tym procesie interesowanego, gdyż z ordynacyi nabył już różne dobra, rzekomo za 5½ milionów złp., w tej liczbie Pinczów i Szaniec, wyłożywszy na to tylko 350,000 złp. gotówki. (*Spasowicz* str. 17). Olrych z tytułu posiadania Szańca, zwany potem Szanieckim, natychmiast nadał procesowi charakter socyalny. W obronach swych i pismach spornych przedstawiał margrabiego jako zacofanego i chciwego arystokratę, wojującego prawnymi wykrętami, złego patryotę, który w Wiedniu, Gettyndze i Paryżu nauczył się pomiatać i poniewierać ojczystemi instytucyami i wszystkiem co polskie. W kieleckim sądzie pierwszej instancyi, margrabia sprawę przegrał; ponieważ jednak nie należał do rzędu ludzi byle czem się zrażających, przeciwnie, napotkawszy na opór i przeszkody, nabierał nowej energii i siły, na podobieństwo jakby owej kuli działowej, która, tracąc pęd, zwolna toczy się po ziemi, lecz gdy trafi na kamień, w nowym podskoku leci z hukiem dalej, burząc wszystko po drodze—przeniósł sprawę do sądu apelacyjnego w Warszawie i tam ją w 1829 roku wygrał.

Lecz i przeciwnicy byli również wytrwali i przenieśli całą sprawę do senatu. Ogólny wszakże stan spraw kraju przerwał dalsze zapasy. Nadeszła chwila, w której wszelkie prywatne spory i procesy musiały ustąpić przed większym i ważniejszym procesem, prowadzonym przez kraj cały z obcym rządem. Ani margrabia, ani jego współzawo-

dnik Olrych, a szczególniej ten ostatni, nigdy się od procesów tego rodzaju nie uchylali.

Nastał rok 1830. Wielopolski wybrany do sejmu, należał do umiarkowanych i zasiadł na prawicy Olrych, także poseł sejmowy, zasiadał na lewicy i należał do partyi Lelewela.

Gdy w samym początku rewolucyi rząd narodowy wysyłał pełnomocników do państw zagranicznych [1]), Wielopolski otrzymał misyę do Londynu, dokąd wyjechał za szwajcarskim paszportem, wystawionym na imię jakiegoś de Paquier, pedagoga. Po długich staraniach uzyskał posłuchanie u lorda Palmerstona dnia 10 stycznia 1831 roku w tegoż biurze przy Dovning-Street. Palmerston przyjął margrabiego jako „podróżującego Polaka," zaopatrzonego w listy polecające ks. Adama Czartoryskiego, i w rozmowie oświadczył: „że powstanie było wielkim błędem, a zamach na życie wielkiego księcia Konstantego czynem wprost nieszlachetnym; że Polacy nie mają żadnego prawa żądać prowincyi, od dawna w skład państwa rosyjskiego wchodzących, i dlatego Anglia nie może się podjąć pośrednictwa między cesarzem i jego poddanymi, tem mniej przyjmować roli sędziego w sporze bezprawnym. Przytem nie widzi w tem żadnej korzyści ani konieczności dla Anglii. *Nous avons le droit d'intervenir en Pologne, mais nous n'en avons pas l'obligation.*" To samo powtórzył następnie raz jeszcze w parlamencie w 1863 roku).

Wielopolski w odpowiedzi wyraził możność, że Polacy doprowadzeni do ostateczności, przeniosą pożar walki do Galicyi, w Poznańskie, do Turcyi i Persyi, wskutek czego, wobec ogólnie panującego

---

[1]) Widzieliśmy już, że do Wiednia był wysłany Andrzej hrabia Zamoyski. Do Paryża pojechali: Konstanty Wolicki, generał-intendent polskiej armii, i Teodor Morawski, historyk i później przez czas jakiś redaktor *Orła białego* w Paryżu.—Kto był wysłany do Berlina, nie wiemy.

wzburzenia umysłów we Włoszech i w Niemczech, łatwo może niepokój ogarnąć szerokie przestrzenie; że w końcu Anglia będzie musiała wyjść ze swej neutralności. Czy nie byłoby więc rozsądniej, zawczasu zapobiegając takiej ewentualności, od razu przyjść z pomocą Polakom?

Na to Palmerston, cofnąwszy się parę kroków, po małej przerwie powiedział [1]): „Zapominasz Pan, że przyrzekłem Pańskiemu rodakowi, przyjąć pana jako jego przyjaciela i podróżnika, nic więcej. Jeśli zaś Pan zaczynasz rozprawę w sposób i tonem osoby oficyalnej i chcesz usłyszeć moje zdanie jako ministra, to nie mogę dać Panu żadnej odpowiedzi."

Poczem zapytał Wielopolskiego, czy długo jeszcze zamyślą zabawić w Londynie? dając do zrozumienia, że jak najprędszy jego wyjazd byłby bardzo pożądany. Podana następnie nota – tyleż skutku odniosła co i osobista rozmowa [2]).

Gdy następnie przybył do Londynu drugi wysłannik rządu narodowego, Aleksander Walewski, z projektem ofiarowania korony polskiej jednemu z arcyksiążąt austryackich, Wielopolski uczuł się tem dotknięty i wrócił w czerwcu 1831 roku do Warszawy.

W owym czasie przebywał w Londynie, jako trzeci agent rządu narodowego, sędziwy Julian Ur-

---

[1]) Rozmawiali stojąc przy stoliku, na którym rozłożona była mapa Polski.—(*Lisicki* tom IV, str. 346).

[2]) Notę tę margrabia wydrukował po polsku i po francusku. *Mémoire présenté à lord Palmerston, sécrétaire d' Etat de S. M. B. par le marquis Wielopolski, envoyé de Pologne.* Varsovie, 1831. — O tej to nocie daje szczegółowe wyjaśnienie *Dziennik poznański* z 15 listopada 1862 r. — Instrukcye, jakie otrzymał Wielopolski od rządu narodowego, przytacza *Lisicki* tom II, str. 1—4. Rozmowę z Palmerstonem, tom I, str. 19 i następne, oraz tom IV, str. 344—346. Sprawozdanie z tej misyi, złożone rządowi narodowemu, tom II, str. 1—16.

syn Niemcewicz. Ten także robił jakieś zabiegi i starania... w końcu zniecierpliwiony swoją fałszywą pozycyą—jako prawdziwy poeta zapytał kategorycznie lorda Grey'a: „Powiedz mi Pan otwarcie, czy zrobicie co dla Polski, czy nie?" Grey odpowiedział: „Nic nie zrobimy." — (*Lisicki* tom I, str. 175).

Po wzięciu Warszawy Wielopolski wyjechał za granicę na jednym wózku z Maurycem Mochnackim i przebywał następnie w Rydzynie, Krakowie i Dreznie. Korzystając z amnestyi, w 1833 r. wrócił do kraju i osiadł w Książu Wielkim, pracując dalej nad wykończeniem własnego wykształcenia. Mówią, że dokładał wszelkich starań dla zniszczenia śladów podanej przez siebie noty do rządu angielskiego, lecz Paskiewicz posiadał jeden egzemplarz tej noty i przejrzał doskonale, lepiej od swych późniejszych następców, czem mianowicie jest Wielopolski. Długo też nie zezwalał na jego powrót a nawet, jak zapewniają, chciał go zupełnie z amnestyi wyłączyć.

Sztywna duma i trzymanie się miejskich zwyczajów w wiejskiej rezydencyi Wielopolskich [1]), lodowata atmosfera, otaczająca osobę gospodarza, nie zachęcały wcale sąsiadów do odwiedzin. W Książu życie upływało spokojnie, nikt mu nie przeszkadzał w pracy.

W liczbie wybranych, bez obawy przestępujących wysokie progi margrabiowskiej rezydencyi, był bogaty obywatel z Ukrainy, człowiek rzadkiego rozumu i wykształcenia, Konstanty Świdziński, który życie swe poświęcił namiętnemu gromadzeniu ojczystych pamiątek i zabytków. Przebywał przeważnie na Ukrainie, lecz od czasu do czasu zazierał do

---

[1]) Margrabia w 1827 roku ożenił się z Teresą Potocką, a gdy w 1851 roku owdowiał, w rok potem wstąpił w związek z jej siostrą Pauliną.

Królestwa, gdzie posiadał piękne dobra, klucz Sulgostowski, w sąsiedztwie posiadłości margrabiego i tu się spotykali. Znajomość zaś ich datowała się od sejmu rewolucyjnego z 1831 roku, na który obaj posłowali. Potem często się spotykali za granicą.

Świdziński odwiedził Sulgostów w 1835 roku. Przyjaciele z bólem serca przypatrywali się, jak wojenna dyktatura niweczyła i burzyła ostatnie liberalne urządzenia kraju. Upadek powstania, rozporządzającego doskonałą stutysięczną armią i znacznymi pieniężnymi środkami, będącego w posiadaniu wszystkich fortec w kraju, był nadzwyczaj pouczający dla tak rozumnych ludzi i dowodnie przekonywał o płonności wszelkich przyszłych zbrojnych pokuszeń powstańczych. Jeśli walka, podjęta w takich warunkach, została przegraną, cóż będzie z innemi, opartemi na biednych kosynierach! Spokojna rozwaga narzucała dla każdego polskiego patryoty inne drogi w przyszłości, wymagała spisku, ale innego, w którymby stanowczo odrzucono wszelką myśl walki z potężnym wrogiem w otwartem polu, jako marzycielskiej, bezrozumnej i występnej. Do jakich wyników dochodzili oni w swych poufnych rozmowach, nie wiemy. Jedynie, co może historyk dostrzedz — to powzięte w umysłach przyjaciół postanowienie „złożenia w bezpiecznem miejscu wszystkiego, co sami i ich przodkowie potrafili zgromadzić z zabytków świetniejszej przeszłości, i zbiory te uczynić dostępnymi dla uczonych i wogóle żądnych nauki Polaków." Podówczas żadne inne działanie nie było możliwe; groźna postać z gwiazdą św. Jerzego na piersi, przechadzała się i nad brzegami spokojnej Nidy i zaglądała we wszelkie zakątki.

Nie wiadomo, jak obszerne miało znaczenie to określenie „bezpiecznego punktu dla zjazdów uczonych"—w umysłach dwóch przyjaciół, gdy czasami rozgrzani złotym i gęstym jak oliwa płynem, przypomnieli w głębi duszy odgłosy trąb legionistów... wiemy tylko, że Świdziński, posiadający wię-

ksze i bogatsze zbiory, nosił się z myślą umieszczenia ich w Krakowie, wówczas jeszcze wolnej Rzeczypospolitej [1]).

Przyjaciele rozstali się wszakże bez doprowadzenia swych zamiarów do jakiegokolwiek pozytywnego wyniku. Świdziński wrócił na Ukrainę. Wielopolski zaś dalej czytał, pracował i marzył o przyszłych losach ojczyzny w swym Książu...

Naraz spokój jego wiejskich zajęć został przerwany. Przegrany w apelacyi proces przeciwnicy przenieśli do senatu i zapozwali Wielopolskiego do Warszawy.

Wskutek zabiegów i zręcznie rozsiewanych wiadomości i artykułów dziennikarskich, opinia Warszawy, a nawet całego kraju zwróciła się przeciw margrabiemu. Wyrok apelacyjny, słusznie czy nie słusznie, pozbawiał wiele rodzin mienia i wypędzał je z zagród, w które włożyli pracę swą i kapitały, nie myśląc o żadnych zawikłaniach w przyszłości. Trudno było nie wołać w niebogłosy.

Margrabia w oczach opinii publicznej stawał nietylko jako zimny, bez serca arystokrata, lecz nadto jako zacofany, szkodliwy samolub, wróg nowych idei i porządków, napływających z każdym zachodnim powiewem wiatru ze wzburzonej do głębi Europy. Nazywano go pieniaczem i krętaczem z rzemiosła — i gdzie? — w kraju pieniactwa i prawnych subtelności, gdzie niemal każda mucha na pamięć umie, jak wszcząć proces i jakie znaczenie ma pan rejent; gdzie nieomal każdy, rozmawiając z drugim, waży każde słowo, by nie dało ono jakiej podstawy do wytoczenia sporu.

W sali posiedzeń warszawskiego senatu, w czasie ostatniej, stanowczej rozprawy zapanowała gro-

---

[1]) Biblioteka ordynacyi Myszkowskiej, rok 1859, str. 29. Dalej na str. 50 podany jest list Świdzińskiego, to samo stwierdzający.

bowa cisza, gdy zaczął mówić osobiście broniący się margrabia i gdy zdawało się zebranym, że sprawę swą może wygrać. Żadnego głosu, żadnej oznaki współczucia. Cóż za różnica, gdy w imieniu strony przeciwnej zabrał głos mecenas, Jan Tadeusz Wołowski [1]), starzec już w podeszłym wieku. Wszyscy się na raz ożywili, każde słowo obrońcy było przyjmowane z widocznem współczuciem, a gdy ku końcowi, starzec, czy to ze wzruszenia, czy też może wskutek nerwowego rozdrażnienia, rozpłakał się — sąd i publiczność opanowało niewysłowione wzruszenie. Okoliczność ta przechyliła szalę na jego stronę. Wielopolski sprawę przegrał.

Następnie margrabia prowadził kilka jeszcze procesów z rodziną i z obcymi. Mówiono, że takich spraw miał siedemdziesiąt. Jedne wygrywał, drugie przegrywał. Wiele z tych spraw podejmował, jakby się zdawać mogło, jedynie dla zabicia czasu, zajęcia rąk i głowy, dla wprawy umysłowej — tak jak inni ćwiczą się żelaznymi ciężarkami dla wyrobienia siły mięśni. Czytanie i samo czytanie, od rana do nocy, chociażby czytane rzeczy były najciekawsze i najgenialsze, znudzi i zmęczy swoją jednostajnością. Wielopolski obawiał się tej nudy, tej zabójczej ociężałości i prostracyi umysłowej. Dokładał więc wszelkich usiłowań dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa, ale nie mógł znaleźć żadnego wyjścia.

Często opanowywały go czarne i posępne myśli. W wydanych przez niego w owym czasie „My-

---

[1]) Z liczby przeciwników Wielopolskiego z 1829 roku ubył Olrych-Szaniecki, który wyemigrował, został skazany na śmierć, cały zaś majątek jego uległ konfiskacie. Wielopolski wykupił następnie Pinczów od rządu. Jednocześnie z Olrychem zostali skazani na śmierć: książę Adam Czartoryski, Teodor Morawski, Stanisław Barzykowski, Aloizy Biernacki, Józef Świrski, Bonawentura Niemojowski, Teofil Morawski i generał Skrzynecki.

ślach i uwagach" znajduje się następujący ustęp: „Nic tak nie czyni duszy człowieka przystępną złemu, jak brak wyraźnego przeniknienia się jakiemś powołaniem i zatrudnieniami swego stanu. Lepsze jest powołanie gorzkie, ciężkie, połączone z cierpieniami, które może nad miarę osobistość ludzką przyciera, niż próżnia zupełna w życiu, która osobistości bujnie rozrastać się daje." *Kronika Rodzinna*, numer XLIV).

Od czasu do czasu odwiedzał rodzinę i znajomych, zamieszkałych w różnych stronach Królestwa. Bywał więc i w Klemensowie, a za powrotem ponownie zatapiał się w czytaniu, rozmyślaniu, jeśli go nie powoływała do Warszawy lub do jakiego sądu, nowa sprawa procesowa... Wszakże zasoby sił fizycznych nie dawały się dostatecznie spotrzebowywać i Wielopolski nabierał tuszy...

Niedorzeczne powstanie 1846 roku, ta rewolucya z teatralną dyktaturą niezdarnego i niepiśmiennego Tysowskiego w Krakowie; rzeź krwawego Szeli, podniecona przez niesumiennych i drżących z trwogi biurokratów; z drugiej zaś strony zwycięskie, bez bitew, proste i nie obliczone na efekt a przez to samo jeszcze większe wrażenie wywierające— wkroczenie wojsk rosyjskich do prastarej stolicy Jagiellonów, (gdy załoga austryacka, powodowana niczem niewytłómaczoną obawą, miasto przed niedawnym czasem opuściła) —wszystko to stanowczo wpłynęło na zmianę usposobień, nadziei i planów przyszłości u wielu umiarkowanych Polaków. Wielopolski stanął w szeregu stanowczych zwolenników Rosyi i wydał broszurę pod tytułem: *Lettre d'un gentilhomme Polonais au prince de Metternich* Paris 1846 [1]), w której stanowczo bierze rozbrat z ideą jakiegoś sojuszu z Austryą, i stara się pod wpły-

[1]) *Lisicki* tom IV, str. 439—470—wydanie francuskie tom I, strona 315—317.

wem ogólnego podówczas rozdrażnienia do Niemców— pociągnąć swoich rodaków do szczerego zszeregowania się pod sztandarem Rosyi. Stan umysłów w istocie był bardzo do tego przygotowany i wszystko wrzało nienawiścią do Austryi. Inteligencya i bez upominania panów Wielopolskich, starała się wtedy rozwiązać zadanie „w jaki sposób, godząc się na myśl zlania się z sobą tych dwóch, tak sprzecznych żywiołów, jak Rosyanie i Polacy, rzecz samą tak poprowadzić, by ostatecznie, chociażby nie zaraz, Ojczyznę ocalić a przynajmniej zapewnić sobie zaszczytniejsze niż obecne stanowisko w tym związku." — Wtedy to w innych umysłach zrodziła się myśl „słowiańskiej federacyi" z Rosyą na czele, której w pierwszej chwili przyznawano nawet rolę głównego gospodarza z tą myślą, by z czasem, przez różne intrygi i praktyki, tego gospodarza sprowadzić do roli gościa, jak to często daje się spostrzegać przy wspólnych ucztach i zabawach Polaków z Rosyanami [1]), tak, że w końcu Rosya pełniłaby tylko obowiązki stróża rozległych granic przyszłego politycznego związku. Jej poruczonoby ciężką, fizyczną pracę, wszelkie zaś zajęcia szlachetniejsze: moralne kierownictwo sił federacyi przypadłoby w udziale starszej w cywilizacyi siostrzycy, wypróbowanej w cierpieniach, oczyszczonej i udoskonalonej tem srogiem i krwawem wychowaniem Polsce. Nadto cała Słowiańszczyzna, z natury rzeczy ulegając wpływowi tej wyższej cywilizacyi, musiałaby z biegiem czasu spolszczeć.

Myśl ta właściwie nie była oryginalnym wytworem białych; był to tylko odgłos pewnego kierunku doktryn Towarzystwa demokratycznego, któremu przyznać należy inicyatywę we wszystkiem, co

---

[1]) Opis jednej takiej zabawy podały *Moskowskije wiedomosti* z 1865 roku.

tylko znakomitego i wydatnego zdziałali Polacy po roku 1831.

Jeszcze przed 1840 rokiem demokraci wyznawali, „że tak jak niegdyś zadaniem Słowian była obrona chrześcijańskiej cywilizacyi od najazdu i poniżającego podboju azyatyckiego barbarzyństwa, tak też obecnie ciż sami Słowianie są powołani do zaszczepienia zachodniej cywilizacyi w tym barbarzyńskim Wschodzie, odpłacając największem dobrem za niezliczone klęski przez się doświadczone; a jednocześnie siłą i żywotnością swego młodzieńczego ducha do odrodzenia starej, rozkładającej się, wyczerpanej wiekowymi wysiłkami Europy. Jednem słowem Słowiańszczyzna jest przeznaczoną do objęcia z kolei przodownictwa i kierunku przyszłemi losami ludzkości. Z natury rzeczy zaś w Słowiańszczyźnie przewódcą tego nowego zbawczego świata, z ducha ubiegłych, obecnych i przyszłych przeznaczeń, ma być Polska — nikt inny tylko Polacy [1]).

Czy i o ile Wielopolski podzielał te poglądy i przekonania nie wiemy. Wiemy jednak, że coś podobnego zawsze zawierało się w zasadach stronnictwa, do którego należał. „Polacy podbici przez Rosyę, mogą... stanąć nawet na czele młodzieńczej, pełnej sił i życia cywilizacyi słowiańskiej, ze wspólnym Polski, Rosyi i całej Słowiańszczyzny pożytkiem" [2]). Temi zasadami przejęty, przybył on w 1849 roku do obozu Rüdigera i, jak zapewniają, miał radzić, by Rosya powołała wszystkich Słowian do broni i zjednoczyła ich pod swym protektoratem. W maju zaś 1852 roku, gdy się już zanosiło na wojnę z Turcyą i na scenę znów występował protektorat rosyjski nad Słowianami, margrabia oddał

---

[1]) *Aweyde.* „O zasadach nauki demokratów, oraz zasady manifestu Towarzystwa demokratycznego z 1836 roku". „Biblioteka pisarzy polskich", tom XXXV, str. 3—13.

[2]) *Lisicki* tom I, str. 71—72.

swego starszego syna, Zygmunta, do wojska do Smoleńskiego pułku ułanów, wprawdzie podówczas przeważnie zapełnionego przez Polaków. W czerwcu 1861 roku na sześć szwadronów, z których pułk się składał, pięcioma dowodzili Polacy. Dowódca pułku, jego adjutant i kasyer pułkowy byli Polacy, korpus zaś oficerów składało siedemnastu Polaków, siedmiu Niemców i Rosyan. Gdy zaczęto mówić o zbliżającem się powstaniu, ci ostatni umówili się między sobą, że gdyby Polacy okazali chociażby najmniejsze pokuszenie zdrady, to ich napadną i rozniosą na szablach, a nim naczelne władze coś postanowią, zastąpią ich roztropniejszymi podoficerami. — (Udzielone przez jednego z oficerów Rosyan, tego pułku).

Jako człowiek przedewszystkiem praktyczny, margrabia wszakże mimo wiszącej wojennej burzy, nie spuszczał z oka i swych dawnych pokojowych zamiarów, zajmujących go kiedyś wspólnie z jego przyjacielem Swidzińskim, a których z różnych powodów dotychczas nie mogli urzeczywistnić. Wiele wody od tego czasu upłynęło. Swidziński zestarzał się, osowiał, zobojętniał na wszystko, nawet dla losów ojczyzny. Wielopolski postanowił przypomnieć mu przeszłość i polecił Zygmuntowi, konsystującemu wówczas z pułkiem na Ukrainie, by odwiedził i przypomniał się dogorywającemu starcowi. Swidziński nadzwyczaj się ucieszył z tych odwiedzin, a mówiąc o ojcu i ostatniem swem z nim spotkaniu, rozruszał się i ożywił. Między starymi przyjaciółmi znów się zawiązała częsta korespondencya, wznowiły dawne układy co do urządzenia jakiegoś naukowego ogniska dla pracujących na polu umiejętności w Polsce. Naturalnie, że teraz, gdy Kraków zostawał pod zaborem austryackim, punkt ten nie nadawał się do roli, jaką mu w myśli swej nadawali przed dwudziestu laty przyjaciele. Nie znamy szczegółów prowadzonych układów, lecz stało się, że Swidziński postanowił przyłączyć bibliotekę i wszyst-

kie swe zbiory do ordynacyi Myszkowskiej. Mogła na to wpłynąć i idea Wielopolskiego, że teraz stolicą Polaków są dwory wiejskie... „życie wiejskie ostatnią ostoją, wsie ich jedyną ojczyzną" [1]). Testamentem więc, sporządzonym w ostatniej prawie chwili życia, w 1855 roku, zapisał margrabiemu Aleksandrowi cały swój majątek, kapitały, bibliotekę, zbiory zabytków i starożytności wraz z Sulgostowem, gdzie te zbiory dotychczas były umieszczone, nadając Wielopolskiemu prawo przeniesienia tych, dokąd uzna za najodpowiedniejsze dla ułatwienia korzystania z nich współrodakom. Dla usunięcia wszelkich pod tym względem wątpliwości, przywodzimy w dosłownym odpisie dotyczący ustęp testamentu:

„§ 3. Wyżej wymienioną sumę 36,100 r. sr. jakoteż bibliotekę, gabinet numizmatyczny, obrazy, rysunki, rzeźby, stare dokumenta, rękopisma i inne bibliograficzne i archeologiczne rzadkości, nic z nich nie wykluczając, ocenione przezemnie na 30,000 r. sr., a także klucz Sulgostowski, dziś w mojem rzeczywistem władaniu pozostający i według sumienia na sumę 45,000 r. sr. oszacowany, zapisuję i wieczyście daruję Aleksandrowi synowi Józefa, margrabiemu Myszkowskiemu, hrabiemu Wielopolskiemu i jego potomkom, na pełną i nieograniczoną własność. Przytem żądaniem jest mojem, i legataryusza usilnie o to proszę, aby kupił lub wybudował odpowiedni dla pomieszczenia księgozbioru i połączonych z nim zbiorów dom, bądź w zapisanym mu przezemnie majątku Sulgostowie, bądź w Warszawie, lub gdzie to za dogodniejsze lub stosowniejsze dla spełnienia moich zamiarów uzna".

Wielopolski z różnych względów zatrzymał bibliotekę i wszystkie zbiory na miejscu w Sulgostowie. Niechętna mu opinia natychmiast zarzuciła

---

[1]) *Lettre d'un gentilhomme Polonais.*

mu złamanie i niedotrzymanie warunków testamentu, którego *notabene* nikt z oskarżających dokładnie nie znał. Dowodzono, że Świdziński zapisał Wielopolskiemu swe zbiory z wyraźnem zastrzeżeniem umieszczenia ich w Warszawie. Nikt ani pomyślał o dopuszczeniu możliwości, że między przyjaciółmi oprócz testamentu, czyli dokumentu na piśmie, mogły być umówione warunki, im tylko dwom znane. Nawet w samym zapisie były słowa i wyrażenia, których ukryte znaczenie nie dla każdego mogło być zrozumiałe. Któż mógł wytłómaczyć, jakie Świdziński miał cele i zamiary? Rozumiał to jeden Wielopolski. Prawda, są pewne wskazówki, że Świdziński nosił się z myślą pomieszczenia tych zbiorów w Warszawie, lecz Wielopolski stale mu to odradzał, przytaczając różne smutne przeprawy, które spotykały zbiory polskich historycznych pamiątek. Wskazywał na zabór biblioteki Załuskich i przewiezienie jej do Petersburga, jakby jakich wojennych trofeów po ostatecznym podziale Polski w 1795 roku; wskazywał na zabraną tamże bibliotekę i zbiory Towarzystwa przyjaciół nauk po 1831 roku, na zrabowaną bibliotekę Puławską książąt Czartoryskich, o ile nie udało się uwieźć co przedniejszych i rzadszych rzeczy za granicę. Portrety królów polskich z królewskiego zamku w Warszawie powędrowały do moskiewskiej orużejnej pałaty Gobeliny z pałacu Krasińskich znalazły się w Gatczynie. Wszystkiego, co uległo takiemuż losowi, nie da się wyliczyć!

I dlatego Wielopolski, nim nie wyszukał dla nich odpowiedniego umieszczenia, nie ruszał zbiorów swego przyjaciela ze wsi. On kombinował i uwzględniał różne okoliczności... a tymczasem dnie i tygodnie upływały, i niechętni margrabiemu nie ustawali w zaczepkach. Historyk Juljan Bartoszewicz w 1857 roku ogłosił drukiem, że istnieje jakoby list Świdzińskiego, w którym wyraźnie wkłada obowiązek na Wielopolskiego, by ten kupił lub wy-

budował w Warszawie odpowiedni gmach na pomieszczenie zbiorów [1]). — W drugim zaś miejscu powiada: „Konstanty Świdziński zrobił jeden z największych zapisów, które utwierdzą pamięć jego w sercach całego narodu. Świdziński żądał, ażeby zakład stanął w Warszawie, zapis biblioteki Wielopolskiemu jest tylko formą. Tytuł własności i nadzór nad zbiorami, jaki wypływa z tego tytułu, należą do Wielopolskich, zbiory zaś same są własnością publiczną [2]).

Tak mówił i sądził historyk, który miał w ręku testament Świdzińskiego, cóż dziwnego, że ogół, nie znający wcale testamentu, toż samo powtarzał.

Na domiar nieprzyjemności, wskutek amnestyi z 1856 r. zjawili się, jakby z drugiego świata, dwaj bracia nieboszczyka, emigranci, roszcząc sobie prawa do Sulgostowa. Powoływali się oni w swym pozwie na tak zwaną substytucyę testamentarną, na wyrażenie: „i jego potomkom", które w myśl § 896 kodeksu Napoleona, pozbawiało testament mocy prawnej. Przy ogólnie wrogiem usposobieniu opinii publicznej dla margrabiego, wyrok w Radomiu wypadł na niekorzyść Wielopolskiego, lecz w odwołaniu się apelacyjnem, wyrok ten w Warszawie z wszelką łatwością został zniesiony, gdyż sprawa margrabiego była jasna i słuszna.

Opowiadają, że gdy jeden z braci, Ludwik, major wojsk hiszpańskich, w końcu był zmuszony opuścić Sulgostów, w którym już się na dobre zaczął urządzać, siadając na wózek, z pistoletu strzelił w herb Świdzińskich, umieszczony na froncie pałacu, chcąc strzaskać takowy [3]).

Gdy w 1858 i 1859 roku zaczęły się w War-

---

[1]) „Biblioteka Warszawska". 1857. Tom III, str. 463.— *Spasowicz*, str. 78 i 83

[2]) „Biblioteka Warszawska" z 1857 roku, tom II str 487.

[3]) *Gazeta narodowa* z 1878 roku, nr 2, str. 1.

szawie demonstracye, Wielopolski pilnie śledził za tym całym ruchem, czytał wszystko, co się tylko wówczas pisało w kraju i za granicą o stosunkach i sprawach polskich; od czasu do czasu zaglądał do Warszawy, układał jakieś plany... Myślał więc o wzięciu udziału w rozpoczynającym się ruchu, o ujęciu steru sprawy w swe potężne dłonie!... był przekonany, że rząd, prędzej lub później, zażąda jego pomocy;... ku końcowi 1860 r. marzenia o nowych zajęciach i przyszłem swem zadaniu nachodziły go częściej i przybierały formy bardziej określone; nawet oswoił się z temi myślami, jakby już z czemś... rzeczywistem. W obawie, żeby nie pozostać osamotnionym i bez współpracowników, gdyby chwila działania niespodziewanie nadeszła, pojechał w październiku 1860 roku do Paryża dla nawiązania stosunków z niektóremi wybitniejszemi osobistościami polskiej emigracyi, wybadania tego lub owego, czyby w danym razie nie dał się użyć dla jego, już coraz bardziej w umyśle dojrzewających zamiarów?

Margrabia z początku szukał porozumienia z czerwonymi, lecz ci nie dopuścili do żadnego zbliżenia... należało więc nawrócić do białych, do hotelu Lambert. Tam wszakże, na nieszczęście, podówczas przewodnią rolę zajmował człowiek wręcz przeciwnych zasad, generał Władysław Zamoyski, członek rodziny z dawna nieznoszącej Wielopolskich, a tem mniej skłonnej do przyznania któremu z nich przewodnictwa w sprawach krajowych. Zamoyski wcale nie był rad ze zjawienia się Wielopolskiego w salonach książąt Czartoryskich, lecz jako człowiek dobrego wychowania i tonu, był zawsze dlań bardzo grzeczny, a raz nawet zaprosił do siebie.

W gabinecie generała zebrało się kilka osób; zaczęto żywo rozprawiać o rozpoczynającym się ruchu w Polsce, zastanawiano się, do czego on może doprowadzić, zwracano się wspomnieniami ku prze-

szłości, omawiano przypuszczalne zachowanie się Francyi.

Margrabia zrobił uwagę, że „kult ten Polaków dla Napoleona i wiara w obietnice Francyi, są dla sprawy szkodliwe".

— Cóż mamy więc robić, jeśli nie będziemy szukać oparcia we Francyi, która podaje nam swą dłoń pomocną?—ktoś zapytał.

— Co robić? wyczekać skutków rozpoczynającego się ruchu w Rosyi — odpowiedział Wielopolski — niepodobna, aby przytem Polska została zapomnianą. Najlepsze żywioły cesarstwa, cała inteligentna część narodu rosyjskiego sympatyzuje z nami. Najlepszym tego dowodem sprawa z Ohryzką. Poczekajmy, aż się cokolwiek z tej strony położenie wyjaśni... dopiero gdyby tam nic się nie stało, wtedy przyjdzie czas do łamania sobie głowy.

— Lecz tam napewno ruch rozpoczynający się na niczem się skończy, a jeżeli coś zajdzie, to w bardzo dalekiej przyszłości! Będziemy tak wyczekiwać do dnia ostatecznego sądu! Wszak to zawsze taka przewrotna polityka rządu rosyjskiego, a raczej każdego despotycznego rządu, szczególniej, gdy jeszcze nie widzi przed sobą groźnego niebezpieczeństwa — czekać, zwlekać, pisać, obiecywać a w rezultacie nic nie dać ani swoim, ani obcym! Znamy to przecież, znają i Rosyanie!... Gdyby zaś niebezpieczeństwo naprawdę zagroziło — to dadzą dzieciom jakąś zabawkę!...

— Jak uważacie; ja swoje wypowiedziałem — zakończył margrabia.

Jednak rozmowa nawiązała się na nowo i rozprawa wszczęła się jeszcze gorętsza. Margrabia nie znalazł żadnego zwolennika, walczył sam i przyparty do muru, ścisłą logiką swych rozumowań, jak obosiecznym mieczem, zwalczał jednego po drugim. Przeciwnicy coraz słabli, nie posiadali oni ani wymowy margrabiego, ani tak dokładnej i wszechstronnej znajomości spraw, ani też wprawy w staczaniu

podobnych walk. Ktoś z pokonanych, nie widząc już przed sobą żadnego argumentu ku obronie, cisnął margrabiemu w oczy już nie dowodzenie lecz prawie obelgę:

— Margrabia tak ciągniesz za Rosyą, boś w niej położył wszystkie swe nadzieje, a nawet syna przyodziałeś w mundur rosyjski.

— Cóż z tego—odparł Wielopolski, nie tracąc zimnej krwi i spokoju — ja w tem występku nie widzę, ani zdrady wobec ojczyzny. Miałem takie przekonanie i uznałem to za stosowne. Zresztą nikomu nie przyznaję prawa stanowienia o mych sprawach domowych i rodzinnych.

Rozprawa na tem się zakończyła. Aluzya do służby wojskowej syna, zawsze niemile dotykała margrabiego. Czując się obrażonym tym niewłaściwym wyskokiem w kółku osób, wśród których mógł się czuć bezpiecznym od wszelkiej napaści, Wielopolski nie pokazał się więcej w hotelu Lambert, a jeśli spotkał kogo z tego obozu, starannie unikał wszelkiej politycznej rozmowy. Wkrótce też wrócił do Chrobrza i dalej przypatrywał się rozwijającym się szybko wypadkom.

W tym czasie Świdzińscy, zapewne przekonani, że chwila po temu, wznowili proces. Margrabia nie uważał na czasie oddawać się sprawie, wymagającej i czasu wolnego i swobodnego umysłu i pełnej energii w działaniu, nadto był nieusposobiony; miał już tych uciech procesowych do przesytu, wolał więc zakończyć spór z Świdzińskimi polubownie. Oddał im Sulgostów pod warunkiem zrzeczenia się z ich strony wszelkich domniemanych praw do biblioteki i zbiorów na rzecz ordynata hr. Krasińskiego i przyjęcia obowiązku opłacania z Sulgostowa na utrzymanie biblioteki po 11,000 złp. rocznie. W 1862 roku układ ten został ostatecznie zatwierdzony.

W ten sposób doszliśmy do chwili, stanowiącej początek naszego opowiadania o Wielopolskim. Dnia 6 marca 1861 roku wezwany przez Enocha, margrabia przybył do Warszawy i zaraz został zaproszony do Zamku [1]). Książę Gorczakow po dłuższej rozmowie o stanie kraju i sposobach zaradzenia wszelkim niedostatkom i wadliwościom, był nadzwyczaj uradowany z wyniku konferencyi. Niema w tem nic dziwnego. Wielopolski znał swój kraj bez porównania dokładniej i głębiej niż dziesięciu rosyjskich namiestników razem wziętych, nawet razem z ich szefami sztabów, generał-gubernatorami, dyrektorami kancelaryi i całym zastępem urzędniczym. On bez przygotowania się mógł im wszystkim wypowiedzieć nader interesujący wykład o zarządzanym przez nich kraju, ze szczegółami, o których oni pojęcia nawet nie mieli. Francusczyzna jego była świetna i bez zarzutu, jeżeli nie poprawniejsza, to stokroć ognistsza od wymowy hr. Zamoyskiego. Sama jego postać i zachowanie się już za nim przemawiały. Wyglądał jak bastyon forteczny, najeżony działami grubego kalibru. Cała postawa była jakaś surowa, nieugięta, pełna wyrazu i znaczenia. Gdy szedł, niepodobna mu było nie ustąpić z drogi. Z niewielkich, nieco przymkniętych, ocienionych nakształt daszku nad gankiem, albo poetyczniej, nakształt czarnych nagromadzonych chmur, brwią gęstą oczu, błyskały gromy Jowisza. Historyczny fotograf Bayer, nieco później wprawdzie, nadzwyczaj szczęśliwie schwycił ten mianowicie jowiszowy wygląd Wielopolskiego, gdy go przedstawił jako naczelnika rządu cywilnego, siedzącego w fotelu, z orłem (wprawdzie nie olimpijskim) na oparciu. Dłoni jego, silnie zaciskającej poręcz krzesła, brak tylko wiązki piorunów...

---

[1]) List Enocha nadszedł do Chrobrza dnia 5 marca. — *Lisicki* tom I, str. 172—173.

Na przestarzałym namiestniku, w którym niegdyś a nawet i później już po Paskiewiczowskiej tresurze, odzywała się żyłka poetyczna, odrazu sprawiło wrażenie to wszystko, co Wielopolski miał w sobie wybitnego i imponującego. Wszelka inna strona, wszelka proza tej postaci została zakrytą dla jego wzroku. On był uszczęśliwiony jak dziecko, zacierał ręce z radości; znalazł bowiem, jak sądził wyjście z przykrego położenia.

Za pierwszą konferencyą niezwłocznie nastąpiły inne...

Książę Gorczakow zaproponował margrabiemu, by wstąpił do służby rządowej i wśród panującego chaosu wynalazł w społeczeństwie żywioły przyjazne dla Rosyi, a oparty na nich przeprowadził zamierzane reformy. Wielopolski się zgodził z zastrzeżeniem, że na krok nie odstąpi od swych przekonań i zasad, a kraj uzyska zupełną autonomię. Namiestnik w odpowiedzi uznał, że to jedno właśnie może tylko doprowadzić do pożądanego celu i zapewnił, że wobec cesarza będzie najsilniej popierał to żądanie; że już przedtem wyprawił do Petersburga sekretarza stanu Karnickiego z propozycyami w tym duchu i ma już ztamtąd wiadomości, że projekta te w najwyższych sferach wcale przychylne znalazły przyjęcie [1]).

Następnie namiestnik zażądał od Wielopolskiego, by niezależnie i, niezważając na to, co się robi w Petersburgu, opracował swój projekt co do reform, które należałoby zaraz zaprowadzić w Królestwie, a któryby mógł służyć niejako za pisemny dowód, że ich poglądy, aczkolwiek nie we wszystkiem zgodne, są jednak bardzo zbliżone do siebie.

---

[1]) *Fr. hr. Skarbek.* „Dzieje Polski“ tom III, str. 199. Karnicki wyjechał do Petersburga w nocy z 2 na 3 marca, a zatem zaraz po pogrzebie pięciu ofiar. — *Lisicki* tom I, str. 172.

Margrabia ułożył żądany memoryał, a właściwie streścił kilka swych opracowań, od dawna już obmyślanych i przygotowanych, w którym, dla nawiązania łączności z konstytucyą 1815 roku, zalecał wprowadzenie następujących zmian i reform:

1. Senat dożywotni z władzą prawodawczą i prawem inicyatywy.
2. Przywrócenie ministerstwa wyznań i oświaty.
3. Założenie uniwersytetu o pięciu wydziałach.
4. Wprowadzenie języka polskiego jako urzędowego w wewnętrznym zarządzie kraju, używanie zaś francuskiego w stosunkach z władzami centralnemi cesarstwa.
5. Sejmiki prowincyonalne z prawem petycyonowania do senatu.
6. Sąd najwyższy, w miejsce znieść się mających IX i X departamentów senatu rządzącego.
7. Rada stanu zamiast ogólnych zebrań departamentów senatu.
8. Oddzielny zarząd dróg i komunikacyi, niezależny od władzy centralnej w Petersburgu.
9. Zwinięcie komisyi kodyfikacyjnej dla Królestwa Polskiego w Petersburgu.
10. Skasowanie godności marszałków szlachty.
11. Zniesienie sądów wojennych.
12. Uzupełnienie kodeksu karnego przepisami co do ochrony porządku publicznego.
13. Oczynszowanie włościan z urzędu.
14. Równouprawnienie Żydów.
15. Nadanie Warszawie zarządu municypalnego — i
16. Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, wprowadzając natomiast zjazdy i komisye rolnicze po powiatach [1]).

Książę Gorczakow, po przeczytaniu tego memoryału, oświadczył, że dużo z tych żądań zna już

---

[1]) *Lisicki* tom I, str. 173—174.

z memoryału Enocha, ale sądzi, że w obu tych pracach są rzeczy zbyteczne i nie na czasie. Odwoływanie się do konstytucyi z 1815 roku, słowa: uniwersytet, sejmiki, ministerya, są wcale niestosowne. Uważałby także, że nie byłoby dobrze śpieszyć się z rozwiązaniem Towarzystwa rolniczego, a przynajmniej *ne pas parler de cela maintenant*, jak to z boku ołówkiem napisał [1]). Co zaś do oczynszowania włościan, równouprawnienia Żydów i zniesienia komisyi kodyfikacyjnej, zupełnie nic nie mam do zarzucenia — zakończył namiestnik.

Wielopolski odpowiedział na to, że tak przerażającą namiestnika nazwę uniwersytetu można zamienić na „szkołę główną", że nazwa nic nie stanowi i rzeczy nie zmienia; również sejmiki i ministerya mogą być inaczej nazwane... lecz co do Towarzystwa rolniczego, to sądzi, że rozwiązanie tego jest nieuniknione i konieczne, że to samo przedstawiał już dyrektor komisyi spraw wewnętrznych, Muchanow; „sądzę nawet, że należałoby ogłosić na jaki tydzień stan wojenny, rozwiązać delegacyę i poaresztować głównych agitatorów!" [2]).

— Nie teraz! Później o tem pomówimy — przerwał Gorczakow.

Z tem się rozstali.

Tymczasem Karnicki, rzecz swoją szybko prowadził w Petersburgu. Obstawał i on także za samorządem, ale nieśmiało. Jego projekty polegały głównie na wprowadzeniu w życie nadanego w lutym 1832 roku, lecz dotychczas nie wykonanego, statutu organicznego z dodaniem reformy szkół. Odrzucając rozwielmożnioną w Polsce rutynę biuro-

---

[1]) „Sprawy domowe". Kraków 1880, str. 81.

[2]) *Lisicki* tom II, str. 174.

kratyczną, Karnicki żądał współudziału społeczeństwa w miejscowym zarządzie, z zachowaniem w ostatniej instancyi władz centralnych, to jest dotychczasowych rządowych komisyi. Proponował dalej zaprowadzenie rad gubernialnych powiatowych i miejskich, powstałych z wyborów, ustanowienie rady stanu, mającej zastąpić istniejący w radzie państwa departament dla spraw Królestwa Polskiego i komisyę kodyfikacyjną przy drugim oddziale kancelaryi cesarskiej. Tejże radzie stanu miałoby się poruczyć funkcye, spełniane dotąd przez pierwszy departament rządzącego senatu i przez radę państwa w Petersburgu, a mianowicie: wygotowywanie projektów do praw, rozpatrywanie budżetu, sprawozdań komisyi rządowych i ocenianie petycyi, wnoszonych przez rady miejscowe co do potrzeb i żądań kraju.

Wszystko to, nadzwyczaj prędko (tak prędko, jak może nic innego przedtem i potem w Rosyi nie było załatwione) przeprowadził przez obrady rozmaitych władz i zebrań pomocnik sekretarza stanu dla spraw Królestwa Polskiego Płatonow [1]).

Wówczas w Petersburgu i w całej Rosyi panowało w stopniu niemniejszym jak w Polsce, jakieś pełne elektrycznych prądów usposobienie. Usposobienia takiego Rosya jeszcze nigdy nie zaznała; dosyć uprzytomnić pamięci czytelnika, że w sam dzień wyjazdu Karnickiego z Warszawy, dnia 3 marca (19 lutego st. st.) cesarz Aleksander II podpisywał manifest o zniesieniu poddaństwa!

Gdy Karnicki przybył do Petersburga, umysły wszystkich były zajęte tym wiekopomnym wypadkiem i oczekiwano dalszych, niemniej doniosłych reform. Wyobraźnia powszechna bujała w prze-

---

[1]) Sekretarz stanu Tymowski, schorowany a do tego leniwego usposobienia człowiek, nie mógł, czy też nie chciał osobiście się zająć całą tą sprawą.

stworzach, wszyscy i wszystko od dołu do góry fermentowało Młody, niedoświadczony cesarz wszystkiego się obawiał. Podczas gdy zacofańcy epoki Mikołajewskiej babskiemi strachami starali się hamować jego postępowe i szlachetne zamiary, drugie przeciwne stronnictwo także wypowiadało swoje obawy, niemniej nieuzasadnione. Dla kogoś wszakże, który wciąż czegoś oczekuje i czegoś się boi, który widzi nieprzezwyciężone przeszkody i na gładkiej drodze, dla takiego szmer liści już straszny, straszny szelest przebiegającej myszy, lub zrywającego się ptaka.

Nieznośnie było w ostatnich czasach Mikołajewskiej epoki. Wszyscy, choć cokolwiek myślący, niezbyt zarażeni właściwą Rosyanom apatyą i zbliżeni pojęciami i uczuciami do Europy, dusili się formalnie w tej atmosferze zarażonej absolutyzmem, któremu nikt nie przewidywał końca... W tem naraz błysnęła zorza! Marzycielom się zdało, że chwila, w której właśnie żyją, podobna do tej epoki niezwykłej, gdy inny Aleksander, nadając Polsce konstytucyę, nawpół przyobiecywał ją Rosyi. Przypomniały się słowa mowy tronowej z 1818 roku, że „połączenie na jednej skroni dwóch koron, samowładnej cesarskiej i konstytucyjnej królewskiej — jest jednem z tych nienaturalnych, politycznych zjawisk, które długo obok siebie istnieć nie mogą, a jeśli się przedłużają, to kończą burzami.“ Jednem słowem, ludzie ci zaczęli marzyć, że jakimś sposobem, bez upuszczenia krwi, można się będzie wydobyć z tego zgniłego trzęsawiska.. i ten błędny ognik migotliwie zjawiający się na bagnach, rozwiewający się i niknący przy zbliżeniu się człowieka, uważały chorobliwe wyobraźnie za jasny promień słońca, przedzierający się gdzieś z oddali na europejskim horyzoncie, zkąd — sądzono — fale jego dobroczynnego światła popłyną po zimnych ulicach Petersburga, a potem po całej Rosyi — tak, jak na wiosnę zaczynają płynąć fale Newy, przy grzmocie

dział i radosnych okrzykach tłumów. — Czemu nie próbować i nie skierować się na tę drogę. Jakoś to będzie!

W ten sposób tylko można sobie wytłomaczyć tę gorącą pomoc, jaką okazali Karnickiemu, a następnie Wielopolskiemu, w radzie państwa, w sekretaryacie stanu dla spraw Królestwa Polskiego, a nakoniec w samym gabinecie cesarza, najwybitniejsi i najszlachetniejsi przedstawiciele wyższych sfer rosyjskiej inteligencyi. Winić ich za to, niby braterskie, połączenie z Polakami, w żaden sposób nie można. Zasady ich i cele były szlachetne i patryotyczne *à la* Jakow Dołgorukij. Tylko ludzie ci, w pośpiechu, chwycili za broń nieodpowiednią. Spieszyli się zaś w obawie, tak łatwej w państwach despotycznych zmiany usposobień najwyższej osobistości w kierunku wręcz przeciwnym. Posądzać zaś, że wcale nie nadzwyczajnie mądry Polak Karnicki, a potem zaś rzeczywiście mądry, zręczny i przebiegły Wielopolski, wyprowadzili ich wszystkich w pole i zaślepili jak zniedołężniałego i zbitego z tropu księcia Gorczakowa, byłoby i niemądrze i niesprawiedliwie.

Między innymi straszakami przedstawiano także cesarzowi niebezpieczeństwo zbliżenia rosyjskiej inteligencyi do polskiej i małoruskiej. Naprawdę zbliżenia tego nie było, a jeśli gdzie się zawiązały stosunki, to w nader nieznaczących rozmiarach, i to więcej na papierze niż w samej rzeczy, w motywach i dźwiękach pieśni, a nie w zwyczajnej, codziennej rozmowie; w marzeniach nie w życiu, w poezyi ale nie w prozie. A i w tem, co nastąpiło, po bliższem przypatrzeniu się można było skonstatować tylko pewne zbliżenie się Rusinów, którzy równie prześladowani i podejrzywani, również nie równouprawnieni z Rosyanami i codziennie pozbawiani jednego lub drugiego prawa, odezwali się sympatycznie na wezwanie przebudzonych Polaków. Polacy noszący się już z dalszymi planami, radzi byli temu

wspólnictwu, na którem zawsze skorzystać coś mogli. Wszak Ruś już nie raz podobne sztuki płatała. Rosyanie właściwi ani myśleli o tych wspólnych z Polakami robotach, o których zamyślali chochłacy. Ludzie, którzy pomagali Karnickiemu i Wielopolskiemu, nigdy nie tracili gruntu pod nogami i nie uczęszczali na burzliwe schadzki Polaków. Oni ani myśleli brać udziału w jakichkolwiek polskich demonstracyach, a nawet sami Polacy, chętnie przypuszczający chochłów do swych robót, Rosyan do niczegoby nie dopuścili.

Najlepiej dowiodą tego następujące wydarzenia.

Dnia 25 lutego 1861 roku umarł Taras Szewczenko, znany małoruski poeta, męczennik, ofiara najsroższych prześladowań cesarza Mikołaja. Wycierpiane przez tegoż męki i prześladowania tak dobrze z doświadczenia znane i polskim i ruskim wybitniejszym ludziom, połączyły przy jego trumnie znaczną liczbę Rosyan, Polaków i Rusinów. W pogrzebie wzięła udział cała młodzież petersburskiego uniwersytetu. Nie były to żadne plemienne sympatye, gdyż tych sympatyi nigdy nie było między temi narodowościami, bo jakież być mogą sympatye między zawojowanymi a zaborcą, gdy ten nadto odtrąca wszelkie objawy jakiegoś zbliżenia się?

Studenci Polacy, uczestniczący w pogrzebie, zawiadomili swoich kolegów Rosyan, że nazajutrz dnia 1 (13) marca odprawione zostanie w kościele św. Katarzyny nabożeństwo żałobne za inne pięć ofiar tegoż samego rządowego despotyzmu, które kilka dni temu gwałtowną śmiercią legły na ulicach Warszawy. Rosyanie nie zdawali sobie dobrze sprawy o co chodzi, w jakich okolicznościach, kto i za co poległ. Usposobienie ogólne umysłów nie dopuszczało bliższego rozbioru i zastanowienia; powiedziano ofiary, dodano takież ofiary, czyż mogła długo namyślać się żywa i wrząca młodzież? Studenci Rosyanie przyrzekli swym kolegom Polakom,

że przyjdą i przyszli wszyscy, równie jak na pogrzeb Szewczenki. Nadto przyszło do kościoła także czterech profesorów: Czajkowski, Kostomarow, Łaguna i Spasowicz. Wśród nabożeństwa ktoś zaintonował „*Boże coś Polskę*", inni podchwycili, hymn zabrzmiał. Większość Rosyan nie rozumiała nawet co śpiewają. Hymn ten podówczas mało jeszcze był znany w Rosyi, dzienniki nie wyjaśniły jego znaczenia.

W mieście zaczęto mówić o tem nabożeństwie. Kurator petersburskiego okręgu naukowego, radca tajny Deljanow, pociągnął profesorów, którzy byli w kościele, do odpowiedzialności. Wskutek wdrożonego dochodzenia kilku studentom Polakom, mianowicie tym, którzy u Dominikanów zamawiali nabożeństwo za dusze pięciu nieżyjących kolegów, polecono opuścić uniwersytet. Rosyanie oświadczyli, że to niesprawiedliwie, że jeżeli mają wydalać, to powinni wydalić wszystkich, gdyż wszyscy byli na nabożeństwie Profesora Łagunę który się wyparł swej bytności w kościele, młodzież zaczęła tak szykanować, że musiał opuścić katedrę petersburską i wyjechał do Warszawy.

Wszystko to działo się w pierwszej połowie marca, w czasie gdy z Warszawy przybył Karnicki z projektami księcia Gorczakowa i gdy następnie nadszedł program Wielopolskiego. Rząd potrzebował spokoju. Deljanow otrzymał z góry wskazówkę, ażeby zaniechał całej sprawy. Wydaleni studenci Polacy zostali napowrót przyęci do uniwersytetu i rzecz cała poszła w niepamięć [1]).

Sprawa ta wywołała inną. Studenci Rosyanie, z upoważnienia władz uniwersyteckich, mieli przy uniwersytecie własną bibliotekę i zaproponowali Po-

[1]) Niektóre szczegóły tej sprawy zamieścił *Kołokoł* z 1861 r. nr. 102 str. 856. — Także *Indépendance Belge* nr 82.

lakom bezpłatny w niej udział. Polacy jednak, pomimo żywego zajęcia się rosyjskiem dziennikarstwem i wszystkiem, co się wówczas działo w Rosyi, do biblioteki nie uczęszczali [1]). Okoliczność ta nietylko zdziwiła, lecz nadto obraziła Rosyan, dowodzących, że: Rosyanie przyjmują zaproszenia Polaków i biorą udział bez względu, czy to bezpiecznie lub nie, dobrze czy źle, że nawet śpiewają razem *Boże coś Polskę*; gdy zaś Rosyanie zawezwali Polaków do współudziału w rzeczy bynajmniej nie kompromitującej, nie zabronionej i nie demonstracyjnej, Polacy odmawiają! Znów ta dawna przeklęta różnica! Czyż niema środka na wykorzenienie tej choroby, i na czem właściwie ona polega?

Dla rozwiązania tak postawionej kwestyi, studenci najwyższego kursu wszystkich wydziałów, postanowili się zebrać na wspólną rozprawę. Jako miejsce schadzki wybrano obszerne mieszkanie studenta wydziału prawa Nekludowa, a dla zachowania spokoju zastrzeżono, że prócz herbaty i lekkiej przekąski, żadnego przyjęcia nie będzie.

Zeszło się ze trzydziestu studentów, przeważnie prawników, Polaków i Rosyan. Mikołaj Utin zagaił zebranie wierszem, w którym wypowiadał, że nadszedł już czas, aby dwie narodowości, mające tyle wspólnego w charakterze i obyczajach, tyle powodów do wzajemnej miłości, raz zaprzestały wiekowej waśni i podały sobie dłonie do braterskiego uścisku.

Polacy, po wysłuchaniu tej improwizacyi (wcale udatnej i odpowiadającej chwili, jak to wszyscy przyznali) oświadczyli, że zawsze są gotowi do zbliżenia się, lecz temu stają na przeszkodzie dziejowe

---

[1]) Autor zdaje się nie wiedzieć, że młodzież polska posiadała od dawna własną swą bibliotekę i Towarzystwo wzajemnej pomocy, wprawdzie nie upoważnione przez rząd i mieszczące się w mieszkaniu prywatnem obieranego bibliotekarza. (*Przyp. tłómacza*).

przyczyny, których usunięcie nie od nich samych zależy i nie da się na razie przeprowadzić.

— Zanim zaczniemy roztrząsać te historyczne przyczyny, które dzielą masy, żyjące nad brzegami Wisły, Bugu i Niemna, od ludu zalegającego brzegi Wołgi, Donu, Dniepru i Uralu, rzekł któryś z Rosyan — należy przedewszystkiem rozstrzygnąć pytanie, co nas dzieli?... nas, studentów, jednego i tego samego uniwersytetu? Dlaczego nie możemy żyć zgodnie, my, studenci? Na co i tu mają być jakieś koterye i stronnictwa, szepcące między sobą po kątach o swych sprawach? Dlaczego nie mają nas zajmować ogólno-ludzkie sprawy? Przecież zanim staniemy się obywatelami jednego lub drugiego narodu, zanim przejmiemy się tymi lub innymi obywatelskimi obowiązkami, jesteśmy uczącą się młodzieżą, korporacyą, noszącą jeden i ten sam mundur, zbierającą się i prawie żyjącą w jednym gmachu, pod jednym dachem. Cokolwiek tam mówią, my przecież przedewszystkiem jesteśmy studentami, a jeszcze bardziej powinniśmy być przedewszystkiem ludźmi.

— Bardzo to pięknie i sprawiedliwie — odparł Seweryn Markiewicz, także prawnik z czwartego roku, przytem ogromny zapaleniec — lecz tylko w stosunku do was, Rosyan, moi panowie. My stoimy na innym zupełnie stopniu, tak pod względem rodu i wychowania, jakoteż i pod względem służenia sprawie ojczystej. Wy, z dzieci stajecie się gimnazistami, studentami uniwersytetu, a w końcu obywatelami; to dla was możliwe i naturalne, tak się składają wasze życie i wasze dzieje. Dla nas to wszakże niemożliwe. My już od pieluch jesteśmy Polakami; od pieluch czemś skończonem, wytrawionem w ogniu nieszczęść i przeciwności; my od pieluch zaczynamy służbę ojczyźnie i jesteśmy jej oddani tak, jak u was oddają się tylko starsi... a i to pytanie, czy się oddają? Powiem wam więcej, my od pieluch jesteśmy pierwej Polacy, niż ludzie! My

nie rozumiemy abstrakcyjnego istnienia człowieka i ludzkości. Sądźcie o tem jak chcecie, lecz my wierzymy, że narody, zdające sobie sprawę ze swego bytu, żyją każdy ze swem ściśle oznaczonem imieniem, z taką lub owaką przeszłością, z temi lub innemi nadziejami na przyszłość. Każdy powinien pielęgnować swoje ideały, a ideały drugiego narodu wcale go nie obchodzą; on ich nie rozumie, może nawet o nich niewiedzieć. Każdemu drogie tylko to, co jego: polskie, francuskie, niemieckie, rosyjskie, choćby nawet tureckie, ale w żadnym razie nie ogólno-ludzkie. My jesteśmy Polacy, i nam drogie wszystko, co nasze, polskie: nasza literatura, nasza historya, być nawet może, że nasze wady, zaślepienia i błędy. W ten sposób uczymy się żyć, wierzyć, myśleć i marzyć, Bóg wie od jak dawna... może jeszcze w łonie matek naszych. Wy, życie zaczynacie znacznie później. W tem leży już pierwsza między nami różnica. Wy nigdy nie spiskujecie, albo tylko w pewnym wieku i to wypadkiem, zlekka, oględnie, rzucając wzrok na prawo i lewo. My na świat przychodzimy spiskowcami, i to nie zwykłymi, ostrożnymi — przeciwnie, gorącymi waryatami, gotowymi każdej chwili na wszystko. Niemasz Polaka, któryby nie był zarazem spiskowcem; dziecko czy dorosły, student czy urzędnik—on zawsze o jednem i tem samem marzy, do jednego dąży i ciągle spiskuje. Zwykli śmiertelnicy nie mogą zawiązywać stosunków ze spiskowcami; to są prądy elektryczne, odpychające się a nie przyciągające nawzajem—i to druga różnica między nami. Wy razem z nami spiskować nie możecie; były próby, ale nigdy nie doprowadziły do jakichkolwiek rezultatów...

— Uznajemy waszą kwalifikacyę na spiskowców, od pieluch już, nie dzieci — odpowiedział ten sam Rosyanin—przyznajemy, że sąsiedzi obeszli się z wami nie po sąsiedzku, że nie mogliście i nie możecie pogodzić się z warunkami, w jakich pozostajecie. Bóg z wami! pielęgnujcie jakie chcecie, naj-

bardziej wrogie uczucia dla waszych łupieżców; podkładajcie pod nich miny... lecz przecież wszystko na świecie musi mieć swój cel i koniec. Wieczna nienawiść i wieczne spiskowanie, nie prowadzące do celu, rzecz niemądra i nielogiczna. Rozmówmy się o tem otwarcie, po bratersku, w tem tutaj, jakby rodzinnem, koleżeńskiem kółku. Ztąd nic na zewnątrz nie wyjdzie. Rozpatrzmy, czy choroba ta da się radykalnie wyleczyć? czy moglibyśmy się pogodzić naprawdę, usunąć wszelkie rozdwojenia? nie być nawzajem dla siebie wrogami? dać pokój wszelkim spiskom?

Jeśli takie pojednanie nastąpi między nami, młodzieżą uniwersytecką, to sądzę, że ono się z czasem ułoży i między ludami. Przypuśćmy, że tak jak tu jesteśmy, my, Rosyanie, przedstawiamy rząd nasz i naród; że możemy zrobić co chcemy, według naszego dobrego rozumienia. Otóż chcielibyśmy wiedzieć, czy bylibyśmy w stanie zadowolić was, obywateli innego, opanowanego przez przodków naszych kraju? Co mamy zrobić, byście podali nam dłoń bratnią i uważali nas za przyjaciół, nie za wrogów? Jak to urządzić? Czy to nastąpi, jeśli przy pomocy wszystkich uczciwych ludzi w Rosyi, otrzymacie autonomię, swobodę wiary, słowa i druku? jeśli wznowią Polskę w jej etnograficznych granicach? Odpowiedzcie szczerze, z ręką na sercu, czy to wam wystarczy? czy też pójdziecie dalej w waszych żądaniach? A mianowicie zapytujemy was, jak się zapatrujecie na kraje dawnego W. Księstwa Litewskiego, wy! już na szkolnych ławkach dojrzali obywatele, wy! zapewniający, żeście pierwej Polacy niż ludzie?

— Dla nas — odrzekł Markiewicz — kwestya ta od dawna rozstrzygnięta, to nasz kraj i naszym pozostać powinien! tak chciało przeznaczenie i tak zrządziły dzieje! I dopóki chociaż jeden Polak na ziemi żyć będzie, dopóty pojęcia te ani o jeden włos nie ulegną zmianie. Pamiętajcie panowie, że Litwa,

a mianowicie główna, najżywotniejsza część dawnego W. Księstwa Litewskiego, dobrowolnie połączyła się z Koroną, tylko jakaś bardzo niewielka część została zdobyta orężem. Bez wojny nie obeszło się w żadnym organizmie politycznym sprostowanie i skonsolidowanie granic. Fakt zaś Unii nietylko historycznie, ale i prawnie da się usprawiedliwić i obronić bez trudu.

— A tak! potomkowie Napoleona także i *suffrage universel* potrafią prawnie obronić — odparto ze strony rosyjskiej. — Zapytano o połączenie tylko nielicznych wybranych, dla których Unia pod wszelkiemi względami była korzystną, a i tak niechętnych przemocą od obrad wyłączono. Ale ludu nawet nie zapytano; wszystko zawczasu było zręcznie ułożone i przygotowane.

— Ludu nie pytano, zapewne, bo gdzież wówczas pytano lud jaki i gdzie go było szukać!

— A więc zapytano tych, którzy czuwali, nie pytano śpiących albo uśpionych. Otóż pozwólcie, aby i ci uśpieni nareszcie się ocknęli i zdanie swoje wypowiedzieli.

— I owszem, niech się budzą, lecz kwestye tego rodzaju, raz już rozstrzygnięte, nie podlegają nowym wyrokom. To się nigdy i nigdzie nie dzieje!

— Rzeczywiście się nie dzieje! Ziemie, o których mowa, już są nasze, zrusyfikowane, szczególniej zaś ta część Rusi, która wchodziła w skład W. Księstwa Litewskiego. Zkądże przychodzimy do tego, byśmy mieli odstępować wam, panowie Polacy, tę ogromną, najżyźniejszą część państwa, od źródeł Dniepru po ujścia Dunaju! Takich dziwnych żądań dla zadowolenia was, Polacy, my przyjąć nie możemy.

Polacy przytaczali, że w wielu miejscowościach Litwy i Rusi, ludność jest czysto Polska.

— Być może — odpowiadali Rosyanie — ale wogólności procent Polaków jest znikająco mały i coraz bardziej się zmniejsza. Z każdym dniem

kraj ten staje się bardziej rosyjskim, na równi z miejscowościami, zamieszkałemi przez Mordwinów, Korelców albo Zyryan. Nie będziemy przecież dla każdego z tych ludków urządzali osobnego państwa, jak nie wznowimy krymskiego lub astrachańskiego hanatu!

— Tu niema porównania! Ludy te nie miały ani historyi, ani literatury; kto kiedy słyszał o nich w Europie? kto się interesuje ich przeszłością? Polska miała i ma cywilizacyę i historyę świetniejszą i uczciwszą od waszej.

— No, o tem jeszczeby się dało szeroko pomówić, odparli Rosyanie, zresztą możecie mówić o waszem W. Księstwie Litewskiem, o waszej świetnej przeszłości i waszej cywilizacyi, ale to rzeczy nie zmieni. Dla nas kwestya Rusi i Litwy i innych dziedzin, które weszły w skład państwa, jest rzeczą stanowczo rozstrzygniętą. Że tem wszystkiem można lepiej zarządzać, to rzecz inna; lecz abyśmy przywracali mapę tych ziem według stanu z wieku zeszłego — o tem nawet mowy być nie może. Kto myśli inaczej, ten nie Rosyanin!

Po tem dyskusya zamieniła się w burzliwy gwar, krzyki i spory. Ktoś się w końcu odezwał, że szkoda czasu tracić na takie rozprawy, które do niczego nie doprowadzą. Późno już, najlepiej się rozejść!

Tak się też stało i na tem rzecz cała się zakończyła[1]).

W ten sposób młoda, gorąca i bardziej czujna część petersburskiego społeczeństwa, przypadkiem

---

[1]) Opisane ze wspomnień jednego z uczestników tej schadzki. Po osiemnastu latach, niejedno zostało zapewne niedokładnie przytoczone, lecz istota rzeczy i sama schadzka ma być skreślona dokładnie. Może inni współuczestnicy przypomną sobie coś więcej, poprawią i uzupełnią ten szkic utworzony z pamięci. To samo się odnosi i do innych wydarzeń, w tem dziele opisywanych.

i jakby żartem, na nowo stwierdziła stary aksyomat, że między Rosyanami a Polakami nic wspólnego niema; że jedni albo drudzy muszą być wyłącznymi panami i gospodarzami na ziemiach wspólnie zamieszkiwanych, i że innego wyjścia być nie może i niema. Starsi zaś, można powiedzieć, że z nader nielicznymi wyjątkami cała rosyjska inteligencya, patrzyli na rozwijające się wypadki z ospałą obojętnością i nie stawiali sobie żadnych zadań. Byli nawet tacy, którzy się cieszyli z nominacyi Wielopolskiego na ministra i oczekiwali po powierzonej mu misyi pomyślnych rezultatów.

Byli jednak i lepiej przewidujący. Do rzędu takich należał i znakomity profesor prawa, Kawelin. Ten wiedział o schadzce studentów u Nekludowa i niecierpliwie oczekiwał jej wyniku Wiedział on i o żałobnem nabożeństwie w kościele św. Katarzyny i chociaż był niezmiernie ciekawy naocznie się przekonać, jak się tam zachowują Rosyanie obok Polaków, jednak do kościoła nie poszedł, jak również nie poszli i inni profesorowie Rosyanie. Cóż im stanęło na przeszkodzie, idąc mimo po Newskim Prospekcie, wstąpić choćby na chwilę do kościoła i gdzieś z kąta, niespostrzeżenie, przypatrzyć się wszystkiemu? Wszak nie obawa odpowiedzialności przed władzą. Stało na przeszkodzie coś innego, i nikt nie poszedł. I ta najzwyklejsza okoliczność, że Kawelin i inni profesorowie Rosyanie, mimo swych sympatyi dla idei odrodzenia polskiego narodu i szczerych życzeń, by Polacy wspólnie z Rosyanami otrzymali większe polityczne prawa, mimo otrzymanego zaproszenia, nie poszli na to nabożeństwo, okoliczność ta świadczy najlepiej, że polskie demonstracye nie mogą oddziaływać i nie napotkają oddźwięku w sercach prawdziwych Rosyan; że w takich danych wspólne działanie jest niemożliwe, gdyż nie może być oparte na wspólnych politycznych interesach.

Nazajutrz po schadzce Kawelin zawezwał do

siebie kilku studentów, o których wiedział, że brali udział w rozprawach, a wypytawszy o wszystko, powiedział: „Zobaczycie panowie, że wkrótce ta sama sprawa będzie rozpatrywana w gabinetach bardziej wpływowych niż ten Nekludowa, i przez ludzi poważniejszych od was, lecz i oni dojdą do tego samego rezultatu, do którego doszliście wy, gorąca i czujna młodzieży... ale niestety, decyzya ludzi starszych nie zakończy się tak pokojowo, jak wasza—herbatą i zimną przekąską".

Mniej więcej w tym samym czasie Karnicki ostatecznie zredagował swoje projekta, które miały być przesłane do rozpatrzenia namiestnikowi do Warszawy; bez jego opinii nie mogły być przedstawione do sankcyi cesarskiej. Tymczasem zaś dla uspokojenia wzburzonych umysłów i dla okazania krajowi i Warszawie, że rzeczywiście coś się robi i to robi prędko, i bez zwykłych biurokratycznych formalności, przesłano dnia 13 marca namiestnikowi telegraficzne upoważnienie, aby, nie podając szczegółów, zapowiedział jednak oficyalnie, bądź ustnie, bądź na piśmie, komu to za potrzebne uzna, że wysłane przez Karnickiego projekta w Petersburgu doznały przychylnego przyjęcia.

Książę Gorczakow tegoż dnia jeszcze zaprosił do Zamku arcybiskupa księdza Fijałkowskiego, Andrzeja hr. Zamoyskiego, Władysława hr. Małachowskiego oraz delegatów: Kronenberga i Szlenkiera i odczytał im telegram cesarza, sądząc, że ten zrobi na nich jaknajlepsze wrażenie. Ale się w tem zawiódł! Przed nim stał już nie ten Andrzej hr. Zamoyski, który przed kilkoma jeszcze miesiącami we fraku i białym krawacie bywał na Zamku jako przedstawiciel najbardziej lojalnych i umiarkowanych poglądów i zasad; nie ten Zamoyski, który jeszcze 27 lutego żądał wojskowej ochrony dla Towarzystwa rolniczego, a zarazem potem wygłaszał mowy pełne

umiarkowania i rozsądku. Teraz się spotkał z jakimś innym Zamoyskim; z Zamoyskim, który już podał rękę ruchowi, u którego co wieczór zbierano się na ożywione i głośne obrady, na których Królikowski i inni czerwoni, protegowani gospodarza, z kółka niczem nie ochłodzonych Sybiraków, wykładali nieprzedawnione prawa Polaków do Litwy i Rusi, i to jeszcze bardziej stanowczo, niż to czyniła młodzież polska na schadzce u Nekludowa. Ten nowy Zamoyski oświadczył namiestnikowi, „że dla nich, umiarkowanych, aż nadto to wystarcza! że przechodzi nawet ich oczekiwania, lecz... stronnictwa przeciwnego — prawdopodobnie to nie zadowoli" [1]).

Nazajutrz dnia 14 marca nadeszła odpowiedź cesarza na podany adres. Zredagowaną ona była w formie listu do namiestnika, który został udzielony do wiadomości różnym wpływowym osobistościom w ten sam sposób, jak i poprzednia depesza telegraficzna List ten był następującej treści:

„Przeczytałem przesłaną mi prośbę. Powinienbym ją uważać za nieistniejącą, *comme nulle et non avenue*, ze względu, że kilku ludzi, korzystając z chwilowych nieporządków, przywłaszczyło sobie samowolnie prawo lekceważenia wszelkich rozporządzeń rządu. Nie chcę atoli w tem widzieć nic innego, jak chwilowe zapomnienie".

„Całą uwagę moją skupiam nad wypracowaniem reform odpowiednich czasowi i rozwojowi potrzeb państwa. Poddani moi w Królestwie Polskiem

---

[1]) *Spasowicz* powiada: „Zamoyski i jego przyjaciele pesymistycznie spoglądali na podanie adresu i nie oczekiwali ztąd żadnych dodatnich rezultatów, owszem, obawiali się zwiększenia surowości i cofnięcia się rządu z dotychczas obranego kierunku. Naradzali się nawet nad tem, jak się w razie takiej zmiany mają zachować? Większość oświadczała się za biernym oporem na wzór Anglików w XVII wieku, albo Włochów w Lombardyi i Wenecyi w XIX wieku, a więc, niepłacenie podatków, gremialne opuszczenie służby rządowej, co nawet później próbowano zastosować." — str. 128.

są także ciągłym przedmiotem mej pieczy. Wszystko, cokolwiek im zapewnić może dobrobyt, nie znajduje mnie i nigdy nie znajdzie obojętnym."

„Dałem im już dowód tego, że chcę, aby i oni uczestniczyli we wprowadzanych ulepszeniach i reformach w państwie. Trwam dalej w tych samych zamiarach i uczuciach. Mam prawo polegania na tem, że te uczucia będą odwzajemnione; że ich nie zniweczą żądaniami nieumiarkowanemi lub nie będącemi na czasie, którychbym nie mógł uwzględnić bez wyrządzenia krzywdy moim innym poddanym w cesarstwie. Ja swe obowiązki wypełnię i w żadnym innym wypadku nie będę pobłażał nieporządkom. Na takiej bowiem podstawie nic nie da się zbudować. Żądania, opierające się na nieporządkach ulicznych, same siebie podkopują, we mnie zaś zniszczyłyby wszelkie zaufanie i znalazłyby potężną odprawę, jako coś takiego, coby mogło strącić państwo z legalnej drogi, na której je niezmiennie utrzymać pragnę" [1]).

Wraz z nadejściem tej odpowiedzi delegacya przestawała istnieć, tak było umówione przy jej utworzeniu i o tem wszyscy wiedzieli. W mieście jednak wyrażano ubolewanie i zaczęto naradzać się, jakby i nadal utrzymać delegacyę, która, mimo krzyków na nią podnoszonych, przecież wyświadczyła niejedną rzeczywistą usługę i byłaby szczególnie tem pożyteczną dla kraju, że za jej pośrednictwem Zamek, wogóle mało przystępny dla opinii, dowiadywał

---

[1]) Wydrukowano to w różnych dziennikach z tego czasu. Oryginał francuski w numerze 60 *Gazety urzędowej Królestwa Polskiego*, po polsku i po francusku, w numerze 70 *Gazety Warszawskiej* i w numerze 69 *Kuryera Warszawskiego*. Także w broszurze „*Affaires de Pologne*" str. 9. List ten przywiózł z Petersburga adjutant namiestnika baron Meyendorf. W mieście natychmiast rozszerzyła się pogłoska, że Meyendorf przywiózł konstytucyę. Dziennik pułkownika Krywonosowa, daje wyobrażenie o panującem usposobieniu i oczekiwaniach.

się o potrzebach i życzeniach kraju. W Zamku jej słuchano i nieraz wysłuchano, chociaż żądania te niejednokrotnie przekraczały granicę, której władza, chcąca zachować swój urok i pozostać władzą, nie powinna była nigdy dozwolić przekroczyć.

Nie sami biali czynili starania o dalsze utrzymanie delegacyi, czynili je i czerwoni, ale na swój właściwy sposób, oto: przez wybijanie okien, śpiewanie hymnów, wyprawianie kocich muzyk. Tymi wybrykami okazywali oni, że sama pogłoska zniesienia delegacyi wywołuje rozdrażnienie i uliczne nieporządki; cóż dopiero będzie, gdy delegacyę naprawdę rozwiążą?

Namiestnik dnia 16 marca wydał nową odezwę do mieszkańców Warszawy:

„Dla położenia granic poduszczaniom ludzi złej woli, którzy zwołują zbiegowiska celem urządzania manifestacyi rozmaitego rodzaju, ze względu, że takie manifestacye są niewłaściwe i zakłócają porządek publiczny, oznajmiam, iż od dnia dzisiejszego: zabraniają się wszelkie zgromadzenia na placach i na ulicach w celu jakiejkolwiek manifestacyi. Również zabraniają się wszelkie procesye, nie ustanowione przez kościół katolicki.

Mieszkańcy Warszawy! usłuchajcie mojej przestrogi, nie zmuszajcie mnie do użycia siły zbrojnej dla przywrócenia porządku.

Jednocześnie, władza policyjna obwieszczenie to roześle wszystkim właścicielom domów, aby nikt niewiadomością tłómaczyć się nie mógł".

Delegacya — oficyalnie wprawdzie jeszcze nierozwiązana, lecz od dnia nadejścia odpowiedzi cesarskiej niezbierająca się w ratuszu, tylko w resursie kupieckiej—uczuła się obrażoną, że władza wydała powyższe obwieszczenie, nie zasięgnąwszy przedtem jej zdania, jak to się dotychczas stale praktykowało w podobnych razach.

Nazajutrz, dnia 17 marca, gdy przyszedł do Resursy kupieckiej generał Paulucci (uczęszczający

tam z polecenia namiestnika, dla zasięgania stałych informacyi), delegaci powitali go zapytaniem: „Co znaczy wczorajsze obwieszczenie o zbiegowiskach, których obecnie nie bywa, lecz które widocznie rząd stara się wywołać takiemi prowokacyjnemi zarządzeniami?" Nadto delegaci wyrazili swe niezadowolenie, że dotychczas nie otrzymali odpowiedzi na pewne uwagi i wytknięte braki w zarządzie miasta.

Generał odparł, że nie tu miejsce dla dania odpowiedzi, lecz prosi panów delegatów, by nazajutrz zechcieli przybyć do ratusza, a tam otrzymają wyjaśnienia na wszystko co ich obchodzi.

Rozmówiwszy się tego samego wieczora z namiestnikiem o całem tem zajściu, Paulucci natychmiast przesłał wice-prezesowi, generałowi Lewińskiemu, bilecik następującej treści:

„Kochany generale! Co się tyczy wczorajszego rozporządzenia, mam honor zawiadomić, że J. E. Namiestnik uznał za potrzebne ogłosić je dlatego, że doszły do niego wieści o istnieniu w mieście rewolucyjnych agentów, którzy starają się trwożyć lud i niepokoić rząd rozmaitemi manifestacyami, nadto, wielu z pociągniętych do odpowiedzialności po smutnych wypadkach 25 i 27 lutego, tłómaczyło się, że zgoła nic nie wiedzieli o istniejącym zakazie podobnych manifestacyi. Co zaś do urządzeń municypalnych J. E. Namiestnik oświadczył, że sprawa ta jest już ostatecznie zakończona."

Lewiński odczytał tę kartkę zebranym dnia 18 marca w ratuszu delegatom w obecności Pauluccicgo, który, na zapytanie, czy w tem się mieści cała odpowiedź na postawione zapytanie i poczynione uwagi — oświadczył: że co do zarządzenia z dnia 16 marca i co do projektów miejskiego zarządu — nic więcej dodać nie może; zaś co do sądów nad politycznymi przestępcami — odpowiedź jutro nastąpi.

— A więc nasza rola skończona... nie pozostaje nam nic innego, jak prosić o uwolnienie — odezwało się naraz kilka głosów.

— To już rzecz panów, zrobicie, jak się wam podoba! — odrzekł z lekceważeniem generał, który, jako zostający w ciągłem zetknięciu z namiestnikiem, a zresztą jako szef tajnej policyi, wiedział co się przygotowywało za kulisami, w tajemnicy, zdala od wszelkich ciekawych oczu. Dla świadomego, co właśnie w tym czasie zaszło i jak radykalnie zmieniło się położenie, dziwnem conajmniej wyglądało żądanie zajmowania się jakiemiś municypalnemi projektami i tym podobnemi drobiazgami.

Zaszedł zaś fakt następujący:

Gdy, pomimo ogłoszenia, wydanego dnia 16 marca, zaszły jakieś nieporządki uliczne, Gorczakowowi wydały się one powtórzeniem zajść lutowych, to też przeląkł się i stracił głowę w niemniejszym prawie stopniu, jak wówczas. „Na ulicach Bóg wie co się dzieje, a z Petersburga zamiast raz już coś stanowczego postanowić i przysłać jak było umówione, wciąż piszą i piszą tylko bez końca!"

U starców, niecierpliwość tak dobrze jak trwoga, gdy raz ich opanuje, nie daje już im spokoju, wzmaga się co chwila, wzrasta jak lawina Faktor zjawił się jak na zamówienie. Kierował nim jakiś szczególniejszy żydowski instynkt i przeczucie, że w chwilach dla Gorczakowa trudnych on zawsze umiał znaleźć się pod ręką, i to właśnie w połączeniu z wesołem usposobieniem charakteru i dowcipem, nie opuszczającym go nigdy, a którym tak doskonale umiał podtrzymywać upadającego ducha namiestnika było główną przyczyną, że ten go tak polubił i wyróżniał przed innymi.

Jak niegdyś 16 sierpnia 1855 roku, gdy, opanowany taką samą gorączkową niecierpliwością, stojąc na nowej reducie nad Czarną rzeczką, książę zapytał swego przybocznego adjutanta Krasowskiego: „Czemu nareszcie nie zaczynają?" — tak teraz zapytał swego przybocznego faktora: „Czemu nareszcie nie przysyłają? Czas drogi. Na ulicach Bóg wie co się dzieje."

— W rzeczy samej, każda chwila droga — potwierdził faktor — lecz sądzę, że wasza ekscelencya masz zawsze w ręku środek do przynaglenia Petersburga.

— A cóż to za środek?

— Najlepiej wybijać klin klinem. Dodatkowo do projektów Karnickiego niech książę pośle projekty Wielopolskiego i jednocześnie napisze do cesarza, że jeżeli margrabia nie zajmie natychmiast przeznaczonego dlań stanowiska, to książę za nic ręczyć i odpowiedzialności za utrzymanie spokoju na siebie brać nie możesz. Klin ten albo jeszcze silniej wbije klin dawny albo też sam miejsce dawnego zastąpi. Należy tylko nieco nastraszyć Pałac zimowy, byle prawdopodobnie. Tam dziś panuje usposobienie skłonne do trwogi, nawet do przesadnej trwogi, więc można śmiało coś dodać. Ja, gdybym był na miejscu księcia, ani chwili nie zawahałbym się, chociażby nawet wobec cesarza, coś jaskrawiej przedstawić. Są to chwile krytyczne!...

Dla Gorczakowa nie było to zresztą żadną nowością okłamywać cesarza. On tak do tego przywykł, że najczęściej nie zdawał sobie nawet sprawy przed sobą, że kłamie.

Po niejakiej chwili odezwał się do Enocha: „Każ tu poprosić Wielopolskiego".

Wielopolski stawił się na wezwanie. Książę poprosił go ostatecznie o zredagowanie memoryału co do uznanych za potrzebne reform, zmieniając tylko niektóre szczegóły, stosownie do ich uprzedniej rozmowy.

Wielopolski był gotów z żądaną pracą we 24 godziny [1]), a Gorczakow natychmiast wysłał ten operat do Petersburga przez urzędnika Kretkowskiego. Dnia 23 marca Kretkowski stanął w Petersburgu, a na 25 została zwołana rada państwa; pod

[1]) Zmiany u *Lisickiego*, tom. I, str. 174—176.

przewodnictwem samego cesarza miała ona ostatecznie rozpatrzyć i zatwierdzić pierwszą seryę reform Karnickiego które już przeszły przez wszystkie widły kaudyńskie petersburskiej biurokracyi. Projekty Wielopolskiego spadły jak piorun na głowy członkom rady państwa. Sprawozdawca, mając w ręku oba projekty, Karnickiego i Wielopolskiego, był w trudnem położeniu... wyszedł z kłopotu, łącząc je w jeden. Karnicki wcale się o to nie zgniewał, widząc o ile Wielopolski był śmielszy i szczery w swych planach. Owszem jako Polak, tylko się mógł cieszyć z takiego obrotu sprawy.

Dnia 26 marca, a więc we dwadzieścia dni po wezwaniu Wielopolskiego z Chrobrza, a w tydzień po wysłaniu Kretkowskiego z Warszawy — w sekretaryacie stanu dla spraw Królestwa Polskiego wydane zostały następujące postanowienia:

Ustanawia się w Królestwie Polskiem:

1) Radę stanu, jako organ prawodawczy, złożony z miejscowych dygnitarzy i z członków, powołanych przez Najjaśniejszego Pana.

2) Komisyę wyznań i oświaty.

3) Rady miejskie w Warszawie i główniejszych miastach Królestwa Polskiego.

4) Rady gubernialne i powiatowe, pochodzące z wyborów, dla których przewodniczących rząd wyznaczy.

W końcu przeprowadzi się zasadniczą reorganizacyę niższych i wyższych zakładów naukowych [1]).

Program ten postawiono jako ogólny zarys. Szczegóły miano opracować w Warszawie pod kierunkiem Wielopolskiego i przesłać do Petersburga w formie już ostatecznie wygotowanych projektów do praw. Wielopolski został zamianowany głównym dyrektorem komisyi wyznań i oświaty.

---

[1]) *Gazeta urzędowa* z 1861 roku nr. 71, szczegóły w numerze 75. *Spasowicz* str. 140—141. — *Lisicki* tom II. str. 59 — 62.

Wszystko to działo się w gabinecie sekretnym cesarza, między niewielu osobistościami, pojmującemi całą doniosłość sprawy. A matuszka Rosya, cały stumilionowy naród, wcale się tem nie zajmował. Nawet Moskwa białokamienna, oddalona o 15, a dobrej drogi o jakie 10 lub 8 godzin jazdy od sekretnego gabinetu cesarza, nic nie wiedziała o tem, co się tam tak pośpiesznie tworzyło w Petersburgu — na szczęście, czy też na nieszczęście państwa. Takie to były czasy. *Moskowskija Wiedomosti* teraz tak o nich piszą: „Nie było żadnej jawności, nic, coby odpowiadało pojęciom prasy i publicystyki w europejskiem słów tych znaczeniu, żadnej opinii publicznej... nigdzie nie okazywano najmniejszego zajęcia dla spraw i kwestyi najżywotniejszych dla Rosyi; nikt o niczem nie wiedział, nikt o nic nie pytał, to też nikt nie miał o sprawach tych jasnego pojęcia i wyrobionego zdania." (1867 roku № 22).

Tak było i z zamianowaniem Wielopolskiego na ministra i z przyjęciem jego niezwykłych projektów. Wzrok ogółu ślizgał się po tej kolosalnej postaci, ale „jasnego pojęcia i wyrobionego zdania" nikt o niej nie miał. Nadzwyczajny, tak pełen niesłychanego dla Rosyi znaczenia fakt, spełniał się w ciszy, bez rozgłosu. Nikomu nawet na myśl nie przyszło, że tu zapominano o dziejach przeszłości i to bardzo niedawnej przeszłości; że powtarza się to, coby nigdy nie powinno się było powtórzyć; że raz jeszcze nie pamiętano o tem, „że niema takiego Polaka, w jakichkolwiek okolicznościach i na jakiemkolwiek stanowisku postawionego, któryby rozwiązał sprawę polską w duchu i kierunku interesów rosyjskich". Raz jeszcze wyostrzono na siebie oręż i dano go w ręce drugiego Adama Czartoryskiego.

Gdy w jakiś czas potem zagraniczne pisma ilustrowane podały wizerunek tego nadzwyczajnego czarodzieja, rosyjska publiczność przypatrywała się mu zupełnie obojętnie, przerzuciła kartkę z takiem samem zajęciem, jak kartkę z wyobrażeniem jakiego

malabarskiego królika, lub widokiem chińskiego miasta Peihoo...

A zaiste, zasługiwała ta postać, podobna do ciężkiego, zawsze wycelowanego i gotowego do strzału pozycyjnego działa, by się jej dobrze i uważnie przypatrzyć. Jeszcze dziś polecamy czytelnikowi wyszukanie gdziekolwiek tego portreciku, a jestem pewny, że po głębszem wpatrzeniu się odnajdą wskazane podobieństwo...

„Czy dokładnie artysta myśl swoją wyjawił,
Gdy jego nam takim, nie innym przedstawił?
Czy mimowolne było to natchnienie
Czy też Bayer mu tylko dał takie wejrzenie?“

Jeszcze raz powtarzamy: nie możemy oskarżać gorących pomocników w spełnianiu tych wszystkich czarów;... nie mamy na to ani dosyć odwagi, ani też serca... Im tak było pilno...

Opowiemy tu małe zajście, które może da najlepsze wyobrażenie o usposobieniu ówczesnego „tajnego parlamentu” w Petersburgu.

Jakoś wkrótce po strzałach Zabołockiego przybył do Warszawy adjutant skrzydłowy cesarza, dawny oficer wojsk polskich, pułkownik Giecewicz, chociaż Polak, z przekonania oddany Rosyi. Ten rozpatrzywszy się, co się wokoło niego działo: na ulicach, po kościołach, w teatrze i resursach, odezwał się do kogoś ze swoich przyjaciół: „Ależ panowie, jak możecie nie widzieć, że u was rewolucya! W Petersburgu ani pojęcia nie mają o tem, co się tu dzieje!” I jako przyboczny adjutant cesarza czuł się w obowiązku niezwłocznie wrócić do stolicy dla zdania sprawy i przestrzeżenia kogo należy.

Wyjechał z 14 na 15 marca w nocy i piątego dnia stanął w Petersburgu, a więc właściwie na cztery dni przed przybyciem Kretkowskiego z projektami Wielopolskiego i listami namiestnika oraz

innych osób, które zapatrywały się na stan w Warszawie wcale nie różowiej od Giecewicza.

Czy zawiadomił Giecewicz samego cesarza — nie wiadomo, to pewna tylko, że z ministrem wojny obszernie i szczegółowo się rozmówił. Suchozanet zatrwożył się na dobre i wezwał do siebie swego pomocnika, generała Milutina. Na zapytanie, czy to prawda, co powiada Giecewicz, tylko co przybyły z Warszawy, Milutin odpowiedział, że wistocie miały miejsce drobne, uliczne nieporządki, lecz głównie wskutek słabości namiestnika. Teraz wszakże już temu zapobieżono. Wszystko, co jest znakomitszego w kraju, zupełnie nam jest oddane; Wielopolski zamianowany ministrem wyznań i oświaty, a wkrótce zapewne zostanie ministrem spraw wewnętrznych; jest to człowiek niezwykle rozumy i zupełnie nam oddany, dosyć powiedzieć, że nie wahał się syna swego oddać do wojska; krok niesłychany, bezprzykładny wśród arystokracyi polskiej. Nim się na coś podobnego taki pan polski zdecyduje, musi stanowczo stanąć po stronie rządu. Nie należy straszyć napróżno cesarza. Żyjemy w chwilach, gdzie nawet w carskich komnatach spokój jest potrzebny. Spełniają się rzeczy wielkie, wiekopomnego znaczenia! Daj Boże, by się tylko skończyły tak, jak się zaczęły!

Suchozanet, pomimo tyloletniego pobytu w Królestwie Polskiem, nie słyszał nic ani o Wielopolskim, ani o jego przeszłości, albo też bardzo mało, nie mógł więc zaprzeczyć Milutinowi, jak wogóle nie umiał i nie mógł zaoponować człowiekowi, pod każdym względem bezporównania wyżej od niego stojącemu. Rozmowa się urwała. Milutin powróciwszy do siebie, zaraz posłał po Giecewicza, zrobił mu ostrą wymówkę, że się mięsza do spraw, których nie rozumie i które go wcale nie dotyczą, kazał mu wracać do Warszawy i siedzieć cicho, jeśli się nie chce spotkać z nieprzyjemnościami. Giecewicz wrócił i z największem zadziwieniem opowia-

dał znajomym o tem, co najmniej dziwnem przyjęciu, które go spotkało w Petersburgu.

Warszawa pełna była najrozmaitszych pogłosek o Wielopolskim, który tymczasem od 17 marca bawił w Krakowie i szukał tam zetknięcia i porozumienia z ludźmi poważniejszymi w Galicyi. Zachęty i przyrzeczeń nie brakło, lecz gdy przyszła poważna chwila działania—nic nie spełnili, chociaż wszystko obiecywali; „znikli jak kamfora i ani na próbkę ich nie pozostało", pisze Zygmunt Wielopolski w swej odpowiedzi Stanisławowi hr. Tarnowskiemu [1]).

Namiestnik, gdy otrzymał z Petersburga potwierdzone projekta Wielopolskiego, zaczął przemyśliwać i naradzać się ze swem najbliższem otoczeniem nad drugiem trudnem zadaniem: „Co począć z Muchanowem, tym drugim niedźwiedziem w tem samem legowisku". Że ten dobrowolnie nie ustąpi, wiedzieli doskonale wszyscy, co go bliżej znali. Zresztą nic wtem nie było dziwnego; najmniejsze nawet dziecko wie, że taki urzędnik, dosłużywszy się wysokiego stanowiska, przywyka do swej zaszczytnej i wygodnej pozycyi, bardziej niż niejeden żebrak do swej torby żebraczej; przestaje rozumieć, że być może inna egzystencya, że się nie zawsze będzie rozkazywać innym. Te wydawane rozkazy, udzielane nagany lub pochwały, ta uniżoność i pochlebstwa tłumów, to ciągłe kłanianie się i gotowość do usług na najmniejsze skinienie, stają się w końcu potrzebą, warunkiem życia tych panów i bywały przykłady, że taki dygnitarz, gdy opuścił zajmowane stanowisko, naraz zaczął niedomagać, smutniał i niknął i bardzo prędko opuszczał ten padoł płaczu, na którym już mu było tak smutno, nudno, tak nieswojsko...

---

[1]) Do J. W. Stanisława hr. Tarnowskiego Zygmunt Wielopolski, m m. Kraków 1879, str. 12—13.

W takich właśnie warunkach znalazł się podówczas Muchanów, wiedzący, ma się rozumieć, doskonale, co się na około dzieje i co wkrótce ma nastąpić. On wiedział, że będzie musiał ustąpić Wielopolskiemu głównej dyrekcyi i komisyi wyznań i oświaty, lecz był przekonanym, że tekę spraw wewnętrznych zawsze zatrzyma. W tym celu zapewne, zrzekł się zawczasu kuratoryi warszawskiego okręgu naukowego, którą tymczasowo powierzono tajnemu radcy Łaszczyńskiemu [1]).

Tego był pewny i nie troszczył się wcale o ogólną niechęć i niepopularność „Chwilowe to usposobienie sfer najwyższych przejdzie, wszystko się przemiele i będzie mąka—jak powiada przysłowie“— i on po dawnemu rządzić będzie w swym rozległym zakresie władzy, a kto wie, może nawet przetrwa i tego nowego Adama Czartoryskiego.

O tych marzeniach wiedziały nietylko osoby, otaczające namiestnika, ale i sam namiestnik. Wiedzieli także, że ci dwaj ludzie obok siebie są niemożliwi... Co zrobić wszakże, aby dać uczuć Muchanowowi potrzebę podania się do dymisyi?...

Usłużny faktor podszepnął namiestnikowi, że w takich okolicznościach nie czas na względy i ceremonie dla nikogo; że się korzysta z pierwszej lepszej drobnostki i usuwa się tego, który jest niepotrzebny lub, co gorsza, szkodliwy i staje na zawadzie nowemu kierunkowi spraw politycznych. Kotzebue tylko, osobisty nieprzyjaciel Muchanowa, przytwierdził temu zdaniu.

Pretekst niebawem się znalazł.

W owym czasie, wskutek propagandy, prowadzonej ze stron różnych między włościaństwem, w niektórych okolicach Królestwa Polskiego wybuchły niepokoje i przyszło nawet do starć chłopów z miejscowemi gminnemi władzami. Muchanow, do

---

[1]) *Kuryer Warszawski* nr 71.

którego, jako głównego dyrektora w komisyi spraw wewnętrznych należało przedewszystkiem utrzymanie porządku, rozesłał do gubernatorów sekretny okólnik, datowany dnia 18 marca, polecający: „największą baczność nad podżegaczami; zarządzenie odpowiednich środków, by takowych w danych razach chwytano i odstawiano wprost do naczelników powiatów z ominięciem miejscowych wójtów gminnych", którym wogóle rząd mało dowierzał [1]).

Tajemnica jakoś bardzo prędko stała się wszystkim wiadomą przez tychże gubernatorów, do których polecenie było wystosowane. Zerwała się straszna burza! Potrzeba zaś wiedzieć, że okólnik ten nie był wcale rzeczą nową, *ad hoc* wydaną. Było to po raz piąty rozsyłane powtórzenie rozporządzeń, wydanych w 1846 roku, gdy się obawiano, że ruchy socyalne, których widownią była Galicya, mogą się przenieść na stronę Wisły. Cztery razy rozsyłano ten okólnik zawsze sekretnie; czy tajemnica lepiej bywała dochowaną, czy też inne było usposobienie— dosyć, że nigdy większego wrażenia okólnik ten nie wywołał. Teraz posypały się do Muchanowa bezimienne listy z największemi inwektywami. Do żony jego, z domu hr. Łubieńskiej, pisano, by jak druga Judyta zasłużyła się narodowi i ucięła głowę swemu Holofernesowi. Następnie posłano jej w koszu, napełnionym kwiatami—stryczek [2]). — Wówczas kursowała także po Warszawie szarada, Muchanow, zaczynając się do słów:

---

[1]) Cały cyrkularz przytoczony w „Zapiskach naocznego świadka", str. 140—141.—*Lisicki* tom II, str. 63—64.

[2]) Muchanow po dwakroć był żonaty. Pierwszy raz ożenił się z wdową po baronie Morenheimie, córką hrabiego Mostowskiego, ministra spraw wewnętrznych przed 1830 rokiem. Wkrótce po owdowieniu oświadczył się hrabiance Łubieńskiej (hrabinie Łubieńskiej z domu pani Jarmond. *Przyp. tłómacza*), od której był trzy razy starszy. Gdy tej rodzina odradzała tak niestosowny związek, odpowiedziała, że lepiej być senatorową, mając lat osiemnaście, niż pięćdziesiąt.—Dziennik pułkownika Krywonosowa.

„Pierwsza moja dokuczliwa,
A szczególniej w czasie żniwa“... i t. d.

Muchanow wściekał się, srożył, lecz postanowił znieść wszystko, choćby z największym wysiłkiem woli i pozostać na stanowisku. Dni jego były już wszakże policzone; otaczający namiestnika coraz natarczywiej powtarzali, że rzeczy tak, jak są, pozostać nie mogą, że należy skorzystać z popełnionej niezręczności i usunąć Muchanowa, gdyż inaczej wprowadzenie reform napotka na nieprzezwyciężone trudności. Przedewszystkiem zaś należy uspokoić umysły w kraju i oczyścić drogę Wielkopolskiemu. Dodawano także, że dnia 20 marca w Resursie kupieckiej głośno wykrzykiwano „precz z Muchanowem”!

Nielubiący wszelkich stanowczych wystąpień książę Gorczakow, spostrzegł jednak, że w tym wypadku należy się rozmówić zupełnie otwarcie ze swym dawnym przyjacielem i faworytem. Mimo to rozmowa wlokła się niejasno i niestanowczo, namiestnik dziwnie się jakoś wikłał we frazesach i tak był mglisty, że Muchanow udał, jakoby się nie domyślał o co chodzi. W odpowiedziach swych również był nieuchwytny i odszedł z czem przyszedł, ani myśląc prosić o uwolnienie. Należało więc pominąć wszelkie względy. Namiestnik przyzwyczajony w każdym wypadku zasięgać rady Petersburga, dnia 23 marca w południe zażądał telegraficznie pozwolenia do udzielenia dymisyi najwyższemu po sobie dygnitarzowi w Królestwie Polskiem. Było to w sam dzień przyjazdu Kretkowskiego do Petersburga. O godzinie 2-giej otrzymał przyzwalającą odpowiedź. Wezwano po raz drugi Muchanowa na Zamek i teraz Gorczakow oświadczył mu, że dla ważnych względów państwowych muszą rozstać się.— (*Spasowicz* str. 131).

Muchanow został tą wiadomością rażony jakby gromem; zrobiło mu się słabo, wrócił do siebie, lecz

nie nadsyłał tak niecierpliwie oczekiwanego podania o uwolnienie. Wówczas Gorczakow użył ostatecznego środka. Na godzinę dziewiątą wieczór kazał kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej przygotować nadzwyczajny pociąg, a o siódmej posłał po Muchanowa własną karetę. Gdy ten przybył do Zamku, książe oświadczył mu głosem wzruszonym: „Pan nie możesz tutaj dłużej pozostać, wyjeżdżaj natychmiast, rozkazuję to panu imieniem Najjaśniejszego Pana! Na kolei stoi już przygotowany pociąg! Nic więcej nie mam do powiedzenia i żegnam pana"!

Muchanow zaledwie mógł zebrać potrzebne na drogę fundusze, posłał na kolej, że wsiądzie do pociągu w Pruszkowie i pojechał tam razem z żoną w zamkniętej karecie. Tymczasem jego miastowi przyjaciele zgromadzili już na placu przed dworcem kolejowym do 4,000 ludu, który przejeżdżającą karetę przyjął taką wspaniałą kocią muzyką, jakiej Warszawa jeszcze nie słyszała. Skonsygnowane na stacyi wojsko stanęło pod bronią. W wagonie, przeznaczonym dla eksministra, lud wybił wszystknie okna, tak, że w Skierniewicach musiano wagon zmienić. W Piotrkowie pociąg był przyjęty inną kocią muzyką, a w Dąbrowie oprócz kociego koncertu na dworcu, stanęły dwie lokomotywy obok pociągu, wiozącego Muchanowa i gwizdały tak długo, aż pociąg ten ruszył z miejsca. We Wrocławiu studenci uniwersytetu urządzili jakąś niemiłą demonstracyę, a gdy towarzyszący dyrektorowi kuryer Lange zaczął ich upominać, rzucili się na niego i do krwi poturbowali [1]).

W kilka dni potem wybito okna w mieszkaniach Enocha i Abramowicza. Abramowicz, tak niegdyś straszny dla każdego Polaka i jako dawny oberpolicmajster czujący na sobie mnóstwo najrozmaitszych grzechów, stchórzył do tego stopnia, ze

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

noc całą spędził u komendanta miasta, a nazajutrz opuścił Warszawę, odprowadzany na równi z Muchanowem dźwiękami niesfornej muzyki. Do Teatru Rozmaitości wstawiono kompanię wojska. W dziedzińcu, pod samemi oknami opustoszałego pomieszkania dyrektora warszawskich teatrów, przesuwały się wąsate twarze rosyjskich żołnierzy, częstokroć odzianych w zupełnie lekki negliż; broń stała w kozłach, na sznurach suszyła się bielizna żołnierska.

Enochowi zaś ani w myśli postała jaka trwoga, najspokojniej kazał wprawić potłuczone szyby i ani na chwilę nie opuszczał mieszkania.

Wielu innym osobom w mieście wysłano także bezimienne wezwania, aby póki czas wynosiły się z kraju...

Wszystko to wyższe władze tolerowały i znosiły w nadziei, że wkrótce nietylko w Warszawie, ale i w całym kraju umysły się uspokoją i wróci dawny porządek, dozwalający opracować spokojnie projekty dalszych reform i wprowadzić je stopniowo w kraju.

Wszakże dla wszelkiego bezpieczeństwa książę Gorczakow prosił o przysłanie do Warszawy generała Chrulewa, człowieka z ustaloną wojskową reputacyą, jako jednego z bohaterów obrony Sewastopola. Cesarz uczynił zadosyć temu żądaniu, lecz żegnając Chrulewa, powiedział: „Masz, o ile można, unikać krwawych starć z ludem i dopiero po wyczerpaniu wszelkich możliwych środków uspokojenia tłumów, możesz użyć broni".

Stronnictwo umiarkowane także ze swej strony robiło co mogło w celu uspokojenia rozigranych umysłów i w tym celu *Kuryer Warszawski* w numerze 75 z dnia 20 marca 1861 r. umieścił następujący artykuł wstępny, napisany po wpływem jeśli nie samego Wielopolskiego, to ludzi podzielających jego zapatrywania:

„Przez zjednoczenie się w jedno bratnie koło, daliśmy dowód tej siły moralnej i tej dojrzałości,

która naprawdę cześć każdemu przynosi Lecz raz połączeni, nie powinniśmy na tem poprzestać; nam potrzeba i w przyszłości zjednoczyć się w jednych uczuciach, jednakich dążeniach, a odpychając pokuszenia mniejszości, słuchać jedynie głosu rozsądku iść za tą większością, która, przed wszelkimi innymi obowiązkami, na pierwszem miejscu stawia miłość ojczyzny".

„A zatem, hasłem każdego uczciwego człowieka i każdego dobrego i prawdziwego Polaka niech będzie spokój i tylko spokój"!

Tymczasem dochodzą nas głuche wieści, gotowe, na kształt wzburzonych fal morskich, zalać brzegi stałego lądu, które przejmują serca nasze obawą najsmutniejszych następstw".

„Mówimy tu o tych tłumanych zebraniach ludu, które, pod pokrywką modlitwy i procesyi, ukrywają właściwą swą nazwę ulicznych zbiegowisk, przezwanych teraz: „manifestacyami". Zatrzymajmy się i zastanówmy sumiennie nad tem, do czego to wszystko prowadzi? Oddawajmy cześć i chwałę Bogu w świątyniach, gdzie się wznoszą Jego ołtarze; chwalmy Go w domu, czy to pod ubogą strzechą włościańską, czy u warsztatu rzemieślnika, który był schronieniem świętej pracy Chrystusa; czcijmy Boga całem sercem i myślą, lecz nie nadużywajmy Jego świętego imienia na ulicach miasta, nie zasłaniajmy się Jego obrazami od ciosów, których i bez tego możemy uniknąć, a to tembardziej, że Kościół, święta Matka nasza, wcale podobnych czynów nie pochwala".

„Wiedzcie szanowni czytelnicy i bracia, że odzywa się do was głos wcale nie podszepnięty z boku, lecz pochodzący z głębi serca, głos naszego sumienia, którego nie możemy stłumić, jak skoro doszły nas podobne wieści".

„Zapiszmy odtąd w głębi duszy i na czołach naszych to święte hasło, że wszelki wróg porządku, szczególniej zaś spokoju publicznego, jest tem sa-

mem wrogiem ojczyzny, a wówczas żadne poduszczenia nie potrafią nas zwrócić z drogi, na którąśmy weszli kosztem największych ofiar".

„Mamy nadzieję, że to nasze braterskie odezwanie się trafi wam do przekonania, a nasze szczere i otwarte słowa wzbudzą u was zaufanie, na pozyskanie którego pracowaliśmy całe życie i za które gotowiśmy oddać wszystko".

Artykuł ten pióra popularnego i powszechnie lubianego redaktora *Kuryera* Karola Kucza, nie wywarł, co było do przewidzenia, żadnego wrażenia na manifestantów, ale za to przysporzył autorowi mnóstwo nieprzyjaciół i nieprzyjemności. W mieście szły sprawy tym samym trybem.

Wreszcie władza, chcąc choć cokolwiek opamiętać rozgorączkowane i wzburzone umysły i okazać dowodnie, że w każdej chwili może być ogłoszony stan oblężenia i zapanować represya, wydała rozporządzenie, ustanawiające w mieście cztery okręgi wojskowe, na czele których zostali postawieni wojenni naczelnicy z szerokim zakresem działania.

Naczelnikiem pierwszego okręgu, obejmującym 1 i 2 cyrkuły do cytadeli i część 11 do Trębackiej i Bednarskiej ulicy z pałacem Prymasowskim, Ratuszem i placem Teatralnym, został generał Chrulow, który przybył do Warszawy dnia 2 kwietnia.

W drugim okręgu, złożonym z 3, 4, 5 i 6 cyrkułu oraz gmachu Bankowego z przylegającym placem, został naczelnikiem generał-major Weselickij.

Do trzeciego okręgu, złożonego z reszty 7-go cyrkułu, 10-go i reszty 11-go cyrkułu, został naznaczony generał-porucznik Michnikow.

Wreszcie w czwartym okręgu, obejmującym 8 i 9 cyrkuły, generał-adjutant Merchielewicz.

Jednocześnie wysłał namiestnik na prowincyę generał-majora księcia Bebutowa z poleceniem rozwiązania powstałych w wielu miastach i miasteczkach samowolnych delegacyi na wzór warszawskiej.

Delegacya, zbierająca się ciągle w Resursie kupieckiej, zatrwożyła się temi zarządzeniami bardziej, niż ogłoszeniem z dnia 16 marca. Chciano robić jakieś przedstawienia prezesowi, lecz ten już wcale nie zważał na te gawędy.. nakoniec dnia 22 marca namiestnik wezwał do siebie: generała Lewińskiego, Kronenberga, Szlenkera i Rosena, i na ręce ich wyraził podziękowanie Delegacyi za oddane usługi, a zarazem oświadczył, że delegacya, jako taka, z dniem tym przestaje istnieć—tymczasem zaś, nim się wprowadzą nowe urządzenia, będzie ustanowiony przy magistracie wydział, złożony z 8 członków, któremu będą przysługiwały prawa rozwiązanej delegacyi.

Po skończonej audyencyi zaproszeni wrócili do resursy, dla oznajmienia reszcie członków delegacyi woli namiestnika; poczem delegacya raz jeszcze zebrała się w ratuszu i ułożyła memoryał, jak według jej zdania, należałoby rządzić krajem, oczekującym ważnych i doniosłych przeistoczeń, usposobienie którego znają lepiej, niż obecni i możliwi przyszli wielkorządcy.

Był to ostatni głos pożegnalny uchodzącej z widowni publicznej delegacyi. Na horyzoncie wschodziła gwiazda Wielopolskiego.

Nazajutrz we wszystkich dziennikach czytano, że „Delegacya na żądanie jej członków zostaje rozwiązaną; warszawski okręg naukowy i wydział spraw duchownych przy komisyi spraw wewnętrznych się znoszą; ustanawia się komisya wyznań i oświaty, w której na głównego dyrektora zostaje powołany Aleksander hr. Wielopolski margr. Gonząga Myszkowski".

Dawny program reform z niektóremi zmianami i dodatkami, zawarty w ośmiu paragrafach, powtórzono w dziennikach: *Gazecie Warszawskiej* nr 82; *Kuryerze Warszawskim* nr 81 i *Gazecie urzędowej Królestwa Polskiego* nr 75.

KSIĘGA III.

Wystąpienie Wielopolskiego.—Strzały kwietniowe — Śmierć Gorczakowa.—Od 27 marca do 8 czerwca 1861 r.

Rzadko się zdarzają w życiu ludzi takie nagłe wyniesienia się po nad poziom ogółu. Wczoraj jeszcze zwykły obywatel ziemski nad brzegami Nidy, nawet bez czynu [1]) obudził się naraz nad brzegami Wisły ministrem. Łatwo można było dostać zawrotu głowy, nawet głowie tak mocnej, jaka spoczywała na potężnych barkach margrabiego Aleksandra. Pojmował on doskonale, jakiemu wypadkowi, jakiemu niezwykłemu przewrotowi biegu w sprawach ludzkich, wreszcie jakim słabościom i brakom w rosyjskich rządach w Królestwie—zawdzięczał to swoje nagłe wyniesienie. Ale też równie dobrze wiedział, jak jest łatwo w Rosyi runąć i nie z takiej wysokości, i znów się znaleźć już nie nad brzegami

[1]) Dla rządu rosyjskiego. Rząd rewolucyjny 1831 r. mianował go radcą stanu, wyprawiając do Anglii. Nadto w czasie koronacyi Mikołaja I na króla polskiego 12 marca 1829 r., Wielopolski jednocześnie z Andrzejem hr. Zamoyskim, zostali mianowani szambelanami dworu Królestwa Polskiego. *(Lisicki.* A. Wielopolski, t. I, str. 16".

rodzinnej Nidy, ale nad brzegami jakiej innej, bardziej oddalonej rzeki. Łatwem było do przewidzenia, że nowego dygnitarza zaraz od pierwszej chwili otoczą zawiść i podejrzenie; że będą go bacznie śledzili nietylko w Warszawie, lecz i w Petersburgu. Przecież nie wszyscy Rosyanie zasnęli snem martwym, nie wszyscy oślepli i ogłupieli. Zawsze znajdą się tacy, co na wszystko pilnie baczą, znają dobrze przebieg i polskich i ruskich dziejów, umieją geografię i etnografiię, a zresztą znają zapewne i jego przeszłość ze wszelkiemi szczegółami.

Zważywszy to wszystko, należało koniecznie, stanąwszy na stanowisku uspokoiciela kraju w nadzwyczaj trudnych warunkach, oraz organizatora nowego systemu rządowego — a z czasem, być może, i zbawcy Polski, imię którego niezatartemi głoskami wyryje się w dziejach kraju — należało odrazu stłumić w sobie wszelkie polskie marzenia, zapomnieć, że istnieje na kuli ziemskiej jakaś Ruś i Litwa, lecz, przyzwawszy na pomoc siłę rozumu, doświadczenia i przezorności, ściśle ograniczyć swe działania do jednej tylko Kongresówki, i cokolwiekby dziać się miało wokoło, jakiekolwiekby pokusy i marzenia oblegały serce i głowę, nie zważając na możliwe krzyki i groźby z różnych stron, iść ściśle wytkniętą drogą i raczej paść trupem, niż na krok z niej zboczyć.

Taki był, w krótkich słowach streszczony, program działania nowego ministra. Dopytały się doń wkrótce wszystkie stronnictwa: konserwatyści i zwolennicy ruchu, biali i czewoni. Nagłe i niespodziewane w pierwszych dniach marca zjawienie się Margrabiego na Zamku, zwróciło uwagę całego miasta, szczególnie zaś białych, to jest Towarzystwa rolniczego. Wszyscy chcieli wiedzieć, co sprowadziło i co porabia na Zamku ten odludek z Chrobrza, tak rzadko widywany w Warszawie. Zaczęto szukać rozwiązania zagadki. Wielu członków Towarzystwa rolniczego znało się dobrze z Enochem. Jeden

z nich, uchodzący w całym kraju za człowieka nadzwyczaj rozumnego i zdolnego, będący do pewnego stopnia wyrocznią całej inteligencyi: Aleksander Kurtz, widząc się z Enochem w pierwszej połowie marca, rozpytywał go o wszystko, co go mogło obchodzić. Wracając z tej rozmowy, spotkał się z autorem *Aspiracyi politycznych narodu polskiego* i powiedział: „Wracam od Enocha, Wielopolski targuje się z księciem Gorczakowem o zajęcie jakiego stanowiska i urzeczywistnienie swego programu działania, czegoś w rodzaju *Listu polskiego szlachcica do księcia Metternicha.* A to prawdziwe nieszczęście. Margrabia nie zna kraju i sam utonie i nas pociągnie za sobą!—(*Aspiracye polityczne*, str. 222).

Słowa te szybko rozniosły się po mieście. Zanim się jeszcze jakiekolwiek działanie Wielopolskiego rozpoczęło, wartość jego już zawczasu przesądzoną została. Sąd swój wyrzekli marzyciele różnego wieku i stanu, przepełnieni nadziejami, które się nigdy spełnić nie miały, ani mogły. On się spodziewał wyprowadzić ojczyznę z błędnych marzeń i przygotować na drogę ocalenia, obdarzyć kraj reformami a jemu już w pierwszej chwili najlepsi ludzie w kraju zaczynali stawiać przeszkody...

Dnia 27 marca, w środę przed Wielkanocą, Wielopolski, rozpocząwszy urzędowanie, przyjmował w sali posiedzeń warszawskiego okręgu szkolnego, urzędników swego ministerstwa. Trzymając w ręku, według swego zwyczaju, małą kartkę papieru z notatkami tego, co miał powiedzieć, przemówił do nich w te słowa:

„Panowie!

Witam was, współpracowników, witam urzędników nie okręgu naukowego warszawskiego lecz przywróconej komisyi wyznań i oświecenia. Zmiana ta nazwy — głębszą zmianę rzeczy oznacza. Przez nią monarcha, sprawę dla narodu najważniejszą, sprawę

wiary jego i oświaty, znowu jak dawniej, na łono kraju zwraca.

Obecne zejście się nasze jako kolegów, jest pierwszem ziszczeniem reform łaskawie nam zapewnionych, a ta w nas i przez nas dokonać się mająca zmiana, jest podstawą innych ulepszeń: bo na cóżby one się wszystkie przydały, gdybyśmy nie pracowali nad ukształceniem młodego pokolenia na obywateli zdolnych do udziału w tych poprawach.

Praca nasza jest ważną i trudną. Reorganizacya zupełna szkół, uzupełnienie wydziałów szkoły głównej po latach tylu nie małem jest zadaniem. Aby mu z Bożą pomocą podołać, podajmy sobie ręce".

Tak tedy uprzejmie obszedł się nowy minister z przedstawiającymi się mu urzędnikami po swojej instalacyi.

Następnie oczekiwał drugiej połowy swych podwładnych: duchowieństwa. To się nie śpieszyło, bardzo być może wskutek nawału pracy przy wielkim tygodniu, a może z rozmysłu zwlekało swe spotkanie z nowym swym zwierzchnikiem aż po Wielkiejnocy. Był to rzadki, demonstracyjny wielki tydzień, wszędzie księża upominali wiernych „o ciężkich mękach, które się zakończą zmartwychwstaniem pełnem chwały, na wstyd i hańbę wrogów". Pięć ofiar lutowych, porównywano do pięciu ran Chrystusa Pana, przyczem słowo „pięć" zawsze się wymawiało z naciskiem i pisało rozstawionemi literami. *Kuryer Warszawski* z 1861 r. №№ 78, 79, 83, 84 i 85. *Giller* w „Historyi powstania 1861—1864 r.", tom I, str. 247 wyraźnie powiada: „Pięć ofiar, jak pięć ran Chrystusowych, naród poniósł do grobu".

Zwierzchnik tymczasem rozpatrywał się w ogólnem położeniu spraw w Warszawie i w kraju, a czem się więcej wpatrywał, tem cięższa zaduma osiadała na jego czole. Wszystko, na co patrzył, nie mogło go cieszyć. Wszystko wokoło czerwieniało. Tak zwani biali czyli konserwatyści, przemawiali jak dzie-

ciaki. Spotkaliśmy się już z orzeczeniem wyroczni białych, a cóż dopiero myśleli i mówili zwykli śmiertelnicy. Zadziwiające zdobycze Wielopolskiego, dokonane tak nagle i niaspodzianie, przerażające niektórych Rosyan, a nawet sam rząd napełniające obawą, dla tych dorosłych dzieci nic nie znaczyły, gdyż rozciągały się tylko na Królestwo, nie tykając Litwy i Rusi! Swawolne i nieopatrzne dzieci rwały się za tę granicę ustępstw rządowych, nie bacząc, że po za nią następowała zguba i zniszczenie wszystkiego, co się uzyskało, że krew się lała... pieściły swe niedościgłe ideały, zwąc je „politycznemi aspiracyami narodu polskiego". Chcieli, ażeby zwycięski i szczęśliwy ich zastępca odkrył przed nimi najtajniejsze zakątki swych myśli, — żądali, aby pokazał im—jak w zwierciadle czarnoksięskiem, że tam na dnie duszy, jak na dnie morskiem, leży głęboko ukryty gotowy już plan oswobodzenia Litwy i Rusi. Na biurkach konserwatystów obok różnych pism zabronionych, spotykało się już i tymczasowy plan powstania, przypisywany Mierosławskiemu, w którym była mowa o konieczności zjednoczenia wszystkich stanów, o dobrowolnem uwolnieniu i uwłaszczeniu włościan, o pozyskaniu sympatyi w Europie i o najśpieszniejszych przygotowaniach do podjęcia walki zbrojnej z Rosyą (Patrz dodatek 16. *Traugut* tak się o tem wyrażał: „Broszura kursująca jako programat rewolucyjny Mierosławskiego, nie miała nic wspólnego z powstaniem naszem, a nawet nie jest mi wiadomem, czy pochodzi rzeczywiście z pod pióra Mierosławskiego"). Bardzo być może, że wielu spokojnych obywateli czytało to pisemko jedynie przez prostą ciekawość; lecz to pewna, że mało rzeczy z równą ciekawością czytano.

Kogóż miał przyzwać do pomocy nowy minister? Grunt, na którym jedynie mógł i obowiązany był pracować, z dniem każdym z pod nóg się mu usuwał. Postanowione rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego jeszcze bardziej musiało zwiększyć trudno

ści, odsunąć jeszcze bardziej białych od rządu i dlatego to minister wahał się czas jakiś z wydaniem odnośnego rozporządzenia, czuł jednak, że prędzej czy później będzie musiał to uczynić. Jako Polak, jako patryota, nie mógł nie uznawać, że na śmierć skazane Towarzystwo jest wielką i dobroczynną dla kraju instytucyą, nie łatwo, z wielkim trudem i zabiegami uzyskaną w chwili wyjątkowo szczęśliwej, która się już może nie powtórzyć; że w innych okolicznościach Towarzystwo to może oddać Polsce ogromne usługi. A jeśli ta chwila i to „może" niezadługo nastąpi?... Wszystko to skłaniało, tego wogóle stanowczego i wcale nie czułostkowego człowieka, do powolności, ręka wahała się podpisać rozkaz, rozpędzający jego współbraci, między którymi tylu było ludzi, zasługujących na wszechstronne poważanie i względy.

Naraz Towarzystwo samo zepsuło sprawę i przyśpieszyło rozwiązanie. Dnia 20-go marca, zaraz po okólniku Muchanowa z dnia 18 marca, Towarzystwo, jak jaka władza niezależna od namiestnika, rozesłało półsekretny cyrkularz do wiejskiego duchowieństwa, prosząc: „o wytłomaczenie nieoświeconym włościanom, w jaki sposób najłatwiej i najprędzej mogą przyjść do własności tej ziemi, na której siedzą". Duchowieństwo poszło dalej i wyjaśnienia, przesłane przez Towarzystwo Rolnicze, w wielu miejscach wyłożono w duchu zapatrywań partyi czerwonej. (*Le marquis Wielopolski*, t. II, str. 169). Namiestnik, dowiedziawszy się o tym kroku Towarzystwa, zdał je na łaskę i niełaskę Wielopolskiego. Ten wszakże, nim przystąpił do stanowczego kroku, chciał jeszcze popróbować zbliżenia, jeżeli już nie z samem Towarzystwem, to przynajmniej ze stronnictwem białych, którego wodzem był i pozostanie hr. Andrzej, a które jeszcze przez czas dłuższy będzie rządowi potrzebne. Przemógłszy więc znaną swą dumę, zdecydował się na zrobienie pierwszego kroku, i kiedy miastowe plotki, rozpuszczone

może przez czerwonych, powtarzały jakoby wypowiedziane przez Margrabiego słowa, o niemożności zbliżenia się z prezesem Towarzystwa Rolniczego: „mnie nie tak łatwo się ruszyć, za gruby jestem, hr. Andrzej szczuplejszy odemnie" — w tym samym czasie, on, tradycyjny antagonista rodziny Zamoyskich, pierwszy przestępował próg ich domu.

Był to pierwszy dzień Wielkiejnocy, 31 marca; chwila ułatwiająca zbliżenie. Na święcone można przybyć bez zaproszenia, byle się było znajomym, a Wielopolski nie raz bywał gościem w Klemensowie. W Warszawie zbierało się u hrabiego Andrzeja na święconem całe miasto. Zjawienie się więc osoby choć cokolwiek znanej, nie dziwiło nikogo. Gospodarz prawie nie zważał, kto mu się przesuwał przed oczami, wszystkim się kłaniał, podawał rękę, uśmiechał, z innymi dzielił się święconem jajem. Margrabia, witając się jak umiał najuprzejmiej z gospodarzem, powiedział: — *Monsieur le comte, j'ai tenu à joindre mes hommages et mes voeux à ceux de tout le monde: j'espère que désormais nous allons travailler de concert pour le bien du pays...* — Alleluja, Alleluja! — odpowiedział zimno gospodarz. (*Le marquis Wielopolski*, tom, II, str. 180).

Zajście to wywołało różne gawędy w mieście. Ponieważ powszechnie spostrzeżono, że nietylko gospodarz z gościem nie zbliżyli się jak przystało, lecz owszem, widocznem było, że Zamoyski nierad był tej wizycie, mówił urywkowo, często się zamyślał, więc wszyscy pragnący tego zbliżenia, chcieli raz jeszcze doprowadzić do spotkania na neutralnym, u wspólnych znajomych, gruncie i tam pod pewnym naciskiem doprowadzić do istotnego zbliżenia się i porozumienia. Spotkanie to urządzono w poniedziałek, dnia 1 kwietnia, w powszechnie poważanym domu Łuszczewskich, rodziców Deotymy.

Przeciwnicy nic nie wiedzieli o spisku. Zamoyski przypadkiem przybył pierwszy i, oczekując zaproszenia na święcone, przechadzał się z kimś po

salonie. Wtem drzwi się ponownie otwarły i na progu stanęła ogromna postać Wielopolskiego. Zamoyski, spostrzegłszy go, słowa nie wyrzekł do nikogo, lecz natychmiast wyjechał. (Z opowiadań Kraszewskiego, obecnego przy tej scenie). Margrabia nie mógł się spodziewać czegoś podobnego: chłód i obojętność u siebie, rażąca niegrzeczność i wstręt do jakiegokolwiek zbliżenia, jawnie okazane w domu wspólnych przyjaciół, z podeptaniem najzwyklejszych prawideł przyzwoitości; można sobie wyobrazić, co myślał i w jakiem usposobieniu wracał ten człowiek ze świątecznej wizyty do domu...

Nazajutrz, dnia 2 kwietnia, w tej samej sali kuratoryi zebrało się miejscowe duchowieństwo dla powitania nowego zwierzchnika. Minister wyszedł ze zwykłym papierkiem i po krótkiem powitaniu przemówił:

„Dostojny Księże Biskupie,
Szanowni Prałaci i Ojcowie!

W obecnem tu duchowieństwie, rzymsko-katolickiem i unickiem, pozdrawiam dzisiaj, zwiastunów pokoju.

Otworzoną w społeczeństwie w naszych czasach przepaść, silne ramię Opatrzności zamykać poczyna, a po dniach żałości nastaje pociecha, oby i wesele.

I gdzież teraz mniej może być powodów żalu, jak wśród duchowieństwa? Czujecie to z nami, a jako doświadczeńsi lepiej od nas, czem nas obdarzył monarcha, ustanawiając osobną dla spraw duchownych władzę w kraju i dawnym zwyczajem powołując pasterzy kraju do rady krajowej.

Kościołowi rzymsko-katolickiemu należy się szczególna moja względność; pamiętać mi o tem łatwiej, że wiara katolicka jest moją i ojców moich wiarą. Lecz tę moją życzliwość dla Kościoła potrafię utrzymać na wodzy. Tak jest, dostojny księże Biskupie, szanowni Prałaci i Ojcowie. Jestem

dyrektorem władzy, opiekującej się wszystkiemi wyznaniami w połączeniu z oświeceniem; nie zboczę więc z toru prawdziwej tolerancyi, jednego z wielkich nabytków wieku.

Jestem członkiem rządu Najjaśniejszego Pana: nigdzie, a tembardziej w moim zakresie, rządów żadnych w rządzie nie uznam; z pod ustaw nadanych nikomu samowolnie wyłamywać się nie dam; wszakże wszelkie zażalenia chętnem uchem wysłucham, a jeśli będą uzasadnione, wedle mocy albo im zaradzę, albo wyżej do łaskawego zaradzenia przedstawię.

Potrzeby kościołów i osób duchownych stale mieć będę na pieczy. Ufam Waszej mądrości i umiarkowaniu; Wy zaś, szanowni Panowie, dobrym moim chęciom zaufajcie".

Wysłuchawszy tej mowy, nadzwyczaj zdumieli się księża, nie spodziewając się bynajmniej podobnego przyjęcia od nowego zwierzchnika. Mniemali, że zawaha się on wystąpić ostro przeciw sile, jaką w kraju reprezentowali; to też zaraz, od tej chwili odwet został postanowiony.

Ku wieczorowi, już po wszystkich ogródkach i bawaryach szeroko rozprawiano nad mową Wielopolskiego do duchowieństwa, a sądząc ją ostro, dodawano najrozmaitsze komentarze, zręcznie dorabiane.

Przeważnie podnoszono: „Widzisz, jaka duma, on tylko dlatego pamięta o wierze katolickiej, że to jego i jego ojców wiara! A gdyby ona nie była jego wiarą?"—Zarzut ten jeszcze do dziś dnia powtarzają.

Wtedy także ukazała się fotografia, przedstawiająca margrabiego w fotelu, z groźną twarzą, z pięścią na stole i podpisem: „Rządów w rządzie nie ścierpię". Postawa i wzrok typowo były oddane.

Powiedzenie to, zkądinąd tak proste i naturalne, obleciało świat cały i stanęło obok wizerunków zgruchotanego krzyża i pięciu ofiar. Artyści nabrali już biegłości i wprawy.

W parę dni później, 4 kwietnia, przedstawiali się ministrowi: dozór bożniczy okręgów warszawskich, komitet głównej synagogi, oraz deputacya Żydów z miasteczka Pinczowa (majątku Wielopolskiego).

I o nich także wiedział coś niecoś J. W. Dyrektor; lecz czy ich za mniej niebezpiecznych uważał, czy może na przekór własnemu duchowieństwu, okazał się dla nich nader uprzejmym i łaskawym, podał nawet rękę starszemu rabinowi, Majzelsowi, popularnemu i gorliwemu przedstawicielowi polskich Żydów w delegacyi miejskiej po wypadkach 27 lutego.

I tu była przemowa: „Panowie! wdzięczny wam jestem za okazaną mi ufność, której nowy, zaszczytny dla mnie dowód, w pismach publicznych wczoraj wyczytałem.

„Dążenia nasze ku usunięciu, na drodze zawsze ściśle legalnej, rozmaitych względem was wyłączeń, życzę szczerze, aby skutek odniosły, a życzę jako zwierzchnik nad wyznaniami, którego zasadą jest zdrowa tolerancya, i jako prawnik.

„Wiadomo panom, iż jestem zwolennikiem prawodawstwa cywilnego, które od pół wieku stanowi ogniwo, spajające narodowość naszą z europejską cywilizacyą. Duchowi tego kodeksu obce są ustawy wyjątkowe, obce wyłączenia przed prawem cywilnem. Nie miejcie panowie obawy, ażebym podzielał zdanie tych, którzy wam radzą i za warunek kładą, byście przestali być tem, czem głównie jesteście i, schodząc z drogi przemysłu, handlu i połączonych z tem zajęć, zaprzęgli się do pługa. Szanowne jest powołanie rolnicze, w którem pragnę, abyście i wy udział mieli; ja sam z zawodu jestem rolnikiem; lecz rolników, moi panowie, mamy zawsze podostatkiem; naszemu zaś krajowi zbywało na poważnym, tak zwanym trzecim stanie, zaród którego

przez Opatrzność w was złożony, wskutek nieuznania, marnieje.

„Wspólnych więc starań dołóżmy, ażeby ten zaród ożywić i rozwinąć.

W tem jest społeczna wasza godność. Będzie to zależało w znacznej mierze od waszej przezorności i roztropności. Przymioty te od dawna was cechują, oby się stały wspólnym udziałem nas wszystkich".

(Z powodu tego przyjęcia Żydów kursowała następująca anegdota. Wielopolski zapytał Majzelsa, rozmawiającego z nim po niemiecku: „Proszę, powiedz mi kochany Majzelsie, dlaczego wy zawsze lewą rękę podajecie? *Wir können nicht anders machen, da wir keine Rechte haben.* Później jeden z rosyjskich dygnitarzy miał temu samemu Majzelsowi powiedzieć: „Za to teraz macie obie ręce prawe").

Ta mowa, tak różniąca się od tej, którą minister powitał swoje własne duchowieństwo, do reszty oburzyła księży, szczególniej czerwonych. Wkrótce też potem, wśród mnóstwa rozmaitych bezimiennych paszkwilów i pism obelżywych, odebrał Wielopolski pismo, pochodzące jakoby „od całego duchowieństwa katolickiego w Polsce", noszące datę 4 kwietnia 1861 r. treści następującej:

Panie Dyrektorze!

Mowa Pańska do przedstawiającego się Panu dnia 2-go kwietnia duchowieństwa katolickiego, zdumiała wszystkich i serca goryczą napełniła. Wszyscy katoliccy kapłani Polski widzą w niej groźby, niewiadomo czem spowodowane, oraz nieuszanowanie ich stanu, niczem niezasłużone. Czują się więc w świętym i koniecznym dla siebie obowiązku zaprotestowania przeciw temu, co w niej znajdują obrażającego dla ich sumienia, poniżającego dla ich godności.

Ta mowa nosi przedewszystkiem na sobie piętno niezwykłej jakiejś surowości, czegoś niezmiernie

ostrego i rozkazującego, do czegośmy zgoła nie przywykli i na cośmy wcale nie zasłużyli, czego, zresztą, w odezwaniu się pana Dyrektora do przedstawicieli innych wyznań dostrzedz nie można było. Dalej słyszeć się dają zarzuty, że naruszamy prawo przez Kościół ustanowione, aluzye do jakichś zajść i sporów z władzą, która pana Dyrektora poprzedzała. Wszystko to mowa groźnie potępia, i być może, że jest w tem nieco i prawdy. Ale te naruszenia istniejących przepisów nie były niczem innem jak tylko gorzką i ciężką próbą zapobieżenia zgubnym następstwom rozporządzeń władzy, które miały na celu niechybną demoralizacyę i zepsucie naszego narodu, o czem się pan Dyrektor przekonać potrafi, rozpatrzywszy się bliżej w archiwach. Te zaś spory i zajścia z władzą były jedynie trzydziestoletnią krwawą walką z gwałtem, dążącym do zagłady w kraju świętej wiary naszej i narodowości; do zespolenia nas z narodem, obcym dla nas pod względem religii, uczuć i oświaty. Podobna walka dumę naszą podnosi, czyni nam zaszczyt i wzmacnia w nas zarazem siłę i przekonanie, że wytrwać musimy do końca. Wątpimy, aby pan Dyrektor, jako Polak i katolik, który się powołujesz na swych przodków, również Polaków i katolików, abyś Pan miał prawo ganić nas za podobne czyny, za podobne naruszanie przepisów, i rzucać na nas kamieniem.

Co do ustępu, w którym pan Dyrektor powiadasz, że rządów w rządzie nie uznajesz, my go dokładnie nie rozumiemy. Czy on znaczy, że pan Dyrektor ogłaszasz się przeciwnikiem tych narodowych i samoistnych żądań, które mają na celu wybawić nas od zupełnego rozkładu, i dać nam możność rozpoczęcia i prowadzenia walki z tem wszystkiem, co tylko naszej wierze i naszej narodowości zagraża? Czyli też ma znaczyć, że pan Dyrektor, stosownie do widoków rządowych, chciałbyś przekształcić wyższych dygnitarzy stanu duchownego w urzędników własnej kancelaryi, nas zaś w ślepe narzę-

dzia, posłuszne wszechmocnej woli rządu w każdym wypadku? Panie Dyrektorze! Mąż, który przedtem władzę Pańską piastował, te same miał względem nas zamiary, ale zabrakło mu odwagi wypowiedzieć je wobec całego kraju, wobec całego świata cywilizowanego. Pan zaś, panie Dyrektorze, pod tym względem zamyślasz go uzupełnić, i jako Polak katolik, wobec zmartwychwstającej ojczyzny, wobec łez jeszcze nie oschłych, krwi lejącej się i ran niezagojonych, wobec trzydziestoletniej walki za to, co dla nas jest najdroższem w świecie, grozisz nam pan, w imieniu rządu najmiłościwszego cesarza, dopełnić to, czego poprzednik Pański dokonać nie mógł. Podobne postępowanie odpowiada zapewne widokom rządu, ale sprzecznem jest z najświętszym interesem ojczyzny naszej, oraz z dawnemi tradycyami naszego historycznego rozwoju, czego niepodobna żebyś pan Dyrektor nie czuł także w głębi duszy swojej.

Na tej drodze napotkasz, panie Dyrektorze, taką samą opozycyę, taką gotowość do naruszenia ustanowionych przepisów, na jakie natrafił twój poprzednik. Z jednej strony wystąpi pan Dyrektor, jako potomek starożytnego rodu polskiego, jako katolik i Polak, w obronie dążenia rządu do centralizacyi, która tak błogie skutki w sąsiedniem państwie wydaje z drugiej, wystąpi polskie duchowieństwo w imieniu Boga i zawsze odwieczna walka, pomimo nierówności sił, dotąd trwająca, za wiarę, za prawa, za wolność sumienia i swobody narodu! Zwycięstwo w ręku Boga, na Jego miłosierdziu z pokorą polegamy".

Pismo to było naturalnie dziełem partyi czerwonych; lecz ci, chcąc mu dodać więcej wagi i znaczenia, rozgłosili, że autorem pisma był jakoby biskup Dekert z kilku innymi dygnitarzami duchownymi, działającymi w imieniu całego duchowieństwa. Za granicą śledzono bacznie za wszystkiem, co się w Królestwie działo, i gdy zachodziła potrzeba,

każde zajście przedstawiano w odpowiedniem świetle. Otóż i cała sprawa pisma duchowieństwa do dyrektora komisyi spraw duchownych, znalazła gorliwych komentatorów.—Gazeta lwowska *Głos* w numerze 93 ogłosiła, że autorem pisma jest Dekert.

Wielopolski polecił urzędownie zapytać Dekerta, co znaczą te pogłoski, a gdy ten odpowiedział, że o niczem nie wie i że autorem pisma nie jest, zażądał publicznego zaprzeczenia wiadomości *Głosu*.— Dekert odmówił i to jeszcze bardziej utrwaliło rozszerzone pogłoski.

Wśród takiej to wrzawy rozpoczął Wielopolski swoją polityczno-administracyjną działalność. Dalecy jesteśmy od sądów surowych nad postępowaniem ministra w owym czasie; nie zaprzeczając w ogólności, że był zbyt drażliwym i często grzeszył brakiem taktu, musimy jednak uwzględnić i ogólne rozgorączkowanie i to z umysłu drażnienie człowieka, stojącego niejako wobec kwadratury koła, szukającego rozwiązania zadania tak trudnego i splątanego. Pamiętajmy i o tym potopie pism bezimiennych, przepełnionych groźbami i obelgami, i o tych spojrzeniach Polaków i Rosyan, nareszcie o tym ogólnym braku zaufania i o tej ciągłej walce, każdego dnia i każdej godziny. Trzebaby nie być człowiekiem, aby pozostać przez cały ten czas zupełnie spokojnym i żadnego błędu nie popełnić.

Minister już przedtem naradzał sie z różnemi osobami rządowemi w Warszawie, nad zamknięciem Tow. rolniczego.

Dnia 6 kwietnia, w sobotę wielkanocną, zdumiona Warszawa przeczytała we wszystkich dziennikach następujące ogłoszenie:

„W imieniu Jego C. Mości Najjaśniejszego Aleksandra II i t. d., i t. d. Rada administracyjna Królestwa Polskiego.

Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiem, ustanowione w jedynym celu podniesienia rolnictwa, przez postawę, jaką w ostatnich czasach wbrew swej

ustawie przybrało, dzisiejszym okolicznościom nie jest odpowiedne, z tego więc powodu, za szczególnem upoważnieniem Jego Cesarsko-Królewskiej Mości stanowi:

Artykuł 1. Towarzystwo rolnicze, ustanowione ukazem z dnia 12 (24) listopada 1857 roku, rozwiązuje się.

Artykuł 2. Komisya rządowa spraw wewnętrznych przedstawi do wyższego zatwierdzenia projekt urządzenia w różnych miejscach Królestwa komisyi rolniczych.

Artykuł 3. Remanent kasy Towarzystwa przeniesiony będzie jako depozyt do Banku polskiego, dla zwrotu komu z prawa należy.

Wykonanie niniejszego postanowienia, które ma być zamieszczone w *Dzienniku praw*, poleca się komisyi rządowej spraw wewnętrznych.

Podpisali: „Namiestnik, generał-adjutant książę Gorczakow; pełniący obowiązek dyrektora głównego, prezydującego w komisyi rządowej spraw wewnętrznych, generał-major Gecewicz; sekretarz stanu przy radzie administracyjnej, J. Karnicki“.

W mieście zapanowało ogólne wzburzenie.

Nie można powiedzieć, aby Towarzystwo rolnicze na bruku warszawskim, między czerwonymi posiadało wielką sympatyę i popularność. Wszystkim było wiadomo, jak więksi właściciele ziemscy, składający komitet Towarzystwa rolniczego, zapatrywali się na najważniejszą ówczesną kwestyę, zajmującą umysły wszystkich w Cesarstwie, na kwestyę, usamowolnienia włościan i na sposób, w jaki nimi rządzono.

Wiedziano także, jak większa część obywateli czas swój przepędza, na co idą pieniądze, ciężką pracą włościan zdobywane. Jeden tylko hr. Andrzej, dzięki swej prostocie i życzliwemu obejściu się z każdym bez różnicy, a także wskutek kilku patryotycznych przedsiębierstw i ofiar, posiadał prawdziwą popularność. Lecz i jemu zarzucano: że w sto-

sunku do włościan nie hołduje nowym zasadom, że uważa ich za bydło robocze, niemające prawa do swobody i do lepszego z nimi obejścia. Znane czytelnikom rokowania między czerwonymi a Towarzystwem rolniczem przed wypadkami 27 lutego i postanowienie komitetu Towarzystwa, tyczące usamowolnienia i uwłaszczenia włościan, wkrótce potem jeszcze bardziej odstręczyło od obywateli miasto, które już i bez tego coraz bardziej sympatyzowało ze stronnictwem czerwonem, wręcz obywatelstwu wiejskiemu przeciwnem. Zaszkodziło im także w opinii tłumu owo zażądanie od władzy siły zbrojnej w dniu 27 lutego. Pomimo usiłowań hr. Andrzeja Zamoyskiego i hr. Tomasza Potockiego odzyskać raz utraconej między ludem popularności nie mogli.

Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego naraz zmieniło usposobienie ludności. O hrabim Andrzeju zaczęto mówić jakby o poległym bohaterze, pełnym sił i przyszłości, któremu przeszkadzało jakieś fatum przeklęte. Przypisywano Wielopolskiemu rozwiązanie Towarzystwa wprost z uczucia zemsty: „przekreskowało go Towarzystwo, otóż i on je przekreskował i jeszcze jak zręcznie“. Czuwali też i czerwoni, aby wyzyskać tak dogodną sposobność do urządzenia manifestacyi. Na cóżby byli Frankowscy, Szachowscy, Nowakowscy!

Tej samej nocy z 6 na 7 kwietnia, „artyści“ umówili się o główne szczegóły manifestacyi, której treścią i pretekstem miał być „obchód żałobny po zmarłem Towarzystwie rolniczem oraz złożenie hr. Andrzejowi Zamoyskiemu, który tyle w niem położył zasług dla dobra ogółu, w dowód czci i uznania, olbrzymiego wieńca z nieśmiertelników“.

Chociaż żadnych ogłoszeń o manifestacyi nie było, wszelako tyle o niej wszędzie mówiono, że policya mogła z łatwością dowiedzieć się o najdrobniejszych szczegółach i niedopuścić nieporządku. Tego wszakże nie uczyniła. Nowi naczelnicy okręgowi, ani nie pomyśleli o jakichkolwiek krokach za-

pobiegawczych, nie widzieli nawet potrzeby uwiadomienia księcia Gorczakowa i zażądania od niego rozkazów. Wszyscy o wszystkiem wiedzieli i przygotowywali się do ciekawego widowiska.

Manifestacya odbyła się w następującym porządku. Z rana dnia 7 kwietnia, wyszły procesye, jedna z kościoła Kapucynów na Miodowej ulicy, druga z kościoła Bernardynów na Krakowskiem Przedmieściu. Na czele procesyi bernardyńskiej szedł Nowakowski z krzyżem w ręku, o którym mówiono ludowi, „że to ten sam, który zgruchotano dnia 27 lutego".

Obie procesye udały się na Powązki, gdzie już zgromadzono znaczny tłum ludu na grobie pięciu ofiar. Mogiłę zdobiły kwiaty i różne godła z orłami polskiemi; śpiewano pieśni narodowe, potem wszyscy tłumnie wracali do miasta, niosąc w ręku kwiaty i gałązki.

Około godziny 4-tej po południu cała ta masa ludu, zwiększona jeszcze ciekawymi z miasta, zatrzymała się przed gmachem Towarzystwa kredytowego ziemskiego na ulicy Erywańskiej, gdzie było biuro Towarzystwa rolniczego. Tłum wynosił do 10,000 ludzi, lecz wkrótce się zdwoił napływem ciekawych ze wszystkich ulic. Z Marszałkowskiej ulicy nadszedł także pochód, niosący gałązki i kwiaty oraz ogromny wieniec z napisem „Towarzystwu rolniczemu". Sam gmach, gdzie się mieściły biura Towarzystwa, ubrano kwiatami i girlandami. — Istniejący herb z orłem dwugłowym przykryto czarną krepą, a obok niego uroczyście zawieszono orła białego i wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, wśród hucznych oklasków i śpiewania hymnu: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko". Pod koniec zagrzmiała pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła!"—Słowem, znowu dziwne rzeczy, w rodzaju lutowych, dziać się zaczęły. Rząd, bynajmniej nie nauczony doświadczeniem, tak samo postępował, jak

i w owym czasie. Nietylko dozwolono tłumom gromadzić się i urość do liczby przeszło dwudziestu tysięcy ludzi, ale przez kilka godzin pozwolono mu robić, co się podobało. Nareszcie książę Gorczakow wysłał na miejsce zbiegowiska generał-gubernatora Paniutyna, gdy tłumy zalewały cały plac przed Towarzystwem kredytowem, oraz przyległe ulice: Erywańską, Królewską i Mazowiecką.—Generała Paniutyna lubiono w mieście, sądził więc namiestnik, że tłumy go posłuchają i rozejdą się.

Przybywszy na plac z jednym kozakiem, Paniutyn z łatwością dostał się aż do samego gmachu Towarzystwa. Kozaka wszakże nie puszczono, mówiąc: „panu generałowi nie potrzebna eskorta, między nami nic mu się złego nie stanie — niech żyje generał!“

Stanąwszy przed gmachem Towarzystwa kredytowego, gdzie obecni byli wszyscy przywódcy ruchu, generał zapytał łagodnie: „Co to wy tu robicie, moje dzieci?“

— Obchodzimy żałobne nabożeństwo po zmarłem Towarzystwie rolniczem.

— A te girlandy?

— Jest to pośmiertny dar, złożony na grobie według zwyczaju przodków naszych, od prowincyi: Mazowsza, Wołynia, Ukrainy, Podola i Litwy.

— A ten orzeł?

— To orzeł polski; Polacy zebrali się dla uczczenia zgasłego Towarzystwa polskiego, a więc i nasz polski orzeł jest tu potrzebny; waszego zasłoniliśmy, a na jego miejsce wznieśliśmy naszego.

— To wszystko, moje dzieci, zowie się nieporządkiem. Proszę was, jako wasz dobrze życzący przyjaciel, rozejdźcie się do domów, inaczej ściągniecie na siebie nieprzyjemności.

— Dobrze, rozejdźmy się! — rzekło kilka głosów, i po tych słowach część ludu istotnie ruszyła przez ulicę Mazowiecką, następnie Świętokrzyską i Nowy Świat przed pałac hr. Andrzeja Zamoyskie-

go Za nimi podążyła i reszta tłumu, jak tylko Paniutyn odjechał do Zamku dla zdania sprawy księciu o wyniku swoich układów z ludem [1]).

W pierwszych szeregach, tuż przy balkonie, trzymano ów, przez nas wspomniany, ogromny wieniec z nieśmiertelników. Zamoyski był w domu, jednak mimo okrzyków tłumów, zapełniających dziedziniec przed jego skromnem mieszkaniem, nie chciał, czy też nie ośmielał się wyjść na balkon, lecz tylko wysłał swego sekretarza Garbińskiego, aby podziękował przybyłym i przyjął od nich wieniec. Gdy jednak tłum nie przestawał wywoływać gospodarza, i on wreszcie był zniewolony wyjść... [2]).

Gdy się to działo, w Zamku wydano rozkaz wojsku, aby wystąpiło na plac, mniej więcej w takim samym porządku, jak 27 lutego. Od czasu rozpoczęcia się rozruchów, w Zamku stał zawsze batalion wojska. Oficerowie mieścili się w sali tronowej i tam obiadowali, dwie kompanie zajmowały bibliotekę i salę pod nią będącą. Jedna kompania kwaterowała w oranżeryi, czwarta zaś w różnych pokojach, jak wypadło. Był czas, że żołnierze biwakowali w sali kolumnowej na rozesłanej słomie.

W marcu i kwietniu 1861 roku pełniły służbę z kolei pierwszy i trzeci batalion Kostromskiego pułku piechoty i jeden batalion pułku Symbirskiego.

---

[1]) Spisano według rozmaitych pisanych i drukowanych źródeł, oraz z opowiadań osób prywatnych, Rosyan i Polaków, którzy byli naocznymi świadkami tej manifestacyi.

[2]) Zamoyski mieszkał w niewielkim domu, w głębi dziedzińca Pałac wraz z bocznemi skrzydłami stale był wynajmowany licznym lokatorom i miał przynosić do 30,000 rubli sr. rocznego dochodu. Obecnie skonfiskowany; mieści się tam klub rosyjski — Garbiński był także redaktorem *Roczników gospodarstwa krajowego*, które otrzymywali wszyscy członkowie Towarzystwa rolniczego. Umarł w Warszawie w listopadzie 1866 roku.

Gdy wydano rozkaz wystąpienia wojsku przed Zamek, generał Chrulew, jako wojenny naczelnik pierwszego okręgu miasta wraz z Zamkiem, uszykował rozwiniętym frontem od rogu Bernardyńskiego kościoła do trzeciej bramy zamkowej dwie kompanie piechoty z pierwszego batalionu Kostromskiego pułku, który dnia tego pełnił służbę. Na otrzymaną wiadomość, że na Senatorskiej ulicy zaczynają się gromadzić tłumy, generał wysłał jedną kompanię dla oczyszczenia tej ulicy, lecz kompania wróciła nic nie wskórawszy, gdyż tłumy zalegały już ulicę gęstą, nieprzebitą ścianą. Czwartą kompanię poprowadził osobiście przez Krakowskie Przedmieście ku gmachowi Towarzystwa kredytowego, lecz tam już nikogo nie zastał, białego orła już usunięto. Spotkane małe gromadki ludu, powiedziały generałowi że tłum ludu udał się do pałacu hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, aby ofiarować mu wieniec; zwrócił się więc i Chrulew w tamtą stronę, lecz i tam już nikogo nie znalazł. Tłum rozminął się z Chrulewem w ten sposób, że gdy generał prowadził wojsko przez Krakowskie Przedmieście i Plac Saski, tłum postępował Mazowiecką i Świętokrzyską ulicą, tak, że jedni drugich nie widzieli. Tymczasem tłum pociągnął przed Zamek i stanął naprzeciw wojska. Wśród prostego ludu dawało się widzieć wielu lepiej ubranych ludzi, a nawet i damy, należące do inteligencyi.

Książę Gorczakow, jak wiadomo, dał delegatom przyrzeczenie, że w razie jakiego zbiegowiska, sam osobiście wyjdzie do ludu. To też w istocie, gdy tłum się gromadził, książę w paltocie, z laską wyszedł przed wojsko, niedaleko Zjazdu i kilkakrotnie powtórzył: „Rozchodźcie się, rozchodźcie [1])“.

---

[1]) Szczegóły te i inne poniżej podane przez oficera Kostromskiego pułku p., pełniącego podówczas służbę z pierwszą kompanią. Od niego też pochodzą szczegóły o rozmieszczeniu wojsk w Zamku.

Na to odpowiedziano mu z tłumu: „Niech książe idzie do domu, my jesteśmy u siebie w domu". Dawały się słyszeć i mniej grzeczne wołania: „Wy rozchodźcie się kapuśniaki! Idź stary do domu, bo zimno; kataru dostaniesz! [1])"

Po takiem przywitaniu, namiestnik cofnął się za wojsko, a do tłumów wysłał generała Kotzebue, swego szefa sztabu. Ten, w towarzystwie kilku generałów i wyższych oficerów wjechał konno w tłum. Każdy, jak mógł po swojemu, począł namawiać lud do rozejścia się, lecz nikt ani myślał ruszyć się z miejsca. Gdzieniegdzie wznoszono żartobliwe okrzyki: „Niech żyje generał", w innych zaś miejscach przywitania podobne do tych, które spotykały księcia Gorczakowa. Młodzież, stojąca na przodzie, o parę kroków od wojska a nieraz i tuż obok, zapytywała oficerów:

— Powiedzcie z łaski swej, czego wy tu stoicie?

— Nam raczej wypada was o to zapytać, — odpowiadali oficerowie,—my byśmy tu nie przyszli, gdyby się was nie spodziewano od Towarzystwa kredytowego, gdzieście Bóg wie co wyrabiali.

— No, to odejdźcie wy i my sobie pójdziemy—odzywano się dalej z tłumu.

— To być nie może—mówili oficerowie.

— Więc i nam odejść niepodobna!

Niektórzy podawali cygara żołnierzom, a gdy ci odmawiali, mówiąc, że im nie wolno w szeregach palić, zwracali się do oficerów, mówiąc: „Panie poruczniku, pozwól pan palić biednym żołnierzom".

Scena ta z każdą chwilą stawała się bardziej drażliwą. Wojsko musiało użyć całej przysłowiowej cierpliwości i biernego posłuszeństwa rosyjskie-

---

[1]) Kapuśniaki, urągliwe przezwisko, dawane rosyjskim żołnierzom w Polsce, od ulubionego kapuśniaku pochodzące.

go żołnierza, by przenieść to wszystko z bohaterskim spokojem i nie rzucić się na tłumy, dla ukarania śmiałków. Wszakże, jakkolwiek nieruchomo stali żołnierze, dawały się spostrzegać oznaki rozdrażnienia, a nawet powstawało ciche szemranie, coś, jakby zwiastuny nadciągającej burzy.

Ludzie poważniejsi, widząc, na co się zanosi, i przewidując smutny koniec tych żartów, starali się wszelkimi sposobami skłonić tłum do rozejścia się. Lud naśmiewał się z nich głośno; wdali się w to delegaci, lecz i ci nic wskórać nie mogli. Tłum stał wciąż nieruchomy; zuchwalstwa i naśmiewanie się z wojska nie ustawały.

Raz koniecznie potrzeba było koniec temu położyć.

Zapewniają, że kilku wyższej rangi wojskowych nalegało na Gorczakowa, siedzącego z binoklami w oknie, aby polecił generałowi Chrulewowi użyć broni i rozproszyć zbiegowisko strzałami, i że książę z tym rozkazem wysłał swego adjutanta Meyendorfa, na co jakoby Chrulew miał odpowiedzieć adjutantowi: „Dam sobie radę i bez tego!" poczem, wjechawszy konno między tłum, zaczął z nim traktować. Z tłumu oświadczono generałowi, że jak długo wojska z placu nie zostaną ściągnięte, nikt się z miejsca nie ruszy. No dobrze, rzekł Chrulew, ja zwrócę na lewo, pamiętajcież i wy to samo uczynić! „Zgoda, zgoda", lecz zaledwie wojsko z miejsca ruszyło, rozległy się śmiech i oklaski. Wojsko zajęło napowrót dawne stanowisko.

Tymczasem ściemniało się zupełnie. Tylne szeregi wojska odprowadzono do Zamku, a gdy zauważono, że tłum rzednieć zaczyna, ściągnięto i resztę wojska. Na placu pozostały gdzieniegdzie kupki łobuzów, którzy krzyczeli, że nie odejdą, póki kozaków nie odwołają do Zamku. Ściągnięto i kozaków. Wtedy krzykacze, sformowawszy się w szereg, pociągnęli ku ogrodowi Saskiemu, śpiewając:

„Wygrana, wygrana!" co się przeciągnęło przez całą noc, przyczem polowano na kapelusze cylindrowe, zrzucając je przechodniom lub płaszcząc na głowach.

W Zamku oczywiście, nie spano. Powiadają, że namiestnik wymawiał generałowi Chrulewowi, że nie wykonał jego rozkazu użycia broni dla rozpędzenia zbiegowiska, Chrulew zaś jakoby miał się tłómaczyć instrukcyami, otrzymanemi przed odjazdem z Petersburga. Sądził, że potrzeba wyczerpać przedtem wszelkie możliwe środki łagodności, i bądź co bądź dopiął swego, bo tłumy się rozeszły. Naturalnie, nikt nie mógł zaręczyć, czy się nazajutrz zbiegowisko nie powtórzy; to też większość zebranych na naradę wojskowych radziła namiestnikowi zarządzić, co potrzeba, aby w danym razie bardziej stanowczo rozprawić się z rozzuchwalonym tłumem. Chrulew i inni żądali wydania zupełnie ścisłych rozkazów, w jakim razie i kiedy dowodzący wojskiem mieć będzie prawo strzelania lub wogóle użycia broni, a to dla usunięcia jakichkolwiek możliwych wątpliwości i uniknięcia odpowiedzialności.

Wskutek tych nalegań, tejże jeszcze nocy wydano następujące przepisy w formie postanowienia rady administracyjnej Królestwa Polskiego.

Na mocy ukazu Jego Ces. Król. Mości i t. d., i t. d. Rada administracyjna Królestwa Polskiego zważywszy, że powtarzające się tłumne zebrania naruszają spokój publiczny i stają na przeszkodzie swobodnemu rozwojowi instytucyi, przez Najjaśniejszego Pana Królestwu najmiłościwiej nadanych, z upoważnienia Najjaśniejszego Pana stanowi co następuje:

1. „Wszelkie zbiegowiska lub jakiebądź przez rząd nie upoważnione zebrania na ulicy lub na drodze publicznej są zakazane.

2. Gdy nastąpi zbiegowisko lub jakiebądź nieupoważnione zebranie na ulicy lub drodze publi-

cznej, prezydent, wójt gminny, burmistrz lub ich zastępcy: komisarz policyi lub inny urzędnik, uda się na miejsce zbiegowiska.

Uderzenie w bęben zapowie przybycie urzędnika. Urzędnik wezwie zgromadzone osoby, aby się rozeszły. Gdyby wezwanie to nie odniosło skutku, powtórzy wezwanie jeszcze dwa razy; przed każdym wezwaniem każe uderzyć w bęben. Po ostatniem wezwaniu, gdyby zbiegowisko dalej trwało, użyta będzie siła zbrojna [1]).

Siła zbrojna może być użytą po pierwszem lub drugiem wezwaniu, gdyby następne wezwania okazały się niemożliwemi.

3. Każdy, ktoby mimo wezwania nie ustąpił, będzie niezwłocznie zatrzymany i do jednej z fortec Królestwa odesłany, celem oddania go właściwym sądom.

4. Nieustępujący na pierwsze wezwanie będzie zamknięty w areszcie od ośmiu do dwudziestu dni; nieustępujący po drugiem uderzeniu w bęben podlega zamknięciu w domu poprawy od trzech do sześciu miesięcy; nakoniec, nie ustępujący po trzeciem wezwaniu skazany będzie na zamknięcie od sześciu miesięcy do dwóch lat.

Ktoby stawił jakikolwiek opór sile zbrojnej, skazanym będzie na więzienie w jednej z fortec Królestwa od lat trzech do pięciu.

5. Ktoby w jakikolwiek sposób namawiał do nieposłuszeństwa lub oporu, skazanym będzie na karę w dwójnasób większą, niż ci, którzy jego namowom ulegli.

---

[1]) Chrulew miał radzić, by w tem miejscu napisać wprost „będą strzelać“, lecz Gorczakow i inni bliżsi jego doradcy utrzymali redakcyę jak powyżej. Nieco później, a mianowicie dnia 29 czerwca 1861 roku, Chrulew uczynił to samo przedstawienie nowemu namiestnikowi, generałowi Suchozanetowi, lecz i ten na tę redakcyę się nie zgodził.

6. Wszelkie podbudzanie do zbiegowisk w § 1 zakazanych, czy to ustne, czy przez pisma lub druki, przylepiane lub rozdawane, ukaranem będzie zamknięciem w domu poprawy od sześciu miesięcy do dwóch lat. Tej samej karze ulegnie autor pisma, litografii, druku. Roznoszący lub rozlepiający ulegnie karze od ośmiu do dwudziestu dni aresztu.

7. Gdyby przy zbiegowisku inne jakie przestępstwa popełnione zostały, te oddzielnie w drodze prawa będą dochodzone.

8. W czasie często powtarzających się zbiegowisk lub zaburzeń w danej miejscowości, podżegacze takowych będą ujęci i osadzeni w jednej z fortec Królestwa, celem dalszego poszukiwania w drodze prawa.

9. Wykonanie niniejszego postanowienia, które ma być zamieszczonem w *Dzienniku praw*, poleca się dyrektorom, przewodniczącym w komisyach spraw wewnętrznych i sprawiedliwości".

Napisano nadto krótką odezwę do ludu i doręczono ją policyjnemu oficerowi Ojrzyńskiemu, który od lat przeszło 30 pełnił służbę w Zamku. Generał Chrulew, mieszkający wówczas na Zamku obok głównej strażnicy, zawezwał do siebie Ojrzyńskiego w nocy z 7 na 8 kwietnia i dał mu ustną instrukcyę, jak się ma nazajutrz zachować, jeśli lud zacznie się zgromadzać, jak ma wyjść z Zamku, w jakiej odległości stanąć od ludu i co ma mówić [1]).

Wcześnie zrana dnia 8 kwietnia, policya krzątała się po mieście, z rozdaniem postanowienia rady administracyjnej o zbiegowiskach. Przyklejano je na rogach ulic, rozdawano przechodniom, mało

---

[1]) Ogłoszenie w gazetach nastąpiło dopiero dnia 9 kwietnia z datą 8 z podpisami: namiestnika, J. K. Wołowskiego, pełniącego obowiązek głównego dyrektora prezydującego w komisyi sprawiedliwości i sekretarza stanu Karnickiego. Ogłoszenie wcześniej nie mogło nastąpić, gdyż dnia 8 kwietnia gazety nie wychodziły.

kto wszakże zwracał na nie uwagę. Miasto, rzec można, upojone było wczorajszą „wygraną," u wszystkich na myśli i na języku były tylko girlandy, orły polskie i ów zwrot „na lewo w tył" przez wojsko dokonany.

Gromadki pospólstwa snuły się już po ulicach, zanim jakiekolwiek rozporządzenie zostało ogłoszone. Chcąc w jakikolwiek bądź sposób zapobiedz rozejściu się tych garstek, przewódcy manifestacyi, chcący koniecznie powtórzenia wczorajszego widowiska, dali hasło udania się ku Powązkom w celu wzięcia udziału w pogrzebie obywatela Ksawerego Stobnickiego, niedawno przybyłego z Syberyi. W ówczesnym stanie rozbałamucenia umysłów i rozprożniaczenia ludności, mnóstwo zaraz ludu przyłączyło się do pogrzebu. Po dokonanej ceremonii tłum, jak zwykle, udał się na grób pięciu ofiar.

W tej samej chwili nauczyciele izraeliccy poprowadzili młodzież żydowską na cmentarz żydowskiej, tak zwany Kierkut, dla uczczenia pamięci byłego dyrektora szkoły rabinów, Eisenbauma, który przepowiadał zjednoczenie się wszystkich plemion i zlanie się Żydów z Polakami, krwią stwierdzone. Wielu Żydów poczytowało go za proroka.

Kierkut znajduje się w pobliżu cmentarza katolickiego na Powązkach. Tłumy modlące się na obu cmentarzach, spostrzegły się wzajemnie, wnet się połączyły i wśród łez przysięgano sobie miłość braterską i gotowość do wszelkich ofiar [1]). Następnie cały ten tłum Żydów i Polaków pociągnął do miasta, nie robiąc wszakże żadnych demonstracyi.

Tak przeszedł poranek, tłumy nie zaczepiane przez policyę, znudzone bezcelowem błąkaniem się po ulicach, zaczęły rzednąć i rozchodzić się po domach. Widząc to Nowakowski ze swymi pomocni-

---

[1]) *Aweyde* tom II, str. 39—40.

kami, zaczęli zbierać pozostałych przed posąg Matki Boskiej na Krakowskiem Przedmieściu i tam znowu się modlić, w oczekiwaniu, że może się co z tego wykluje.

Gdy drużyna Nowakowskiego, złożona, ma się rozumieć, z samych chrześcian, klęcząc przed figurą śpiewała rozpowszechnione podówczas pieśni, od strony poczty nadjechała pocztowa karetka, jadąca do Lublina. Pocztylion zamiast zwykłego sygnału, czy to z własnego popędu, czy też z czyjego polecenia, zatrąbił na nutę „Jeszcze Polska nie zginęła."

Zaledwie powóz zrównał się z modlącymi przed figurą Matki Boskiej, wnet tłum go otoczył i wśród głośnych okrzyków, odprowadzał aż do Zjazdu, gdzie od rana rozstawione było wojsko, a mianowicie: szwadron żandarmów, sotnia kubańskich kozaków, 1 i 2 kompanie symbirskiego i 10, 11 i 12 kompanie kostromskiego pułków piechoty.

Tłumy, nie dochodząc do wojska, tak jak wczoraj, zatrzymały się w pewnej odległości. Do nich zaczął się zbiegać lud z sąsiednich ulic. Już o pół do szóstej cały plac Zamkowy był zapełniony skupionym tłumem, stojącym w milczeniu. Porządniej ubranych w tłumie nie było wielu, kobiet bardzo mało, przeważnie zbiegowisko składało się z pospólstwa.

Oficerowi policyi Ojrzyńskiemu, polecono wyjść do tłumu z dwoma doboszami i oficerem jednego z pułków w Zamku zakwaterowanych. Stanąwszy w takiej odległości, ażeby dobrze mógł być słyszanym, kazał uderzyć w bęben i donośnym głosem wyrzekł:

„Z mocy prawa i rozporządzenia władzy, wzywam was, abyście się rozeszli, gdyż po bezskutecznem trzykrotnem wezwaniu, zostaniecie rozpędzeni siłą zbrojną" [1]).

[1]) Przy jednej ze spraw naczelnika 1-go okręgu są

Tłum odpowiedział na to gwizdaniem, śmiechem i łajaniem. Wielu groziło kijami. Jedna baba odwróciła się do wojska i podniosła spódnicę i to trzykrotnie powtarzała wśród śmiechu i oklasków motłochu. Stwierdzają to urzędowe dokumenta, zresztą powszechnie to sobie opowiadano.

Po dziesięciu minutach po raz drugi uderzono w bęben i Ojrzyński po raz drugi powtórzył wezwanie. Rezultat był ten sam: śmiech, gwizdanie i odgrażano się kijami. Gdy i trzecie wezwanie nie odniosło skutku, Ojrzyńskiego cofnięto do Zamku, plutonowi żandarmów zaś kazano szarżować kłusem na lud.

Tłum nieco się usunął po części na chodniki, częścią zaś w ulice Podwale i Senatorską.

Żandarmi zatrzymali się, przedzieleni od ludu ściekowemi kanałami przy chodnikach. Niektórzy z młodzieży, stojąc na chodnikach, wywijali kijami przed końmi, które się płoszyły, wspinały i zawracały. Inni znów chwytali za cugle od munsztuków i silnem szarpnięciem osadzali konie na kolana, co wywoływało śmiechy i szyderstwa otaczających. Tak przeszło pół godziny, zbiegowisko zaś widocznie wzrastało; ogromne fale ludu zaległy Krakowskie Przedmieście, Podwale, Senatorską i Świętojańską ulicę. Na Podwalu zaczęto wznosić barykadę z dorożek.

Oczywiście, że rzeczy w tym stanie pozostać nie mogły. Generał Chrulew rozkazał żandarmom dobyć pałaszy i płazować lud.

Pierwszy pluton żandarmów, stojący wprost ulic: Senatorskiej i Podwala, wykonał cztery szarże; drugi zaś pluton, stojący wzdłuż chodnika od

---

w dwóch egzemplarzach wązkie karteczki, na których wezwanie to po polsku jest drukowane. Ojrzyński mieszkał w Zamku i zwykle przebywał pod pierwszą arkadą głównych wrót, tak, że bez jego wiedzy nikt zgoła nie mógł wejść do Zamku.

kolumny Zygmuntowskiej ku kamienicy Resslera na Krakowskiem Przedmieściu, szarżował dwa razy, co wszystko wszakże nie odniosło prawie żadnego skutku. Lud rozstępował się przed szarżującymi a potem skupiał się na nowo. Zaczęto wydobywać kamienie z bruku i rzucać na żandarmów, wskutek czego dwóch oficerów i dziewięciu żołnierzy poniosło silne obrażenia. Nieco później raniono jeszcze trzydziestu żołnierzy [1]). Wtedy generał Chrulew cofnął żandarmów i wysunął naprzód dziesiątą kompanię liniową kostromskiego pułku piechoty i pierwszą kompanię strzelców symbirskiego pułku piechoty, i kazał żołnierzom broń nabić. Gdy to się działo, oficerowie zaczęli namawiać lud do rozejścia się, przekładając, że żartować nie będą, że broń nabita ostremi ładunkami. Wszystkie atoli przestrogi spełzły na niczem.

Spróbowano jeszcze uderzyć kolbami, tłum wprawdzie cofnął się, miejscami nawet zupełnie się cofnął w ulice, lecz jak tylko żołnierze cofnęli się do szeregów, lud znów powracał, wykrzykując drwiąco i ciskając kamieniami.

Widząc to, Chrulew podjechał do okna, w którym siedział namiestnik i rzekł: „Ja każę strzelać!" Książę Gorczakow skinął głową...

Wtedy wystąpiły naprzód pierwsze plutony stojących dwóch kompanii piechoty, symbirskiego pułku piechoty naprzeciw Podwala, kostromskiego pułku piechoty naprzeciw Krakowskiego Przedmieścia i strzeliły po razu.

Lud rzucił się w boczne przecznice i w bramy

---

[1]) W tym samym czasie na ulicy Bednarskiej lud schwytał i zbił okrutnie kozaka Małachowa i artelszczyka Fiedorowa. Kozak jeszcze tego samego dnia umarł. Wszystkie szczegóły o działaniach wojska, zaczerpnięte przeważnie z aktów naczelnika pierwszego okręgu miasta Warszawy, od marca do sierpnia 1861 roku.

domów; wkrótce atoli powrócił, łżąc wojsko i spiesznie unosząc rannych i zabitych.

Kazano wystąpić 12-stej kompanii kostromskiego pułku naprzeciw Senatorskiej ulicy, 11-sta zaś kompania tego pułku stanęła naprzeciw ulicy Piwnej i św. Jana.

Zaledwie wojsko zajęło wskazane miejsca i broń nabiło, od kościoła Bernardynów rozległy się śpiewy i wysunęła się procesya, prowadzona przez Nowakowskiego z krzyżem w ręku. Nastąpiła powszechna cisza, śpiew dobitnie rozlegał się w powietrzu.

— Istni Hugonoci!—rzekł ktoś z otoczenia do księcia Gorczakowa.

— Prawda!—odpowiedział książę.

Procesya coraz bardziej zbliżała się do Zamku, Nowakowski uroczyście intonował „Święty Boże! Święty mocny, Święty a Nieśmiertelny! .." Chrulew przez chwilę przypatrywał się tej scenie, nakoniec kazał żołnierzom schwytać człowieka niosącego krzyż i przyprowadzić go do Zamku. W jednej chwili poskoczyło kilku żołnierzy z pierwszych szeregów wojska. Zmiarkowawszy niebezpieczeństwo, Nowakowski z wściekłością zaczął się bronić krzyżem i zupełnie go zgruchotał o karabiny, mimo to schwytany został przez pięciu żołnierzy, a gdy się ciągle opierał, zaniesiony na ręku do Zamku, następnie został wysłany i osadzony w twierdzy w Modlinie.

Dodać tu należy, że w tym wypadku krzyż istotnie pogruchotanym został, lecz czy to z powodu zbytecznego powtarzania, czyli, że chwila była nieodpowiednią, faktu tego wcale nie podniesiono. Opowiadano tylko, że Nowakowski poddając się, wręczył krzyż jakiemuś młodemu człowiekowi, który go tak długo nad głową trzymał, aż padł przebity lancą kozacką. Dla tem większego wrażenia, mówiono, że to był Żyd. W urzędowem sprawozdaniu niema wzmianki o użyciu pik przez koza-

ków.—Przez cały czas, gdy go nieśli żołnierze, szamotał się i ochrypłym z wysiłku głosem śpiewał: „Święty Boże, Święty mocny...“

Procesya, straciwszy wodza, stanęła. Część zlała się z tłumem, zalegającym Krakowskie Przedmieście, inni zaś przedostali się przechodnią kamienicą Resslera na ulicę Senatorską i Podwale, tam ukląkłszy hymny śpiewać poczęli.

Wyczerpawszy wobec skupionych tłumów wszelkie środki upomnień i przekonania, generał Chrulew nakazał wojsku rozpocząć strzelanie. W ulice: Krakowskie Przedmieście i Podwale, dano po dwa strzały plutonowe, wzdłuż zaś ulicy Senatorskiej w kwadrans jeden po drugim dano aż pięć strzałów. Puszczono kilka pojedynczych strzałów na ulicę Mariensztadzką, gdzie zebrała się ciżba wrzeszczących Żydów.

Ostatni raz strzelono w ulicę Piwną, na ulicę św. Jana nie strzelano wcale [1]).

W tej samej chwili widziano, jak ku Zamkowi przeciskała się powoli wśród tłumów kareta z drem Chałubińskim na koźle obok furmana. Był to Wielopolski z synem Zygmuntem, który jechał

---

[1]) Zaraz po pierwszym strzale dowódca 12 kompanii kostromskiego pułku piechoty, kapitan Kulczycki, Polak, podał się za chorego. Dowództwo kompanii objął starszy z kolei oficer, a Kulczyckiemu na drugi dzień kazano podać się do dymisyi.

Ogółem dnia 8 kwietnia 1861 wypuszczono strzałów: pierwsza kompania strzelców symbirskiego pułku piechoty w Krakowskim Przedmieściu dwa strzały, patronów 93; druga kompania symbirskiego pułku p. w ulicę Mariensztat pojedynczo patronów 18; dziesiąta kompania liniowa kostromskiego pułku p. w ulicę Podwale dwa strzały, patronów 188; jedenasta kompania liniowa kostromskiego pułku p w ulicę Piwną jedną strzał, patronów 35; dwunasta kompania liniowa kostromskiego pułku p w ulicę Senatorską 5 strzałów, patronów 150; razem 484 patronów. Akta naczelnika 1 go okręgu m. Warszawy.

do księcia Gorczakowa dla wyjednania zaprzestania strzałów. Tłum, poznawszy Wielopolskiego, przywitał go gradem kamieni. Okna w karecie zabrzęczały, Zygmunt zraniony szkłem w twarz, margrabia dostał kamieniem w piersi a nawet dr. Chałubiński nie wyszedł bez szwanku, gdyż mu kamień napędził kapelusz na oczy. Karetę wnet otoczyli żołnierze i odprowadzili do Zamku, gdzie Wielopolski przez następne sześć tygodni zamieszkał [1]). Obliczono w przybliżeniu liczbę zabitych (przeszło 200 ludzi), których natychmiast żołnierze zebrali i znieśli na dziedziniec zamkowy, i generał Chrulew udał się do namiestnika z raportem, że „taka to kompania dała tyle strzałów i t. d., poległych zaś jest tylu."

Książe Gorczakow uchylający się, jak zwykle, w ważniejszych chwilach od wszystkiego, co by nań mogło sprowadzić odpowiedzialność, bąknął niewyraźnie: „Więc chyba strzelano ostrymi ładunkami? Z czyjego polecenia?"

Chrulew oburzył się i ostro odpowiedział: „O, nie, Ekscelencyo, teraz zapóźno wymawiać się i kręcić. Odwołuję się do wielu tu obecnych... A przytem chyba dzieci w podobnych wypadkach kazaliby strzelać pustymi ładunkami!"

Gorczakow zamilkł [2]).

Zajście to doskonale go charakteryzuje. We wszystkiem był takim. Polecał i zaraz odwoływał dane rozkazy, to znów zapominał o wydanem rozporządzeniu, z umysłu czy też mimowolnie.

Po niejakiej chwili Chrulew znów się odezwał: „Należało uderzyć na trwogę, toby w jednej chwili miasto uśmierzyło.

---

[1]) Z opowiadań hr. Zygmunta Wielopolskiego.

[2]) Autor słyszał całe powtórzone to zajście od samego generała Chrulewa i od innych jeszcze osób, obecnych rozmowie.

Bodaj czy w innej chwili Warszawa byłaby to hasło usłyszała, lecz w tej chwili książę był zmieszany i z toru zbity. Z ócz Chrulewa iskry się sypały i usta mu drżały z gniewu, Gorczakow znał go jeszcze z Sewastopola, więc łatwo mu było ocenić, w jakim stanie moralnego rozdrażnienia się znajdował, rzekł więc nieśmiało: „A więc, każ pan dać hasło!"

Sześć strzałów armatnich rozległo się z fortu Włodzimierza w cytadeli, a odgłos ich wstrząsnął obumarłem miastem, pogrążonem w zupełnej ciszy. Zaraz potem 12 rac z Zamku ze świstem przerżnęło powietrze. Był to znak, aby wojska natychmiast zajęły wskazane już uprzednio stanowiska.

Wojska już od kilku dni były skonsygnowane i niecierpliwie wyczekiwały umówionego sygnału. To też na dany znak, jak huragan wszystko pomknęło.

Szwadron żandarmów, stojący w Łazienkach, o cztery kilometry od Zamku, w kwadrans po wypuszczeniu pierwszej racy, przybył na Plac zamkowy. Batalion ołonieckiego pułku piechoty, rozłożony w Namiestnikowskim pałacu, stanął na Saskim placu, nim się sygnały skończyły. Z równą, prawie nie do uwierzenia szybkością i inne oddziały wojsk zajęły wskazane im punkta, bez najmniejszego zamieszania. Każdy oddział miał wskazane ulice, któremi miał postępować, by uniknąć możliwych spotkań i skrzyżowań w czasie ruchu.

Nadto, niewiadomo z czyjego polecenia, zarządzono silniejsze oświetlenie ulic przez zwiększenie prężności gazu. Wrażenie, wywołane przez pędzące kolumny jazdy po pustych, jasno oświetlonych ulicach, było nadzwyczajne. Przechodnie przejęci byli drżeniem i trwogą. W mieście zamarło wszystko, jak w grobie.

Wojska po zajęciu stanowisk natychmiast rozesłały patrole na wsze strony, nadto wyznaczono osobne komendy dla odszukania zabitych i rannych po domach, sklepach i klasztorach. W domu hra-

biego Zamoyskiego znaleziono pięć trupów, równie w hotelu Europejskim, w klasztorze Sakramentek, w restauracyi Bellego, w domu Resslera i innych. Mieszkańcy wydawali ich bez oporu. Wszędzie spostrzegało się przestrach i gotowość do posłuszeństwa.

Wojska, rozłożywszy ognie, obozowały na zajętych stanowiskach, to jest na placach: Zamkowym, Saskim, Krasińskim i przed kościołem św. Aleksandra, również i na Nalewkach i przed Bankiem. Później porozbijano namioty.

Prócz tego umieszczono dwie kompanie w ogrodzie pałacu Namiestnikowskiego, jedną w dziedzińcu pałacu Brühlowskiego, a dwie w teatrze [1]).

Pierwszą noc wszakże wojska przebyły w ciągłym alarmie; agitatorzy starali się rozsiewać najrozmaitsze fałszywe pogłoski. Naraz przybiegł do któregoś z dowódców żołnierz z nowiną: „Wasze wysokobłahorodie! Polacy stawiają barykady na Starem Mieście! Wasze wysokobłahorodie! odkryto skład broni i prochu!" i t. p. — Dowódcy posyłali patrole, lecz nigdzie nic podobnego nie było.

Z rana dnia 9 kwietnia zatoczono u kolumny

---

[1]) W teatrze stało wojsko już przedtem, od czasu kociej muzyki, wyprawionej dyrektorowi teatrów przez łobuzów Kozubskiego i Jaczewskiego. Dyrektor teatrów, były oberpolicmajster Warszawy, Abrahamowicz, był bardzo nielubiany w mieście. O nim to przechowała się dotychczas charakterystyczna anegdota. Jako oberpolicmajster z winnym zwykle od tego zaczynał rozmowę: „Czy znasz alfabet?" A. Abramowicz, B. baty, C. cytadela, „a więc zapierać się nie masz potrzeby." — Wojska zajęły tylko teatr Rozmaitości, w którym odtąd ustały przedstawienia.

Zygmunta dwa działa, skierowane na Krakowskie-Przedmieście i Senatorską ulicę [1]).

Warszawa przepędziła noc bezsenną. Zewsząd rozlegały się przekleństwa na Rosyan, a w tajemnicy, gdzieś po domkach i chałupach przedmiejskich, na poddaszach i w piwnicach, w różnych zaułkach oddalonych ulic, mieszczących najniższe warstwy ludności, które w starciu najbardziej ucierpiały, wypowiadano groźby i kurczowo zaciskały się pięście. Oburzenie było równe i w pałacach arystokracyi.

Zapewne najgłośniej odgrażali się czerwoni; wieczni, niepoprawni czerwoni. W końcu uznali, że należy wydać odezwę w imieniu skrwawionej, sponiewieranej i obrażonej Warszawy do całej Polski z wezwaniem do walki z dzikim wrogiem, do walki na śmierć i życie, gdyż obecnie nic innego nie pozostało do zrobienia i byłoby dziwnem, gdyby ktokolwiek mieniący się Polakiem zaproponował co innego a szczególnie jakieś porozumienie z nienawistnym i najstraszniejszym wrogiem. Skończone! porozumienie niemożliwe, pozostaje tylko walka, straszna walka, bez ustępstw i przebaczenia, wszystko, co żyje winno powstać od morza do morza.

Lecz kto napisze podobną odezwę, by miała dosyć zapału, by była pisana krwią i łzami, by poruszyła wszystkich do szpiku kości. Gdzie taki człowiek? Ogół wskazywał na Agatona Gillera, literata, Sybiraka i dawnego powstańca. Giller napisał żądaną odezwę bardzo prędko, a majster studniarski, Marcin Borelowski, wytłoczył odezwę tę w stu tysiącach egzemplarzy w potajemnej drukarni, pod tytułem: „Posłanie mieszkańców Warszawy" rozdając zaraz pewną ilość egzemplarzy dla rozrzucenia między publiczność i rozlepienia po mu-

[1]) Oficyalne sprawozdanie i dziennik pułkownika Krywonosowa.

rach, ztąd też niektórzy Borelowskiemu przypisywali autorstwo odezwy.

To robili czerwoni. Biali zaś, jeszcze przed katastrofą kwietniową przeczuwając widocznie zbliżającą się burzę, poczęli się schodzić prywatnie u różnych osób i omawiać zaprowadzenie tajemnej organizacyi, którejby poruczono kierownictwo sprawą i obustronne śledzenie tak dobrze działania czerwonych, jak i zarządzeń Wielopolskiego. Pierwsze takie schadzki odbyły się u Adama Goltza, jednego z najbardziej wpływowych członków komitetu Towarzystwa rolniczego. Mówiono o potrzebie wyboru mężów zaufania, ludzi najbardziej wpływowych, którzyby utworzyli niejako pierwsze kadry organizacyi narodowej. Zaraz wszakże zauważono, że takie kadry, złożone z najlepszych obywateli kraju, mające moc zaprowadzenia dalszej organizacyi, muszą zachwiać i osłabić związek konserwatystów, istniejący dotychczas dzięki wpływom sympatycznego hr. Andrzeja i kierujący nie potajemnie, lecz jawnie i otwarcie stronnictwem białych. — Między mężami zaufania mogą się znaleźć łatwo ludzie różnych poglądów i przekonań, którzy w końcu porozumieją się z czerwonymi i dopomogą im w działaniach, na które biali nigdy się nie godzili i zgodzić nie mogą. Uwagę tę uznano za zupełnie uzasadnioną i postanowiono: Zamiast wyboru tajnych mężów zaufania w całym kraju, zawiązać tajny biały komitet kierujący jako władza centralna pod wodzą tegoż samego hrabiego Andrzeja, wszystkiemi sprawami kraju [1]).

Wtedy to więc powstał pierwszy zawiązek tak zwanej Białej albo szlacheckiej dyrekcyi. Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego i idąca w ślad za tem wielka manifestacya czerwonych, zakończona strzelaniną Chrulewa, pomieszała im szyki zupełnie.

---

[1]) *Aspiracye polityczne Polski* str. 221—223.

Biali zaczęli tłumnie wyjeżdżać za granicę [1]) i tam postępowali jak czerwoni, dostarczali funduszów Mierosławskiemu na założenie polskiej wojskowej szkoły w Genui, służyli za agentów i kuryerów wszystkim możliwym emigracyjnym kółkom. Niechby tylko wybuchło w tym czasie powstanie, a wszyscy ci niedawni konserwatyści, przed chwilą rozprawiający tak poważnie o karności i zgodzie, o jakimś cudownym prawie wpływie hrabiego Andrzeja na cały ich ogół, w imię tej samej karności znaleźliby się w szeregach powstańców i z równą zapamiętałością szliby do boju z wrogiem, jak gołowąsa młodzież!...

Za pośrednictwem któregoś z tych panów, „Odpowiedź katolickiego duchowieństwa na przemowę Wielopolskiego", mianą dnia 2 kwietnia, oraz „Posłanie mieszkańców Warszawy", napisane przez Gillera, ogłoszono w lwowskim dzienniku *Głosie*, założonym przez ks. Adama Sapiehę. Główny redaktor dziennika, podówczas jeszcze zdecydowany radykał, Zygmunt Kaczkowski, dostał się za to do więzienia, w którem przesiedział półtora roku, do grudnia 1862 roku, dziennik zaś został przez władze austryackie zawieszony. (*Giller* t. I, str. 17—18).

Co się zaś tyczy ludu warszawskiego, pospólstwa, rzemieślników, którzy najbardziej ucierpieli, ci przebudzili się w zupełnie w innem usposobieniu.

---

[1]) *Dziennik pułkownika Krywonosowa* przytacza, że w nocy z 8 na 9 kwietnia wyjechało z Warszawy do dwóch tysięcy obywateli ziemskich. Czy nie otrzymali rozkazu opuszczenia Warszawy? Hrabia P. E. Kotzebue opowiadał autorowi, że jeden z pierwszych paragrafów ogłoszenia o zaprowadzeniu stanu wojennego, które już w marcu 1861 roku było przygotowane, zawierał: Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego i niezwłoczne wydalenie z Warszawy wszystkich zamiejscowych członków Towarzystwa rolniczego, następnie: rozwiązanie delegacyi i wszystkich polskich klubów, zaczynając od Resursy kupieckiej; rozstawienie wojsk na placach i t. d.

Wogóle ranek 9 kwietnia zaświtał nad zupełnie inną Warszawą, cichą, potulną, bladą, bez kontuszów i konfederatek Nawet i czerwoni, nakrzyczawszy się dostatecznie między swoimi, gdy znaleźli się na ulicach, zupełnie inaczej się zachowywali i oni się zalękli, a zresztą ponieśli dotkliwe straty w swych szeregach Chwila była nader dogodna do przywrócenia zupełnego spokoju nietylko w Warszawie, lecz i w całym kraju. Potrzeba na to było, wcale niewielkich rzeczy: innego usposobienia w Petersburgu i innego namiestnika w Warszawie Tymczasem w królewskim Zamku, siedział ten dziwny, moralnie i fizycznie podupadły staruszek, biegający co chwila to do Wielopolskiego, to do Kotzebuego lub Enocha o poradę, jak rozwiązać gromadzące się trudności i zadania, a nadto przekonany, że następcy jego w całej Rosyi nie da się wynaleźć [1])

Nieszczęsny ten starzec oprócz wysiłków móz-

---

[1]) Hrabia P. E. Kotzebue w listopadowym zeszycie *Ruskiej Stariny* za rok 1880, str. 793, najlepiej wykazuje jak wysokie wyobrażenie człowiek ten miał o swych zdolnościach. „W marcu 1861 roku powiedział mi książę Gorczakow: *J'ai beaucoup médité sur ma retraite et je suis venu à la conclusion qu'il n'y a personne en Russie qui aurait pû me remplacer ici.* Tenże sam P. E. hr. Kotzebue opowiadał autorowi dnia 19 marca 1880 roku w swoim gabinecie na Zamku: „Cały rok 1859 i 1860 gotowaliśmy się w Warszawie do wojny. Gdy raz o tem w grudniu 1860 roku zawiązała się rozmowa z szefem sztabu (hr. Kotzebue) Gorczakow ani przypuszczał, aby kto inny mógł być naczelnym wodzem.—Ależ jakiż z pana będzie wódz naczelny, pan o trzy kroki nic nie widzisz, przytem gdzież odpowiednie siły; naczelnemu wodzowi czasem wypadnie i cały tydzień od rana do nocy nie zsiadać z konia, czyż pan to wytrzymasz? — *Nous sommes mariés* — odpowiedział na to Gorczakow — pan będziesz zawsze ze mną, będziemy dowodzić wspólnie.— O nie, książe! — odparł Kotzebue — jak tylko wybuchnie wojna, ja się podaję do dymisyi — Gorczakow zamilkł, lecz po niejakiej chwili znów się odezwał: „A przecież im więcej myślę to na wypadek wojny nie znajduję w Rosyi człowieka, odpowiedniejszego odemnie na naczelnego wodza."

gu na opanowanie szybko po sobie następujących wypadków i ciągle zmieniającego się położenia, jeszcze zadawał sobie pracę, by wszystko wydarzone przedstawiać cesarzowi w mniej rażącem świetle; zajścia od 7 do 9 kwietnia opisać mniej jaskrawo i krwawo, niż było w rzeczywistości. Pod tym względem całe otoczenie namiestnika posiadało aż nadto dostateczną praktykę; doniesiono więc, że zginęło tylko dziesięciu ludzi... i kuryer popędził [1]).

W Petersburgu po zestawieniu wszelkich wiadomości, nadeszłych z Warszawy z różnych źródeł, postanowiono wstrzymać na razie reformy, utrzymując Gorczakowa i Wielopolskiego na ich dotychczasowych stanowiskach. Stało się nawet, że Wielopolski otrzymał jeszcze większą władzę. Wołowski, główny dyrektor komisyi sprawiedliwości, który podpisał rozporządzenie rady administracyjnej o zbiegowiskach, oburzony strzelaniem, podał się o uwolnienie. Jego posadę oddano Wielopolskiemu [2]).

Dnia 10 kwietnia 1861 r. przedstawiali się nowemu dyrektorowi urzędnicy komisyi sprawiedliwości.

---

[1]). W odezwie księcia Gorczakowa do mieszkańców Warszawy z dnia 9 kwietnia, także mowa tylko o dziesięciu zabitych. — Zobacz *Gazetę urzędową Królestwa Polskiego* z 1861 r. nr 81 str. 1.

[2]) Nieco później w maju 1863 roku Jan Kanty Wołowski został posądzony o utrzymywanie politycznej korespondencyi z bratem swym Ludwikiem w Paryżu. W nocy z 3 na 4 czerwca zrobiono w jego mieszkaniu w obecności oberpolicmajstra, pułkownika Lewszyna, generała Witkowskiego i oficerów żandarmeryi, Tałajewskiego i Zengbusza, niespodziewaną, najściślejszą rewizyę, następnie uwięziono w cytadeli Po miesiącu zesłany do Penzy, wkrótce tam umarł. Wołowski właściwie był prokurorem IX departamentu rządzącego senatu, obowiązek zaś głównego dyrektora komisyi sprawiedliwości sprawował przez 5 dni po ustąpieniu Dębowskiego. Jednocześnie w czerwcu 1863 roku zrobiono rewizyę u mecenasa Kojsiewicza i uwięziono Augusta Trzetrzewińskiego.

Spotkał ich Wielopolski ze zwykłym papierkiem w ręku następującą przemową:

Panowie!

„Ocalony porządek publiczny, niestety wśród krwawego starcia, i przykryty tarczą nowych instytucyi, dziś waszej pieczy powierzyć pragnę. Waszą to rzeczą będzie, postarać się o przechowanie w nienaruszonej ciszy i spokoju tego skarbu, zarówno wam wszystkim drogiego. Porządku społecznego nie żebrze się każdodziennie, nakształt jałmużny. On w samym sobie znaleźć podporę powinien, trwać niewzruszenie, i w sobie każdej chwili czerpać potrzebne siły.

Jeżeli zaś porządek ma żyć wyżebranym chlebem z łaski samowoli, lekkomyślności i intrygi, wtedy wszystko ginie w narodzie, gdyż u obywateli wyczerpuje się źródło energii, znika niezależność zdania i zamiera swoboda myśli.

Wskutek najwyżej nam nadanych instytucyi, czeka nas nader ważna praca; z powodu zwinięcia komisyi kodyfikacyjnej, my, a nie kto inny, zająć się powinniśmy przerobieniem i ulepszeniem prawodawstwa. Zwłaszcza wiele zmian uczynić wypadnie w kodeksie karnym. Nowe rozporządzenie o tłumnych zbiegowiskach zawiera w sobie już to ulepszenie, że kary za nie oznaczone wykonywać się będą tu, w Polsce, a nie gdzieindziej.

Tej pracy w całym jej zakresie, do końca z wami dzielić nie mogę. Wzywają mnie inne obowiązki, między któremi a waszemi trudami, łącznem ogniwem będzie wspólne staranie o utworzenie fakultetu prawnego. Wszelako mam nadzieję, że mi jeszcze sił wystarczy na przejrzenie w czasie naszego wspólnego urzędowania nakreślonych projektów i tego wszystkiego, co zostanie przygotowanem do ulepszenia i uzupełnienia naszego prawodawstwa.

Liczę na waszą pomoc, na doświadczenie sędziów, prokuratorów, o których zdolności i biegłości miałem już sposobność się przekonać. Całe zaś dzieło, doprowadzi do końca mój stały następca, który, jak tuszę, między wami się znajduje.

Życie moje w ręku Boga. Lecz gdyby mi danem było, przy waszej pomocy, choć tego dopiąć, że wsparty przekształconem prawodawstwem, utwierdzonym i zapewnionym zostanie porządek społeczny, pierwszy ten warunek rozwoju narodowego na drodze legalnej, to sądzę, że dzieciom moim dobrą po sobie pamięć pozostawię w spuściźnie".

Jednak czuł Wielopolski doskonale, że wszelkie podobne mowy pozostaną czczymi frazesami, jeżeli społeczeństwo, ogół opinii odmówi mu swego poparcia.

Rozpatrzywszy się szczegółowo i uważnie w położeniu spraw, uznał, że potrzeba raz jeszcze przemódz swą dumę i zbliżyć się do Andrzeja hrabiego Zamoyskiego. Wspólnie więc z żoną złożył wizytę Zamoyskim, a nie zastawszy nikogo z gospodarstwa w domu, zostawił, jak zwyczaj wymaga, kartę wizytową żony i dwie swoje. Ktoś sprzątnął jeden bilet margrabiego i Zamoyskim po ich powrocie do domu oddano tylko dwie karty wizytowe.

— Widzisz jak mnie margrabia traktuje, powiedział hr. Andrzej do jednego ze wspólnych znajomych, był u mojej żony, a mnie nawet karty nie zostawił.

— To być nie może — odparł ten do którego mówiono. Przywołano kamerdynera, który odpowiedział, że dwa tylko były bilety [1]).

I taka drobnostka ostatecznie rozdzieliła tych dwóch ludzi, których zgodne i szczere działanie

---

[1]) *Lisicki* tom I, str. 151. Gdzież się podziała trzecia kartka? czy się zarzuciła wypadkiem, czy też usunął ją jaki duch opiekuńczy?

mogło nadać zupełnie inny kierunek ówczesnym polskim sprawom. Dodać należy, że hrabia Andrzej w owej chwili, wskutek niesłychanego rozgoryczenia na rząd, był mniej niż kiedykolwiek usposobiony do zbliżenia się z Wielopolskim. On do tego stopnia szorstko i niegrzecznie odpychał wszystko co rosyjskie, lub co się zbliżało do rządu, bez względu na stan i osoby, że odmówił namiestnikowi przejrzenia nawet projektu o radzie stanu Królestwa Polskiego, i omal że za to nie został wysłany do Wiatki. Sprzeciwił się temu stanowczo Wielopolski w piśmie swem z dnia 22 kwietnia 1861 roku, w którem powiada: „Zamoyskiego uważam za polityczne zero i nie radzę jakimkolwiek prześladowaniem nadawać mu polityczne znaczenie... jeśli się go ześle do Wiatki, moje stanowisko w Warszawie stanie się absolutnie niemożliwe [1]).

Rozumie się, że tak usposobiony wódz białych nie był w stanie kierować swem stronnictwem, w którem wszystko się rozprzęgło i poczęły się działania na własną rękę. Młoda szlachta conajprędzej śpieszyła z przeprowadzeniem w kraju tajnej narodowej organizacyi o kierunku bardzo nieśmiało podnoszonym na zebraniach u Adama Goltza, jeszcze przed wypadkami kwietniowymi. Trudno było Wielopolskiemu szukać stronników i oparcia w tym obozie, szczególniej po dwukrotnem fiasko z Zamoyskim.

Zwrócił się więc do krajowej inteligencyi, literatów, publicystów i innych wykształconych ludzi, starając się im przedstawić całą niestosowność i głupotę, w chwili, gdy rząd podaje Polakom swą wszechmocną rękę i zapowiada nadzwyczajne reformy, nieprzyjmowania tego i stawiania mu przeszkód, wyzywając do walki siłę, której się oprzeć niema najmniejszych widoków. Dzisiaj zginęło dwustu,

---

[1]) *Le marquis Wielopolski* tom II, str. 182.

jutro zginie w dwójnasób tyle, w końcu wymordują lub ześlą na Sybir taką ilość porządniejszych i energiczniejszych ludzi, że w końcu ubytek ten nietylko jednorazowo, lecz na długie lata odbije się chorobliwie i niszcząco w ustroju całego kraju.

W średnich klasach inteligencyi w Warszawie i na prowincyi, był zawsze pewien zastęp ludzi rozumnych, zdrowo i bez szowinizmu zapatrujących się na stosunki; ci ludzie wszakże nie czuli w sobie odwagi, ażeby otwarcie wypowiedzieć swe zdanie i na podstawie tego skupić się w stronnictwo z jasno wytkniętym programem, jak to zrobili swego czasu wobec Młodoczechów Staroczesi. A chociaż spostrzegli, że spisek ich zaczepia i może doprowadzić do szkodliwych ustępstw i kompromisów, pozostali biernymi.

Szczególnie między delegatami, gdy się ku nim zwrócił Wielopolski, uznawano, że trzeba się koniecznie koło niego skupić i wesprzeć jego działanie, gdyż inaczej dzieciaki wtrącą kraj w przepaść. Znany redaktor Kucz, w Nr 93 *Kuryera Warszawskiego* z dnia 12 kwietnia 1861 roku, a więc w trzy dni po strzelaninie Chrulewa, nazajutrz zaś po objęciu przez Wielopolskiego głównej dyrekcyi w komisyi sprawiedliwości wystąpił z następującym artykułem wstępnym, oznaczonym †, ztąd następnie nazwanym „artykułem z krzyżykiem": „Szczęście narodów zawisło od reform odpowiednich, w odpowiednim czasie zastosowanych, lecz dla ich wprowadzenia, obok siły i inteligencyi, potrzeba także serca. Przed potęgą rozumu i siły każdy skłoni głowę z uznaniem, z zupełnem zaś zaufaniem zawierzy tylko sercu. Najtrudniejsze zadania potrafi spełnić, kto pozyska miłość ludu i na niej, jak na niewzruszonej opoce się oprze. Najpiękniejszą epopeą w dziejach ludzkości jest i będzie zawsze głos serca, na nim też kreślił swe ustawy pierwszy prawodawca ludzkości. Gdzie brak miłości, tam brak wiary, a bez wiary w proch się rozsypią najwznioślejsze pokuszenia.

Ufności nakazać nie można, raz ją jednak zbudziwszy w sercach ludu, można ją następnymi czynami utwierdzić niewzruszenie. Wobec postępujących szybko po sobie wypadków, wobec zamierzanych wielkich przeistoczeń i przemian, których wszyscy z niecierpliwością oczekują, tembardziej czujemy potrzebę ufności i wiary. I jedno i drugie się znajdzie, gdy ostrze żelaza zniży się ku ziemi, a otworzy się serce".

Ponieważ w tym artykule, acz zarzucającym Wielopolskiemu brak serca, mowa głównie o reformach i przeistoczeniach, związanych nierozerwalnie ze znienawidzonem już imieniem margrabiego, więc stronnictwo czerwonych w reformach tych widząc tylko rządową reakcyę, skierowaną ku ich zgubie i zatraceniu najdroższych im ideałów, z całą gwałtownością napadło na Kucza.

Stronnicy zaś, którzy dzień przedtem byli zupełnie tego samego zdania, a nawet brali udział w redakcyi potępionego artykułu, gdy się burza podniosła, znikli gdzieś bez śladu. Artykuł z krzyżykiem został stanowczo potępiony i wyśmiany, a popularny i lubiany przez wszystkich Kucz, stał się naraz przedmiotem napaści i dopiero odzyskał dawną popularność, gdy się przerzucił na stronę ruchu, za co w końcu został zesłany do Orenburga.

Wielopolski pozostał zupełnie osamotniony, wystawiony na ciągłe napaści. To zaczęło go zwolna drażnić i zwracać jego uwagę na wiele drobnych ukłuć, które dawniej przechodziły niespostrzeżenie. Zaczął od zniesienia miejskiej poczty, jako ułatwiającej nadsyłanie mu bezimiennych, obelżywych pism i paszkwilów. Następnie gdy otrzymał numer dziennika Kaczkowskiego ze znaną nam już odpowiedzią duchowieństwa, podpisaną przez biskupa Deckerta, Wielopolski zapytał go urzędownie „czy jest autorem tej odpowiedzi?" A gdy Deckert temu zaprzeczył, margrabia zażądał ogłoszenia drukiem tego zaprzeczenia, co też Deckert w końcu uskutecznił

w numerze 114-tym *Kuryera Warszawskiego* z 1861 roku str. 541.

W połowie maja zaszedł znów mały wypadek, który wywołał nowe rozjątrzenie. Wielopolski, mieszkając w Belwederze, przyjeżdżał stale do pałacu Kazimirowskiego, gdzie miał biura w mieszkaniu obecnem kuratora warszawskiego okręgu naukowego. Lubiąc drzewa i kwiaty, a potrzebując nieraz wytchnienia po pracy, rozkazał z ogrodu przytykającego do tego mieszkania, pewną część dla siebie oddzielić. Dotąd z ogrodu tego korzystali niepodzielnie uczniowie szkoły głównej, gimnazyum realnego i szkoły sztuk pięknych, zakładów, które się wszystkie mieściły w obszernych skrzydłach pałacu. Skoro młodzież spostrzegła, że na ich gruncie zabierają się do jakichś robót, zaraz się zbiegła z krzykami na wdzieranie się przemocą do ich ogrodu. „Ty nie ścierpisz rządów w rządzie, my też nie ścierpimy ogrodu w ogrodzie!" Z temi słowami młodzież rzuciła się na robotników, łatwo ich rozpędziła, a przygotowane materyały, jak: wapno, cegły, piasek, wrzuciła do stawu. Wezwana dla przywrócenia porządku policya, zachowała się dwuznacznie. Składając się z niedostatecznnych sił, zasiadła poprostu na trawnikach, przypatrując się spokojnie buszowaniu młodzieży [1]).

Wielopolski rozkazał pociągnąć młodzież do odpowiedzialności. Wystraszeni rodzice natychmiast zarządzili wystawienie kraty do dziś dnia istniejącej. Lecz Wielopolski przestał bywać w Kazimierowskim pałacu i 18-go maja zamieszkał stale w pałacu Namiestnikowskim.

Wrzawie i gadaniom o tę historyę z kratą nie było końca. Młodzież wrzała gniewem, rodzice dowodzili, że Wielopolski chciał młodzież zesłać na

---

[1]) Sprawozdanie oficera policyi, wysłanego z oddziałem policyantów dla przywrócenia porządku.

Sybir; uskarżali się i urzędnicy, że ich Wielopolski co chwila przyzywa do siebie i despotycznym tonem nakazuje, jak mają załatwiać powierzone sobie sprawy. Wielu z nich jeszcze i teraz nie może mówić obojętnie o tych naradach z panem ministrem.

Chcąc nieco umysły uspokoić a przytem zrobić coś dla zjednania sobie niższych warstw ludności, rząd dnia 22 maja ogłosił ukaz o skasowaniu pańszczyzny. Wszakże nie natychmiasowo, lecz od 1-go października po ukończeniu zbiorów, które się miały odbyć jeszcze na zasadzie dawnego, poddańczego prawa.

Chciano tem zarządzeniem zadowolić obie strony, co się naturalnie nie udało, jak również nieudałą próbą pozostało postanowienie „o powiększeniu czynszów", mających wynagrodzić obywateli za zniesioną pańszczyznę, a tylko bardziej jeszcze zwiększyło zamieszanie i trudności.

W innym czasie wszystko to dałoby się urządzić i spokojnie przeprowadzić, trudności dałyby się obejść i nie wywołałyby nawet zbyt wielkiego narzekania. W owej wszakże chwili, gdy wszystkie stosunki tak były naprężone, należało postępować z największą ostrożnością i pewnością siebie.

Czujna na wszystko partya czerwonych, natychmiast rozesłała po kraju zręcznych agentów, dla wyjaśnienia włościanom podstępu i dwulicowości rządu rosyjskiego i nakłonienia obywateli do dobrowolnego zrzeczenia się na rzecz włościan przewyżki wymyślonego przez wspólnego wroga czynszu i poprzestania dla dobra rozpoczętej sprawy przy dawnej, uświęconej już zwyczajem stopie czynszów. Agenci pracowali bez znużenia i z pewnem powodzeniem, gdyż dosyć wielu obywateli zrzekło się nowo ustanowionych czynszów.

Chcąc pod tym względem zaprowadzić jakąś jednolitość w kraju, namiestnik ze swej strony wydał objaśnienie do ukazu z dnia 22 maja i nowej

uchwały o czynszach i rozesłał do wszystkich gubernii osobnych urzędników, dla wyjaśnienia włościanom wszelkich mogących powstać wątpliwości i nieporozumień.

Lecz wysłani urzędnicy w przeważnej części już należeli do tej organizacyi, która zwolna zawiązywała się w Warszawie i obejmować zaczynała swą siecią kraj cały. Postępowali więc oni nie jako delegaci rządu, ale w duchu spiskowców i nietylko, że nie wpłynęli na uspokojenie ludu, lecz owszem bardziej go poduszczali przeciw rządowi, przekładając, że „wszystko się skończy na zwiększeniu czynszów, a wolności żadnej nie będzie i że panowie to wszystko przerobią do października".

Już tedy ze spiskiem zaczynało się mieć do czynienia.

W Warszawie ukazał się obrazek, przedstawiający Faryzeusza, okazującego Chrystusowi grosz czynszowy, litografowany w zakładzie Dzwonkowskiego. Obrazkowi temu, sprzedawanemu po 2 złp., nadawano znaczenie emblematyczne co do rozporządzeń o czynszach.

Równie krążyły w odpisach wiersze Syrokomli, napisane „na zamknięcie Towarzystwa Rolniczego", kończące się tem, że gdy rząd rozpędził rolników, wskazywał przez to, przyszła już chwila, w której należy „przekuć żelazne sochy i pługi na miecz i oręż!"

Wskutek nowego rozporządzenia oberpolicmajstra, nakazującego noszenie latarek po godzinie 10 wieczorem, zaczęto nosić ogromne latarnie na kijach z najrozmaitszemi karykaturami. Wywołało to nowe aresztowania, wreszcie i miejsca zabrakło po więzieniach.

Wielopolski tymczasem przedkładał namiestnikowi, że jedynie niezwłoczne ogłoszenie reform, przez Najjaśniejszego Pana zapowiedzianych, a Bóg wie dla jakich przyczyn dotychczas wstrzymywanych, następnie zaś rozpisanie wyborów do rad powiatowych

i miejskich, uspokoi umysły a odciągając umiarkowańszą i poważniejszą sferę ludności, szczególnie zaś obywatelstwo ziemskie od przeciwrządowych działań, stanowczo wpłynie na poprawę sytuacyi; że tylko powstrzymanie reform wywołało częściowe przyłączenie się tych ludzi do stronnictwa czerwonych.

Książę Gorczakow, słuchając Wielopolskiego, patrząc na tę ogromną, bryłowatą postać, która samą masą swoją zdawała się go przygniatać, stawał się czemś godnem politowania, czemś w rodzaju królika, odrętwiałego wobec wzroku, mającego go pochłonąć węża. Plątał się w słowach, niejednej rzeczy dokładnie nie rozumiał, z trudnością rozróżniał polskie wyrażenia od rosyjskich i prawie na wszystko się zgadzał i po oddaleniu się strasznego Margrabiego jeszcze długo z niepokojem przechadzał się po gabinecie, mówiąc głośno „wybory! wybory!... ach! gdyby mi pozwolono wziąść w ręce wybory!"... Te słowa nieraz słyszało otoczenie księcia... wkrótce atoli zachodziła w umyśle jego, zwykła, gwałtowna zmiana zdania, nie wierzył Wielopolskiemu, nie przyznawał aby reformy były konieczne, owszem uważał je za szkodliwe, że społeczeństwo kierowane przez zapaleńców nie zasługuje na nie, przyznawał, że rząd dobrze postępuje, powstrzymując je... a nawet dochodził do przekonania, że i sam Wielopolski... nie potrzebny, zbyteczne koło u wozu... przywoływał swego szefa sztabu i radził się go, radził innych generałów, każdego, kto się nawinął pod rękę...

Takie nagłe przeskoki z jednych wrażeń do drugich, wahanie się, niejasność i niepewność zdania, ta ciągła walka z samym sobą, ten, jednem słowem, rozkład przestarzałego i zawsze słabego umysłu, pod nawałem zadań po nad siły, wstrząsnęły ostatecznie organizmem. Przyszedł atak nerwowy, podobno wskutek otrzymanego z Paryża telegraficznego ostrzeżenia, że w Warszawie ma wybuchnąć rzeź na ulicach. Przywołany dr. Cycuryn znalazł

„silne zaatakowanie całego ustroju nerwowego, a nawet mózgu", i o tem zawiadomił szefa sztabu generała Kotzebue'go. Ten zażądał poświadczenia lekarskiego na piśmie i gdy to otrzymał, napisał do ministra wojny z przedstawieniem rzeczywistego stanu rzeczy, radząc przedsiewzięcie stanowczych środków. Uważał, że należałoby w Polsce znieść wszystko; urządzenia i ludzi, albowiem wszyscy na wyższych stanowiskach i przestarzali i nieodpowiedni, fałszywy również i cały system rządzenia, próżne marzenia o wytworzeniu w kraju jakiegoś stronnictwa rządowego.

By zaś list ten nie wyglądał na denuncyacyę, Kotzebue uznał za konieczne, okazać go swemu „staremu druhowi". Stary przyjaciel przeczytał pismo napozór zupełnie spokojnie, poprawił nawet jedną omyłkę w pisowni [1]) i dodał: „Poślij, nic nie mam przeciw temu [2]).

Kotzebue włożył do listu *parère* Cycuryna, zapieczętował pakiet pieczęcią Gorczakowa na tegoż biurku i wręczył zaraz kuryerowi.

Książę wszakże przyjął to zwierzenie wcale nie tak spokojnie, jak się jego szefowi sztabu zdawało. Tenże sam kuryer powiózł list księcia do jego brata stryjecznego, kanclerza A. M. Gorczakowa, w którym gorzko się żali, że jest otoczony zdrajcami i na nikim polegać nie może. „List Kotzebuego do ministra wojny, który odchodzi tym samym kuryerem, najlepiej ci udowodni, wśród jakich intryg muszę działać".

Wskutek tego list, napisany w najczystszych chęciach i zamiarach, został uznany za intrygę, dążącą do „usunięcia Gorczakowa i zajęcia jego miej-

---

[1]) List był pisany po rosyjsku.

[2]) Z opowiadań samego Kotzebue'go, senatora Kruzenszterna i br. radcy Sł. Stamierowa, dyrektora kancelaryi Kotzebue'go. Dwaj ostatni widzieli brulion listu i poprawkę, ręką Gorczakowa uczynioną.

sca". Wrażenie to tak było powszechne, że do dziś dnia o tem powtarzają w Warszawie.

Sprawa skończyła się w ten sposób, że Kotzebue otrzymał 11-miesięczny urlop do Rosyi i za granicę, co się równało zupełnemu uwolnieniu, księciu Gorczakowowi zaś doradzono, aby się udał na czas jakiś do kąpiel dla wzmocnienia sił [3]).

---

[3]) *Dziennik urzędowy Królestwa Polskiego* z 1861 r., Nr. 109, str. 705. Tam nie wspomniano wszakże na jak długo Kotzebue otrzymuje urlop. Uwolnienie to szefa sztabu armii czynnej, stało się za przyczyną ministra wojny Suchozaneta, który nie cierpiał Kotzebuego. Na to zaś miejsce polecił swego protegowanego, generał majora Kryżanowskiego. Ten, będąc jeszcze kadetem, bywał w domu u Suchozaneta, który wszystkim i każdemu zwykł powtarzać: „Zobaczycie z tego chłopca wyrośnie dzielny oficer". *Kołokoł* w dodatkowym arkuszu z dnia 1 sierpnia 1867 r. str. 7 podaje niektóre szczegóły o zamianowaniu Kryżanowskiego szefem sztabu armii czynnej.

Dziennik pułkownika Krywonosowa przytacza mowę, powiedzianą przez generała Kotzebuego przy pożegnaniu ze swymi podwładnymi dnia 10 maja 1861 r. we własnem mieszkaniu przy ulicy Senatorskiej w dawnym pałacu Prymasowskim: „Panowie! Miło mi jest raz jeszcze widzieć was u siebie i podziękować za pamięć. Dziękuję szefom za ich współdziałanie, podwładnym za ścisłe wykonywanie zarządzeń. Przebaczcie mi, jeśli komu co złego wyrządziłem, gdyż jeżeli coś podobnego się stało, stało się to mimo mych chęci; sumienie pod tym względem mam spokojne. Po 42-letniej służbie w wojsku mam nadzieję, że złej pamięci po sobie nie zostawiłem Zapewne już się z sobą nie spotkamy!" (Łzy w oczach).

Tegoż samego dnia sztab główny przedstawiał się swemu nowemu szefowi, który w następujący sposób ich przyjął: „Rad jestem z panami zawrzeć znajomość i czuję się w obowiązku zaraz na wstępie oświadczyć panom, że moją zasadą jest: Prawo! Osobistość moja nie istnieje, jest tylko prawo Nie będziemy w to wchodzili, czy dobre ono jest, czy złe, gdyż nas o to nie pytają; dopóki wszakże jakakolwiek ustawa obowiązuje, winniśmy najściślej ją wykonywać. Jestem tylko narzędziem w ręku prawa i będę pilnował ścisłego tegoż przestrzegania. To główna zasada, z niej wypływają wszystkie inne. Proszę się zawsze wprost do mnie

Mówiono nawet, że otrzymał trzymiesięczny urlop i wybierał się do Ems, lecz wszystkim powtarzał, że jedynie tylko na miesiąc, po miesiącu zaś wróci i rozpisze wybory.

Choroba wszakże powaliła go na łoże, z którego już nie miał powstać. Dnia 27 maja choroba przybrała tak groźny chakter, że z Petersburga w drodze telegraficznej polecono generał-adjutantowi Merchelewiczowi, pełniącemu obowiązki wojennego generał-gubernatora miasta Warszawy, objąć zarząd cywilny Królestwa Polskiego.

Nazajutrz po objęciu urzędowania, dnia 28 maja, generał Merchelewicz wydał następującą odezwę do ludu:

„Mieszkańcy Warszawy!

Z woli Monarchy wezwany jestem do zarządu sprawami cywilnemi Królestwa Polskiego, na cały czas trwania choroby Jego Ekscelencyi namiestnika.

Zawiadamiając o tem mieszkańców Warszawy, mam nadzieję, że zachowaniem spokoju publicznego i posłuszeństwa władzy, dadzą mi możność myślenia jedynie o ich pomyślności.

Wrazie zaś powtórzenia nieporządków i tłumnych zbiegowisk, wypełnię z całą sumiennością żołnierza postanowienie Rady administracyjnej z dnia 8 kwietnia 1861 r., które przy niniejszem powtórnie ogłaszam!"

Generał-adjutant *Merchelewicz.*

---

udawać. Czy to w sprawach osobistych, czy służbowych, zawsze będę się starał zrobić wszystko, co odemnie może zależeć; lecz raz jeszcze powtarzam, moja osoba nie istnieje. Prawo postanawia, prawo nagradza, prawo karze! Jeśli będziecie ciągle o tem pamiętali, wszystko pójdzie dobrze. Mogę być waszym znajomym, kolegą — ale prawo przedewszystkiem".

Odezwę tę wraz ze wspomnianem postanowieniem rady administracyjnej rozlepiono po rogach ulic, natychmiast je wszakże pozdzierano. Policya przykleiła powtórnie, lecz i te w momencie poznikały. Nie rozlepiano już więcej i nikt nie zwrócił uwagi na ten wybryk, zwłaszcza, że uwaga wszystkich zajęta była chorobą ks. Gorczakowa, już jedną nogą w grobie stojącego.

Smutnie umierał starzec, pod koniec opuszczony przez wszystkich, wśród ogólnego narzekania, że on wszystkiemu był winien, co jednak nie zupełnie było zgodne z prawdą...

W południe dnia 29 maja, zgasła ostatnia iskra życia...

Ciało przez dni dziesięć wystawione było w cerkwi pałacu Łazienkowskiego; poczem w spełnieniu żądania nieboszczyka, by mógł spocząć wśród swych współbojowników w Sewastopolu, tamże z polecenia cesarza przewiezionem zostało.

Dnia 8 czerwca o godzinie 11-ej zrana, sześciokonny karawan, ozdobiony herbami wszystkich gubernii Królestwa Polskiego, wyruszył na dworzec kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej [1]). Mieszkańcy Warszawy na tę chwilę pozapuszczali okna, urzędnicy zaś, przybyli z rozporządzenia władz, szli za pogrzebem tylko do Nowego-Światu i ztamtąd rozeszli się po domach. Małą cząstkę, która towarzyszyła zwłokom aż do dworca, przy powrocie gawiedź uliczna wygwizdała.

Aż do granicy towarzyszyło zwłokom czterdziestu żołnierzy z trzeciej kompanii kostromskiego pułku piechoty, oraz sześciu kozaków liniowych kubańskich i ci ostatni odprowadzili ciało do samego Sewastopola.

Na stacyach, gdzie się pociąg zatrzymywał,

---

[1]) Opisanie pogrzebu patrz *Kuryer Warszawski* z r. 1861 numer 136.

występowały warty honorowe ze sztandarem. Publiczność przypatrywała się obojętnie i milcząco.

Na granicy warta austryacka przyjęła zwłoki. W Wiedniu odbyło się nabożeństwo żałobne w obecności cesarza, poczem trumnę przewieziono na statek parowy.

Pogrzeb w Sewastopolu odbył się dnia 19-go czerwca 1861 roku [1]).

---

[1]) Pułkownik Krywonosow w swym dzienniku powiada, że według doktora Cycuryna Gorczakow cierpiał na organiczną wadę serca, umarł zaś na porażenie płuc. Drudzy zaś doktorzy twierdzili, że umarł na rozmiękczenie mózgu i mlecza pacierzowego. Cesarz wyznaczył wdowie po księciu Gorczakowie 35,000 rubli sr. dożywotnej pensyi, każdej zaś z córek po 50,000 rubli sr. jednorazowo.

DODATEK.

Wymiana depesz między namiestnikami Królestwa a cesarzem Aleksandrem II.

Do księgi II. — od 1 do 26 marca 1861 roku.

Warszawa—Petersburg. 1 marca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że przez wczoraj w mieście panował najzupełniejszy spokój. Kuryera zaledwie wieczorem zdołam wysłać.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 1 marca 1861 roku.

Potwierdzam raz jeszcze wszystko, wypowiedziane wczoraj. Chcę wiedzieć, co wywołało niepokoje z dnia 27 lutego i kto w nich głównie występował? Jeśli prośba jeszcze nie wysłana, to ją wstrzymajcie. Proszę działać spokojnie i energicznie. Na żadne ustępstwa nie myślę zezwalać. Szyfrowane depesze mają być adresowane do ministeryum wojny.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 2 marca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że dzień wczorajszy przeszedł w mieście zupełnie spokojnie.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

2 marca 1861 roku.

Prośby podanej na Najwyższe Imię nie przedkładam, lecz posyłam panu jej odpis. O pobudkach i głównych działaczach w zbiegowiskach z dnia 27 lutego mogę tylko powiedzieć, że wywołała je partya demokratyczna. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg.— Warszawa. 2 marca 1861 roku.

Oświadczcie w imieniu własnem, że podanej wam na Najwyższe Imię prośby nie możecie przyjąć i zwróćcie ją proszącym, gdyż zawarte w niej żądania są nieprzyzwoite i nie na czasie. Proszę mi podać telegraficznie nazwiska tych pięciu osób, które wraz z Fijałkowskim doręczali wam prośbę. Czy niepokoje warszawskie nie wywołały takichże objawów na prowincyi?

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

2 marca 1861 roku.

Położenie w Królestwie tak jest poważne, że potrzebuję obok siebie człowieka, posiadającego zupełne zaufanie cesarza. O takiego proszę—również o odpowiedź telegraficzną.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa - Petersburg. *Do ministra wojny.*

3 marca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień przeszedł w mieście zupełnie spokojnie.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

3 marca 1861 roku.

Błagam o najwyższe zezwolenie, bym mógł wstrzymać się z wykonaniem danego mi telegraficznie polecenia aż do przybycia do Petersburga Karnickiego, którego dziś wysyłam jako kuryera.

Prośbę mi doręczyli wraz z Fijałkowskim;

Andrzej hrabia Zamoyski, hr. Małachowski, oraz Kronenberg i Szlenker, obywatele z miasta. W kraju niepokojów nie było, lecz wrażenie wypadków warszawskich jest bardzo silne.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 3 marca 1861 roku.

Posiadasz zupełne moje zaufanie i dlatego nie widzę potrzeby przysyłania wam kogokolwiek. Jeśli chcesz mieć kogo do pomocy dla spraw cywilnych, to wskaż osobę. Możesz wstrzymać wykonanie wczorajszego polecenia do czasu przybycia tu Karnickiego. Czy nie chcesz mieć przy sobie Chrulewa?

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 3 marca 1861 roku.

Z głębi serca dziękuję W. C. Mości za łaskawą depeszę. Pomocnika do spraw cywilnych i Chrulewa, jak się zdaje, obecnie nie potrzeba, ale byłoby pożądanem mieć tutaj kogoś z wyboru W. C. Mości, ze świeżym poglądem na sprawy.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa 4 marca 1861 roku

Nim kogo wyszlę, zaczekam przybycia Karnickiego. Proponuję wam Płatonowa.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

4 marca 1861 roku.

Platonow niezbędny w Petersburgu. Pozwólcie niech pomyślę o kim innym.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg — Warszawa. 5 marca 1861 roku

Kuryer dziś przybył. Prośbę znajduję zupełnie niewłaściwą. Odpowiem po przybyciu Karnickiego. Rozkaż odebrać broń mieszkańcom Warszawy i w całem Królestwie. Kazałem ministrowi wojny, by wysłał do Królestwa brygadę huzarów z 1-ej dywizyi, i całą drugą dywizyę piechoty, z Donu zaś

4 pułki kozaków. Warszawy nie opuszczaj pod żadnym warunkiem. Wrazie potrzeby każ zbombardować miasto. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg *Do ministra wojny.*

5 marca 1861 roku.

Posłałem przez Karnickiego projekt ogłoszenia, które mam wydać we własnem imieniu. Sądzę, że takie ogłoszenie jest konieczne, nie wyłączając nawet i drugiej jego części.

Prawdopodobnie wypadnie zmienić niektóre nazwiska osób, które mają być wysłane do Petersburgą.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. *Przez ministra wojny.*

7 marca 1861 roku.

Powzięte po przybycie Karnickiego postanowienie proszę mi przesłać w depeszy szyfrowanej.

Ks. *Gorczakow.*

Petersburg — Warszawa. 7 marca 1851 roku.

Karnicki przybył. Odpowiem jutro.

Aleksander.

Petersburg— Warszawa 8 marca 1861 roku.

Odpowiedź moją przywiezie wam adjutant Meyendorf, którego jutro wieczorem wyprawię. Nie zgadzam się stanowczo na wysyłanie tu deputacyi, wszakże nie ogłaszajcie o tem aż do otrzymania mego pisma i oficyalnej odpowiedzi.

Aleksander.

Petersburg — Warszawa. 9 marca 1861 roku.

Meyendorf zabrał mój list i oficyalny reskrypt w odpowiedzi na podaną mi prośbę. Oznajmiwszy ją komu należy, możecie ją ogłosić w dziennikach tembardziej, że samą prośbę wydrukowały już wszystkie zagraniczne pisma.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. Do ministra wojny.

12 marca 1861 roku.

Dowiaduje się, że warszawski adwokat Majewski pojechał do Petersburga. On jest członkiem tutejszego Towarzystwa rolniczego. Jest to człowiek niebezpieczny i należy go mieć na oku.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg — Warszawa. Minister wojny do ks. Gorczakowa.

13 marca 1861 roku.

Proszę o wiadomości, czy przybył już do Warszawy Meyendorf. Cesarz o to zapytuje i dziwi się, żeście sami o tem nie donieśli.

Suchozanet.

Warszawa—Petersburg. Do ministra wojny.

13 marca 1861 roku.

Meyendorf przybył wczoraj. Za parę godzin wysyłam depeszę szyfrowaną.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. Do ministra wojny.

13 marca 1861 roku.

Reskrypt odczytałem tym pięciu osobom, które mi doręczały prośbę. Przyjęli go bez żadnych uwag i na tem się sprawa zakończyła. Proszę o zezwolenie wstrzymania się chociaż kilku dni z ogłoszeniem reskryptu. Ponieważ publiczność nic nie wie jeszcze o poufnych komunikacyach co do zamierzanych reform, ogłoszenie mogłoby wywołać niemiłe wrażenie, któreby potem z trudnością dało się usunąć.

Ks. *Gorczakow.*

Petersburg — Warszawa. 14 marca 1861 roku.

Żądam, aby reskrypt natychmiast został ogłoszony w dziennikach.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. Do hr. Adlerberga 1 go.

13 marca 1861 roku.

Proszę natychmiast w drodze telegraficznej powołać mnie do Petersburga. — Muszę przedstawić Najjaśniejszemu Panu sprawy doniosłości państwowej.

Gen. maj. świty J. C. Mości *Giecewicz.*

Warszawa—Petersburg. Do ministra wojny.

14 marca 1861 roku.

Reskrypt już się drukuje we wszystkich dziennikach. Wczoraj jeszcze, już po wysłaniu depeszy, zdecydowałem się dziś go ogłosić [1]).

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. Do ministra wojny.

14 marca 1861 roku.

Czynność policyi przywrócona już od ośmiu dni. Delegacya miejska nie posiada żadnej oficyalnej władzy ani własnych patrolów nie wysyła. Ona dopomaga tylko swym wpływem do utrzymania spokoju w mieście. Ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. Do ministra wojny.

15 marca 1861 roku.

Wypada koniecznie powierzyć kuratoryę warszawskiego okręgu naukowego radcy tajnemu Łaszczyńskiemu.—Proszę o zezwolenie.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 15 marca 1861 roku.

Meyendorf przybył wczoraj wieczorem. Pochwalam ostatnie wasze zarządzenia. Na główne zapytania odpowiedziałem już listownie przez Meyendorfa. Na przesunięcie wojsk zgoda. Zawiadamiajcie telegraficznie o wysłaniu kuryerów, również

[1]) Po otrzymaniu tej depeszy cesarz Aleksander II miał powiedzieć: *Ces tergiversations sont déplorables.*

o przybywaniu moich. Karnicki w tych dniach powraca z wygotowanemi planami reform.

Aleksander.

Petersburg—Warszawa. 15 marca 1861 roku.

Na Łaszczyńskiego się zgadzam.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 15 marca 1861 roku.

Za parę dni wysyłam projekt Wielopolskiego z dodaniem moich uwag. Proszę nie zatwierdzać projektów sekretaryatu zanim nie przybędzie mój kuryer. Ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 15 marca 1861 roku.

Cieszę się, że reskrypt wywarł dobre wrażenie. Nim zatwierdzę prace przygotowane w sekretaryacie, prześlę je wam pierwej do zaopiniowania.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 16 marca 1861 roku.

Umiarkowani nie przestają pracować nad uspokojeniem umysłów i mam nadzieję, że to się im powinno udać. Ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 17 marca 1861 roku.

Cieszę się z usiłowań umiarkowanych. Dzisiaj tu i w Moskwie został ogłoszony manifest o uwolnieniu włościan. Wszystko odbyło się zupełnie spokojnie. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg. 17 marca 1861 roku.

O dziesiątej wieczorem wyprawiam kuryera.

Ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 18 marca 1861 roku.

Stan w Warszawie bez zmiany. — Winszuję szczęśliwego ogłoszenia manifestu o uwolnieniu włościan. Ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 18 marca 1861 roku.

Giecewicz przybył rano. Wasze listy obok jego przedstawień utwierdzają mnie jeszcze bardziej w mych dawnych przekonaniach. Odpowiem po przybyciu następnego kuryera. Zastąpienie stanowcze Trepowa pozostawiam do waszego wyboru. Proponuję adjutanta waszego Mezeńcowa. Czy zwinięta miejska delegacya? Uważam to za konieczne, również jak zamknięcie wszelkich klubów i podobnych zebrań. Odpowiedzcie telegraficznie.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 19 marca 1861 roku.

Przez wczorajszego kuryera prosiłem o zezwolenie zatrzymania jeszcze na pewien czas delegacyi, gdyż w obecnej chwili ona jest pożyteczną, niedopuszczając demonstracyi. Upraszam o zezwolenie utrzymania jej aż do przybycia kuryera.

W kupieckiej resursie bywały liczne zebrania. Od wczoraj polecono, aby wstęp tylko rzeczywistym członkom był dozwolony. Co do innych zebrań wydam stosowne zarządzenia.

Sam chciałem naznaczyć Mezeńcowa na miejsce Trepowa, lecz w czasie demonstracyi posyłałem go wszędzie, gdzie zachodziły niepokoje i wskutek tego został znienawidzony. Nazywają go wszędzie katem. W tych dniach przybędzie Kroiński i policya przejdzie w jego zawiadywanie.

Ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 19 marca 1861 roku.

Kiedy mogę się spodziewać powrotu Karnickiego z projektami?

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 20 marca 1861 roku.

Dziś wieczór wysyłam z powrotem generał-majora Giecewicza. Zabiera list, którego treści nie zna, na ważność zaś którego zwracam szczególniejszą waszą uwagę. Żądam, byście koniecznie za-

mianowali oberpolicmajstra. Wasza uwaga co do Mezeńcowa nie powinna bynajmniej stać na przeszkodzie jego nominacyi. Czy nie przysłać wam do pomocy, albo dla czasowego zastąpienie Paniutyna, generał-adjutanta księcia Urusowa? To człowiek energiczny i dobrze wam znany. Po otrzymaniu zapowiedzianego kuryera, znów do was napiszę.

Aleksander.

Petersburg— Warszawa. 20 marca 1861 roku.

Karnickiego wyprawię zapewne na drugi tydzień, gdy otrzymam wasz projekt i porównam go z przygotowaną robotą w sekretaryacie.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 21 marca 1861 roku.

Projekt margrabiego Wielopolskiego wysyłam dzisiaj przez urzędnika, który może udzielić potrzebnych wyjaśnień. O oberpolicmajstrze doniosę oddzielnie—o księcia Urusowa proszę.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg— Warszawa. 21 marca 1861 roku.

Kuryer wasz przybył dziś rano. Dalsze istnienie delegacyi uważam stanowczo za szkodliwe i dlatego żądam, aby niezwłocznie została rozwiązaną.

Czy to prawda, że zbierają składki na pomnik dla zabitych? Na to nie można pozwalać, i oddzielnego pomika nie wznosić. Żałuję, żeście wstrzymali projekt Wielopolskiego, przez to traci się na czasie. Praca sekretaryatu w sobotę ma być rozpatrywaną na radzie ministrów w mojej obecności, w przyszłym zaś tygodniu przyślę ją przez Karnickiego. Płatonow tu niezbędny.

Aleksander.

Warszawa— Petersburg. 21 marca 1861 roku.

Delegacyę jutro rozwiążę. Składki na pomnik zbierają wspólnie z ofiarami na rzecz rodzin poległych i rannych. Nie dopuszczę wystawienia po-

mnika. — Na oberpolicmajstra mianuję pułkownika Rozwadowskiego [1]). Ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 22 marca 1861 roku.

Uważam, że koniecznie potrzeba uwolnić Muchanowa, nie jako ustępstwo, lecz we własnym interesie. Pozostawiam panu, kim go zastąpisz. Do czasu proponuję Łaszczyńskiego, lecz wolałbym Rosyanina. Dla wydzielonych spraw wychowania proponuję generał-majora artyleryi Kryżanowskiego, to człowiek światły i pewny. Na Rozwadowskiego się zgadzam. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg. 23 marca 1861 roku.

Muchanow uwolniony. Niebawem doniosę kim go zastąpię. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 23 marca 1861 roku.

Delegacya rozwiązana. Ośmiu z pomiędzy delegatów będzie zasiadało, dla dobra spraw miejskich, w magistracie.

Błagam o przysłanie chociażby na tydzień Płatonowa, gdy nadejdą projekta. Jest to niezbędne. Czasowo mógłby go zastąpić sekretarz Żukowski [2]).

Proszę o telegraficzną wiadomość co do postanowień powziętych w sprawie projektowanych reform a szczególnie co do projektów Wielopolskiego. Wiele zależy na tem, by nie zwlekać z decyzyą co do projektów tegoż w sprawie urządzenia okręgu naukowego i spraw wyznaniowych.

Proszę o przysłanie tu generała Kryżanowskiego, w każdym razie będzie mógł z korzyścią być tu użyty. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

[1]) Dowódca Symbirskiego pułku piechoty.

[2]) Stefan Michajłowicz, sekretarz stanu, umarł w 1877 roku.

Petersburg—Warszawa. 24 marca 1861 roku.

Dziś otrzymałem projekt Wielopolskiego, jutro wspólnie się go rozpatrzy. Wieczorem spodziewam się, że będę mógł dać chociażby przedwstępną odpowiedź. Kogoście zamianowali na miejsce Muchanowa? Niie widzę potrzeby wysyłać teraz Krzyżanowskiego. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg. 24 marca 1861 roku.

W plany moje zastąpienia Muchanowa na obu jego stanowiskach wchodzi także Giecewicz. Doniosę po jego powrocie.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 24 marca 1861 roku.

W tej chwili przybył Giecewicz. Przeprawa w Janowie zatrzymała go przez 36 godzin.

Ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 25 marca 1861 roku.

Dnia 23 marca wyprawiłem Muchanowa za granicę. Dojechał w karecie do najbliższej ztąd stacyi drogi żelaznej, dalej miał specyalny pociąg. O godzinie 9 wieczorem na dworzec warszawski zbiegło się naraz mnóstwo ludu. Gdy go nie zastali, hałasowali, a po wybiciu kilku szyb w pociągu, natychmiast się rozeszli. Prawie na wszystkich stacyach spotykano go gwizdaniem. Wyznaczę śledztwo dla zbadania tych zajść. Czy Wasza C. Mość rozkaże, by Muchanow przybył teraz do Petersburga? Wkrótce doniosę kogo naznaczyć do zarządzenia komisyą spraw wewnętrznych. Dalsze działania zastosuję do listu W. C. Mości z dnia 20 marca. Ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 25 marca 1851 roku.

Nie mogę w zupełności przyjąć projektu Wielopolskiego. Depesza księcia Gorczakowa (kanclerza) objaśni, na czem polegają zmiany. Na podstawie przyjętych zasad zostanie wygotowany ukaz, który jutro podpiszę i wyślę jutro albo w środę przez

Płatonowa i Karnickiego. W razie nowych nieporządków spodziewam się energicznych zarządzeń z waszej strony. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg. 26 marca 1861 roku.

Wczoraj wieczorem tłum zebrał się nagle przed teatrem i wybił kilka szyb w mieszkaniu generała Abramowicza, potem zaś w mieszkaniu rządowem radcy stanu Enocha, poczem zaraz się rozproszył.—Nie było potrzeby użycia wojska.

Dziś jeszcze doniosę o zastępstwie na miejsce Muchanowa. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 26 marca 1861 roku.

Potrzeba koniecznie ogłosić jutro w mojem imieniu o ustanowieniu rządowej komisyi wyznań i oświaty i o nominacyi na jej dyrektora Wielopolskiego. Potrzeba także ogłosić jutro w skróceniu program zamierzanych reform. Proszę o zezwolenie. Giecewicza czasowo przeznaczyłem do komisyi spraw wewnętrznych. Na Łaszczyńskim nie można w zupełności polegać. Zarządzam co potrzeba, by niedopuścić do dalszych nieporządków.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 26 marca 1861 roku.

Nie można żadną miarą zezwolić na powtórzenie się nieporządków, jakie zaszły w sobotę i poniedziałek. Dziś wieczór wyprawiam zięcia waszego Meyendorfa z listem. Płatonow jutro wyjedzie z ukazem. Michanowowi polećcie, by przyjeżdżał tutaj. *Aleksander.*

Petersburg—Warszawa. 26 marca 1861 roku.

Zgadzam się na ogłoszenia, również na nominacye Wielopolskiego i Giecewicza.

Aleksander.

Do księgi III. — od 28 marca do 12 czerwca 1861 r.

Warszawa — Petersburg. 28 marca 1861 roku.

Ogłoszenie o reformach wywarło jaknajlepsze wrażenie na umiarkowanych. Czy i jaki wpływ wywrze na innych, dopiero za kilka dni da się osądzić. Ks. *Gorzakow.*

Warszawa — Petersburg. 29 marca 1861 roku.

Ogłoszenie łask Monarszych nie przestaje wywierać jaknajlepszego wpływu. Nominacyę Wielopolskiego także dobrze przyjęto.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

29 marca 1861 roku.

Generał-porucznik Wagner, liczący się w wojskach zapasowych, stoi pod pańskimi rozkazami. Potrzebuję koniecznie powierzyć mu czasowo stanowisko, na którem powinien się znajdować wojskowy generał. Proszę o odpowiedź, czy mogę go użyć.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa — Petersburg. Do ministra wojny.

29 marca 1861 roku.

W tej chwili przybył Meyendorf.

Ks. *Gorczakow.*

Petersburg — Warszawa. Minister wojny do ks. Gorczakowa.

30 marca 1861 roku.

Na spisie generałów Cesarz własnoręcznie zaznaczył przy Wagnerze: „dać dymisyę.” Wszakże to nie przeszkodzi przedstawieniu, lecz w każdym razie wątpię, czy da się on użyć do jakiejkolwiek poważnej pracy administracyjnej. Czekam odpowiedzi [1]). *Suchozanet.*

---

[1]) Sprawdzona przez generała Gerstenzweiga lista kwalifikacyjna generała Wagnera podaje następujące daty: Generał-porucznik Wagner oficerem od 1819 roku. Genera-

Warszawa—Petersburg. 30 marca 1861 roku.

Dobre wrażenie wywołane przez nadane łaski nie przestaje się rozszerzać. Ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 30 marca 1861 roku.

Proszę wyjednać najwyższe zezwolenie na zamianowanie, w razie potrzeby, naczelników wojennych po guberniach.

Generał Wagner nadaje się na taką posadę.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 30 marca 1861 roku.

W tej chwili przybyli Płatonów i Karnicki.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 31 marca 1861 roku.

Najwyżej udzielone łaski wywierają dalej swój wpływ dobroczynny.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 1 kwietnia 1861 roku.

Ukaz został odczytany na radzie administracyjnej, następnie ogłoszony. Pierwsze wrażenie dobre. Dla dokładniejszego zdania sprawy wyślę za parę dni kuryera. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 2 kwietnia 1861 roku.

Ukaz nie przestaje wywierać dobrego wrażenia. Wszakże dotychczas nie da się osądzić, w jakim stopniu podziałał on bezpośrednio na umysły ogółu mieszkańców Warszawy.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

łem w 1848 roku, w obecnym stopniu od 20 października 1855 roku. Dowodził trzynastą dywizyą piechoty. Prosił o inne naznaczenie, w czem był poparty przez naczelnego wodza na Kaukazie. Dnia 26 stycznia 1860 roku zaliczony do wojsk zapasowych. Na ogólnym spisie generałów, zaliczonych do wojsk zapasowych, Najjaśniejszy Pan przy nazwisku generała Wagnera raczył własnoręcznie zaznaczyć „uwolnić“ ze służby.

Warszawa—Petersbnrg. 3 kwietnia 1861 roku.

Dobre wrażenie ukazu trwa widocznie dalej. Wieczorem wysyłam kuryera ze sprawozdaniem o ważnych zarządzeniach, o których także telegraficznie doniosę.—Muchanow wyjechał już z Berlina udając się do Petersburga.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 3 kwietnia 1861 roku.

Rozwiązałem wydział obywatelski przy magistracie i równocześnie zawiesiłem jego czynność policyjną. W resursie ogłoszono, że odtąd, nie zważając na postanowienia statutu, osobom, nie będącym stałymi członkami resursy, wstęp zostaje wzbroniony. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 3 kwietnia 1861 roku.

Kretkowski przybył dziś wieczór.

Ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 4 kwietnia 1861 roku.

Drzewiecki za słaby na teraźniejsze stosunki. Potrzeba niezbędnie energicznego dyrektora sprawiedliwości. Proszę o zatwierdzenie czasowe w tej godności ober-prokuratora dziewiątego departamentu, Wołowskiego. On nie podpisał adresu.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 4 kwietnia 1861 roku.

Na Wołowskiego się zgadzam. Potrzeba koniecznie zwrócić baczniejszą uwagę na telegraficzną korespondencyę tak dobrze z Rosyą, jak i z zagranicą. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg. 6 kwietnia 1861 roku.

Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiem, postanowieniem rady administracyjnej dziś zostało rozwiązane, co się jednocześnie ogłasza w dziennikach. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 7 kwietnia 1861 roku.

Gubernator lubelski Mackiewicz wyjechał do

Warszawy, nie zażądawszy pozwolenia. W obecnych stosunkach przykład potrzebny. Proszę o zezwolenie na wydalenie go ze służby.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg— Warszawa. 7 kwietnia 1861 roku.

Kuryer wasz nadjechał dziś rano. Najzupełniej pochwalam wszystkie ostatnie energiczne zarządzenia, jako zupełnie odpowiadające moim niezmiennym zamiarom. Gubernatora Mackiewicza dla przykładu usunąć ze służby. Kim się go zastąpi? Kryżanowskiego poślę wam ku końcowi tego tygodnia, kuryera wyślę we wtorek. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg. Do ministra wojny.

8 kwietnia 1861 roku.

Wczoraj miała miejsce wielka manifestacya na cześć rozwiązanego Towarzystwa rolniczego. Wojsko wystąpiło. Tłumy długo stały na ulicach, lecz w końcu się rozeszły. Obeszło się bez rozlewu krwi. Szczegóły z kuryerem, którego jutro wieczorem wysyłam.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. Do Jego Cesarskiej Mości.

8 kwietnia 1861 r.

Na miejsce Mackiewicza tymczasowo mianuję Boduszyńskiego, prokuratora przy trybunale cywilnym w Lublinie. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. Do Jego Cesarskiej Mości.

9 kwietnia 1861 roku.

Wczoraj znów się powtórzyło zbiegowisko na placu Zamkowym. Rozpędzono je bronią i walka po kilkakroć się wznawiała. Zabito około 10-ciu ludzi, tyleż rannych. Aresztowano 45-ciu opornych. Z naszej strony zginęło 5 ludzi.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg— Warszawa. 9 kwietnia 1861 roku.

Wczorajsze zaburzenia nie dziwią mnie wcale, oczekiwaliśmy tego. Spodziewam się, że teraz, bez żadnych ustępstw, porządek jaknajenergiczniej zo-

stanie przywrócony. Jeśli nieporządki się powtórzą, każ ogłosić w mieście stan oblężenia. Czy jest jaki oficer między poległymi, a między uwięzionymi czy jest którykolwiek z główniejszych kierowników? Resursę potrzeba koniecznie zamknąć. Kuryera wysyłam wieczorem. *Alek-ander.*

Warszawa—Petersburg. 9 kwietnia 1861 roku.

Dotychczas w mieście spokojnie. Lud nadzwyczaj rozdrażniony, lecz jeszcze bardziej wystraszony. Ogłaszam nowe rozporządzenia co do zbiegowisk. Stanu oblężenia nie ogłaszam, zatrzymując to jako ostatnią pogróżkę, tem bardziej, że *de facto* stan ten istnieje. Kuryera wyślę jutro wieczorem.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 9 kwietnia 1861 roku.

Z oficerów nikt nie zginął. Między uwięzionymi nie ma nikogo ważniejszego, przeważnie zwykli awanturnicy. Resursa sama się zamknęła i pozostanie zamkniętą. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 10 kwietnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczoraj w całem mieście panował spokój.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 13 kwietnia 1861 roku.

Wasz feldjeger przybył dziś o godzinie 8 rano, zdoławszy 12-go wsiąść na pociąg w Dynaburgu o godzinie 2 minut 20 po południu. Na przyszłość należy tak wyprawiać kuryerów, by przybywali do Dynaburga przed godziną drugą po południu.

Suchozanet.

Petersburg—Warszawa. 13 kwietnia 1861 roku.

Kuryer wasz przybył dziś rano. Daj Boże, aby nauczka, dana ósmego warszawskiemu ludowi, pozbawiła go ochoty do podobnych zbiegowisk. Żądam, by za pierwszem powtórzeniem się takowych ogłoszono w Warszawie i w całym kraju stan oblężenia. Proszę mi przysłać szczegółowe sprawozdania

o wszystkiem, co się u was dzieje. W razie użycia wojska donosić dokładnie o wszystkiem za pośrednictwem ministra wojny. Od jakiej broni byli zabici i ranni w Warszawie? Jutro napiszę przez kuryera wiedeńskiego. Kryżanowski wyjeżdża we wtorek.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

14 kwietnia 1861 roku.

Jeśli wypadnie mi rozproszyć siłą oręża jakie zbiegowisko, natychmiast ogłoszę stan oblężenia, wszakże nie spodziewam się, by tak zaraz przyszło do tej ostateczności, gdyż widocznie wszyscy spokornieli.

Przez najbliższego kuryera prześlę szczegółową relacyę o zajściach na prowincyi, gdzie wszakże nigdzie nie zachodziła potrzeba użycia broni.

W Warszawie tumultanci zginęli wyłącznie od strzałów karabinowych, których dano 450. Działa nie były użyte.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. *Do Jego Cesarskiej Mości.*

15 kwietnia 1861 roku.

Jeden kozak zginął, ugodzony kamieniem. Żołnierz, o którym sądzono, że zabity, odnalazł się w szpitalu, ciężko raniony kamieniem. Czternastu żołnierzy jest rannych kamieniami lub kijami o gałkach ołowianych. Dziewiętnastu zaś lekko kontuzyonowanych kamieniami.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 16 kwietnia 1861roku.

Urzędnikom w Królestwie, którzy wskutek obecnych zajść będą prosić o uwolnienie od obowiązków, albo też z urzędu zostaną uwolnieni ze służby, nie przyznawać emerytury aż do dalszego rozporządzenia. Co należy ogłosić w rodzaju ostrzeżenia.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

19 kwietnia 1861 roku.

Dziś jestem niezdrów. Kuryera dopiero jutro wyprawię. Tutaj wszystko w porządku.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

21 kwietnia 1861 roku.

Proszę oświadczyć Najjaśniejszemu Panu, że pozawiązywane w różnych miejscowościach Królestwa delegacye wszystkie zostały rozwiązane i nadzór nad publicznym porządkiem wszędzie poruczono miejscowym władzom policyjnym, którym w razie potrzeby udzielą pomocy władze wojskowe.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

21 kwietnia 1861 roku.

Kryżanowski przybył dziś rano.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 23 kwietnia 1861 roku.

Kuryer wasz przybył dziś rano. Wszystkie poczynione zarządzenia pochwalam. Napiszę jutro.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 27 kwietnia 1861 roku.

Czy nie możnaby przysłać tutaj jakiego bardzo tęgiego audytora dla śledczej komisyi w cytadeli. Niezmiernie mi jest potrzebny.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 28 kwietnia 1861 roku.

W tych dniach zostanie wysłany audytor Achszarumow [1]).—Książę Urusow dziś przyjechał.

Minister wojny *Suchozanet.*

---

[1]) Jan Dymitrowicz Achszarumow, asesor kolegialny, lat 30, prawosławny, żonaty, kandydat praw z uniwersytetu petersburskiego. (Notatka ministra wojny).

Warszawa— Petersburg. 29 kwietnia 1861 roku.

Czy mam już teraz oznajmić Paniutynowi o jego uwolnieniu i czy mogę do czasu nadejścia odpowiedzi od Lamberta, poruczyć tymczasowo pełnienie obowiązków generał-gubernatora Merchielewiczowi. Ani Urusow, ani Chrulew lub Kucyński do tego się nie nadają. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg— Warszawa. 29 kwietnia 1861 roku.

Paniutyna można zaraz uprzedzić, na Merchielewicza się zgadzam. Kuryer wasz przybył wczoraj rano. Odpowiem jutro. *Aleksander.*

Warszawa— Petersburg. 30 kwietnia 1861 roku.

Tutaj wszystko spokojne. Kuryera wyślę zapewne nie prędzej aż za dni parę. Zabierze projekta o urządzeniu włościan, nad którymi wiele pracujemy. Paniutyn życzy sobie być przy cesarzu. Tymczasowo poruczam zastępstwo Merchielewiczowi. Oby się tylko Lambert zgodził. Lepszego wyboru trudno życzyć. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg— Warszawa. 9 maja 1861 roku.

Kuryer wasz przybył wczoraj. Zatwierdzenie ukazu o urządzeniu włościan odkładam aż do nadejścia opinii Giecewicza, którą proszę mi śpiesznie przysłać. Odpowiem, gdy otrzymam oświadczenie Lamberta, które powinno już za parę dni nadejść. *Aleksander.*

Warszawa— Petersburg. 12 maja 1861 roku.

W tej chwili wyrusza feldjeger do Petersburga. Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg— Warszawa. 13 maja 1861 roku.

Odpowiedź na sprawozdania nastąpi po przybyciu kuryera, którego wczoraj wyprawiliście z Warszawy. Minister wojny *Suchozanet.*

Petersburg— Warszawa. 13 maja 1861 roku.

Kuryer wasz przybył dziś rano. Jutro zostanie załatwiony ukaz o urządzeniu włościan. W pią-

tek ztąd odejdzie. Jeszcze nie otrzymałem stanowczej odpowiedzi od hr. Lamberta, spodziewam się jej za tydzień. *Aleksander.*

Dnia 15 maja generał-adjutant Suchozanet telegrafował do księcia Gorczakowa, że dnia 24 maja cesarz wyjeżdża do Moskwy i że byłoby bardzo do życzenia, aby Płatonow powrócił do Petersburga jeszcze przed tym terminem. Następnie na zapytanie księcia Gorczakowa, jak długo cesarz zamierza zabawić w Moskwie, odpowiada: do 21 czerwca 1861 roku.

Warszawa—Petersburg. 17 maja 1861 roku.

Płatonow dziś w nocy wyjeżdża.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. 19 maja 1861 roku.

Proszę zakomunikować Płatonowi: Rota przysięgi. Ja, niżej podpisany obiecuję i przysięgam, że prawem określone obowiązki członka .. będę spełniał sumiennie i gorliwie, i tak wszędzie i zawsze postępował, jak na uczciwego i wiernego poddanego Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, Aleksandra II przystało. Zwroty i formuły religijne, stosownie do wyznania.

Gen. adj. ks. *Gorczakow.*

Petersburg—Warszawa. 21 maja 1861 roku.

Płatonow przybył. Projekta zostaną rozpatrzone na radzie ministrów w mojej obecności. Z tego powodu odłożyłem wyjazd do Moskwy do 29 b. m.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 22 maja 1861 roku.

Jermołow nie umie prowadzić spraw komisyi śledczej. Upraszam o zezwolenie na poruczenie przewodnictwa w tej komisyi pułkownikowi *von* Tschudi, który nareszcie przybył. (Cesarz się zgodził).

Gen adj. ks. *Gorczakow.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

25 maja 1861 roku.

Dziś w południe książę Gorczakow silnie zasłabł. Doktorzy powiadają, że wyraźnego niebezpieczeństwa niema. Donoszę o tem, uprzedzając prywatne depesze. O dziesiątej wieczorem ponownie zatelegrafuję. *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

26 maja 1861 roku.

Księciu nie lepiej, lecz i nie gorzej. Lekarstwa nie skutkują. Książę upadł na duchu i mówi o śmierci. Cierpi bardzo. Zajmować się sprawami nie może. *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

26 maja, godz. 11 m. 45 przed poł.

Książę bardzo osłabiony, polecił mi, bym objął dowództwo nad armią. Lekarze nie widzą niebezpieczeństwa. Noc była niespokojna.

Kryżanowskij.

Petersburg—Warszawa. Do gen. adj. Merchielewicza, pełniącego obowiązki warszawskiego wojennego generał-gubernatora.

26 maja 1861 roku.

Z najwyższego rozkazu poleca się panu na czas choroby namiestnika objąć zarząd spraw cywilnych i przewodniczyć na radzie administracyjnej Królestwa aż do przybycia ministra wojny, który wyjeżdża 28 b. m. *Suchozanet.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny*

26 maja 1861 roku.

Kuryer w tej chwili wyjeżdża. Doktorzy nie pozwolili oznajmić księciu o waszem przybyciu. Kiedy i gdzie mam was oczekiwać? Czy nie rozkażesz pan zatrzymać kuryera w Dynaburgu dla odebrania ważnych papierów, które wiezie?

Kryżanowskij.

Warszawa — Petersburg. *Do ministra wojny.*

26 maja, wieczorem.

Książę czuje się nieco lepiej, lecz jest bardzo osłabiony. Lekarze oświadczyli, że do zupełnego wyzdrowienia potrzeba co najmniej czterech tygodni. *Kryżanowskij.*

Warszawa — Petersburg. *Do ministra wojny.*

27 maja 1861 roku.

Noc przeszła w silnych napadach astmy. Chwilami uspokajał, się siedząc w fotelu. Siły wciąż bardzo słabe. *Kryżanowskij.*

Warszawa — Petersburg. *Do ministra wojny.*

27 maja, godz. 12 m. 21 po południu.

Stan chorego nic się nie poprawił. Mdłości większe, oddech trudniejszy i osłabienie coraz większe. *Kryżanowskij.*

Petersburg — Warszawa. *Do księcia M. D. Gorczakowa.*

27 maja 1861 roku.

Stosownie do pańskiego życzenia, wysyłam ministra wojny, by was czasowo zastąpił. On wyjeżdża 17 (29) b. m. Proszę Boga o jaknajprędszy powrót wasz do zdrowia. *Aleksander.*

Petersburg — Warszawa. *Do generała Kryżanowskiego.*

27 maja 1861 roku.

Doczekam się na miejscu waszego kuryera. Dnia 29 rano, przeprowadziwszy Najjaśniejszego Pana kilka stacyi ku Moskwie, wrócę do Carskiego Sioła i tego samego dnia o godzinie 2 minut 30 po południu wyjadę do Warszawy, dokąd zapewne przybędę 31-go w nocy. Proszę nie zarządzać żadnych przyjęć i spotkań. Kuryer poprzedzi mnie o całą dobę. Minister wojny *Suchozanet.*

Warszawa — Petersburg. 27 maja 1861 roku.

W Warszawie zaczyna się objawiać pewne wzburzenie. Na czwartek, a może na środę przy-

gotowują się demonstracye. Zamierzam jutro wybębnić, że pierwszy strzał dany z cytadeli na alarm, będzie zarazem znakiem zaprowadzenia w mieście stanu wojennego. Proszę o rozkazy.

Kryżanowskij.

Zgodnie z wydanym z tego powodu najwyższym rozkazem, minister wojny depeszą z dnia 27 maja 1861 roku polecił Kryżanowskiemu, by tenże oznajmił Merchelewiczowi, że cesarz zezwala na wydanie takiego ogłoszenia.

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

27 maja 1861 r. wieczorem.

Chory spędził dzień nięco lepiej. Oddech swobodniejszy. *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

28 maja 1861 roku.

Umysły wzburzone. Dziś były zajścia z policyą na Lesznie i w Czerniakowie. Wkrótce należy oczekiwać poważniejszych zaburzeń. Proszę o polecenie, by generał-adjutant Merchielewicz ogłosił we własnem imieniu, że pierwszy strzał alarmowy dany z cytadeli, będzie zarazem znakiem postawienia miasta w stanie wojennym.

Kryżanowskij.

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

28 maja 1861 roku.

Dziś rano zawiadomiono księcia o pańskim przyjeździe, z czego jest bardzo zadowolony. Lekarze nie pozwolili wcześniej zakomunikować tej wiadomości choremu. *Kryżanowskij.*

Petersburg—Warszawa. *Do księcia Gorczakowa.*

28 maja 1861 roku.

Nowe ustawy dla Królestwa wczoraj zostały rozpatrzone na radzie ministrów i ostatecznie je

Warszawa — Petersburg. *Do ministra wojny.*

26 maja, wieczorem.

Książę czuje się nieco lepiej, lecz jest bardzo osłabiony. Lekarze oświadczyli, że do zupełnego wyzdrowienia potrzeba co najmniej czterech tygodni. *Kryżanowskij.*

Warszawa — Petersburg. *Do ministra wojny.*

27 maja 1861 roku.

Noc przeszła w silnych napadach astmy. Chwilami uspokajał, się siedząc w fotelu. Siły wciąż bardzo słabe. *Kryżanowskij.*

Warszawa — Petersburg. *Do ministra wojny.*

27 maja, godz. 12 m. 21 po południu.

Stan chorego nic się nie poprawił. Mdłości większe, oddech trudniejszy i osłabienie coraz większe. *Kryżanowskij.*

Petersburg — Warszawa. *Do księcia M. D. Gorczakowa.*

27 maja 1861 roku.

Stosownie do pańskiego życzenia, wysyłam ministra wojny, by was czasowo zastąpił. On wyjeżdża 17 (29) b. m. Proszę Boga o jaknajprędszy powrót wasz do zdrowia. *Aleksander.*

Petersburg — Warszawa. *Do generała Kryżanowskiego.*

27 maja 1861 roku.

Doczekam się na miejscu waszego kuryera. Dnia 29 rano, przeprowadziwszy Najjaśniejszego Pana kilka stacyi ku Moskwie, wrócę do Carskiego Sioła i tego samego dnia o godzinie 2 minut 30 po południu wyjadę do Warszawy, dokąd zapewne przybędę 31-go w nocy. Proszę nie zarządzać żadnych przyjęć i spotkań. Kuryer poprzedzi mnie o całą dobę. Minister wojny *Suchozanet.*

Warszawa — Petersburg. 27 maja 1861 roku.

W Warszawie zaczyna się objawiać pewne wzburzenie. Na czwartek, a może na środę przy-

gotowują się demonstracye. Zamierzam jutro wybębnić, że pierwszy strzał dany z cytadeli na alarm, będzie zarazem znakiem zaprowadzenia w mieście stanu wojennego. Proszę o rozkazy.

Kryżanowskij.

Zgodnie z wydanym z tego powodu najwyższym rozkazem, minister wojny depeszą z dnia 27 maja 1861 roku polecił Kryżanowskiemu, by tenże oznajmił Merchelewiczowi, że cesarz zezwala na wydanie takiego ogłoszenia.

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

27 maja 1861 r. wieczorem.

Chory spędził dzień nięco lepiej. Oddech swobodniejszy. *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

28 maja 1861 roku.

Umysły wzburzone. Dziś były zajścia z policyą na Lesznie i w Czerniakowie. Wkrótce należy oczekiwać poważniejszych zaburzeń. Proszę o polecenie, by generał-adjutant Merchielewicz ogłosił we własnem imieniu, że pierwszy strzał alarmowy dany z cytadeli, będzie zarazem znakiem postawienia miasta w stanie wojennym.

Kryżanowskij.

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

28 maja 1861 roku.

Dziś rano zawiadomiono księcia o pańskim przyjeździe, z czego jest bardzo zadowolony. Lekarze nie pozwolili wcześniej zakomunikować tej wiadomości choremu. *Kryżanowskij.*

Petersburg—Warszawa. *Do księcia Gorczakowa.*

28 maja 1861 roku.

Nowe ustawy dla Królestwa wczoraj zostały rozpatrzone na radzie ministrów i ostatecznie je

zatwierdziłem. Szczerze dziękuję za tę sumienną pracę. Minister wojny wyjeżdża jutro. Płatonowa wyślę, jak tylko prace przygotowawcze zostaną tu wykończone. Zgadzam się na wasz wyjazd za granicę. Daj Boże, aby był skuteczny. *Aleksander.*

Warszawa—Petersburg. *Do ministra wojny.*

28 maja 1861 roku.

Ogłoszenia po mieście uskuteczniono i przypomniano wydane rozporządzenia na wypadek nieporządków. Po naradzie z Wielopolskim nie wspomniano o zaprowadzeniu stanu oblężenia.

Kryżanowskij.

Warszawa—Petersburg. *Do gen. adj. hr. Adlerberga 2-go.*

29 maja 1861 roku.

W nocy silne ataki astmy połączone z mdłościami. Bezsenność. Zupełny upadek sił.

Kryżanowskij.

Warszawa—Petersburg. *Do gen. adj. hr. Adlerberga 2-go.*

29 maja 1861 roku.

Książę Gorczakow dzień spędził dosyć spokojnie, oddech mniej utrudniony. Bezsenność ciągła. W mieście spokojnie. *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. *Do gen. adj. hr. Adlerberga 2-go.*

30 maja 1861 roku.

Bezsenność trwa ciągle, lecz noc była spokojniejsza. Astma nie tak silna. Zanik sił zupełny.

Kryżanowskij.

Warszawa—Petersbnrg. *Do ministra wojny.*

30 maja, godz. 1 min. 52 po południu.

Książę Gorczakow nie żyje. Umarł spokojnie w południe. *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. *Do gen. adj. hr. Adlerberga 2-go.*

30 maja 1861 roku.

Dziś wieczorem wysyłam kuryera do Moskwy z listem księcia Gorczakowa do Najjaśniejszego Pa-

na, który znaleziono po jego śmierci. Między innemi w liście tym jest prośba o zezwolenie, by zwłoki jego zostały pochowane w Sewastopolu na północnej stronie. Księżna prosi o telegraficzną wiadomość, co Najjaśniejszy Pan postanowi w tym względzie. *Kryżanowskij.*

Moskwa—Warszawa. 30 maja 1861 roku.

Najjaśniejszy Pan z największą gotowością zezwala na pochowanie zwłok ś. p. Gorczakowa na północnej stronie Sewastopola. Honory wojskowe mają być oddane stosownie do wydanego ministrowi wojny w Warszawie rozkazu, to jest pułk piechoty, pułk kawaleryi i baterya artyleryi powinny przeprowadzić zwłoki od Belwederu do rogatki i tam oddać ostatnie honory.

Hr. *Adlerberg 2-gi.*

Warszawa—Moskwa. 4 czerwca 1861 roku.

Wyprowadzenie zwłok ks. Gorczakowa odbędzie się 27 maja (8 czerwca). Do Wiednia przybędę 28 maja (9 czerwca), do Gałaczu lub ujścia Dunaju dnia 30 maja (11 czerwca). Upraszam o polecenie wysłania na dzień i miejsce oznaczone parostatku dla zabrania zwłok i rodziny nieboszczyka i przewiezienia ich do Sewastopola.

Minister wojny *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. Do gen. adj. hr. Adlerberga 2-go.

6 czerwca 1861 roku.

Lambert wyjechał 4-go, przybędzie do Petersburga zaledwie 7-go wieczorem, albo 8-go rano. Zamierzał zabawić tam dwa lub trzy dni.

Gen. adj. *Kryżanowskij.*

Moskwa—Warszawa. Do gen. adj. Suchozaneta.

6 czerwca 1861 roku.

Przed trzema dniami podpisałem ukazy o nowych ustawach dla Królestwa. Płatonowa zatrzy-

muję aż do przyjazdu hr. Lamberta. Tuczkow stanowczo wymawia się od Warszawy i dlatego mocno jestem zafrasowany kogo naznaczyć [1]).

Aleksander.

Warszawa—Moskwa. *Do Jego Cesarskiej Mości.*

7 czerwca 1861 roku.

Wczoraj ostatni dzień procesyi, odbywanych z powodu Bożego Ciała. Na Lesznie było do 20,000 ludu, na Solcu jakie 8,000. Wszystko się odbyło w zupełnym porządku, z powagą i nabożeństwem, o czem mam szczęście donieść Waszej Cesarskiej Mości. Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. *Do Jego Cesarskiej Mości.*

7 czerwca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień w mieście przeszedł spokojnie. Dziś rano odprawiają się egzekwie, a o pierwszej po południu nastąpi odjazd zwłok i rodziny ś. p. księcia Gorczakowa do Wiednia. Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. *Do Jego Cesarskiej Mości.*

7 czerwca 1861 roku.

Depeszę z dnia 7-go, godzina trzecia po południu, otrzymałem 8-go o godzinie 9-ej rano. Błagam nie śpieszyć się z ostateczną decyzyą. Jeżeli bez szkody dla sprawy da się prowadzić tymczasowy zarząd, mogę takowy pełnić. Wszakże jestem przeświadczony, że na dotychczasowem stanowisku mogę być pożyteczniejszym Waszej Cesarskiej Mości. Ostatecznie jako wierny poddany i obowiązkowy sługa nie będę Cesarzowi mojemu stawiał trudności, jeśli się okaże stanowcza potrzeba tej nominacyi. Lecz, Najjaśniejszy Panie, dla dobra samej sprawy musimy wszyscy i każdy z osobna być pe-

---

[1]) List Tuczkowa na końcu tej korespondencyi.

wni, że posiadamy zupełne zaufanie Waszej Cesarskiej Mości. Lambert przedstawi osobiście stan tutejszego kraju i jedynie możliwy według naszego mniemania system dalszego działania, również zrobi przedstawienie o osobach, które w każdym razie są tu koniecznie.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Moskwa. 8 czerwca 1861 roku.

Zwłoki ś. p. księcia Gorczakowa przeniesiono dziś z należnymi honorami wojskowymi z cerkwi pałacu Łazienkowskiego na dworzec drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. O pierwszej po południu wyruszył pociąg, zabierając rodzinę nieboszczyka, jego adjutantów (Mezeńcowa, bar. Meyendorfa, ks. Golicyna, Ładomirskiego i ks. Urusowa), sześciu kozaków liniowych i czterdziestu żołnierzy piechoty pod dowództwem generał-majora Stahla von Holstein. W Skierniewicach, Piotrkowie, Częstochowie i Granicy ustawiono straże honorowe, gdyż w tych miejscach pociąg się zatrzymuje. W Szczakowie Stahl zda zwłoki komendantowi miasta Krakowa, który je spotka z oddziałem pułku piechoty króla hanowerskiego. — W czasie pogrzebu w Warszawie wszystko się odbyło spokojnie i z godnością, jak na taką smutną okoliczność przystało.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Moskwa — Warszawa. 8 czerwca 1861 roku.

Wasz kuryer przybył dzisiaj. O pensyach dla księżny Gorczakow i jej córek otrzymacie zawiadomienia. Lamberta oczekuję pojutrze.

Aleksander.

Warszawa – Moskwa. 10 czerwca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że dzień wczorajszy w mieście upłynął spokojnie. W ogrodzie Saskim było dosyć publiczności i ta zachowywała się zupełnie spokojnie. W parku Łazienkowskim po raz pierwszy przygrywała muzyka. W następnym tygo-

dniu zamierzam rozpocząć przedstawienia w teatrach.

Feldjeger Weisman przybył wczoraj o czwartej, dziś rano wysyłam go do Wiednia, do księżny Gorczakow.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. 11 czerwca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień przeszedł spokojnie. W kościele św. Krzyża odprawiono nabożeństwo żałobne za Lelewela.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. 12 czerwca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień w mieście przeszedł spokojnie. W Suwałkach wczoraj zaszły nieporządki, wskutek czego wojsko aresztowało kilka osób, wszakże bez użycia broni. Dla przeprowadzenia śledztwa wysyłam tam generał-adjutanta Rudawskiego. — Dla przywrócenia porządku mianuję tam naczelnika wojennego.

Gen. adj. *Suchozanet.*

List Pawła Aleksiejewicza Tuczkowa, adresowany do szefa żandarmów, księcia Dołgorukiego, celem oświadczenia Cesarzowi, dla jakich powodów nie może przyjąć ofiarowanej sobie wysokiej godności namiestnika w Królestwie Polskiem.

Miłościwy Książe Wasylu Andrejewiczu!

Chociaż nadzwyczaj pochlebnym i drogocennym dla mnie jest ten wysoki dowód zaufania Jego Cesarskiej Mości, wyrażony w zrobionej mi propozycyi, jednak, stłumiwszy w sobie wszelkie porywy osobistej próżności i sławy, wszelkie wyrachowania materyalnych korzyści — jako uczciwy człowiek poczuwam się do obowiązku sumiennego zbadania sił swych i zdolności, i bezstronnego rozważenia, czy mogę odpowiedzieć poruczonym mi obowiązkiem.

Po długim namyśle w tak ważnej sprawie, mu-

szę z całą szczerością przyznać się do braków, które mogłyby zaszkodzić samej sprawie.

W obecnym wypadku niezbędnie mieć potrzeba charakter niezawisły, by módz działać bez względu na jakiekolwiek miejscowe wpływy. Czyż ja, nie znający zupełnie kraju, jego stosunków i skomplikowanej administracyi, nie znając zupełnie ludzi, z którymi przyjdzie mi mieć styczność, nie mając żadnych ani politycznych, ani dyplomatycznych wiadomości, a do tego nie władając swobodnie obcymi językami, w których potrzeba się stale porozumiewać z miejscowemi rządowemi władzami i osobistościami—posiadam te warunki?

W takich więc okolicznościach, bez wiary w siebie, a przy wrodzonej, niczem niedającej się przezwyciężyć nieśmiałości—jak się uchronić od mimowolnego ulegania wpływom postronnym, jak się zastrzedz przed obraniem fałszywego kierunku w chwilach, gdzie stosunki mogą wymagać natychmiastowej decyzyi i działania?

Zważywszy to wszystko, jakkolwiek ciężko mi opierać się świętej dla mnie woli mojego Cesarza i Pana, jakkolwiek trudno przyzwyciężyć podszepty miłości własnej i względy osobistych korzyści — to jednak wewnętrzny głos sumienia i uczciwość ułatwi mi to, pochodzące z najgłębszego przeświadczenia, wyznanie mej zupełnej w danym wypadku nieudolności, a tem uchroni Cesarza i Ojczyznę od fałszywego i szkodliwego wyboru.

Oby Najjaśniejszy Pan raczył mi najmiłościwiej przebaczyć, że się wymawiam od ofiarowanego mi stanowiska; lecz nie mam w tem żadnego innego celu ani pobudek, jak tylko wzgląd na rzeczywiste dobro Jego Cesarskiej Mości.

Racz przyjąć książe i t. d.

Moskwa, w czerwcu 1861.

Paweł Tuczkow.

Wiersz Władysława Syrokomli

(Ludwika Kondratowicza)

napisany z powodu zamknięcia Towarzystwa rolniczego w Królestwie Polskiem.

Nas zebranych wielu razem
Car widzieć nie życzy.
Więc rozwiązał swym ukazem
Legion rolniczy!

Sam przypomniał Twoje długi
Rolniczy człowiecze,
Że żelazne sochy, pługi
Czas przekuć na miecze!

Wszak młocarnie i żniwiarki
Bezczynnie nie żyją;
Żąć i młócić wrogów karki
Jest agronomią.

Gospodarka trzechpolowa
Wrogom się podoba.
Łan Poznania, łan Krakowa
Wzięli Niemcy, oba.

Moskwa wzięła resztę łanów
Polski, Litwy, Rusi.
Więc reforma płodozmianów
Kłuć ich w oczy musi.

Łanów tych czy nie odbierzem?
Rady na to niema?
Złącz Łokietka z Kazimierzem—
To Polska systema!

Miecz i lemiesz—w swoją kolej
Wyborne narzędzie.
Łan zasiewaj, krwią go polej,
A pszenica będzie!

Gdy trzy łany wydrzem dziczy,
Gdy się kąkol wytnie —
Nasz odwieczny dom rolniczy
Znowu nam zakwitnie.

Kwiecień, 1861.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

„Ja chcę tylko z mego małego fotograficznego zbioru wydać kilka obrazków... W nich, jak zwykle w fotografiach, schwycono i utrwalono wiele rzeczy przypadkowych; niezręczne pozy, ugrupowania; drobiazgi zanadto wydatne, obok wiernego odbicia wypadków i nieupiększonych fizyonomii działających osób".

Herzen. „Kołokoł" 1864 r. Nr 188, str. 1542.

„Wypadki rzadko się rozwijają w prostym, logicznym porządku. Przeciwnie, najczęściej, lawirując zataczają się po liniach spiralnych, odgrywają się po stycznych".

Herzen. „Oeuvres posthumes" str. 85.

„Pół-środki i pół-życzenia świadczą tylko o połowicznych ludziach".

Napoleon I.

„Prawda jest potrzebą duszy i największą jest tyranią zadawanie najmniejszego gwałtu zadosyćuczynieniu tej potrzeby".

G. E. Lessing. „Laokoon" tom II.

KSIĘGA IV.

Nominacya Suchozaneta.—Wznowienie manifestacyi.—Hrabia Lambert.—Wybory.—Manifestacya w Horodle.—Śmierć i pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. — Egzekwie za Kościuszkę.—Uwięzienia po kościołach. — Zamknięcie kościołów.—Samobójstwo Gerstenzweiga. — Wyjazd hr. Lamberta — (Od 8 czerwca do 26 października 1861 roku.

Tegoż samego dnia, 28 maja 1861 roku, gdy generałowi Merchelewiczowi, jeszcze za życia księcia Gorczakowa poruczono zastępczo sprawowanie cywilnego zarządu w Królestwie Polskiem, cesarz zamianował i następcę jego w osobie ministra wojny, Mikołaja, syna Onufrego, Suchozaneta, z tytułem pełniącego obowiązki namiestnika. Twierdzą, że w ten delikatny sposób chciano się pozbyć z Petersburga tej, na nic już nieprzydatnej, starzyzny, by na jego miejsce zamianować ministrem wojny Milutina. Przyznać atoli należy, że wówczas rząd mógł tylko wybierać wśród podobnej starzyzny: dzielni i młodzi ludzie, którzyby z większą korzyścią mogli zająć to, tak w oczach spokojnych zaszczytne i pożądane stanowisko, teraz uciekli odeń, jak od zapowietrzonego miejsca i truchleli, aby cesarz któremu z nich nie rozkazał jechać do Polski.

Lecz cesarz, podówczas tak miękko i łagodnie usposobiony dla obcych, czy mógł być surowym dla swoich? a zresztą i czasy nie były odpowiednie dla okazania jakiejkolwiek surowości. Opowiadano, że cesarz proponował hrabiemu Mikołajowi Mikołajewiczowi Murawiewowi-Amurskiemu posadę namiestnika w Królestwie Polskiem, który właśnie co tylko prosił o uwolnienie od obowiązków generał-gubernatora wschodniej Syberyi, ten atoli miał odpowiedzieć: „Przyznaję, najjaśniejszy panie, że może byłbym wcale odpowiednim przedstawicielem rosyjskiej władzy w Królestwie, lecz żona moja, cudzoziemka, nie mówiąca nawet po rosyjsku, w żaden żywy sposób nie mogłaby być reprezentantką rosyjskiego towarzystwa w Warszawie. Proszę nadto zważyć, jak polska arystokracya jest drażliwą [1]).

Po tej odmowie dopiero miano się zwrócić do przestarzałego laty i umysłem Suchozaneta. Zewnętrznie posiadał on wszystkie odpowiednie przymioty: długie lata służby, tytuł ministra wojny, do tego zaś orderów omal nie tyle ile liczył sobie lat wieku. Z przeszłości jego tyle nam wiadomo:

Mikołaj Onufriewicz Suchozanet był bardzo niskiego pochodzenia. Ojciec jego, Grek rodem, był szynkarzem w Nieżynie. Urodzony w 1794 roku,

---

[1]) Żona hr. Amurskiego występowała kiedyś w cyrku w Strasburgu i jako nadzwyczajna piękność, zrobiła znajomość ze znanym milionerem Jakowlewym, który ją następnie ustąpił hr. Murawiewowi, jak powiadają za 20,000 rubli sr.—(Dziennik pułk. Krywonosowa).

M. J. Wieniukow w pracy swej hr. M. M. Murawiew-Amurski (*Ruskaja Starina*, luty 1882 r. str. 525) powiada, że gdy zaproponowano hrabiemu zarząd Polską w maju 1851 roku, ten miał oświadczyć: „Niech mi pierwej powiedzą, czego właściwie rząd chce w Warszawie, czy rzeczywistego uspokojenia umysłów, czy tylko policyjnego ładu i porządku? Wtedy pójdę—dwuznacznie zaś działać (kręcić) nie w moim charakterze"! Hrabia M. M. Murawiew-Amurski umarł w Paryżu z 18 na 19 listopada 1881 roku.

w domu otrzymał nader niedostateczne wychowanie, szczególniej zaś źle i niegramatycznie mówił i pisał w języku nibyto rodowitym. (Przytaczane poniżej jego mowy, wszystkie są poprawione i wygładzone). W kwietniu 1811 roku rodzice Mikołaja Onufriewicza oddali go do wojska, jako wymagającego podówczas najmniej wykształcenia, a mianowicie do pierwszej konno-artyleryjskiej kompanii na junkra. (Kompanie przekształcono następnie na baterye). Wojna pomogła do prędkiego awansu. Dnia 26 grudnia 1811 roku został chorążym, zaś w sierpniu 1812 roku za odznaczenie się w bitwie pod Połockiem podporucznikiem, 26 listopada 1812 roku porucznikiem, a następnie we dwa lata, dnia 12 sierpnia 1814 r. przeniesiony do gwardyjskiej artyleryi, został adjutantem przy naczelniku artyleryi pierwszej armii. W 1820 r. był już pułkownikiem a w 1828 r. awansował na generał-majora [1]). W 1848 roku za odznaczenie się został generał-porucznikiem i w czasie węgierskiej kampanii był naczelnikiem artyleryi czynnej armii. Mieszkając potem w Warszawie, uchodził za bardzo zdolnego generała, o którym mało mówiono, a którego Paskiewicz znosił w służbie, jako spokojnego, starego wiarusa, nie mieszającego się do niczego.

W czasie wojny wschodniej o Suchozanecie nic nie słychać, należał zapewne do tego balastu sztabowego każdej czynnej armii, zwykle znajdującego się gdzieś przy tyłach linii bojowej. Naraz następująca okoliczność wysunęła go na pierwszy plan widowni. Była chwila, że w Krymie obawiano się wkroczenia Francuzów wgłąb kraju dla zajęcia Perekopu i przecięcia wszelkiej komunikacyi

---

[1]) Książę Eugeniusz Wirtemberski w pamiętnikach swoich o wojnie rosyjsko-tureckiej z roku 1828, bardzo korzystnie dzywa się o M. O. Suchozanecie.—*Ruskaja Starina* 1) roku, kwiecień, strona 781—800.

armii, działającej pod Sewastopolem z Rosyą. Naczelny wódz postanowił cofać się z główną armią do wewnętrznych gubernii, zaś jeden oddział pozostawić na półwyspie dla zabezpieczenia odwrotu na straconem stanowisku, z poleceniem trzymania się do ostateczności, chociażby przyszło wszystkim zginąć. Ma się rozumieć, że niewielu było ochotników do dowodzenia oddziałem, zawczasu już na zgubę przeznaczonym. Wszyscy generałowie ze sztabu tylnych straży, prosili Boga, by mogli jaknajprędzej dostać się do prawdziwej, nie tatarskiej Rosyi. Jedynie biały jak śnieg Suchozanet nie pomyślał o tem, podjął się dobrowolnie dowództwa i zaraz został przezwany przez sfrancuziałego księcia Gorczakowa *Soyons-honnête*.

Nieprzyjaciel, jak wiadomo, wgłąb Krymu nie poszedł. Przeznaczony na stracenie oddział wojska, a z nim i Suchozanet, pozostali nietknięci. Gdy w 1855 r. cesarz Aleksander II w październiku zwiedzał Krym i Sewastopol, Gorczakow, przedstawiając najbardziej odznaczających się oficerów, między innymi przedstawił i starego *Soyons-honnête*. Cesarz zapamiętał nazwisko, a gdy po śmierci Paskiewicza, Gorczakow został zawezwany do Petersburga, dowódca zaś 5-go korpusu otrzymał naczelne dowództwo nad armią południową i Krymem, dowództwo 5-go korpusu powierzono Suchozanetowi; po wojnie został wezwany na ministra wojny.

Na tem stanowisku wyszła na jaw niezwykła piśmienność generała. Któż nie wie w Petersburgu i w całej armii o własnoręcznej uwadze jego, zrobionej na raporcie, podanym mu przez dyrektora biura, radcę tajnego Briskorna; uwaga, która się niemal stała historyczną. W początkach dochodzeń nad zarządem intendentury czynnej armii w kwietniu lub maju 1866 r. Briskorn przedstawił Suchozanetowi, że dla ułatwienia zadania prezesowi komisyi śledczej, księciu Wiktorowi Hilaryonowiczowi Wasilczykowu, należy polecić departamentowi komi-

saryackiemu i medycznemu, ażeby ułożyli dokładne historyczno-statystyczne sprawozdanie o szpitalach istniejących przy armiach: południowej i krymskiej. Gdyby sprawozdanie to prędko zrobiono, to Briskorn zobowiązywał się zestawić dokładny wyciąg z takowego w ciągu sześciu tygodni, mniej-więcej na lipiec, a może i prędzej. Suchozanet, otrzymawszy zażądane sprawozdanie i widząc poważną jego objętość, a przytem przy pobieżnem przeglądaniu natrafiwszy na pewne zawiłości, napisał z boku na marginesie: *sumlewajuś sztop pryskorn moch obołwanit' dieło ob hob szpitalach kiuliu*—mniej więcej równoznaczne z polskiem: fątpię szeby pryskorn much obałwanić (pokonać) sprawę o szpitalach kjulju (do lipca). Śmiano się z tego w Petersburgu, śmiano w Odesie i Charkowie, i dotychczas, gdy się natrafia na jaką trudność, lubią powtarzać: *sumniewajuś, sztop priskorn moch eto obołwanit'... Habent sua fata libelli.*

W wojskowym rozwoju państwa Suchozanet nie nabył wielkiego znaczenia. Zawsze się dawał komuś powodować. Przez pewien czas kierował nim dyżurny generał głównego sztabu Jego Cesarskiej Mości, Gerstenzweig, następnie towarzysz ministra wojny książę W. H. Wasilczykow, który nawet miał nadzieję zastąpienia go na tem stanowisku, lecz sprawę poprowadził zbyt nagle i musiał zupełnie ustąpić z wojska, w końcu zaś ostatnią niańką Suchozaneta, jako ministra wojny, był następca księcia Wasilczykowa, D. A. Milutin.

Naznaczywszy na razie takiego człowieka na zastępcę zmarłego księcia M. D. Gorczakowa, cesarz nie zwlekając, musiał się obejrzeć za odpowiedniejszą osobistością, wyszukać między generałami kogoś młodszego i wykształconego. Do wyboru, z wyżej już przytoczonych powodów, byli tylko albo tacy, którzy już w czemś nadwyrężyli swoją karyerę, stanąwszy na pewnej wysokości, albo też zupełnie nieznani, w drodze dopiero do wydobycia się na

szerszą widownię. Cesarz zasięgał pod tym względem zdania wielu z bliższego otoczenia, a między innymi i feldmarszałka ks. Bariatyńskiego, prosząc go, aby między młodszymi generałami wskazał kogoś z dobrem wychowaniem i ułożeniem, a jeśli się da, choć cokolwiek obeznanego z Polską i jej stosunkami. Książę Bariatyńskij wskazał na swego dawnego kolegę z pułku gatczyńskiego kirasyerów gwardyi, hrabiego Karola Karłowicza Lamberta, który podówczas bawił za granicą. Był to człowiek młody, zręczny, dobrze wychowany, z rodu arystokratycznego, a chociaż z urodzenia i wychowania Rosyanin, z krwi i pochodzenia Francuz, a przytem katolik, co także mogło mieć doniosłe znaczenie.

Rodzina Lambertów należała do starej francuskiej rodowej arystokracyi. Dziad Karła Karłowicza, Marechal du Camp Ludwika XVI, dowodził gwardyą narodową w Paryżu. W czasie rewolucyi 1790 roku musiał emigrować. Synowie jego Karol i Józef dostali się do Rosyi. Karol, chorąży królewskiej gwardyi, wstąpił do wojska rosyjskiego i za jakąś szczególniejszą protekcyą został second-majorem w pułku kinburnskich dragonów. „Służył w wojskach, działających w Polsce, odznaczył się w bitwach pod Chełmem i Maciejowicami, a potem był jednym z mężnych generałów „wiekopomnej pamięci 1812 r.". Ożeniony z córką suworowskiego generała Diejewa, umarł w 1843 roku, pozostawiając dwóch synów, także Józefa i Karola, którzy poszli śladami ojca i także wstąpili do wojska.

Hrabia Karol, rozumny, z wykwintnem salonowem ułożeniem oficer, był dosyć słusznego wzrostu, zgrabny, o francuskim typie wojskowym, zwracającym zaraz na siebie uwagę każdego. Koledzy jego ze szkół i z pułku, spostrzegali w nim pewną przebiegłość i skrytość, umiejętność maskowania swych myśli i zamiarów, a przytem nadzwyczajną ambicyę i skłonność do intryg. Od najniższego oficerskiego

stopnia [1]) Lambert starał się zbliżać tylko do takich ludzi, o których przewidywał, że dzięki swemu towarzyskiemu stanowisku i stosunkom będą musieli pójść wysoko, i będą mogli następnie wywrzeć wpływ i na jego karyerę służbową. Do liczby takich przyjaciół można zaliczyć i księcia Bariatyńskiego, następnie naczelnego wodza na Kaukazie. Nawet wybór pułku, do którego początkowo wstąpił, był spowodowany względami na te stosunki koleżeńskie. Szefem pułku był następca tronu, przyszły cesarz Aleksander II-gi. Nie szkodziło zawczasu zwrócić na siebie oko przyszłego monarchy.

Wszakże w początkach hrabiemu Lambertowi nie bardzo się szczęściło w pułku. Przeszedł więc do konnej gwardyi, spodziewając się prędkiej nominacyi na skrzydłowego adjutanta cesarza. Atoli cesarz Mikołaj, nie był hojny w nadawaniu tych odznaczeń. Karol Karłowicz podał się więc na Kaukaz, aby tam szczęścia pobróbować. Na Kaukazie dostał się pod rozkazy znanego generała Freytaga, operującego podówczas na lewem skrzydle kaukaskiej linii, brał udział w bitwie pod Walerykiem i przy zdobyciu szturmem gechińskiego lasu, nic wszakże szczególnego nie wskórał.

Wracając w kwietniu 1841 r. z Kaukazu do Petersburga, spotkał się na pewnej stacyi pocztowej z dawnym swym znajomym, sztabs-kapitanem generalnego sztabu Siemcką. Rozmawiając, jak zwykle, między wojskowymi o służbie, odznaczeniach i awansach swych znajomych i kolegów, Lambert zaraz się począł użalać na swój los: „Co robić? nie szczęści się i nie szczęści! Mam już lat 25, i tylko jestem porucznikiem Napoleon w 26-ym roku ży-

---

[1]) Oficerem został zamianowany 2 (14) października 1833 r.

cia stał już na czele armii!" (Opowiadanie generał-adjutanta Siemeki, dowódcy wojsk odeskiego okręgu).

Następnie spotykamy go w Algierze, gdzie jako ochotnik bierze udział w wyprawach przeciw Arabom. Tak przynajmniej opowiadał przyjaciołom po powrocie do Petersburga, gdzie dalej służył w tym samym pułku.

Nareszcie i jemu los się uśmiechnął. Podczas każdego przeglądu wojska, gdy wojsko defiluje, za rozmaitemi jego oddziałami, to jest za kompanią, szwadronem, batalionem, lub pułkiem, idą podoficerowie i oficerowie, wybierani zwykle z najpiękniejszej i najtęższej młodzieży, w kawaleryi jeźdzcy, siedzący na najpiękniejszych koniach, idących w lansadach. To się po wojskowemu nazywa: „iść albo jechać w „zworze". Szyk z czasów Fryderyka II. Wówczas ludzie, idący w„ zworze" pewnych oddziałów wojska, mieli obowiązek przestrzegania porządku w każdej części i dlatego oprócz broni, bywali zaopatrywani w kije, dla wymierzania doraźnej sprawiedliwości.

Na jednym z majowych przeglądów gwardyi, hrabia Lambert, mający doskonałego konia, został przeznaczony do przejechania w „zworze" pułku. Cesarz zwrócił na jeźdźca uwagę i nakoniec został tak gorąco pożądanym adjutantem skrzydłowym.

Po roku 1850, już w stopniu generał-majora świty Jego Cesarskiej Mości, hrabia Lambert otrzymał dowództwo pułku, w którym niegdyś tak szczęśliwie w „zworze" przejechał. Pułk stał podówczas w Międzyrzecu na Podlasiu, ztąd pierwsza znajomość hrabiego Lamberta z Polską.

Pomimo wykwintnego ułożenia, pomimo cudzoziemskiego, arystokratycznego pochodzenia, hrabia Lambert wraz z innemi rosyjskiemi nawyknieniami, przejął i obyczaj rzucania pieniędzmi, życia nad stan, oraz rosyjskie poglądy co do praw i przywilejów dowódcy pułku, które, należy dodać, były do pewnego stopnia wspólne i samemu cesarzowi i bra-

tu jego, w. księciu Michałowi Pawłowiczowi, głównemu naczelnikowi gwardyi. Znane jest odezwanie się cara Mikołaja do któregoś z pułkowników gwardyi, uskarżającego się na zły stan swych interesów, „no, no, nie frasuj się, wkrótce pułk dostaniesz!" (dowództwo). Wiadome także zajście z generałem Liprandim, dowódcą lejb-gwardyi siemionowskiego pułku piechoty, który w przystępie niesłychanej między dowódcami pułków skrupulatności, za pierwszy rok dowództwa pułkiem, przedstawił dziesięć tysięcy rubli srebrnych oszczędności. To wywołało między oficerami ogólne niezadowolenie. Cesarz dowiedziawszy się z raportu w. księcia Michała o takim zbytku gorliwości generała, zawołał z gniewem: „ot czem chciał zadziwić, dziesięć tysięcy, niech odda czterdzieści!" Więc czterdzieści tysięcy rubli srebrnych z pułku, uważało się jako zwykły, umiarkowany, oniemal, że legalny dochód dowódcy pułku. Kto tę granicę przekroczył i szukał większych dochodów, uważany już był za złodzieja i czasami pociągany do odpowiedzialności.

Otóż hrabia Lambert za swego dowództwa w Międzyrzecu, przekroczył ową granicę. Gdy w początkach panowania Aleksandra II, generał piechoty, Hildenstube, lustrował pułki gwardyi, rozłożone w Królestwie Polskiem i na Litwie, w Międzyrzecu żołnierze zanieśli skargę na swego pułkowego dowódcę, że nie otrzymują wszystkiego, co im się należy. Takie skargi żołnierzy zdarzały się nadzwyczaj rzadko i tem większe wrażenie wywoływały. Generał Hildenstube przy pożegnaniu, gdy mu hrabia Lambert podawał rękę, cofnął swoją i powiedział: „Przepraszam generała, ale pańska ręka zbyt nieczysta". Fakt opowiadał generał Dobrowolski, który to słyszał od generała Uszakowa.

To doszło do cesarza, to też cesarz, przypatrując się raz okazanemu sobie staremu żołnierskiemu płaszczowi, który tak już był znoszony, że

przeświecał jak rzeszoto, powiedział do otaczających: *C'est le point de Lambert* [1]).

Ale w społeczeństwie rosyjskiem zaraza łapownictwa i okradanie skarbu z dawien dawna uzyskały prawo obywatelstwa, weszły w krew i życie każdego, więc też łapownictwa wcale nie prześladują. Nadużycia Lamberta w pułku konnej gwardyi pozostały bez śladu w jego karyerze służbowej, a w czasie koronacyi w 1856 r., gdy z pułkiem przybył do Moskwy, awansował na generała-porucznika. W dwa lata potem, w 1858 r. poruczono mu zarząd komisyi, ustanowionej dla zwinięcia kolonii wojskowych w południowej Rosyi, następnie wrócił do Petersburga i został zamianowany pomocnikiem inspektora strzelców celnych.

Wskutek złamania ręki w 1860 r. musiał wyjachać za granicę i tam go zastały wyżej opisywane wypadki warszawskie 1861 r.

Czas uchodził szybko, wypadki następowały jedne po drugich, a z po za dziecinnych, maskaradowych polskich orłów, zaczynały wyzierać orły, inne mające znaczenie. Niepodobna się było długo namyślać, chociażby nad tak poważną sprawą jak zamianowanie namiestnika dla Polski. Gdy na razie nikogo bardziej odpowiedniego niż hrabia Lambert znaleźć nie było można, zawezwano go z Paryża niby na generał-gubernatora m. Warszawy, w istocie zaś był już przeznaczony na namiestnika, lecz to trzymano w najgłębszej tajemnicy.

Wypadkiem generał Suchozanet z Petersburga i hr. Lambert z Paryża w przejeździe do Petersburga jednego dnia zjechali się w Warszawie, t. j. dnia 1-go czerwca. Tymczasowy namiestnik zaraz na wstępie spotkał się z człowiekiem, w któ-

---

[1]) Opowiadanie generał-adjutanta hr. Ołsufiewa. Wyrażenie *point de Lambert*, Lambertowskie koronki — było czas jakiś głośne w wojsku.

rym przeczuwał swego następcę. Uczuł więc jeszcze nieprzyjemniej i dotkliwiej swoją tymczasowość, wskutek czego jeszcze bardziej zaczął się zastanawiać nad każdym krokiem, stał się ostrożnym, wahającym i ustępującym, nie chcąc po chwilowym zarządzie pozostawić po sobie złego wspomnienia w kraju, a tembardziej, smutnych krwawych śladów.

Tymczasem hr. Lambert w czasie swojego krótkiego, bo tylko pięciodniowego pobytu w Warszawie, starał się zebrać, o ile się dało, jak najwięcej informacyi o stanie rzeczy w Królestwie Polskiem, przyczem pokazał kilku wyższym dygnitarzom telegram, powołujący go na urząd generał-gubernatora. W Łazienkach odwiedził zwłoki ks. Gorczakowa i tam przyjmował kilka osób, składających mu czołobitność nieokreślonego znaczenia (szczególniej uniżenie miał mu się przedstawić przebiegły książę Bebutow); nakoniec, otrzymawszy zezwolenie udania się wprost do Moskwy, do bawiącego tam podówczas cesarza, wyjechał dnia 6 czerwca tamże przez Brześć Litewski.

Rządził więc Polską Suchozanet, oglądając się wciąż na podwoje, któremi miał wejść wkrótce jego następca, stały namiestnik; dlatego też zapewne unikał podpisów z tytułem pełniącego „obowiązki namiestnika", lecz zwykle podpisywał jako minister wojny, albo też „czasowo głównodowodzący pierwszą armią".

Rozpoczął od ściągnięcia wojsk z placów do koszar.

Już w ostatnich dniach rządów księcia Gorczakowa, czerwoni, spostrzegłszy pewne wahanie władzy, zaczęli się dopuszczać różnych wybryków. W dzień śmierci księcia Gorczakowa, przy procesyi Bożego Ciała, idącej z kościoła św. Jana na Stare Miasto, ulicznicy pod wodzą Kozubskich i Śnie-

gockich wywołali takie zamieszanie, że kilku księży powalono na ziemię, co nawet omal i samego arcybiskupa z przenajświętszym Sakramentem nie spotkało. Oberpolicmajster, pułkownik Rozwadowski, polak i katolik, doradził udzielenie błogosławieństwa, arcybiskup wzniósł Monstrancyę, tłum padł na kolana, zapanowała cisza i procesya mogła się dokończyć w porządku.

Był to zresztą wyjątkowy rozruch, wybryk manifestantów niższego rzędu. Wyżsi dygnitarze partyi czerwonych siedzieli spokojnie, lecz i tych ściągnięcie wojsk z placów do czynów pobudziło; zaczęto szukać powodu do nowych manifestacyi. Powód znalazł się jakby na zawołanie.

Dnia 29 maja, jednocześnie prawie z księciem Gorczakowem, skończył dni swoje w Paryżu, stary przewódca polskiej demokracyi, członek rządu z 1831 roku, historyk Joachim Lelewel, imię którego doskonale znane od dzieciństwa każdemu Polakowi i Polsce. Uroczysty jego pogrzeb odbył się w Paryżu dnia 1 czerwca, a w Warszawie natychmiast zaczęto radzić nad urządzeniem całego szeregu manifestacyjnych nabożeństw żałobnych.

Pierwsze odbyło się dnia 7 czerwca w kościele Reformatów bez mów i żadnej wystawy.

Drugie, prawdziwe egzekwie, miano odprawić nazajutrz dnia 8 czerwca w kościele św. Krzyża, lecz gdy na ten dzień była naznaczona eksportacya zwłok księcia Gorczakowa, odłożono je na dzień 10 czerwca.

Wszakże dnia 8 czerwca Żydzi odprawili żałobne nabożeństwo w głównej swej bożnicy przy ulicy Daniłowiczowskiej, na którem było wielu Polaków. Znany kaznodzieja żydowski, Jastrow, wypowiedział mowę w języku polskim, w której wspominał o nieśmiertelnych zasługach historyka, jako męża nauki i naczelnika stronnictwa, porównywując go do Mojżesza w ziemi egipskiej i sławiąc go jako przykład wytrwałości w pracy i nieugiętości przekonań.

Chwilę obecną nazwał mówca mglistą, po której tem jaśniejsza jutrzenka zabłysnąć miała.

Zaczęto potem przygotowywać uroczyste egzekwie w kościele św. Krzyża. Zebrano na ten cel znaczną sumę. Gimnaziści dawali po 2 złp. Miejsca na chórze po 10 rubli rozebrały majętniejsze rodziny. — Gdy się rozpoczęło nabożeństwo, przed katafalkiem ustawiono popiersie Lelewela, które podczas ceremonii kościelnych profesorowie medyko chirurgicznej akademii, Janikowski i Prażmowski uwieńczyli wieńcem z nieśmiertelników. Różne panie zbierały kwestę na cele narodowe. Jak powiadają, zebrano do 4.500 rubli sr.

Jednocześnie odbyły się także egzekwie u Dominikanów, zamówione przez robotników fabryki machin Ewans'a, którzy na ten cel zebrali między sobą 45 rubli sr. [1]) Nakoniec odprawiono nabożeństwo u Kapucynów, na którem celebrował biskup Deckert. W liczbie obecnych zwracał na siebie uwagę obywatel z Płocka, Gorliński, osiemdziesięcioletni starzec, przybyły do Warszawy w chęci przypatrzenia się tym obchodom. Ubrany był po polsku, w żupanie i kontuszu, z kościuszkowską konfederatką w ręku. Artyści manifestacyjni po skończonem nabożeństwie wyprowadzili starca pod ręce z kościoła i przechadzali się z nim po Saskim Placu w asystencyi tłumów gawiedzi.

Podczas tych wszystkich nabożeństw rozdawano publiczności litografowane kartki, na których obok krótkiego życiorysu Lelewela, podnoszono wszystkie jego zasługi wobec wolności ojczyzny, kończąc następującemi słowami: „Jego zwłoki obca przysypała ziemia, lecz duch jego żyje i żyć nie przestanie między rodakami, którzy, połączeni wspólną miłością ojczyzny, pracą, dążeniem do zgody i jedności, uczuciami braterskiemi w słowie i czynie, na-

[1]) Szczegóły ze źródeł urzędowych

śladując wzór przyświecający w życiu Joachima, oddadzą najwyższą cześć jego nieśmiertelnym zasługom. Niech pogarda zbytku i prostota obyczajów, jakiemi się odznaczał nieboszczyk, staną się odtąd zewnętrzną odznaką przyjęcia jego zasad, które dzisiejszy obrzęd żałobny odświeży w sercach Polaków!"

Dnia 17 czerwca odprawiono jednocześnie żałobne nabożeństwa za Lelewela w trzech bożnicach żydowskich: przy ulicy Daniłowiczowskiej, na Nalewkach i na Pradze. Na Nalewkach wygłoszono mowę i odśpiewano 70-ty psalm Dawida: „O pasterzu Izraelski, posłuchaj... Wzbudź moc swoją... a przybądź na wybawienie nasze. O Boże! przywróć nas, a rozjaśnij oblicze Twoje, a będziemy zbawieni... Panie Boże zastępów, dokądże będziesz się gniewać na modlitwę ludu Twego? Nakarmiłeś je chlebem płaczu i napoiłeś je łzami, miarą wielką. Wystawiłeś nas na zwadę sąsiadom naszym a nieprzyjaciołom naszym, aby sobie z nas śmiech stroili. Boże zastępów przywróć nas, o rozjaśnij oblicze Twoje, a będziemy zbawieni!"

Słowa: „Nakarmiłeś je chlebem płaczu", a zwłaszcza trzykrotne wołanie do Boga: „Boże zastępów, przywróć nas a rozjaśnij oblicze Twoje, a będziemy zbawieni" sprawiły wstrząsające wrażenie. Słychać było płacz rzewny[1]).

Nadto, przez te dnie urządzono patryotyczne nabożeństwa przed różnemi statuami: przed kościołem Reformatów na Senatorskiej, gdzie statua Matki Boskiej; na rogu ulicy Wązkiego i Szerokiego Dunaju, gdzie posąg św. Jana; przy domu Malcza na Krakowskiem Przedmieściu przed statuą Najświętszej Panny i t. d. Wszędzie bez przeszkody śpiewano: „Boże coś Polskę"... „Z dymem pożarów"... i inne ówczesne hymny, które też swobodnie sprzedawano po ulicach.

---

[1]) Ze źródeł urzędowych.

Zjawił się nawet, jako pendant do „Boże coś Polskę"... hymn jakoby przez Rosyan ułożony, pod tytułem „Modlitwa Moskali". Treść jej, mniej więcej, zawierała: „w chwili, gdy Polacy doszli do sławy i oświaty, my, Rosyanie, zostajemy w grubej ciemnocie". Dwuwierszowa końcówka każdej strofy, kończyła się prośbą: „Oświeć nas Panie!"

Do sprzedawanych książeczek z pieśniami wkrótce dodano i obrazki, mające działać na wyobraźnię ludu, rysopisy: dorożkarze wyprzęgający konie z dorożek i zaprzęgający armaty; św. Jozefat zarąbany w Witebsku przez Moskali.

Z początku malcy, roznoszący obrazki po ulicach, podawali tylko cywilnym, lecz później zaczęto je podawać i wojskowym. „Może pan pułkownik pozwoli św. Jozefata, zarąbanego przez Rosyan... albo dorożkarzy wyprzęgających konie?..."

I wielu było takich, co je kupowali.

Najbardziej zaś były rozpowszechnione drobne manifestacye: kocie muzyki i wybijanie szyb w mieszkaniach niemiłych osób. Doszło nawet do tego, że się zjawił „dyrektor", czyli „kapelmistrz kocich muzyk", który za pewną zapłatą podejmował się urządzania podobnych koncertów wszędzie i każdemu. Taki koncert z wybiciem okien kosztował 15 rubli sr., bez wybicia szyb 10 rubli sr. Zdarzało się także, że koncerta urządzały się za darmo, wskutek tajnych rozkazów[1]).

---

[1]) Kocie muzyki wyprawiano: biskupowi Marszewskiemu, Enochowi, kupcowi Natansonowi za niezamknięcie magazynu z perfumeryami, gdy to było nakazane, krawcowi Chabeau.—Autor posiada kartkę fotograficzną kapelmistrza kocich koncertów. Jest to mężczyzna już nie młody, w żupanie, konfederatce i wysokich butach, dmący w róg bawoli. Oficyalne, sekretne raporta powiadają, że to był Andrzej Podworski, aptekarz. (Sprawa AA. nr. 4, str. 351). Zaś pułkownik Krywonosow twierdzi, że to był dymisyonowany chorąży Ładożskiego pułku piechoty, niejaki Markowski.

W ogrodzie Saskim, Krasińskich, na większych podwórzach niektórych domów, chłopacy urządzili grę „w polskiego i rosyjskiego króla"; strona rosyjska koniecznie musiała być zwyciężoną a nieraz i samemu królowi dobrze się dostało. Podobne gry w ogrodach publicznych służyły za rozrywkę dla spacerujących, którzy, śmiejąc się, oklaskiwali wojowników „swojego".

Raz zdarzyło się, że w Saskim ogrodzie policyant wdał się w tę grę i zaczął chłopców rozpędzać. Wnet się wmieszali starsi i zmusili go do odwrotu wśród powszechnego śmiechu i gwizdania.

W odosobnionym ogrodzie Kazimirowskiego pałacu, starsza młodzież palcatami uczyła się fechtunku. Później otwarto rzeczywiste sale fechtunkowe, o których policya udawała, że nic nie wie. U studenta Fochta uczono się musztry karabinowej.

Przy końcu czerwca ukazały się w Warszawie drukowane plakaty z „Odezwą do obywateli ziemskich", żądającą ustalenia bytu włościan, nie czekając rozporządzenia rządu, który rzeczywiste wyzwolenie odłożył do dnia 1 października.

Drugi plakat był zatytułowany: „Odezwa do wszystkich Polaków na polskiej ziemi." W niej wyliczano ucierpiane prześladowania od rządów rozbiorowych, czyniono nadzieję rychłego już wyzwolenia i zalecano największą oszczędność i umiarkowanie w życiu.

Wtedy także zjawiły się w sprzedaży obrazki z wyobrażeniem zgruchotanego krzyża i napisem „27 lutego i 8 kwietnia". Kolportowano je prawie jawnie po ulicach i w ogrodzie Saskim. Jednem słowem, rewolucya jawnie postępowała według obmyślanego planu i nikt się temu nie sprzeciwiał. Czasem, jeżeli policya, patrol pieszy lub konny, wykonywały jakie rozporządzenia, skierowane ku utrzymaniu zewnętrznego porządku, zjawiał się zaraz rozkaz wyższej władzy, niweczący to rozporządzenie, a nie rzadko i nagana, udzielona zbyt ścisłym prze-

strzegaczom przepisów. Inaczej pisano, inaczej zaś działano, nic też dziwnego, że zapanowało dziwne zamieszanie wszelkich pojęć o władzy, jej prerogatywach i obowiązkach.

Dla patrolów pieszych i konnych istniało mnóstwo przepisów, nieraz sprzecznych i jedne i drugie zbijających. O każdym najmniejszym wypadku, wymagano tak dokładnych i drobiazgowych sprawozdań, usprawiedliwienia każdego zarządzenia dozorcy kwartału, że wielu z nich wolało puszczać niepostrzeżenie przekroczenia i wybryki rozwydrzonej gawiedzi, byle nie ściągnąć na siebie odpowiedzialności za niedokładne zastosowanie którego z drobnostkowych przepisów.

Dla przykładu przytoczymy jedno z ówczesnych wydarzeń, aby okazać, ile to kłopotów sprawiał patrolom najdrobniejszy wypadek, ilu to następnie wzywano ludzi do protokułu i ile zapisywano papieru.

Na kompanię Symbirskiego pułku piechoty, patrolującą po Miodowej ulicy, w czerwcu wieczorem ktoś z furtki klasztoru Kapucynów rzucił kamieniem. Bojąc się nie dosyć dokładnie opisać to zdarzenie, dowódca kompanii, major Fölkner, w raporcie swym do naczelnika pierwszego okręgu m. Warszawy, tak opisał kierunek pędu kamienia: „kamień przeleciał po za mną z tyłu, obok podporucznika Szach-Nazarowa i wzdłuż pierwszego szeregu, pierwszego oddziału, drugiej półkompanii i uderzył w drzwi domu naprzeciw stojącego po drugiej stronie ulicy". Do tego dołączony był długi opis żołnierzy ósmej kompanii Symbirskiego pułku, obok których przeleciał kamień[1]).

Wojsko najbardziej oburzało się na rozporzą-

---

[1]) Z papierów naczelnika pierwszego okręgu wojennego miasta Warszawy od dnia 21 marca po 13 sierpnia 1861 roku.

dzenie, ogłoszone dnia 3 lipca w rozkazie dziennym, które postanawiało: „że w ostatecznym razie dozwala się strzelać, z tem wszelako zastrzeżeniem, że jeżeli w czasie przechodu przez ulicę warty, patrolu lub komendy, padną z jakiego domu strzały, lub rzucane będą kamienie, nie odpowiadać wystrzałami, lecz tylko zauważyć dom, z którego strzelano, lub rzucano kamieniami". Wojskowi pytali: „Jakiegoż więc potrzeba ostatecznego wypadku, jeżeli strzelanie do wojska jeszcze nim nie jest i nie ma służyć za powód do użycia ostatecznych środków".

Rozkaz ten rzeczywiście nie był czemś nowem lecz tylko powtórzeniem rozporządzenia księcia Gorczakowa z dnia 2-go kwietnia. Wtedy atoli nie zwrócił na siebie żadnej uwagi i nie wywołał żadnego szemrania, może także i wskutek tego, że podówczas jednocześnie wydano mnóstwo karnych rozporządzeń i nikt jeszcze nie umiał sobie zdać sprawy ze skuteczności takowych. Teraz zaś, gdy dla każdego stało się oczywistem, że dalsze ustępstwa i niezdecydowane zachowanie się rządu, coraz bardziej gmatwają sprawy i wywołują coraz to nowe trudności, podobne rozporządzenia wywoływały niezadowolenie i szemranie w wojsku, które przypisywało je upornie Suchozanetowi.

Suchozanet wogóle był wielbicielem punkcików i rzemyczków z dawnych, dobrych Mikołajewskich czasów. Broń Boże, aby się kto przed nim stawił nie ubrany po formie; sfuka i co najmniej odeśle, aby się przebrał. Raz się zdarzyło, że przydzielony do zarządu naczelnika warszawskiej cytadeli kapitan Wamberg, przybył z raportem do Zamku. „Co to? w mundurze bez szarfy, kask bez włosia!" zakrzyczał Suchozanet i przepędził Wamberga, nie przyjąwszy od niego raportu, czyli że ten musiał wracać do cytadeli dla uzupełnienia stroju i zrobił napróżno jakie 5 do 6 kilometrów drogi. Ordynansów oglądał w najdrobniejszych szczegółach, ze „wszelkiemi sztukami", jak się wyrażają wojskowi.

Przyjmowanie ordynansów i przeglądy wojsk w początkach pochłaniały masę czasu i odwracały uwagę od spraw żywotniejszych. Pułkownik Krywonosow powiada o nocnych patrolach z tego czasu: każdy patrol składał się z policyanta, żandarma i czterech pieszych żołnierzy. Podchodzą do kawiarni, która już o godzinie 9-tej winna być zamkniętą. Policyant i żandarm wchodzą, mówią gospodarzowi, że czas już zamykać, dostają herbaty z arakiem lub wódki, po złotemu w rękę i idą do następnego podobnego lokalu, gdzie to samo się powtarza.

Naczelnik 1-go oddziału wojsk, generał Chrulow, dnia 11 lipca wniósł zapiskę z żądaniem i propozycyą ścisłego określenia, w jakich wypadkach samoistnie dowodzący częściami wojska, mają prawo użycia palnej broni na zakłócających spokój i porządek zewnętrzny. Zapiskę tę rzucono wprost do kosza, również jak i podobny wniosek Kazaczkowskiego, doradzający ogłoszenie „stanu wojennego". Tegoż samego żądali i inni generałowie, jak: Merchelewicz, Czernicki, Batczatuł, Semeka, na radach wojennych, co chwila zwoływanych do Zamku, lecz Suchozanet stale powiadał: „Na co się to wszystko przyda, ja ogłoszę zaprowadzenie stanu wojennego, a za kilka dni przybędzie nowy namiestnik i wszystko odmieni". Na jednej z takich narad Suchozanet tak się zirytował, że zachorował i kilka dni musiał przeleżeć w łóżku[1]). Jedynie zgodził się na ponowne rozłożenie wojska na niektórych miejskich placach.

Co się tyczy ówczesnych licznych aresztowań, to pod tym względem panowały jeszcze większy chaos i zamieszanie; jeden naczelnik więził, drugi wypuszczał z więzienia, lub też wstawiał się do namiestnika o uwolnienie, wskutek czego bywały wy-

---

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

padki, że jedną i tę samą osobistość po trzy razy w tygodniu aresztowano i uwalniano, tak, że ostatecznie nikt się więzienia nie obawiał [1]). Nadto dozór nad więźniami był tak niedbały, że mieli wszelką łatwość komunikowania się ciągłego z miastem. Znany warchoł Ferdynand Nowakowski, zamknięty do cytadeli, prowadził stałą korespondencyę z miastem, pisząc ołówkiem na mankietach od koszul, posyłanych do prania.

Bardzo naturalne, że takie stosunki zachęcały niejako do dalszego przedłużania manifestacyi.

W początkach czerwca, londyński *Times* zamieścił bardzo życzliwy artykuł dla Polaków. Wnet skorzystali z tego agitatorzy i 21 czerwca na czele wielkiego tłumu, udali się przed mieszkanie angielskiego generalnego konsula, pułkownika Constant'a z prośbą o udzielenie posłuchania. Ten wysłał dziewczynkę z oświadczeniem, że przyjąć ich nie może i prosił usilnie, aby się rozeszli. Nic to atoli nie pomogło, skończyło się na tem, że deputacya w liczbie 40 osób, ubranych w żupany i czamary, weszła do mieszkania konsula i złożyła tam dwa wieńce z napisem: „Cześć i chwała Anglii", wraz z adresem następującej treści: „Ja, matka, męczeńską krwią dzieci moich zbroczona, wdowa w żałobnej szacie, niewolnica z kajdanami na ręku. Ja, żywcem do grobu złożona, przesyłam Tobie, o narodzie angielski, słowa dziękczynienia. Mowa Twojego delegata w parlamencie, głos kipiących życiem, potężnych grodów Twoich, zrywają pieczęć z grobu, w który przemoc i obojętność wtrąciły Polskę. Krew moja i łzy moje wołają o pomstę do Boga, i On mnie odpowiada przez usta Twojego narodu. Chwała Jemu i wdzięczność Tobie o Anglio! Tem wszystkiem co we mnie jeszcze pozostało żywem i nieśmiertelnem po długiem mojem męczeństwie, błogosławię

---

[1]) *Awcyde* tom II, str. 89, 90 i 93.

Twoim starcom i mężom, Twoim synom i córom, oby się wiecznem szczęściem i wolnością cieszyli! Niech się do Boga za Tobą wstawiają dziś i przez wszystkie wieki święci Twoi patronowie, tak jak się obecnie wstawiasz o dostojna i szlachetna Anglio, za zapomnianą, rozszarpaną i ukrzyżowaną Polską!"

Konsul angielski wysłał ten adres do Londynu wraz z mnóstwem biletów wizytowych, złożonych mu przez osoby najrozmaitszych sfer i stanów [1]).

Dnia 15 lipca umarł w Paryżu drugi świadek i uczestnik rewolucyi 1830 r., naczelnik rządu narodowego, *Rex in petto*, książę Adam Czartoryski. Pogrzeb jego w Paryżu odznaczał się nadzwyczajną uroczystością i przepychem. Mówiono, że za trumną, przykrytą królewską purpurą, niesiono koronę.

Wielopolski dla uprzedzenia jakiejkolwiek inicyatywy ze strony czerwonych, zawiadomił arcybiskupa, że nic niema przeciw odprawieniu żałobnego nabożeństwa w katedrze i ogłoszenia o tem gazetami. Ogłoszono też we wszystkich gazetach o uroczystem nabożeństwie żałobnem, które się odprawi w archikatedrze św. Jana dnia 22 lipca 1861 roku. Celebrował sam arcybiskup wobec zebranych najwybitniejszych przedstawicieli polskiego społeczeństwa ze wszystkich klas ludności. I nic dziwnego, że tłumy modlących się za spokój duszy męża, tyle sprawie ojczystej zasłużonego, jednego z najznakomitszych ludzi świetnej Napoleońsko-Aleksandrowskiej epoki, którego skronie jaśniały odbiciem jakichś szczególnych promieni cnoty i szlachetności, a głośne imię tyle poruszało uczuć, tyle budziło wspomnień w każdej polskiej duszy, nic dziwnego, że tłumy te ogarnęło dziwne patryotyczne uniesienie... Bardzo wielu płakało rzewnie, wszyscy zaś odczuwali, że chowają, jeżeli nie króla, to coś takiego, czego... już więcej nie będzie! Sędziwy arcybiskup, naoczny świa-

---

[1]) Sprawa L. W. Nr. 1, str. 190—191.

dek wypadków, o których inni już tylko z tradycyi wiedzieli, nie mógł powstrzymać cisnących się łez do oczu i nie spostrzegł się nawet, gdy z ust jego wymknęła się i do nieba uniosła pieśń: „Boże coś Polskę"... Zadrżała świątynia, lud padł na kolana i zalany łzami dalej chórem śpiewał „otaczał blaskiem potęgi i chwały"... a nakształt gromu, rozległy się pod ciemnemi sklepieniami starożytnej świątyni, ostatnie słowa strofy:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!"

Po skończonem nabożeństwie rozgorączkowany tłum wyprzągł konie z karety arcybiskupa i sam go odniósł do arcybiskupiego pałacu na Miodowej ulicy.

Taka jaskrawa manifestacya, przy współudziale białych, a raczej przy współudziale całego miasta, nawet Suchozaneta wyprowadziła z cierpliwości. Polecił więc zapytać arcybiskupa, z mocy czyjego upoważnienia odprawił żałobne nabożeństwo po Czartoryskim i dał ogłoszenia do dzienników; ten się odwołał na Wielopolskiego.

Namiestnik, poczytujący Wielopolskiego wogóle za zbyteczną sprężynę w machinie rządowej i wiodący z nim co chwila spory o najdrobniejsze bagatele [1]), ostro się z nim wskutek tego przymówił, tak, że Margrabia dnia 26 lipca prosił o uwolnienie, jednocześnie zaś wysłał swego starszego syna Zygmunta do Petersburga, dla przedstawienia cesarzowi powodów, które go do tego kroku skłoniły. Ma się rozumieć, że Zygmunt Wielopolski odwiedził w Petersburgu tych wszystkich dygnitarzy, którzy popierali ojca i naopowiadał im mnóstwo anegdot o „starej i głupiej mumii" Suchozanecie, niezdatnym

[1]) *Lisicki* str. 227—228.

już literalnie do niczego, chyba tylko do wzmożenia zamieszania i nieporządków w kraju, którym niby to miał rządzić. Partya ta wówczas ostatecznie wpłynęła na cesarza, że się zdecydował wysłać do Warszawy hrabiego Lamberta. Od 1 sierpnia rozpoczyna się niezwykle prędka jego promocya w służbie. Najwyższym rozkazem z dnia 20 lipca (1 sierpnia) 1861 roku hrabia Lambert mianowany zostaje zarządzającym główną kwaterą i przybocznym konwojem jego cesarskiej mości, dnia 18 sierpnia generałem kawaleryi, pełniącym urząd namiestnika Królestwa Polskiego i dowódcą 1-szej armii [1]).

Pozostawało jedynie wyszukanie mu pomocnika w osobie generał-gubernatora miasta Warszawy, do którego obowiązków należało oprócz zarządu wszystkiemi sprawami miasta, nadto zawiadywanie paszportami, a zatem policyą w całem Królestwie Polskiem. Niełatwo było znaleźć tak zaraz człowieka zupełnie odpowiedniego. Naprężone położenie w Warszawie, z istniejącym już spiskiem, a przynajmniej z zawiązkiem już onego, wymagało od generał-gubernatora niezwykłych zdolności, sił, energii, znajomości ludzi, wypróbowanego doświadczenia w służbie, a nawet zahartowanego zdrowia.

W poczcie młodych generałów północnej stolicy, dyżurny generał głównego sztabu jego cesarskiej mości najlepiej odpowiadał powyższym warunkom; był to generał-adjutant Gerstenzweig. Syn generała z czasów wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, urodzony z Madalińskiej, córki generała polskiego przy Kościuszce, początkowo uczęszczał do szkół w konwikcie Pijarów i pod wpływem matki uważał się za Polaka, i mówił lepiej po polsku

---

[1]) Generałem broni musiał być mianowany, gdyż komenderując jako namiestnik trzema korpusami, miał pod sobą dowódców tychże, generałów broni: Łabyńcewa, Liprandiego i Wrangla.

niż po rosyjsku. Jednak po 1831 roku ojciec wymógł, że chłopak z katolickiego wyznania przeszedł na protestantyzm i oddał go do korpusu paziów. Po ukończeniu nauk w korpusie, młody Gerstenzweig wstąpił do Preobrażeńskiego pułku piechoty gwardyi. Koledzy pułkowi nadzwyczaj go lubili za jego ścisłość w służbie, a przytem wesoły i towarzyski charakter. Doskonale umiał pociągnąć bank, wybornie tańczył, nierzadko brał udział w amatorskich teatrach, raz nawet z wielkiem powodzeniem odegrał rolę kobiecą w komedyi Chmielnickiego *Gaduła*. Później wykształcił się na bardzo pracowitego sztabowego pisarza i nader surowego przełożonego. Urzędnicy inspektorskiego departamentu nazywali go „żmiją", ale jednocześnie nadzwyczajnie poważali za jego rozum, wykwintne obejście i niepodległy charakter. Zalety te wszakże przysporzyły mu mnóstwo nieprzyjaciół. On nikomu nie ustąpił, ani wielkiemu księciu Mikołajewiczowi, ani ministrowi wojny (szczególnie ministrowi wojny), ani jego pomocnikom, księciu Wasilczykowi a następnie Milutinowi. Spory z tym ostatnim powstały szczególnie o bardzo naówczas modne przywileje oficerów generalnego sztabu. Gerstenzweig był zdania, że wyjątkowe prawa, z których korzystali oficerowie generalnego sztabu po za pułkami, z których przybywali, nietylko, że są niesprawiedliwe względem innych oficerów, lecz nawet szkodliwe dla służby, w czem się stanowczo różnił z Milutinem i wielkim księciem Mikołajem. On proponował, ażeby tacy oficerowie po ukończeniu nauk w wojennej akademii, wracali napowrót do pułków i tam osiągali odpowiednie wyszczególnienie przez prędszą nominacyę na dowódców kompanii, batalionów lub pułków. Przy obecnym zaś systemie, wojska liniowe traciły najzdolniejszych ludzi, gubernie zaś bynajmniej nie zyskiwały wzorowych gubernatorów.

W tym duchu podał ministrowi wojny kilka swych wniosków, które wszakże pod wpływem Milu-

tina i wielkiego księcia Mikołaja pozostały bez odpowiedzi [1]). Na Gerstenzweiga spoglądano z ukosa, lecz na tem się wszystko kończyło, gdyż cesarz zanadto go cenił jako dzielnego i użytecznego służbowego oficera, ażeby go można się było przy lada pierwszej sposobności pozbyć i na bok usunąć. Zresztą w chwili, którą opisujemy, stanowisko jego w głównym sztabie jego cesarskiej mości było zupełnie utrwalone i on ani myślał o opuszczeniu Petersburga, owszem urządzał sobie mieszkanie w gmachu głównego sztabu i chwalił się przed przyjaciółmi, że mieć będzie osobne wejście z ulicy. Niktby się nawet nie odważył proponować mu, aby jechał do Polski naginać karku pod zwierzchnictwem ambitnego i zarozumiałego człowieka, którego znał na wylot i wcale nie osobliwie szacował. Lecz osoby dla których był niedogodnym w Petersburgu, wskazały go cesarzowi, jako najlepszego do uzupełnienia Lamberta, z którym jako kolega z korpusu paziów zdawał się być zaprzyjaźnionym i jakby stworzonym do wspólnej pracy.

Mówią, że Gerstenzweig na razie wymówił się cesarzowi, lecz zawezwany po raz drugi dla przedstawienia powodów odmowy, musiał wkońcu ustąpić i zaczął się zbierać do wyjazdu. Powiedział wszakże do któregoś z przyjaciół: „Ze mną chcą powtórzyć to, co zrobili z moim ojcem [2]).

---

[1]) Wiadomość podana przez osoby, zbliżone do Gerstenzweiga. One też opowiadały, że zapiski i projekta Gerstenzweiga tak przyjęte do wykonania, jak też nieuwzględnione, utworzyły sporą bibliotekę

[2]) Wiadomość od generała P. S. Lebiediewa, który podówczas bawił w Petersburgu. Ojciec Gerstenzweiga, generał artyleryi, człowiek gwałtowny „arakczejowiec“, z podwładnymi zachowywał się grubiańsko, żołnierzy zaćwiczał na śmierć, był jednak uważany za zdolnego i użytecznego naczelnika. Pod koniec swego wojskowego zawodu dowodził trzecim korpusem jazdy, złożonym z dywizyi kirasyerów i dywizyi ułanów, którego sztab znajdował się w Woznie-

Z pomiędzy oficerów, pracujących pod nim w inspektorskim departamencie głównego sztabu, Gerstenzweig szczególnie wyróżniał sztabs-rotmistrza Polenowa, spokojnego i nadzwyczaj ścisłego pracownika. Powiedział mu, że jedzie do Warszawy i zaproponował mu miejsce swego przybocznego adjutanta. Polenow się namyślał, wówczas Gerstenzweig dodał, że przecież nie na wieki pozostanie generał-gubernatorem, a przy namiestniku i oficerowie gwardyi mogą być adjutantami. Polenow zażądał jednego dnia do namysłu i propozycyę przyjął. — (Od Polenowa).

Z tego wypływa, że obaj przyjaciele widzieli przed sobą jeden cel w Warszawie: jeden i ten sam stolec namiestnikowski na Zamku królewskim.

Ma się rozumieć, że przyszły namiestnik i jego generał-gubernator bardzo często się spotykali przed wyjazdem do Polski, o której obaj nie mieli dokładnego wyobrażenia i inaczej ją sobie wyobrażali niż było to, co znaleźli za przybyciem na miejsce. Jak długo rzecz cała nie była jeszcze ostatecznie przesądzoną, dopóki Lambert dla Gerstenzweiga był tylko dawnym kolegą Lambertem i niczem więcej, rzeczy szły gładko i Lambert nieraz powtarzał przyjacielowi: „Jeśli rzeczy taki obrót wezmą, jak o tem głoszą i obaj pojedziemy do Polski, właściwym namiestnikiem ty będziesz, we wszystkiem będę cię słuchał, jak młodszy starszego, jak uczeń nauczyciela. Właściwie tobie się należało zostać namiestnikiem;

---

sieńsku, i był zarazem naczelnikiem tamtejszych kolonii wojskowych. W czasie wielkich manewrów jazdy pod Woznieseńskiem około 1840 roku otrzymał odznaczenie. W 1848 roku przed rozpoczęciem kampanii węgierskiej, przekroczył granicę Mołdawii pierwej niż należało, za co otrzymał ostrą naganę, a gdy jednocześnie się dowiedział, że pomocnik i zastępca jego w zarządzie kolonii wojskowych odebrał sobie życie, poszedł za tym przykładem w Skulenach dnia 26 sierpnia 1848 roku.

mnie z Paryża sprowadzili na posadę generał-gubernatora, co sam wiesz najlepiaj. No, ale cesarz zamienił nasze role!" [1]).

Lecz skoro wyszedł najwyższy ukaz, mianujący jednego namiestnikiem, drugiego zaś generał-gubernatorem, wnet się wszystko zmieniło. Już w Petersburgu hrabia Lambert przybrał ton naczelnika i niewiadomo z jakich powodów począł patrzeć na swego pomocnika z pewną podejrzliwością. Różne przywidzenia zaczęły go niepokoić; nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego człowiek tak rozumny, przebiegły i ostrożny, zdecydował się zamienić pewne stanowisko na tak niepewne, i dlaczego raczej nie prosił o uwolnienie, lecz odważył się przyjąć drugorzędną posadę w kraju, gdzie wszystkie stosunki do głębi były zaburzone. Jeżeli to uczynił, to tylko z pewnymi machiawelskimi zamiarami. Na domiar złego krążyły chwilowo pogłoski, że role znów się zmienią, Gerstenzweig zostanie namiestnikiem a on zejdzie na posadę generał-gubernatora. Robak oczywiście, skrycie toczył go, może ukrywał zemstę, ale zapewne przy pierwszej sposobności nie omieszka odpłacić i podstawi nogę przyjacielowi...

Dobrzy ludzie, jak zwykle, zaraz się znaleźli z radami, współczuciem i wyjaśnieniami wielu niezrozumiałych okoliczności i dolewali tylko oliwy do ognia.

Cesarz polecił hrabiemu Lambertowi zatelegrafować do Suchozaneta, ażeby zatrzymał Wielopolskiego w służbie. To się stało ku wielkiemu zdziwieniu tych wszystkich, którzy słyszeli, jak Lambert w niedawnych swych rozmowach z Suchozane-

---

[1]) Gdy winszowano Lambertowi tak niezwykle szybkiego wyniesienia, odpowiedział: „Zmiłujcie się, dajcie pokój z powinszowaniami. W Petersburgu tylko rękę złamałem, a w Warszawie mogę kark skręcić." *Russkaja Starina* z października 1874 roku str. 346. Z opowiadań naocznego świadka.

tem sam przyznawał, że Wielopolski zupełnie niepotrzebny, staje wszystkiemu na przeszkodzie i że jego zamianowanie było ze strony rządu błędem nie do darowania..

Warszawa krzątała się koło przyjęcia nowego namiestnika, zaś Suchozanet zabiera się do wyjazdu.

Dziwne to stworzenie ten „rosyjski człowiek". Ile się w nim tai miękkiego, chwiejnego, nieokreślonego, ile zupełnie sprzecznych, bez właściwego charakteru usposobień, które się streszczają w ogólnem mianie „dobroci". Dzisiaj łaje, poniewiera, znieść nie może, a jeśli naraz człowiek łajany umiera, albo, co na jedno wychodzi, usuwa się, wyjeżdża, zaraz się wszystko zmienia: zaczynają żałować, opłakiwać, opiewać i pod niebiosa wynosić zalety.

Powtórzyło się to i w Warszawie z odjeżdżającym ministrem wojny... Przebywający podówczas w Warszawie Rosyanie i wojskowi naraz zapomnieli i przebaczyli wszystkie jego wady, głupstwa i mikołajowskie rzemyczki, wszystko to, co jeszcze bardziej niż za Gorczakowa, ośmieszało i wystawiało na poniewierkę rosyjską władzę, rosyjskie imię i rosyjskie wojsko w Warszawie i na prowincyi.

Uznano, że wypada koniecznie dać obiad w rosyjskim klubie, z odpowiedniemi mówkami, toastami i muzyką, pohulać w kółku swojem, od serca; wypić jak najwięcej szampana i w nim utopić to wszystko, o czem się nie łatwo zapomina.

Ostre pióro jednego z współbiesiadników zachowało nam szczegóły tej uczty.

Ażeby ludzi zebrało się więcej, przeniesiono zwykły sobotni obiad po półtora rubla od osoby, na wtorek dnia 13 sierpnia 1861 roku. Zebrało się 120 osób, urzędników i oficerów różnych stopni i rang, od chorążego do generała. Z grubszych figur byli na obiedzie: generał piechoty, Liprandi; generał-adjutant Potapow, przysłany czasowo z Petersburga dla urządzenia nowej policyi, przyczem na koszta utrzymał 15.000 rubli sr.; generałowie: Karłowicz,

Semeka, Chrulew, Weselickij, Kryżanowskij, Giecewicz; rządowy radca tajny Łęski; rządowi radcy stanu: Cycurin, Fundukley, hrabia Nesselrode. Fraków było niewiele, między tymi literat Arseniew, sprowadzony z Petersburga do pisania jakichś tendencyjnych artykułów o toku spraw rosyjskich w Królestwie Polskiem, których wszakże nikt nie czytał [1]).

Suchozanet wszedł na salę o godzinie 4-tej po południu przy dźwiękach muzyki. Obiad był nieszczególny, wino każdy osobno płacił, tylko szampan był wspólny.

Jak tylko nalano kielichy, Suchozanet powstał, prezes klubu pułkownik Lewszyn pośpieszył krzyknąć: „Zdrowie Jego Cesarskiej Mości!" W odpowiedzi odezwało się oficyalne „hurra!" poczem Suchozanet przemówił: „Rad jestem, gdy się znajdę wśród Rosyan, między którymi serce mi rośnie po tych ciężkich próbach, które wspólnie przechodzimy! (Łzy mu stają w oczach). Dziękuję wam panowie, żeście mnie do swego grona przyjęli, wobec których mogę wypowiedzieć całe me uwielbienie dla zachowania się rosyjskiej armii. W tak krytycznych chwilach, każde inne wojsko uległoby rozprężeniu i nowe klęski na kraj sprowadziło, nieszczęścia nie do opisania i nie do wyrażenia. Lecz wy, swoją krwią zimną, swoją wspaniałomyślnością i ofiarnością, zasługujecie na usprawiedliwiony podziw! Szczególniej stosuje się to do wojsk konsystujących w Polsce. Nie dlatego to mówię, że dowodzę pierwszą armią, lecz dlatego, że pojmuję jej położenie. Nie zwracajcie uwagi na te nieprzyjemności, na obrazy, których doświadczacie na ulicach od wszelkiego rodzaju grubian i ludzi bez wychowania [2]) i stale pomnijcie, że historya wy-

---

[1]) O Arseniewie notatka naocznego świadka *Ruskaja Starina* z września 1874 roku str. 120—130.

[2]) Powtarza słowa niedawnego rozkazu do dowódcy drugiego korpusu z dnia 5 lipca 1861 roku, w którym między innemi rzeczami powiedziano: „Widzę, że obelgi, któ-

soko oceni waszą wielkoduszność i pobłażliwość. Nie dzisiaj, ale za jakie sto lat, historya ze zdumieniem będzie was wspominać, ja zaś ze szczególniejszą w sercu i duszy radością wznoszę toast „Na cześć rosyjskiej armii, hurra!"

Nastąpiła chwilowa cisza, poczem Lewszyn, trącony przez Cycuryna, zawołał: „Zdrowie ministra wojny!"

Rozległo się niezbyt rozgłośne i urwane „hurra!"

Znowu nastąpiła pauza, wśród której Suchozanet przemówił jeszcze słów kilka na pochwałę wojska. Podnosi się senator Fundukley i imieniem Towarzystwa ofiaruje Suchozanetowi godność „członka honorowego". Lewszyn staje na środku sali i woła: „Zdrowie nowego członka honorowego naszego klubu!—hurra!"

Na to Suchozanet: „Dziękuję, z głębi serca dziękuję za cześć mi okazaną, przez wybranie mnie członkiem honorowym rosyjskiego publicznego stowarzyszenia, na członka, można powiedzieć, rzeczywistego. Myślą i sercem współczuję z Towarzystwem i będę brał udział we wszystkiem, co się Towarzystwa tyczy, Towarzystwa reprezentującego tutaj rosyjską narodowość. Ja uznaję i szanuję każdą narodowość, lecz żądam, ażeby była pojmowaną właściwie, bez zgubnych zapędów i nadziei nie do urzeczywistnienia! Ja, kochając rosyjską naro-

---

rych doznaje wojsko od mieszkańców, wywołały między panami oficerami silne rozdrażnienie, zaczynające się wyrażać głośnem szemraniem. Okoliczność ta, zwiększająca trudności rządu, wskazuje, że panowie oficerowie nie zdają sobie należycie sprawy ze swego stanowiska i nie pojmują należycie swych obowiązków. Obraza pochodząca od ludzi, sądzących, że się prawnie potrafią zasłonić od odpowiedzialności, nie może dotykać ludzi przypadkiem na nią narażonych. Spodziewam się że panowie oficerowie, zastanowiwszy się należycie nad tem, zrozumieją, że w takich razach tylko znoszenie z zimną krwią nieuniknionych nieprzyjemności, stanowi prawdziwy obowiązek żołnierza".

dowość, nie mogę jednocześnie potępiać Polaków za ich przywiązanie do swej ziemi i ojcowizny, szkoda tylko, że oni dają wyraz temu swemu przywiązaniu przez uliczne nieporządki, które przez żadną władzę nie mogą być cierpiane i dopuszczane. Tylko silna, pewna siebie władza z jednej, oraz poszanowanie prawa i uległość władzy z drugiej strony, mogą dać spokój i szczęście temu krajowi; nieroztropność zaś i zapędy zawiodą go na skraj przepaści i zguby. Przez spokój i porządek kraj osiągnie dobrobyt, zaś przyszłe jego szczęście zawisło od łaski monarchy, na którą zasłużyć leży w jego mocy. Biada Polsce jeśli się nie opamięta, biada jej! Dlatego też mamy obowiązek uczynić wszystko, co tylko leży w naszej mocy, aby przywrócić spokój. Najstraszniejsze zło, demagodzy, steroryzowali całą ludność, wszystkie stany, lecz najjaśniejszy pan, swą niewyczerpaną łaskawością, sprowadzi nakoniec błądzących na drogę prawdy i porządku. Armia nasza w jednej chwili może w całym kraju wszystko zburzyć do szczętu, napełnić go strachem i przerażeniem, lecz ona rozumie swe położenie i postępuje tak, jak tego od niej możemy wymagać. Cesarz w zupełności może na niej polegać i na nią liczyć, ja zaś śmiało twierdzę, że takiej armii jak rosyjska, nie było i nie będzie!"

Generał Weselickij krzyknął hurra, lecz nikt go nie podtrzymał.

Podano kawę. Suchozanet powstał od stołu, wielu poszło za tym przykładem, wszczął się ruch na sali i wszyscy byli przekonani, że uroczystość skończona. Naraz generał Weselickij odzywa się: „Panowie!" Suchozanet zwrócił się ku niemu, zapanowała pewna cisza i Weselickij przemówił: „Ś. p. cesarz Mikołaj Pawłowicz, wyjeżdżając w 1851 r. za granicę, powierzył rządy państwa swemu synowi, następcy tronu, dziś nam miłościwie panującemu cesarzowi, a za powrotem odznaczył go orderem św. Włodzimierza, na którym widnieje napis: „Użytecz-

ność, cześć i sława!“—Już sześć lat minęło od czasu, gdy cesarz ten zaczął rządzić, a ileż reform, jakie zmiany? Nie wspominając już kwestyi włościańskiej, my jako wojskowi rozpatrzmy tylko zmiany zaszłe w zarządzie wojskowym!“ (Głosy: „a! ze zbornika wojennego! słuchajcie!“) „Zniesienie kolonii wojskowych! z woli najjaśniejszego pana rolnik wrócony został swej roli!“

Suchozanet, dając ręką znak Weselickiemu, wpada w słowo: „Przepraszam. Zniesienie wojskowych kolonii przyniosło korzyści, które mogę nazwać w pełni państwowemi!... Ja, ja wobec najjaśniejszego pana, byłem rzecznikiem tego zarządzenia, widząc dokładnie złe i szkodliwe strony kolonii wojskowych. Należy wszakże przyznać, że pierwsza myśl o ich zwinięciu wyszła od tylko co zamianowanego namiestnika w Królestwie Polskiem generał-adyutanta hr. Lamberta. On poznał na miejscu kolonie i w osobnym memoryale wyłożył swe zapatrywania tak jasno i przekonywająco, że nie pozostawało mi nic innego, jak tylko pochwalić i zgodzić się z wnioskiem. Uznałem w zupełności nieszczęsny stan kolonistów i zarządzenie o południowych koloniach rozciągnąłem na wszystkie inne“.

W najbliższem otoczeniu Suchozaneta słychać głośne „hurra“. Kapitan z trzeciego okręgowego parku artyleryi, Kleigels, płacze z rozrzewnienia.

Weselickij mówi dalej: „Zwinięcie kantonistów, dzieci wrócone rodzicom“...

Suchozanet przerywa: „Pozwólcie panowie! to było zło tak krzyczące, że niepodobna było nie zwrócić na nie uwagi. Zniesienie kantonistów z wszelką słusznością sobie mogę przypisać. Kiedy objąłem zarząd ministeryum, zastałem 345 tysięcy tych nieszczęśliwych sierot, bez wszelkiej opieki i wychowania, ciężar dla państwa, niepotrzebna troska dla rządu. Szczególniej żal mi było Żydów. To żadna zasługa, zło zanadto było bijące w oczy, ustawa sprzeczna z pojęciami współczesnemi. Pojąłem tyl-

ko to, co dla każdego aż nadto powinno było być zrozumiałe i wyjednałem zatwierdzenie monarsze!"... (krzyki hurra głuszą dalsze słowa, kapitan Klejgels we łzach tonie, Arseniew potakująco kiwa głową).

Weselickij zaczyna po raz trzeci: „Zwiększono pensye wojskowym i zaprowadzono kasę emerytalną..."

— Suchozanet przerywa: „Pozwólcie panowie! Za najważniejszą sprawę uważałem uregulowanie poboru kwaterunkowego. Ustawa o dostarczaniu kwater pochodziła z czasów powszechnej taniości. To było dawno, bardzo dawno; od tego czasu wiele się zmieniło, wszystko podrożało, a znaki zamienne straciły na swej stosunkowej wartości, wskutek czego wymiar podatku kwaterunkowego stał się zupełnie niewystarczający. Przedstawiłem to najjaśniejszemu panu, który w swej szczodrobliwości zwiększył i kwaterunkowe i same pensye oficerów. Nie pragnę, aby ofiicerowie żyli zbytkownie, lecz nie powinni cierpieć niedostatku w rzeczach niezbędnych.

Założenie kasy emerytalnej dozwoliło ludziom zasłużonym, którzy sterali swe zdrowie i najpiękniejsze lata życia w usługach ojczyzny, po opuszczeniu służby dożywać bez troski i niedostatku resztki dni swoich. Emerytalna kasa jest waszą własnością, wzrasta z waszych ofiar i wkładek, i słusznie do was należy. Oprócz potrącań z pensyi, co czyni 1,200,000 rubli sr. rocznie, cesarz w swej łasce, wyasygnował na kapitał zakładowy półósma miliona rubli sr., nadto corocznie z kasy państwa wpływa 300,000 rubli sr. zapomogi. Wszystko to stało się mimo opozycyi wielu, bardzo wielu! Państwo ma inne potrzeby także, które zaspokoić trudno, a jednak dla polepszenia bytu oficerów zrobiono wszystko, co się tylko dało zrobić. Niepodobna przekroczyć pewnych granic i we wszystkiem miarę zachować należy".

„Emerytura, jakem powiedział, zabezpiecza przyszłość starców. Wszystko się toczy zwykłą, że tak powiem przyrodzoną koleją, a więc należy się poddać prawom starości. Kto nie jest w stanie dalej skutecznie pracować winien porzucić służbę. Weźmy naprzykład lekarza: doktór doszedłszy w służbie do lat pięćdziesięciu, powinien podawać się do dymisyi i to słusznie, gdyż w tych latach już siły ustają i człowiek nie może być, jak za młodu, zawsze rzeźkim i przytomnym. To prawo powinno obowiązywać i innych wojskowych... dzisiaj już wiek inny, inne poglądy, inne wymagania. Potrzeba więc nowych ludzi: młodych, czynnych, energicznych i zdolnych. Trzeba ustąpić pola innym..." — (Odpoczywa. Starzy niezadowoleni. Prezes polowego audytoryatu, generał-porucznik Karłowicz, robi szczególnie smutną minę).

„Tak! ustąpimy ze sceny, ustąpimy miejsca tym z was, którzy się okażą najzdolniejszymi". (Młodzież krzyczy „hurra!"). „Uważać się będę za szczęśliwego, jeśli mi wypadnie dać pierwszy przykład. My wszyscy uczyliśmy się, jak to mówią, za grosze miedziane; teraz zaś nauka i wychowanie zupełnie inne. A więc zawód nasz skończony! Już czas zejść ze sceny. Ja prawie pięćdziesiąt lat przesłużyłem w szeregach armii i czuję, że już powinienem ustąpić". (Zadowolenie na wielu twarzach. Ktoś krzyknął „hurra", lecz zaraz psykano). „Uczyniłbym to, nawet gdybym nie posiadał środków dalszej egzystencyi!" (Słychać głos: „no, wtedy kto wie, coby się stało?"). Jako minister wojny, szczycić się będę, żem pierwszy dał przykład, a dałbym go nawet, gdybym miał pobierać tylko połowę dzisiejszej pensyi" (głos: „i to byłoby aż nadto wystarczające"). „Wzywam i proszę wszystkich starszych, aby szli za moim przykładem i ustąpili miejsca nowym, młodszym siłom!... Ja to czynię dla państwa, dla Rosyi, kochając ją i widząc w tem jej korzyść. U mnie zawsze na pierwszem miejscu sta

obowiązek; ja zaś to poczytuję za obowiązek względem cesarza, jego uświęconej woli i względem państwa!" (krzyki: „hurra!").

Okrzyki się jeszcze nie skończyły, gdy już Weselickij zaintonował: „Te zmiany zawdzięczamy jego ekscelencyi panu ministrowi wojny Mikołajowi Onufriewiczowi!" (Suchozanet przysłuchuje się z przechyloną głową. Okrzyki nieustają). Weselickij ciągnie dalej: „A teraz panowie! pozwólcie wznieść toast na cześć rosyjskiej armii, z życzeniem, ażeby się ona znów podniosła na stopień, jaki się jej z prawa należy, i stała się pierwszą armią w świecie; ażeby odzyskała swą dawną chwałę!"

Tu Suchozanet przerywa: „Rosyjska armia nie potrzebuje odzyskiwać swej dawnej chwały; ekscelencyo! ona tego nie potrzebuje! Owszem w czasie ostatniej Sewastopolskiej kampanii ona prześcignęła wszystko to, czego można żądać od najlepszej armii. Pan generał nie oceniłeś dostatecznie słów swoich „odzyskiwać", gdy niema czego odzyskiwać. Armia nasza nigdy nie potrzebowała, nie potrzebuje, i da Bóg, potrzebować nie będzie odzyskiwania swej sławy. Nigdy, żadna armia nie wykazała tyle poświęcenia, męstwa i zalet wojskowych, jak nasza pod Sewastopolem. Najpotężniejsze mocarstwa połączyły swe olbrzymie środki i czegóż dokazały? Zdobyły niebronione już miasto i resztki floty, która powinna była być przedtem spaloną, jako do niczego nie przydatna. Bezprzykładne męstwo armii ujawniło się w całej pełni i kiedyś historya odda jej zasłużoną sprawiedliwość; najpóźniejsze potomstwa szczycić się będą taką kampanią!"

„Teraz okazujecie męstwo innego rodzaju i przyjdzie czas, że z chlubą będziecie wspominali, żeście należeli do armii, konsystującej obecnie w Polsce! (gwar nieokreślony). Słuchajcie panowie, co mówię: powtarzam, męstwo to stoi po nad wszelkie pochwały, po nad wszelkie porównania i ce-

sarz w zupełności może polegać na takiej armii.— Hurra!"

Wielu wznosi ten okrzyk. Pułkownik Hartung, dowódca muromskiego pułku piechoty cały zaczerwieniony od krzyku. Kapitan Kleigels wciąż jeszcze płacze. Gdy okrzyki się uspokoiły, Suchozanet zapytuje Weselickiego, czy już skończył, a na jego potwierdzającą odpowiedź, dodał: „A więc dziękuję panu, ale zawsze nietrafnie powiedziałeś generale, że nam potrzeba wskrzesić sławę rosyjskiego oręża".

Łatwo więc wytłómaczyć, że przy takich stosunkach, wobec wyjazdu jednego namiestnika i w oczekiwaniu nowego, manifestacye i inne nieporządki w mieście nietylko nie ustawały, lecz się jeszcze bardziej wzmogły. Po pierwszem żałobnem nabożeństwie za księcia Adama Czartoryskiego w katedrze, posypały się takie nabożeństwa po innych kościołach w Warszawie a następnie w całym kraju. Trójki i dziesiątki mnożyły się w geometrycznej progresyi. Wielu gorętszym zdawało się, że powstanie zbrojne tuż, tuż ma wybuchnąć. Emisaryusze Mierosławskiego, przybyli w znaczniejszej liczbie dla zdjęcia planów niektórych miejscowości Królestwa Polskiego, zwiększali w rozmaitych kołach to gorączkowe usposobienie.

Widząc to partya Sybiraków, kierowana przez Aleksandra Krajewskiego, byłego redaktora *Roczników gospodarstwa krajowego*, postanowiła wydawać potajemną gazetkę, mającą za zadanie powstrzymanie nieopatrznego zapału i ostrzeganie nieostrożnych. Dnia 6 sierpnia 1861 roku wyszedł pierwszy numer tej pierwszej podziemnej gazety ostatniego powstania, zatytułowanej *Strażnica*. Była to niewielka ćwiartka, z tekstem po jednej tylko stronie bardzo źle i widocznie na ręcznej prasie wydrukowanym [1]).

---

[1]) *Aweyde* powiada, że drukowanie pierwszych plakatów i gazet przedstawiało nadzwyczajne trudności. Prasy

Strażnica wzywała wszystkich Polaków „być gotowymi w każdej chwili, lecz czekać spokojnie i cierpliwie".

Gazetę rozchwytywano i czytano skwapliwie, rady jej atoli i przestrogi nie wywarły absolutnie najmniejszego skutku; niecierpliwość i przesadne nadzieje gorętszych wcale się nie zmniejszyły, a manifestatorowie z jednaką, dziecinną gorliwością sprawę swą dalej prowadzili.

Dnia 8 sierpnia, a więc w parę dni po wyjściu *Strażnicy*, w kościele archikatedralnym św. Jana, w dzień urodzin cesarzowej, odbywało się zwykłe uroczyste nabożeństwo. Celebrował ksiądz prałat Białobrzeski, zaś arcybiskup Fijałkowski był w kościele prywatnie. Z urzędników cywilnych przybyło ośmiu z prezesem komisyi skarbu Laskim i wice-prezesem w Banku polskiego Szemiotem, na czele. Jak tylko po skończonej Mszy świętej, celebrujący zaintonował modlitwę za rodzinę panującą, a organy zagrały hymn cesarski, grono złożone z kilkudziesięciu młodzieży, przecisnąwszy się przed główny ołtarz zaśpiewało „Boże coś Polskę". Lud zebrany w kościele podchwycił chórem nutę pieśni, głusząc kler i organy. Wieczorem ulicznicy gasili po ulicach iluminacyę, wybijali okna oświetlone, między innemi wybito szyby w oknach pomieszkań generałów: Kuźmina i Szepielewa, przy ulicy Miodowej.

Nic nie zarządzono dla stłumienia tych wybryków. Nadchodząca rocznica ogłoszenia unii polsko-litewskiej dnia 12 sierpnia, nastręczała nowy powód do urządzania manifestacyi, szczególniej na pograniczach Litwy i Polski, dla stwierdzenia istniejącego współczucia i wykazania rozwoju samej organizacyi.

---

i czcionki sprowadzano z początku z zagranicy, potem zaczęto je wyrabiać w Warszawie. Gdy rząd narodowy urosł w siły, drukowanie dzienników i innych pism odbywało się w zwykłych drukarniach.

Czerwoni i biali, a właściwie ta część białych, których Aweyde nazywa „młodą szlachtą", w wielu wypadkach zgodnie działali. Wstrzymanie reform, a po części rzeczywiste usunięcie się Wielopolskiego od zarządu (chociaż zawsze nosił wszystkie tytuły), szczególnie sprzyjały zbliżeniu się przeciwnych sobie żywiołów. Manifestacya na pamiątkę Unii Litwy z Koroną, uchwaloną została w rozmaitych kółkach warszawskiej organizacyi, za główne zaś pole działania wybrano niezbyt strzeżony most na Niemnie, łączący Kowno z osadą Aleksotą, gdzie ludność obu wybrzeży i bez tego w ciągłej pozostawała z sobą styczności. Ułożony w Warszawie plan, przesłano obywatelom augustowskiej i kowieńskiej gubernii do możliwego wykonania i uzupełnienia szczegółami, zastosowanymi do okoliczności. Plan główny polegał na tem, że w rocznicę Unii miały wyjść jednocześnie procesye z Kowna i Aleksoty z tem, żeby się spotkały na moście, poczem miały się wspólnie udać do wsi Godlewo, położonej w Królestwie, niedaleko Aleksoty, gdzie się miał spisać akt na pamiątkę tego obchodu i odbyć wspólna uczta.

Do Warszawy i innych miast uchwalono na ten sam dzień miejscowe uroczyste obchody i ogłoszono następujący drukowany plakat:

„Bracia ziemianie! Dnia 12 sierpnia 1569 roku król Zygmunt August uroczyście zamknął sejm Unii w Lublinie i to ostateczne połączenie Litwy z Polską uwieńczył mową, którą przekazał obu narodom wieczną miłość braterską. To też i my, bracia ziemianie, obchodźmy uroczyście ten dzień uświęcony zjednoczeniem przodków naszych, zbierzmy się w kościołach i zanieśmy wspólnie do Boga gorące modły nasze, aby rozćwiartowany nasz naród, w jedną, jak dawniej, zlał całość i dusze nasze na wieki zespolić raczył. Dnia 12 sierpnia 1861 roku zaświadczamy publicznie, żeśmy bracia jednej i tej samej rodziny, Orła białego i Pogoni. Obchód ten

Unii dwóch narodów odbyć się powinien wśród uroczystego spokoju, na całej przestrzeni starodawnej Polski.

W tym dniu zdejmuje się żałoba".

W wilię uroczystości 11 sierpnia plakat ten rozdawano po kościołach. Oprócz tego rozlepiono go w większem wydaniu po ścianach kościołów. Uwaga o zdjęciu żałoby następowała zaraz po słowach „orła i pogoni" z dodatkiem, że „panie mają być w kolorach narodowych, mężczyźni włożą krawaty białe, lub amarantowe. Kupcy są proszeni o zamknięcie magazynów i zaniechanie wszelkiej sprzedaży. Ludność najusilniej prosi, o zachowanie najzupełniejszego spokoju. — Wieczorem iluminacya".

Namiestnik polecił rozlepić swoje odezwy, wzbraniające obchodu, zdzierano je a gdzie policya temu przeszkadzała, zachodziły bójki. Na Saskim Placu, wobec stojącego wojska, jakiegoś policyanta zbito prawie na śmierć [1]).

Ponieważ władze nigdzie nie zarządziły stanowczych środków, więc obchód rocznicy Unii wszędzie się uroczyście odbył. W Warszawie mieszkańcy przywdziali na ten dzień najbarwniejsze szaty; strojne damy przejeżdżały w otwartych powozach; wieczorem całe miasto było oświecone, szczególnie zaś Stare Miasto gorzało tysiącami świateł [2]).

W Lublinie odbył się spacer publiczności koło pomnika Unii, stojącego naprzeciw mieszkania gubernatora. Wiele dam wystąpiło w przebraniu za wieśniaczki, między niemi wyróżniała się szczególnie znana panna Pustowójtów; ubrana po wiejsku, miała warkocze zaplecione trójkolorowemi

---

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

[2]) *Awryde* tom II, str. 82. Partya czerwonych chciała urządzić jeszcze uroczystą procesyę na Powązki, lecz umiarkowani przeszkodzili temu przez rozrzucenie po mieście ostrzegających plakatów.

wstążkami. Damy rzucały na podnóże pomnika kwiaty i wieńce. Wieczorem miasto oświecono, w licznych oknach umieszczono transparenty z herbami Polski i Litwy, portretem Kościuszki i t. p.

Manifestacya na pograniczu Polski i Litwy odbyła się w następujący sposób: Gdy policya kowieńska dowiedziała się o zjazdach i naradach obywateli i o czynionych przygotowaniach do obchodu Unii, które dość jawnie się odbywały, gubernator Chomiński z umysłu czy przypadkiem wyjechał do Petersburga. Zastępujący go, wice-gubernator Karecki, doniósł głównemu naczelnikowi kraju, generał-adyutantowi Nazimowowi, o zapowiedzianej na dzień 12-go sierpnia manifestacyi i prosił o rozkazy, co czynić jeśli manifestacya przyjdzie do skutku? Powiadają, że otrzymał odpowiedź telegraficzną „Postępować rozważnie, ą most rozwieść [1])". Wszakże wice gubernator nie zarządził żadnych środków ostrożności, mostu nie rozwiódł, to też obie procesye rano dnia 12 sierpnia wystąpiły podług ułożonego programu z Kowna i z Aleksoty w otoczeniu ogromnego tłumu ludu. Wtedy dopiero wice-gubernator polecił naczelnikowi miejscowego zarządu dróg i mostów, kapitanowi Kułakowskiemu, Polakowi, czemprędzej most rozprowadzić. Kułakowski podał się za chorego, zastępujący go porucznik Weliagonow zaledwie zdołał jedną łyżwę usunąć i na bok odprowadzić. Procesye więc obie na moście, oddzielone nie wielką przestrzenią, mogły z łatwością z sobą rozmawiać i nawzajem się witać. Wkrótce ktoś ze zręczniejszych młodych ludzi potrafił się dostać na niezbyt daleko odprowadzoną łyżwę mostową i przerzucił z niej linę ludowi stojącemu na

---

[1]) Z opowiadań różnych miejscowych urzędników, a także suwalskiego gubernatora Zerwe'go. Inni zapewniali, że telegraficzna depesza zawierała tylko dwa słowa „postępować rozważnie". Most na Niemnie pod Kownem był łyżwowy.

moście. Linę pochwycono i za jej pomocą łyżwę przyciągnięto na miejsce i wówczas nastąpiło połączenie się obu procesyi przy ogłuszających okrzykach entuzyazmu ludu zebranego na obu brzegach rzeki i przy śpiewie „Boże coś Polskę". Wojska, przysłane przez naczelnika dywizyi generała Burhardt'a, patrzyły, spokojnie rozstawione na brzegu kowieńskim, a gdy rozległ się śpiew, żołnierze machinalnie zdjęli czapki i poczęli się żegnać [1]).

Połączone procesye stosownie do programu, wyruszyły przez Aleksotę do Godlewa i tam spędziły czas do wieczora na wspólnej zabawie i uczcie, wśród której wino i łzy obficie się lały... a w końcu spisano na pamiątkę obchodu akt, stwierdzony licznymi podpisami. W kilka dni potem rozeszły się po Litwie i Polsce tysiączne fotografie, przedstawiające spotkanie się procesyi na rozerwanym moście.

Cesarz, dowiedziawszy się o manifestacyi w Aleksocie, zawezwał do siebie gubernatora kowieńskiego generała Chomińskiego, przebywającego jeszcze w Petersburgu i zapytał:

— Czy wiesz w jakim stanie teraz twoja gubernia?

— Tam wszystko w porządku Najjaśniejszy Panie!—odrzekł Chomiński.

— No to jedź i przekonaj się, jaki porządek!

Na dzień 15 sierpnia rozmaite partye chciały urządzić w Warszawie obchód na cześć cesarza Napoleona, lecz wszyscy umiarkowani powstali przeciw temu i zamiar do skutku nie przyszedł.

Około tego czasu część duchowieństwa warszawskiego w związku z krańcowymi ludźmi stronnictwa ruchu napisała „wezwanie do braci i kole-

---

[1]) Z opowiadań naocznych świadków.

gów w całej Polsce" [1]), nadzwyczaj podżegającej treści.

W tymże czasie wyszedł drugi numer *Strażnicy*.

Suchozanet patrzał na to wszystko obojętnie, myśląc tylko o jaknajprędszem opuszczeniu Warszawy. Wyjeżdżał atoli nie do Petersburga, lecz za granicę, gdyż spostrzegł, że cesarz nie życzy sobie jego powrotu do ministeryum wojny. Na krótko przed wyjazdem z Warszawy, Suchozanet otrzymał list od cesarza, w którym był przypisek: „z Milutina jestem bardzo zadowolony". Dnia 18 sierpnia zaszczycił swą obecnością ucztę w dzień pułkowego święta w muromskim pułku p., przy której znowu były mówki, a w pięć dni potem, dnia 23 sierpnia przybył do Warszawy nowy namiestnik hr. Lambert, bez żadnej straży przybocznej, nawet służba jego, w cywilnem ubraniu, zdaleka za nim zdążała. Zrobiło to wrażenie, gdy publiczność była przyzwyczajona do spotykania namiestnika zawsze w otoczeniu eskorty kubańskich kozaków. Na zjeździe napotkanego ubogiego obdarzył hojną jałmużną.

Dnia 25 sierpnia przyjechał Gerstenzweig ze swym adjutantem Polenowym [2]). Zaraz potem wyjechał za granicę generał Suchozanet, przeprowadzany bardzo nieżyczliwie przez ludność, dla której tak bardzo okazywał się pobłażliwym. W Piotrkowie urządzono mu kocią muzykę i wybito szyby w wagonie.

---

[1]) *Wiadomości z kraju* str. 14—16. — *Bibliotieka dla człienia.*, luty, 1864, str. 33.

[2]) Generał Paniutyn wyjechał z Warszawy jeszcze w maju. Pułkownik Krywonosow powiada, że mieszkańcy Warszawy chcieli go owacyjnie pożegnać, lecz że się od tego wymówił. Hrabia Lambert miał pobierać 30,000 rubli r., Gerstenzweig zaś 15,000 rubli sr. rocznej pensyi.

Przyjmując urzędników dnia 27 sierpnia, hr. Lambert z każdym rozmawiał i zrobił na wszystkich jaknajlepsze wrażenie. Merchelewicza uściskał [1]). Trzeciego dnia złożył wizytę arcybiskupowi Felińskiemu, gdy wyjeżdżał z wrót pałacu arcybiskupiego przy ulicy Miodowej, został powitany okrzykami ludu. Na skutek uwagi arcybiskupa, że należy okazać się łaskawym i nie więzić bez powodu ludzi w cytadeli, Lambert zaraz nazajutrz, dnia 2 września, polecił uwolnić z dziesiątego pawilonu ośmiu więźniów politycznych, a między niemi i obywatela ziemskiego Zawiszę, uwięzionego za posiadanie potajemnej drukarni. Wszyscy uwolnieni przez kilka dni jeździli za namiestnikiem, spotykając go wszędzie okrzykami. Usunięto nadto z placów wojska i otworzono boczne wejścia do ogrodu Saskiego.

Ultraradykalni nie pochwalali takiego zachowania sie publiczności i ich agenci rozpędzali lud, gromadzący się tłumnie w Łazienkach i wszędzie, gdzie się spodziewano spotkać nowego namiestnika.

W pierwszych chwilach hrabia Lambert i Gerstenzweig, po pobieżnem rozpatrzeniu się w sytuacyi i po rozmówieniu się z niektóremi osobami ze stronnictwa białych, byli jednego zdania co do zarządu krajem. Spodziewali się, że z pomocą żywiołów umiarkowanych potrafią pozbawić czerwonych, a właściwie zawiązujący się spisek, wszelkiego znaczenia i wpływu i zmuszą ich do rozwiązania się z braku sił i możności do dalszego prowadzenia rozpoczętych robót. Gerstenzweig rzucał wprost do kosza memoryały Podwysockiego i nieraz dosyć ostre robił uwagi policmajstrowi na jego raporta o różnych drobnych nieporządkach w mieście .. „ależ wiem o tem . już to słyszałem"—zwykł odpowiadać.

Wkrótce wszakże spostrzegł się, że tych umiarkowanych żywiołów w kraju wynaleźć nie sposób, że

[1]) Razem służyli na Kaukazie.

wszyscy mniej więcej dostali obłędu i z wiedzą lub też bezwiednie dążą do sprzysiężenia. Generał-gubernator rozszedł się w poglądach ze swym petersburskim druhem i nabrał przekonania, (które zresztą jeszcze w czerwcu, w czasie przejazdu przez Warszawę i hrabia Lambert podzielał), że bez użycia surowych i stanowczych środków, bez zaprowadzenia stanu wojennego, spokoju nie da się przywrócić [1]). Jednak nie sprzeciwiał się w oczekiwaniu, że i ten druh wkrótce przyjdzie do tegoż samego przeświadczenia.

Lecz hrabia Lambert trzymał się uparcie raz powziętego planu, żeby doprowadzić umysły do uspokojenia przez szereg ustępstw i reform, a więc dotrzymać obietnice, dane w ukazie z dnia 14 (26) marca 1861 roku, a przynajmniej rozpisać wybory do rad miejskich, o które prosił jeszcze książę Gorczakow, a na które zezwolono, gdy już zwłoki Gorczakowa wywieziono do Sewastopola.

Na rosyjskiem towarzystwie hrabia Lambert oprzeć się nie mógł dla tej prostej przyczyny, że takiego w Warszawie nie było. Niepodobna bowiem było uważać za towarzystwo gromadę wojskowych, przybyłych wraz z pułkami z przeróżnych stron szerokiej Rosyi. Cywilnych zaś Rosyan, którzy na całym świecie tworzą towarzystwo, było bardzo niewielu. Najgłówniejsi z nich byli: radca taj-

---

[1]) Zdanie to podzielali generałowie: Potapow, Chrulew, Czernickij, Siemeka, Batczatuł i radca tajny Kazaczkowskij. Ten ostatni nieraz przedkładał namiestnikowi, gdy czerwoni zanadto broili: „Przestań pan igrać z ogniem, pięć szóstych ludności pragnie spokoju i rada będzie z zaprowadzenia stanu wojennego, ale, ma się rozumieć, że z tem odezwać się nie może“. Wracający z zagranicy dowódca 3-go korpusu piechoty baron Wrangel, powiedział do Lamberta: „Wszyscy za granicą kpią z naszych rządów w Polsce. Wierz mi pan, nie będzie spokoju, dopóki nie zapostrzegą na ulicach Warszawy zapalonych lontów“.—Dziennik pułkownika Krywonosowa.

ny Kazaczkowskij, dyrektor kancelaryi namiestnika; rzeczywisty radca stanu Cestilin, dyrektor kancelaryi generał-gubernatora; rzeczywisty radca stanu Połtoranow, generał-audytor i Andrejew, urzędnik w kancelaryi namiestnika, który przed trzydziestu laty przybył do Warszawy na trzy tygodnie i w niej ugrzązł. Do nich czasem się przyłączał generał Bebutow, zręczny i praktyczny Ormianin, komendant miasta. Wszystko to byli ludzie wpływowi, mogący wiele zrobić, wszakże używać ich do narad nad jakąś kwestyą rosyjską w Polsce, byłoby nader dziwnem ze strony namiestnika. Oni stanowczo nie zajmowali się żadnemi kwestyami, które nie dotyczyły wyłącznie ich osób; nic literalnie nie czytali, lecz za to nader zręcznie umieli pracować nad własnem wyniesieniem się, nad otrzymywaniem rang, orderów, nadań majoratów. Doskonale umieli jeść i pić, jeszcze lepiej służyli mamonie, ale zresztą nic więcej. Hrabia Lambert prędko poznał i ocenił tych panów i dlatego na naradach w Zamku zjawiali się nie oni, lecz dawni delegaci: Szlenker, Chałubiński, Kronenberg, Kraszewski, księża Wyszyński i Stecki.

Nie można z jakiemkolwiek uzasadnieniem twierdzić, że to byli sami zdrajcy, że co innego mówili namiestnikowi, z czem innem zaś występowali przed czerwonymi, o nie! Byli to wszakże ludzie zadziwieni i wstrząśnięci wypadkami najnowszych czasów, którym mimowoli zaświtały w głowach jakieś mamiące patryotyczne marzenia. Ludzie bynajmniej nie obojętni na to, co od czasu do czasu zalatywało z nad brzegów Sekwany i z emigracyi; ludzie niedowierzający rządowi i głęboko przekonani, że uległością u żadnego rządu, a tem bardziej u rosyjskiego, nic się nie uzyska, i że jeżeli ten zgadza się na jakieś ustępstwa, to nie z własnego popędu, lecz jedynie dlatego, że kraj cały wzburzony, że w kraju zapanowała gorączka manifestacyjna, coś w rodzaju spisku, i że to sprawili nie oni, średnio-

umiarkowani, a tem mniej wybitnie biali, lecz ci czerwoni, ten czerwony i rwący się naprzód ludek, uważany powszechnie za żywioł szkodliwy i niebezpieczny. Któryż więc z patryotów odważy się rzucić nań kamieniem potępienia? Jednem słowem, ludzie, którzy otoczyli namiestnika zaraz po jego przybyciu do Warszawy, byli tacyż Polacy jak inni, byli to, margrabiowie Wielopolscy rożnych odcieni, którym trudno było poruczyć rozwiązanie „rosyjskich zadań w Polsce", szczególnie jeszcze w tak wzburzonej chwili. Jeśli się im co podówczas niepodobało w całym przebiegu sprawy, to poczynająca się przejawiać przewaga stronników Mierosławskiego; lecz gdyby im kto powiedział, że zamiast Mierosławskiego, zbliża się zmartwychpowstały Kościuszko, lub chociażby „nasz Chłopicki, wojak dzielny, śmiały..." hrabia Lambert zapewne z trudem rozpoznałby swych gości z wieczornych herbatek...

Długie, pełne poufnych wynurzań rozmowy przedstawiciela najwyższej władzy z tymi ludźmi, były dla doświadczonego rosyjskiego obserwatora tylko niepotrzebną stratą czasu, przelewaniem z pustego w próżne. Takie układy, z podobnymi panami, nieraz prowadzono. Hrabia Lambert w tym wypadku nie umiał korzystać z doświadczeń przeszłości, nawet najbliższej przeszłości. Zresztą ogólna to wada namiestników. Dziesięć rewolucyi mogłoby się dokonać, zanim rosyjska władza mogłaby z takimi interlokutorami dojść do jakiegoś określonego rosyjskiego rezultatu...

Strach przed zjawieniem się Mierosławskiego był podówczas ogólny w kraju; podzielał go również i szef sztabu głównego armii, generał Kryżanowskij, i nieraz doradzał Gerstenzweigowi rozstawić na granicy wojska dla uprzedzenia Mierosławskiego. Gerstenzweig nie dawał się przekonać i odpowiadał, „że to niepotrzebne, że te wszystkie pogłoski, to tylko czcza gadanina, a Mierosławski mimo swego zapału nie jest tak głupi, by z niczem porywać się

na Rosyę; że Polacy nietylko nie mają pieniędzy, broni i wojska, lecz między nimi niema nawet właściwego sprzysiężenia". W końcu dodał, by się nie mieszał w nieswoje sprawy.

Pewnego wieczora hrabia Lambert w rozmowie ze swymi gośćmi zrobił uwagę, że pojąć nie może, zkąd Mierosławski przyszedł do takiego znaczenia w kraju i za granicą, gdy wszystko, co rozumniejsze i poważniejsze w Polsce, nie chce go i stroni od niego, jak od zarazy. Odpowiedziano mu, że zawdzięcza to poparciu Francyi, a głównie poparciu księcia Napoleona, działającego zapewne pod wpływem stryja i że to się zaczęło dosyć dawno, już od lat kilku.

— Lecz takie działanie przywiedzie do zguby samychże Polaków — zauważył hrabia Lambert.

— Europejscy rewolucyoniści nad tem się nie zastanawiają, im chodzi tylko o wywołanie przewrotu.

— A cóż — dodał po pewnym namyśle namiestnik — gdyby kto z wpływowych i poważnych osobistości w kraju, obdarzony zaufaniem i zaopatrzony w pełnomocnictwa wyższych i poważniejszych sfer inteligencyi, tych, którym rzeczywiście leży na sercu dobro i pomyślność ojczyzny; gdyby kto pojechał do Paryża i rozmówił się otwarcie z księciem Napoleonem i jego stronnikami we Francyi, gdyby im przedstawił, jak takie nieopatrzne podżeganie Polaków jest nieszlachetne i nieuczciwe, gdyż wszystkie te zabawki muszą się bardzo źle skończyć.

— Bardzo wątpimy, by się to na co zdało — odpowiedziano — spróbować wszakże nie zawadzi, a najodpowiedniejszym do takiej misyi byłby Kraszewski.

Hrabia Lambert zwrócił się do Kraszewskiego z prośbą, by pojechał do Paryża i tam rozmówił się z księciem Napoleonem. „Co i jak masz mu po-

wiedzieć, nie potrzebuję panu wskazywać, gdyż to lepiej wiesz odemnie."

Kraszewski rad był tej przejażdżce, która dawała mu sposobność rozmówienia się z wybitniejszymi przedstawicielami emigracyi, większej części których nie znał, oraz stanowiła pewną rozrywkę i wypoczynek po wyczerpującej codziennej dziennikarskiej pracy, tak nieodpowiedniej dla jego pisarskiego talentu. Niezliczone kłopoty wszelkiego rodzaju, ciągła walka ze stronnictwami i z drobiazgową cenzurą, w połączeniu z innemi nieprzyjemnościami, których ani się spodziewał, przenosząc się ze spokojnego Żytomierza do Warszawy, zmęczyły go strasznie. On byłby rad zupełnie uciec z Warszawy [1]). Wziąwszy z sobą ile się tylko dało listów uwierzytelniających od znakomitszych osób w Warszawie, Kraszewski pojechał do Paryża, gdzie z trudnością za pośrednictwem Edmunda Chojeckiego otrzymał posłuchanie u księcia Napoleona. Rozmawiali z sobą przeszło półtorej godziny. Kraszewski wykazywał księciu o ile obecnie powstanie jest nie na czasie i błagał go, by nie podżegał Polaków do jawnej

---

[1]) Do jakiego stopnia Kraszewski uznawał, że wydawana przez niego gazeta nie wystarcza do oddania wszystkiego, co czuł i nosił w sobie, dowodzi to jego ciągłe wahanie się, szukanie i gonienie za czemś, nie dającem się ściśle określić. W 1861 roku założył przy gazecie *Przegląd Europejski*, miesięcznik naukowo-literacki. Następnie w 1862 roku zamyślał ogłosić wykłady: *O historyi cywilizacyi w Polsce.* Już nawet wszystkie miejsca na te odczyty były rozkupione; lecz gdy poszedł prosić o zatwierdzenie i dozwolenie wykładów, to Muchanow mu powiedział: „Pozwolenie dam panu, lecz mimo to radzę, abyś pan wykładów zaniechał." W maju 1862 roku Kraszewski pisał do brata swojego Kajetana: „Chcę rzucić gazetę i pozostać tylko przy *Przeglądzie.* Dom sprzedam i zacznę żyć bardziej na ustroniu. Do nowego roku jako tako wytrzymam z gazetą, lecz potem wątpię. Wszak i materyalna korzyść niewielka, a moralnie stanowczo gra się nie opłaci." — *Książka jubileuszowa* str. C.

walki z Rosyą, w której muszą oni uledz koniecznie, na długo burząc wszystko dotychczas osiągnięte. „Jeżeli ostatecznie Francya potrzebuje, by Polska powstała — dodał — to niechże przygotuje rewolucyę dokładnie, ale nie teraz, gdy żadnych przygotowań niema, i nie z Mierosławskim."

Książę odpowiedział, że nie może powstrzymać rozpoczętego ruchu w Polsce, bez względu dokąd on doprowadzi i kto na jego czele stanie. Polacy wiedzą, co robią [1]).

Gdy się to działo, delegaci spijali herbatki i rozprawiali z namiestnikiem o różnych sprawach Kraszewski wrócił z Paryża; w Warszawie zaś i w kraju zachodziły różne dziwne i nieprawdopodobne rzeczy. Nikt z białych i półbiałych kierowników ruchu nie zdawał dokładnie sobie sprawy, co dalej robić. Czy poprzeć rząd szczerze i otwarcie, i odbyć wybory, czy też zwlekać o ile się da i podtrzymywać naprężenie umysłów, nie przeszkadzając manifestacyom i dalszemu rozwojowi organizacyi narodowej? To też chociaż hrabia Lambert delikatnie, ale stanowczo i z naciskiem prawie co dnia domagał się jak najśpieszniejszego zestawienia list wyborczych, panowie delegaci wciąż odpowiadali, „że spisy się układają i wkrótce będą gotowe." Tymczasem nikt się o to nie troszczył na seryo. Biali najbardziej obawiali się, aby ich kto nie posądził o zapomnienie o aspiracyach narodowych... Wszyscy jednak czuli i pojmowali, że taka dwuznaczna gra raz skończyć się musi, i że nareszcie trze-

---

[1]) Od Kraszewskiego, który uważał księcia Napoleona za niezwykle zdolnego i przebiegłego człowieka. Wiadomo nadto o marzeniu księcia Napoleona, zostania królem polskim.

ba zdecydować się i albo iść z rządem i przeprowadzić wybory, albo też połączyć się z czerwonymi, prowadzić dalej agitacyjne demonstracye i ostatecznie dążyć do powstania.

Majewski zaproponował, ażeby zwołać najbardziej wybitne i wpływowe osobistości stronnictwa białych na walny sejm, ażeby dokładnie zastanowić się i naradzić co do programu przyszłego postępowania. W zasadzie uznawano najzupełniejszą słuszność tej propozycyi, tak zgodnej z tradycyą i zwyczajami Polaków; mimo to wszakże sejmu nie zwołano, raz dla tej przyczyny, że biali wogóle są mało ruchliwi, a powtóre, potrzecie i czwarte, że każdy biały i niebiały rozumiał wtedy doskonale, że sejm wcale niepotrzebny, bo i bez sejmu wiadomo, do czego dążyć należy, dokąd wzywa każdego Polaka jego serce i sumienie... nie na czasie tylko i nie politycznie z tem się głośno odzywać, przyznawać się do tego nietylko przyjaciołom, ale nawet przed samym sobą.

Mimo to pogłoska o jakimś zjeździe białych rozniosła się po Warszawie i po kraju. Niektórzy nawet widzieli jawne ku temu przygotowania. Partya ruchu, śledząca nader podejrzliwie za każdym krokiem obozu przeciwnego, natychmiast zawiadomiła Mirosławskiego i Kurzynę o wszystkiem, co się dziać miało w kraju. Mierosławski postanowił sparować raz — razem, atak — atakiem, jak się zwykło dziać w bitwach i zwołał zjazd swego stronnictwa także na walny sejm do Homburga, na który spraszał najwybitniejszych swych stronników z Królestwa Polskiego i innych zaborów, a także i Majewskiego, którego, mimo że się ten połączył z białymi, uważał zawsze za swego ukrytego zwolennika.

U czerwonych podobne sprawy załatwiały się inaczej. Natychmiast znalazło się wielu ludzi, którzy odpowiedzieli wezwaniu wodza i pośpieszyli do Homburga. Kto przybył, dokładnie niewiadomo, pewnem jest tylko, że Mierosławski nie ruszył się

z Paryża, lecz wysłał na zjazd, mający się odbyć dnia 10 września 1861 r., swego sekretarza Kurzynę, zaopatrzonego w rozległe pełnomocnictwa.

Majewski także nie pojechał, lecz posłał w swem zastępstwie dwóch obywateli ziemskich: Józefa Kołaczkowskiego i Stanisława Karskiego, w charakterze czerwonych z białego obozu. Do nich z własnej ochoty przyłączył się nieproszony Władysław Siemiński. Wszyscy trzej należeli do czynniejszych propagatorów „białej organizacyi narodowej [1]).

Jak się odbywały narady w Homburgu, kto i z czem występował, dokładnie nie wiadomo. To tylko pewne, że wysłannicy Majewskiego starali się przekonać Kurzynę, że organizacya narodowa się rozszerza i wzrasta, i że wkrótce ogarnie swą siecią całą Polskę w granicach 1772 r., i że wtedy będzie można stanowczo rozmówić się z rządem. Inicyatywę w tem wszakże należy pozostawić krajowi, nie zaś emigracyi.

— A na cóż wdawać się z rządem w jakiekolwiek rokowania — odparł Kurzyna — w tem leży cała różnica, że my nie chcemy żadnych porozumień z rządem, ono jest niemożliwe. Ten jest wrogiem Polski, wrogiem jej najżywotniejszych interesów, kto oczekuje czegoś od rządu i innych dróg dla zbawienia ojczyzny nie zna i nie widzi. Z tego wypływa, że jakaś tam organizacya, którą zaprowadzacie i która ma ogarnąć Polskę w granicach 1772 roku, dąży wręcz w przeciwną stronę, niż generał Mierosławski, kierujący całym ruchem za granicą, a jak się zdaje i w kraju. Ja, jako jego pełnomocnik i zastępca, oświadczam stanowczo, że waszych poglądów nie podzielam i na nie nigdy się nie zgodzę. Porozumieć się z rządem, to tyle znaczy, co zaniechać wszelkiej myśli o powstaniu. My zaś nad tem pracujemy, aby jak najprędzej do niego kraj

[1]) Zeznania Aweydy i Majewskiego.

doprowadzić. A więc porozumienia między nami być nie może. Żegnam panów!" — Po takiej odprawie, pełnomocnicy Majewskiego opuścili Homburg, co zaś po ich wyjeździe się działo niewiadomo.

Kurzyna za powrotem do Paryża, przestrzegł Mierosławskiego, który zaraz wydał stosowne polecenia swoim stronnikom w kraju, ażeby wszyscy, którym jest droga ojczyzna i którzy dążą do jej oswobodzenia, mieli się na baczności i nie wchodzili w żadne stosunki z organizacyą białych, lecz ażeby wytworzyli własną, prawdziwie narodową organizacyę, starając się obezwładnić wszelkie roboty białych, bez względu, z jakich odcieni pochodzą i do jakich celów zdążają.

A także polecono nie zaprzestawać manifestacyi, owszem o ile się da, pomnażać je, drażnić rząd bezustannie, utrzymywać go w ciągłej trwodze i niepewności i zwiększać wciąż przepaść, dzielącą tenże rząd od prawdziwych patryotów. Werbować dalej dziesiątki i wszelkiemi sposobami przeszkadzać zaprowadzeniu refom, które wręcz są sprzeczne z tradycyami Polaków.

Polecenie to, otrzymane w Warszawie, przesłano zaraz innym miastom w Królestwie i na Litwie. Warszawscy czerwieńcy, i bez Mierosławskiego wiedzieli, jak się mają zachowywać wobec rządu i stronnictwa białych wszelakich odcieni, i bez Mierosławskiego byli przeświadczeni, że jedyną dźwignią ratunku są manifestacye. Wszelako fantazya aranżerów zaczynała się już wyczerpywać. Bardzo więc w porę uzyskali pomoc w osobie energicznego agitatora z Wołynia, Apolla Korzeniowskiego, człowieka bardzo uzdolnionego, pisarza i mówcy, już nie pierwszej młodości, lecz pełnego życia zapału. Wiodąc od lat młodzieńczych życie nieregularne, pożyczając, gdzie się dało, lecz nigdy nie płacąc swych długów, Korzeniowski znalazł się w końcu w położeniu bez wyjścia. Pozostawała jedyna dro-

ga, ucieczka przed długami, w świat, dokąd oczy poniosą. To też znalazł się w ognisku całej kuźni agitacyjnej w Warszawie, wraz ze swym przyjacielem, bogatym obywatelem ziemskim, Podgórskim. Obaj też zaraz, jako apostołowie demokratycznych przekonań, przebrali się w mazurski strój ludowy: białe sukmany, szare kurpiowskie czapki i wysokie buty. W takim stroju chodzili po Warszawie i tak się fotografowali u Bajera [1]).

Znalazłszy się w Warszawie, Korzeniowski zajrzał do Majewskiego, nie wierząc, na równi z Mierosławskim, w szczerość jego nawrócenia, lecz nieokreślone poglądy tegoż, wypowiedziane w dłuższej rozmowie, tak zmięszały gościa, że więcej już doń nie powrócił. Znalazł się też wkrótce w osieroconem kółku Nowakowskiego, jedynem ognisku wszelkich manifestacyi, w którem wierzono święcie, że tylko przez powstanie z Mierosławskim na czele, zdoła się kraj uratować. Lecz i tam nie wiedziano, co w danej chwili na razie robić należy. Jak już wspomnieliśmy, u ludzi tych fantazya zaczęła się wyczerpywać, zapał przygasał... Wołyniak Korzeniowski podziałał na nich, jak powiew podniecającego wiatru. Zaraz doradził swoim nowym przyjaciołom wznowienie nabożeństw za pomyślność ojczyzny, wymyślonych jeszcze w czerwcu przy Suchozanecie.

Pierwsi zaczęli „mechanicy i robotnicy z młyna parowego na Lesznie." Ich plakat wzywający „pomodlić się za pomyślność ojczyzny dnia 5 września w takim to a takim kościele," ozdobiony był ryciną, przedstawiającą młynarza, rzucającego narzędzia swego zawodu a chwytającego za kosę. U góry był herb Polski i Litwy, otoczony ciernio-

---

[1]) *Giller* nazywa ich obu „waryatami i marzycielami."

wym wieńcem z dwoma na krzyż złożonemi palmami.

Nazajutrz, dnia 6 września, w dzień żydowskiego Nowego Roku 5622, z natchnienia tegoż kółka, Zydzi odprawili uroczyste nabożeństwo „za pomyślność ojczyzny" we wszystkich swych bożnicach, w głównej zaś synagodze przy Daniłowiczowskiej ulicy odśpiewano po polsku żydowskie „Boże coś Polskę."

Potem nastąpiła krótka przerwa, jak przynajmniej sądzić można według najkompletniejszego zbioru tych ogłoszeń.

Dnia 16 września pojawił się skromny, bez żadnych godeł plakat fabrykantów obić, wzywający Warszawiaków na nabożeństwo za pomyślność ojczyzny do kościoła św. Krzyża.

Tegoż samego dnia w kościele księży Pijarów przy ulicy Świętojańskiej odprawiło się takież nabożeństwo „cechu fabrykantów fortepianów."

Ponieważ we wszystkich tych nabożeństwach nic szczególnie podburzającego nie było, przeto przez jakiś czas namiestnik patrzał na to przez palce, wszakże na miejsce każdej takiej zapowiedzianej manifestacyi kazał wysyłać kompanię piechoty, którą stale prowadził jeden i ten sam oficer, Bazyli Wasileńko, przezwany przez kolegów Basile Basileńko, gdyż takie miał bilety wizytowe. Otóż oficer ten otrzymywał za każdą ekspedycyę 3 rs. dyet. On się do tego stopnia przyzwyczaił do tej służby, że niech się tylko gdziekolwiek zrobi hałas, rozlegnie się brzęk szyb wybijanych lub odgłos śpiewu „Boże coś Polskę", już Basile ze swoją kompanią jest na miejscu. Wysłucha, przypatrzy się najspokojniej wszystkiemu do końca, a potem „na lewo w tył, marsz!" najpoważniej wraca do koszar, odprowadzany przez zgrają gwiżdżących uliczników.

— A co? — zapytywali koledzy — ciebie znów pewnie wygwizdali?

— Dla mnie — odpowiadał — gwizdaj nie gwizdaj, a oto poszliśmy po trzy rubelki [1]).

W końcu atoli u namiestnika przebrała się miara cierpliwości. Zmienił ton i stanowczo oświadczył, że rząd dalej żartować z siebie nie pozwoli.

W mieście zajęto się wyborami. Natychmiast zarysowały się dwa stronnictwa. Jedni byli za przeprowadzeniem wyborów do rad powiatowych i miejskich według projektu rządowego, uważając, że to ostatecznie jedyna i najlepsza droga do dalszej walki, najlepsze do niej przygotowanie i jeden z potężnych środków dalszego działania [2]). Drudzy zaś widzieli w tem „zgubę tego wszystkiego, co dotychczas otrzymano, reakcyę, powrót do rządów dyktatorskich." Jednem słowem, powtórzyły się sceny ze zjazdu w Homburgu. Spisy wyborców ani kroku nie postąpiły naprzód. Hrabia Lambert zagroził „przyjaciołom", że zaprowadzi w Królestwie Polskiem stan wojenny.

Nakoniec spostrzeżono, że potrzeba coś zrobić i przedstawić namiestnikowi, lecz co i jak zrobić? Walny sejm, od dawna projektowany przez Majewskiego, okazał się koniecznym. Potrzeba było naradzić się, jak przyjąć reformy; jak przeprowadzić wybory i jakie przedsiewziąć środki przeciw opozycyi, czyli właściwie przeciw czerwonym.

Przybyła do Warszawy dosyć znaczna liczba obywatelstwa i zaraz na pierwszem, bardzo burzliwem, zebraniu w pierwszej połowie września, prawie jednocześnie ze zjazdem w Homburgu, obrano delegacyę, złożoną z Edwarda Jurgensa, Leopolda Kronenberga, Aleksandra Kurtza, Adama Goltza, Tadeusza Ejdziatowicza i Karola Majewskiego [3]). Ma-

---

[1]) Opowiadanie generała Czernickiego.

[2]) *Aweyde* tom II, str. 196.

[3]) Zeznania Majewskiego tom IV, str. 28. Ustimowicz str. 28 dodaje jeszcze Stanisława hr. Zamoyskiego i Józefa Kołaczkowskiego.

jewski wybrany ze względu na swe stosunki z rzemieślnikami i innemi niższemi warstwami społeczeństwa, okazał się swym towarzyszom do tego stopnia czerwonym, że Kronenberg zaraz po pierwszej sesyi oświadczył, że poda się do dymisyi, jeżeli nie usuną tego krzykacza. Zrozumiał i sam Majewski, że obecnością swoją utrudniał położenie innych członków, ukazawszy się więc na paru pierwszych posiedzeniach delegacyi, czy też dyrekcyi białej, następnie przestał na nie uczęszczać.

Sama kwestya pozostawała nierozstrzygnięta. Biali byli zdolni do komplanacyi z Zamkiem i do wykonania otrzymanych ztamtąd zleceń, dopóki rzecz cała zamykała się w ogólnikach i nie dotykała szczegółów spraw kraju, Wielopolskiego i jego układów z rządem. Lecz jak tylko potrzeba było dotknąć sprawy głębiej i powziąć jakieś wiążące postanowienia, ciż sami ludzie zaraz się przeistaczali w jakichś fantastycznych marzycieli, nie różniąc się niczem od „akademików" i tak samo jak ci, wnet przekraczali granicę możliwych układów, po za którą pozostawała już tylko walka w otwartem polu.

Gdy wypadało tej białej dyrekcyi spisać to, czego od nich żądała najwyższa władza w kraju, nikt nie miał odwagi wziąść za pióro, mimo że chwila była nader groźna i z każdą chwilą opóźnienia niebezpieczeństwo wzrastało. Wszyscy jakby myśleli: „lepiej niech grom padnie, a sami ręki na siebie nie podniesiemy."

Tymczasem zaś i czerwoni wybrali swoją delegacyę, która miała zastanowić się i rozstrzygnąć zadania, przez stronnictwo postawione. Ze składu tej delegacyi znane są tylko nazwiska: Apolla Korzeniowskiego, Witolda Marczewskiego i Włodzimierza Rolskiego.

Ta delegacya wręcz oświadczyła: „że wyborów nie będzie, a w danym razie oni wyborców rozpędzą kijami." Szachowski odgrażał się, że, jeżeli spostrzeże tylko cośkolwiek podejrzanego w kierunku

przygotowań wyborczych, to sam wystąpi i nawarzy takiego piwa, że wszyscy biali nie potrafią go wypić [1]). Ignacy Kwiatkowski napisał wierszyki pod tytułem: „Czarne powidła," któremi groził osmarować wszystkich biorących udział w wyborach.

Lękając się zawsze, że biali mimo to przeprowadzą wybory pod osłoną bagnetów, i wtedy ani osmarować powidłami, ani rozpędzić pałkami wyborców nie będzie można, postanowili uciec się do ostateczności i czemkolwiek wywołać nową strzelaninę i tem uniemożebnić zaczynające nawiązywać się porozumienie między Zamkiem a spokojniejszą częścią społeczeństwa. A gdyby nawet nie udało się doprowadzić do zupełnego zerwania, to każde opóźnienie, czasowe powstrzymanie takiego porozumienia już byłoby korzystne... mało to w przyszłości zdarzyć się może.

Dnia 18-go września niejaki Wedel, właściciel cukierni przy ulicy Miodowej, odmówił składki na „sprawę ojczyzny." Czerwoni urządzili zbiegowisko, które się skończyło zniszczeniem cukierni. Toż samo stało się z magazynem rękawicznika Ostrowskiego na Nowym-Swiecie i z piekarnią Bartla przy ulicy Marszałkowskiej.

Przy tej ostatniej zbiegowisko było tak znaczne, że musiano wysłać oddział wojska z artyleryą pod dowództwem sewastopolskiego generała Szeidemana, który ciągle się uskarżał, że niema nic do czynienia. Opowiadano, że gdy generał bardzo się rzucał, jakiś młody człowiek przyniósł szklankę wody z pobliskiej cukierni i podał ją generałowi mówiąc: „proszę się napić, to generała uspokoi." Wojsko pozostało na miejscu, dopóki się lud nie rozproszył.

Namiestnik oświadczył w końcu białym, że je-

---

[1]) Zeznania Zdzisława Janczewskiego i kilku innych z partyi czerwonych.

śli miasto nie rozpocznie wyborów, rząd je rozpisze na własną rękę, ogłaszając jednocześnie zaprowadzenie stanu wojennego. Biali odpowiedzieli, że wybory nieodmiennie rozpoczną się nazajutrz, dnia 19 września.

Listy wyborców były już sporządzone przez osobną delegacyę, czem się głównie zajmował kupiec Józef Kwiatkowski. Należało już tylko wydrukować i rozesłać wyborcom karty wyborcze ze wskazówką, kogo na jakie urzęda wybierać, dla uniknięcia rozbicia głosów. Karty te były drukowane na szarym papierze, wielkości kartek wizytowych. Na każdej oznaczony był okręg i nazwisko.

Wykonano to szybko, tej samej nocy, tak, że dnia 19-go września rano istotnie rozpoczęły się wybory w X, środkowym okręgu Warszawy, w którym był położony dom Andrzeja hrabiego Zamoyskiego.

Wyborcy, a w ich gronie i sam hrabia Andrzej, zebrali się zaraz z rana w gmachu medykochirurgicznej akademii. Komisya wyborcza zarządziła wszystko dla zabezpieczenia, ażeby wybory odbyły się bez przeszkody. Aleksander Krajewski i Leon Królikowski, chociaż należący do stronnictwa czerwonych, lecz ulegając hrabiemu Zamoyskiemu, zmówili pewną liczbę co wpływowszych rzemieślników, by przybyli na miejsce wyborów. Znany już nam studniarz, Marcin Borelowski, przyrzekł rozstawić 1000 ludzi zaufanych w miejscach, gdzie się miały oddawać głosy [1]). Duchowieństwo wysłało z pomiędzy siebie odpowiednich księży, dla uspokojenia tłumów i zażegnania możliwych nieporządków. Wiadomo naprzykład, że ksiądz kanonik Stecki chodził przez cały czas wyborów, koło ratusza dla zapobieżenia nieporządkom, z którymi się czerwoni odgrażali. Nadto *Strażnica* umieściła artykuł

---

[1]) *Giller* tom I, str. 113.

ostrzegawczy, w którym powiedziano, „że cokolwiek się zamyśla w przyszłości, obecnie koniecznie należy przeprowadzić wybory [1])".

Do dnia 23 września wszelkie przedwstępne czynności zostały ukończone i wybory się rozpoczęły. Przewodniczącym komisyi wyborczej wybrano Kazimierza Wójcickiego [2]).

Gdy następnie zaczęto wybierać innych, rozległ się hałas i krzyki pod oknami. Zamoyskiemu dano znać, że jakieś grono młodych ludzi pragnie widzieć go koniecznie. On wyszedł na plac w towarzystwie bardzo popularnego księdza kanonika Wyszyńskiego. Na czele tłumu stali Korzeniowski i Szachowski, którzy przekonawszy się, że otwarta walka z wyborcami niemożliwa, że ci kijami nie dadzą się rozpędzić, a wszelkie pokuszenia wywołania rozruchów, nie doprowadziły do celu, postanowili: „aby nie zarzucano partyi czerwonych, że ustąpiła, nie poprobowawszy wszelkich możliwych środków," zanieść protest przeciw wyborom, wydrukowali go w tajnej drukarni jako „Mandat ludu do wyborców" [3]), i z tym drukiem stanęli przed głównym biórem wyborczem [4]).

— Czego panowie żądacie? — zapytał hr. Zamoyski.

---

[1]) *Giller* tom II, str. 110—112.

[2]) Do jakiego stopnia wówczas nie lubiano Wielopolskiego, świadczy fakt z tym samym Wójcickim. K. Wł. Wójcicki został przez Wielopolskiego usunięty z posady dyrektora publicznej biblioteki. Natychmiast otrzymał miejsce bibliotekarza w Wilanowie z pensyą 5000 złp. Hrabia Ludwik Krasiński powierzył mu zarząd swej biblioteki w Warszawie z pensyą 3200 złp., zaś na wyborach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego 1598 głosami przeciw 2, został wybrany prezesem komitetu posiadaczy listów zastawnych.

[3]) *Giller* II, str. 113—116.

[4]) Następne wybory odbywały się w ratuszu.

— Prosimy hrabiego przyjąć ten mandat i odczytać go wyborcom – odezwał się ktoś z tłumu.

Hrabia odrzekł, „że żadnych mandatów od nikogo w tej chwili przyjąć nie może, gdyż wszystko, co należało, zrobiono i rzecz cała jest wszechstronnie rozpatrzona i postanowiona. Nikt nie jest w stanie odroczyć wyborów, ani też zmienić ich kierunku i charakteru. Odbędą się one dzisiaj i będą się odbywały tak długo, aż póki na wszystkie stanowiska nie zostaną powołani ludzie, zasługujący na najzupełniejsze zaufanie. Tego chcą wspólnie: rząd, kraj cały i miasto."

Wtedy Korzeniowski śpiesznie zaczął wykładać treść mandatu i zakończył, że w nim: „Naród upomina panów wyborców, ażeby, ustalając dzisiaj rady municypalne i inne, wyłożyli dobitnie powołanym na urzęda dostojnikom, że oni mają służyć Polsce nierozdzielnej z Litwą i Rusią; że tylko w ten sposób Królestwo Polskie może brać udział w nowych instytucyach, i że wszelkie inne zapatrywanie sprzeciwia się świętej sprawie ojczyzny!" Gdy to mówił, w tłumie odezwało się kilka głosów: „Doskonale, dzielnie mówi." Lecz skoro tylko odezwał się hrabia Andrzej, bardziej w mieście znany, aniżeli wszyscy mówcy czerwonych, powstały jeszcze głośniejsze okrzyki: „Niech żyje hr. Andrzej, my tylko jego słuchać będziemy!" Lud cisnął się, całując jego ręce i ściskając kolana.

Szachowski i Korzeniowski widząc, że przegrali sprawę, że dalsza rozmowa do niczego ich nie doprowadzi, wręczyli mu mandat i ustąpili, dodając wszakże, „że lud przynajmniej spełnił swój obowiązek" [1]).

W parę dni potem rozrzucono ten mandat po Warszawie i rozesłano go także do innych miast. Biali odpowiedzieli nań inną odezwą, zatytułowaną:

---

[1]) *Giller* tom II, str. 113.

„Mandat wyborców do ludu," w której starali się przekonać przeciwników, że kwestyę Litwy i Rusi potrzeba na razie pozostawić w spokoju; że gdyby przyszło uwzględniać zarzuty tej małej garstki zapaleńców, którzy starają się stworzyć stronnictwo przez siebie przesadnie nazywane narodowem, to Poznańskie nie powinno było uznawać pruskiej konstytucyi, ani Galicya przyjmować Szmerlingowskiej ustawy, które jednak dozwoliły w jednej dzielnicy Niegolewskiemu, w drugiej zaś Zyblikiewiczowi odezwać się w imieniu całego narodu polskiego do Europy i niejednemu nadużyciu tamę położyć [1]).

Czerwoni wszakże tego albo wcale nie czytali, albo zrozumieć nie chcieli. Oni dążyli jedynie do przeszkodzenia wyborom, do ostatecznego poróżnienia ludności warszawskiej z rządem i wywołania ponownych surowych kroków z jego strony. W tym celu już na dzień 20-go września ogłosili nowe nabożeństwa za pomyślność ojczyzny. Najprzód ukazała się odezwa druciarzy, zapraszających na nabożeństwo do kościoła Bernardynów. Plakat był ozdobiony różnemi emblematami; po jednej stronie tekstu stoi druciarz w swej guńce, z czapką w ręku, oparty na kiju; u nóg jego leżą palmowe i cierniowe gałązki; za ścianą wąż wije się około rozmaitej powstańczej broni: kos, pik i szabel; po drugiej stronie jaśnieje herb Polski i Litwy, za którym na powiewających chorągwiach widnieje herb Rusi i Kijowa, archanioł św. Michał; u dołu znów kosy i strzelby, i gałązka dębowa. Jakże dziwnie, wśród tych przedwstępnych wojennych emblematów, wyglądał ów biedny druciarz, zdejmujący czapkę, jakby proszący przebaczenia, że się tu niepotrzebnie mięszał, o niczem nie wiedząc!

Następnie odprawiały się prawie codziennie takie nabożeństwa, urządzane przez wszystkie stany

---

[1]) *Giller* tom II, str. 116 i 117.

miejskie bez wyjątku, wszystkie zakłady, cechy i stowarzyszenia. Wymyślano nawet cechy i towarzystwa wcale nieistniejące. Należy w istocie drukiem upamiętnić wszystkie te wymysły, jakich w żadnej innej rewolucyi nie spotykamy. Oto spis cechów i towarzystw, które odprawiały „nabożeństwa za pomyślność ojczyzny," począwszy od 20 września po dzień 14 października 1861 roku, kiedy ogłoszono stan wojenny w Królestwie: druciarze; ogrodnicy miejscy i z okolic Warszawy; dorożkarze; szwaczki; muzykanci i artyści; spółka majstrów stolarskich; kamerdynerzy; włościanie z okolic Warszawy; matki polskie; jubilerowie, złotnicy i grawerzy; grzebieniarze; robotnice polerujące złote rzeczy; wychowanki wyższych pensyonatów żeńskich; rzeźbiarze na drzewie, kamieniu i metalach; furmani, piwowarzy i rozwożący trunki po mieście; stowarzyszenie terminatorów mydlarskich w Warszawie; inżynierowie i architekci; literaci, malarze i artyści dramatyczni; majstrowie łagiewnicy; przewoźnicy na Wiśle; parasolnicy; rzeźbiarze figur gipsowych; rybacy; urzędnicy wszelkich dykasteryi; dziewice polskie; ubogie wdowy; roznosiciele plakatów i afiszów; cech perukarski; robotnicy fabryki Fraget'a; krupiarki; jeden z trudniących się destylacyą spirytusu; aptekarze warszawscy; włościanie z Czerniakowa; uczennice szkół żeńskich; fabrykanci złotych ram; młodzież polska mojżeszowego wyznania; owocarki z za Żelaznej Bramy; robotnicy i rzemieślnicy fabryki gazu; młodzież ucząca się; cech szewcki; bractwo „Boskiej Opieki." Nie od rzeczy będzie dodać, że duchowieństwo wcale za darmo nabożeństw tych nie odprawiało, owszem odbywały się o to formalne targi. Gdy polecono fabrykantom fortepianów sprawić nabożeństwo, starszy stowarzyszenia Stahl, zebrał około 159 rubli sr., przyczem niektórzy podmajstrzy dawali po trzy ruble. Misyonarze z kościoła św. Krzyża zażądali za zwykłą mszę 100 rubli sr. Stahl

uważał, że to za drogo i zamówił nabożeństwo u Pijarów za 60 rubli sr.

Miasto tak się jeszcze lubowało w manifestacyach, że one potrafiły połączyć znowu wszelkie stronnictwa i czerwoni znachodzili gorliwych pomocników wśród kółek, z któremi na polu wyborów taki zażarty bój wiedli.

W czasie dalej trwających wyborów agitatorzy już tylko zdala przypatrywali się całej akcyi, od czasu do czasu dając swe głosy na Garibaldiego, Wysockiego, Mierosławskiego, Klapkę [1]), co zwykło wywoływać śmiech powszechny zebranej w łokalach wyborczych publiczności. Urwiszów wszakże nikt nie karcił.

Znane są szczegóły wyborów z dnia 2 października. — Proponowani i wybrani w pierwszym cyrkule: Józef Kwiatkowski, kupiec; Henryk Krajewski; ksiądz Wincenty Orzeszkowski i Ignacy Paradowski, szewc. Wszystkim wyborcom rozesłano kartki z drukowanemi nazwiskami tych kandydatów, kto zaś nie dostał kartki, otrzymywał ją przy wejściu na salę wyborczą od osób, należących do dawnej delegacyi, lub do komitetu konstablów. W dwóch salach magistratu stały stoły z papierem, gdzie wyborcy wpisywali imiona kandydatów. Przy jednym stole był urzędnik magistratu Wiman, przy drugim jakiś trzydziestoletni mężczyzna w surducie z żałobą u kołnierza. Obaj upominali wyborców, aby wpisywali tylko nazwiska kandydatów, podane w rozesłanych kartkach. Szczególnie silny nacisk wywierał ów pan w żałobie. Gdy kto odparł, że chce wpisać inną osobę, (wielu mianowicie głosowało na kupca win Fukiera), nieznajomy oświadczał stanowczo: „Naród tylko tych pragnie i ci muszą być wybrani, gdyż już się zasłużyli ojczyźnie.” Następnie głośno wyliczał te zasługi: „Kwiatkowski z po-

[1]) *Aweyda* tom II, str. 193.

święceniem pracy i mienia kierował w lutym i marcu policyą narodową. Krajewski był zesłany na Sybir i to już dostatecznie świadczy o jego patryotyzmie. Ksiądz Orzeszkowski przez swe patryotyczne kazania budził ducha narodowego. Paradowskiego należy wybrać, bo to cech najliczniejszy, a sprawa narodowa potrzebuje rzemieślników. Nadto wiedziano, że dnia 25 lutego Paradowski niósł chorągiew polską.

Ze strony warszawskiego zarządu gubernialnego było dziesięciu urzędników stale obecnych na miejscu wyborów; z pomiędzy nich rachmistrz, Emanuel Janowski, biorący także czynny udział w agitacyi za kandydatami wyznaczonymi przez komitet wyborczy.

Rząd dalej przeprowadzał postanowione reformy. Dnia 1 października o godzinie 12 w południe, namiestnik zagaił posiedzenia rady stanu przemową w języku francuskim, którą Enoch zaraz przetłomaczył na polski. Członkowie niezaprzysiężeni złożyli przysięgę. W mowie tej namiestnik powiada, że w tym roku nie wiele spraw przyjdzie pod obrady, gdyż przedewszystkiem należy kraj uspokoić [1]).

Wtem wszystkiem czerwoni widzieli zbliżającą się grozę reakcyi, niebezpieczeństwo zbliżenia się i porozumienia społeczeństwa z rządem. A gdy drobne manifestacye nie mogły wyprowadzić rządu z cierpliwości, postanowili przejść do tłumnych demonstracyi, wystąpić do jawnej walki z rządem, bez względu na następstwa. Zbliżająca się rocznica zjazdu horodelskiego [2]), nastręczała sposobność do

---

[1]) W numerze 152 *Gazety Urzędowej* z roku 1861 Królestwa Polskiego są wymienieni wszyscy członkowie rady stanu.

[2]) Uroczystość ustanowiona jeszcze przez Zygmunta Augusta dla upamiętnienia Unii Litwy z Koroną.

wystąpienia z czemś wspaniałem. Jakoż na pewien czas przed tem zaczęła kursować po kraju następująca odezwa, napisana, jak się można domyślać, przez Apolla Korzeniowskiego:

„Bracia Polacy, Litwini i Rusini! Ważną niegdyś uroczystość stanowił obchód rocznicy unii Litwy z Polską, ustanowiony przez króla Zygmunta Augusta II. Akt Unii sam przez się, był tylko formalnością i niejako stwierdzeniem rzeczywistego i dobrowolnego połączenia się dwóch narodów pod berłem króla Władysława Jagiełły. Dziwnem i niezwykłem w historyi zdarzeniem, wzajemne sympatye i idea wolności, zastąpiły tu miejsce gwałtu i zwycięstw. Na fakt tak znakomity niepodobna nie zwrócić uwagi, niepodobna nie przydać mu właściwego w obecnej chwili znaczenia i nie uczcić go jako święta narodowego. Byłoby to zrzeczeniem się odrazu wobec Europy, wobec ludów i własnego sumienia swej własnej przeszłości i przyszłości. Otóż w dniu dzisiejszym odzywamy się do wszystkich trzech zjednoczonych narodów, aby one na wezwanie nasze odpowiedziały z równem sercem, jak to ich ojcowie uczynili na Zjeździe Horodelskim i mamy nadzieję, że głos nasz usłyszany będzie przez każdego, w czyjem sercu nie wygasła miłość ojczyzny i wolności."

„Uroczystość ta ma się odbyć w Horodle nad Bugiem, w województwie lubelskiem, w ziemi chełmskiej, dnia 10 października bieżącego, 1861 roku, który to dzień odpowiada 2-mu październikowi podług starego kalendarza, będącemu wedle dziejów historycznych rocznicą Unii Horodelskiej."

„Chcąc, aby zjazd miał to właściwe znaczenie, na jakie zasługuje, wzywamy przedewszystkiem czcigodne duchowieństwo katolicko - słowiańskiego i łacińskiego obrządku, ażeby ze względu na interes Kościoła, ściśle związany z interesami Polski w ogólności, raczyło przyjąć jak najszerszy i najuroczystszy w nim udział, delegując od siebie na tę

uroczystość biskupów i deputatów od kapituł, zakonów i wszelkich duchownych korporacyi ze wszystkich dyecezyi dawnej Polski."

„Odzywamy się też do towarzystw uczonych i literatów, do uniwersytetów, redakcyi pism polskich i ruskich, do wszystkich spółek i przedsiębiorstw przemysłowych, do miast i korporacyi, posiadających jakąbądź organizacyę, do Polaków mojżeszowego wyznania, ażeby raczyli wziąć udział w Horodelskim zjeździe, przez wysłane w tym celu deputacye. Tylko podobnie złożony zjazd, będzie mógł nadać uroczystości narodowe i społeczne znaczenie. W celu ożywienia w sercach dziejowych naszych tradycyi i dla nadania uroczystości politycznego i historycznego charakteru, prosimy mieszkańców wszystkich księstw, województw i ziem dawnej Polski, by przybyli do Horodła jako przedstawiciele swoich prowincyi. Deputowani różnych korporacyi, ziem i w ogólności reprezentanci jakiegobądź stanu lub kółka, mają zawiadomić o swoim przybyciu do Horodła dnia 10 października o godzinie 9 zrana, aby każdy mógł zająć odpowiednie miejsce podług programu."

„Księstwa, województwa: poznańskie, kaliskie, sieradzkie, ziemia dobrzyńska, województwa chełmińskie, malborskie, pomorskie, pruskie, krakowskie, ziemia oświęcimska i zatorska, województwa sandomierskie, kujawskie, ruskie, księstwo siewierskie, ziemia żydaczowska, przemyska, halicka, chełmska, województwa wołyńskie, lubelskie, bełzkie, podlaskie, bracławskie, czernichowskie, wileńskie, trockie, księstwo smoleńskie, nowogrodzkie, połockie, witebskie, województwa brzesko-litewskie, mścisławskie, mińskie, inflanckie i księstwo kurlandzkie."

„W tym dniu zdejmie się żałoba."

Wobec panującego usposobienia, niewielu znalazło się takich, którzyby mogąc, nie pośpieszyli na tę ponętną odezwę do Horodła. Obchód ten, oprócz swej nowości i wspaniałych rozmiarów, na

jakie był zakreślony, obejmując nadto ogromne przestrzenie wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej, krzyżował wręcz plany i zamiary białych, dążących widocznie do jakiegoś porozumienia z rządem i Wielopolskim na podstawie pewnych reform, ograniczonych li do samej Kongresówki. — Zjazd horodelski, jaskrawiej niż wszelkie protesty, wygłaszane przez nieznanych krzykaczy przed Kopernikiem w Warszawie, dobitniej niż cobądź innego miał przypomnieć i uzmysłowić Polakom, że sprawa ich nie zamknięta wyłącznie w granicach Królestwa kongresowego, lecz rozciąga się na daleko szersze obszary. Rzeczywiście też manifestacya ta zawróciła niejednemu głowę; rzucił się w ten odmęt i Jurgens, członek białej dyrekcyi, popierający tak gorliwie dotychczas sprawę wyborów. Drugi tegoż kalibru członek białej dyrekcyi, Majewski, pozostał w Warszawie jedynie dlatego, że unikał spotkania i mogących przytem wyniknąć jakichkolwiek zajść ze swymi dawnymi ultra czerwonymi przyjaciółmi.

Naturalnie, że namiestnik zaraz się dowiedział o całym projekcie, a po naradzie z Gerstenzweigiem, Kryżanowskim, Kazaczkowskim i jeszcze niektóremi osobami ze swego najbliższego otoczenia, postanowił uprzedzić manifestantów.

Naczelnik głównego sztabu z rozkazu namiestnika przesłał generał-porucznikowi Chruszczewowi, naczelnikowi lubelskiego wojennego okręgu, następujące rozkazy, pod dniem $^{14}/_{26}$ września 1861 roku, do liczby 1441 [1]).

„Dowiadujemy się, że w Horodle wznoszą tryumfalne łuki... Jeżeli tak jest istotnie, to jego ekscel. pan namiestnik żąda, ażeby wszelkie podobne budowy natychmiast rozebrano.

Główno dowodzący wojskami (tenże sam na-

[1]) Przytoczone w skróceniu.

miestnik hrabia Lambert), poleca waszej ekscelencyi udać się osobiście do Horodła na czas zapowiedzianego obchodu, albo wcześniej, jeżeli uznasz pan to niezbędnem. Byłoby najbardziej pożądanem skłonić drogą perswazyi tłumy do rozejścia się; gdyby to wszakże okazało się nieskutecznem, upoważnia się pana do użycia siły zbrojnej."

Po otrzymaniu tych rozkazów, generał Chruszczew zgromadził w Horodle i w okolicznych miejscowościach następujące siły: w Horodle sześć kompanii piechoty, cztery działa i dwa szwadrony dragonów; w Hrubieszowie dwie kompanie piechoty, cztery działa i szwadron dragonów; we wsi Łuszkowie szwadron dragonów dla strzeżenia przeprawy na Bugu; w Dubience 30 kozaków dla pilnowania przeprawy na Bugu. Nadto jako rezerwę ściągnięto dwa szwadrony ułanów z Krasnegostawu i sotnię kozaków z Chełma [1]).

Przygotowywano się jak do wojny, działa, rezerwy, forsowne marsze, podczas gdy wystarczyłoby paru roztropnych policyantów. Tymczasem wojsko rozsyłało na wszystkie strony konne patrole dla wywiedzenia się, czy nie przedsiebierą czego mieszkańcy.

Miejscowa organizacya ze swej strony wysyłała na zwiady młodych ludzi konno, dla obserwowania ruchów wojska. Gromadka takich chwatów, 10 czy 12 jeźdźców, na dzielnych koniach, zwróciła na siebie uwagę pikiety dragońskiej pod wsią Hrebennem o 6 wiorst od Horodła w nocy z dnia 21 na 22 września. Gdy się jeźdźcy w niewiadomym zamiarze zanadto zbliżali, dragon, z rozmysłu, czy też wypadkiem strzelił do nich z pistoletu. Jeźdź-

---

[1]) Raport generała Chruszczewa do szefa głównego sztabu z dnia 26 września 1861 roku do liczby 1380.

cy zniknęli, lecz strzał wśród bagien pod Hrebennem głośno się odezwał na zamku warszawskim [1]). Namiestnik zląkł się swych pierwotnych rozporządzeń, co do użycia wojska, dla niedopuszczenia zjazdu do Horodła. Obawiał się, aby zbyteczna gorliwość władz miejscowych nie zwichnęła ruchu maszyny, nad którym tak wytrwale i mozolnie już trzech namiestników pracowało, i nie przerwała wyborów, które pomyślnie dobiegały do końca. Te obawy zwiększali jeszcze zwyczajni goście zamkowi, z dawnej delegacyi, szczególnie zaś czarni Dioskurowie, księża Wyszyński i Stecki, którzy jednej chwili nie drzemali, i których polskie serca biły również, jak u wszystkich, na myśl samą tej wspaniałej manifestacyi, uwieczniającej pamięć dawnych związków, i w której spodziewali się na pewno, że będą uczestniczyli najbliżsi ich przyjaciele i towarzysze duchownej broni.

Namiestnik więc polecił swemu szefowi sztabu wysłać do Chruszczewa drugie rozporządzenie, które odeszło dnia 24 września za liczbą 1506. W niem między innemi powiedziano: „Po otrzymaniu sprawozdania waszej ekscelencyi z dnia 23 września b. r. jego ekscelencya pan namiestnik raczył polecić, abyś ekscelencya zwrócił szczególną baczność na zebrane pod Horodłem wojska, które jako świeżo z Rosyi przybyłe, nie pojmują dostatecznie naszego stosunku do miejscowej ludności i mogą uciec się do użycia broni, czego właśnie jak najbardziej unikać należy. Jeżeli zaś, nie zważając na wszystkie wskazane zapobiegawcze środki, procesya przyjdzie do skutku, to staraj się ją ekscelencyo rozpędzić, działając kawaleryą na boki i tyły pochodu, unikając wszakże starcia z księżmi i kobietami. Stawiających opór należy aresztować i od-

[1]) Dowiedziano się z raportu generała Chruszczewa z dnia 23 września 1861 roku.

syłać do Zamościa, poczem namiestnik postanowi o dalszym ich losie."

Drugie to rozporządzenie potężnie sparaliżowało, jeżeli nie zupełnie zniweczyło pierwotne zarządzenia. Pierwsze dozwalało na użycie broni bez żadnych ograniczeń, a zatem i broni palnej; drugie ograniczyło działanie na samą jazdę, przyczem, aresztując opornych, miano unikać starcia z księżmi i kobietami, wówczas, gdy dwa te żywioły w procesyach główną zwykle tworzą siłę.

Po odebraniu tego rozporządzenia Chruszczew nie wiedział co robić. Można było zaiste zapobiedz temu inaczej: nie dopuścić do zebrania się tłumnego i zawczasu wyłowić hersztów i prowodyrów. Młodzież tak była odurzona przygotowaniami, że ani myślała ukrywać swych działań i sama się prawie w ręce oddawała. Widział ich każdy, kto tylko chciał coś widzieć i jeszcze w Warszawie można ich było wszystkich poaresztować. Tego wszakże nie uczyniono. Zjechawszy się do Horodła, urządzający manifestacyę rozmieścili się po okolicznych wsiach i miasteczkach: w Hrubieszowie, Stepankowicach, Dubience, Łuszkowie, Hołubkowie i kilka razy zbierali się na narady. Ostatecznie wszystko umówiono na ogólnem zebraniu w Stepankowicach, wsi o 20 wiorst od Horodła położonej. Chociaż wszędzie rozłożone wojska stanowiły nie małą przeszkodę, jednak wiedząc, że wojska nie przeszkodziły podobnej uroczystości w Kownie i Aleksocie, postanowiono wyprawić do Horodła dwie procesye: jedną ze Stepankowic drugą z Uściługa, położonego za Bugiem w włodzimirskim powiecie, wołyńskiej gubernii. Jeśli się uda, obie procesye powinny się zejść w Horodle, odprawić tam nabożeństwo i spisać akt pamiątkowy, który wszyscy przytomni mają podpisywać.

Stosownie do tego planu dnia 26 września st. st., to jest 10 października 1861 roku, o godzinie 5 rano procesya, po odprawieniu w miejscowym

kościele nabożeństwa, podczas którego ksiądz Fidelis, kapucyn z Lubl'na miał kazanie i udzielił ogólnego rozgrzeszenia, wyruszyła ze Stepankowic z chorągwiami, krzyżami i narodowemi godłami, wielką drogą ku Horodłu. W pół drogi przyłączyły się takież procesye, idące od Hrubieszowa i innych traktów. To spowodowało krótki przystanek, wśród którego ksiądz Bojarski, proboszcz unicki z Krasnego Stawu, miał mowę pełną ognia i zapału; poczem połączone procesye w liczbie do 10,000 ludzi ruszyły dalej [1]).

O pięć wiorst przed Horodłem stała pierwsza pikieta dragonów, którzy, spostrzegłszy procesyę, galopem odjechali do stojącego opodal oddziału wojska. Toż samo powtórzyło się i z następnie spotykanemi pikietami. Gdy procesya mniej więcej o wiorstę zbliżyła się do linii wojska, przecinającego drogę, podjechał ku niej generał Chruszczew w otoczeniu swego sztabu i głośno oświadczył: „że odebrał rozkaz od namiestnika niedopuszczenia procesyi do Horodła, i że w razie dalszego pochodu użyje siły zbrojnej do przeszkodzenia temu."

W tłumie wszczął się zgiełk, lecz duchowni uspokoiwszy hałasujących, wysłali z pomiędzy siebie deputacyę dla rozmówienia się z generałem. Deputacya przedstawiła, że „ludzie, składający procesyę, przybyli tylko w zamiarze nabożeństwa, a modlić się przecież nikt zabronić nie może" [2]).

Generał Chruszczew odpowiedział, że „rząd nie wzbrania jedynie procesyi religijnych, przez Ko-

---

[1]) Średnia cyfra, wskazana przez osoby prywatne, a podana przez generała Chruszczewa w raporcie do namiestnika..

[2]) Zebrane tłumy były zupełnie bezbronne, do tego stopnia, że mężczyźni musieli nawet kije i laski składać na fury, tak ściśle tego przestrzegano. — (Od naocznego świadka, biorącego udział w procesyi).

Dopisek tłómacza.

ściół ustanowionych i nie mających charakteru demonstracyi politycznej. Obecna przekracza te granice i dlatego stanowczo nie dopuści jej do miasta."

Wtedy ksiądz Bojarski, należący także do deputacyi, zapytał generała „czy może deputacyi zaręczyć honorem, że otrzymał rozkaz nie przepuszczenia procesyi do miasta?" — Chruszczew dał żądane zaręczenie. Wtedy księża poprosili o zezwolenie na odprawienie Mszy świętej w polu. Generał na to się zgodził a nawet zezwolił, że jeden z księży, w asystencyi kozaków, pojechał do miasta po aparata potrzebne dla odprawienia nabożeństwa. Przywieziony ołtarz ustawiono na pagórku, o wiorstę od wojska, na rozdrożu między traktami do Stepankowic i do Dubienki. Lud obległ ołtarz do koła i otoczył go chorągwiami i znamionami województw, ziem i powiatów, których było 54. Dalej taborem rozłożyły się fury, bryki i powozy, których się zebrało do tysiąca. Nabożeństwo odprawił ksiądz Anicety, kapucyn z Lublina, a ksiądz Ławrysiewicz, unita z Chełma, wypowiedział kazanie, w którem wyjaśnił słuchaczom polityczne znaczenie zjazdu, całą ważność chwili obecnej i czego ona wymaga od Polaków [1]). Po nim w tym samym duchu wypowiedzieli mowy: Gregorowicz, obywatel z lubelskiego i Edward Stawecki, obywatel z pod Częstochowy. W końcu, na miejscu, gdzie się odprawiało nabożeństwo, postawiono ogromny krzyż dębowy, z drzewa wyrąbanego w pobliskim lesie i poświęcono go wraz z chorągwiami. Potem podpisano akt, czyli protestacyę, ułożoną jeszcze w Stepankowicach przez Gregorowicza, Brzozowskiego (literata), Szachowskiego (ucznia szkoły sztuk pię-

---

[1]) Według zeznań Majewskiego, ksiądz Ławrysiewicz, (Stanisław) był głównym organizatorem manifestacyi horodelskiej.—(Tom III, str. 27).

knych) i Sikorskiego (ucznia gimnazyum realnego z Warszawy).

Treść tego aktu była następująca:

„My, niżej podpisani, deputowani z ziem i powiatów Polski, w granicach przedrozbiorowych, zebrawszy się w Horodle dnia 10 października 1861 roku w 448-mą rocznicę Unii Litwy z Koroną, tym aktem objawiamy i własnoręcznymi podpisami stwierdzamy, że Unia, która wszystkie ziemie polskie zjednoczyła, dziś się odnawia na zasadzie uznania praw wszystkim ludom, stanom i wyznaniom służących, i że ona czyni jeszcze ściślejszym związek, mający na celu wyzwolenie ojczyzny i ustalenie zupełnej jej niepodległości. Prawa nasze polecamy sumieniu narodów i oddajemy pod sąd rządów konstytucyjnych" [1]).

Należy także dodać, że w kilku miejscach zaszły ostre spory między stronnikami Kaczkowskiego a zwolennikami Jurgensa, spory, które omal nie doprowadziły do krwawej rozprawy. Podejrzewano Korzeniowskiego o stosunki z rządem. Zachowanie się jego w niektórych wypadkach w istocie było dziwne. Powszechna zgoda nastąpiła dopiero dnia 12 października w Lublinie, przy obiedzie w miejskim klubie, gdzie zebrani, jak twierdzą, do tysiąca osób, przy zwyczajowym toaście „kochajmy się!" zaczęli się z płaczem ściskać i całować. Mowy i toasty, w czasie uczty wygłaszane, wszystkie wzywały do jednego: „by się jak najśpieszniej organizować rewolucyjnie i jednoczyć się z ludem."

Przy rozstaniu wiązano się „słowem honoru" zebrania się podobnież w następnym 1862 roku.

Dnia 13 października odprawioną została Msza

---

[1]) Wiadomość wyjęta z raportu generała Chruszczewa do namiestnika z daty 30 września 1861 roku st. st.; z opowiadań prywatnych osób; z notat robionych na miejscu przez naocznego świadka i z różnych drukowanych źródeł.

święta w kościele Dominikanów w Lublinie, po której zbierano jeszcze od obecnych podpisy na protest horodelski. Akt ten, spisany w trzech egzemplarzach i zaopatrzony w 8,000 podpisów, wysłano do Paryża, Londynu i Genui.

Druga procesya, zebrana w Uściługu i okolicach zabużnych, została zatrzymaną przy przeprawie na Bugu, wróciła napowrót do Uściługa, tam w kaplicy na cmentarzu wysłuchała nabożeństwa i spisała osobną protestacyę następującej treści:

„Protestacya! Spisana na granicy Horodła nad Bugiem w województwie lubelskiem, w ziemi chełmskiej, dnia 10 października 1861 roku.

„Ziemie, składające Polskę, Ruś i Litwę w czasie zjazdu horodelskiego w 1418 roku, który nierozerwalnymi węzłami w jedną całość je zespolił, a mianowicie: województwa poznańskie, kaliskie, sieradzkie, ziemia dobrzyńska... (i t. d., jak w odezwie), będąc dziś wezwane przez swych delegatów, zebrały się w osobach reprezentantów wszystkich duchownych korporacyi, różnych uczonych towarzystw, uniwersytetów i innych wyższych naukowych zakładów, redakcyi polskich i ruskich dzienników, wszelkich istniejących cechów i zorganizowanych stowarzyszeń, wraz z kilku tysiącami ludu wszystkich wyznań i w uroczystej procesyi pod znakiem Chrystusa Zbawiciela i innemi odpowiedniemi religijnemi godłami, wyruszyli w kierunku do Horodła, by w 448-mą rocznicę połączenia się swego złożyć Bogu wszechmogącemu dziękczynne modły, że nas wszystkich w niezmiennej miłości i braterstwie zachować raczył, pomimo zgubnych wpływów, nieprzyjaznych nam trzech państw rozbiorowych i aby u stóp Jego ołtarzy, błagać o powszechne odrodzenie się nasze. Spotkani atoli i zatrzymani przez wojsko, na drugi brzeg rzeki przeprawić i do Horodła dostać się nie możemy. Odnawiamy więc u granicy Horodła, akt tego wiekopomnego połączenia się narodów w całej jego doniosłości i mocy.

Protestujemy przeciw przemocy, przeciw zgwałceniu praw naszych, przeciw okrutnym środkom, przez rząd użytym, nakoniec przeciw samowolnemu podziałowi Polski, i żądamy przywrócenia jej niepodległości. Ponieważ akt niniejszy, z powodu obecnego stanu rzeczy, nie może być przedstawionym, gdzie należy, jako sporządzony w kraju despotycznie rządzonym i nie posiadającym narodowej reprezentacyi, zostanie więc ogłoszonym we wszystkich zagranicznych dziennikach, aby doszedł do wiadomości chciwych i nienasyconych rządów, z łaski których rozlegają się dzisiaj jęki zgnębionego narodu!" [1]).

Gdy pod Horodłem rozgrywały się wyżej opisane wypadki, w Warszawie nie przestawano się modlić za pomyślność ojczyzny. Modlitwy te w końcu doprowadziły do szeregu manifestacyi, zakończonych zupełnem zerwaniem z rządem, a więc tryumfem partyi czerwonych. Wszystko się na to składało niby niespodziewanie, tak, jak wiele ważnych wydarzeń bywa następstwem zbiegu drobnych i na pozór nic nie znaczących okoliczności.

Dnia 3 października zakończył życie arcybiskup warszawski ksiądz Fijałkowski. Był to człowiek małych zdolności i nadzwyczaj słabego charakteru. Do 1861 roku mało się kto nim zajmował i o nim wiedział. Wypadki 1861 roku dla których, pod wpływem kilku zręcznych kanoników, mianowicie zaś księży Dziaszkowskiego i Siekluckiego, okazał współczucie, zmieniły o nim sąd publiczności. On pierwszy podpisał pamiętny adres do cesarza. Następnie wiele rzeczy działo się w jego imieniu,

---

[1]) *Wiadomości z kraju* str. 20—26. Po rosyjsku *Bibliotieka dla cztienia* rok 1864, luty, str. 29—33.

o których on ani wiedział; rozsyłano cyrkularze; przywdziewano i zrzucano żałobę; polecano a przynajmniej tolerowano śpiewanie hymnów patryotycznych po kościołach; nareszcie, przypisywano mu różne patryotyczne przedstawienia i słowa, których albo nigdy nie wypowiedział, albo też ich użył w zupełnie innem znaczeniu. Wprawdzie zdarzały się chwile, w których i jemu się zdawało, że jest przeznaczony do odegrania jakiejś nadzwyczajnej, opatrznościowej roli, wtedy się unosił fantazyą i popełniał błędy nie do darowania. Śmierć takiej osobistości była ciężką klęską dla stronnictwa czerwonych. Nim obmyślano, w jaki sposób uczynić stratę tę najmniej dotkliwą dla sprzysiężenia, pozostali w Warszawie agitatorzy, postanowili z samego faktu śmierci arcybiskupa osiągnąć dla stronnictwa pewną korzyść; pogrzeb zamienić na wielką i świetną manifestacyę i poprzeć tem niejako obchód horodelski, aby choć na czas pewien powstrzymać wybory, zwracając uwagę rządu i białych na co innego.

Naprzód rozrzucono w tysiącznych egzemplarzach życiorys zmarłego arcybiskupa, napisany w najbardziej patryotycznym duchu [1]). Następnie ogłoszono kartami pogrzebowemi o śmierci i o porządku odprawianych nabożeństw żałobnych, które trwały od poniedziałku do czwartku. Nakoniec rozesłano do wszystkich miast i miasteczek Królestwa zaproszenia o jak najliczniejsze przybycie na pogrzeb do Warszawy „godnego wiecznej pamięci i wiecznego żalu arcybiskupa, który w obecnej chwili rozruchów i walki z rządem przedstawiał krajowi osobę prymasa, a prymas w podobnych chwilach (to jest w czasie bezkrólewia), jest zastępcą króla. To też i pogrzeb jego, świetnością i znaczeniem, równać się powinien pogrzebowi królewskiemu" [2]).

---

[1]) Przekład rosyjski w *Bibliotece dla cztienia*. Luty 1864 rok strona 24 i następne.

[2]) *Aweyde* tom II, str. 145.

Dzień pogrzebu arcybiskupa naznaczono na 10 października, jednocześnie z obchodem horodelskim.

Na oznaczony dzień lud zewsząd tłumnie przybywał. W wilię pogrzebu, koleją Warszawsko-Wiedeńską przybyło około 700 osób różnych stanów z Częstochowy, Kutna, Skierniewic i okolic. Następnie przybyli przedstawiciele wszelkich klas: z Puław, Czerska, Hrubieszowa, Łodzi, Kempina, Miedzyszyna, Bąbkowa, Jeziorkowa, Piaseczna i Wilanowa. Każdą taką partyę prowadził miejscowy proboszcz. Wilanowska weszła do miasta procesyonalnie z chorągwiami, śpiewając pieśni patryotyczne. Napływ przybywających był tak wielki, że wielu nie mogło znaleźć mieszkania.

Generał-gubernator, przewidując manifestacyę, chciał sam ułożyć program pogrzebu i zarządzić co potrzeba, ażeby od niego w niczem nie odstąpiono. Lecz duchowieństwo przez znanych swych agentów w zamku, uprosiło u namiestnika, że pozostawił im ułożenie ceremoniału pogrzebowego, zastrzegając tylko, że zostanie on przedstawiony generał-gubernatorowi do przejrzenia i zatwierdzenia.

Jak zwykle w takich wypadkach, natychmiast utworzył się komitet pogrzebowy, złożony z osób duchownych i świeckich, w którym naczelne miejsce zajął kupiec, Józef Kwiatkowski. Przystąpiono do rozwiązywania najtrudniejszego zadania, to jest do ułożenia takiego ceremoniału, któryby czyniąc o ile możności zadość własnym wymaganiom, mógł otrzymać aprobatę władzy. Łatwo zrozumieć, jak wyobraźnia obradujących przy każdym punkcie programu sięgała dalej, niż dozwalały okoliczności i wybiegała po za zakreślone granice.—W końcu jednak odrzucono wszystkie niespokojne zachcianki i ułożono program wcale przyzwoity. Gerstenzweig odczytał go i podpisał. Autorowie zaś liczyli na to, że traf,

lub wypadek, a może czyjeś z po za ich grona zarządzenie, sprowadzą rozmaite pożądane dodatki.

Jakoż w istocie, w kilka godzin po obradach pierwszego, zebrał się drugi komitet dla narad nad tem mianowicie, coby to dodać do urzędowego ceremoniału i jak to zarządzić, aby nikt temu przeszkodzić nie zdołał. Bardzo być może, że niejeden z zasiadających w pierwszym komitecie, przedstawiał swe pomysły i w drugim, niczem już nie krępowany. Jakie zaś one były, zaraz to zobaczymy.

Przy wystawionych zwłokach w pałacu arcybiskupim przez cztery dni odprawiały się Msze święte przy ogromnym napływie ludu. W dzień pogrzebu, już od rana, narodowi konstable, ustanowieni bez zezwolenia rządu, pod komendą Józefa Kwiatkowskiego, Tomasza Lebrun'a i kilku innych mniej znanych obywateli, zaczęli się uwijać po ulicach, zalecając kupcom zamykanie sklepów, przedsiebiercom zaś i rzemieślnikom, by czeladź i robotników uwolnili od roboty. Przy ulicy Ogrodowej ta straż obywatelska rozbiła piwnicę kupca Knola za to, że nie chciał usłuchać ich rozporządzenia. Na rynku, za Żelazną Bramą, za toż samo zniszczono wystawiony na sprzedaż towar pewnemu bednarzowi. Na Solcu, gdy robotnicy nie chcieli odejść od budowy, obrzucono ich wapnem [1]).

O godzinie 3-ciej po południu wszystko już było zebrane w porządku do odbyć się mającej eksportacyi. Pochód wyruszył z pałacu arcybiskupiego na lewo przez ulice: Długą, Przejazd, Bielańską Tłomacką, Leszno, Rymarską, Senatorską, Wierzbową, Saski Plac i Krakowskie-Przedmieście obok Zamku do katedry.

Naprzód szły, podobnie jak na pogrzebie pięciu ofiar i wszystkich uroczystych pogrzebach, sie-

[1]) Sprawa A. W. Nr. 7.

roty i starcy warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności z zarządem i członkami towarzystwa. Za niemi postępowały męskie i żeńskie zakłady naukowe. Gimnazyum realne niosło na drzewcu tablicę z herbem Polski i Litwy; (tu się zaczynają dodatki). Uczniowie medyko-chirurgicznej akademii chorągiew z białym orłem i trójkolorowemi wstęgami. Za nimi szły: szkoła sztuk pięknych, instytut rolniczy z Marymontu, konserwatoryum warszawskie ze swym dyrektorem, artyści i literaci, towarzystwo lekarskie, cechy z chorągwiami przyozdobionemi w orły polskie, trójkolorowe i żałobne wstęgi, bractwa, członkowie arcybractwa literackiego, delegacya komitetu pogrzebowego, zakony Sióstr Felicyanek i Sióstr Miłosierdzia, męskie zakony, duchowieństwo świeckie, profesorowie akademii, kapituła, ksiądz celebrujący; krzyż arcybiskupi, niesiony przez jednego z kanoników katedralnych. Następowała trumna ze zwłokami, niesiona na barkach a przy niej reszta członków komitetu pogrzebowego. Za trumną korony: polska i litewska na poduszkach, obok herby Polski i Litwy także na poduszkach, dalej wieńce cierniowe. Za tem postępowała rodzina nieboszczyka, władze rządowe i lud. Karawan próżny zamykał orszak Na Placu Bankowym na spotkanie wyszło duchowieństwo żydowskie, także pod znamieniem z herbami Polski i Litwy, i stosownie do swego rytuału przyłączyło się do orszaku, zajmując miejsce zaraz za trumną. Do kościoła oczywiście, nie weszło [1]). O liczbie tłumów, towarzyszących

[1]) Najdrobniejsze szczegóły o pogrzebie znaleźć można w numerach 242 i 243 *Gazety Warszawskiej* z 1861 roku. Dziennik pułkownika Krywonosowa podaje, że Polską i Litwę przedstawiali na pogrzebie chłopak i dziewczyny odpowiednio przebrane. Polską koronę niosły trzy dziewczyny w bieli, drugie trzy litewską. Trzy inne niosły wyszyte herby Polski i Litwy, sześć zaś dziewcząt niosło wieniec cierniowy. Włościanie ze Skierniewic byli w białych, z Wilanowa w granatowych sukmanach.

pogrzebowi, są różne podania. Jedni oceniają je na 100 tysięcy, drudzy podnoszą cyfrę do 150 tysięcy. Janczewski zapewnia, że gdy trumna z ciałem stanęła na progu katedry św. Jana, koniec procesyi był jeszcze na ulicy Miodowej. Sam obrzęd eksportacyi, rozpoczęty o godzinie 4-tej po południu, skończył się późnym zmrokiem.

Hrabia Lambert miał zamiar wziąć osobiście wraz ze sztabem udział w obchodzie pogrzebowym i przywdział już mundur. Na dziedzińcu stało przygotowanych piętnaście koni wierzchowych. Naraz dano znać o godłach narodowych i koronach. Hrabia zdjął mundur i w surducie usiadł przy oknie.

Gerstenzweig nieco wcześniej dowiedział się o dodatkach w zatwierdzonym przez się ceremoniale. Poszedł odwiedzić zwłoki przed samą eksportacyą, a potem przeszedł przez ogród na ulicę Daniłowiczowską, gdzie na niego czekała kareta i udał się do Zamku [1]). Tam zastał zebranych około 20 osób, między nimi Wielopolskiego, Kryżanowskiego, Potapowa, wszystkich adjutantów namiestnika, swego adjutanta Polenowa. Wszyscy stali w gabinecie namiestnika przy oknach i przez binokle przypatrywali się pochodowi. Okno, przy którem siedział namiestnik, było na pół otwarte. Naraz dają znać, że ze straży obywatelskiej przyszedł wysłaniec z prośbą o zamknięcie okna, stosownie do zrobionego w dziennikach ogłoszenia, że w ulicach, przez które orszak pogrzebowy miał przechodzić, okna mają być pozamykane [2]). Lambert własnoręcznie zamknął okno [3]). Gdy się ukazało z Krakowskiego Przedmieścia czoło pochodu ze wszystkiemi, wyżej opisanemi, chorągwiami, herbami, godłami i koronami, patrzący w milczeniu spojrzeli po sobie...

---

[1]) Wiadomość od Polenowa.
[2]) Był to uczeń z gimnazyum realnego.
[3]) Polenow to widział.

Co się wówczas dziać mogło w głębi duszy namiestnika, w jego podejrzliwym lecz nieprzewidującym umyśle? Zachował wszakże do końca najzupełniejszy spokój i do nikogo ani słowa nie przemówił. Wogóle przez cały czas pochodu, w gabinecie namiestnikowskim panowała grobowa, ale mimo to niemniej wymowna cisza..

Nazajutrz, dnia 11 października, biskup Dekert odprawił uroczyste żałobne nabożeństwo, które trwało od godziny 7-mej do 10-tej z rana. Msza śpiewana i *Castrum doloris* zajęło jeszcze półtrzeciej godziny, tak, że dopiero o pół do pierwszej w południe ciało złożono w grobowcu pod katedrą.

W czasie nabożeństwa mieli mowy: biskup Plater i kanonik Rzewuski, obie z różnemi patryotycznemi wspomnieniami i życzeniami na przyszłość.

W kościele zbierano składkę na „sprawę ojczystą." a młodzież przypominała o nastąpić mających uroczystościach, t. j. rocznice zgonu: Kościuszki 15, i ks. Poniatowskiego, 19 t. m. przyczem rozdawano następujące drukowane plakaty:

†

„Rodacy! We wtorek dnia 15 października, przypada rocznica śmierci ś. p. Tadeusza Kościuszki, naczelnika narodowego powstania.

W dzień ten, poświęcony pamięci nieśmiertelnej wielkiego męża, zostaną odprawione nabożeństwa żałobne we wszystkich kościołach, oraz w synagogach przy ulicy Daniłowiczowskiej i na Nalewkach.

W kościołach św. Jana i św. Krzyża nabożeństwa rozpoczną się o godzinie 10-tej rano.

Uprasza się panów właścicieli magazynów i sklepów o zamknięcie lokali przez czas nabożeństwa od godziny 10-tej z rana do 12-tej w południe."

O godzinie 2-giej po południu obywatele wraz z przybyłymi włościanami udali się do hotelu Europejskiego, gdzie był przygotowany obiad na 200 osób. Z pomiędzy gospodarzy uczty najwięcej krzątał się August Zawisza, obywatel z pod Łowicza, brat Artura, powieszonego w 1833 roku. Nie ulega wątpliwości, że między „młodą szlachtą" w uczcie brali udział i niemłodzi, ci sami, którzy tak gorliwie zajmowali się przeprowadzeniem wyborów i nazywali takich panów Korzeniowskich, Szachowskich, Sikorskich, szkodliwymi i pozbawionymi wszelkiego zmysłu politycznego, podżegaczami. Obecnie i oni buchnęli płomieniem.

W czasie uczty jakiś poważny i niemłody już włościanin przy toaście odezwał się w te słowa: „Teraz to, panowie, jesteście za jedno z nami, a gdy przyjdzie co do czego, to rzucicie nas na pastwę Rosyaninowi, jak to się stało w 1831 roku i przyszła bieda i na was i na nas."

Przemówienie to wywołało pewne pomieszanie wśród ucztujących, zapanowała głęboka cisza. Wówczas obywatel Bronikowski wskoczył na stół i zawołał: „Co się stało, nie odstanie! Wtedy wszakże, bracia! inne były czasy; teraz coś podobnego powtórzyć się nie może, teraz chłop taki sam człowiek jak i inni. Jeśli już i Żydzi stali się naszymi braćmi, czegoż się mają obawiać Polacy, chociaż są chłopami? Nie przeszłość wypominać, lecz należy nam z otuchą patrzeć w przyszłość i korzystać z chwili obecnej, której hasłem jest: wolność, równość i niepodległość!"

Wszyscy wznieśli entuzyastyczny okrzyk i uczta zakończyła się bez żadnych dalszych niespodzianek.

Oprócz tego obiadu, studenci medyko-chirurgicznej akademii i starsi uczniowie gimnazym realnego, w tym samym hotelu osobno podejmowali włościan z Wilanowa. W czasie tego przyjęcia prze-

mawiał szewc Hiszpański, szczególny kładąc nacisk, że „z obywatelami żyć należy w jak najlepszej zgodzie i nie pogardzać towarzystwem Żydów".

O godzinie 5-ej włościanie dobrze podochoceni, wyszli z hotelu i wśród okrzyków: „Niech żyje Warszawa!" wsiedli do przygotowanych dorożek i omnibusów, które odwiozły jednych na kolej, drugich zaś (Wilanowian) do rogatki mokotowskiej. Na koźle pierwszego powozu siedział włościanin z chorągwią, ofiarowaną przez obywateli w czasie obiadu. Wilanowiacy mieli swoją własną, z którą przybyli do Warszawy. Urzędowy fotograf powstania, Bayer, odfotografował całą tę scenę.

Tak tedy skończyły się owe niepojęte dnie 10 i 11 października. Społeczeństwo znów straciło głowę, jak w lutym, po manifestacyi w czasie pogrzebu pięciu ofiar; stronnictwa znów się zbliżyły i niepodobna było prawie odróżnić białych od czerwonych. Szachowski i jemu podobni zacierali ręce. Wszyscy, a przynajmniej z bardzo małemi wyjątkami, nad tem tylko przemyśliwali, jakby przedłużać manifestacye. Ogłoszenia o nabożeństwie za Kościuszkę, wiersze na cześć bohatera, drukowane w drukarni Banku Polskiego, obiegały z rąk do rąk. Zwłaszcza dnia 13-go października zjawiło się wiele podobnych plakatów. Oto jeszcze jeden taki plakat: U góry przedstawiony w niewielkim owalu Kościuszko, podnoszący szablę w górę. W otoku napis: „Tadeusz Kościuszko", poczem wydrukowano: W d. 15 października przypada rocznica zgonu ś. p. Tadeusza Kościuszki. Dzień ten przeznaczony na uczczenie pamięci wodza, który jako posłannik Boży, zesłany dla wyjarzmienia i odrodzenia Polski, dokonał pełnej swej, Bogu i ojczyznie, ofiary, trzymając wysoko i niewzruszenie, do ostatnich chwil życia, nieskalany sztandar polski i chrześcijański. Dźwigajmy dalej sztandar ten prawdy i wolności, naszemi poświęceniami, ażeby się stał tryumfem, ra-

dością i godłem wielkości i szczęścia dla wielkiego w myśli Bożej ludu!"

Namiestnik przy całej swej ostrożności i unikaniu jawnego wystąpienia przeciw spiskowi, w czem się zawsze obawiał jakiegoś niepomyślnego zwrotu w swej osobistej karyerze, przyszedł wreszcie do przeświadczenia, że niepodobna dalej pobłażać, gdyż się ma do czynienia nie z dorosłymi, rozważnymi obywatelami kraju, lecz z jakiemiś rozpuszczonemi i rozzuchwalonemi dziećmi; że otaczający go Polacy, jakkolwiek się układają, nie mogą być pomocnikami rosyjskich rządców, szczególniej w tak wyjątkowych i naprężonych stosunkach [1]). Wieczorem więc dnia 13 października polecił dyrektorowi swojej kancelaryi, rzeczywistemu radcy stanu Kazaczkowskiemu, przygotować wszystko do ogłoszenia nazajutrz zrana stanu wojennego, przez rozesłanie o świcie do właścicieli domów drukowanego o tem obwieszczenia.

Rozporządzenie, ułożone jeszcze w marcu r. b., teraz nieco zmieniono, natychmiast wydrukowano i oprócz rozlepienia po rogach ulic, rozesłano, zapotwierdzeniem odbioru, wszystkim właścicielom domów, aby nikt niewiadomością tegoż nie mógł się tłómaczyć [2]).

Przez zaprowadzenie stanu wojennego, zabronione zostały wszelkie tłumne zebrania, śpiewanie podburzających pieśni, składki pieniężne, rozsyłanie

---

[1]) Członkowie dawnej delegacyi: Chałubiński, Kronenberg, Szlenker, Helbich i Zieliński jeszcze i teraz czynili starania, czyby się nie dały dokończyć wybory. U Helbicha dnia 12 października ułożono nawet listę kandydatów. Gdzieś także ułożono adres do namiestnika. (Sprawa A. W. Nr. 7). Ale wszystko to już było za późno.

[2]) Niektóre inne rozporządzenia, tyczące się zaprowadzenia stanu wojennego, znajdują się w rozkazie oberpolicmajstra m. Warszawy z dnia 1 (13) października 1861 r., ogłoszonym we wszystkich dziennikach warszawskich.

plakatów, odezw i t. p. Wojenni naczelnicy byli uprawnieni do użycia wszelkich policyjnych środków, jakie uznają za potrzebne dla przywrócenia spokojności. Mogli zamykać w każdej chwili sklepy, kawiarnie i inne zakłady publiczne; mogli nie dozwalać na zebrania publiczne i w domach prywatnych; mogli zarządzać w każdej chwili i wszędzie rewizye, aresztować podejrzanych, lub bez stałego zajęcia wałęsających się, a w razie oporu mogli używać siły zbrojnej.

Oprócz tego nakazano aż do dalszego odwołania zamknąć wszystkie szynki i bawarye, oraz ogrody Saski i Krasińskich. Dorożkarze otrzymali nakaz natychmiastowego zatrzymywania się na żądanie policyi, bez względu na osoby pasażerów. Studentom nie wolno było wychodzić na ulicę bez uzasadnionej potrzeby. Więcej nad trzy osoby nie mogły się z sobą na ulicy zatrzymywać i rozmawiać.

Jednocześnie wojska zajmowały wskazane sobie osobnym rozkazem dziennym stanowiska i Warszawa powtórnie przybrała postać oblężonego miasta. Mieszkańcy spoglądali na to wszystko ze zdumieniem i jakby z niedowierzaniem, lecz dzień minął spokojnie.

W ciągu dnia naradzali się czerwoni nad dalszem swem zachowaniem się, czy rząd żartuje, czy też bierze rzecz na seryo? Tyle dotąd okazano pobłażania, że zdawało się niepodobnem, aby te same władze, tak długo powolne i cierpliwe, przez jedną noc, naraz, miały się zupełnie zmienić. A tu właśnie manifestacya za Kościuszkę tak dobrze się zapowiadała, tyle nastręczała wrażeń i budziła nadziei czegoś niezwykłego...

Po wszechstronnem rozpatrzeniu kwestyi, postanowiono urządzić „co można, co się da", i w tym celu o godzinie 9-ej rano wysłano do kościołów: św. Jana, Bernardynów i św. Krzyża, gromadki kobiet i dzieci z poleceniem odśpiewania hymnów, dla wypróbowania, co z tego wyniknie. Wszakże młodzi

i niedoświadczeni przewódcy tych gromadek na śpiewy się nie odważyli. Wtedy starsi udali się tłumnie do kościołów, pociągając za sobą lud, smutnie po ulicy błądzący. A byli tam ludzie wszelkich stanów. Około godziny 11 po wszystkich kościołach zabrzmiał uroczysty śpiew hymnów. W kościele św. Jana pozostawiono katafalk z pogrzebu arcybiskupa i umieszczono na nim portret Kościuszki.

Natychmiast zawiadomiono o tem namiestnika i generał-gubernatora. W odpowiedzi władze otrzymały rozkaz jak najściślejszego zastosowania się do przepisów, wydanych na wypadek tłumnych zebrań po kościołach. Te zaś brzmiały: „Kościół, w którym hymny zabronione śpiewają, otoczyć wojskiem, a gdy lud zacznie wychodzić, aresztować wszystkich dorosłych mężczyzn, nie tykając kobiet i dzieci [1]).

Rozstawiono więc wojska przed każdym z rzeczonych kościołów i wydano odpowiednie polecenia. Jednocześnie zaś przywódcy manifestacyi dali hasło „nie wychodzić i nikogo nie wydawać".

Skończyło się nabożeństwo, lecz z kościołów nikt nie wychodził. Tak przeszedł dzień cały i noc nastała. Żołnierze broń w kozły ustawili i na ulicach pozapalali ognie. W mieście panowała grobowa cisza, nikt wszakże nie spał.

Z Zamku, gdzie byli zebrani wszyscy wyżsi wojskowi i cywilni rosyjscy urzędnicy, z pewnym niepokojem przysłuchiwano się tej cmentarnej ciszy miasta, przerywanej od czasu do czasu brzękiem

---

[1]) § 10. Do wszystkich kościołów wysłać oddziały policyantów, którzy w razie śpiewania zabronionych hymnów, mają zawiadomić najbliższego dowódcę wojsk, a ten wyprawi natychmiast wojsko do kościoła, w którym śpiewają. Wojsko do kościoła nie wejdzie, ale gdy lud wychodzić z niego będzie, aresztować ma mężczyzn, a przepuszczać dzieci i kobiety. Przytem, jeśli można, ma być obecnym jeden z policmajstrów. W każdym zaś razie musi być koniecznie obecny komisarz cyrkułowy.

szabli o bruk lub chrzęstem zderzających się wypadkiem bagnetów. Żołnierze tylko szeptem z sobą mówili.

Naradzano się nad tem, „co począć z zamkniętymi tłumami?" Większość była za tem, by, trzymając się ściśle instrukcyi, „czekać, póki nie zaczną wychodzić, a wtedy aresztować;" że zaś w końcu wyjść muszą, oczywiście, nie było wątpliwości. Wiedziano jnż i o tem, że lud przynosił bułki pod kościół św. Jana i wrzucał je przez okna do wnętrza, kędy można było.

Gerstenzweig był zdania większości i uważał za niestosowne naruszać w czemkolwiek tylko co wydane rozporządzenie. Koło północy, czując się bardzo znużonym, nie spał bowiem przez dwie doby z rzędu, odjechał do siebie do pałacu Brühlowskiego.

Gdy się tylko dowiedziano w mieście że generał-gubernator wyjechał do siebie, natychmiast przybył do niego biskup Dekert z prośbą o wypuszczenie ludu z kościołów, nie aresztując nikogo. Gerstenzweig kazał odpowiedzieć przez adjutanta: „niechaj wychodzą, nikt nie przeszkadza. Co zaś do aresztowań, to o tem teraz rozprawiać nie pora" [1]).

W tym samym czasie przeor Bernardynów udał się do generała Chrulewa z taką samą prośbą, lecz tu otrzymał zupełnie inną odpowiedź: „Ciebie pierwszego powieszę, oto masz odpowiedź tym, co cię posłali" [2]).

Gdy obie te odpowiedzi zakomunikowano komu należało w mieście, ludzie wszelkich stanowisk i stronnictw, mniej lub więcej zainteresowani dolą zamkniętych w świątyniach agitatorów, zaczęli przemyśliwać nad sposobami uwolnienia uwięzionych.

---

[1]) Udzielone wraz z innemi szczegółami przez Polenowa.

[2]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

Czerwoni proponowali urządzenie ogromnej religijnej procesyi ze wszystkich kościołów z krzyżami i chorągwiami, licząc, że do niej przyłączą się masy podrażnionego mieszczaństwa, kto wie, może ludność całego miasta. Mając zaś za sobą całe miasto, już o coś pokusić się i czegoś dokazać można.

Niepewne o tych zamysłach wieści, z rozmaitemi dodatkami i upiększeniami, doszły do uszu niektórych dowódców wojskowych. Między innemi opowiadano, że już gdzieś stoją zgromadzone ogromne zastępy ludu i czekają tylko hasła, aby się rzucić na wojsko; że duchowieństwo jest zdecydowane iść na czele w szatach i insygniach kościelnych i t. p.

Generał Chrulew, nasłuchawszy się tego wszystkiego na ulicach, udał się po północy do Zamku i zdając z tego sprawę namiestnikowi, dodał wobec zebranych generałów: „chwila, zdaje mi się, bardzo niebezpieczna i wybuch prawdopodobny. Lud, ma się rozumieć, wojsku nie podoła, ale nastąpić może krwawa walka, która pochłonie więcej ofiar jak dzień 8 kwietnia Dla rządu zaś to zwłaszcza będzie nie na rękę, że wypadnie nabić całą kupę popów, którzy nie omieszkają wystąpić na czele ludu.

Dla zapobieżenia tej ewentualności, Chrulew radził zmienić doraźnem rozporządzeniem § 10 instrukcyi, i „posłać do otoczonych wojskiem kościołów oficerów z oddziałami żołnierzy bez broni. Ci mają wezwać przytomnych do wyjścia, gdyby zaś tego nie usłuchano, wtedy wprowadzić do kościołów zbrojne oddziały wojska i wszystkich aresztować".

Wielu z przytomnych na Zamku wyższych wojskowych poparło tę propozycyę. Po krótkim namyśle namiestnik zgodził się na nią i upoważnił generała Chrulewa do wykonania podanego przez siebie projektu.

Chrulew wydał zaraz stosowne rozkazy, których wykonania sam poszedł dopilnować.

Oddział żołnierzy, bez broni, pod wodzą oficera, znalazł kościół św. Krzyża pusty.

Jedni mówili, że lud wyszedł z kościoła przez zakrystyę do przytykającego ogrodu księży Misyonarzy, a ztamtąd przez klasztor wyszedł na ulice: Mazowiecką i Świętokrzyską; inni zaś twierdzili, że między kościołem św. Krzyża a pałacem hr. Andrzeja Zamoyskiego, istniało podziemne przejście, z którego skorzystano [1])

Druga komenda weszła do kościoła Bernardynów, którą lud, broniąc się ławkami, lichtarzami kościelnemi i t. p., zmusił na razie do odwrotu. Wprowadzono zatem zbrojny oddział, który po krótkiem starciu, aresztował wszystkich mężczyzn i odprowadził ich do Zamku.

Aresztowanie w kościele archikatedralnym i metropolitalnym świętego Jana, w którym było zgromadzone całe wyższe duchowieństwo, odbyło się w obecności generałów: Gerstenzweiga, Kryżanowskiego, Werygina, Potapowa i Chrulewa, którzy przybyli na miejsce około godziny 4 ej nad ranem wraz ze swymi adjutantami. Wszycy byli w płaszczach z powodu dosyć dojmującego zimna.

Przy przestąpieniu progu katedry wszystkich tych panów uderzył następujący widok. Świątynia cała była rzęsiście oświetlona. W pośrodku głównej nawy wznosił się wspaniale przybrany katafalk, którego srebrzysty baldachim zasiany żałobnemi łzami, zwieszał się z pod stropu sklepienia. Duchowieństwo, w srebrzystych połyskujących ornatach, lud zaś klęczący w milczeniu, byli zwróceni twarzami ku wielkiemu ołtarzowi.

Generał Potapow odezwał się po polsku: „Wy-

[1]) Przejście podobne rzeczywiście istniało, jak o tem opowiadał autorowi jeden z oficerów, który wszedłszy w ogrodzie domu hrabiego Zamoyskiego do groty, istniejącej na rogu dzisiejszej werandy, murowanym korytarzem doszedł do zakrystyi kościoła św. Krzyża. Po drodze znalazł parasolkę damską.

chodźcie panowie, gdyż w przeciwnym razie kazano was aresztować!"

Nikt ani słowa nie odpowiedział. Zbita masa ludu, wstrzymując oddech, zdawała się skamieniałą, jakby nagłą śmiercią rażona, klęcząc w milczeniu. Srebrny katafalk pałał migocącemi ogniami; cała świątynia jakby przepełniona była światłem i modlitwą...

Niezmiernie trudno było w takiej chwili i wśród takich okoliczności przystępować do aresztowań, a jednak nie było innego wyjścia. Stanowcze rozkazy musiały być wykonane. Żołnierze wszedłszy do kościoła otaczali ludzi małemi partyami i odprowadzali ich do Zamku. Jeden z księży w srebrnolitej kapie z krzyżem w ręku, szedł przez całą drogę modląc się z brewiarza; przybywszy do głównej strażnicy zamkowej wnet usnął ze znużenia. Jedni oddawali się w ręce wojska w milczeniu i bez oporu; inni zaś stawiali opór żołnierzom i w wielu miejscach przychodziło do zaciętej walki [1]).

---

[1]) Pułkownik Krywonosow w swym dzienniku podaje następujące szczegóły o tych aresztowaniach: Gdy wyprowadzono pierwszą partyę aresztowanych z kościoła św. Jana, Chrulew krzyknął do żołnierzy, „a bijcie w kark tych gałganów" Werygin zrobił uwagę, że to niepotrzebne. „Co, niepotrzebne? — zakrzyczał dalej Chrulew, — oni bili żołnierzy, a my ich za to może po główkach mamy głaskać? Gdyby główek nie głaskano, nie byłoby tego wszystkiego". — Wszczął się krzyk, z okien zaczęli ludzie wyglądać i głośno wyrażać swoje oburzenie. — „Milczeć — zaryczał Chrulew — pierwszego kto się odezwie, każę bagnetem przebić!" — W jednej chwili zapanowała cisza. Gromadki wychodziły z kościoła i szły do Zamku zupełnie spokojnie. Blask z latarni padł na czyjąś twarz. — „Żyd" zawołało kilka głosów. „Powiesić Żyda" — odezwał się żartem Chrulew. — Żyda odprowadzono także na strażnicę zamkową. Aresztowań dopełniał pułk Schlüsselburski i oddawał aresztowanych pułkowi Ładożskiemu. Między aresztowanymi znalazł się jeden oficer Polak, ze Smoleńskiego pułku piechoty i junkier Miedwiediew, który z kochanką poszedł do kościoła.

Jak tylko zaczęto w kościele aresztować, na wieży katedralnej odezwał się dzwon pojedyńczy; smętny głos jego rozległ się w przestrzeni, wśród ponurej ciszy, panującej w mieście. Z początku, wśród zgiełku na dole, nikt na to nie zważał, lecz wkrótce niejednego z dowódców metaliczny ten jęk drażnić począł. Pierwszy nie wytrzymał Gerstenzweig i zawołał: „zrzućcie mi tego przeklętego dzwonnika z wieży [1])". Lecz nie łatwo było dostać się do niego: sień, schody na wieżę, natłoczone były ludem; w ciemności trzeba było pojedyńczo, jednego po drugim aresztować, a dzwon tymczasem jęczał i jęczał...

Około godziny 5-ej zrana opróżniono kościół, a aresztowanych przeprowadzono z Zamku do cytadeli.

— A wielu ich jest?—zapytał Gerstenzweig.

— Od dwóch do trzech tysięcy — była odpowiedź.

— Co my z nimi zrobimy? *Quelle terrible histoire!*

Na to odezwał się Potapow:

— Wszystkich do lat 16 osiec rózgami i uwolnić, zaś od 16 do 45 lat wziąć do wojska, starszych także wypuścić... z nauczką".

Gdy się zupełnie rozwidniło, w mieście zakipiało jak w kotle. Zdawało się istotnie, że lada chwila wybuch nastąpi. Kupy ludu tłoczyły się po ulicach, wydając groźne okrzyki; potrzeba było tylko jakiego energicznego wodza, a wybuch był możebny, prochu dosyć było nagromadzonego, jedna iskra wystarczała, lecz właśnie tej iskry w owej chwili zabrakło, może jej wcale nie było w Warszawie, a może tlała utajona wśrod aresztowanych w cytadeli. Puszczono na ulice kilka sotni kozaków,

---

[1]) Wiadomość od pułkownika Kuczyńskiego, stojącego wtedy obok generał-gubernatora.

a ci wkrótce nahajkami krzykaczy uspokoili. Około południa zapanował zupełny spokój. Chirurdzy, na wszelki wypadek zawezwani do Zamku, zostali odprawieni do domów.

Wśród tej ciszy, wszystko, co pozostało bardziej wpływowego w Warszawie, pośpieszyło do konsystorza na naradę, w której ze strony duchowieństwa wzięli udział biskupi: Majerczak — kielecki i Juszyński—sandomierski, ksiądz Białobrzeski, wybrany administratorem archidyecezyi warszawskiej, oraz kanonicy: księża Sieklucki, Dziaszkowski i Rzewuski [1])

W pierwszej chwili całe to zgromadzenie wrzało oburzeniem. Wyrzucano nawzajem sobie i całej ludności, że w takiej chwili nie powstali wszyscy, jak jeden mąż. Gdy pierwsze wrażenie minęło, zaczęto radzić o losie zamkniętych w cytadeli... Dziś jeszcze wszyscy na miejscu, lecz już jutro z mocy przepisów stanu wojennego, lub też wprost z zarządzenia władz wyższych, mogą być porozsyłani na Sybir. czy do więzień fortecznych, a nawet wprost na śmierć skazani!" Między uwięzionymi znajdowali się i synowie najpierwszych rodzin w kraju, to też niejeden z zasiadających na naradzie konsystoryalnej, gotów był wszystko poświęcić, grosz ostatni oddać, byle natychmiast dzieci swe ujrzeć wolnemi [2]). „Cóż więc robić? jakie przedsiewziąć środki, aby czemprędzej zamkniętych z cytadeli uwolnić? Co wogóle robić w tej strasznej chwili, gdy z powodu zaprowadzonego stanu wojennego, nawet ruch swo-

---

[2]) Wiadomości udzielone przez Kazaczkowskiego, który dodał, że w ciągu całego 1861 r., a nawet i później nie było ani jednej chwili, jego zdaniem, bardziej groźnej, jak ranek dnia 16 października.

[1]) Imiona świeckich osób, które uczestniczyły w naradach tego posiedzenia w konsystorzu, pomimo najgorliwszych poszukiwań, pozostały niewykryte. Sam fakt ich obecności zupełnie stwierdzono.

bodny po ulicach jest utrudniony? Okropniejszej i bardziej przygnębiającej chwili Warszawa nie pamięta".

Wśród różnych zdań i sporów, któryś z księży postawił wniosek, aby, nie tracąc daremnie słów i czasu, przedewszystkiem „zamknąć znieważone kościoły, z mocy praw, przysługujących duchowieństwu, wedle postanowień papieskich".

Myśl ta wszystkich uderzyła i zaraz na miejscu, nie zazierając do ustaw i przepisów prawa kanonicznego, (z których niektóre usprawiedliwiały postępowanie rządu), ułożono następującą odezwę konsystorza warszawskiego do duchowieństwa katolickiego w Warszawie:

„Warszawa, dnia 16 października 1861 r.

Główny Konsystorz Archidyecezyi warszawskiej do wielebnych administratorów kościołów parafialnych i duchownych zgromadzeń w Warszawie.

„Z powodu znieważenia dzisiejszej nocy kościołów: świętego Jana i Bernardynów w Warszawie, takowe na mocy rozporządzenia JW. Administratora Archidyecezyi, zostają z dniem dzisiejszym zamknięte, i do czasu ich ponownego otwarcia, żadne nabożeństwo nie może być w nich odprawiane. Nadto, unikając, ażeby i inne świątynie Pańskie nie uległy podobnym napadom i znieważeniu, JW. Administrator poleca, z dniem jutrzejszym zamknąć wszystkie kościoły i kaplice w Warszawie aż do dalszego rozporządzenia, to jest do czasu, póki nie otrzyma zapewnienia, że rzeczone świątynie nie ulegną podobnej zniewadze i że lud wierny będzie miał możność zupełnie bezpiecznego zgromadzania się dla zanoszenia modłów do stóp Przedwiecznego."— Podpisali: ks. August Sieklucki, kanonik i sędzia surogat katedralny; ks. Cieślewski, sekretarz.

Odezwa ta w mgnieniu oka stała się wiadomą całej Warszawie. Wszystkie kółka i stany czytały

ją z uniesieniem. Namiestnik nieomieszkał także o niej się dowiedzieć i z zawezwanym księdzem administratorem już o godzinie 9-ej zrana dnia 16-go października miał gorącą z tego powodu przeprawę.

Ksiądz Białobrzeski, pozostający pod wpływem tych samych ludzi, którzy rządzili zmarłym arcybiskupem Fijałkowskim, przytem również słabego, jak i zmarły, charakteru, powtarzał namiestnikowi to, co mu natchnęli jego doradcy i pomocnicy. Przedstawił namiestnikowi wzruszającą scenę aresztowań „zbyt pośpiesznych i nieoględnych", i kończąc dodał: „że rozporządzenie o zamknięciu kościołów jeszcze nie jest wykonane i może być zmienione, jeżeli wszyscy uwięzieni co do jednego natychmiast zostaną uwolnieni, a duchowieństwu będzie danem zapewnienie, że podobne sceny w przyszłości się nie powtórzą [1])".

Zmieszany i chory namiestnik, który już trzecią dobę oka nie zmrużył, nie chcąc się spierać z administratorem w kwestyi, której jako świecki, dobrze nie rozumiał, a przytem i z innych względów nie chcąc jej stawiać tak, by duchowieństwo nabrało przekonania, że jest siłą, której rzeczywiście nie da się przełamać, oświadczył administratorowi, że ze swej strony „uczyni co możliwe dla uspokojenia umysłów, lecz ma niepłonną nadzieję, że i duchowieństwo ze swej strony tak samo postąpi". — Tem pożegnał księdza administratora.

Przyzwany niezwłocznie prezes komisyi śledczej, pułkownik Lewszyn, otrzymał polecenie, by się „natychmiast udał do cytadeli i tam wspólnie z ko-

---

[1]) Na mocy jakoby testamentu ś. p. księdza Fijałkowskiego, administratorowi zostały dodane w charakterze doradców też same osobistości, które przy zmarłym arcybiskupie ten sam urząd pełniły, mianowicie księża kanonicy: Sieklucki i Dziaszkowski.

mendantem fortecy, generał-majorem Jermołowem, dopełnili jak najśpieszniej rozklasyfikowania uwięzionych, z których mniej winni mają być natychmiast uwolnieni, biorąc przytem i wiek uwięzionych pod uwagę [1]).

Lewszyn należał do rzędu tych oficerów, starego, mikołajewskiego autoramentu, z którymi Polacy umieli doskonale sobie radzić. Zawezwanie Lewszyna do Zamku i wyprawienie go ztamtąd z nieograniczonem pełnomocnictwem więzienia lub uwolnienia kogo uzna za stosowne, było w jednej chwili wiadome wszystkim, komu na tem zależeć mogło. Ojcowie zapędzonych do cytadeli, rozmówili się jak przystało z tym wszechpotężnym dygnitarzem, zanim się jeszcze udał do cytadeli. On sam ułatwiał te rozmowy;... następnie, przybywszy do twierdzy, wykazał się przed komendantem, własnoręcznem upoważnieniem namiestnika, pośpiesznie napisanem na ćwiartce papieru i wspólnie udali się na rozgatunkowanie uwięzionych.

W jaki to mianowicie sposób się odbywało, niewiadomo. To pewna tylko, że generał Jermołow, prawie w tem nie brał udziału, i raczej się tylko przypatrywał odgrywającej się przed jego oczyma scenie, uśmiechając się lub wzruszając ramionami.

Do godziny 11-ej przed południem największa część aresztowanych była już wolną. Między uwolnionymi znajdowali się wszyscy majętniejsi, oraz najbardziej wpływowi agitatorzy, śmiało rzec mo-

---

[1]) Ze słów Lewszyna, który nadto przytoczył, że gdy już do drzwi dochodził, namiestnik jeszcze go zwrócił i powiedział: Nie żenuj się pan i nie ścieśniaj! Już w czasie opowiadania Lewszyn był zmieszany i unikał odpowiedzi na wiele zapytań. Niektóre zaś odpowiedzi były wprost nieprawdziwe, jak się później okazało z opowiadań innych, zupełnie wiarogodnych, osób, doskonale wtajemniczonych w tę sprawę.

żna, cały ówczesny komitet centralny z bardzo małemi wyjątkami. W cytadeli pozostali ci, których właściwie najpierwszych należało uwolnić, uliczny motłoch, gawiedź, jak ją nazywali Polacy.

Generał-gubernator, przynajmniej do południa nic o tem wszystkiem nie wiedział. O godzinie 9-ej rano, odbierając od komendanta miasta Warszawy, generał-majora Bebutowa, codzienny raport, i dowiedziawszy się, że tenże jedzie do cytadeli, polecił mu zajrzeć do uwięzionych i zarządzić co potrzeba, aby im na niczem niezbędnem nie zbywało, szczególniej zaś zwrócić uwagę na jedzenie i posłanie[1]). Poczem przyjął jeszcze kilka osób, od których dowiedział się o wszystkiem, co zaszło po jego oddaleniu się na Zamku, a także i o tem, w jaki sposób i przez kogo odbyło się rozgatunkowanie i uwalnianie więźniów z cytadeli. Udał się na Zamek i tu miało miejsce sam na sam z namiestnikiem to ważne zajście, o którem krążą najrozmaitsze pogłoski i opowiadania, lecz które do dnia dzisiejszego pokryte jest tajemnicą.

Najbliżsi obu tych mężów stanu sądzą, że Gerstenzweig wypowiedział namiestnikowi z całą dosadnością i bez ogródek, całą nieprzyzwoitość i słabość jego zachowania się w nocy z 15 na 16 października i rano dnia 16 października. „Zmieniać własne zarządzenia wskutek przyniesionych z ulicy plotek o jakichś gotujących się procesyach, o po-

[1]) Wiadomość od księcia Bebutowa Przy wjeździe do cytadeli koło godziny 10-tej zrana, książę z niemałem zdziwieniem spotkał dwie partye uwięzionych, mniej więcej do 500 ludzi. idących wolno do miasta. Potem na dziedzińcu cytadeli ujrzał jeszcze jedną taką partyę. Zabawiwszy z godzinę w twierdzy, przez który to czas ciągle przeglądano i uwalniano więźniów, generał przekonał się, że niema co tak bardzo się troszczyć o słomę, materace i inne szczegóły. Wracał do Brühlowskiego pałacu, aby zdać sprawę z tego co widział, generał-gubernatorowi, lecz nie zastał go już w domu, gdyż odjechał do Zamku.

wszechnem powstaniu; wywołać krwawe starcie wojska z ludem w świątyniach, uwięzić kilka tysięcy osób, a po 5—6 godzinach wszystkich uwolnić, chociaż między niemi byli i ci prawie wszyscy, których już od dawna należało pozamykać; to więcej niż słabość charakteru, to czyny człowieka, który albo zupełnie w danych okolicznościach stracił głowę, albo jest zdrajcą!"

Przytem mógł on wypowiedzieć i to wszystko, co się u niego dawno tłumiło na dnie serca, to o czem milczał ze względów przyzwoitości, nie chcąc zrywać chociażby pozornie dobrych stosunków, które były konieczne dla dobra wspólnej sprawy; wszystko to, co się uzbierało od czasu wyjazdu z Petersburga: te bezpodstawne podejrzenia, chorobliwe niedowierzanie względem dawnego towarzysza broni i przyjaciela, nietaktowna zmiana zachowania jeszcze przed wyjazdem do Warszawy [1])...

Powiadają, że wskutek sprzeczki tak głośnej, że odgłos jej dochodził do zebranych w drugim pokoju, pomimo drzwi zamkniętych i spuszczonych portyer, namiestnik i Gerstenzweig wyzwali się nawzajem na pojedynek. Dla uniknienia skandalu, postanowili odbyć ten pojedynek na sposób amerykański, los miał decydować i Gerstenzweig wyciągnął złowieszczą gałkę.

Tak opowiadali i opowiadają do dzisiaj w Warszawie. W Petersburgu dodawano tylko, że Gerstenzweig postąpił zbyt po rycersku, i że gdyby los fatalny wypadł Lambertowi, ten by napewne życia sobie nie odebrał [2]).

[1]) Bebutów przyjechał do Zamku za Gerstenzweigiem, by mu zdać sprawę z tego co widział w cytadeli. Wszyscy zauważali, że Gerstenzweig wyszedł z gabinetu namiestnika cały rozczerwieniony i niezmiernie wzburzony. Zaledwie Bebutów zaczął mówić. Gerstenzweig mu przerwał, mówiąc: „wiem o wszystkiem" i zaraz odjechał.

[2]) Generał Chrulew opowiadał, że ciągnęli węzełki, zaś generał Tuchołko mówił, że właśnie generał Chrulew trzymał chustkę z supełkami.

Na pewne to tylko wiadomo, że Gerstenzweig wyjechał z Zamku o godzinie 5 po południu nadzwyczajnie wzburzony i przywoławszy do siebie Lewszyna, złajał go od ostatnich słów.

Pułkownik Krywonosow tak opisuje to spotkanie: Gdy Lewszyn przybył do generał-gubernatora, ten zaraz krzyknął z gniewem: „czyśmy na to aresztowali, byś pan potem wszystkich uwolnił? Jesteś pan zdrajca i podły!" Uczyniłem to na wyraźny rozkaz namiestnika — tłómaczył się Lewszyn. — „Rozkaz był dany inny, niż to coś zrobił!" i tu posypał się grad takich epitetów, że Lewszyn wyleciał z gabinetu jak z procy, zbiegając zaś ze schodów, potknął się i upadł, przyczem zranił się w czoło.

Gerstenzweig zwykle o godzinie 5 w domu jadł obiad. Tym razem zasiadł do stołu z rzeczywistym radcą stanu Czestilinem, dyrektorem swego biura, i z adjutantami Weimarnem i Polenowym. Weimarn był właściwie adjutantem ministra wojny, i towarzyszył Gerstenzweigowi do Warszawy, jako jego dawny i zażyły przyjaciel, chcąc być z nim razem w takich ciężkich i niespokojnych czasach. W czasie obiadu był niezwykle blady, siadając powiedział: „coś niezdrów jestem" i nic do ust nie wziął. Kilka razy kładł głowę na stole, na skrzyżowanych rękach. Ma się rozumieć, że wszyscy byli w jak najgorszem usposobieniu i mało co jedli, milcząc. Pod koniec obiadu Czestilin się odezwał: „ależ generale, zjedz cokolwiek i napij się wina, niepodobna choć trochę się nie posilić." Gerstenzweig wypił pół kieliszka białego wina. Po obiedzie położył się w swoim gabinecie, nie rozbierając się, w surducie, na skórzanej sofie i nie kazał nikogo przyjmować. Tak prawie bez ruchu, przeleżał cały ten wieczór.—Bebutow powiada, że po dwakroć zazierał do gabinetu, lecz Gerstenzweig leżał z zamkniętemi oczami, udając śpiącego.

Nazajutrz generał-gubernator wstał o godzinie 7 z rana, nabił rewolwer i pod oknem strzelił w czo-

ło dwa razy. Pierwsza kula ześlizgnęła się po czaszce, przebiła firankę i ugrzęzła w ramie od okna. Drugi strzał przebił czaszkę, zrządzając jedenaście pęknięć kości, kula ośliznęła się po wewnętrznej powierzchni czaszki i nie naruszając mózgu utkwiła w potylicy [1]). Nieszczęsny nietylko że żył, lecz zachował całą przytomność. Doszedłszy do łóżka w drugim pokoju, z którego tylko co powstał, położył się i zadzwonił [2]).

W domu nikt nie słyszał wystrzałów. Lokaj, który pośpieszył na odgłos dzwonka, spostrzegłszy generała krwią zbroczonego, wpadł do adjutanta Weimarna. Gdy ten wbiegł, Gerstenzweig najspokojniej rzekł do niego: *Imaginez vous, deux coups et je ne suis pas encore mort.*—Co dalej z sobą mówili, pozostało przy Weimarnie.

O godzinie 9 przyjechał Lambert, a chcąc pozostać sam na sam z chorym, dał znak Weimarnowi by wyszedł, ten atoli przedstawił mu, że bez rozkazu swego naczelnika, uczynić tego nie może. „Każ pan“, rzekł Lambert; Gerstenzweig z widoczną niechęcią znak powtórzył...

Co z sobą mówili „starzy przyjaciele“, pozostało między nimi. Pułkownik Kuczyński opowiadał, jakoby słyszał od Weimarna, że po wyjściu Lam-

---

[1]) Urzędowe sprawozdanie doktorów Lebruna, Girsztowta i Korzeniowskiego.

[2]) Prawdopodobnie Gerstenzweig już 16 października wieczorem chciał swój zamiar przyprowadzić do skutku i w tym celu wychodził do ogrodu, lecz Weimarn jakby w przeczuciu, troskliwie go śledził i w tem mu przeszkodził. Opowiadają, że Gerstenzweig miał przy sobie zawsze rewolwer, z którego jego ojciec życie sobie odebrał. Był to rewolwer, starego systemu o sześciu lufkach. Lufka, z której się zabił jego ojciec, była zawsze czemś zatkana. Rewolwer ten leżał zawsze na biurku generała, gdzie go stale widział Petrow, urzędnik, będący zawsze pod ręką do pisania mniej ważnych poleceń. Przypuszczają, że właśnie z tego rewolweru i syn życia się pozbawił.

Opowiadanie Polenowa.

berta, Gerstenzweig patrząc za wychodzącym, odezwał się do wchodzących natychmiast adjutantów: *c'est un lâche!* Chyba wie o tem żona Gerstenzweiga, która nazajutrz po strzale przyjechała do Warszawy i zastała męża jeszcze zupełnie przytomnego.

Strasznie pomyśleć, nieszczęsny konał dziewiętnaście dni, i śmierć nastąpiła dopiero, gdy spróbowano wyjąć kulę, dnia 5 listopada 1861 roku.

Sprawa o kościoły toczyła się dalej. Bez względu na uwolnienie uwięzionych, których do wieczora 16 października zaledwie dziesiąta część w cytadeli pozostała, duchowieństwo w porozumieniu ze spiskującymi, którym całe to zajście a szczególnie samobójstwo Gerstenzweiga, nowej energii i życia dodało, skłoniło administratora, że wydał polecenie zamknięcia i zapieczętowania kościołów św. Jana i Bernardynów. Ceremonii tej dopełnił dziekan Witman, przed wieczorem dnia 17 października Tegoż dnia ustało nabożeństwo i we wszystkich innych kościołach w Warszawie [1]).

Gdy się o tem namiestnik dowiedział, polecił zaraz hrabiemu Wielopolskiemu, jako dyrektorowi spraw duchownych, zażądać od kapituły wytłómaczenia się z tego zarządzenia, a zarazem oświadczyć administratorowi, że czyni go odpowiedzialnym, za wszystkie wyniknąć ztąd mogące następstwa, według całej surowości przepisów stanu wojennego.

Wielopolski zawiadomił o tem kapitułę i w parę godzin otrzymał półtoraarkuszową odpowiedź administratora, z której przytaczamy niektóre ustępy.

---

[1]) Wiadomość udzielona przez księdza kanonika Siekluckiego. Kościół Św. Jana opieczętowano o godzinie 5-tej, Bernardynów zaś o godzinie 6-tej po południu. W Warszawie pozostała otwarta kaplica cmentarna na Powązkach. Na Pradze kościół nie został zamknięty.

„Kiedy wskutek zaszłych wypadków i mogących wyniknąć jeszcze smutniejszych następstw, przedstawiłem jego ekscelencyi hrabiemu namiestnikowi— pisze administrator—strapienie całego kościoła, duchowieństwa i ludu chrześciańskiego, namiestnik dał mi słowo, że podobnego rodzaju niesłychane gwałty, już się więcej nie powtórzą".

„Wtedy i ja oświadczyłem ze swej strony, że rozporządzenie władzy duchownej o zamknięciu kościołów odwołanem zostanie".

„Dziś namiestnik i dyrektor komisyi spraw duchownych, wymagają odemnie wyjaśnień na piśmie. Powtarzam więc to, co już ustnie oświadczyłem, że gotów jestem rozporządzenie to odwołać i zarządzić otwarcie kościołów, lecz któż zaręczy, czy lud ostatniemi wypadkami podrażniony i z granic cierpliwości wyprowadzony, nie będzie znów śpiewał hymnów religijno-patryotycznych? Aby uspokoić choć nieco wzburzone umysły, potrzeba wiele czasu i pozostawienia pewnej swobody duchowieństwu. Rząd dotychczas w tym kierunku żadnego kroku nie uczynił i nie dał stanowczego zapewnienia, że się podobne przerażające sceny nie powtórzą i świątynie ponownemu znieważeniu nie ulegną. Przeciwnie, § 10 rozporządzenia z dnia 14 b. m. wyraźnie zapowiada: że do wszystkich kościołów będą wysyłani policyanci, obowiązani do donoszenia władzy o śpiewaniu hymnów, celem interwencyi wojskowej".

Rozporządzenie to poddaje modlitwę, duchowieństwo i wiernych pod władzę policyi i wojska, i obawiać się należy, że rząd zamierza użyć jeszcze surowszych środków, które naraziłyby wiernych i kościół na jeszcze większe niebezpieczeństwo"...

„Mnóstwo niewinnych ofiar schwytano w kościołach, tych jedynych przybytkach schronienia dla chrześcian zanoszących swe modły do Boga, a które zdawały się zabezpieczonymi od wszelkich gwałtów z mocy § 213 kodeksu kryminalnego. Póki więc, chociażby jeden tylko z niewinnie uwięzionych

w kościołach, lub następnie schwytanych na ulicach, pozostawać będzie w więzieniu, dopóty nie będzie można uśmierzyć umysłów i wpływ duchowieństwa w tym kierunku okaże się bezsilnym".

„Mając to wszystko na względzie, nie mogę na razie zmienić wydanego w dniu wczorajszym rozporządzenia o zamknięciu kościołów i te przez czas pewien muszą pozostać zamkniętemi...

„Wysoki rząd ze swej strony znajdzie zapewne sposób odzyskania zaufania ludu i uwalniając uwięzionych utrwali w niem przekonanie, że podobne smutne zajścia już się więcej nie powtórzą...

Wielopolski otrzymaną odpowiedź przesłał namiestnikowi, który, po przeczytaniu jej, utracił resztę cierpliwości, i, jak to bywa u ludzi słabego charakteru, wyszedł z równowagi i naraz z pobłażania przerzucił się do najsurowszych środków. Zaczęły się tłumne aresztowania podejrzanych po domach i na ulicach. Dnia 19 października uwięziono nawet niedawnych jego przyjaciół, księży Wyszyńskiego, Steckiego, Witmana i Dziaszkowskiego, oraz pastora Otto, ktorych w połowie lutego 1862 roku zesłano do Tobolska. Szewca Hiszpańskiego i literata Wolskiego zesłano następnie do Wiatki. Mniej znanych agitatorów nabrano dziesiątkami. Cytadela ponownie się zapełniła. Komisarz X cyrkułu, Dzierżanowski, za samo podejrzenie, że dnia 15 października ułatwił ludowi wyjście z kościoła św. Krzyża, został skazanym na rozstrzelanie i tylko energicznemu wstawieniu się generała Chrulewa zawdzięczał swe ocalenie. Na każdego z kupców, którzy pozamykali swe magazyny i handle w dzień rocznicy zgonu Kościuszki, nałożono po 100 rubli grzywny.

W tydzień potem, dnia 26 października, hrabia Lambert ledwie żywy, plujący krwią, bardziej do cienia swego podobny, zniknął bez rozgłosu i pożegnania z Warszawy. W dziennikach tylko ogłoszono, że „namiestnik Królestwa Polskiego z naj-

wyższego zezwolenia wyjechał na kilka tygodni za granicę dla poratowania zdrowia. Na czas jego nieobecności obowiązki namiestnika i dowódcy pierwszej armii, pełnić będzie minister wojny, generał-adjutant Suchozanet".

Na razie hrabia Lambert ze swoim kuzynem wyjechał do Paryża, gdzie obaj zawarli wkrótce znajomość z rodziną hrabiów de Lancosme-Bréves, którzy mieli jedynaczkę, ostatnią w rodzinie, a do tego prześlicznej urody pannę. Kuzyn Lamberta oświadczył się o jej rękę, został przyjęty, lecz przed ślubem umarł. Wówczas sam hr. Lambert prosił o rękę panny, otrzymał przyrzeczenie. Cała rodzina wraz z narzeczonym wyjechała na Maderę, celem zupełnego wyleczenia byłego namiestnika. W początkach 1865 roku nastąpiły zaślubiny, lecz wkrótce hr. Lambert umarł nagle, pozostawiając żonę w odmiennym stanie.

Zwłoki jego przewieziono do Francyi i pochowano w rodzinnych grobach Lancosmów w Vendoeuvres en Brienne, w departamencie Indre, dnia 5 września 1865 roku. (*Indépendance Belge*).

W czasie pobytu hrabiego Lamberta na Maderze, zjawił się tam także jego dawny znajomy, generał-adjutant Werygin (podówczas generał kwatermistrz sztabu Jego Cesarskiej Mości i dyrektor zarządu wojsk nieregularnych, następnie członek rady państwa) i bawił tam przeszło pół roku, codziennie widując dawnego namiestnika. Po powrocie Werygina do Petersburga, przy pierwszem spotkaniu się z cesarzem, został zapytany przez tegoż:

— No teraz wiesz wszystko?

— Nic nie wiem najjaśniejszy panie; z czem pojechałem, z tem wróciłem—odpowiedział.

— Łżesz!—rzekł na to cesarz i już nigdy o to Werygina nie zaczepił [1]).

---

[1]) Opowiadanie generała Krasnokutskiego, który miał to słyszeć z ust samego Werygina.

DODATEK.

PRZYPISEK DO KSIĘGI IV.

Ogłoszenie o zaprowadzeniu stanu wojennego.

Z najwyższego rozkazu J. C. K. Mości ogłasza się Królestwo Polskie w stanie wojennym.

Na mocy takowego wszyscy mieszkańcy Królestwa, za poniżej wyszczególnione przekroczenia i przestępstwa, ulegają wojennej procedurze i sądowi doraźnemu, na zasadzie § § 739 i 753 księgi II wojenno-kryminalnego kodeksu.

Policya po wsiach i miastach podlega władzy wojennych naczelników, a urzędnicy tych władz za zaniedbanie lub opuszczenie swych obowiązków podlegają odpowiedzialności na równi z wojskowymi.

Wszyscy bez wyjątku obwinieni: o zdradę, podburzanie lub jawne nieposłuszeństwo władzom wojskowym lub policyjnym, o przechowywanie broni, wygłaszanie publicznie mów podburzających, wydawanie i rozszerzanie odezw podburzających lub innego rodzaju pism, o namawianie innych do podobnych przestępstw, chociażby one rozruchów nie wywołały; również oskarżeni o gwałt jakikolwiek, o za-

bójstwo, grabież, rozbój, podpalenie—podlegają procedurze i sądowi wojennemu według ustaw polowych wojenno-kryminalnego kodeksu.

Uwaga. Jeżeli zwierzchność wojenna uzna, że popełnione przekroczenia i przestępstwa nie mają politycznego charakteru, odnośne sprawy odstąpi zwykłym sądom do osądzenia.

Z zaprowadzeniem stanu wojennego, zabrania się:

a) Wszelkiego rodzaju zebrań i zbiegowisk na ulicach i placach, chociażby z niewielkiej ilości osób się składających. W razie nieusłuchania wezwania policyi do rozejścia się, zostanie użytą do rozpędzenia siła zbrojna, winni zaś będą aresztowani i pociągnięci do odpowiedzialności;

b) Wszelkiego rodzaju manifestacyi i demonstracyi politycznych, również pochodów i procesyi, na które nie otrzymano osobnego na piśmie zezwolenia od właściwej władzy wojskowej; nabożeństw kościelnych za zmarłych przestępców politycznych, za zabitych w czasie rozruchów, albo też na pamiątkę jakich historycznych wydarzeń; użycie podburzających lub zakazanych godeł odpowiedzialność zwiększa;

c) Śpiewania po kościołach lub po za nimi podburzających pieśni, hymnów lub innych modlitw przez kościół niezatwierdzonych; urządzania loteryi, zbierania składek pieniężnych lub innych, po kościołach lub miejscach publicznych bez osobnego na piśmie zezwolenia właściwej władzy wojskowej; wystawiania i sprzedaży ogłoszeń, odezw, broszur i gazet, oraz nalepiania plakatów niedozwolonych przez właściwe władze.

Następstwa stanu wojennego:

1. Wojsko i policya upoważnione są do uży-

cia broni w razie napotkanego oporu w swoich zarządzeniach.

2. Naczelnicy wojenni upoważnieni są do użycia wszelkich środków policyjnych, jakie uznają za potrzebne dla utrzymania lub przywrócenia porządku i spokoju.—Wojenny naczelnik obowiązany jest strzedz zupełnego posłuszeństwa rozporządzeniom władzy i niedopuszczać szkodliwych podburzań i wszelkich oznak nieuszanowania dla rządu, władzy lub wojska. Ma prawo zabronić wszelkich zebrań nietylko publicznych lecz i prywatnych, jeśli je tylko uzna za szkodliwe. Ma prawo w każdej chwili zarządzenia rewizyi domowej lub osobistej u mieszkańców. Wszystkich ludzi bez zajęcia, lub podejrzanych, którzy czy to okazują burzliwy charakter, czy też już brali udział w poprzednich rozruchach, może aresztować i żądać co do nich decyzyi namiestnika.

3. Szynki, kawiarnie, sklepy korzenne i inne tego rodzaju zakłady powinny być zamykane o godzinie oznaczonej przez władzę wojskową. W razie uznania mogą być zupełnie zamknięte.

4. Cudzoziemcy, nie posiadający przepisanej legitymacyi, lub nie mający stałego zajęcia, szczególniej zanotowani w czynnościach sprzecznych z wydanymi przepisami, zostaną niezwłocznie wydaleni za granice państwa.

Z powodu niepodobieństwa wyszczególnienia wszystkich następstw, jakie pociąga za sobą ogłaszające się niniejszem zaprowadzenie stanu wojennego, przestrzega się mieszkańców, że wszelkie zamieszki wywołają niechybnie nadzwyczajne i energiczne środki.

Dan w Warszawie dnia 2 (24) października 1861 r.

Głównodowodzący pierwszą armią i pełniący obowiązki namiestnika Królestwa Polskiego, generał-adjutant

hr. *Lambert I.*

Wymiana depesz między Warszawą a cesarzem Aleksandrem II.

w czasie od 2 (14) czerwca po 11 (23) października 1861 roku.

Warszawa—Moskwa. *Do hrabiego Adlerberga.*

2 czerwca 1861 roku.

Opóźnienie przyjazdu Płatonowa z zatwierdzeniem reform i nie ogłoszenie tychże do tej pory, źle wpływa na usposobienie umysłów.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. *Do cesarza.*

3 czerwca 1861 roku.

Rudanowski donosi, że w Suwałkach panuje najzupełniejszy spokój. Śledztwo rozpoczęte.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Moskwa—Warszawa. *Do Suchozaneta.*

3 czerwca 1861 roku.

Kuryer z moim listem i ukazem o nowych ustanowieniach wysłany w nocy z 31 maja na 1 czerwca. Płatonow wyjedzie z Petersburga we wtorek, a hrabia Lambert za dwa tygodnie. Cieszę się, że w Suwałkach wszystko spokojnie.

Aleksander.

Warszawa—Moskwa. *Do cesarza.*

4 czerwca 1861 roku.

Szczęśliwy jestem, mogąc donieść, że dzień wczorajszy w całem mieście przeszedł spokojnie. Nie tykając wojsk rozłożonych po mieście, wczoraj odbyłem przegląd reszty na placu broni, w sile 14 batalionów, 4 sotni zbiorowego pułku kozaków i 5 pieszych bateryi. Piechota i kozacy w dobrym stanie, artylerya znakomita. Kuryer z Moskwy do godziny pół do siódmej rano jeszcze nie przybył.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. *Do cesarza.*

4 czerwca 1861 roku.

Kuryer przybył o godzinie 1-szej po południu.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. *Do cesarza.*

7 czerwca 1861 roku, godz. 6 rano.

Wczoraj ogłoszono ukaz o radzie stanu Królestwa Polskiego. Wojska usunięte z placów. Resursa kupiecka otwarta. Dalsze ukazy zostaną stopniowo ogłaszane, do 10-go czerwca włącznie. W mieście spokój zupełny i weselsze usposobienie.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. *Do cesarza.*

7 czerwca 1861 roku.

O godzinie 6-ej wieczorem wysyłam z depeszami mego adjutanta Unkowskiego. Stanie w Carskiem Siole dnia 10-go o godzinie pół do 7-ej rano.

Gen. adj. *Suchozanet*

Warszawa—Kriukowo. Stacya kolei petersbursko-moskiewskiej.

9 czerwca 1861 roku.

Jestem szczęśliwy mogąc donieść, że dzień wczorajszy przeszedł w mieście zupełnie spokojnie. Jednak zuchwała młodzież nie przestaje wybryków w ogrodzie Saskim. Muszę pozostawić tylko dwa wolne wejścia do ogrodu i przy nich postawić posterunki wojskowe i wzmocnioną straż policyjną.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie-Sioło. 12 czerwca 1861 roku.

Z powodu wilii św. Jana, mieszkańcy według zwyczaju powinni się byli zebrać na moście celem puszczania wianków. Atoli zamiast na moście, zebrało się wczoraj do 20,000 ludu na cmentarzu Powązkowskim i ubrało kwiatami groby zabitych dnia 27 lutego. Nie przeszkadzając temu, zarządziłem odpowiednie środki ostrożności. Wszystko odbyło

się spokojnie, śpiewano tylko patryotyczne hymny. O czem mam szczęście donieść.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie-Sioło. 13 czerwca 1861 roku.

Z rozkazu J. C. Mości, doręczyć gen.-adj. hr. Adlerbergowi II dla przesłania natychmiast kuryerem do Krasnego Sioła.

Na naradzie co do przedstawienia na członków Rady Stanu, jednomyślnie uznano, ażeby na razie nie mianować arcybiskupa Fijałkowskiego i o tem natychmiast donieść Waszej Cesarskiej Mości.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Krasne-Sioło— Warszawa. 14 czerwca 1861 roku.

Kuryera wyślę jutro. — Z nominacyą Fijałkowskiego wstrzymam się do nadejścia pisemnych wyjaśnień.

Aleksander.

Warszawa – Petersburg. 18 czerwca 1861 roku.

Zwlekanie przybycia hr. Lamberta z racyi studyowania spraw Królestwa w Petersburgu, jest mojem zdaniem szkodliwe i dla dobra służby i dla niego samego. Tutaj przez jeden dzień dowie się więcej o położeniu i potrzebach kraju, niż studyując nawet przez czas dłuższy w Petersburgu. Obecność jego tutaj, w czasie wyborów, pobytu Platonowa, wniosków Potapowa o policyi, uważam za konieczną, aby jako człowiek przeznaczony do rządzenia krajem, przyłożył do tych prac swoją rękę.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Petersburg. 19 czerwca 1861 roku.

Chociaż właściwie nic ważnego nie zaszło, jednak wzburzenie między ludem wzmaga się, z widocznym zamiarem doprowadzenia rzeczy do ostateczności, w celu pomieszania szyków ludziom spokojnym. Zapewne będę musiał uciec się do ostatecznych środków, wstrzymam się z tem jednak aż do ogłoszenia składu Rady Stanu, gdyż po zaprowadze-

niu surowych zarządzeń, ogłoszenie to nie miałoby już celu. Oczekuję ukazów. Za opór policyi lub wojsku, winnych oddaje pod sąd wojenny.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Petersburg— Warszawa. 19 czerwca 1861 roku.

Kuryer przybył dziś rano. Jutro podpiszę ukazy z nominacyami do Rady Stanu. Mam nadzieję, że do ich nadejścia potrafisz pan uniknąć konieczności zaprowadzenia surowych zarządzeń. Jednak w razie nieuniknionej potrzeby, nie zważaj na to. Hrabiego Lamberta wyślę, jak tylko Płatonow wróci.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 20 czerwca 1861 roku.

Wczoraj, według dawnego, przez Kościół dozwolonego zwyczaju, było bardzo wielkie zbiegowisko ludu na Powązkach. Odprawiono modły za umarłych, a w tej liczbie i za tych, którzy poginęli w ostatnich rozruchach. Wszystko przeszło spokojnie. W mieście także się uspokoiło, prawdopodobnie wskutek zarządzonych środków. Wzburzenie niedzielne w części można przypisać wielkiej ilości pijanych.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Petersburg— Warszawa. 20 czerwca 1861 roku.

Nominacye do Rady Stanu zatwierdzone. Ukazy zabierze kuryer we czwartek rano. Jeśli uznasz za odpowiednie, możesz ogłosić, za nim je otrzymasz. Kiedy Potapow wraca?

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 21 czewca 1861 roku.

Generał Potapow przybył dopiero wczoraj o godzinie 4 ej po południu, zabawi tutaj conajmniej przez tydzień. Dotychczasowe umundurowanie warszawskiej policyi koniecznie należy zmienić. Upraszam o wstrzymanie wysyłania partyjkami ludzi wybranych do policyi aż do powrotu Potapowa. Zwło-

ka w reorganizacyi policyi zmusiła mnie do poruczenia wojsku utrzymania spokoju i porządku po miastach. Wskutek tego wznowiłem i uzupełniłem instrukcye, wydane wojsku przez ś. p. księcia Gorczakowa, o niedopuszczeniu zbierania się i rozpraszaniu zbiegowisk. Odtąd oskarżeni o bezprawne postępki, które poczytuję za polityczne, z mocy ukazu z 1833 roku będą podlegali sądom wojennym. Nominacye członków Rady Stanu zakomunikuję prywawatnie. Z urzędowem ogłoszeniem wstrzymam się do nadejścia ukazów. Wczorajszy dzień przeszedł w mieście zupełnie spokojnie, o czem mam szczęście donieść.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Petersburg. 23 czerwca 1861 roku.

Wczoraj wieczorem były usiłowania do wywołania zbiegowisk, lecz zarządzone środki z łatwością temu przeszkodziły. Zresztą wszystko spokojnie.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Petersburg. 23 czerwca 1861 roku.

Wczorajsze zbiegowiska, jak i wszystkie poprzednie, poczynały się gromadzić pod pozorem modłów przed figurą Matki Boskiej.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Petersburg. 25 czerwca 1861 roku.

Ksiądz Naruszewicz za prawidłowe postępowanie w maju, w kościele św. Aleksandra, tak jest prześladowany przez burzycieli porządku, że prawie odchodzi od zmysłów. Chcę go wysłać pod opieką zaufanego urzędnika do Vichy. Aż do jego powrotu uważam za stosowne nie ogłaszać o jego nominacyi na członka Rady Stanu, na co upraszam Najwyższe zezwolenie.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Petersburg. 25 czerwca 1861 roku.

Nr 64. Przed ogłoszeniem nominacyi członków Rady Stanu, chciałem się upewnić czy wszyscy

przyjmą. Gliński odmawia pod przyzwoitym pozorem. Skarbek się waha. Upraszam o zezwolenie nie ogłaszania tych, którzy się wymawiają, a na miejsce których dodatkowo przedstawię kandydatów.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa. 26 czerwca 1861 roku.

Zgadzam się na nieogłoszenie nominacyi Naruszewicza.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 26 szerwca 1861 roku

Wbrew zapowiedzianej na wczoraj demonstracyi wszędzie w mieście panował zupełny spokój, do czego mogła się przyczynić ulewa, trwająca od godziny 4 do 6 wieczorem.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa. 26 czerwca 1861 roku.

Zgadzam się z propozycyami telegramu nr 64. Co było zapowiedziane na wczoraj?

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 26 czerwca 1861 roku.

Nr 66. Zapowiedziane były w kilku różnych miejscach tłumne narodowe manifestacye.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa. 26 czerwca 1861 roku.

Depesza № 66 nic nie wyjaśnia. Chciałbym wiedzieć jaki był powód do narodowej silniejszej demonstracyi i na czem ona miała polegać.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 27 czerwca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował zupełny spokój. Wzburzenie umysłów ustaje.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 27 czerwca 1861 roku.

Demonstracye były zapowiedziane na Powązkach, na Lesznie, a nawet naprzeciw Zamku, lecz

ponieważ nie doszły do skutku, to bardziej stanowczych wyjaśnień co do ich powodu dać nie mogę. Sądzę, że innego celu nie mają, jak wywołanie zwykłych zamieszek i utrzymywanie rządu w ciągłem zaniepokojeniu.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 28 czerwca 1861 roku.

Generał Potapow i kuryer Gnidin wyjechali wczoraj o godzinie 9 wieczorem. W mieście wszędzie było spokojnie. Motłoch widocznie przycichł.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 29 czerwca 1861 roku.

Widocznie wskutek zaleceń, dzień wczorajszy przeszedł w mieście zupełnie spokojnie. Nawet śpiewy po kościołach mniej liczne.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 30 czerwca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował zupełny spokój. Ciągłe deszcze psują zboża. Wczorajsza ulewa wymuliła znaczną wyrwę na ulicy Długiej.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa. 30 czerwca 1861 roku.

Potapow i kuryer przybyli. Ustawę policyjną przez Radę Stanu przedstawić do mego zatwierdzenia.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 30 czerwca 1861 roku.

Rozkaz przedstawienia projektu przekształcenia policyi przez Radę Stanu, napotka na wielkie przeszkody i spowoduje zgubne opóźnienie. Uważając, że niezwłoczne wprowadzenie projektu w wykonanie przyczyni się najbardziej do zapewnienia spokoju, ośmielam się wyprawić jutro kuryera ze szczegółowemi wyjaśnieniami.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 1 lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował zupełny spokój. Przed trzema dniami burza z ulewą w czterech miejscach wymuliła wyrwy na ulicach, które zagrażają bezpieczeństwu domów.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa. 1 lipca 1861 roku.

Płatonow ma zaraz wracać, jak tylko ukończy poruczoną mu sprawę.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 2 lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście było zupełnie spokojnie. Na Lesznie u Karmelitów, według dawnego zwyczaju, przez cały tydzień będą się odprawiały na ulicy nabożeństwa przed figurą Matki Boskiej. Kuryer wysłany wczoraj o godzinie 9-ej wieczorem.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 3 lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście było cicho i spokojnie. Płatonowa myślę wyprawić dnia 9 b. m.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 4 lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował zupełny spokój. Nawet w trzech kościołach, w których się odprawiało nabożeństwo do Matki Boskiej szkaplerznej, lud śpiewał tylko religijne pieśni.

Generał-Adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 4 lipca 1861 roku.

Projekt o policyi jednogłośnie w Radzie Stanu uchwalony. Upraszam o zatwierdzenie i rozkazy co do umundurowania. Wybory należałoby koniecznie odłożyć aż do przybycia policyi, chociaż widocznie porządek powraca.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 4 lipca 1861 roku.

Intryga, propagująca, aby przeszkodzić ukonstytuowaniu się Rady Stanu, przełamana. Dzisiaj Rada Stanu ostatecznie się ukonstytuowała. Wszyscy obecni w Warszawie członkowie wydziałów, wraz z urzędnikami biur, byli obecni i zostali zaprzysiężeni. Wszyscy bez wyjątku członkowie, po raz pierwszy od czasu nieszczęśliwych wypadków, przybyli w mundurach na obiad. Nawet sparaliżowany hr. Tomasz Potocki, kazał się przynieść w fotelu. Mowa zagajająca posiedzenie i toast przy obiedzie znalazły uznanie. Jestem szczęśliwy, że mogę donieść, iż dzień dzisiejszy w zupełności odpowiedział oczekiwaniom Waszej Cesarskiej Mości.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa. 5 lipca 1861 r., 9 godz. rano.

Kuryer przybył. Projekt o policyi zatwierdzam. Czy sądzicie że potrzeba na to ukazu? Co do umundurowania hrabia Lambert otrzymał stosowne rozkazy. Kuryera nie mogę odesłać przed niedzielą. *Aleksander.*

Warszawa—Peterhof. 5 lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście wszystko było zupełnie spokojne. Nabożeństwa odpustowe po kościołach odbyły się uroczyście, śpiewano jedynie z dawna przyjęte nabożne pieśni. Spokój i porządek widocznie się utrwalają i mam nadzieję, że zaczynają nareszcie uznawać potrzebę i korzyści tegoż.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa.

5 lipca 1861 r., godz. 4 m. 30 po poł.

Cieszą mnie, wczorajsza i dzisiejsza, pańskie depesze. Daj Boże, aby one były początkiem lepszych czasów. *Aleksander.*

Warszawa—Peterhof. 6 lipca 1861 roku.

W mieście zupełny spokój. Nominacye członków, również skład biur Rady Stanu, wszystkich

zadowolniły; nawet nieprzyjazne dzienniki oddają sprawiedliwość. Ustawa o policyi, mająca być tylko chwilowem tejże wzmocnieniem, nie wymaga ukazu. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 7 lipca 1861 roku.

Hrabia Lambert ma jutro przedstawić wzory umundurowania policyi. Czuję się w obowiązku zwrócić uwagę Waszej Cesarskiej Mości, że ś. p. cesarz Mikołaj rozkazał w 1839 roku, aby członkowie byłej polskiej deputacyi, zachowali na zawsze uniform, w którym mieli szczęście Mu się przedstawić, to jest: amarantowe kołnierze i wyłogi, i że następnie kolory te były nadane wszystkim urzędnikom i szlachcie nie zostającej w urzędowaniu. Feldmarszałek samowolnie zmienił kolor amarantowy na czerwony, lecz deputaci do śmierci zachowali mundury z amarantowemi odznakami.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Peterhof (*Aleksandria*)—*Warszawa.* 7 lipca 1861 r.

Nie należało w żadnym razie wysyłać depeszy o mundurach niecyfrowanej. Wola moja pod tym względem dokładnie panu wiadoma i surowo to panu wymawiam; przytem uwaga nieuzasadniona. W 1832 roku pozostawiono kolor amarantowy tym jedynie deputatom, którzy byli w Petersburgu. Wszystkim zaś urzędnikom i niesłużącej szlachie został nadany ogólny rosyjski mundur z nowo ustanowionym herbem dla Królestwa na guzikach, i to nie samowolnie przez feld-marszałka, lecz z Najwyższego polecenia.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 10 lipca 1861 roku.

Płatonow i kuryer wyjechali wczoraj o godzinie 9-ej wieczorem. Pierwszy przybędzie do Petersburga 12 ku wieczorowi, kuryer zaś 12 rano przedstawi moje sprawozdanie Waszej Cesarskiej Mości.

Gen.-adj. *Suchozanet*

Warszawa—Peterhof. 10 lipca 1861 roku.

Wczoraj młodzież z niższych warstw ludności urządziła krótką demonstracyę przed mieszkaniem angielskiego konsula, celem wyrażenia wdzięczności narodowi angielskiemu za współczucie okazywane Polsce. Zachowanie się konsula było bez zarzutu, nadzwyczaj jest zasmucony, nazywając to szaleństwem. Za przybyciem wojska tłum się rozproszył. Wypadkowi temu nie przypisuję narodowego znaczenia. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 10 lipca 1861 roku.

Celem ośmieszenia wczorajszej waryackiej demonstracyi przed mieszkaniem angielskiego konsula i chcąc zarazem dać wyraz uznania dla jego lojalnego zachowania się, zaprosiłem go dziś na obiad, co też należycie ocenił i natychmiast o tem swój rząd zawiadomił. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 11 lipca 1861 roku.

Nabożeństwo żałobne po Czartoryskim odprawiono bez kazania i narodowych hymnów. Celebrował biskup Plater, arcybiskup Fijałkowski był tylko obecny.—Przy wyjściu Fijałkowskiego motłoch zakrzyczał „wiwat"! co spokojni natychmiast stłumili; następnie lud wyprzągł mu konie z powozu i odwiózł go do domu. Wszyscy w oznakach żałoby. Arcybiskup Fijałkowski przemawiał, zalecając zdjęcie żałoby, i potem dopiero udzielił błogosławieństwa ludowi, który rozszedł się spokojnie. Jestem przekonany, że zezwolenie na nabożeństwo zapobiegło samowolnemu odprawieniu nabożeństw po wszystkich kościołach, czego wzbronić przemocą wewnątrz kościołów byłoby niemożliwem.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof (*Aleksandria*)—*Warszawa.* 11 lipca 1861 r.

Pochwalam zachowanie się pańskie względem konsula augielskiego, również i zezwolenie na odprawienie nabożeństwa po Czartoryskim. Spodzie-

wam się atoli, że dalszych żadnych demonstracyi nie dopuścisz. Kuryera zatrzymuję aż do przybycia Płatonowa.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 11 lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panował spokój. O godzinie 5 wieczorem zaszła nad Wisłą prywatna bójka, dla uśmierzenia której, z powodu tłumnego zbiegowiska, musiałem wysłać kompanię piechoty. Główny sprawca uwięziony za opór stawiany policyi.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 11 lipca 1861 roku.

W czwartek, 13, ma się odprawić luterańskie dziękczynne nabożeństwo z powodu ocalenia króla pruskiego. Konsul przysłał zaproszenie na nabożeństwo, gdy jednak nie posiada charakteru dyplomatycznego, nie wiem czy jest do tego urzędownie uprawniony. Zamierzałem posłać generał-gubernatora i moich adjutantów, lecz ze względu na osobę upraszam o polecenie wzięcia udziału w nabożeństwie osobiście wraz z całym sztabem.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa. 12 lipca 1861 roku.

Wypada być samemu. Kuryer przybył rano Płatonowa jutro oczekuję.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 13 lipca 1861 roku.

Zawiadomiłem wszystkich naczelników władz, że będę na nabożeństwie. Nikt z Polaków nie przybył z wyjątkiem Fundukleja, Massona, Enocha i Karnickiego. Przybyli wszyscy obecni w mieście generałowie. Zaprosiłem na obiad konsula, wice-konsula, starszych generałów i wymienionych czterech. Toastowałem za zdrowie króla, wuja i przyjaciela Waszej Cesarskiej Mości.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 14 lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście panowała cisza i spokój. Policya zawiadomiła, że w nocy z 12 na 13 kupa włóczęgów, ukryta w bramie traktyerni, napadła na porucznika żandarmów, Wrześniowskiego, gdy ten wychodził z kolacyi i, obiwszy go, rozbiegła się. Śledztwo się prowadzi co do tych podejrzanych osób, które były na kolacyi w tejże samej restauracyi.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa. 14 lipca 1861 r., g. 4 po poł.

Kuryer wysłany o godzinie 2. Nie mogę usprawiedliwić nieobecności Polaków na nabożeństwie dnia 13. Zajście z oficerem żandarmów wymaga, aby winni surowo zostali ukarani.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 15 lipca 1861 roku.

Wczoraj w mieście było cicho i spokojnie. Późno wieczorem przybył Piłsudzki z wzorami umundurowania policyi. Pomimo wszelkich starań przed 1 września nowa policya nie będzie mogła wejść w życie. Koniecznie należy do tego czasu wybory odroczyć. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 15 lipca 1861 roku.

Mam szczęście zanieść najpoddańsze podziękowanie za prześliczną formę umundurowania warszawskiej policyi.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Peterhof—Warszawa. 18 lipca 1861 roku.

Wybory w Warszawie odłożyć do ostatecznego ukończenia reorganizacyi policyi. Hrabia Lambert wyjeżdża w przyszły wtorek.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 18 lipca 1861 roku.

Dzisiejszym kuryerem posyłam kopię podania Wielopolskiego o uwolnienie. Głównym powodem

są moje wyroki na źle usposobionych, nie liczące się z miejscowemi sądowemi prawami. Wielopolski prosi o zezwolenie wysłania swego syna, kamerjunkra, do Petersburga, w razie gdyby Wasza Cesarska Mość życzyła poznać szczegółowo powody jego prośby o uwolnienie. Jutro wysyłam Tompsona z odparciem zarzutów Wielopolskiego co do bezprawnego postępowania, dla prawnego rozpatrzenia nie tu, lecz w Cesarstwie. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 19 lipca 1861 roku.

Gdyby Wasza Cesarska Mość uznała za możliwe zezwolić na wyjazd młodego Wielopolskiego do Petersburga, to proszę mnie zawiadomić cyfrowaną depeszą. Dobrze by było, aby tenże mógł spełnić poruczenie ojca jeszcze przed odjazdem hrabiego Lamberta dnia 25 b. m. Być może, że przy tej sposobności Wielopolski zupełnie się wypowie.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Krasne Sioło — Warszawa. 20 lipca 1861 roku.

Bardzo boleję nad zamiarem Wielopolskiego. Czekam pańskich wyjaśnień. Syn może tu przyjechać. Mianowałem generała Gerstenzweiga warszawskim generał-gubernatorem. Na jego zaś miejsce proponuję panu generał-majora barona Heydena, albo generał-porucznika Niepokojczyckiego.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 20 lipca 1861 roku.

Generał-porucznik Niepokojczycki, jako zupełnie obeznany z wszelkiemi wojskowemi ustawami, jako były prezes kodyfikacyjnej komisyi, byłby najodpowiedniejszy, jednak należałoby go zachować na szefa sztabu dla Lüdersa, gdyby wypadkiem przyszło do wojny.

Generał-major baron Heyden dla swoich zdolności, przytem jako młodszy i niższy stopniem, mógłby przez dłuższy czas pozostać w ministeryum wojny. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 21 lipca 1861 roku.

Mam szczęście donieść, że wczorajszy dzień w mieście przeszedł cicho i spokojnie. Włościanie w Opolu, ulegając perswazyom porucznika Muchanowa, bez użycia przymusowych zarządzeń wracają do posłuszeństwa. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof.

22 lipca 1861 roku, godz. 7 rano.

W imieniu pierwszej armii, a także i w swem własnem, mam szczęście złożyć Waszej Cesarskiej Mości najpoddańsze życzenia z powodu Imienin Najjaśniejszej Pani.—Wznawiając dawniej obowiązujący zwyczaj, naznaczyłem dziś na godzinę w pół do 11-tej przed południem ogólne przyjęcie na Zamku wszelkich władz wojskowych i cywilnych, celem odebrania powinszowań. Następnie odbędzie się uroczyste nabożeństwo w Soborze i kościelna parada.—Wczoraj w mieście panowała zupełna cisza i spokój.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof.

22 lipca 1861 r., godz. 3½ po poł.

Nadzwyczaj liczne zebranie wszelkich stanów na Zamku dla wyrażenia powinszowań w dniu Imienin Jej Cesarskiej Mości, ośmiela mnie, w uzupełnieniu porannej depeszy, dołączyć także najpoddańsze życzenia w imieniu wszystkich dobrze myślących w kraju. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 22 lipca 1861 roku.

Kamerjunkier, hrabia Wielopolski, dzisiaj o godzinie 3 po południu stanie w Petersburgu, zaś 25. rano w sekretaryacie Stanu.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 25 lipca 861 roku.

Wczoraj tłum ludu poturbował policyanta w Saskim ogrodzie, który przytrzymał był chłopaka, sprzedającego zbiorki zabronionych hymnów. Na po-

licyancie potargano mundur, chłopaka zaś uwolniono. Wśród licznych i rozzuchwalonych tłumów policya jest bezsilną.—Na dzisiaj i dnie następne zapowiedziane są po ulicach kościelne procesye. Zarządzam co potrzeba w celu ich niedopuszczenia.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 25 lipca 1861 roku.

Mam szczęście donieść: W Święto Przemienienia Pańskiego wyruszała ogromna pielgrzymka do Częstochowy. Przeprowadzała ją procesya od księży Paulinów na Starem Mieście aż o trzy wiorsty za miasto, za Wolskie i Jerozolimskie rogatki. Wyjechałem naprzeciw konno z pułkownikiem Jefimowiczem i przejechawszy stępa, bez eskorty, przez tłum 20,000 ludzi, przekonałem się osobiście o zupełnym porządku, nabożnym nastroju ducha i braku wszelkiej politycznej demonstracyi w zebranych tłumach. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof.

27 lipca 1861 r., godz. 8 m. 55 rano.

Mam szczęście złożyć Ich Cesarskim Mościom najpoddańsze życzenia w dniu urodzin Najjaśniejszej Pani od wiernych Im: armii, mnie i dobrze myślących stanów kraju. W soborze zaniesiemy modły o szczęście i długie lata Waszym Cesarskim Mościom.—Wczoraj w mieście panowała zupełna cisza i spokój. Gen.-adj. *Suchozanet.*

Peterhof — Warszawa. 27 lipca 1861 r., godz. 5 m. 15 po południu.

Dziękujemy za życzenia. Pragnę, ażeby Wielopolski pozostał przy dotychczasowych obowiązkach aż do przybycia hrabiego Lamberta, który osobiście się z nim porozumie co do dalszego stanowiska. Lambert wyjeżdża we wtorek.

Aleksander.

Warszawa—Peterhof. 22 lipca 1861 roku.

Ze smutkiem muszę donieść, że wskutek pobłażliwości duchowieństwa, motłoch po kościołach dopuszcza się nieporządków, tak, że już i ono zapobiedz im nie może. Wczoraj w katedrze, przed ukończeniem Mszy Świętej, tłum zebrany zaczął śpiewać hymny i przeszkodził dokończeniu nabożeństwa, tak, że urzędnicy i księża opuścili kościół przed końcem modlitwy. W nocy nieliczne gromadki wybijały szyby w oknach, które były oświecone. Musiałem użyć wojska dla rozpędzenia zbiegowisk. Aresztowano siedem osób. Szczegóły prześlę, gdy zbiorę bardziej dokładne dane i wykryję głównych winowajców.

Generał-adjutant *Suchożanet.*

Warszawa—Peterhof. 29 lipca 1861 roku.

Burzyciele porządku zbierali się pod różnemi, najdziwaczniejszemi pozorami na Miodowej ulicy, zkąd natychmiast byli rozpędzeni. Dla przekrócenia tych ulicznych zamieszek i zapobieżenia zapowiedzianym demonstracyom znów rozmieszczam wojsko po placach. Niezwłoczny przyjazd hr. Lamberta jest konieczny. Stan mego zdrowia bardzo niedobry.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa - Peterhof. 30 lipca 1861 roku

Mam szczęście donieść: Wczoraj w mieście zupełnie się uspokoiło i dzień przeszedł w ciszy i porządku.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 30 lipca 1861 roku.

Rozrzucone i nalepione po rogach ulic odezwy, wzywają na jutro do kościołów na obchód uroczystości narodowej „Unii z Litwą" i nakazują ilumi-

nacyę. Ogłaszam, że na to nie pozwolę. Staram się, ażeby i duchowieństwo w duchu tym działało, ku czemu zdaje się skłaniać. Zawiadamiam Nazimowa o wydanych zarządzeniach.

Na dzień 3 sierpnia, dzień Napoleona, takie same wezwania. Czekam co dzień jutrzejszy przyniesie. Co do 3 sierpnia nic jeszcze nie zarządziłem.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Peterhof. 31 lipca 1861 roku.

Mam szczęście donieść: wczoraj miasto zachowało się spokojnie. Dzisiaj wojska zgromadzone na zbornych punktach dla zapobieżenia nieporządkom.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Krasne Sioło—Warszawa. 31 lipca 1861 roku.

Oby dał Bóg, by wasze zarządzenia zapobiegły oczekiwanym nieporządkom. Hrabiego Lamberta zatrzymują tu ważne sprawy. Wyjeżdża w piątek rano.

Aleksander.

Warszawa—Carskie Sioło. 1 sierpnia 1861 roku.

Dzięki groźnej obecności wojsk, dzień wczorajszy przeszedł w porządku, chociaż widoczne było wielkie wzburzenie umysłów. Kobiety były w sukniach kolorowych. Magazyny pozamykane. Wieczorem oświecono pokoje. Słowem, objawy tego rodzaju, że ich policya i wojsko, ani przewidzieć, ani zabronić nie mogły. Aresztowano 30 osób.—Generał-adjutant Ignatiew dziś odjeżdża i osobiście może wszystko opowiedzieć.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 2 sierpnia 1861 roku.

Obecność wszystkich wojsk w mieście na 30

lipca, oraz zarządzone aresztowania osiągnęły cel zamierzony. Wzburzenie ustało i wczoraj miasto było w zupełnym porządku i spokoju.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 3 sierpnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść: Wczoraj w mieście było cicho i spokojnie. Dzisiaj, jako w święto Matki Boskiej, należy się spodziewać tłumów po kościołach.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 4 sierpnia 1861 roku.

Wczoraj, pomimo tłumów po kościołach z powodu święta, oprócz hymnów żadnych innych nieporządków, iluminacyi lub jakiej innej demonstracyi w mieście nie było. Na Powązkach, jak zwykle w święta, zebrało się dużo ludu, odśpiewano na grobach zabitych hymny, a potem lud spokojnie się rozszedł. Wogóle cisza i spokój przywrócone. Fizyonomia miasta zadawalniająca.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Carskie Sioło— Warszawa. 4 sierpnia 1861 roku, godzina 10 wieczór.

Chwała Bogu, że dzień wczorajszy przeszedł szczęśliwie. List przez Ignatiewa dziś rano otrzymałem. Hrabia Lambert dopiero w poniedziałek rano będzie mógł wyjechać. Nie chcę żadnej zmiany systemu zachowania się i proszę się tem kierować do jego przyjazdu, nie dopuszczając pod żadnym pozorem do jakichkolwiek demonstracyi i samowoli.

Aleksander.

Warszawa—Carskie Sioło. 5 sierpnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść: wczoraj w mieście był

zupełny spokój i należyty porządek. Generał-major Potapow przyjechał wieczorem.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 6 sierpnia 1861 roku, godz. 7 m. 45 po północy.

Wczoraj w mieście panował najzupełniejszy spokój, ani cienia jakichkolwiek nieporządków. Demagogia utrzymuje, że otrzymała takie rozkazy, lecz sądzę, że to jest skutkiem groźnej postawy wojska i dokonanych aresztowań czternastu osób. W miastach gubernialnych jednocześnie utrzymano w ten sam sposób należny porządek. Aż do przybycia hrabiego Lamberta będę dalej wysyłać ludzi niepewnych i księży do Cesarstwa, lub też zamykać w kazamatach fortecznych.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Carskie Sioło—Warszawa. 6 sierpnia 1861 roku. godz. 7 m. 30 wieczór.

Zgadzam się na energiczne postępowanie. Hrabia Lambert wyjeżdża z moim listem we wtorek rano.

Aleksander.

Warszawa—Tuła. 8 sierpnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść: W mieście panował zupełny spokój. Ponownie aresztowano 5 osób za noszenie zabronionych pasów, w rodzaju sznurka z kółkiem.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Charków. Ztamtąd do Czugujewa.

12 sierpnia 1861 roku, godzina 2 po północy.

Mam szczęście donieść: Hrabia Lambert przybył wczoraj o godzinie 11 w nocy. W mieście pa-

nował zupełny spokój. Nie było powodu do żadnych aresztowań na ulicach. Uwięziono w mieszkaniach sześciu przewódców, zabrano papiery. Mam nadzieję wykryć dalszych wspólników.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Warszawa—Charków. 13 sierpnia 1861 roku.

Mam szczęście donieść: Wczoraj w mieście panował spokój zupełny, powodów do aresztowań ulicznych nie było. Objąłem zarząd kraju i armii.

Hrabia *Lambert.*

Charków—Warszawa. 14 sierpnia 1861 roku.

Daj Boże! byś w dobrą godzinę objął rządy. Czy się wykryło co ważnego wskutek aresztowań, o których generał-adjutant Suchozanet donosił w swej ostatniej depeszy?

Aleksander.

Warszawa—Charków. 14 sierpnia 1861 roku.

W mieście spokojnie. Generał Gerstenzweig przybył wczoraj. Minister wojny wyjeżdża dzisiaj o godzinie 6 rano. — Przy aresztowaniu czterech osób za noszenie stroju narodowego, tłum obrzucał policyantów kamieniami, przyczem lekko kontuzyowany podpułkownik Bolicki. Nadeszła kompania wojska rozproszyła zbiegowisko.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Połtawa. 15 sierpnia 1861 roku.

W mieście spokój, wojska z placów sprowadzone. Dzisiaj ogólne przedstawienie się władz cywilnych na Zamku. Wczoraj wysłałem kuryerem do Benderu list do Waszej Cesarskiej Mości. Odpowiadam na telegram z Charkowa. Śledztwo się prowadzi, lecz nie przewiduję jakichś ważniejszych odkryć.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Elizabetgrad. 16 sierpnia 1861 roku.

Wczoraj było ogólne przyjęcie cywilnych urzędników na Zamku, nic szczególnego nie mam z tego powodu do doniesienia. Wczoraj wieczorem przybył do Warszawy senator Płatonow. W mieście spokój. —Nie czynię żadnych zarządzeń na przejazd J. C. Wysokości, W. księcia Konstantego Mikołajewicza przez Królestwo Polskie.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Odesa. 19 sierpnia 1861 roku.

Przy pogrzebie zmarłego, podobno z ran otrzymanych w kwietniu, przyłączyło się do 5000 osób. Pochód postępował w porządku z kościoła św. Krzyża na cmentarz Powązkowski. Po prześpiewaniu hymnów tłum rozszedł się.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Odesa. 20 sierpnia 1861 roku.

W mieście spokój, żadnych zajść nie było. Dokąd mam następnie telegrafować?

Hrabia *Lambert.*

Odesa — Warszawa. 20 sierpnia 1861 roku godz. 8 wieczór.

Wczoraj przybywszy do Odesy znalazłem list Twój z dnia 14 (26) b. m. Pochwalam pierwsze zarządzenia, lecz następne depesze wskazują, że swawola nie ustaje. Dalej tak być nie może, ani w Warszawie, ani na prowincyi i dlatego żądam, aby zaprowadzić stan wojenny w miejscowościach, gdzie to uznasz za wskazane. — W moim programie podróży, oprócz dwudniowego opóźnienia wszędzie, zmian innych niema. Konstanty Mikołajewicz nie pojedzie przez Polskę.

Aleksander.

Warszawa—Bender. 21 sierpnia 1861 roku.

Nic szczególnego nie zaszło. Wiadomości z gubernii zachodnich wywołują widoczne wzburzenie umysłów. Ogłoszenia o żałobnych nabożeństwach rozchodzą się z rąk do rąk.

Hrabia *Lambert.*

Warsaawa—Odesa. 22 sierpnia 1861 roku.

Wczoraj szczególnego wzburzenia w mieście nie było, jednak w kościołach odbyły się nabożeństwa w skutek zajść wileńskich, powiększonych przez agitatorów. Żałoba zwiększona. Magazyny w czasie nabożeństw były pozamykane.

Hrabia *Lambert.*

Odesa— Warszawa. 22 sierpnia 1861 r., godz. 11 rano.

Dzisiejsza depesza jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu o potrzebie zarządzenia surowych środków i zaprowadzenia tychże jednocześnie na Litwie i w Polsce. Przed trzema dniami, wieczorem, wysłałem kuryera do Warszawy.

Aleksander.

Warszawa—Symferopol, ztamtąd sztafetą do Sewastopola.
23 sierpnia 1861 roku.

W mieście spokojnie. Obecnie nie ma powodu ogłaszania stanu wojennego, gdyż stan rzeczy na gorsze się nie zmienił, mimo że wojska z placów sprowadzono. Nadto zwykła policya jeszcze nie zorganizowana, tajnej policyi niema, a i sami mało jeszcze oznajmieni jesteśmy ze sprawą. Nic dziwnego, jeżeli będzie wzburzenie w rocznicę wzięcia Warszawy, lecz nie przewiduję w tem żadnego niebezpieczeństwa. Ogłoszenie stanu wojennego wzbu-

rzenia nie usunie, a w danym razie i bez tego wojska są w pogotowiu. Mniej się obawiam ulicznych demonstracyi niż wyborów. Upraszam Waszej Cesarskiej Mości, gdy się już na to zgodziłeś, o zamianowanie w miejsce generała Liprandiego generała Chrulewa i, jeśli zgoda, to na 30 sierpnia.

Hrabia *Lambert.*

Sewastopol—Warszawa. 24 sierpnia 1861 roku, godzina 10 po południu.

Nie dopuścić do żadnych demonstracyi w rocznicę wzięcia Warszawy, a gdyby, mimo zarządzonych środków, takie zaszły, to ogłosić natychmiast w Warszawie stan wojenny. Tak samo postąpić i w innych miejscowościach i natychmiast odebrać wszelką broń od mieszkańców.

Aleksander.

Warszawa—Symferopol, przez Bachczysaraj do *Liwadyi.*

25 sierpnia 1861 roku.

Miasto spokojne. Wysłałem do Petersburga przedstawienie o zamianowaniu margrabiego Wielopolskiego głównym dyrektorem Komisyi sprawiedliwości. Raczy Wasza Cesarska Mość zatwierdzić telegraficznie, nie czekając przedstawienia i zezwolić na zamianowanie go także wiceprezesem Rady Stanu, na 30 sierpnia. Upraszam o odpowiedź.

Hrabia *Lambert*

Warszawa—Liwadya 25 sierpnia 1861 roku.

Upraszam o telegraficzne polecenie zarządzającemu ministerstwem wojny, aby wybrał z gwardyi i przysłał dla wzmocnienia warszawskiej policyi 100 żołnierzy, o co do niego dzisiaj pisałem. Największa tego potrzeba.

Hr. *Lambert.*

Liwadya— Warszawa. 25 sierpnia 1861 roku

Zgadzam się na zamianowanie Chrulewa na miejsce Liprandiego [1]), również i na przedstawienie Wielopolskiego do Komisyi sprawiedliwości i na wiceprezesa Rady Stanu, na dzień 30 sierpnia.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 27 sierpnia 1861 roku.

Dzień wczorajszy przeszedł spokojnie, manifestacyi nigdzie nie było, na Wolę nikt nie chodził. Wskutek restauracyi sobornej cerkwi, arcybiskup odprawił mszę świętą i nabożeństwo w cerkwi w Łazienkach. Po nabożeństwie była kościelna parada ze smoleńskim pułkiem ułanów. W kościele katedralnym nabożeństwo odprawiał sufragan, wszystko poszło dobrze, a w kościołach nawet nie śpiewano hymnów. Wieczorem rządowe gmachy były iluminowane, magazyny były cały dzień otwarte, ludność przechadzała się po ulicach spokojnie, wojska nie były nigdzie skonsygnowane. Wieczorem rozesłano po ulicach patrole. W niektórych okolicach miasta zaszły hałasy, wywołane przez Żydów fanatyków, którzy zaczęli wybijać szyby w magazynach żydowskich, które nie zostały pozamykane z zapadającem u Żydów świętem. Nieporządki te nie miały żadnych politycznych znamion, ani też jakiegoś szczególniejszego znaczenia. Niektórzy ekscedenci są już aresztowani, zarządzono także uwięzienie głównych promotorów. — Wczorajszy dzień budzi niejaką nadzieję, że się stronnictwo porządku wzmoże.

Hrabia *Lambert.*

---

[1]) O ile wiadomo, cesarz zaraz cofnął rozkaz co do Chrulewa.

Warszawa – Liwadya. 28 sierpnia 1861 roku.

W Warszawie spokojnie. W mieście Łęczycy zaszły uliczne nieporządki, zarządzono dochodzenie. Jeśli się wszystko okaże prawdą, ogłoszę tam stan wojenny. O szczegółach doniosę.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 30 sierpnia 1861 roku.

Na wniosek Wielopolskiego, Rada Stanu uznała za potrzebne wydanie urzędowego dziennika dla Królestwa Polskiego, aby módz w ten sposób oddziaływać na uspokojenie umysłów; redakcyę wzmocnić, a artykuły nieurzędowe drukować tylko po polsku bez tekstu rosyjskiego. Uznaję potrzebę śpiesznego przeprowadzenia tej reformy, lecz nie może ona nastąpić bez zezwolenia Waszej Cesarskiej Mości. Czy otrzymam najmiłościwsze zezwolenie?

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 31 sierpnia 1861 roku.

W mieście spokojnie! Wczorajsze nabożeństwa odbyły się we wszystkich kościołach w porządku, jedynie w katedrze kilkanaście osób przeszkadzało, intonując podburzające hymny. Kazałem winnych odszukać. Dopóki nie zorganizujemy policyi, niepodobna zapobiedz podobnym swawolom, jednak i one zaczynają się zmniejszać, gdyż większość ludności zachowuje się obojętnie.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 31 sierpnia 1861 roku.

Koniecznie potrzebuję ludzi pewnych. Upraszam o polecenie, aby mi przysłano do dyspozycyi generał-majorów: Dreniakina, Zimmermana ze szta-

bu, Konstandylakiego z artyleryi i pułkownika żandarmów Lewenthala.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 2 września 1861 roku.

W mieście spokojnie. Poczuwam się w obowiązku proszenia Waszej Cesarskiej Mości o najwyższe zezwolenie przedstawienia do nagród podwójnej liczby wojskowych, nie tak, jak zwykle, a to uwzględniając niezwykłe trudy, na które są wystawione wojska konstytujące w Królestwie Polskiem.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya—Warszawa. 3 września 1861 roku, godzina 8 wieczór.

Jedynie tylko pułkownika żandarmów, Lewenthala, mogę ci przysłać do dyspozycyi. Do nagród na ten rok możesz przedstawić podług norm przyjętych dla gwardyi.

Od czasu zaprowadzenia na Litwie stanu wojennego, wiadomości ztamtąd nadchodzą zadawalniające; to mnie jeszcze bardziej utwierdza w przekonaniu o konieczności zastosowania tego zarządzenia i do Królestwa Polskiego, gdyby się powtórzyły takie nieporządki jak w katedrze dnia 30 sierpnia. Już wielki czas koniec temu położyć.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 4 września 1861 roku, godzina 1 po północy.

W mieście spokojnie. W Kaliszu dnia 30 sierpnia zbiegowisko starło się z patrolem z powodu nieiluminowania. Posłany tam generał Paulucci donosi, że porządek przywrócony. Dziś wysyłam kuryera z pismem do Waszej Cesarskiej Mości.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya— Warszawa. 4 września 1861 roku.

godzina 10 minut 30 rano.

W Kaliszu ogłosić stan wojenny. Winnych starcia dnia 30 sierpnia sądzić według praw karnych polowych i wyroki zaraz wykonać, o czem donieść w drodze telegraficznej.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 4 września 1861 roku,

godzina 4 minut 30 po południu.

W zajściu Kaliskiem okazali się najbardziej winnymi żołnierze nizowskiego pułku piechoty. O zmianie dowódcy pułkowego zawiadomiłem generał-adjutanta Milutyna. Niepodobna ogłaszać stanu wojennego, gdyż byłoby to sprzeczne z wydanemi już zarządzeniami w tej sprawie. Upraszam o zmianę polecenia. Zaprowadzenie stanu oblężenia zepsuje rzecz całą na zawsze, unikam tego o ile tylko możliwe. Szczegóły w piśmie, które dziś do Waszej Cesarskiej Mości wysłałem.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya— Warszawa. 4 września 1861 roku,

godzina 11 minut 30 wieczór.

Zgadzam się na chwilowe wstrzymanie ogłoszenia stanu wojennego aż do otrzymania szczegółów przez kuryera, którego oczekuję.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 5 września 1861 roku.

Wczoraj kilku ludzi przez zemstę wybiło szyby w jednym magazynie. Winni aresztowani. Dla pomocy policyi wzmocniłem patrole.—Między stronnictwami kłótnie, niezgoda, mściwość.—Nie przeczę konieczności zaprowadzenia stanu wojennego, lecz proszę Waszej Cesarskiej Mości pozostawić mi wy-

bór chwili. Agitatorzy właśnie chcieliby nas wyprowadzić z cierpliwości.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya—Warszawa. 5 września 1861 roku,

godzina 8 minut 30 wieczór.

Rad jestem, żeś się nakoniec przekonał o konieczności zaprowadzenia stanu wojennego. Agitatorzy już za długo przyzwyczaili się do liczenia na naszą cierpliwość, którą przypisują naszej słabości i niedecyzyi. Jeszcze raz powtarzam, pora już temu koniec położyć.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 6 września 1861 roku,

godzina 2 minut 20 po północy.

Wzburzenie w Warszawie się wzmaga, przybierając charakter walki między skrajnem a umiarkowanem stronnictwem. Wczoraj i dzisiaj napadnięto publicznie niektóre osoby, nie współczujące z zaburzeniami. Dwa magazyny zostały zniszczone przez motłoch, który się rozproszył za nadejściem wojska. Bez szkody dla sprawy nie mogę zaraz ogłosić stanu wojennego. Oczekuję sposobnej chwili i tej nie opuszczę.

Hr. *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 7 września 1861 roku,

godzina 1 minut 20 po północy.

Tłum się zebrał przed zniszczonym magazynem, lecz nic nie robił. Zbiegowisko przez policyę z pomocą ludności rozpędzone. Innych zajść nie było. — Otrzymawszy odmowną odpowiedź co do proszonych pomocników, upraszam o polecenie przysłania do mojej dyspozycyi generałów: hr. Kreutza 2-go, Samsonowa 2-go, Launitza 2-go i ze świty

Waszej Cesarsciej Mości księcia Bagrationa. Potrzebuję koniecznie pomocników na wypadek zaprowadzenia stanu wojennego.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya— Warszawa. 7 września 1861 roku.

Staraj się skorzystać z walki stronnictw, nie dopuszczając jednak do swawoli. Zgadzam się na przysłanie Samsonowa 2-go, Launitza 2-go i księcia Bagrationa. Dla hrabiego Kreutza mam inne przeznaczenie.

Aleksander.

Warszawa— Liwadya. 8 września 1861 roku.

Mam szczęście złożyć Waszym Cesarskim Mościom najpoddańsze życzenia wspólnie z pierwszą armią, w dniu urodzin Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza.

W mieście spokojnie. Wybory zaczynają się w poniedziałek. Chodzą wieści, że mają podać adres.

Hr. *Lambert.*

Liwadya— Warszawa. 8 września 1861 roku, godz. 3 po poł.

Szczerze dziękuję za życzenia — W czasie mej podróży na Kaukaz, t. j. od 10 do 26 września, proszę tylko w nader ważnych i nagłych wypadkach telegrafować do Liwadyi z dodatkiem na depeszy: „Niezwłocznie wysłać Cesarzowi.“ O tem co się dzieje w Królestwie Polskiem, codziennie telegrafować do generał-adjutanta Milutina.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 8 września 1861 roku, godzina 11 minut 30 wieczór.

Stosownie do depeszy z dnia 24 sierpnia, po-

robiłem już niektóre zarządzenia, odpowiednio do rozkazów Waszej Cesarskiej Mości. Nie mogę liczyć na to, ażeby generał Liprandi sam prosił o uwolnienie od obowiązków. Z tego powodu czy nie raczyłby Wasza Cesarska Mość rozkazać, by, nie czekając podania, zamianować Liprandiego członkiem Rady wojennej i przyśpieszyć nomincyę Chrulewa. Dla mnie każda minuta droga.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 9 września 1861 roku, godz. 1 w nocy.

Nr 214. W mieście spokojnie. Wczoraj nabożeństwa nigdzie nie były przerwane. Upraszam o nadanie mi, w razie ogłoszenia stanu wojennego, prawa oddawania ludzi podejrzanych i notowanych jako niespokojnych do wojska na rachunek przyszłego poboru; gdyby zaś nie byli zdatni do wojska, do wysyłania ich na mieszkanie do gubernii oddalonych.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya—Warszawa. 9 września 1861 roku, godz. 6 wiecz.

Już zarządzono o Liprandim i Chrulewie. Zezwalam na postępowanie, jak żądasz w depeszy Nr 214. Oczekuję niecierpliwie wyniku wyborów.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 27 września 1861 roku, godzina 1 minut 30 po północy.

Wybory za sześć dni będą ukończone. Jutro pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. Mogą być zaburzenia. Proszę o rozkaz telegraficzny, ażeby policyantów utrzymujących porządek, uważać aż do

innego zarządzenia, na równi z szyldwachami wojskowymi.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya—Warszawa. 28 września 1861 roku, godz. 5 wiecz.

Dziś o godzinie 1 wróciłem szczęśliwie z Kaukazu.—Policyantów w czasie pełnienia służby uważać jako wojskowych szyldwachów. List z dnia 22 (4) października otrzymałem. Zarządzenia Twoje pochwalam.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 28 września 1861 roku.

Eksportacya zwłok arcybiskupa Fijałkowskiego odbyła się z niesłychaną uroczystością, napływ ludu niezmierny, w pochodzie niesiono liczne chorągwie i godła podburzające. Lecz wszystko odbyło się w ciszy i w największym porządku.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya—Warszawa. 29 września 1861 roku, godz. 8 wiecz.

Nader jestem niezadowolony z pojawienia się przy pogrzebie Fijałkowskiego chorągwi i godeł rewolucyjnych, i z tego, że to dopuszczono. Jeśli wybory w Warszawie ukończone, nie zwlekając ogłosić stan wojenny. Tak samo postępować i na prowincyi przy powtórzeniu podobnych demonstracyi.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 30 września 1851 roku, godzina 2 po północy.

Chodzą niepokojące pogłoski o Petersburgu. Stan umysłów bardzo niedobry. Wkrótce stan wojenny okaże się nieunikniony.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 1 października 1861 roku, godzina 2 minut 15 po południu.

Wskutek zarządzonych środków zjazd horodelski się nie odbył. W Warszawie położenie nie zmienione. Będę działał stosownie do poleceń Waszej Cesarskiej Mości.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 2 października 1861 roku.

Uprzedzając ponowne rewolucyjne objawy z powodu zapowiedzianych na jutro nabożeństw za Kościuszkę, uznałem za konieczne niezwłoczne ogłoszenie stanu wojennego w całem Królestwie Polskiem. W mieście wojska dzisiejszej nocy zajmą naznaczone posterunki.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya—Warszawa. 2 października 1861 roku, godzina 11 minut 30 rano.

Daj Boże, aby ogłoszenie w Królestwie Polskiem stanu wojennego wywarło skutek dawno oczekiwany.—Jak Twoje zdrowie? Niech Bóg Cię wspomaga.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 3 października 1861 roku, godzina 2 minut 20 po północy.

Wczorajszy dzień przeszedł spokojnie. Wysłałem kuryera do Waszej Cesarskiej Mości. Na dzisiaj zapowiedziano manifestacye w rocznicę śmierci Kościuszki. Zarządzam środki ku przeszkodzeniu im. Zdrowie moje w złym stanie.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 4 października 1861 roku, godzina 4 m. 15 po północy.

Wczoraj trzy kościoły, w których zebrano się na zapowiedziane nabożeństwa i śpiewano rewolu-

cyjne hymny, otoczono wojskiem. Z jednego publiczność uszła skrytem przejściem, w dwóch drugich upornie pozostała do późnej nocy. W tej chwili odbywa się w nich aresztowanie wszystkich mężczyzn. Wzburzenie silne; zbiegowiska uliczne natychmiast rozpędzają patrole i konne rozjazdy.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 5 października 1861 roku, godzina 3 po północy.

Z 1,600 osób aresztowanych w kościołach, uwolniono większą część starych i małoletnich. Aresztowania wywołały w duchowieństwie silne oburzenie, chcą zamknąć w Warszawie kościoły.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 5 października 1861 roku, godz. 9 minut 30 r. — odebrano g. 7 m. 35 w.

Generał-adjutant Gerstenzweig zastrzelił się o godzinie 7 rano. Umiera. Choroba moja tak się wzmaga, że za siebie nie ręczę. Na miłość Boga, proszę przysłać zastępców na nasze miejsca.

Hrabia *Lambert.*

Liwada—Warszawa. 6 października 1861 roku, godzina 1 po południu.

Nadzwyczaj boleję nad samobójstwem Gerstenzweiga i Twoją chorobą. Myślę posłać do Warszawy generał adjutanta Lüdersa. Zawezwałem go tutaj z Odesy.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 6 października 1861 roku, godzina 2 po północy.

Dzień przeszedł spokojnie. Kościoły zostały przez duchowieństwo zamknięte. O ile mogę, przeciwdziałam wpływowi duchowieństwa. Generał-adjutant Gerstenzweig jeszcze żyje, ale niema żadnej nadziei ocalenia go. Zastępuje go generał-adjutant Merchelewicz.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 7 października 1861 roku, godzina 2 m. 30 po północy.

Dzień przeszedł szczęśliwie. M. A. Gerstenzweigowi nieco lepiej. Wczoraj wysłałem kuryera do Waszej Cesarskiej Mości.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 8 października 1861 roku, godzina 2 m. 30 po półn.

W mieście spokojnie; kościoły zamknięte. Nie wiem jak minie dzień dzisiejszy.

Hrabia *Lambert.*

Warszawa—Liwadya. 9 października 1861 roku, godzina 2 m. 35 po półn.

Surowe zarządzenia widocznie skutek odnoszą, dzień dzisiejszy przeszedł zupełnie spokojnie mimo zamknięcia kościołów przez duchowieństwo. Porządek policyjny powraca. Dzisiejszej nocy poaresztują wielu głównych agitatorów. Będę dalej szedł w tym kierunku.

Hrabia *Lambert.*

Liwadya—Warszawa. 9 października 1861 roku, w południe.

Chwała Bogu, że stan wojenny zaczyna skutek odnosić, jak tego się spodziewałem. Generał-adjutantowi Lüdersowi dałem osobiście polecenia. Za 6 dni będzie gotów do odjazdu. Gerstenzweig czy żyje i jak Twoje zdrowie? Jutro wyjeżdżamy morzem do Mikołajowa.

Aleksander.

Warszawa—Liwadya. 10 października 1861 roku, godzina 12 m. 5 po północy.

W mieście spokój zupełny. Kościoły zamknięte. Aresztowano dziesięciu agitatorów. Gerstenzweig jeszcze żyje, lecz strasznie cierpi. Zdrowie moje coraz gorsze

Hrabia *Lambert.*

KSIĘGA V.

Powrót Suchozaneta. — Mianowanie namiestnikiem generał-adjutanta Lüdersa.—Uwięzienie i wygnanie księdza administratora Białobrzeskiego. — Mianowanie księdza Felińskiego arcybiskupem warszawskim.—Organizacye „białych“ i „czerwonych“. Przyjazd nowego arcybiskupa — Otwarcie kościołów.—Rewolucyjne komitety. — Dąbrowski.—Tegoż plan powstania.—Chmieliński. — Wykrycie spisku między oficerami czwartego batalionu strzelców celnych. — Sąd i egzekucya wyroków śmierci—Strzał do Lüdersa.—Mianowanie wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza namiestnikiem Królestwa Polskiego. — Spisek.—Strzał do wielk. księcia.—Od 24 października 1861 do 3 lipca 1862 roku.

Czasowo, *ad interim*, równie jak po raz pierwszy, na opustoszały tron namiestniczy w Królestwie Polskiem, powołano ponownie tegoż samego przestarzałego i niepiśmiennego generała Suchozaneta, który przez cały czas rządów hrabiego Lamberta bawił w Dreznie. Tym razem atoli, sądząc z niektórych danych, zdaje się, że jadąc do Warszawy, nie sądził wcale, że tam się udaje tylko *ad interim*.

Przyjmując dnia 24 października o godzinie pół do dwunastej w południe, naczelników władz i

urzędników [1]), Suchozanet, wyszedłszy z brzękiem i szumem wlokącego się po posadzce pałasza i kołysząc się na drżących i uginających się nogach, był w nader wesołem usposobieniu, kręcił się i podskakiwał jak młodzieniec, przytem uraczył zebranych całym potokiem górnolotnych frazesów.

Przedewszystkiem zwrócił się do generała Potapowa, (który zarządzał policyą warszawską), ze słowami: „zaklinam pana, byś przywrócił znaczenie policyi, zmusił ją do działania bez względu na własne korzyści i do szanowania swej godności. Szacunek doprowadza najprędzej do posłuszeństwa i ścisłego stosowania się do wydanych zarządzeń. Wierzaj mi pan, że tak jest, jak mówię“. Poczem, stanąwszy na środku sali, głośno wypowiedział: „Pozwólcie panowie, że zacznę od podziękowania wam wszystkim, coście spełnili swe obowiązki w te ciężkie czasy. Mam nadzieję, że i na przyszłość znajdę w was tę samą gorliwość, wierność i niezmordowaną czynność. Ogłoszony w Królestwie Polskiem stan oblężenia... przepraszam, chciałem powiedzieć, stan wojenny, jako środek ostatni dla przywrócenia porządku, musi być wykonany z największą ścisłością, bez pobłażania. Będzie on trwał tak długo, aż zapanuje zupełny spokój. Pamiętajcież, że podczas trwania tego stanu, powinniście wypełniać swe obowiązki ściśle, dokładnie i bez wybiegów. Najmniejszą pobłażliwość, opieszałość lub niedokładność, będę uważał za zbrodnię, za zdradę wobec Rosyi [1]).

---

[1]) Datę tę bierzemy z dziennika pułkownika Krywonosowa, gdyż, rzecz dziwna, *Dziennik Warszawski* ani słowem nie wspomina ani o przybyciu do Warszawy nowego namiestnika, ani o objęciu przez tegoż urzędowania. — Dnia 24 października hrabia Lambert był jeszcze w Warszawie.

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

I rzeczywiście, chciał okazać pewną srogość. Nie zaprzestał aresztowań, rozpoczętych przy Lambercie; ściągał nałożone na kupców kary pieniężne [1]); rozesłał po ulicach Warszawy mnóstwo pieszych i konnych patroli. Nadto wszelkiemi sposobami starał się wykazywać swą rzeźkość i czynność. Przechadzał się po Saskim ogrodzie, mimo już zupełnie chłodnej pory roku, w jednym tylko surducie mundurowym [2]) W czasie przeglądów uganiał na koniu po placu, jak jaki młody oficerek. A gdy generał Kierbedź, budujący podówczas most żelazny na Wiśle, wyjeżdżał do Petersburga, przy pożegnaniu prosił go Suchozanet o oświadczenie cesarzowi, że chociaż jest stary, lecz czuje się tak silny i rzeźki, że starczy mu sił na jakie dziesięć, a przy spokoju, to i na dwadzieścia lat dla służenia wierze i cesarzowi [3]). Gdy w czasie podniesienia przy Mszy świętej w cerkwi na Zamku, ksiądz wygłaszał słowa: „Biahoczestiwiejszaho, samodierżawniejszaho“ [4]) i t.d., Suchozanet regularnie padał na kolana, poczem zaledwie mógł się podnieść o własnych siłach.

Wszystko to wszakże nie posłużyło do niczego. Osobistość, mającą zastąpić hr. Lamberta, odszukano już przedtem, lecz tak cicho i tajemniczo, że nikt tego ani się domyślał. Był nią zapomniany i spokojnie dożywający wieku w swej wili pod Odesą dawny naczelny wódz krymskiej armii, generał-adjutant Lüders [5]).

---

[1]) Kar było nałożonych około 70,000, zdołano atoli ściągnąć wszystkiego tylko 4.000 rubli.

[2]) Kazaczkowski wprawdzie zapewniał, że pod surdutem nosił lisie futerko i dwa wełniane kaftaniki.

[3]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

[4]) Modlitwa za cara.

[5]) Widocznie autor nie znał telegraficznej korespondencyi cesarza z namiestnikiem, poniżej, w dodatkach do

Przeszłość Lüdersa nie bardzo piękna, nawet w Rosyi, gdzie rzadko który generał mógł się pochwalić przeszłością bez zmazy [1]). Lüders początkowo najzwyklejszym sposobem przebijał się przez niższe stopnie w armii, na Kaukazie, oczekując upragnionego dowództwa pułku. W randze majora pozostawał lat szesnaście, a gdy nakoniec doczekał się awansu i dowództwa pułku, zaraz takich się dopuścił nadużyć, że został zdegradowany na prostego żołnierza. W formularzu służbowym niema o tem ani wzmianki, lecz w Rosyi formularze te po kilka razy się wyczyszczają i korygują, to też i formularz Lüdersa został następnie wyczyszczony, sam wszakże fakt pozostał w pamięci jego współtowarzyszów. Inni powiadają, że rzecz się skończyła na odebraniu pułku i nastraszeniu degradacyą, której atoli nie wykonano. Za jakieś wyszczególnienie się w bitwie, został przywrócony do dawnej rangi, a zaszła wkrótce węgierska kampania zasunęła gęstą zasłonę na przeszłość pułkownika. Lüders zasłynął jako dzielny generał bojowy. Przytaczano nawet jakiś wzorowy marsz jego w Siedmiogrodzie, gdzie z oddziałem o sile 26 batalionów piechoty, 16 szwadronów i 18 sotni kozaków przy 56 działach, zwycięzko się potykał z węgierską armią, mającą 42,000 walczących ze 112 armatami pod wodzą generała Bema. W akademii wojennej profesorowie przez lat kilka

---

księgi VII, przywiedzionej: z niej by się dowiedział, że generał Lüders nie był tak zapomnianą osobistością, gdy był przeznaczony na naczelnego wodza w razie konfliktu z Europą, oraz, że generał Suchozanet od razu został zawiadomiony o zamianowaniu Lüdersa namiestnikiem. Wogóle autor jest uprzedzony do generała Suchozaneta i nie jest w stanie zdania swego usprawiedliwić.

(Przypisek tłómacza).

[1]) Przynajmniej tak było za czasów cesarza Mikołaja.

wykładali uczniom przebieg tych walk, jako wzorowych.

Około 1850 roku Lüders z dowódcy dywizyi został mianowany dowódcą piątego korpusu piechoty, konsystującego w Noworosyi, a gdy w początkach 1856 roku książę Gorczakow został zamianowany namiestnikiem Królestwa Polskiego, Lüdersowi poruczono naczelne dowództwo krymskiej armii ze wskazówką zakończenia kampanii i zawarcia pokoju.

W ciągu komenderowania dywizyą, korpusem, a w końcu armią, jedno z głównych zadań Lüdersa stanowiło... podbijanie serc niewieścich, o ile tylko sił i sposobności ku temu starczyły. Któż z owych czasów nie pamięta awanturek generała z panią Papudo w Odesie i dowcipie ks. Mężykowa z tego powodu. Następnie z pułkownikową Dick w Izmaile, której mąż wkrótce awansował na generała. Nakoniec awanturki z majorową Woskobojnikową w Bachczysaraju, mąż której nie życzył sobie żadnych awansów i odznaczeń, i za taką służbową naiwność został wysłany na lustracyę szpitali w Krymie z poleceniem wypytywania się o potrzebach rannych żołnierzy, które miał własnoręcznie wpisywać do osobnej, na ten cel wręczonej mu księgi. A rannych żołnierzy w samym Symferopolu było podówczas 12,000, w Perekopie 4,000 i jeszcze, i jeszcze. Powiadają, że cień majora dotychczas błądzi po Krymie i wciąż zapisuje i zapisuje [1]), jak

---

[1]) Generał-porucznik Czerwiński, dyżurny generał krymskiej armii, wynalazca tej komenderówki dla majora Woskobojnikowa na rozkaz swego przełożonego, następnie wobec sztabowych oficerów, między którymi był i autor tego dzieła, krytykował i uskarżał się, że mogą się wydawać podobne polecenia i instrukcye. „A nie wykonaj, to cię

latający Holender, od kilku wieków pokutujący na morzach północnych. .

Zresztą bezstronni świadkowie stwierdzają, że swe ostatnie bachczysarajskie tryumfy Lüders dzielił ze swymi adjutantami, nawet nie bardzo się gniewając o to.

Nic by to wszakże nie znaczyło, bo któż bez winy przed Panem, *kto Bohu nie grieszen, babuszkie nie wnuk*, gdyby jednocześnie stary generał nie przypomniał swych pułkownikowskich nawyknień, gdyby się nie porozumiewał z intendenturą i Żydami dostawcami, którzy w końcu dopuszczali się rzeczy nie do uwierzenia.

Pewien Żyd, dostawca, w jakiejś niemieckiej kolonii niedaleko od Bachczysaraju, na rynku, publicznie, kazał osiec oficera, który nie chciał przyjąć zepsutego siana. Wdrożono dochodzenie, które wypadło na niekorzyść Zyda. Inni wszakże Żydzi, mający bezpośrednie stosunki z głównodowodzącym, umieli przemówić za swym współwyznawcą. Naznaczono inną komisyę śledczą i oskarżony został uniewinniony [1]).

---

przepędzą i zawsze wynajdą takiego dyżurnego generała, który zastosuje się do woli głównodowodzącego. Myślałem, myślałem, walczyłem długo z sobą i nakoniec napisałem żądaną instrukcyę! Kijem nie zwalczysz obucha"! (właściwie pletnią—*pletiu obucha nie pereszybiosz*).

[1]) Dla rozproszenia jakiejkolwiek wątpliwości co do przytoczonego tak dziwnego wypadku, autor musi oświadczyć, że jako członek pierwszej śledczej komisyi, osobiście był przytomnym przy przeprowadzaniu dochodzenia i w charakterze tłómacza rozpytywał mnóstwo kolonistów Niemców, ich wójta; ci zeznali pod przysięgą, że widzieli, „jak Żyd, dostawca, kazał schwycić innym Żydom oficera i ociwczyć". Wypytywania były tak szczegółowe, że obliczano ilość plag. Druga komisya spisała protokularnie, „że tylko jeden włościanin bardzo podejrzanej prawdomówności, miał widzieć, jakoby bito rózgami jakiegoś oficera.

Oprócz stosunków z liwerantami Żydami, były i inne jeszcze, wcale nieodpowiednie rzeczy. Naprzykład głównodowodzący uznał, że ilość koni, jakie miał prawo utrzymywać, to jest 60 koni, była niewystarczająca i pobierał furaż na 100 koni, ma się rozumieć pieniędzmi, co przy ówczesnych cenach w Krymie wynosiło miesięcznie więcej, niż cała roczna płaca generała [1]): Mało to jeszcze, wszystkiego ani spamiętać, ani opowiedzieć się nie da.

Wszystkie te fakta utonęłyby w rzece zapomnienia, jak tonie w Rosyi miliony podobnych zajść i wydarzeń, gdyby zupełnie niespodzianie nie rozpoczęto znanego na cały świat procesu przeciw krymskiej intendenturze. Rozpoczęło się zaś z takiego powodu, że generał-intendent Sattler odmówił dalszych pożyczek pewnej wysoko położonej osobie, która przysyłała do niego po pieniądze, jak do własnej kasy. Dochodzenia się rozpoczęły i doprowadziły do wykrycia nadużyć naczelnego wodza. Cesarz dowiedział się wówczas o Lüdersie wiele rzeczy, o którychby inaczej nigdy nie usłyszał.

Na 7 września 1856 roku, na dzień koronacyi, dostali zaproszenie do Moskwy obaj ostatni głównodowodzący: książę Gorczakow i Lüders. Dwór i generalicya oczekiwali przybycia cesarza na dziedzińcu w Piotrowskim zamku. Cesarz wysiadłszy z powozu, zbliżył się do Lüdersa, odebrał od niego raport służbowy i nie odezwawszy się słowa natychmiast zwrócił się do księcia Gorczakowa, wziął go pod rękę i wszedł z nim razem do pałacu. Lüders zachorował ze zmartwienia, zapewniał wszystkich

---

[1]) Gorczakow pobierał furaż tylko na osiem koni, które rzeczywiście stały na stajni i zupełnie wystarczały nawet w najuciążliwszych chwilach kampanii—których Lüders już wcale nie zaznał.

znajomych, że pluje krwią i zaraz wniósł na ręce ministra wojny, niedawnego swego podwładnego, prośbę o udzielenie mu urlopu za granicę do wód, dla poprawienia nadwątlonego zdrowia.—Ma się rozumieć, że bez trudności uzyskał, czego żądał [1]).

Z tą chwilą bohater nasz zniknął wszystkim z oczu i dożywał w dobrze zasłużonym stanie spoczynku dni swoich na brzegach Czarnego morza, coraz bardziej siwiejąc i nie mając już żadnej nadziei na jakąkolwiek zmianę stosunków. Nawet zaprzestał zwykłych swych zalecanek do ładnych kobiet. Pułkownik Krywonosow opowiada wszakże, że już przedtem proponowano Lüdersowi wstąpienie napowrót do czynnej służby i że wielki książę Konstanty spotkawszy go za granicą, był dlań nadzwyczaj uprzejmy.

Naraz, wkrótce po opisanem zajściu Gerstenzweiga z Lambertem, przybił do brzegu parochód cesarski, przywożąc staremu weteranowi gabinetowy rozkaz niezwłocznego przybycia do Nikołajewa, gdzie bawił podówczas cesarz.

Dnia 9 (21) października, a więc w pięć dni po aresztowaniach kościelnych, cesarz podpisał w Liwadyi ukaz, mocą którego generał-adjutant Lüders został mianowany pełniącym obowiązki namiestnika Królestwa Polskiego. W kilka dni potem wyjechał na miejsce swego nowego przeznaczenia i dnia 5 listopada o godzinie pierwszej po północy stanął w Warszawie, razem z szefem głównego sztabu pierwszej armii, generał-porucznikiem Kryżanowskim i pułkownikiem generalnego sztabu Czernickim, którzy z polecenia Suchozaneta wyjechali na spotkanie

---

[1]) Opisanie zarządzeń co do zaopatrzenia krymskiej armii żywnością i amunicyą w roku 1854 — 1856. Lipsk u Drugulina, strona 391—392.

nowego namiestnika do Żytomierza, w celu przedwstępnego zapoznania go ze stanem główniejszych spraw w kraju. — Wysyłając Czernickiego do Żytomierza, generał Kryżanowski dał taką ustną instrukcyę: „przedewszystkiem opowiadaj Lüdersowi o pięknych Warszawiankach, a wszystko będzie dobrze [1]).

Dnia 5 listopada umarł Gerstenzweig, 8 był pogrzeb. Trumnę, obitą pąsowym aksamitem, wynieśli z pałacu Brylowskiego generałowie Giecewicz i Pianiutyn, oraz sześciu podoficerów. Za trumną postępowało trzech pastorów, żona z córką i żona generała Niepokojczyckiego. Na Saskim placu stał batalion piechoty i cztery działa dla oddania pośmiertnych honorów. Wszystkich zwróciło uwagę, że gdy generalicya wyszła z bramy pałacu, Suchozanet zawołał, wskazując na Lüdersa: „konia głównodowodzącemu".—(Dziennik Krywonosowa).

Taki obrót sprawy i nadspodziewanie prędki przyjazd Lüdersa do Warszawy, były spowodowane nieporozumieniem, jakie zaszło między Wielopolskim a Suchozanetem od pierwszej chwili ich spotkania się w Warszawie. Bóg w tym wypadku obdarzył wzrokiem ślepego i ten dojrzał, co bystroocy prześlepili, że Wielopolski to „fałszywy krok ze strony rządu, który wszelako dałby się jeszcze naprawić". (Księga IV).

Pod naciskiem z Petersburga, doprowadzono do jakiegokolwiek znośnego pożycia, ale iskry, sztucznie i przymusowo przytłumionego ognia, tlały pod popiołem i najlżejszy powód wystarczał do ponownego wybuchu. Powód taki znalazł się natychmiast po ponownym powrocie Suchozaneta do Warszawy.

Nazajutrz, po opisanem przez nas przyjęciu

---

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

władz na Zamku z dnia 26 października 1861 roku, Margrabia ogłosił w dodatku do numeru 23 *Dziennika Powszechnego* projekt oczynszowania włościan i projekt cesarskiego ukazu w tej sprawie z wymienieniem imienia cesarza. W Europie rzecz to zwyczajna, lecz w Rosyi można z tego zrobić Bóg wie jaką zbrodnię stanu. Suchozanet rozkazał osadzić na głównym odwachu Sobieszczańskiego, naczelnego redaktora *Dziennika Powszechnego*, a z Wielopolskim nadzwyczaj ostro się przemówił, przyczem, gdy ten nieco głos podwyższył, Suchozanet zrobił uwagę: „Pan zapominasz, że mnie sam cesarz naznaczył":— „Mnie zaś prosił":—odparł spokojnie Wielopolski [1]). Po tem zajściu obydwaj wysłali kuryerów do cesarza, Suchozanet generała Potapowa, Wielopolski zaś swego syna Zygmunta. Podorożne na prawo użycia koni pocztowych wydawał w Zamku adjutant namiestnika Jefimowicz. Ten nic nie wiedząc o zajściu namiestnika z Wielopolskim, wystawił podorożnę Zygmuntowi Wielopolskiemu na pierwsze zażądanie. Wieść o wysłaniu Zygmunta do Petersburga w jednej chwili rozbiegła się po Warszawie. Potapow pośpieszył do Suchozaneta, twierdząc: „że cała sprawa będzie na nic, jeśli go Zygmunt uprzedzi w Petersburgu". — „A któż dał podorożne"? —zakrzyczał Suchozanet.—„Wydali ją tutaj, w Zamku, w sposób najzwyklejszy" —odrzekł Potapow.—„Zawołać Jefimowicza"! I Jefimowiczowi, Bóg wie za co, dostała się porządna wymówka. Dla zapobieżenia zaś wyjazdowi Zygmunta, wysłano na pocztę sekretny rozkaz, by do pewnej oznaczonej godziny ni-

---

[1]) Wielopolski przez cały czas ośmiodniowego aresztu Sobieszczańskiego, najtroskliwiej dbał o jego wygody, posyłał mu jedzenie. ze swego stołu i t. d.—(Wiadomość z redakcyi Dziennika)

komu nie dostarczono koni. To na chwilę wstrzymało Zygmunta Wielopolskiego. Potapow wyjechał dnia 29 października rano, Wielopolski po południu [1]). Wkrótce potem zawezwano samego Margrabiego do Petersburga i ten wyjechał dnia 3 listopada, a 7 był już w stolicy [2]).

Zjawienie się Margrabiego wśród dworaków i nadwornych błaznów wywarło wstrząsające wrażenie. Wszyscy z ciekawością i zadziwieniem, połączonem z pewnym rodzajem trwogi, spoglądali na postać magnata z jakichś małoznanych czasów i światów, który zachowywał się z nadzwyczajną godnością, innem okiem na wszystko patrzał, innemi słowy przemawiał. Nie mało mówiono i o tem, jak wkrótce potem w czasie wielkiego przyjęcia u dworu na Nowy rok 1862, Margrabia stanął razem z członkami ciała dyplomatycznego, jakby czyjś poseł lub delegat. Opowiadano także, że raz w sali audyencyonalnej Margrabia usiadł, a na zrobioną mu uwagę, że „tu siadać nie wolno", odpowiedział: „być może, że wam nie wolno, gdy jesteście u swego cesarza, ale ja jestem u swego króla".

Ta magnacka buta, pochodząca z zasady przez Margrabiego przyjętej, by nikomu nie ustępować i przed nikim się nie uniżać [3]), była tolerowana także wskutek wyrozumowania, że: „jeżeli ten człowiek był potrzebny rządowi przed ośmiu miesiącami, gdy jeszcze nie zaszło nic nadzwyczajnego, żadnego

---

[1]) Zajście to zupełnie inaczej się przedstawia na podstawie depesz namiestnika do cesarza. — Patrz dodatek do księgi piątej. *Tłómacz.*

[2]) Droga żelazna między Petersburgiem a Warszawą podówczas jeszcze nie była wykończona.

[3]) W *lettre d'un gentilhomme polonais* powiada: „jak skoro przestaniemy grać rolę niewolników, staniemy się współobywatelami naszych władców".

zagmatwania sprawy, a były tylko strachy, stworzone w wyobraźni rozluźnionej władzy, to o ileż on potrzebniejszy w chwili obecnej, gdy w samej rzeczy zaszły już wypadki nie do uwierzenia, sprawy się splątały w nierozwikłalne węzły; gdy w Warszawie i kilku innych miastach kościoły pozamykane[1]); gdy generał-gubernator odebrał sobie życie; namiestnik poprostu uciekł; w wielu miejscowościach wójtowie gmin nie ogłosili nawet ludności o zaprowadzeniu stanu wojennego; włościanie zwolnieni z pańszczyzny byli przekonani, że zostali uwolnieni od wszelkich powinności nietylko wobec obywateli, lecz i wobec rządu; gdy w jednym powiecie hrubieszowskim 135 wsi odmówiło wszelkiego posłuszeństwa, tak, że musiano wysyłać tam wojsko dla przywrócenia porządku; gdy białych prawie nigdzie nie spotkać, gdy ich potrzeba formalnie wytwarzać i łowić; gdy cała Europa wrogo dla Rosyi usposobiona; gdy nowe królestwo Włoskie zezwala na urządzenie polskiej szkoły wojskowej w Genui; gdy na emigracyi powstają komitety za komitetami, tworzą się komisye jedna za drugą[2]): czyż czas teraz na słuchanie nieuzasadnio-

---

[1]) W Łęczycy zamknięto dwa kościoły, w Ratowie, w gubernii Płockiej, także. O wielu wypadkach tego rodzaju władze miejscowe wcale nie donosiły.

[2]) W połowie 1861 r. zorganizowała się pod opieką generała Dembińskiego w Paryżu komisya potrzeb emigracyjnych. Prezesem był Zygmunt Gordaszewski, członkami: Stawiarski i ksiądz Rożański, sekretarzem Smagłowski, kasyerem Smolikowski. Komisya ta chciała skupić w swym ręku wszystkie fundusze, zbierane na cele patryotyczne, lecz zaszły nieporozumienia. Dembiński z patrona stał się wrogiem i zawiązał współzawodniczące stowarzyszenie. To paraliżowało składki i komisya się rozwiązała w grudniu 1861 roku. Zjawił się następnie komitet tymczasowy zjednoczonej emigracyi w następującym składzie: Leon Czechowski, prezes; Rufin Piotrowski, kasyer; Leon Mazurkiewicz, sekretarz; Julian

nych oskarżeń Suchozaneta przeciw Polakom, potrzebnym rządowi". Margrabia miał racyę. Potapow nie potrafił nawet zwrócić na siebie uwagi wyższych sfer rządowych, nie mówiono wcale o nim i nikt nie był ciekawy z czem, z jakiego powodu i po co przyjechał do północnej stolicy. Wszyscy byli zajęci jednym Wielopolskim. Ten był u wszystkich w myśli i na języku; wszystkie wyższe salony stolicy stały dlań otworem; po jego stronie stanęła cała arystokratyczna inteligencya Petersburga, z bardzo nielicznemi wyjątkami. Cesarz codziennie wzywał go do siebie. Raz przedstawił go cesarzowej i pozostawił ich samych. Margrabia podczas krótkiej rozmowy potrafił zacytować zręcznię i z efektem wiersz jakiegoś poety niemieckiego i tem cesarzową zjednał dla siebie. (*Lisicki* pisze, że cesarzowa nieraz tę chwilę rada wspominała—tom II, str. 267).

Wszędzie gdzie się zdarzyło, szczególniej zaś w rozmowach swych z cesarzem, Wielopolski dowodził, że w tak trudnych stosunkach, na naczelne stanowisko potrzebny był ktoś młodszy i zdolniejszy, niż Suchozanet. Wkrótce też telegraficznie polecono Lüdersowi, ażeby przyśpieszył swój wyjazd. To też widzieliśmy, jak się prędko wybrał i stanął w Warszawie w dwa tygodnie po swem zamianowaniu.

Michałowski, Aleksander Waligórski, Ignacy Bohdanowicz i Walenty Lewandowski, członkowie. Wydano kilka odezw ze skargami na brak wiary i ufności. W początkach 1862 r. komitet zjednoczonej emigracyi wszedł w stosunki z centralizacyą Towarzystwa Demokratycznego w Londynie, potrafił zebrać około 19,000 franków i podzielił emigracyę polską, przebywającą w Paryżu, na dziesiątki. W końcu lutego 1862 roku utworzył się paryski centralny komitet, który w pierwszych chwilach niósł wielką pomoc powstaniu. Na początku marca tegoż roku przyjęto na członka ks. Władysława Czartoryskiego z wkładką 15,000 fr. i zaraz potem wyprawiono do Kongresówki 25 emisaryuszy, umiejących po rosyjsku. (Fałszywie mu przedstawiono (*Przyp. tłómacza*).

Nazajutrz, dnia 6 listopada, o pół do 12-ej odbyło się na Zamku, zwykłe w takich razach, przyjęcie władz, które trwało zaledwie 10 minut. Lüders wypowiedział kilka zdań urywkowych, że: „cesarz życzy, aby wszyscy dołożyli wszelkich możliwych starań, celem uspokojenia kraju; że dotychczasowe działania nie były dosyć energiczne" i t. p. Pożegnawszy zgromadzonych, Lüders podał Suchozanetowi rękę, nie zwróciwszy się ku niemu [1]).

Czy to się stało przypadkowo, czy też nowy namiestnik chciał w tej chwili dać uczuć staremu, oddalającemu się w zapomnienie wieczności, swemu dawnemu przełożonemu, te chwile, gdy będąc ministrem wojny, tak gorliwie starał się zbadać sekretne stosunki, zachodzące między naczelnym wodzem armii krymskiej, a Żydami dostawcami?...

Przez następnych dni cztery, od 10 do 13 listopada odbywały się na placu broni przeglądy wojsk załogi warszawskiej. Pierwszego dnia, podjechawszy przed front pierwszego batalionu, Lüders powiedział: „Chłopcy! Najjaśniejszy pan, mianując mnie dowódcą pierwszej armii, rozkazał, abym wam podziękował za ciężką i gorliwą służbę".

Dnia następnego szczególnie dobrze się przedstawiła pierwsza kompania Schlüsselburskiego pułku piechoty. Suchozanet, prezentujący wojska nowemu namiestnikowi, do łez był poruszony, Lüders zaś mu powiedział: „Przedstaw pan cesarzowi, w jakim stanie wojska odbieram".

Mieszkańcy miasta Warszawy przypatrywali się uważnie nowej osobistości i starali się odgadnąć swoją przyszłość z twarzy przystojnego i rzeźkiego jeszcze weterana, ozdobionej dużemi, siwemi wąsami. Próżne trudy, gdyż rysy te, również jak sam człowiek, nigdy nie mówiły wiele. Twarz była zuchowata i nic po nad to.

---

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

Przedewszystkiem zauważono oryginalne spacery po mieście, piechotą, bez żadnego otoczenia; zwiedzanie magazynów, w których kupując różne drobiazgi, namiestnik targował się jak zwykły śmiertelnik; wreszcie jeżdżenie po mieście w odkrytym powozie, bez eskorty, co stanowiło silny kontrast z wyjazdami Suchozanetá, którego otaczało z początku pół sotni a w końcu cała sotnia kubańskich kozaków.

Mówiono także o dziwnem zachowywaniu się namiestnika w teatrze, na przedstawieniach baletów i oper; o częstych wycieczkach jego za kulisy, właściwie zaś o różnych zajściach za kulisami, o rozkosznych sam na sam rozmowach z pięknemi aktorkami, przyczem zwykł troskliwie oglądać ich ręce i porównywać ze swojemi, rzeczywiście pięknemi i nadzwyczaj starannie utrzymanemi.

Mówiono o Rembielińskiej, że znalazła dostęp i do tego namiestnika, mieszkała po dawnemu na Zamku i mięszała się do różnych spraw. Mianowicie zaś zdołała uwolnić niejakiego Lubelskiego, który dnia 27 października w katedrze św. Jana dyrygował śpiewami hymnów narodowych, oraz Wurzelbluma i Koczarowskiego, skazanych na prostych żołnierzy za branie udziału w różnych ulicznych nieporządkach. Mówiono, że za to otrzymała od uwolnionych 6,000 złp., tytułem zwrotu różnych wydatków [1]).

Że zaś nowa miotła zwykle czysto miecie, oczekiwano też od nowego namiestnika pewnej surowości. Jakoż zaraz po przyjeździe swym do Warszawy, zarządził niektóre zaostrzenia wydanych przepisów. Dnia 7 listopada uwięziono: kanonika Siekluckiego, jako najbardziej skompromitowanego w zamknięciu kościołów; fotografa Bayera; starsze-

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

go rabina Mayzelsa, za polecenie zamknięcia synagogi zaraz po zamknięciu kościołów, oraz wybitnych żydowskich kaznodziei: Jastrowa, Kramsztyka i Feinkinda.—Feinkinda uwolnił wkrótce komendant placu Bebutow, który, jak mówiono, powierzał mu swe fundusze do obrotów finansowych.

Wzbroniono, i rzeczywiście ukrócono sprzedaż hymnów i obrazków rewolucyjnych; chłopaki, którzy się tem dotychczas zajmowali, uskarżali się przed oficerami, że „teraz inne czasy, towar nie odchodzi". Jednakowoż pokryjomej sprzedaży powstrzymać nie zdołano.

W końcu namiestnik zapytał kapitułę, jakiem prawem i na jakich podstawach zarządziła zamknięcie kościołów?

Kapituła odpowiedziała w sposób tak zuchwały, że namiestnik nie uznał za stosowne wdawać się w dalsze rokowania i nakazał uwięzić administratora dyecezyi, jako zwierzchnika kościoła, bez którego przyzwolenia nietylko zamknięcie kościołów, ale nawet najmniejsze zarządzenie katolickiego duchowieństwa nastąpić nie mogło. Wdrożono dochodzenie. Na zapytanie śledczej komisyi „z jakich powodów zamknięto kościoły św. Jana i Bernardynów?" zalękniony administrator odpowiedział: „Kazałem je zamknąć także i dlatego, że nie widziałem innego środka dla przerwania zabronionych śpiewów i tym sposobem odpowiadałem woli rządu, wzbraniającego Polakom śpiewania narodowych hymnów".—Na zapytanie zaś „dlaczego następnie zamknięto wszystkie inne kościoły?" prałat odpowiedział: „W myśl ustaw kanonicznych, kościół katedralny jest matką wszystkich innych kościołów, które są jego córami. Otóż gdy cierpi macierz i córy winny podzielać jej cierpienia". Wszystkie odpowiedzi prałata, na osiem zadanych mu pytań przy pierwszej indagacyi dnia 16listopada, mają ten sam, przeistaczający doniosłość zajścia, charakter.

Następnych dni od 17 do 20 listopada ksiądz Białobrzeski był cierpiący i nie mógł być badany. Dnia 21 listopada komisya śledcza przedstawiła prałatowi księgi ustaw kanonicznych i zażądała wskazania paragrafów upoważniających lub nakazujących zamknięcie kościołów w powołanych okolicznościach. Ksiądz Białobrzeski natychmiast wskazał, między uchwałami Soboru Trydenckiego na następujące postanowienia: „Godność biskupa nakazuje mu wszelkimi sposobami troszczyć się o zbawienie dusz powierzonej mu owczarni; używać wszelkich sposobów, mogących, jego zdaniem, doprowadzić do pożądanego celu, ku powiększeniu chwały Bożej i oddaleniu wszelakiego zgorszenia i obrazy Boga, szczególniej zaś w kościołach, jako miejscach szczególniej czci Bożej poświęconych. Ztąd, jeśli biskup nie może osiągnąć celu ani przedstawieniami, ani prośbą lub groźbą, pozostaje mu jeszcze ostateczny środek: zamknięcie ludowi dostępu do miejsca świętego".— Przytoczone tu z akt śledczych powołanie się na księgi prawa kanonicznego, czy to z rozmysłu, czy bezwiednie, nie jest dokładne. Autor nie mógł nigdzie odszukać odpowiednich tekstów, polscy zaś katoliccy księża odmówili mu wszelkich wyjaśnień w tej sprawie.

W myśl tego tłómaczenia się winnym był lud cały, kapituła zaś i administrator działali tylko w myśl rządu i postanowień Trydenckiego Soboru. Łatwo wszakże przyszło komisyi udowodnić prałatowi brak szczerości i przedstawić zaszłe fakta w rzeczywistem świetle. Jako najcięższy dowód służyła „odezwa konsystorza do warszawskiego duchowieństwa z dnia 16 października", w której mowa o zupełnie innych powodach zamknięcia kościołów i że ono nastąpiło „wprost z rozkazu administratora".

Zresztą, między postanowieniami prawa kanonicznego odszukano i takie, które były wręcz przeciwne sposobowi, w jaki w Warszawie kościoły zam-

knięto. Wynaleziono nawet artykuł, „zabraniający biskupom nakładanie interdyktu na wszystkie kościoły jednocześnie", oraz inny, usprawiedliwiający aresztowanie w świątyniach wszystkich obecnych [1]).

Sąd wojenny, po rozpatrzeniu sprawy, uznał księdza administratora winnym: oporu władzy, zamiaru wywołania wzburzenia w narodzie, i orzeczeniem swem z dnia 2 grudnia 1861 roku skazał go na pozbawienie godności kapłańskiej i posiadanego przezeń orderu św. Anny drugiej klasy, następnie zaś na śmierć przez rozstrzelanie. Konfirmacya namiestnika złagodziła wymiar kary. Ksiądz Białobrzeski został skazany na rok więzienia w twierdzy Bobrujskiej, bez pozbawienia orderu i kapłaństwa.

Po takim wyroku, kapituła postanowiła zerwać wszelkie stosunki z rządem, nie przyjmować żadnych pism, nadchodzących z komisyi spraw duchownych, i o wszystkiem zawiadomiła papieża z prośbą wyjednania u dworu petersburskiego oswobodzenia administratora, albo też o naznaczenie mu wikaryusza generalnego [2]).

Papież zajął się tą sprawą o ile tylko zezwalały na to względy polityczne. W odpowiedzi duchowieństwu wysłał uspokajający list do Warszawy, lecz jednocześnie brał na uwagę i przedstawienia posła rosyjskiego w Rzymie, który nalegał na przyśpieszenie prekonizacyi metropolity warszawskiego, mającego być wkrótce przedstawionym, a który będzie miał za zadanie: otwarcie zamkniętych kościołów i położenie tem kresu nieznośnemu stanowi ludności ogromnego miasta, od dwóch już miesięcy pozbawionej wszelkich posług duchownych.

W owym czasie położenie Ojca świętego było bardzo krytyczne. Władza świecka papieża z dniem

---

[1]) Jednak i tutaj powołanie się na tekst jest niedokładne.

[2]) Pismo to miał zawieźć do Papieża Henryk hr. Rzewuski.

każdym stawała się bardziej zachwianą. Nadzwyczajne powodzenia Garibaldiego i Wiktora Emanuela, którzy w tak krótkim czasie, z różnych włoskich państw i państewek potrafili utworzyć nowe włoskie królestwo i łakomą ręką już sięgali Rzymu, jako koniecznego zakończenia rozpoczętego dzieła włoskiej jedności, napełniały Watykan bardzo uzasadnionemi obawami.

Ze wszystkich pierwszorzędnych mocarstw, jedyna Rosya była wrogo dla nowych Włoch usposobioną, nie uznała jeszcze Królestwa Włoskiego i nie wypowiedziała ostatecznego zdania co do praw Francisza II Neapolitańskiego. Jeszcze zbyt świeżo pozostał jej w pamięci związek Wiktora Emanuela z Anglią, Francyą i Turcyą w Krymie. Do tego przyłączyły się niebezpieczne konszachty króla włoskiego z rewolucyonistami wszelkich narodowości i krajów za pośrednictwem Garibaldiego, oraz zezwolenie na założenie polskiej szkoły wojskowej w Genui.

Szkołę tę założono w październiku 1861 roku pod kuratelą polsko-włoskiego komitetu, złożonego, z następujących osób: generałowie: Occipiente i Nino-Bixio; książę Marceli Lubomirski, dobrowolny emigrant z 1850 roku, mieszkał przeważnie w Turynie, umarł zaś w 1865 roku w Paryżu; oraz deputowany włoski Valezio. Rząd nowego włoskiego królestwa oddał na użytek szkoły stary, opuszczony klasztor w Genui z dużym ogrodem i dziedzińcem. W dwupiętrowym poklasztornym gmachu mogło się pomieścić do 500 ludzi. Na adaptacyę i pierwsze urządzenie rząd włoski wyasygnował 100,000 franków, potem zaś wypłacał po 10,000 franków miesięcznie [1]). Nadto szły na ten cel znaczne fundusze z kraju.

---

[1]) Inni mówią, że tylko 40 do 60 tysięcy franków rocznie

Pierwszym dyrektorem szkoły do marca 1862 roku został generał Ludwik Mierosławski, następnie zaś generał Józef Wysocki. Komendantem szkoły był pułkownik Fijałkowski, zastępcą zaś jego major Englert. Tenże był pierwszym instruktorem piechoty. Drugim instruktorem piechoty był kapitan Brazewicz, trzecim porucznik Służewski.

Naczelnym instruktorem jazdy był pułkownik Czapski, drugim rotmistrz Rogaliński, trzecim rotmistrz Stojowski.—Kapitan Padlewski wykładał strategię, taktykę i historyę wojenną; Lille (pseudonim oficera ze służby rosyjskiej) geografię wojskową; pułkownik Waligórski topografię i naukę rysowania map. Artyleryę i matematykę wykładali: Padlewski, Lille i kapitan Langiewicz. Nadto sam dyrektor Mierosławski miewał wykłady z wojskowej geografii i taktyki.

Profesorowie i instruktorowie pobierali płacę od 300 do 600 franków miesięcznie. Mieszkali w mieście, równie jak dyrektor i komendant. Generał Wysocki mieszkał nawet stale w Paryżu i tylko raz na miesiąc zaglądał do szkoły. Uczniów szkoła miała 211, (t j. 50 w jeździe, w w artyleryi, wszystko ukończeni słuchacze kursu fizyko-matematycznego z uniwersytetów rosyjskich, reszta zaś w piechocie). Z całej tej liczby pozostało żyjących 38 ludzi, z nich zaś w kraju tylko 8 (lato 1879 roku). Uczniowie stale przebywali w szkole. Porządek dzienny był następujący: O godzinie 4 rano odgłos bębna budził wszystkich do wstawania i trzechkrotnego apelu. Na śniadanie dostawał każdy kieliszek wódki i bułkę. Po trzecim apelu piechota winna już była być na placu musztry, która trwała do godziny 8 rano. Jazda szła opatrzyć konie, poczem razem z piechotą odbywała musztrę. Od 8 do 9 wypoczynek i śniadanie, złożone z kubka kawy i bułki. Od 9 do 1 wykłady w audytoryach. Od 1 do 2 wypoczynek i drugie śniadanie z wódką. Od 2 do 3 fechtunek na pałasze, bagnety i lance.

Od 3 do 4 wykład. Od 4 do 5 obiad, złożony z trzech potraw; kapuśniak, barszcz albo rosół, sztuka mięsa i pieczeń z sałatą, nadto makaron, kalafiory lub inna jarzyna. Każdy dostawał butelkę czerwonego wina. Od 5 do 7 musztra jazdy, artyleryi i piechoty. Regulamin piechoty traktował o przyjęciu i ćwiczeniu rekrutów, o zmianie wart, służbie na forpocztach, głównej straży, fortecznej, obozowej; o hasłach, odzywach i t. d. Od 7 do 9 wypoczynek. Pozwalano na wyjście do miasta. O 9 capstrzyk i apel wieczorny, przy którym wszyscy musieli być obecni. W razie niepogody musztra odbywała się w opuszczonym kościele.

Dyżurni zmieniali się co 24 godzin. Straż się składała z podoficera i 4 szeregowców. Sąd domowy składali: komendant, 2 instruktorów i 2 uczni. Za karę stawiano na warcie w tornistrze obciążonym piaskiem, zamykano w areszcie czasem o chlebie i wodzie, a dla kogo kary te nie wystarczały, tych wydalano z zakładu. Szkołę obsługiwało sześciu żołnierzy z więźniów wojennych z pod Sewastopola, którzy nie chcieli wrócić do kraju. Religijne posługi spełniał przychodni ksiądz z miasta, przychodząc co dwa lub trzy dni do zakładu. W niedziele i święta słuchano Mszy świętej w którymkolwiek kościele w mieście. W marcu 1862 roku z obawy, ażeby uczniowie szkoły nie wzięli udziału w wyprawie Garibaldiego pod Mentonę, przeniesiono szkołę z Genui do Cuneo i oddano ją pod nadzór generała Pallaviciniego. Gdy zaś Rosya uznała Królestwo włoskie w sierpniu 1862 roku, szkołę zwinięto.—Odjeżdżającym wypłacono na rękę po trzysta franków na koszta podróży. Pozostałym zaś płacono gażę sześćdziesiąt franków miesięcznie. Kto życzył sobie pozostać w włoskiej służbie, musiał złożyć w ministeryum wojny egzamin oficerski i następnie zobowiązać się do siedmioletniej służby. Wszakże nie znalazł się ani jeden ochotnik [1]).

[1]) Wiadomość zaczerpnięta od byłych uczniow szkoły.

Wszystko to wskazywało Ojcu Świętemu na niestałość europejskiego ustroju i wzbudzało nadzieję, że przynajmniej jeszcze na czas pewien Rzym pozostanie dawnym Rzymem papieskim. W każdym razie w owym czasie Papież widział w jednej Rosyi podporę swych politycznych zamysłów. Gabinet schodzącego z horyzontu Europy „świeckiego króla", uważał za niezbędne zachować możliwie najlepsze stosunki z olbrzymem północy. W listopadzie 1861 r. Jego Świętobliwość oświadczył posłowi rosyjskiemu w Rzymie, że jest skłonnym prekonizować na metropolię warszawską osobistość przez rząd wskazaną, wyrażając zarazem życzenie utworzenia nuncyatury w Petersburgu.

Tymczasem zaś w Petersburgu szukano odpowiedniego i zaufanego człowieka na tę wysoką godność.

Miano, jak się zdaje, na widoku kanonika Zwolińskiego, proboszcza na Pradze, który nie zamknął swego kościoła i zasięgnięto pod tym względem zdania margrabiego Wielopolskiego, zaraz po przybyciu tegoż do stolicy. Margrabia wszakże nie mógł oświadczyć się za osobistością tak niepopularną i dodał, że w tych, tak wyjątkowo trudnych chwilach potrzeba człowieka młodszego, energiczniejszego, z szerszym na świat poglądem oraz z wychowaniem europejskiem, w całem tego słowa znaczeniu. A gdy go zapytano, kogo by zaproponował, zażądał paru dni czasu do namysłu i zasięgnął rady swego dawnego znajomego, proboszcza Rewelskiego, podówczas przypadkowo bawiącego w Petersburgu, księdza kanonika Konstantego Łubieńskiego, człowieka wielkich zdolności, a przytem najprzebieglejszego z przebiegłych.

Łubieński wskazał Margrabiemu młodego profesora w duchownej akademii petersburskiej, księdza Szczęsnego Felińskiego. Są tacy, co twierdzą, że Łubieński rozmyślnie wysyłał swego przyjaciela dla oczyszczenia ciernistej drogi, przewidując, że

przy tej czynności musi koniecznie kark skręcić, by potem, przy pomocy tegoż Wielopolskiego sam mógł zasiąść na tronie arcybiskupim. Nie dociekając wszakże powodów, które wpłynęły na ten wybór, wiemy, że rząd przedstawił Stolicy świętej księdza Felińskiego na kandydata do godności warszawskiego arcybiskupa-metropolity.

Z przeszłości Felińskiego wiemy, że ojciec jego, Gerard Feliński, był niezamożnym obywatelem na Wołyniu. Po roku trzydziestym został zesłany na Sybir, jako oskarżony o rewolucyjną propagandę, gdzie umarł w 1838 r., gdy młody Szczęsny Zygmunt miał zaledwie 11 lat wieku. Stryj Zygmunta, Alojzy, autor Barbary Radziwiłłówny, bardziej był znany, jako autor drobnych piosnek patryotycznych i hymnu „Boże coś Polskę", hymnu, którego w 1862 wypadło synowcowi zabraniać. Matka przyszłego arcybiskupa, Ewa z Wendorfów, bystra i wykształcona osoba, obdarzona pewnemi literackiemi zdolnościami, należała do spisku na Wołyniu z czasów Konarskiego, pod nazwą „Stowarzyszenie ludu polskiego", za co wraz z zięciem swoim Szemiotem, została zesłaną do Berezowa, najbardziej na północ wysuniętego miasteczka powiatowego w gubernii Tobolskiej [1]). Sześcioro dzieci: Zygmunt, dwaj jego bracia i trzy siostry, pozostały zupełnemi sierotami. Opuszczoną dziatwą zajęli się różni majętniejsi obywatele z Wołynia i Podola. Zygmuntem zaopiekował się Brzozowski, majętny obywatel z Podola, wziął go do swego domu na wychowanie, a następnie wysłał na studya uniwersyteckie do Moskwy. Po ukończeniu tam matematycznego fakultetu w 1848 roku żywy i ognisty młodzieniec, przepełniony marzeniami o przyszłości Polski, wy-

[1]) Za powrotem z Syberyi w 1845 roku wydała: *Wspomnienia z podróży do Syberyi i pobyt w Berezowie i Saratowie.*—Wilno 1852 rok, trzy tomy.

jechał z panią Brzozowską [1]) do Paryża, w charakterze domowego nauczyciela jej dzieci. Przy przejeździe przez Prusy, w Poznańskiem, podróżni spotkali oddział zbrojny polski, maszerujący pod wodzą Mierosławskiego pod Miłosław. Młody Feliński, nie namyślając się długo, wyskoczył z powozu i pociągnął na boje z bracią Wielkopolanami. Pod Miłosławiem ranny pałaszem w głowę, wrócił do Paryża do rodziny Brzozowskich i jakby nic nie zaszło, zaczął żyć życiem światowem. Kochał się, pisywał wiersze w albumach pięknych pań, od czasu do czasu spotykał się z wpływowymi ludźmi na emigracyi, przeważnie z kół demokratycznych i uczył się od nich polskiego demokratycznego katechizmu. Najbardziej wówczas zbliżył się do znanego poety Juljusza Słowackiego, który w 1849 roku umarł na ręku swego młodego przyjaciela i wielbiciela [2]). — Gdyby jakiś wróżbita powiedział podówczas temu moskiewskiemu studentowi, żołnierzowi drużyn Mierosławskiego, temu paryskiemu lowelasowi i czcicielowi rozmaitych emigracyjnych znakomitości, że za jakie lat 10 lub 11 będzie on arcybiskupem warszawskim, jakiemi oczami spojrzałby on na takiego dowcipnisia?

Naraz po powrocie z Paryża, Feliński z niewiadomych pobudek wstąpił do seminaryum w Żytomierzu [3]), zkąd po rocznym pobycie przeszedł do akademii duchownej w Petersburgu, ku czemu funduszów dostarczyli Brzozowscy. W Petersburgu,

---

[1]) Pani Brzozowska była córką ordynata Zamoyskiego.

[2]) „Wspomnienia o Zygmuncie Szczęsnym Felińskim, księdzu arcybiskupie metropolicie warszawskim" przez Prawdzickiego.– Kraków, 1866 rok.

[3]) Podają, że to nastąpiło z powodu śmierci ubóstwianej przezeń kobiety, inni domyślają się, że to była pani Brzozowska.

nader prędko zwrócił na siebie uwagę księdza arcybiskupa Hołowińskiego, niegdyś profesora i rektora tej akademii, człowieka rzadkiego rozumu i wykształcenia, a przytem posiadającego obszerne stosunki we wszystkich sferach petersburskiego towarzystwa. Ksiądz Ignacy Hołowiński, będąc arcybiskupem mohylewskim, pozostał rektorem duchownej akademii i wykładał homiletykę, czyli wymowę kościelną. Posiadał doskonale języki starożytne, z nowożytnych zaś: francuski, angielski, niemiecki i włoski. Tłómaczył dramaty Shakespeaera. Rosyjskim językiem władał zupełnie poprawnie.—Mieszkał w Akademii przy linii na Wasylewskiej wyspie.

O Hołowińskim opowiadano najdziwniejsze wieści, jakoby zamierzał nawrócić na katolicyzm całą Rosyę, a przynajmniej, że miał powiedzieć, iż tegoby dokazał przy pomocy stu tęgich Jezuitów. Bardzo być może, że pogłoski te ztąd urosły, iż arcybiskup zawsze się starał skupić około siebie wykształconych księży, którzy pod jego kierunkiem strzegli interesów kościoła i rzymskiej kuryi w różnych punktach niezmierzonego państwa.

W liczbie takich księży przed innymi wyróżniał się ksiądz Konstanty Łubieński, syn vice-prezesa Banku Polskiego hrabiego Henryka Łubieńskiego. Ksiądz Konstanty podówczas proboszcz w Wiskitkach, w księstwie łowickiem, prosił o pozwolenie udania się do ojca, przebywającego na wygnaniu w Kursku; w 1851 roku przybył tam i za pozwoleniem władzy urządził przy swem mieszkaniu kaplicę, która wkrótce zgromadziła wszystkich katolików Polaków i cudzoziemców, przebywających w Kursku. W miarę tego, jaka narodowość bywała liczniej zebraną na nabożeństwie, ksiądz Łubieński miewał kazania po polsku lub po francusku. Od czasu do czasu odbywał jakieś tajemnicze podróże do Moskwy, Charkowa, Orła, Białogrodu, a zawsze woził z sobą w ogromnym, z białej skóry, kufrze podróżnym, wszelkie przybory i kamień z relikwiami do odpra-

wiania Mszy podróżnych [1]). Zawadzając w tych podróżach i o Petersburg, ksiądz Łubieński poznał. się i zbliżył z księdzem arcybiskupem Hołowińskim

Gdy ojcu, hrabiemu Henrykowi, skończył się termin wygnania i wrócił do Warszawy [2]), syn przesiedlił się do Petersburga, pod skrzydła możnego protektora, i został świeckim księdzem przy kościele świętej Katarzyny [3]). Dano mu w gmachu obok księży Dominikanów dwa piękne, wielkie pokoje, które on z wielkim komfortem umeblował i urządził. Do tych cel przybył wkrótce i ksiądz Felíński, drugi taki bojownik arcybiskupa Hołowińskiego, naznaczony początkowo korepetytorem przy szkole istniejącej przy kościele św. Katarzyny, po czterech zaś latach zamianowany profesorem i kapelanem przy duchownej akademii.

Tam się zawiązał przyjazny stosunek księdza Łubieńskiego z Felińskim, żyli oni w celach domi-

---

[1]) Wiadomości od studenta Polaka towarzyszącego księdzu Łubieńskiemu w tych podróżach. Tenże był świadkiem licznych nawróceń, szczególniej kobiet, z prawosławia na katolicyzm.

[2]) Do roku 1881 na ulicach Warszawy można było napotkać starca ubranego w czarną czamarę, krótkie aksamitne spodnie, w czarnych jedwabnych pończochach, w trzewikach i w aksamitnym birecie na głowie. Był to stary brabia Henryk Łubieński.

[3]) Kościół św. Katarzyny przy Newskim Prospekcie w Petersburgu, poświęcony dnia 18 października 1783 roku, początkowo był obsługiwany przez księży Benedyktynów. Następnie bywało przy nim 4—6 księży świeckich obok OO. Kapucynów i Jezuitów. W 1812 roku kościół oddano księżom Dominikanom. W 1840 roku zarządzał kościołem O. Damian Jodejko przeor Dominikanów, ci zaś mieszkali w oddzielnym gmachu obok kościoła. W 1852 roku arcybiskup Hołowiński uzyskał od rządu, że mu dozwolono dodać do pomocy księżom Dominikanom świeckich księży. W roku 1864 było ich 14. (Patrz *Opis historyczny rzymsko-katolickiego kościoła św. Katarzyny w Petersburgu od roku 1763 do 1872*—Warszawa).

nikańskich, jak to mówią, jedną duszą; wkrótce przyłączył się do nich trzeci bojownik tejże drużyny, ksiądz Kossakowski. Po zamianowaniu księdza Łubieńskiego proboszczem w Rewlu, stosunki te się nie przerwały. Bywając często w Petersburgu, ksiądz Łubieński stale zaglądał do ich cel, szczególniej do ubogiej celki księdza-Felińskiego, której całe umeblowanie składało się z wąskiej i twardej kanapki, szafy z książkami i małego samowarka w kącie [1]). — W pierwszych latach 1850 dziesiątka, Feliński przy pomocy arcybiskupa zawiązał w Petersburgu „Dom polskich sióstr miłosierdzia" i został ich kapelanem. Cały czas wolny od zajęć swego powołania poświęcał literaturze, językom. Wówczas napisał: *Ostatnie chwile Słowackiego* i *Wspomnienie o księdzu arcybiskupie Hołowińskim*, który umarł w 1855 roku.—Oprócz tego pozostawił w rękopiśmie gruby sekstern jakichś jezuickich „wskazówek dla uczni".

W połowie grudnia 1861 roku wysłano do Rzymu propozycyę trzech kandydatów na godność warszawskiego metropolity. Ojciec święty wybrał najmłodszego latami i stopniem, gdyż ten mu był przedewszystkiem polecony przez ludzi zaufanych.

Po otrzymaniu odpowiedzi z Rzymu, cesarz przywołał do siebie przyszłego arcybiskupa, rozmawiał z nim blisko godzinę i zawiadomił o wyborze Ojca świętego. Feliński z pałacu cesarskiego udał się wprost do kościoła św. Katarzyny i tam upadł krzyżem przed Przenajświętszym Sakramentem. I po tem nieraz korzył się w tej postawie przed domowym ołtarzykiem, modląc się ze łzami o pomoc i siły w tak trudnem zadaniu. Znał on dobrze stan spraw w Polsce, usposobienie umysłów w różnych

---

[1]) Zupełna prawda. *Przypisek tłómacza.*

stronnictwach; rozumiał i spostrzegał omyłki przez rząd popełnione, i widział doskonale, jakie z każdą godziną stronnictwo ruchu zdobywało postępy.

Feliński pojmował, że będzie zmuszony służyć jednocześnie rożnym panom, i zarazem strzedz stanowiska i godności duchowieństwa, na którego czele miał stanąć. Tam! w Królestwie, każdy mieszkaniec podlegał swej szczególnej, stronniczej władzy: czerwoni—czerwonej, biali białej. Kto był niezadowolniony z jednej, przechodził do drugiego obozu i koniec. On zaś był jeden dla wszystkich, jedyny pasterz tego różnorodnego stada. Na niego spoglądało tysiące oczu: owce i kozły; ludzie najróżnorodniejszych przekonań i odcieni. Słowo jego powinno jednako dobroczynnie oddziaływać na wiernych wszelkich politycznych przekonań i obozów. Tymczasem zaś, każdy z tych wiernych, żądał od nowego pasterza tylko takiej mowy, któraby odpowiadała jego wyłącznym przekonaniom i żądaniom. Zadanie, równające się nie jednej, ale niezliczonym, kwadraturom koła. W jaki sposób zadowolnić jednocześnie i księcia Napoleona z Mierosławskim i hrabiego Andrzeja Zamoyskiego z jego licznem i wpływowem stronnictwem, i margrabiego Wielopolskiego i tłumy oszołomione przez agitatorów; nakoniec dogodzić i Petersburgowi i Rosyanom w Warszawie i Papieżowi w Rzymie?

Nic dziwnego, że młody nominat tak często i tak gorąco się modlił. Cóż innego mógł i miał robić?...

Dnia 6 stycznia 1862 roku ksiądz Feliński został prekonizowany na arcybiskupa warszawskiego. Papież przysłał mu paliusz, zaś 20 tegoż miesiąca, przybyli z Warszawy wysłańcy kapituł warszawskiej i łowickiej, księża kanonicy: Szczygielski i Budziszewski; którzy wraz z biskupem Platerem mieli wziąć udział w wyświęceniu arcybiskupa. Nie łatwo przyszło tym dostojnikom, ubranym w fiolety i odznaki ich dostojeństw, ozdobiony orderami, a przy-

tem ludziom już niemłodym, przestępować próg ubogiej, zakonnej celi, dla powitania tego młodego, trzydziestoletniego profesora, którego niedawna, świecka przeszłość dobrze im była znana, jako swego przełożonego, przyszłego wodza i naczelnika! A wieluż innych przepełnionych żółcią i zawiścią, pozostało nad brzegami Wisły? I o tem musiał pamiętać młody arcybiskup [1]).

Dnia 26 stycznia 1862 roku w kościele św. Katarzyny odbył się obrzęd uroczystej konsekracyi księdza Zygmunta Felińskiego na arcybiskupa warszawskiego, dopełniony przez księdza arcybiskupa-metropolitę mohylewskiego, księdza Zylińskiego, w asystencyi biskupów-sufraganów, księży Staniewskiego i Bereśniewicza, oraz wyżej wymienionych przedstawicieli kapituł Królestwa Polskiego

W uroczystości brało udział całe katolickie duchowieństwo petersburskie.

Ze świeckich dostojników byli obecni: posłowie państw katolickich z całym personelem swych poselstw, oraz kilku wyższych dostojników Rosyan. Dary nieśli: Stanisław hrabia Plater i generał Niepokojczycki, ogień; margrabia Wielopolski i Bolesław hrabia Potocki, ochmistrz dworu, chleb; zaś minister sekretarz stanu dla spraw Królestwa Polskiego, Tymowski i marszałek dworu hrabia Borch, wino.

W kilka dni potem nowowyświęcony arcybiskup był przyjęty na osobnej audyencyi przez cesarza, na której uzyskał pozwolenie udania się do Warszawy przez Poznań, celem widzenia się i otrzymania błogosławieństwa od księdza Leona Przyłuskiego, arcybiskupa gnieznieńskiego, którego ducho-

[1]) Urodzony w 1824 roku, miał podówczas lat 38.

wieństwo polskie wszystkich trzech zaborów zawsze uważa za swego prymasa.

Nadto chciał Feliński porozumieć się także i z arcybiskupem lwowskim, który potrafił niedopuścić śpiewów patryotycznych do swych kościołów.

W początkach lutego Feliński opuścił Petersburg.

A teraz musimy opowiedzieć, co przez ten czas zaszło w Warszawie i w Królestwie Polskiem.

Wyżej opowiedziane wypadki, szereg wielkich manifestacyi, aresztowania w niezwykłych okolicznościach i rozmiarach dokonane, następnie zamknięcie kościołów, śmierć Gerstenzweiga, wyjazd Lamberta i ogłoszenie w kraju stanu wojennego, wstrząsnęły kruchym gmachem wyborów. Czerwoni ponownie zwyciężyli, potrafili poróżnić białych z rządem, a nawet wielu do swego obozu przeciągnęli. Wszyscy razem tworzyli wrogą masę, w której tylko o tem mówiono, że należy i dalej energicznie postępować, dążyć co najprędzej do powstania, przerwać z rządem wszelkie stosunki i w niczem już nań nie liczyć. Kto jest innego zdania, ten zdrajca. Wszyscy przytem dobrze rozumieli, że chcąc dalej postępować z jakimkolwiek ładem i rezultatem, należy koniecznie zaprowadzić organizacyę, zawiązać spisek, funkcyonujący prawidłowo, po europejsku, pod wodzą doświadczonego naczelnika lub komitetu. Wieźć zaś sprawę po dawnemu, wyskokami, według chwilowych natchnień i popędów byłoby dziecinnie, narażałoby na niebezpieczeństwo tłumy, nie jednostki i doprowadziłoby do przegranej, zanimby nawet obrano pole walki. Naraz więc wszyscy się rzucili do wznoszenia gmachu narodowej organizacyi, a raczej spieszyli uzupełniać już istniejącą, jak się dało, pośpie-

sznie, uprzedzając czerwoni białych, ci zaś czerwonych.

U białych rzecz postąpiła znacznie dalej, niż u ich współzawodników. Mieli już tak zwaną organizacyę młodej szlachty i urzędników, biorącą swój początek z pierwszych zebrań białych w końcu marca i połowie kwietnia 1861 roku, które się zgromadzały u różnych wpływowych członków byłego Towarzystwa rolniczego. Wybory za Lamberta były tylko dalszym ciągiem tej roboty i prawie ją wykończyły. W 1862 roku nie było już prawie potrzeby jej wykończania.

Podług tej organizacyi Królestwo kongresowe dzieliło się na osiem województw, istniejących przed podziałem tegoż na gubernie. Województwa dzieliły się na powiaty, te zaś na okręgi. W każdym powiecie było od 3 do 6 okręgów. Porządek wyborów do organizacyi był następujący; okręg wybierał okręgowego męża zaufania; wyborcami byli wszyscy ludzie, należący do inteligencyi i choć cokolwiek zajmujący się sprawą publiczną tak duchowni jak i świeccy; okręgowi wybierali powiatowych, ci zaś wojewódzkich. Bywało wszakże, że zebrani 30 do 40 szlachty i księży na jednym zjeździe wybierali bezpośrednio i okręgowych i powiatowego męża zaufania.

Nie możemy wyliczyć wszystkich wybranych po okręgach i powiatach, wyszłych z pierwszych wyborów, chociaż nazwiska ich są znane. Wyliczymy tylko wojewódzkich:

Województwo mazowieckie:
Stanisław hr. Zamoyski (syn Andrzeja), Czarnowski i August Trzetrzewiński;

Województwo kaliskie:
Józef Kołaczkowski i Kajetan Krzysztoporski;

Województwo krakowskie:
Jacek Siemieński i Masłowicz [1]);
Województwo sandomierskie:
Stanisław Karski, następnie Bocheński;
Województwo lubelskie:
Tytus Wojciechowski i Lucyan Horodyński;
Województwo podlaskie:
Adam Goltz i Szydłowski;
Województwo płockie:
Maciej Smoliński, Karol Ujazdowski i Karol Sonnenberg;
Województwo augustowskie:
do czerwca 1862 roku Julian Paszkiewicz. Następnie do grudnia 1862 roku Aweyde, obrońca trybunału cywilnego w Suwałkach (ojciec Oskara). Potem zaś: Dyonizy Skarżyński, Eugeniusz Rembieliński i Henryk hr. Starzeński. Dwaj ostatni jako zastępcy.

Wszyscy wojewódzcy mieli obowiązek co sześć tygodni zjeżdżać się koniecznie w Warszawie. Mogły być także zwoływane nadzwyczajne zjazdy.

Przedstawicielami Warszawy wybrani:

Leopold Kronenberg, Edward Jurgens i Karol Majewski. Jurgens i Majewski byli równocześnie przedstawicielami Litwy, Rusi, Galicyi i Poznańskiego.

Z Litwy nadesłał im pełnomocnictwo Franciszek Dalewski, stojący podówczas na czele litewskiego rewolucyjnego stronnictwa. Z Rusi pełnomocnictwo wydali: Gustaw Wasilewski, Tomasz Burzyński i Włodzimierz Antonowicz (?). Z Galicyi: Smolka i Zyblikiewicz; z Poznańskiego zaś: Aleksander Guttry i Władysław Niegolewski.

---

[1]) *Aweyde* dodaje Mieczysława Chwaliboga, wybranego nieco później.—Trzymaliśmy się spisu Karola Majewskiego, jako dokładniejszego.

W końcu 1861 r. wszyscy wojewódzcy zjechali się do Warszawy i wybrali z grona swego delegacyę, w skład której weszli: Stanisław hr. Zamoyski, Józef Kołaczkowski, Tytus Wojciechowski, Leopold Kronenberg, Edward Jurgens i Karol Majewski. Czy czas pogodził wszystkie żywioły i wyrównał przeciwieństwa, czy też biali tak poczerwienieli, dosyć, że ludzie jak Majewski, z jego niecierpliwością i zagorzałością, nie razili już tak, jak w miesiącu wrześniu. A może też w Majewskim zaszły jakieś zmiany ku uspokojeniu; wiemy tylko, że odtąd Kronenberg znosił go na posiedzeniach i nie groził swem ustąpieniem.

Dyrekcyę wojewódzką zmieniono wkrótce na dyrekcyę białych albo szlachecką, i jako taka odbyła kilka posiedzeń, na których naradzano się nad środkami zapobieżenia działaniom partyi czerwonych; nad dalszym rozwojem „organizacyi narodowej" i nad jej działaniem w chwili obecnej i na przyszłość. Zgodzono się, mniej więcej, na program następujący:

„Granice 1772 roku. Przyjmować spokojnie wszelkie rządowe reformy, przyjmować narzucane przez rząd urzęda w nowych instytucyach. Starać się wszelkiemi sposobami o zajęcie wszystkich wyższych stanowisk rządowych w Królestwie Polskiem przez Polaków, oraz, aby popisowi z Królestwa byli wcielani do pułków, konsystujących w kraju. Władza dyrekcyi ma być zarazem uchwalającą i wykonawczą. Wszystkie sprawy rozstrzygają się większością głosów i ostatecznie przedstawiają się do zatwierdzenia Andrzejowi hr. Zamoyskiemu, który ma być stale pośrednikiem między krajem a rządem. W razie gdyby hr. Andrzej nie aprobował jakich uchwał dyrekcyi, mają być zwołani wszyscy wojewódzcy, którzy zawiązują się w komitet obradujący, mający wydać ostateczną decyzyę. Żadnych pism, kwitów,

pieczęci; wszystko ma się załatwiać ustnie i na słowa [1]).

Program ten dyrekcya białych przesłała do przejrzenia i niejako do zatwierdzenia ks. Władysławowi Czartoryskiemu do Paryża i w tym celu wysłała Józefa Kołaczkowskiego, tego samego, który we wrześniu 1861 r. jeździł do Homburga dla porozumienia się z partyą czerwoną na emigracyi. Na tem do czasu ograniczyły się działania dyrekcyi i to, jak powiadano, wskutek panującego wśród Gorczakowskich delegatów niezadowolenia, że tylko jeden Kronenberg z ich grona został powołany do składu tak wrześniowej, jak grudniowej dyrekcyi białych, a następnie szlacheckiej. Jak zwykle zaczęło się od krytyki, dopatrywania ujemnych stron w jej narodowej organizacyi... a potem zaczęli tworzyć oddzielną organizacyę, co spowodowało dyrekcyę do zawieszenia swej działalności, a następnie do rozwiązania się, które, być może, nastąpiło także i wskutek tego, że ks Czartoryski udzielonego sobie programu nie potwierdził, a więc nie znalazł on poparcia w Europie.

Zresztą można z pewnem uzasadnieniem przypuszczać, że działalność dyrekcyi białych była także paraliżowana nadzwyczajnem powodzeniem Wielopolskiego w Petersburgu, z którym najbardziej wpływowy członek dyrekcyi, Kronenberg, w ciągłem pozostawał porozumieniu, i od którego zapewne niejeden z białych otrzymywał wskazówki, co i jak robić, a czego nie robić.

---

[1]) Zeznania Majewskiego, który powiada, że to wszystko działo się w początkach 1862 r. Giller twierdzi, że dyrekcya białych powstała w grudniu 1861 i wówczas spisano program działania, następnie ogłoszony drukiem przez Stanisława Kazimierza Gromadę (Pseudonim Karola Ruprechta) jako *Zadanie chwili obecnej*. *Gazeta Narodowa* 1875 r.

Z jakichkolwiek powodów, dość, że cisza zapanowała. Nawet czerwoni naraz przycichli, śledząc bacznie co się robi i przygotowując do nowych wystąpień w miarę wyniku swych spostrzeżeń. Wszystkich interesował oczekiwany lada chwila nowy arcybiskup. O nim wszędzie mówiono z różnych punktów zapatrywania i na różne tony, wszędzie: i w salonach arystokracyi, i w kołach inteligencyi i w biednych domkach przedmiejskich, w warsztatach rzemieślników, na rynku i po ogródkach.

Po spotkaniu się z kim zamierzał za granicą, ksiądz Feliński dnia 8 lutego 1862 roku wyjechał z Wrocławia do Warszawy. Tego samego dnia, późnym wieczorem, stanął u wrót kościoła w Częstochowie. Niespodziewający się go wcale zakonnicy, przyjęli dosyć chłodno wysokiego gościa, chociaż przy zachowaniu całego ceremoniału kościelnego. Arcybiskup przedewszystkiem wyraził życzenie pomodlenia się przed cudownym obrazem Boga Rodzicy, i wprowadzony do kaplicy, padł tam krzyżem i tak pozostał zatopiony w modlitwie więcej niż godzinę, tak, że brać zakonna w końcu osłabionego musiała podnieść i odprowadzić do celi generała.

Nazajutrz, w niedzielę, po odbytej spowiedzi, arcybiskup na tem cudownem miejscu odprawił pierwszą ofiarę Mszy św. na polskiej ziemi i chciał pozostać w klasztorze aż do dnia następnego. Tymczasem otrzymał od namiestnika telegraficzne wezwanie natychmiastowego wyjazdu, do czego się też zastosował i przybył do Warszawy dnia 9 lutego o północy.

Na stacyach, przez które przejeżdżał, oczekiwały go tłumy ciekawych, uważnie oglądając nowego arcypasterza. Gdzieniegdzie odzywały się głosy, żądające, by wyjednał uwolnienie księdza Białobrzeskiego.

Dworzec warszawsko-wiedeńskiej drogi żela-

znej i ulice, któremi miał przejeżdżać, mimo tak spóźnionej pory przepełnione były publicznością.

Jak tylko ukazał się z wagonu arcybiskup, w tłumie rozległ się dwukrotny okrzyk: „Niech żyje arcypasterz!" Nie zaszedł nigdzie najmniejszy nieporządek. Pod pozorem wszakże jakoby czerwoni zamierzali powitać arcybiskupa kocią muzyką, rząd nakazał, ażeby powóz był eskortowany przez kozaków. Zarządzono też i inne środki dla zapobieżenia przewidywanym nieporządkom.

Pałac arcybiskupa był zupełnie pusty, arcybiskupa nikt nie spotkał i nie powitał. W tem już była ręka czerwonych, którzy czegoś się domyślali w działaniach białych i zarządzeniach władzy [1]). Tutaj po raz pierwszy ksiądz Feliński uczuł swoje osamotnienie Chłód dziwny i przejmujący wiał z tych ogromnych, ponurych i pustych komnat, które wyglądały, jakgdyby nigdy nie były zamieszkałe. Własne kroki grobowo się rozlegały po pustych salonach. Miasto było pogrążone w ciszy nocnej, a tylko na dziedzińcu szczękała broń kozaków, krzątających się koło swych koni.

Nazajutrz, o godzinie 5 rano, arcybiskup odprawił Mszę świętą w swej kaplicy domowej i przesłał dziekanowi kapituły warszawskiej własnoręczne zawiadomienie o swem przybyciu do Warszawy, zapraszając do konsystorza kapitułę i duchowieństwo. Ci się zebrali w sali konsystorskiej o godzinie 11 przed południem. Arcybiskup, wchodząc, powitał zebranych słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Potem przemówił: „Witam was wielebni bracia imieniem Pana naszego Jezusa

---

[1]) Czerwoni mieli już dokładne relacye z pobytu arcybiskupa za granicą, z kim się tam spotykał i z jakiemi zamiarami wymówił.

Chrystusa! Za wolą Bożą i przyzwoleniem Ojca św., zostałem waszym pasterzem. Ciężkie brzemię spadło na moje barki, otwarcie to wyznaję. Będzie ono jeszcze cięższem, jeśli wielebni bracia, odmówicie mi swej pomocy. Zanim się z wami bliżej zapoznam, zanim znajdę sposobność oddania komukolwiek z was jakiej usługi, uważam za najpierwszy i główny swój obowiązek, oświadczyć wam, że przedewszystkiem dążyć będę do przywrócenia powagi religii i obrzędów kościelnych. Zamierzam otworzyć kościoły, w których się już żadne gwałty nie powtórzą, na co mam zapewnienie monarsze. Również i obrzędy nasze nie będą przerywane lub ograniczane przez policyę i władzę wojskową. Dwa kościoły: Św. Jana i Bernardynów, jako rzeczywiście według rytuału i prawa kanonicznego zbeszczeszczone, co mi zaświadczyli dostojni prałaci, osobiście odemknę i poświęcę. Inne zaś odemkniecie jednocześnie wielebni bracia, jako tychże zawiadowcy i rozpoczniecie w nich Chwałę Bożą czterdziestogodzinnem nabożeństwem. Dalszem, daleko trudniejszem zadaniem, a w którem, jak się spodziewam, nie odmówicie mi swej gorliwej pomocy, będzie wytłómaczenie ludności, że, zaprzestając śpiewania niektórych pieśni, w niczem nie narazi ona interesów narodowych, przeciwnie, wyrówna drogę dla dalszych ustępstw i łask, o których mnie monarcha zapewnił. To wam chciałem przedewszystkiem zakomunikować, a teraz proszę o wzajemne oświadczenie, czem wam na razie mogę być użytecznym?"

— Uwolnijcie księdza Białobrzeskiego i wszystkich uwięzionych i zesłanych księży — odezwało się kilka głosów.

— Po dwakroć prosiłem już o to cesarza, i jeszcze będę prosił—odrzekł arcybiskup.

— Co do hymnów, które wasza arcypasterska mość uważa za potrzebne zabronić — odezwał się

któryś z księży — to lud do nich tak nawykł i tak je uważa za nieodzownie potrzebne w obecnych stosunkach, że wątpliwą jest rzeczą, czy nas usłucha i czy zakazując tych śpiewów, nie stracimy w oczach ludu zaufania, jako działający wbrew woli i usposobieniu narodu.

— Można wiele powiedzieć za i przeciw hymnom — odpowiedział arcybiskup — to wam tylko oświadczam, że czy udzielicie mi, czy też odmówicie w tem swej pomocy, jestem stanowczo zdecydowany, w pierwszem mem odezwaniu się do ludu, wystąpić przeciw śpiewaniu tych hymnów. To ma związek z wielu rzeczami... Postanowiłem dzielić wasze losy, jakiekolwiek one będą, reszta w ręku Bożem. Teraz zaś wobec tu zgromadzonych zapraszam księdza kanonika Rzewuskiego na oficyała mego arcybiskupiego konsystorza.

„O dniu poświęcenia kościołów zostaniecie zawiadomieni przez księdza dziekana, mieszkańcy zaś przez ogłoszenia w gazetach. Polecam was Bogu, siebie zaś waszym modłom. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!"

Poczem arcybiskup pojechał na Zamek.

Tak pośpieszne, przed widzeniem się z namiestnikiem, zamianowanie oficyała, miało swe znaczenie. Ksiądz Feliński przeczuwał, że mu zechcą narzucić na oficyała niesympatycznego i znienawidzonego kanonika, księdza Zwolińskiego, co odrazu oburzyłoby na arcybiskupa całe duchowieństwo i Warszawę. Ksiądz Feliński bądź, co bądź, musiał unikać takiej nominacyi i—uniknął.

Namiestnik spotkał niecierpliwie oczekiwanego gościa przeprosinami za przyśpieszone wezwanie przybycia do Warszawy i zaraz rozpoczął mówić o Zwolińskim, polecając go na oficyała. Jakież było jego zdumienie, gdy posłyszał, że oficyał już zamianowany. Zapanowało chwilowe milczenie.... potem

namiestnik zapytał: „A kiedy zostaną otwarte kościoły?"

— Pomówię o tem z oficyałem i wspólnie wydamy decyzyę — odrzekł Feliński. Nastąpiło nowe milczenie .. Poczem po krótkiej rozmowie o rzeczach mniejszej wagi, arcybiskup zaczął się żegnać z namiestnikiem.

— Proszę nie zapominać—rzekł namiestnik— że Zamek zawsze stoi otworem dla waszej arcypasterskiej mości.

— Serdecznie dziękuję za taką uprzejmość, wszakże obawiam się, bym często i dokuczliwie jej nie nadużywał — odpowiedział arcybiskup. — (Prawdzicki i niektóre prywatne opowiadania).

Tegoż dnia, o trzeciej po południu, arcybiskup zawezwał Rzewuskiego i po dłuższej naradzie, wśród której oficyał wtajemniczył swego zwierzchnika we wszystkie znane mu i dostępne szczegóły spraw krajowych, postanowili wspólnie, aby kościoły św. Jana i Bernardynów poświęcić i otworzyć dnia 13 lutego, nazajutrz zaś wszystkie inne. Uroczysty ingres arcybiskupa i objęcie metropolii naznaczono na dzień 16 lutego, to jest na niedzielę jak tego wymaga rytuał rzymsko-katolickiego kościoła.

Nastąpiły więc rokowania z Zamkiem co do szczegółów ceremonii otwarcia kościołów, w których odbyły się aresztowania. Namiestnik niechciał dopuścić rekoncyliacyi, gdyż przez nią przyznawano fakt zbeszczeszczenia kościołów. Arcybiskup stał twardo przy tem, że rekoncyliacya jest nieuniknioną i nie zgadzał się na inny sposób otwarcia. Żądał nawet, ażeby to przez gazety zostało ogłoszone. Skończyło się na rekoncyliacyi bez ogłoszeń. Arcybiskup miał zwykłym cyrkularzem zawiadomić duchowieństwo o ceremonii, w gazetach zaś miano ogłosić, że „kościoły zostaną otwarte w tym a tym

czasie," bez jakiejkolwiek wzmianki o rekoncyliacyi.

Arcybiskup żądał usunięcia policyi i wojska. Namiestnik zapewnił, że bez potrzeby policyi ani wojska nigdzie nie wyśle. Wszakże nakazał umieścić pod ręką w sąsiednich domach przy obu kościołach ile się tylko dało policyę, i to od samego rana dnia 13 lutego [1]).

Tymczasem czerwoni, najbardziej zaś tak zwane „Kółko akademickie," przekonawszy się z opowiadań duchownych, którzy byli na posłuchaniu u arcybiskupa, oraz uwiadomieni z zagranicy, że tenże zamierza stanowczo wystąpić przeciw śpiewaniu hymnów, służących za najsilniejszy bodziec do wszelkich manifestacyi i przygotowawczych działań, zaczęli rozszerzać o arcybiskupie najniekorzystniejsze pogłoski. Na obu, mających się otwierać kościołach, nalepiono karykatury, przedstawiające księdza Felińskiego konno, w kozackim mundurze i w czapce baraniej, z nahajką w jednej a wytrychem w drugiej ręce. Dwóch kubańskich kozaków oświecało latarniami główne wejście do katedry, podpis wyjaśniał, jak „arcybiskup Feliński jedzie otwierać kościoły." Jeden egzemplarz karykatury przysłano arcybiskupowi przy bezimiennym liście, pełnym inwektyw i obrażliwych insynuacyi.

O księdzu Rzewuskim mówiono, że zanadto świątobliwy na obecną chwilę. — Ksiądz Rzewuski rzeczywiście odznaczał się nader surowym trybem życia. Mieszkał przy ulicy Chłodnej i literalnie nigdy nie używał powozu. Mieszkanie jego było zapełnione książkami, bez żadnych wygód w umeblowaniu, nie miało nawet łóżka, gdyż kanonik sypiał gdzie się zdarzyło, na ławce lub na kanapce, w ubra-

---

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

niu. Wszystkie swe dochody, wynoszące kilkadziesiąt tysięcy złp. rozdawał ubogim, na siebie prawie nic nie wydając [1]).

Księża czerwoni dolewali wciąż oliwy do ognia, komunikując swoim przyjaciołom z różnych kółek wszystko, co mogło być tłómaczone na niekorzyść arcybiskupa. Księży gniewało, że nowy zwierzchnik mało był dostępny, że się znosił tylko ze swym oficyałem i wszelkie sprawy przez niego rozstrzygał. Kanonicy Szczygielski i Budziszewski dokładali wszelkich starań, by się zbliżyć i pozyskać zaufanie arcybiskupa; narzucali się mu z wyjaśnieniami wszelkich podziemnych tajemnic, znosili wszelkie wiadomości, niczego wszakże nie mogli dokazać. Cokolwiek mu opowiedzieli, okazywało się, że arcybiskup o tem już dawno i dokładniej był poinformowany. Chciał się także zbliżyć i przypomnieć arcybiskupowi kanonik Stanisław Feliński z tytułu pokrewieństwa, ale ten mniej jeszcze wskórał. Arcybiskup wiedział coś o jego stosunkach z Rosyanami i o jego niepewnym i dwuznacznym charakterze...

Wszystko to składało się na to, że już przed ważnym wypadkiem otwarcia kościołów, zapanowało nieprzychylne usposobienie dla wyższej władzy duchownej. A jednak niecierpliwie wyczekiwano tej chwili. Szczególnie lud prosty ciężko odczuwał brak wspólnych, publicznych nabożeństw. Z nader małymi wyjątkami cała katolicka ludność odczuwała, że jej od czterech miesięcy niedostaje czegoś istotnego, niezbędnego jak powietrze, do czego wszyscy od pieluch przywykli. Dzwony zamilkły, nie znać tego zwykłego, w oznaczonych godzinach ruchu pobożnych do kościołów. Coś ciężkiego przy-

[1]) Z opowiadań księdza kanonika Jakubowskiego.

gniatało dusze i napełniało je jakiemś nieokreślonem uczuciem mroku i chłodu...

Nic więc dziwnego, że z pierwszym brzaskiem poranku, dnia 13 lutego 1862 roku, niezliczone tłumy ludności popłynęły ku katedrze św. Jana. Dzień był pogodny. Słońce wszakże najjaskrawiej odbijało od szyszaków, bagnetów i pałaszy licznych patroli i rozjazdów, snujących się po różnych ulicach miasta, omijając wszakże ulicę św. Jana. Już od godziny 7 rano ulica ta była przepełniona ludem do tego stopnia, że powóz arcybiskupa, noga za nogą, ledwie mógł dotrzeć do zakrystyi katedralnej, z której o godzinie 9 arcybiskup przyobleczony w uroczyste szaty, w otoczeniu kapituły, duchownej akademii i mnóstwa księży, skierował się ku głównym podwojom świątyni.

Pomimo niezliczonych tłumów ludu, tłoczących się na ulicy, cisza panowała niezwykła. Gdy orszak zatrzymał się u głównego wejścia, arcybiskup zaintonował antyfonę psalmów pokutnych. Następnie kler zaczął śpiewać te psalmy najprzód przed głównem wejściem, następnie zaś podczas procesyi naokoło kościoła. Gdy powrócono napowrót przed główne wejście, arcybiskup uderzył po trzykroć w zawarte drzwi kościoła, te się otworzyły i arcybiskup pierwszy przestąpił próg świątyni. Za nim postępowało duchowieństwo i lud.

Gdy doszli do presbyteryum, wszyscy padli na kolana, arcybiskup zaś legł krzyżem u stopni wielkiego ołtarza. Kler zaczął śpiewać litanię do Wszystkich Świętych, co trwało około godziny. Po litanii arcybiskup powstał i z duchowieństwem trzy razy obszedł kościół, kropiąc wodą święconą ołtarze i ściany kościoła. Lud modlił się, płacząc głośno. Na tem się skończył obrzęd rekoncyliacyi.

Potem arcybiskup wstąpił na ambonę, przeżegnał się i drżącym ze wzruszenia głosem powitał

lud słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus." Kilka głosów odpowiedziało „na wieki wieków amen" i świątynię zaległa cisza grobowa.— Arcybiskup zaczął:

„Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli! Te słowa, mili moi słuchacze, dały się słyszeć w chwilach równie ciężkich, jak obecne i dlatego najodpowiedniejsze są przy tej smutnej ceremonii, którąśmy tylko co dopełnili. Do tej chwili nie mieliście ani tej chwały, ni tego pokoju, boście byli pozbawieni kościoła i modlitwy! Obecnie Bóg się zlitował nad naszą nędzą. Podwoje świątyni otwarły się przed wami, dla waszych szczerych i gorących modłów.

Pamiętajcie, że kościół jest jedyną waszą ostoją, istotą i treścią życia, źródłem szczęścia, środkiem połączenia się z Bogiem w cierpieniach i potrzebach naszych czy to doczesnych, czy wiecznych.

Najistotniejszą zaś modlitwą, modlitwą nad modlitwami jest dobrze wam znana, którą powtarzamy za Jezusem Chrystusem: Ojcze nasz! któryś jest w niebiesiech, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje! — Z tych słów widzicie, kto nam rozkazuje się modlić i jak mamy wyrażać prośby nasze. Jasne to i zrozumiałe do takiego stopnia, że nie widzę potrzeby nad tem się rozszerzać, lecz wprost chcę przejść do rozwiązania daleko trudniejszej kwestyi.

Gdyby ktokolwiek wzbraniał wam modlić się do Boga i uciekać się do Niego w uciskach i potrzebach waszych, pierwszy bym wam powiedział, nie słuchajcie go!

Gdyby jakakolwiek władza zabraniała wam modlitwy, powiedziałbym wam; nie słuchajcie tej władzy, gdyż obowiązki wasze względem Boga wa-

żniejsze są, niż obowiązki względem silnych tej ziemi.

Gdyby ktokolwiek wzbraniał wam modłów za ojczyznę, za ukochany kraj nasz i gdyby jakakolwiek władza nie dozwalała wam modlić się na uproszenie szczęścia i powodzenia ojczyźnie naszej, znów bym wam powiedział, nie słuchajcie tej władzy, albowiem rozkazy jej w tym wypadku nie dobre są.

Niech Bóg nas broni i uchowa od tego, byśmy w modłach naszych mieli zapomnieć ojczyzny naszej. Gdybyście się przestali modlić za ojczyznę, prosiłbym Pana Zastępów, by mnie zabrał ze świata, prosiłbym Go, by zesłał niepłodność na matki, które nie umiały wpoić w sercach swych dzieci głębokiej i gorącej miłości ojczyzny. A więc widzicie z tego, że modlić się za szczęście swego kraju, za powodzenie ojczyzny naszej, nikt nam nie może zabronić. A więc módlmy się za nią — Zdrowaś Marya..."

Słowa te wywołały silne wrażenie na słuchaczach. Z wielu miejsc świątyni rozległ się płacz rozgłośny. Po niejakiej chwili arcybiskup ciągnął dalej:

„Uspokójcie się i nie płaczcie! Raz jeszcze zapewniam was, że żadna siła w świecie i żadna władza na ziemi nie może nam wzbronić i nie będzie zakazywała modłów za tę, żyjącą w sercach naszych, która nam tak droga i święta Zapewniam was, że zawsze będziemy mogli zanosić prośby do Boga za ojczyznę naszą, lecz jednocześnie sumienie mi nakazuje ostrzedz was, jako wasz pasterz, że hymny, które się wkradły między modlitwy wasze i które nie są przez kościół potwierdzone, nie są modlitwą. Prawdziwy katolik winien wystrzegać się tych śpiewów. Gdy się sami dobrze zastanowicie, uznacie, że zaprzestanie tych śpiewów, nie będzie

zaprzestaniem modłów za ojczyznę, ku czemu niech mię Bóg zachowa, bym miał kiedykolwiek was zachęcać. Wtedy moglibyście mnie śmiało opuścić i nie usłuchać, gdyż w sercach waszych zarówno jak i w mojem, goreje jeden i ten sam płomień świętej miłości ojczyzny. Otóż w imię tej świętej miłości winniśmy zanosić przed Boga nasze czyste modły i błagania.

O jakże czuję się szczęśliwym, że mogłem otworzyć przed wami i dla was podwoje świątyń, w których wspólnie chwalmy i cześć oddawajmy Panu nad Pany. Lecz zaklinam was i proszę w imię wszystkiego co wam święte i drogie, zaprzestańcie śpiewów wzbronionych przez władzę, za które już tyle wycierpieliście i za które dotychczas cierpi tylu waszych współbraci i kapłanów. Zaprzestańcie tych śpiewów, gdyż już są bezcelowe. Były one potrzebne dopokąd służyły wyrazom żądań waszych, które tylko w ten sposób mogły były być wypowiedziane. Teraz atoli, gdy władza usłyszała te żądania i wie czego się domagamy, uporne trwanie przy tym środku, złe tylko może wydać następstwa.

Przybyłem do was także i jako zwiastun lepszych nadziei, że monarcha ma szczery zamiar zadosyćuczynienia potrzebom kraju naszego On mnie zapewnił, że ani mu w myśli nie postało pozbawiać nas narodowości lub religii naszej. Zapewnił, że spełni wszystkie nasze uprawnione żądania, pod warunkiem wszakże, by się kraj uspokoił i zaprzestał tych demonstracyjnych śpiewów, drażniących władze. Zapewne, możecie powiedzieć, że obietnice podobne nieraz już były czynione, nigdy zaś skutku nie osiągały. Na to wam odpowiem: nie wybiegajcie naprzód z waszem niedowierzaniem, gdyż słowo monarchy, służy mi w tem poręką. Zastosujmy się do naszego położenia, abyśmy potem nie

potrzebowali czynić sobie samym wyrzutów, żeśmy wszystko zepsuli, że sami jesteśmy przyczyną, iż rząd nie spełnił obietnic, mających na celu dobro kraju i ocalenie mnogiej braci naszej. Dlatego raz jeszcze proszę i zaklinam was w imię Boga, zaprzestańcie tych śpiewów, a to nie dlatego, że ja was o to proszę, lecz dla dobra kraju, dla dobra własnych spraw naszych. Chociażby to wam przychodziło z trudnością, znieście ten przymus cierpliwie, naśladując Chrystusa Pana, który za prawdę śmierć krzyżową poniósł, a jednak do ostatniej chwili posłusznym był władzy, przez cezara ustanowionej. Bierzcie przykład z pierwszych męczenników chrześcijaństwa, którzy tylko w rzeczach niezgodnych z świętą wiarą katolicką odmawiali posłuszeństwa władzy. Poddaniem się i uległością wobec niezbadanych wyroków Opatrzności wyjednamy miłosierdzie i zmiłowanie Boże i zasłużymy na Jego błogosławieństwo. Pamiętajcie, że wszelka władza pochodzi od Boga!—Winni niech drżą przed obliczem gniewu Pańskiego, a sprawiedliwie karząca ręka Boża dosięga winnych jeszcze i tu na ziemi.

Ażeby ten sprawiedliwy gniew Boży nie spadł na głowy nasze, ażeby się nie okazało, żeśmy winni kary, posłuchajcie tego pierwszego mego do was pasterskiego słowa i wierzcie, że i ja zarówno z wami kocham ojczyznę naszą i pragnę szczęścia dla niej i dla świętego Kościoła naszego. Spuśćcie się pod tym względem na mnie. Kto na to gotów, kto mi zawierza i gotów usłuchać rad moich, niech uklęknie dla otrzymania pasterskiego błogosławieństwa."

Powiedziawszy to, arcybiskup spojrzał na kościół i widząc, że bardzo niewielu uklękło, większość zaś tłumnie zaczęła wychodzić, pośpieszył wyrzec biskupie błogosławieństwo i zalał się łzami.

Do nieopisania smutne wrażenie wywarło na

arcybiskupa to nieprzyjazne przyjęcie pierwszego jego odezwania się do wiernych, w świątyni tylko co przez niego otwartej, a w której tak długo żaden głos prawdy się nie odzywał, ani też żadna modlitwa ku Bogu nie płynęła. Zapewne, mógł przypuszczać, że nieprzyjaciele rządu, wiedząc, albo domyślając się treści słów jego, będą się starali źle usposobić tłumy; spostrzegał nawet wśród ludu całe zastępy menerów rozdających hasła i kierujących tłumem, miał pod tym względem oko wytrawne i nie darmo nosił na czole bliznę od pruskiego pałasza. Był na wszystko przygotowany, a mimo to jednak poczuł wielki ciężar na duszy. Bitwa przy pierwszem zawiązaniu się została przegraną. Jak długo, jak starannie układał tę swoją pierwszą przemowę, pisał i poprawiał ją w murach Petersburga, Poznania i Warszawy — wszystko napróżno! Przed sobą miał wrogów, a nie posłuszne głosowi pasterza owieczki. Widział to jasno, jednak postanowił iść dalej raz wytkniętą drogą... dopóki wystarczą siły... jak długo będzie można...

Natychmiast po mieście rozszerzono opinię, że arcybiskup zanadto się pośpieszył z otwarciem kościołów, że nawet nie ogłosił o tem jak należy w gazetach i nie zażądał od władzy istotnych porękę, poprzestając na jakichś mglistych przyrzeczeniach ustępstw, nie uwolniwszy ani jednego więźnia. Co by to potrafił dokazać człowiek zręczny i polityczny. Ale nie stało Fijałkowskiego, niema Białobrzeskiego!

Nazajutrz, dnia 14 lutego, arcybiskup objechał wszystkie otwarte kościoły i w każdym z nich czas jakiś strawił na modlitwie. W kościele Bernardynów, który jednocześnie z katedrą został otwarty przez księdza biskupa Platera, modlił się dłużej.

Potem zwiedzał różne instytucye duchowne i dobroczynne, w niektórych przemawiał, lecz wszę-

dzie lud go spotykał zimno. Arcybiskup czuł, że między nim i powierzonym mu stadem otwarta przepaść.

Na domiar bezsensowych plotek, nieuzasadnionych zarzutów i insynuacyi, arcybiskup otrzymał oburzającą, bezimienną odpowiedź na słowa, wypowiedziane w katedrze świętego Jana dnia 13 lutego, noszącą tytuł: „Słowo ludu polskiego do Jego Arcypasterskiej Mości księdza Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, arcybiskupa-metropolity warszawskiego." — Oto kilka wybitniejszych ustępów z tej odpowiedzi: „Najprzewielebniejszy Arcypasterzu i Ojcze! Słowa Waszej Arcypasterskiej Mości, wypowiedziane do duchowieństwa i ludu przy otwarciu kościołów, wyświeciły nam dostatecznie plan działania, jakiego się W. P. Mość trzymać zamierza, plan jedynie właściwy siepaczom cara-ciemiężcy, oparty nie na prawie Bożem i obowiązkach biskupa, lecz podyktowany zgubną dla nas i dla wiary naszej polityką. Słowa te zmuszają naród polski do zaprotestowania przeciw fałszywemu rozumieniu sprawy narodowej, podjętej w imię wiary i swobody.

Waszej Arcypasterskiej Mości, jako człowiekowi wykształconemu nie potrzeba wyjaśniać położenia spraw w Europie i o ile ono jest pomyślne dla naszego wskrzeszenia. Protest horodelski, zaniesiony przez przedstawicieli wszystkich ziem i powiatów dawnej Rzeczypospolitej stwierdził, że obecnie nie mamy króla, gdyż za takiego nie możemy uznawać cara rosyjskiego... Przysięga wymuszona, nie obowiązuje... Tyle razy nas oszukiwano, łamano dawane nam najuroczystsze przyrzeczenia i zaciągane zobowiązania, że obecnie nie złapią nas na żadne obietnice, a jeśli Wasza Arcypasterska Mość zechcesz nam wyjawić swe panslawistyczne dążności i zachwyt wobec nowych urządzeń, mających się zaprowadzić podług planów Wielopolskiego i cara,

to uprzedzamy, że Was odstąpimy, jako człowieka postępującego fałszywą drogą, nam zaś nie pozostanie nic innego, jak tylko dobijanie się celów naszych za cenę ofiar najdroższych. Uważamy każdego, kto się nie oddał całą duszą i ciałem sprawie naszej, albo kto takową w zabłądzeniu lub słabości ducha inaczej pojmuje, za przeszkodę, którą należy usunąć.

Ścieżki Pańskie niezbadane i nikt przewidzieć nie może, co się w najbliższym czasie stanie...

Z wstąpieniem na tron nowego cesarza nasze nadzieje ożywiły się, lecz wróg rodu ludzkiego nie zasypiał sprawy...

Ścieżki Pańskie nie zbadane. Któż mógł przewidzieć, że ciecz smrodliwa rozlana w teatrze, w czasie pobytu trzech wrogich nam mocarzy, będzie początkiem najważniejszych wydarzeń, mających wielką polityczną doniosłość i które uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem.

Kto mógł przewidzieć? Był jednak mąż, prawdziwie mądry i wielkiej wiary, który zrozumiał prawdziwe znaczenie i doniosłość zaszłych ostatnimi czasy wydarzeń. Mówimy tu o zmarłym arcybiskupie ś. p. księdzu Fijałkowskim. On nie powtarzał nam kłamstw carskich, nie mówił, że manifestacye przeszkadzają rozwojowi życia narodowego.... on nie paraliżował działania duchowieństwa.... on nie potrzebował rekomendacyi z Petersburga do carskich siepaczy w Warszawie.... on nie poniżył najwyższej godności duchownej i narodowej składaniem wizyt generałom; jeżdżąc po mieście, on nie potrzebował eskorty, policya nie śmiała nadzorować każdego jego kroku....

Za jego życia rząd nie zaczepiał kapłanów, i przez to z jednej strony wzrastało zaufanie, z drugiej zaś miłość i poświęcenie; gdyż, gdzie ksiądz

z krzyżem, tam znajdzie się zawsze lud posłuszny i korny....

Lecz, jak skoro odnieśliśmy na wieczny spoczynek zwłoki ukochanego arcypasterza, wszystko się naraz zmieniło. Samowola carskich służalców doszła do tego, że nietylko licznych a najczcigodniejszych kapłanów powysyłano na Sybir, lecz nawet uwięziono samego administratora...

Przybycie Waszej Arcypasterskiej Mości wlało w serca nasze promień nadziei.... oczekujemy dalszych waszych czynów.... Gdyście się do nas odezwali w świątyni, nie znalazł się ani jeden, podzielający Wasze poglądy; gotów do postępowania podług Waszych wskazań i przekonany, żeście prawdziwy duchowy wódz narodu. Zapewniamy Was Imieniem Wszechmocnego Boga i sumieniem narodu polskiego, że car i Wielopolski kłamią, ażeby i Was wobec nas w kłamcę przemienić. Zapytajcie historyi, czy znajdzie się choć jeden wypadek, świadczący o tem, że w stosunkach z nami dotrzymano chociażby jedno z dawanych nam przyrzeczeń...

Obecnie, dopóki Wasza Arcypasterska Mość nie uczyniłeś jeszcze żadnego zbyt stanowczego kroku, carscy słudzy otaczają Was pochlebstwy, lecz jak skoro raz staniesz stanowczo po ich stronie i zwrot ku nam stanie się już niemożliwym, wówczas spostrzeżecie, jaka zmiana nastąpi w zachowaniu się Piłsudzkich i Kryżanowskich [1]).

Najprzewielebniejszy Pasterzu i Ojcze! Przed Tobą rozścielają się dwie drogi, obie usłane kolcami i cierniem. Jedna, to droga wiary, zroszona krwią męczenników, kapłanów i wygnańców; druga,

---

[1]) Piłsudzki zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego został zamianowany oberpolicmajstrem m. Warszawy na miejsce Rozwadowskiego.

prowadzi do złudnych łask carskich i poniżenia przed Rosyanami. Drogi pośredniej, którą Wasza Arcypasterska Mość starasz się wynaleźć za pomocą różnych dowcipnych dyplomatycznych wybiegów, nie było między niemi i nie będzie Wybieraj więc sposób postępowania, który uznasz za najodpowiedniejszy Twoim pasterskim obowiązkom.... i pamiętaj, że Chrystus naznaczył pasterzy dla owczarni, nie zaś owczarnię dla pasterzy..."

Feliński po niejakim czasie przeczytał to pismo swemu księdzu oficyałowi i ku wielkiemu tegoż zdumieniu wymienił nazwisko autora. — Pismo, ma się rozumieć, rzucono do kosza i zapomniano o niem, lecz niepodobna twierdzić, ażeby nie pozostawiło ono śladu w duszy tego, do którego było adresowane. O nie! w niej odezwało się coś .. gorzkiego, bodzącego, nawskroś dojmującego... Widziadła które przed jego oczyma zamajaczyły, coraz częściej nawiedzały jego wyobraźnię i nie dawały się tak łatwo odpędzać jak w początkach... a wrogowie... czy też przyjaciele... któż odgadnie, wiedli dalej rozpoczętą robotę. Na mieście ukazały się następujące plakaty:

„Kościoły otwarte, lecz nam nie wolno się w nich modlić! Naród nie chce i nie może się wyrzec drogi, po której dotychczas postępował; nie chce zadać kłamu przeszłości i w stosunku swym do Boga poddać się ukazom carskim. Spójrzcie na te świątynie: one się zamieniły w koszary policyi, gdzie tłumy zbirów, szpiegów i denuncyantów śledzą za każdem westchnieniem modlących się, spragnione dostarczyć carowi jeszcze dodatkowego żołnierza dla orenburskich batalionów lub galernika dla dobywania złota.

Drodzy bracia! Jedyna nasza modlitwa, błagająca o pomyślność ojczyzny nam jest wzbronioną! Dlatego, niechcąc narażać duchowieństwa na nowe

prześladowania, ani dodawać nowych ofiar do dawnych, lecz owszem w celu zaoszczędzenia krwi bratniej na chwile ważniejsze, nie powinniśmy iść ślepo w rozstawione na nas sieci. Nie mamy kościołów, gdyż duch Boży tam nie przebywa, gdzie car wyłącznie rozkazuje. Chrystus uchodzi z murów, które się stały przybytkiem fałszu i oszukaństwa, gniazdem zbirów i policyi. Świątynie Boże przestały być Świątyniami. Lecz pomnijcie drodzy bracia, że Bóg jest wszędzie. Niech więc do czasu nasza szczera i gorąca modlitwa rozlega się wszędzie po domach i na wewnątrz na chwałę Bogu i zbawienie ojczyzny. A gdy przyjdzie czas, gdy skupiwszy się w jedną rodzinę, oczyścimy kościoły z celników i faryzeuszów, wówczas wzniesiemy do Boga uroczystą modlitwę słowami pieśni: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!" — Podówczas duchowieństwo tak było rewolucyjnie podniecone, że na drugi dzień po otwarciu kościołów, księża w katedrze św. Jana i u Reformatów na Senatorskiej ulicy wystąpili z podburzającemi kazaniami, za co zostali uwięzieni. Jednakowoż arcybiskup wziął ich na porękę i uwolnił od dalszej odpowiedzialności.

Wszystko to wychodziło z trzech czerwonych kółek t. j. Sybiraków, złożonego z poważnych i doświadczonych ludzi; miejskiego, zbierającego się u dyrektora żeglugi parowej, Leona Królikowskiego, a złożonego przeważnie z jego przyjaciół i znajomych; i akademików, w którem oprócz słuchaczy różnych naukowych zakładów warszawskich, skupiało się wszystko, co było zapalnego, nieposkromionego i niecierpliwego w średnich warstwach ludności warszawskiej. Nieco później przyłączyło się do nich kółko kapłanów księdza Mikoszewskiego.

Wszystkie te koła miały cel wspólny; obalenie reakcyi, a następnie na dalszym planie, zbrojne po-

wstanie. Dla nich wszystkich nowy arcybiskup, rozpoczynający swą działalność od wzbronienia hymnów i manifestacyi, był wrogiem, sługą i poplecznikiem Wielopolskiego, zwiastunem reform przygotowywanych przez Margrabiego w Petersburgu, a o których już, jak o czemś nadzwyczaj doniosłem i zbawiennem, zaczynano przebąkiwać w obozie białych.

Mimo to, każda z tych partyi, miała swój odcień odmienny, przeszkadzający im zlać się w jedno ogólne stronnictwo. Każda dążyła do zapanowania nad innemi i wyłącznego wszystkiem rządzenia. Najwięcej takich pretensyi wypowiadali Sybiracy, mający nawet swój organ publicystyczny. Pretensye ich atoli pozostały tylko w sferze pobożnych życzeń, gdyż pomimo, że Sybiraków powszechnie szanowano, pod ich przewództwo nikt nie chciał się szeregować. Do tego, w końcu stycznia 1862 roku, głównych przewódców aresztowano i wywieziono w głąb Rosyi, więc i samo kółko, chociaż się nie rozwiązało, było jednak zachwiane w swych podstawach. — Henryk i Aleksander bracia Krajewscy w początkach marca zostali zesłani do Wiatki, jednakże wskutek różnych starań zatrzymano ich w Moskwie, a po dwóch miesiącach internowano w Tambowie, gdzie pozostawali do czerwca 1862 roku. Następnie za wstawieniem się hrabiny A. D. Błudow, proszonej o to przez Wielopolskiego, ułaskawieni, wrócili do Warszawy. Henryk Krajewski w 1864 roku ponownie zesłany do Rosyi, ponownie powrócił z wygnania i był w 1879 roku adwokatem przysięgłym przy izbie sądowej warszawskiej.

Jednocześnie zesłani do fortec: Izaak Kramsztyk do Bobrójska, Leon Goldsobel do Zamościa, Stanisław Szczeciński do Brześcia litewskiego, Karol Bayer do Modlina. W początkach lutego 1862 roku szewc, Stanisław Hiszpański, zesłany do Wiatki.

Pozostali członkowie stronnictwa Sybiraków wydawali dalej, do października 1862 roku, *Strażnicę*. Potem zjawił się *Sternik*, organ tegoż samego kółka, redagowany podobno przez Aleksandra Zamoyskiego, urzędnika, który się wkrótce znalazł w Cytadeli. W końcu wychodził *Partyzant*.

Odtąd tak liczbą jak i doświadczeniem nabrało przewagi kółko miejskie Królikowskiego. Wybrany już nieco wcześniej komitet miejski, w skład którego weszli: Ignacy Chmieliński, obywatel ziemski, Juljan Wereszczyński, urzędnik Banku polskiego i Głowacki, student kijowskiego uniwersytetu, zaczął formować czerwoną organizacyę, zwąc ją także narodową, a mającą za zadanie obalenie organizacyi białych. Jak daleko organizacya ta w zawiązaniu się swem zaszła, niewiadomo. Pewnem jest tylko, że w Warszawie ustanowieni zostali wydziałowi, podlegający naczelnikowi miasta.

Program ich był następujący:

Przywrócenie Polski w dawnych granicach zapomocą rewolucyi, do której już teraz pośpiesznie sposobić się należy, zerwawszy wszelkie stosunki z rządem. — Zasady rewolucyi: równouprawnienie wyznań, stanów i narodowości; oswobodzenie i uwłaszczenie włościan. W środkach dla dopięcia celu nie bardzo byli wybredni, posiłkując się rozmyślnem uwodzeniem a nawet teroryzmem. Nowego komitetu lub centralnego zarządu do czasu nie ustanawiano [1]).

Zaledwie coś o tem zasłyszeli „akademicy,” wnet postanowili prześcignąć „miejskich” Królikowskiego. W marcu więc 1861 roku ustanowili swój komitet, nazwany „komitetem rewolucyjnym akademickim,” w skład którego weszli: Benedykt Wło-

---

[1]) Z zeznań Majewskiego.

dzimierz Milowicz, emisaryusz, jak niektórzy utrzymywali, generała Wysockiego, czy któregoś innego z czerwonych wodzów emigracyi; Stanisław Maleszewski, Zdzisław Janczewski, Władysław Daniłowski i Wincenty Kamiński. W mieszkaniu Janczewskiego przy ulicy Chmielnej, związano się następującą przysięgą: „Przysięgamy Bogu, w Trójcy świętej jedynemu, i nieszczęśliwej ojczyźnie naszej; przysięgamy na imię Kościuszki, Kilińskiego i wszystkich męczenników polskich, że dołożymy wszelkich starań i usilności, z narażeniem życia i mienia, ku podźwignięciu i odbudowaniu Polski w granicach pierwszego jej rozbioru. A gdybyśmy przysięgę tę złamać lub zdradzić mieli, niech dusze nasze zostaną przeklęte, imiona zaś nasze jako zdrajców, niechaj przechodzą w pogardzie w najdalsze pokolenia!" —Komitet zbierał się bądź to u Janczewskiego na Chmielnej, bądź u Miłowicza na Świętokrzyskiej. Zaraz na pierwszem zebraniu postanowiono prowadzić dalej werbunek ochotników do nieuniknionego już, i to w bliskiej przyszłości, powstania, trzymając się przyjętego już systemu trójek i dziesiątek. Następnie trójki zarzucono a postanowiono tylko werbować dziesiątki i zwerbowanych zaraz zaprzysięgać.

Wiadomo, że najlepszym materyałem na ochotników była czeladź z drobnych rzemieślniczych warsztatów. Ludzie oświatą mało co wyżej stojący od chłopa, a raczej ciż sami chłopi, przybrani w miejskie surduty i czapki, nadzwyczaj lubiący rozprawiać na swych zebraniach o wszelkich miastowych wypadkach, czytający, kto umiał, *Kuryerka* i wszystko, co wpadło do ręki, po skończonej zaś pracy kończący dzień rozpoczęty w bawaryach, ogródkach, garkuchniach, gdzie piwo płynie strugami, muzyka grzmi, kule stukają po bilardach i gdzie dyable jest wesoło dla wczorajszego chłopa.

Jest w tem coś odurzającego i wzruszającego, poezya swego rodzaju, zdolna pociągnąć i odurzyć rzemieślnika po ciężkiej pracy i całodziennym znoju, bardziej niż wszelkie Bajrony i Shakespeary pociągają innych, także wyrobników. Ludek ten posiada istnie wilczy apetyt na rozrywki wszelkiego rodzaju, za to jest prawie zawsze bez grosza. Pieniądz jakoś dziwnie topnieje w ich ręku, a do tego tych pieniędzy tak zawsze mało, tak mało...

Z jakąż zawiścią patrzy nieraz taki biedak na innego szczęśliwca, który może sobie pozwolić na jeden i drugi kufel piwa i siedząc gdzieś za stołem, zwolna, nie śpiesząc się, spija ten pożądany nektar, przysłuchując się ogłuszającym dźwiękom trąb i tarabanów, nie widząc nikogo i tylko mętnym wzrokiem wodząc po przesuwających się postaciach... Czytelnicy Bajrona nigdy nie potrafią wżyć się w umysł takiego człowieka, z narobionemi dłoniami, przyzwyczajonego wyprawiać skóry, giąć obody, dźwigać godzinami ciężki młot u kowadła; nie zrozumieją nigdy, jakim niebiańskim napojem wydaje się w takiej bawaryi nieosobliwe warszawskie piwo. Zażyć tej rozkoszy nie trudno, dostanie się jej za dziesiątkę, lecz nieraz brak i tych nędznych dziesięciu groszy. I stoi taki wyrobnik u wejścia, stoi z zaciśniętemi zębami i złowrogo roziskrzonem okiem... co on wtedy myśli?... lepiej może nie zazierać mu do głębi duszy w podobnych chwilach.

Doskonale wszelako znali ten ludek niektórzy akademicy. Taki werbownik przysiadał się do pierwszej lepszej podobnej postaci, zawistnie spoglądającej z zaciemnionego kąta na hulankę szczęśliwszej swej braci, fundował mu jeden, drugi i trzeci kufelek, poczęstował niezłem cygarem, jakiego przyszły powstaniec może nigdy w życiu nie palił i zawiązywała się między nimi gawęda. Z tymi ludźmi

można było rozprawiać o różnych rzeczach. Wiedzieli oni coś i o Francyi i o Napoleonie, o Mierosławskim, Garibaldim i... o czemś jeszcze. W pokoju ich gospodarza, czyli pryncypała, wielkiego polityka w swoim rodzaju, noszącego częstokroć bardzo przyzwoity surdut, jak pan jaki, którego zresztą wszyscy panem tytułowali, wisiały na ścianach wizerunki Kościuszki, księcia Józefa Poniatowskiego; czasami stał posążek króla Jana Sobieskiego, w wysokim kołpaku z kitą i karabelą u boku; można tam nawet spotkać się z portretami Mickiewicza, Słowackiego, Kraszewskiego...

Akademik, wymacawszy z różnych stron swego współbiesiadnika, wnet się dowiedział o jego stosunkach, usposobieniu i... albo powiedział *adieu* i znikał w tłumie, lub też udzielał mu niektórych współczesnych tajemnic i przyzywał „do służenia wspólnej sprawie."

Zdarzało się, że akademik trafił już na wtajemniczonego, wtedy rozmawiali ze sobą niedługo i zaraz się umawiali. Czasem też werbowany zapytał, na czem polegać będzie ta służba?

— Otóż przyjdź jutro o piątej po południu na Zjazd pod Zamkiem; albo chodź koło pałacu Stanisława Potockiego na Krakowskiem Przedmieściu, tam zbliży się do ciebie ktoś, kto ci wszystko wytłómaczy i powie co masz robić.

Mefistofeles znikał, a przed oczyma patryoty w zatłuszczonem wyrobniczem ubraniu, po kilku kufelkach bawara, coś niejasnego majaczyło w wyobraźni.

Nazajutrz, obudziwszy się ze snu, przypomniał sobie dziwną wczorajszą rozmowę z jakąś tajemniczą osobą; był mocno zaciekawiony całem tem zajściem i o godzinie oznaczonej stawił się nieodmiennie w wyznaczonem miejscu, spozierając niespokojnie wokoło i oczekując z coraz większą niecierpli-

wością rozwiązania zagadki. Nie twierdzimy, aby się nie domyślał po części, jaka to tajemnica i czego się ona tyczy...

Tymczasem różni opatrywali samego kandydata i najczęściej znalazł się ktoś taki, który znał przybysza, co on za acz, czy przydatny i w czem dla przyszłych celów; tchórz, czy człek odważny, czy ma lub nie przyjaciół i znajomych między policyantami i t. p. Po takich oględzinach, które trwały czasem godzinę i więcej, jakiś zupełnie nieznajomy pan zbliżał się do przyszłego patryoty i kazał mu iść za sobą. Ten szedł z uczuciem gorączkowego dreszczu, nie pozbawionego pewnej dozy przyjemności, jakiego doznaje każdy człowiek przy niezwykłych, awanturniczych wydarzeniach. Niewielka, ciemna komnata, w tylnem skrzydle pałacu Stanisława Potockiego, o zamkniętych okiennicach, do której po jednemu wprowadzano werbowanych, była zupełnie nieumeblowaną. W niej wstępujący musiał oczekiwać aż się uzbierało 5 do 10 towarzyszów; poczem wszystkich razem wprowadzano do drugiego pokoju, równie z zamkniętemi okiennicami, oświeconego słabo przez dwie jarzące świece, płonące na stole okrytym czarnem suknem, między któremi stał krucyfiks [1]). Przychodzących spotykał młody człowiek lat około trzydziestu, miłej powierzchowności, nazywający siebie hrabią Wołowskim, wypowiadał krótką, patryotyczną przemowę, w której wspominał

---

[1]) Było to mieszkanie Stanisława Frankowskiego, w którem atoli nigdy nie mieszkał, a nawet do niego nie zaglądał. Z jednej strony okna wychodziły na ogród, z drugiej zaś strony od ulicy Czystej było tylko małe owalne okienko; tak wysoko umieszczone, że w żaden sposób do wnętrza zajrzeć nie było można. Obecnie pod tym oknem wybite jest wejście do magazynu Stanisława Wrotnowskiego, z pościelą i żelaznemi meblami (w 1878 roku).

o świętych obowiązkach każdego obywatela kraju w chwilach ważnych i nadzwyczajnych, wyjaśniał, że chwila taka właśnie nadeszła, przytaczając na dowód ogólne położenie spraw politycznych w Europie, obietnice Napoleona, sympatye Anglii i Włoch, a wszystko to jasno, dokładnie i zrozumiale, dźwięcznym i przyjemnym głosem, patrząc śmiało i stanowczo w oczy nieco zatrwożonych prostaczków. Nikt z nich ani powątpiewał, że to „prawdziwy hrabia," pan z panów. Po przemowie już tonem wyniosłym rozkazywał wszystkim uklęknąć przed stołem i trzymając dwa palce na krucyfiksie, wykonywać przysięgę.

To tajemnicze otoczenie, ciemny pokój, stół okryty kirem, krucyfiks, świece; ta pewna siebie i rozkazująca postać hrabiego, wszystko to nakazywało posłuch. Rzadko który odważył się sprzeciwić. Zwykle wszyscy padali na kolana, nie mówiąc ani słowa i powtarzali machinalnie za „hrabią," mniej więcej tej treści rotę przysięgi:

„Ja N. N. przysięgam Panu Bogu wszechmogącemu, w Trójcy świętej jedynemu, Przenajświętszej Matce Boskiej i Wszystkim Świętym, że od dziś dnia wstępuję na służbę Ojczyzny, wszystko co mam jej poświęcając. Będę posłusznym Władzy Narodowej w osobie wskazanego mi naczelnika i na pierwsze wezwanie stawię się, nie zwlekając ani chwili. Nie będę się dowiadywał, ani rozpytywał, kto na czele Związku stoi, a wszystko co usłyszę zachowam w najgłębszej tajemnicy, nie mówiąc nic ani rodzicom, ni żonie lub dzieciom, ani też znajomym. Z pieniędzy, pochodzących ze składek, zdam rachunek sumiennie. Tak mi panie Boże dopomóż i Jego Święta Męko i Przeczysta Dziewico, Orędowniczko dusz naszych, jak ja pragnę dopomódz Ojczyźnie mojej! Amen.

Jeśli się trafił uporny, nie chcący złożyć przy-

sięgi, hrabia starał się wszelkimi sposobami skłonić go do tego, że w tem nie ma żadnego grzechu ani niebezpieczeństwa, że sprawa czysta i święta, że w niej bierze udział kraj cały, że już jest 175 tysięcy zaprzysiężonych. „Twój pryncypał już dawno zaprzysiągł, a ty nie chcesz?" — mówił hrabia jeszcze bardziej przekonywająco, spoglądając na onieśmielonego biedaka.

— Czyż gospodarz zaprzysiągł? — „Ma się rozumieć, że przysiągł, ale ci tego nie powie, tak jak i ty nie masz nikomu mówić o swej przysiędze. Zresztą po cóż miałbym cię zwodzić" — dodawał hrabia, śmiało patrząc w oczy patryoty.

— A no! jeśli gospodarz przysiągł, to i ja przysięgnę!—i zaprzysięgał.

Bywały jednak wypadki, że werbowany niczem się nie dał nakłonić do złożenia przysięgi i żądał, aby go wypuszczono. Od takich brano przyrzeczenie, że zachowają w tajemnicy wszystko, co widzieli i słyszeli. Czasem nie żądano nawet i takiego przyrzeczenia i wprost wyprowadzano z lokalu. Pogróżek, przynajmniej w początkach, żadnych nie było.

Zaprzysiężeni po złożeniu przysięgi zapytywali zwykle: „cóż mamy teraz robić?"

Odpowiadano, że przedewszystkiem należy wnieść do kasy narodowej składkę wedle możności, następnie zaś uiszczać miesięczną składkę na cele narodowe. Z początku składano wedle możności, następnie jednak unormowano stałą wysokość składek, złoty polski miesięcznie, albo 15 groszy co dwa tygodnie od każdego należącego do związku rzemieślnika [1]).

Niektórzy ciekawi byli, na jaki cel te pienią-

---

[1]) Opis ten cały, to wytwór bujnej fantazyi autora daleki od rzeczywistości. *Przypisek tłumacza.*

dze zostaną użyte. Tym odpowiadano, że na szpital, byś miał bezpłatną pomoc lekarską w razie choroby. A także zapomogą cię, gdy się przypadkiem znajdziesz bez pracy. Może cię wypadnie wysłać za granicę, będzie za co wykupić paszport. Alboż to pieniądze niepotrzebne?

Tak się to mówiło i oznaczało wysokość składki. Jednakowoż regularny pobór składek od tego nieopatrznego ludku okazał się niewykonalnym. Do tego poborcami byli ciż sami bracia rzemieślnicy. Zebrać, zbiorą, i zaraz-że razem przepiją. Szczególniej składki zaczęły iść opornie, gdy się rozniosły pogłoski, że wyższe władze nie zbyt sumiennie zarządzają groszem narodowym, i że akademicy zebrane pieniądze, zamiast na cele patryotyczne, wydają wprost na hulanki (?).

Nie zważając wszakże na trafiające się nadużycia, na osłabione do pewnego stopnia zaufanie werbowanych do werbowników, werbunek odbywał się bardzo energicznie i ochotnicy przybywali tłumami. Akademikom stało się trudno kierować całą tą sprawą, zdali też robotę na roztropniejszych rzemieślników z grona już dawniej zaprzysiężonych. Rzemieślnik, który zwerbował dziesięciu ochotników stawał się dziesiętnikiem. Kto zebrał kilka dziesiątków, bywał mianowany setnikiem. Sprytniejsi między zwerbowanymi na swoją rękę werbowali dziesiątki, stawali się dziesiętnikami i tak szło coraz dalej. Przytem starsi w organizacyi szczególniej tego przestrzegali, by jeden dziesiętnik nie znał innych współkolegów, ani też setnik setników. W praktyce wszakże zupełnie temu zapobiedz było niezmiernie trudno. Powyżej godności setnika rzemieślnik nie mógł awansować. Tysięcznikiem lub okręgowym zostawał ktoś z akademików, lub niższych urzędników. Między tymi już się zachowywała pewna tajemnica.

Wkrótce policya wykryła lokal w pałacu Po-

tockiego, w którym zaprzysięgano związkowych, przyczem pochwycono kilku zaprzysiężonych. Wskutek tego odbieranie przysiąg przeniesiono do domku przy ulicy Krzywe Koło, przyległej do starego miasta[1]). Tam zachowywano ten sam ceremoniał, jak i w pałacu Potockiego i przysięgi odbierał tenże sam hr. Wołowski. Wkrótce atoli, wskutek coraz liczniejszego napływu zgłaszających się do służby sprawie narodowej, sposób ten odbierania przysiąg okazał się niedogodnym. Wołowski aż zachorował z wysilenia. Władza więc narodowa poleciła werbującym: dziesiętnikom i setnikom, by sami zaprzysięgali ochotników. Odbywały się więc te przysięgi: w ogrodzie willi Frascati przy ulicy Wiejskiej, w której właściciele hrabstwo Braniccy nie mieszkali, a dokąd policya bardzo rzadko zaglądała; u Jana Rozińskiego, szewca, zamieszkałego pod № 280 przy ulicy Freta; u Piotra Dąbrowskiego, szewca, przy ulicy Aleksandrya; u stolarza Mikuszewskiego na Lesznie; u Donata Czyżewskiego, stolarza i Michała Lisemana, szewca na Podwalu, a także po kościołach. Jednak niektórzy nie chcieli się zadawalniać przysięgą przed takim, jak sami rzemieślnikiem, złożoną i szli następnie na Krzywe-Koło powtórzyć ją w ręce „hrabiego“.

Werbunek ten do przyszłego powstania odby-

---

[1]) Było to mieszkanie Ksawerego Oborskiego, pomocnika księgarni, rodem z powiatu olkuskiego. Mając lat 17, Oborski uszedł do Galicyi i tam czas jakiś pracował u krawca w Tarnowie. W 1848 roku dostał się do legionów na Węgrzech. Następnie uczęszczał na technikę w Krakowie i starał się tam zawiązać stowarzyszenie rewolucyjne. Austryacy wydali go rządowi rosyjskiemu; wzięty do cytadeli, przesiedział w niej 20 miesięcy, nim potrafiono rozpatrzyć się w jego, rozmyślnie zagmatwanej, sprawie. Zesłany do katorgi, przebył na Syberyi do 1861 r., z której wróciwszy, zaraz się przyłączył do czerwonych.

wał się bez przerwy od marca do czerwca 1862 r. Policya nie raz wpadała na trop tych robót, wyrywała kilka ogniw z łańcucha, lecz wogóle tajemnica została dochowaną. Odkryto i lokal przy Krzywem-Kole, przyczem uwięziono Oborskiego, którego przydybano w łóżku, w zupełnie zresztą pustym pokoju. Mimo to przysięgi odbierano dalej po strychach, kościołach, w Frascati, z początku w samej tylko Warszawie, wkrótce zaś po całym kraju, nieco później także na Litwie i Rusi.

Ponieważ akademicy nic więcej nie działali, a robota ich bez systemu i prawie jawna szkodziła ogólnym celom czerwonych, gdyż wypadkowo aresztowane jednostki coraz bardziej wypowiadały tajemnicę i odkrywały rządowi, co się mianowicie przygotowuje, więc miejski komitet Królikowskiego postanowił porozumieć się z młodzieżą, i, jeśli się uda, objąć kierunek nad całą robotą, a przynajmniej umówić się o zgodne w wytkniętym kierunku działanie.

Pewnego dnia Królikowski zaczepił Janczewskiego tem, że wie o istnieniu kółka akademickiego i o ich robotach bez wszelkiego planu, które więcej szkodzą, niż korzyści wspólnej sprawie przynoszą i dlatego jest zdania, że byłoby bardziej politycznie i pożyteczniej, połączyć się wszystkim w jeden zastęp patryotów na wszystko przygotowanych i wspólnie rozpocząć działanie przeciw rządowi i białym, podług umówionego planu, a w tym celu wybrać wspólną władzę i tej bezwarunkowo słuchać.

Janczewski odrzekł, że i oni wiedzą o istnieniu kółka miejskiego i powstałego z grona tegoż komitetu, i wcale nie są przeciwni porozumieniu się z braćmi po duchu, którzy prowadzą tę samą robotę, tylko w inny sposób, nie tak dzielnie i skutecznie, a to głównie dlatego, że brak im najcenniejszej zalety akademików, to jest młodości.

Królikowski zakomunikował to swoim przyjaciołom, ci oświadczyli, że się nad tem namyślą i na tem stanęło. Dnia 20-go maja komitet miejski wydał pierwszy numer założonego przez siebie *quasi* czerwono-rządowego dziennika *Głos z Warszawy*, spodziewając się tem skupić około siebie wszystkie czerwone żywioły. Lecz akademicy ani słyszeć nie chcieli o żadnym *Głosie* i dalej prowadzili swoje roboty. Znów policya przychwyciła kilku zaprzysiężonych. Wówczas komitet zawezwał akademików do przysłania deputatów, oznaczając na miejsce schadzki mieszkanie Witolda Marczewskiego, urzędnika przy drodze żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Ostatnich dni maja 1862 roku przybyli: Milowicz [1]), Maleszewski, Janczewski, Daniłowski i Kamiński, czyli cały komitet akademików. Ze strony miejskich, oprócz gospodarza, byli obecni: Leon Królikowski, Stanisław Matusewicz, Julian Wereszczyński, Franciszek Godlewski, Marcin Borelowski, Jarosław Dąbrowski [2]), Ignacy Chmieliński, Edward Kokosiński, Bronisław Szwarce, Jan i Edward Rolscy i Rafał Krajewski.

Po długich dysputach akademicy oświadczyli, że dla dobra wspólnej sprawy, to jest sprawy wszystkich czerwonych, należałoby wybrać jeden wspólny komitet, złożony z 5 członków, z władzą niezawisłą, w którym powinien zasiadać chociażby jeden akademik; inaczej na połączenie się nie zgodzą. Miejscy zarzucali, że akademicy są jeszcze za młodzi, mogliby się więc bezwarunkowo podporządkować starszym i powierzyć tymże kierunek rządu. Aka-

---

[1]) Milowicz nie należał do akademików, skończył kijowski uniwersytet w 1859 r., i przeważnie przebywał w Paryżu. *Przyp. tłómacza.*

[2]) Dąbrowski przybył do Warszawy dnia 6 lutego 1862 roku i zamieszkał pod numerem 9 w hotelu Saskim.

demicy przyznali, że są w istocie młodzi, lecz obecnie czas jest taki, że i młodzi są potrzebni, i mają swoje znaczenie. Na dowód zaś wskazywali na znaczną siłę zaprzysiężonych, którą rozporządzają i która wyłącznie ich słucha, i że właśnie oni, a nie kto inny, wywołali wszystkie obecne wypadki. Starsi zarzucali, że siła, reprezentowana przez młodzież, wywołuje w kraju tylko nieporządki; akademicy zaś odpierali, że gdyby nie te nieporządki, to w położeniu kraju nic by się nie zmieniło...

Porozprawiawszy jeszcze pewien czas w ten sposób, obie partye rozeszły się, nic nie wskórawszy: Wkrótce wszakże, bo w pierwszych dniach czerwca, zeszli się znowu w tem samem mieszkaniu i starsi zrobili pewne ustępstwa młodzieży. Daniłowski, student medyko-chirurgicznej akademii, wszedł do komitetu miejskiego, który składali: Witold Marczewski, Stanisław Matusewicz, Ignacy Chmieliński, Jarosław Dąbrowski i Władysław Daniłowski [1]). Dąbrowski, jako wojskowy, a przytem lubiący i umiejący rozkazywać, stał się stałym przewodniczącym tego nowego „komitetu czerwonych". Nadto był naczelnikiem miasta Warszawy.

Pełen projektów i planów, Dąbrowski już na pierwszych posiedzeniach komitetu przedstawił plan zbrojnego powstania na dzień 14 czerwca 1862 r. i tak zręcznie i gorąco go bronił, takie niezbite dla niewojskowych przedstawiał argumenta, że plan ten przyjęto i gorączkowo zaczęto gotować się do powstania. Lecz spokojniejsze i umiarkowańsze w stronnictwie umysły, tak z Warszawy jak i przybyli z całego kraju wyżsi urzędnicy obu organizacyi, zaprotestowali stanowczo przeciw takiemu niewczesnemu

[1]) Zeznania Zdzisława Janczewskiego.

wybuchowi, a nawet zmusili komitet do rozwiązania się [1]).

Wybrano nowy komitet, w skład którego weszli: Witold Marczewski, Karol Majewski, Julian Paszkiewicz, obywatel ziemski z augustowskiego, Agaton Giller, literat i Jarosław Dąbrowski.

Ażeby raz skończyć z kwestyą powstania, Giller zaproponował, by specyalna komisya rozpatrzyła szczegółowo sprawę... Na to przystano i wybrano do komisyi oprócz wnioskodawcy, Majewskiego i Paszkiewicza, ta zaś zaprosiła na sprawozdawcę sprawcę całego zamieszania, Dąbrowskiego, dla małego wzrostu. Łokietkiem w organizacyi zwanego.

Komisya zażądała od Łokietka wyjaśnień, czem może usprawiedliwić swoje twierdzenie, gdy niema jeszcze ani ludzi gotowych do boju, ani broni, oficerów ani pieniędzy; słowem, gdy jeszcze brak wszystkiego. Dąbrowski odpowiedział, jak wogóle odpowiadają w podobnych wypadkach tacy rewolucyoniści i zapaleńcy, że „przygotować się do powstania w takim stopniu, jak tego żądają biali, wogóle niepodobna; zawsze będzie czegoś brakować; że w rewolucyi najważniejszą rzeczą jest śmiałość i szybkość działania, wskutek czego małe na początku siły, wzrastają jak lawina, i to, co na pozór wydawało się wprost niemożliwem do wykonania, naraz się spełnia, jakby za uderzeniem laski czarnoksięzkiej. Przykładów takich w dziejach aż nadto; najbliższy zaś i najbardziej jaskrawy, to zaszłe przed rokiem wylądowanie Garibaldiego w Marsali z tysiącem na wszystko zdecydowanych ludzi, a którychby wszystkich biały komitet wsadził do domu waryatów. Tymczasem zaś ci waryaci zdobyli Neapol i zmienili kartę Europy. *Unsinn! du siegst!*—powiedział poeta.—

---

[1]) *Giller* tom II, str. 95.

A przytem stan spisku w Królestwie bynajmniej nie jest tak opłakanym, jak to się zdaje zimnym i pogrążonym w egoizmie obserwatorom, nie znającym rzeczy zbliska. Polska ma pomoc w samejże Rosyi, gdzie się także przygotowuje rewolucya. Obywatele ziemscy, pozbawieni przed trzema miesiącami swych praw i znaczenia, są rozgoryczeni i rozdrażnieni do najwyższego stopnia. Włościanie także są niezadowoleni i rozdrażnieni, gdyż według swych przekonań otrzymali nie wszystko, co im się należało. Oni oczekują jakiejś „złotej hramoty" i burzą się; były już starcia z wojskami. Młodzież klas wyższych i średnich, to jest cała młodsza inteligencya rosyjska, oczekuje stanowczej zmiany systemu rządowego. Ona najwięcej wycierpiała za panowania Mikołaja, ale też przed rokiem, już za panowania teraźniejszego cesarza, dobrze się jej dostało. W wojsku niezadowolenie ma inne powody. Cesarz nie zwraca uwagi na zbyt skromne pensye oficerów; zmienia ciągle umundurowania; przytem nie mogą wojskowi zapomnieć i przebaczyć rządowi tych „rzemyczków", które w wojnie krymskiej zatraciły sławę czasów minionych i postawiły Rosyę w ostatnich rzędach państw europejskich. Stojąca w Królestwie Polskiem armia rosyjska jest zupełnie zdemoralizowana, a to z powodów, o których długoby było rozprawiać. Stan fortec opłakany. Bramy Modlina i Demblina wrosły w ziemię i zapomniano nawet, że się mogą zamykać. Nic łatwiejszego, jak wejść przez nie szturmującej kolumnie. A wzięcie takiego Modlina, wywrze wstrząsające wrażenie, będzie tą iskrą elektryczną, która wszystko zapali. Źle uzbrojeni powstańcy znajdą w fortecy broni i amunicyi poddostatkiem. A także... sympatyę!...

Na zakończenie dodał, że prędki wybuch powstania jest niezbędny także i dlatego, ażeby uprzedzić i sparaliżować reakcyę, która zapanuje nieod-

miennie po powrocie Wielopolskiego z Petersburga; tak niezbędny, jak były niezbędne gwałtowne manifestacye za Lamberta, które przeszkodziły wyborom, czyli tejże samej reakcyi.

Któryś z członków komisyi zarzucił mówcy, że co innego wymownie przedstawiać rozmaite mrzonki, poniewierać Rosyę, brać bez armat fortece pierwszorzędne, a co innego zaś to wszystko wykonać. Komisya pragnęłaby wiedzieć, jakie dowody Dąbrowski przedstawi, że wszystko to, co przedstawiał z takiem ożywieniem, nie jest grą tylko jego bujnej wyobraźni, lecz rzeczywiście jest takiem. Szczególniej zaś byłoby potrzebne, mieć dokładne dane o usposobieniu umysłów w wojsku, stojącem załogą w Królestwie; czy w rzeczy samej armia jest tak zdemoralizowaną, jak to twierdzi Dąbrowski?

Dąbrowski oświadczył, że jego słowa potwierdzą liczni oficerowie. Komisya więc zażądała, ażeby na przyszłe posiedzenie przyprowadził z sobą takich oficerów Rosyan i Polaków. Dąbrowski się podjął tego i w istocie sprowadził kilku oficerów sympatyzujących z powstaniem. Część ich wkrótce zginęła, lub wiedzie biedny żywot na emigracyi, część zaś zręcznie i w porę umiała się wycofać i do tego stopnia w 1863 roku prześladowała powstańców, że „Talejrandzi“ sfer rządowych w wojsku nieraz musieli powtarzać tym zapalonym pogromicielom powstania *pas trop de zèle*, *messieurs*, *pas trop de zèle!*... Wszystko to teraz zapomniane; ci panowie znowu są rosyjskimi oficerami i to nawet dobrymi oficerami; niektórzy z nich już są generałami, stoją na czele dywizyi, sztabów... lecz wówczas, w chwilach, które opisujemy, cała kupka oficerów przybyłych z Dąbrowskim na posiedzenie komitetu rewolucyjnego w czerwcu 1862 roku była jednakich przekonań; wszyscy się burzyli, zapalali, bredzili różne głupstwa, uważali się za bohaterów, wo-

dzów zastępów dźwigającej się od morza do morza Polski... Zapewne nie jednemu z nich cierpła skóra w czasie tych rozpraw komisyjnych, na każde poruszenie drzwi, na każdy gwałtowniejszy ruch na ulicy. Cierpnie zapewne im ona i teraz, gdy sobie przypomną jeszcze pewne schadzki w domku przy ulicy Chmielnej, gdzie ta się schodzi z Bracką [1]).

Giller przemówił do zebranych oficerów, wyjaśnił nadzwyczaj ważne i doniosłe znaczenie toczącej się narady i zaklinał ich na honor żołnierski, aby oświadczyli, czy twierdzenia Dąbrowskiego oparte są na rzeczywistości, czy armia jest zdemoralizowana i nie będzie walczyła z powstańcami na seryo, lecz owszem, czy można oczekiwać zdrad i dezercyi. „Od waszych słów, zakończył Giller, zależy przyśpieszenie lub odroczenie powstania, a zatem pamiętajcie panowie, że jeśli wskutek zapewnień waszych rzucimy się przedwcześnie do boju i zostaniemy zgnieceni, nie na kogo innego, tylko na was spadnie cała odpowiedzialność za ten krok nieobmyślany, i za krew przelaną marnie i za opóźnienie wyzwolenia Rosyi i Polski [2]). Dwóch oficerów, Potebnia i któryś drugi, zapewniali, że żołnierze, któremi dowodzą, pójdą za niemi wszędzie, „chociażby na barykady przeciw wojskom carskim.“ Lecz wszyscy inni jednomyślnie oświadczyli, że „powstanie, opierające jedynie swe widoki powodzenia na zdradzie żołnierzy, jest nonsensem; że propaganda prowadzona w wojsku postępuje nadzwyczaj opornie; że na wojska możnaby chyba liczyć w takim razie, gdyby wyginęli wszyscy starsi żoł-

---

[1]) Większość oficerów byli to Polacy. *Giller* ich nazywa „ruskimi“ i powiada, że było ich przeszło 20-stu. — Tom II, str. 95.

[2]) *Giller* tom II, str. 95. *Aweyde* tom II, str. 99.

nierze, ale i to jest rzeczą bardzo wątpliwą; że oni, oficerowie, pójdą do boju i położą swe głowy w walce za wolność i swobodę, lecz nie podejmują się porwać za sobą masy żołnierzy, to istne bydło wojenne." Nakoniec wszyscy oświadczyli, że na powstanie jeszcze nie pora, że ludzie, kierujący spiskiem, powinni wszelkich możliwych starań dołożyć, aby wybuch odroczyć [1]). Zapadła też uchwała odraczająca. Odwołano instrukcye dawnego komitetu o przygotowaniach do niezwłocznego powstania i ogłoszono je jako nieistniejące.

Oburzony i obrażony takim obrotem sprawy Dąbrowski, podmówił podlegających mu, jako naczelnikowi miasta, wydziałowych miejskiej organizacyi, oraz dosyć licznych stronników Chmielińskiego, by zmienili skład komitetu, twierdząc, że to jest konieczne dla ocalenia spisku, że w przeciwnym razie reakcya wszystko opanuje, zanim się kto nawet spostrzeże.

Na najbliższem zatem posiedzeniu komitetu, Dąbrowski złożył na stole oświadczenie wydziałowych, żądające, by komitet „nic nie przedsiebrał i nie wydawał żadnych zarządzeń bez wiedzy i przyzwolenia naczelnika miasta."

Członkowie komitetu jednozgodnie oświadczyli, że takiego wezwania nie usłuchają. Wówczas wydziałowi, podbechtani przez Dąbrowskiego, odmówili posłuszeństwa, co skłoniło Majewskiego i Paszkiewicza do ustąpienia z komitetu, w którym wśród podobnych intryg niepodobna było spokojnie i prawidłowo rzeczy prowadzić.

Gdy wiadomość o tych skandalicznych zajściach w najwyższej władzy czerwonej organizacyi rozeszła się po mieście, osobistości, które wybrały rozbity

[1]) *Giller* tom II str. 96.

komitet, zebrały się wspólnie z wydziałowymi u Marczewskiego i tam po długich sporach i krzykach ustanowiły nowy komitet. złożony z Witolda Marczewskiego, Agatona Gillera, Bronisława Szwarcego, Władysława Koskowskiego, urzędnika Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i z Władysława Daniłowskiego [1]). Chmieliński obecny na zebraniu i obrażony, że go przy wyborze ominięto, oświadczył to otwarcie i opuścił zebranie. Pozostali postanowili zaprosić go jako członka komitetu na następne posiedzenie, wraz z jego stronnikami, dla omówienia niektórych spraw, a właściwie, ażeby go, o ile się da, udobruchać i zadowolnić jego miłość własną, gdyż wiedziano, że rozzłoszczony, może komitetowi przyczynić niemałych trudności i kłopotów. Chmieliński stawił się na wezwanie z gromadą najzapaleńszych krzykaczy, którzy zaraz oświadczyli, że gotowi uznać i podtrzymywać nowy komitet pod tym jedynie warunkiem, że Koskowski zostanie usunięty, a na jego miejsce wybierze się kogo innego. Deklaranci byli pewni, że tym innym zostanie Chmieliński, jedyny człowiek, mogący w komitecie walczyć z obcymi żywiołami i pokierować sprawą tak, że reakcya pomimo największych wysileń, niczego dokazać nie potrafi. Wszelako nadzieje te zawiodły. Przy wyborze wprawdzie Koskowski przepadł, lecz większość głosów otrzymał nie Chmieliński lecz Paszkiewicz. Ponownie pominięty Chmieliński zerwał się jakby pod ukąszeniem węża i w te słowa przemówił do zebranych: „Rozstaję się z wami panowie, najprzód dlatego, że się wam niepodobam, powtóre zaś z powodu, że nasze poglądy na sprawę są wręcz sobie przeciwne. Wy dążycie... niewiadomo dokąd, ja zaś zmierzam wprost ku rewolucyi

[1]) *Giller* tom I, str. 68.

i uważam za swój najpierwszy obowiązek działać rewolucyjnie, nie przepuszczać wrogom, wszelkimi możliwemi sposobami im szkodzić i niszczyć ich o ile sił starczy. W przeciwnym razie nam samym będzie źle. Dąbrowski tylko napomykał o zbliżającem się niebezpieczeństwie, a ja wam powiadam bez ogródek, że jeśli pozwolimy Wielopolskiemu urzeczywistnić jego plany, a mianowicie wyjednać coś dla Kongresówki, to sprawa nasza przegrana. Jest to moje najgłębsze przekonanie. Wasze proroki powiadają wam, że teraz jeszcze nie czas wszczynać powstania, a ja z Dąbrowskim myślę, że można. W rewolucyach potrzeba koniecznie coś ryzykować, używać ostatecznych środków, próbować wszystkiego. Podoba się wam wyczekiwać, więc czekajcie! My będziemy działali inaczej! W jaki sposób? dowiecie się o tem wkrótce. Oto wszystko, co miałem wam powiedzieć. Bądźcie zdrowi."

Chmieliński utworzył wkrótce oddzielny komitet rewolucyjny, skład którego pozostał nieznany. Wiadomo tylko, że Dąbrowski był jeśli nie członkiem, to przynajmniej jednym z najgorliwszych pomocników Chmielińskiego we wszystkich tegoż piekielnych pomysłach, a to aż do swego uwięzienia w sierpniu 1862 roku.

Z punktu widzenia czysto rewolucyjnego Chmieliński i jego zwolennicy mieli najzupełniejszą słuszność. Sprawy przybierały nader niebezpieczny kierunek dla tych, którzy jedynie w powstaniu widzieli zbawienie, którzy, niezadawalając się ustępstwami i reformami dla samego Królestwa, żądali czegoś jeszcze więcej. W Petersburgu, bardziej niż można było przypuszczać, potężniał wpływ Wielopolskiego i gdyby nie zaszły wypadki przygotowane i urządzone przez tajemny, rewolucyjny komitet Chmielińskiego, wielkie zachodzi pytanie, czy by powstanie wybuchło?

Ale też nie mniej ciekawe pytanie, czy byłoby to korzystniejsze dla Rosyi?

Rząd posiadał dosyć dokładne relacye o wszystkiem, co się działo w ziemiach polskich wszystkich trzech zaborów i na emigracyi. Brał też na uwagę, że i w Rosyi nie było zupełnie spokojnie. Narady nad tem „co dalej robić," przenosiły się z gabinetu cesarza do niektórych znakomitszych salonów, szczególniej zaś do salonów wielkiej księżny Heleny Pawłówny, lubiącej się bawić polityką; do salonu wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza [1]), Sumarokowych, Błudowych, hr. Borcha, Nesselroda, barona Piotra Meyendorfa... Tam w przerwach między muzyką, wykwintnemi przyjęciami, rozprawiano w jaki sposób możnaby naprawić stan spraw w tem niebezpiecznem, zachodniem pograniczu. Gdzie brak zupełny prawidłowo istniejących instytucyi, w którychby potrzebne rozprawy mogły się odbywać bez dam i muzyki, należy dziękować Opatrzności, że się urządzają czasem chociaż takie, niezbyt prawidłowe „parlamenta" ze współudziałem dam; muzyki, z dodatkiem niepotrzebnej i przeszkadzającej, wielkoświatowej lekkiej gawędy Bóg wie o czem... Wielopolski ze swoją słoniowatą postacią, bywał stale na takich wieczorach i po upływie pewnego

---

[1]) Gdy w początkach panowania Aleksandra III, Konstanty Mikołajewicz przeniósł się na czas jakiś do Paryża, gazety doniosły, że w rozmowach z najbliższymi W. Książę wypowiadał żal, że w latach 1861—1862 za nadto zbliżył się z partyą radykalną ruską. — Patrz między innemi *Gazetę Narodową* z 1882 r., numer 11. str. 2, szp. 3.

czasu, osobiście i przy pomocy swych arystokratycznych sprzymierzeńców potrafił wpoić znacznej liczbie petersburskich polityków płci obojej to przekonanie, że zwyczajnemi, polegającemi na rutynie środkami, nie da się uleczyć tej choroby. Ani Lüders, ani inny jaki generał starego pokroju, nic tu nie pomogą, należy radykalnie zerwać z systemem łączenia w jednej osobie władzy cywilnej i wojskowej. Rządca cywilny powinien informować wojskowego, ktokolwiekbądź nim będzie, chociażby książę krwi, wprawiać go do szanowania legalności w zarządzeniach władzy, czy to w ważnych, czy w drobnych sprawach, a o czem dotychczasowi wielkorządcy w Polsce nie mieli najmniejszego pojęcia. Jednocześnie z temi zmianami należy obdarzyć kraj jaknajszerszą autonomią, i to rzeczywistą a nie na papierze, i nie zwlekając, lecz jak najprędzej.

W poufnych zaś rozmowach z najbliższymi przyjaciółmi, przebiegły i śmiały polski magnat wdawał się w bardziej otwarte sądy, dla zaostrzenia zaś apetytu u niektórych wysoko postawionych żołądków, napomykał o roli konstytucyjnych ministrów dla Rosyi.. jednem słowem, że to, o czem jeszcze w marcu w tych samych salonach mówiono tylko w najbardziej nieokreślonych ogólnikach, w napomknieniach i przez trzecie osoby, to teraz wypowiadano zupełnie jasno i dobitnie, żywem i płomiennem słowem, a przytem otwarcie we własnem imieniu.

Gdy się salony już dostatecznie o tem narozprawiały, cesarz polecił swemu gościowi, aby przyśpieszył wypracowanie memoryału co do najniezbędniejszych reform, o których wspominał zaraz po przybyciu do Petersburga, przy pierwszych wyjaśnieniach złożonych jego cesarskiej mości.

Wielopolski napisał, a raczej przepisał dawno już wygotowany projekt, w którym, oprócz przewo-

dniej zasady podziału władzy między dwóch przedstawicieli, zamieścił jeszcze różne uwagi tak co do osób tych przedstawicieli, jak też i ich wzajemnych atrybucyi. Wojenny rządca został w nim wymieniony po imieniu, jako z dawna już, bo jeszcze w styczniu 1861 roku, gdy Gorczakow po raz pierwszy zachorował, wskazany przez głos narodu [1]). O rządcy cywilnym powiedziano, że tym może być tak dobrze Polak jak i Rosyanin, lecz koniecznie człowiek wszechstronnie wykształcony, dobrze obeznany z prawem i, *conditio sine qua non*, posiadający najzupełniejsze zaufanie cesarza. W dodatku, szkoła główna przeistaczała się na uniwersytet, a zamiast herbów i kolorów rosyjskich wprowadzały się napowrót polskie.

Rozpatrując z swem najbliższem otoczeniem projekt ten Wielopolskiego, cesarz wykreślił „uniwersytet" oraz „polskie kolory i herby;" zaś co do rozdziału naczelnej władzy w Królestwie Polskiem między dwóch kierowników i naznaczenie na wojskowego rządcę księcia krwi, jak to było do roku 1830, cesarz nie miał nic przeciw temu, chociaż niektórzy robili uwagę, że w obecnej chwili taki książę krwi będzie dla Rosyan *trop polonais*, zaś dla Polaków *trop russe* [2]).

Wielopolski otrzymał swój projekt napowrót ze wskazówkami, coby należało w nim przerobić i zmienić, lecz z natury swej nietylko stały w zasadach, lecz przy swem zdaniu uparty i tylko w osta-

---

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa. Od czerwca 1862 roku zaczęto wszędzie mówić i pisać, za granicą i w Warszawie, że wielki książę Konstanty Mikołajewicz przybywa do Polski na wice-króla.

[2]) Dowcip ten kursował po salonach, gdzie również mówiono o Margrabim, że jest Wielopolski ale Małoruski.— Dziennik pułkownika Krywonosowa.

tecznym razie nader niechętnie od raz wypowiedzianego zdania ustępujący, ani myślał przerabiać swej pracy i gdzieś się odezwał, że właściwiej byłoby poruczyć to zadanie komu innemu, jego zaś niech od tego uwolnią i pozwolą mu spokojnie powrócić do siebie na wieś. Słowa te doszły do cesarza, który je przyjął w milczeniu, wskutek czego Wielopolski podał się o dymisyę. Żądanie to przyjęto, lecz zawezwano go, ażeby jeszcze jakiś czas krótki pozostał w Petersburgu dla omówienia niektórych przedmiotów [1]).

Głównym dyrektorem komisyi spraw wewnętrznych został zamianowany tajny radca Kruzenstern; wyznań i oświaty kasztelan Dembowski, zaś komisyi sprawiedliwości rzeczywisty tajny radca Romuald Hube. Gdyby zaś projektowany podział władzy miał przyjść do skutku, na cywilnego adlatusa namiestnikowi został upatrzony Mikołaj Aleksiejewicz Milutin, który bawił podówczas za granicą.

Wielopolski, dziś, jutro mógł wrócić do Chrobrza.

Wtem otrzymano wiadomość z Warszawy, że między wojskowymi odkryto spisek; w jakiś czas potem wykonano niezmiernie śmiały zamach na namiestnika. To w jednej chwili zmieniło całą sytuacyę i inaczej usposobiło cesarza.

U generała Chrulewa był do posług żołnierz czwartego batalionu strzelców celnych. Chrulew w wolnych chwilach lubił rozmawiać z żołnierzami, gawędził więc i z tym swoim deńszczykiem. Najczęściej rozmowa toczyła się o życiu pułkowem, czy

---

[1]) *Lisicki* tom I, strona 272. — Partya Suchozaneta podniosła wówczas głowę. Przezywano różnie Margrabiego, a „Konrad Wallenrod“ i *traître déguisé* należały do delikatniejszych przezwisk.

im dobrze? czy nie doznają jakich krzywd ze strony najbliższych przełożonych? czy wogóle są zadowoleni ze swego położenia? Żołnierz ów stale opowiadał o nadzwyczajnej harmonii panującej między żołnierzami a bezpośrednimi ich naczelnikami i raz powiedział, że w ich batalionie oficerowie z żołnierzami obchodzą się jak bracia, że nawet w wolnych chwilach czytają im różne książki. .

— Jakież to książki?—zapytał nieco zdziwiony generał.

— A któż wie jakie! muszą być ładne, bo żołnierze lubią słuchać—odrzekł zapytany.

Chrulew zawezwał do siebie dowódcę batalionu i rozpytał się go, którzy mianowicie z oficerów czytują żołnierzom książki. Okazało się, że byli to młodzi oficerowie: porucznik Arnhold i podporucznik Śliwicki. Oni czytywali żołnierzom książki podejrzanej treści i wdawali się w nader podejrzane rozmowy. Również okazało się, że już ich oddawna śledzą, dla wyszukania stanowczych dowodów ich przewinienia.

Tu nie trzeba śledzić, lecz zaraz obu aresztować, nakazał Chrulew.

W nocy z dnia 5 na 6 maja 1862 roku obu oficerów uwięziono Wysadzona śledcza komisya wykryła, że żołnierzom odczytywano różne podburzające utwory; najwięcej zaś wyjątków z *Kołokoła i Północnej Gwiazdy*. Z książek wydanych w Rosyi czytano: *Dzieje Henryka VIII* i powieść Puszkina *Dubrowski*. Nadto natrafiono na ślad stosunków z pewnemi podejrzanemi osobami w mieście, w czem pośredniczył żołnierz Szczur, wychrzta z Żydów i podoficer Rostkowski, Polak. Z kim

były nawiązane te stosunki, niewiadomo. W aktach sprawy niema o tem najmniejszej wzmianki [1]).

Już ta okoliczność, że dla utrzymania sekretnych stosunków z miastem używano Żyda i Polaka, wskazuje dostatecznie, jak mały wpływ wywierały te czytania na żołnierzy Rosyan Czytano im, opowiadano różne rzeczy, a jednak zupełnie im zaufać się nie odważono. Z toku śledztwa można wywnioskować, że żołnierze słuchali, jak się słucha bajek dla zabicia nudów, nie rozumiejąc dobrze treści odczytów. Żadnemu z słuchaczy ani w myśli powstały te wnioski, które dla każdego wykształconego człowieka wypływały z treści odczytywanych utworów. Żołnierzom, wszystko co słyszeli, kotłowało mętnie po głowach. Dubrowski, Hercen, Henryk, byli to ludzie jednej epoki. Któryś z żołnierzy zapytał raz Śliwickiego: „A kto pisze odezwy, które Polaki podrzucają wojsku?" — Zmięszany Śliwicki, aby dać jakąkolwiek odpowiedź, powiedział, „że pisze je Dubrowski."—A któż to ten Dubrowski?... — To brat cioteczny Hercena.— W ten sposób Dubrowski i Hercen uchodzili między żołnierzami za ciotecznych braci i ludzi jednego rzemiosła po piórze.

Gdyby wybuchło powstanie, czwarty batalion celnych strzelców, wychodząc z odczytu najbardziej podburzającego utworu, tak dobrze uderzyłby na Polaków, jak wszystkie inne wojska rozłożone w Królestwie; o tem ani na chwilę nie wątpili ludzie, znający rosyjskiego sołdata. Zapewne stojąc na kwaterze po wsiach i miasteczkach, żołnierz zbliża się do Polaków, można powiedzieć, że wtedy jest na usługach całego domu, i drew urąbie i w piecu

[1]) *Giller* w tomie II str. 93 powiada, że w spisku Arnholda i Śliwickiego najbardziej zawinił Dąbrowski

zapali, przyniesie wody, niańczy dzieci, lecz niech zawołają „Polak buntuje się przeciw carowi," i śladu niema, gdzie się podziała przyjaźń. Charakterystyczna to anegdota z owych czasów; żołnierz znalazł podrzuconą odezwę i odnosi ją oficerowi. — A przeczytałeś? zapytuje tenże. Przeczytałem, wasze błahorodie. Cóż tam piszą? Żebyśmy was nie słuchali. A cóż wy na to? A cóż, gdybyśmy was nie słuchali, jużbyśmy dawno wszystkich Lachów wymordowali! (Pierebili).

To też tylko takim dzieciakom jak Arnhold (lat 20) i Śliwicki (lat 21) mogło się marzyć, że czytaniem jakichś bajeczek można doprowadzić rosyjskiego żołnierza do złamania przysięgi. Wogóle całe to zdarzenie, tak szumnie przezwane spiskiem, w spokojnym czasie zupełnie inaczej byłoby traktowane. Posłanoby młokosów przewietrzyć się trochę na Kaukazie lub w orenburskich stepach, może nawet bez pozbawienia oficerskiego stopnia, teraz jednak skazano ich obu wraz z podoficerem Rostkowskim na rozstrzelanie. Szczura zaś na przepędzenie przez 4,000 pałek.

Warszawa, nie wiemy na jakiej podstawie, oczekiwała złagodzenia wyroku, lecz nadzieje te zostały zawiedzione. Namiestnik konfirmował wyrok i takowy został wykonany w Modlinie dnia 26 czerwca. Tylko Szczurowi zmniejszono karę do 600 pałek.

Nazajutrz dnia 27 czerwca, w Saskim ogrodzie w zakładzie wód mineralnych o godzinie 8 rano, namiestnik otrzymał z tyłu postrzał z pistoletu. Kula trafiła z tyłu w szyję, przeszyła jamę ustną i zraniwszy język, wyszła ustami. W pierwszej chwili ranny upadł, lecz wnet powstał i przy pomocy kapitana Fiedoreńki, starszego adjutanta w zarządzie artyleryi, doszedł do mieszkania Chrulewa, na rogu Saskiego placu i ulicy Królewskiej,

gdzie się obecnie mieści klub myśliwski. Tam go opatrzono, poczem wezwany telegraficznie z Berlina prof. Dr. Langenbeck, przy pomocy najlepszych miejscowych chirurgów, dokonał operacyi. Pomimo to generał dopiero po roku został ostatecznie wyleczony w Paryżu przez sławnego D-ra Nelatona.

Skrytobójca, strzelający do namiestnika w biały dzień, wśród tłumu publiczności, zdołał ujść bez śladu i dotychczas nie wyśledzono jego nazwiska. Zawdzięczał to nadzwyczaj zimnej krwi i silnemu charakterowi. On się nie stropił, po strzale nie uciekał, lecz najspokojniej, włożywszy rewólwer do kieszeni, wszedł wolno do kawiarni zakładu i ztamtąd wyszedł osobnemi drzwiami [1]) na ulicę Graniczną, gdzie się wmięszał w tłum przechodzących. Gdyby pobiegł, rzucił rewolwer, czemkolwiek wyróżnił się od zwykłej publiczności, używającej przechadzki w ogrodzie, najniezawodniej zostałby pochwycony [2]). Należy jeszcze i to dodać, że Lüders zwykł był przechadzać się sam jeden i stale żądał od adjutantów i policyi, aby go nie obserwowano ciągle. Policya więc trzymała się zdala i w chwili strzału nie patrzała nawet w stronę, gdzie się przechadzał namiestnik.

W Warszawie opowiadano, że strzał do namiestnika był czynem oficerów, którzy w ten spo-

---

[1]) Drzwi te zwykle bywały zamkięte, w dniu tym wszakże otwarto je z rozporządzenia tajemnej władzy.

[2]) Wprawdzie rzucił się za nim w pogoń oficer kozacki Manoczkow, lecz zapóźno. Gdy wyskoczył z kawiarni na ulicę Graniczną, stracił już go z oczu. Manoczkowowi nie przebaczono tej „niezręczności...“ Po wybuchu powstania w 1863 roku poszedł szukać śmierci w szeregach powstańców... i znalazł ją.

sób pomścili swoich, dnia poprzedniego rozstrzelanych kolegów i przyjaciół. Bajeczkę tę powtarzano dosyć długo, a nawet i dotychczas czasem się o niej słyszy. Przeczy temu wszakże list bezimienny, otrzymany przez Lüdersa na trzy tygodnie przed skazaniem spiskowych, a w którym znajdował się ustęp: „*préparez vous donc, o sublime Gouverneur, à passer le Styx.*" Śmiały wykonawca musiał być wyszukanym przez tajemny rewolucyjny komitet Chmielińskiego wtedy, gdy cesarz, dowiedziawszy się, w nieco zwiększonych rozmiarach o spisku wojskowym, podpisał projekt Wielopolskiego z nader nieznacznemi zmianami [1]), i zamianował namiestnikiem Królestwa Polskiego swego najstarszego brata, Konstantego Mikołajewicza. Lüdersowi polecono telegraficznie, by na najbliższem posiedzeniu rady stanu oznajmił to monarsze postanowienie, oraz uwiadomił o zatwierdzeniu wyjątkowych ustępstw i reform. Oświadczenie to miało miejsce dnia 22 czerwca 1862 roku, zaś we trzy dni potem przybył Wielopolski już jako naczelnik cywilnego rządu i przywiózł z sobą różne przywileje dla Żydów, na mocy których odtąd im pozwolono:

---

[1]) M. A. Milutin nie wrócił na czas z zagranicy, a dłużej zwlekać nie chciano. Spasowicz zaś powiada, że wrócił, lecz proponowanego stanowiska nie przyjął (*Żywot i polityka Wielopolskiego*, str. 271). On także dodaje, że w końcu marca 1862 roku Wielopolski przyjeżdżał z Petersburga do Warszawy i zasiadał w radzie stanu, przy rozpatrywaniu projektu do prawa o oczynszowaniu włościan z urzędu, przyczem pokonał Kruzensterna i jego stronników. Dnia 27 kwietnia wrócił do Petersburga (ibidem str. 270—271). Wtedy to zjawiła się znana karykatura, przedstawiająca Wielopolskiego, posadzonego na ogromnym koniu i tratującego dyrektorów. Sprzedawano ją w księgarni Gebethnera i Wolffa. — (Opowiadania naocznego świadka, *Ruskaja Starina*, 1875 rok, styczeń, str. 141).

a) nabywać domy i nieruchomości w całem Królestwie Polskiem;
b) mieszkać swobodnie we wszystkich miejscowościach Królestwa Polskiego;
c) świadczyć przy zawieraniu wszelakich aktów;
d) w sprawach karnych świadectwo Żydów miało mieć jednaką wiarę ze świadectwem chrześcian.

Znaczna część białych spotkała Wielopolskiego tryumfalnie. Dyrekcya szlachecka, chociaż nie była skora rozwiązać się dobrowolnie, jednak została mocno w swem znaczeniu zachwianą. Czerwonych ogarnęło przerażenie. Nie stracili ducha tylko Chmieliński, Dąbrowski i ich najbliżsi akolici. Wówczas to prawdopodobnie postanowiono zabić Lüdersa w mniemaniu, że książę krwi nie przestąpi przez świeży trup namiestnika cesarskiego dla objęcia władzy. Stało się inaczej. Cesarz dowiedział się o strzale do Lüdersa w czasie obiadu dnia 27 czerwca i zaraz wieczorem postanowił, że nowy namiestnik wyjedzie do Warszawy we wtorek rano dnia 1 lipca [1]).

Chmieliński nabił nowy rewolwer, być może, że nawet ten sam, z którego strzelał do Lüdersa. Przygotowano pewną rękę do nowego strzału i znaleziono ją wśród rozdrażnionych rzemieślników wyższej klasy, bardziej rozwiniętych umysłowo, niż zwykli robotnicy i bardziej gotowych do wszelkich bohaterskich patryotycznych czynów.

W Warszawie od 1858 roku przebywał czeladnik krawiecki, mieszczanin z Sandomierskiego, Ludwik Jaroszyński, chłopak lat 19, ponury, skry-

[1]) Notatka wielkiego księcia Konstantego w *Ruskim archiwie* 1873 roku, str. 1346.

ty, bliżej nikomu nieznany, najmniej zaś swoim gospodarzom, krawcom Stańkowskim, u których mieszkał i stołował się przy oddalonej i błotnistej uliczce Wązkim Dunaju, podczas gdy pracował w warsztacie krawieckim wdowy Szczycińskiej, przy ulicy Nowo-Senatorskiej.

Już to samo, że mieszkał u jednego krawca, pracował zaś u innego, wskazywało na coś dziwnego w usposobieniu Jaroszyńskiego. Wprawdzie warsztat Szczycińskiej miał większy rozgłos, z niego dobry robotnik mógł prędko wyjść na czeladnika, a przy szczęściu, mógł zostać i samoistnym majstrem, lecz Jaroszyński o wyzwolinach, a tem mniej o pryncypalstwie ani myślał. Pracował niechętnie i zawsze był zadłużony u swych gospodarzy.

Stańkowski płacił za mieszkanie 9 złp. miesięcznie, za obiad 35 groszy, za wieczerzę 10 groszy. Lecz na regularne uiszczanie tej opłaty nie mógł się zdobyć i nieraz jeszcze pożyczał u gospodarstwa to kilkanaście groszy, to parę złotych polskich.

W warsztacie Szczycińskiej powtarzała się ta sama historya. Pieniądze należne za robotę zawsze były wybrane naprzód i kędyś przetracone.

Rzeczy nie miał żadnych, łóżko i pościel należały do Stańkowskich [1]).

Stańkowski kilka razy chciał wymówić mieszkanie Jaroszyńskiemu, ale nie mógł na to się zdecydować, zresztą jako współlokator Jaroszyński był spokojny i łagodny, nie dopuszczał się żadnych wybryków, więc mieszkał i mieszkał, pożyczając od czasu do czasu dziesiątki od dobrodusznych gospodarstwa.

---

[1]) Zeznania Stańkowskich, Szczycińskiej i samego Jaroszyńskiego, z aktów sprawy karnej o zamach na wielkiego księcia.

W warsztacie Szczycińskiej nie wielu miał przyjaciół. Trzymał się na uboczu, zdala od reszty młodych współpracowników i to do tego stopnia, że nigdy niedał się nakłonić do wzięcia udziału w najmniejszej demonstracyi, które tak wówczas były na porządku dziennym.

Na krótko przed opisującemi się wypadkami zbliżył się bardziej do czeladnika z tego samego warsztatu, Rodowicza, chłopaka śmiałego i pełnego charakteru, stojącego już oddawna w stosunkach z czerwonymi, i który już od marca 1862 r. należał do ich organizacyi. Dużo wskazówek każe przypuszczać, że to Rodowicz strzelał do Lüdersa.

Rodowicz był zawsze przy niewielkich pieniądzach, pochodzących ze źródeł tajemniczych, a które mu wystarczały na hulanki ze swym nowym przyjacielem po bawaryach i ogródkach, owych ówczesnych klubach rzemieślniczych. Tam Jaroszyński został dopuszczony do niektórych tajemnic spisku, dowiedział się o „ogromnej" liczbie sprzysiężonych, o stosunkach Polski z Europą, z Napoleonem...

Od kwietnia stali się prawie nierozłączni. Jaroszyńskiego zły duch opanował zupełnie, zapisał się do spisku duszą i ciałem, i dla dobra ojczyzny gotów był na wszelką ofiarę. Wmawiano weń ciągle, że jest człowiekiem niezwykłego charakteru, jacy zdarzają się rzadko, jakich Opatrzność tylko w chwilach nadzwyczajnych zsyła wybranym narodom. Do biednej, otumanionej od rana do wieczora wyziewami spirytusu głowy Jaroszyńskiego, zaczęły szturmować Bóg wie, jakie widziadła. Wyobrażał sobie, że jest Piekarskim [1]), to Kilińskim, to innym podobnym bohaterem z historyi ojczystej.

---

[1]) Michał Piekarski z Bieńkowic w sandomierskiem, za czasów rokoszu Zebrzydowskiego postanowił zabić króla Zygmunta III. Dnia 15 listopada 1620 r. rzucił się w ko-

Na tydzień przed przyjazdem wielkiego księcia, Rodowicz w jakimś ustronnym ogródku, przy kuflu piwa, wyłożył przyjacielowi położenie spisku w barwach ognistych i jaskrawych, i oświadczył, że wyższe władze narodowe poszukują śmiałych patryotów, którzyby byli gotowi przez spełnienie pełnego poświęcenia czynu do ocalenia sprawy narodowej od grożącego jej niebezpieczeństwa. Że między innymi i ich zaliczają do rzędu takich ludzi poświęcenia.

— Ja nie wiem jak ty, ale ja jestem na wszystko gotów powiedział Rodowicz.

— Ja jestem gotów — dodał Jaroszyński — niech mi tylko udowodnią, że taka ofiara jest potrzebna.

— Otóż ja ciebie zaprowadzę do kogoś, co ma stosunki z najgłówniejszymi naczelnikami spisku, a on ci wiele rzeczy wyjaśni, których teraz nie rozumiesz.

Poczem rozmowa zeszła na inny przedmiot.

Na drugi lub trzeci dzień po zamachu na Lüdersa, gdy po Warszawie rozeszła się wieść, że do Warszawy wkrótce przybywa nowy namiestnik w osobie wielkiego księcia Konstantego, Rodowicz oznajmił Jaroszyńskiemu, że pewien pan chce się z nim poznać i oczekuje ich obu w hotelu Saskim pod № em 36.

Jaroszyński był gotów iść choćby nawet natychmiast — więc poszli.

Spotkał ich mężczyzna średniego wzrostu, silnie zbudowany, z dużemi blond wąsami, bez brody,

---

ściele św. Jana na króla i ciężkim czekanem zranił go dwukrotnie w głowę. Schwytany na miejscu zbrodni, poniósł śmierć w strasznych męczarniach Dom Piekarskiego w Bieńkowicach zrównano z ziemią. Z czasów jego procesu pochodzi przysłowie: „plecie jak Piekarski na mękach".

ubrany w ciemną czamarkę. Postać była pełna wyrazu i nakazująca posłuch. Szczególniej miał wyraziste, żywe, płomienne i ruchliwe oczy; docierały one do głębi serca słuchaczowi, wpijały się weń, jak dwa ostre noże, zwolna, niepostrzeżenie, w końcu zaczynały po swojemu gospodarzyć w tem onieśmielonem, zamarłem sercu. Słuchał i ani się spostrzegł, kiedy się poddał ich magnetycznej sile, słuchał bezwiednie co mu mówiono i na wszystko się zgadzał.

Mężczyzną tym barczystym o płomiennym wzroku był Chmieliński.

Wbrew oczekiwaniom Jaroszyńskiego, nie wdawał się z nim w żadne polityczne rozprawy, nie powiedział nic nowego, czegoby tenże już przedtem od Rodowicza nie słyszał, lecz wlepiwszy weń swe straszne oczy-sztylety, rzekł wprost, że „stały charakter i uczucia patryotyczne gościa, są mu już dostatecznie znane, więc nie potrzebuje długo mówić. Chwila na okazanie swego poświęcenia dla sprawy narodowej nadeszła. Zachodzi konieczność zgładzenia pewnej wysoko postawionej osobistości .. być może, że Wielopolskiego .. to mniejsza, za kilka dni dowie się, kogo to i gdzie. Spodziewam się, że nie będzie żadnego *ale!* — zakończył Chmieliński, ponownie przeszywając go swym ognistym wzrokiem.

Nie było istotnie żadnego *ale*. Jaroszyński zapytał tylko Chmielińskiego: „Czy pan katolik?" a gdy ten potwierdził, rozstali się w milczeniu.

W dzień przyjazdu wielkiego księcia, dnia 2-go lipca, Rodowicz przyprowadził ponownie Jaroszyńskiego pod № 36 do hotelu Saskiego. Było to o godzinie 3 po południu. Tenże sam barczysty wąsacz powiedział im, że „za kilka godzin przyjeżdża do Warszawy nowy namiestnik, wielki książę Konstanty i że potrzeba go koniecznie zabić. Zresztą, gdyby się nawinął Wielopolski, to należy zgładzić i te-

go... „Będziecie mieli pewnego pomocnika i przewodnika, który wam wskaże osoby. Obaj macie strzelać, który zaś nie wystrzeli, własną głową odpowie za to przed władzą narodową".

Tym razem Jaroszyński już o nic nie pytał i nie oponował. Od tygodnia pozostawał ciągle pod wpływem blekotu, którym go w piwie pojono. Obaj z Rodowiczem otrzymali sześciostrzałowe rewolwery. Następnie Chmieliński wyjął z komody trzeci, nienabity rewolwer i pokazał im, jak się celuje i strzela, przyczem ostrzegł, że z bronią, która strzela bez odprowadzenia kurka, należy się bardzo ostrożnie obchodzić.

Skończywszy pokazywanie kazał im ukryć rewolwery, tak, aby nie były widoczne i zaraz wysłał ich na Pragę, na dworzec tymczasowy drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej. Poszli i zmieszawszy się z publicznością dążącą na dworzec, bez przeszkody tam się dostali. Brakowało jeszcze całej godziny do przybycia wielkiego księcia. Chmieliński dokładnie wszystko obliczył.

Tymczasem agenci jego porozrzucali po ulicach Warszawy, a gdzie mogli, to porozlepiali, następującą odezwę:

„Za kilka minut, w murach Warszawy stanie moskiewski wielki książę, z rodziny zbrodniarza, który w roku zeszłym po dwakroć rozkazał swym żołdakom przelewać krew ojców, matek, braci i sióstr naszych! Polacy! nie oddawajcie się złudnym nadziejom i marzeniom! Niech serca wasze pozostaną głuche na chytre i obłudne obietnice cara, a groby ofiar pomordowanych i żałoba, którą nosicie, niech przypominają mu straszne zbrodnie tu popełnione i spadną ciężkiem brzemieniem na jego sumienie. Ulice, któremi przejeżdżać będzie, powinny być puste i smutne, jak smutne są serca matek, których synowie giną w pustyniach orenburskich"!

Część tych plakatów policya usunęła, większa jednak część rozeszła się po mieście.

Wielki książę nadjechał ściśle o godzinie 5-ej po południu. Wysiadłszy z wagonu, powitał ustawioną na dworcu straż honorową. Wielki książę miał na sobie mundur swego pułku huzarów, granatowy z malinowem podbiciem; wielka księżna była ubraną także w polskich narodowych kolorach. Jaroszyński z Rodowiczem, chociaż zdaleka, lecz doskonale widzieli wielkoksiążęcą parę. Za kilka chwil księstwo przeszli koło nich. Jaroszyński chciał strzelić, lecz obecność wielkiej księżny wstrzymała go. Tak przynajmniej zeznał przy śledztwie. Rodowicz wcale nie myślał strzelać.

Przy przejeździe wielkiego księstwa do Belwederu, ulice Krakowskie Przedmieście i Nowy-Świat były zupełnie puste, tak, że się zdawało, że i zwykli przechodnie na ten czas gdzieś się umyślnie pochowali. W oknach mało kto wyglądał [1]).

Jaroszyński z towarzyszem wrócili do hotelu Saskiego i oświadczyli Chmielińskiemu, że niezręcznie było strzelać. Ten nie zrobił im żadnej wymówki, a nawet ich pochwalił, że się niepotrzebnie nie narażali, lecz dodał, „że strzału odkładać nie można; potrzeba koniecznie spróbować strzelić jutro, u wchodu do cerkwi sobornej, dokąd się wielki książę napewno uda, albo zresztą gdziekolwiek, gdzie będzie najzręczniej", poczem odebrał od nich rewolwery, zamknął je do komody i rozkazał, aby nazajutrz zrana znowu się do niego zgłosili.

Jaroszyński nocował w domu, u Stańkowskich. Dnia 3-go lipca o godzinie 7-ej rano poszedł do Chmielińskiego i zastał już tam Rodowicza.

Chmieliński wydobył rewolwery z komody,

---

[1]) Dziennik pułkownika Krywonosowa.

wręczył je odważnym patryotom i powtórzył przestrogę o ostrożnem obchodzeniu się z bronią. Nadto dał każdemu z nich sztylet średnich rozmiarów.

Patryoci wyszli i zaczęli błąkać się po ulicach, kombinując w jaki sposób i gdzie najłatwiej im będzie wykonać otrzymane polecenie.

Na czas uroczystego nabożeństwa stanęli u głównych drzwi Soboru, lecz tłum ludu tak był wielki, że niepodobna było czegoś tam dokonać. Przyjaciele poszli więc ku katedrze św. Jana, lecz tam ścisk był jeszcze większy. Wrócili więc obaj do domów, umówiwszy się przy rozstaniu, że wieczorem zejdą się przy teatrze.

Jaroszyński wrócił do siebie o godzinie 2-ej po południu, zjadł obiad na pozór zupełnie spokojny, potem zdjął buty, palto i położył się, jednakże nie zasnął, lecz przeleżawszy więcej niż godzinę, ubrał się i pogwizdując wyszedł z domu. W sieni znajomy mu malarz właśnie był zajęty malowaniem szyldu. Jaroszyński pożegnał go jednem słowem „adje".

Zaledwie zrobił kilka kroków, spostrzegł się, że zapomniał cygarnicę, wrócił więc po nią, a następnie szybko zbiegł ze schodów i podążył ku Krakowskiemu Przedmieściu, gdzie się spotkał z Rodowiczem. Obaj zaczęli się błąkać po ulicach bez celu, umawiając się o szczegóły strzału a zarazem pilnując, kiedy wielki książę pojedzie do teatru; jednakże tego nie dopilnowali. O godzinie 8-ej wieczorem poszli ku teatrowi i tam od policyantów dowiedzieli się, że wielki książę już jest w teatrze. Dostali się na ciemny korytarz, prowadzący z ulicy Wierzbowej ku podjazdowi namiestnika i tam postanowili czekać na wyjście wielkiego księcia z teatru, a gdy ten siądzie do powozu, strzelić z dwóch stron do niego. Było to tem łatwiejsze do wykonania, że u podjazdu zebrała się gromadka około trzydziestu osób, których policya nie usuwała. Tej ciągle

zalecano, ażeby z publicznością postępowała o ile można najgrzeczniej, więc też każdy policyant przedewszystkiem unikał jakiegokolwiek zaczepiania publiczności, by nie wywołać tem burdy.

W teatrze dawano operę *Alessandro Stradella*, dziś już wyszłą z repertuaru, w której artysta Stradella kocha się w wychowanicy bogatego skąpca weneckiego, mającego zamiar samemu się z nią ożenić. Chcąc się uwolnić od niebezpiecznego rywala, skąpiec najmuje zbójców i ci w drugim akcie czatują na Stradellę przy wyjściu z kościoła...

W tym czasie między godziną 9 a 10, wielki książę, nie czekając końca przedstawienia, opuścił lożę i udał się do oczekującego nań powozu, przy którym już nie teatralni, lecz prawdziwi czatowali na niego mordercy. Tylko co siadł do powozu, gdy się zbliżył człowiek, chcący, jak się zdawało, podać prośbę. Książę się przechylił, aby ją odebrać, gdy w tej chwili rozległ się wystrzał. Zbójca w tejże chwili został przychwycony przez jednego z policyantów i kapitana Bremsena adjutanta Lüdersa. Był nim Jaroszyński, Rodowicz nie strzelił. Czy się to stało wypadkiem, czy też tak się umówił z Chmielińskim przesądzać trudno. Bardzo być może, że był dodany Jaroszyńskiemu jedynie aby go ośmielić, zachęcić, wodzić po bawaryach i poić go blekotem. A możeby i strzelił, gdyby spostrzegł, że Jaroszyński się zawaha. Widząc wszakże, że strzał dany *à boût portant*, a więc prawdopodobnie śmiertelny, Rodowicz nie widział powodu bez potrzeby narażać swego życia i w chwili ogólnego zamieszania, gdy policya i adjutanci namiestnika skupili się około pochwyconego Jaroszyńskiego, Rodowicz wyszedł spokojnie, tym samym korytarzem na ulicę Wierzbową, rewolwer zaś i sztylet wrzucił do stojącej w kącie kadzi na deszczówkę, gdzie je potem znaleziono.

Raniony wielki książę wrócił do loży i tam go zaraz opatrzono. Kula przebiła paltot, surdut i koszulę, uszkodziła nieco skórę nad obojczykiem, kontuzyonowała szyję i ugrzęzła w bulionach szlify [1]). Jaroszyńskiego zaraz napoili ciepłem mlekiem, gdyż czuł silny zawrót głowy i sądzono, że jest otruty. Następnie odwieziono go pod strażą dwudziestu kozaków do cytadeli. Odwożący go policyant Wiszniewski zapytał, jak się nazywa, czem się trudni i co go spowodowało do wykonania zamachu? Jaroszyński odpowiedział: „z tobą, durniu, gadać nie będę, ale powiem oficerowi, żem się pomścił za ginącą ojczyznę!" Oficer Bremsen odezwał się: „łżesz, ciebie ktoś zapłacił!" Jaroszyński zamilkł i już więcej nie odpowiadał na pytania.

---

[1]) Raport d-ra Bogolubowa i doniesienie komendanta miasta, generała Bebutowa.

DODATEK.

PRZYPISKI DO KSIĘGI V.

Wymiana depesz między Warszawą a cesarzem Aleksandrem II.

w czasie od 12 października 1861 do 16 (28) czerwca 1862 roku.

Warszawa—Nikołajew. 12 października 1861 roku. godzina 8, minut 50 rano.

Do depeszy hrabiego Lamberta nr 270. Nie mam nadziei, ażeby Wielopolski nawet na żądanie Cesarza, zechciał cofnąć dymisyę.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Nikołajew—Warszawa. 12 października 1861 roku. godzina 10 rano.

Oświadczcie Wielopolskiemu, że pragnę, aby pozostał w służbie i że tem da dowód prawdziwego poświęcenia dla ojczyzny i dla mnie.

Aleksander.

Warszawa—Nikołajew. 12 października 1861 roku.

Wczoraj w mieście było spokojnie. Zwiedziłem wojska, rozstawione po placach. Zaopatrzone są we wszystko.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Nikołajew. 13 października 1861 roku.

Wielopolski dał wymijającą odpowiedź. Chce pisać przez kuryera do Waszej Cesarskiej Mości. Przyczyną ustąpienia jest przekonanie, że z całą surowością zaprowadzę stan wojenny, na co się zgodził jedynie w nadziei, że hr. Lambert łagodnie będzie postępował. Sam to oświadczył Płatonowowi. Jestem zdania, że należałoby go zupełnie uwolnić, a przynajmniej pozostawić przy jednej sprawiedliwości. W oświacie, a szczególniej w komisyi spraw duchownych jest stanowczo szkodliwy. Tego samego są zdania hr. Lambert i Płatonow. Szczegóły o tem wyślę kuryerem do Petersburga.

Gen.-adj. *Suchozanet.*

Mikołajew — Warszawa 13 października 1861 roku, godzina 10 wieczór.

List hrabiego Lamberta z dnia 6 (18) otrzymałem. Cieszę się, że od 11 (23) panuje spokój. O Wielopolskim postanowię po otrzymaniu kuryera. Generał-adjutant Lüders spodziewa się stanąć w Warszawie 23 (4) b. m.

Aleksander.

Warszawa—Charków. 15 października 1861 roku

W mieście spokojnie. Aresztowania przewódców propagandy nie ustają.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Oreł. 15 października 1861 roku.

Ponieważ powierzyłem członkowi rady stanu Kruzenszternowi czasowy zarząd komisyą spraw wewnętrznych, upraszam o najwyższe zezwolenie Waszej Cesarskiej Mości, by tenże mógł brać udział w posiedzeniach rady administracyjnej.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Tuła. 16 października 1861 roku.

Generał-major Potapow dziś wyjechał do Petersburga, stanie tam 18 rano. Wojska są w stanie znakomitym. Kuryer przybył w południe.

Generał-adjutant *Suchozauet.*

Warszawa—Sierpuchow. 17 października 1861 r.

W mieście spokojnie. Margrabia Wielopolski jak waryat, nikogo nie słucha. Trudno mi postąpić z nim stanowczo, znosić zaś jego postępowanie niebezpiecznie.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Moskwa. 17 października 1861 roku

W tej chwili nadeszła depesza hrabiego Lamberta z dnia dzisiejszego z Rotterdamu. *Santé même état. Embarque aujourd'hui pour Madeire. Ecris hier.* Co mam zrobić z listem Waszej Cesarskiej Mości do hr. Lamberta, który otrzymałem wczorajszym kuryerem z Liwadyi.

Gen. adj. *Suchozanet.*

Carskie Sioło—Warszawa. 18 października 1861 roku.

List twój z dnia 14 (26) odebrałem. Proszę działać bez pobłażania aż do przyjazdu generał-adjutanta Lüdersa. Wielopolskiemu proszę oświadczyć, że mu rozkazuję, by natychmiast przybył do Peters-

burga Chcę osobiście wysłuchać jego tłómaczenia się. Tutaj spokój zupełny.

Aleksander.

Warszawa—Carskie Sioło. 18 października 1861 r.

Wielopolskiemu zakomunikuję rozkaz jutro, jeśli Wasza Cesarska Mość potwierdzi go po wysłuchaniu osobistego sprawozdania generała Potapowa, który ma przybyć dnia 19 (31) rano.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 19 października 1861 r.

W mieście spokojnie. Spodziewam się, że jutro otworzą kościoły.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Carskie Sioło—Warszawa. 19 października 1861 r.

Nr 22. Potapow przybył. List pański i jego sprawozdanie przekonały mnie zupełnie, że Wielopolski nie może być dalej cierpiany w Warszawie. Dlatego proszę oznajmić mu mój rozkaz natychmiastowego przybycia tutaj. Gdyby śmiał nie usłuchać, to osadzić go w cytadeli i o tem natychmiast mi donieść.

Aleksander.

Warszawa—Carskie Sioło. 19 października 1861 r.

Nr 288. Margrabia, w dzień wyjazdu Potapowa, nie zważając na moje polecenie, nie poddał dziennika pod cenzurę Marrona i ogłosił w nim projekt urządzenia szkół. Aresztowałem za to głównego redaktora Sobieszczańskiego, Wielopolskiemu zaś oświadczyłem, że chociaż jego postępowanie uznaję za wręcz sprzeczne z mojemi zarządzeniami, jednak nie używam przysługującej mi władzy i o wszyst-

kiem donoszę Waszej Cesarskiej Mości. On jawnie lekceważy namiestnika. Ani razu jeszcze go nie widziałem, bywa tylko tam, gdzie wie, że mnie nie spotka. Wszystko to dla pozyskania popularności w partyi opozycyjnej, czego w części dopiął. Wobec niego położenie namiestnika i całego rosyjskiego żywiołu w Warszawie staje się niemożliwe. — Na wypadek jego oddalenia, poruczę czasowo komisyę oświaty i spraw duchownych Hubemu, sprawiedliwości zaś Dembowskiemu.—Niepokojczycki sam uznaje, że jest niemożliwym na stanowisku generał-gubernatora, co w zupełności podzielam.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 20 października 1861 r.

W mieście spokojnie. W kapitule spory, kłótnie i bezrząd. Zamknięcie kościołów nie jest straszne dla rządu, niepopularne dla ludu i osłabia wpływ duchowieństwa. Niedopuszczam do żadnych układów z buntującymi się.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Carskie Sioło.— Warszawa. 20 października 1861 r. godzina 2 minut 30 po południu.

Depesze Pańskie nr 288 i 291 otrzymałem. Dziwię się, że nic mi nie donosisz o niezwłocznem wysłaniu Wielopolskiego do Petersburga. Proszę ściśle spełnić moją depeszę z dnia wczorajszego nr 22.

Aleksander.

Warszawa—Carskie Sioło. 20 października 1861 r.

Depesza Waszej Cesarskiej Mości nr 22, nadana 19 b. m. o godzinie 1 po południu w Petersburgu, została mi doręczona w Warszawie dopiero

20 o godzinie 5 rano. Po zażądaniu wyjaśnienia, okazało się, że przy obecnym stanie powietrza, telegrafowanie zabiera dużo czasu. Moja depesza nr 288, nadana wczoraj o godzinie 12, wymagała 14 godzin dla odtelegrafowania.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 20 października 1861 r.

Kazałem objąć czasowy zarząd w komisyach: spraw duchownych i oświaty senatorowi Hubemu — sprawiedliwości, członkowi Rady stanu Dembowskiemu. Upraszam o zezwolenie Waszej Cesarskiej Mości, by już od jutra mogli brać udział w posiedzeniach Rady administracyjnej.

Nie mogę jeszcze stanowczo oznaczyć dnia, kiedy Margrabia wyjedzie. Raczej zgodzę się na opóźnienie, niż dopuszczę do zajścia, mogącego tylko zwiększyć niepopularność.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 20 października 1861 r.

Błagam o kilka słów współczucia dla Gerstenzweiga, oraz o łaskawą decyzyę na list mój z dnia 14 b. m. On zupełnie przytomny i pragnie jakiego łaskawego słowa Waszej Cesarskiej Mości.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 20 października 1861 r.

W mieście zupełny spokój. Totleben przybył do Brześcia. Dnia 22 b. m. zjedziemy się w Iwangrodzie (Dęblinie) i dalej udamy się do Zamościa. Wyjadę jutro w nocy. Wrócę 24 późnym wieczorem. Wszystko, co potrzeba dla utrzymania porządku, zarządzono. Wielopolski w tej chwili mnie zawiadamia, że wyjedzie najpóźniej w poniedziałek 23 a może i wcześniej, jeśli się tylko potrafi wybrać, co znaj-

duję zupełnie usprawiedliwionem, gdyż nie miał ani podróżnego powozu ani futra. Jutro przed wyjazdem wyślę kuryera ze sprawozdaniem.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 21 października 1861 r.

Generał-adjutant Lüders telegrafował z Żytomierza, że stanie w Brześciu dnia 22 i będzie w Warszawie 23 b. m. Wskutek tego do Zamościa nie pojadę, lecz z Iwangrodu wrócę do Warszawy 23.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 21 października 1861 r.

W mieście zupełny spokój. Przez oba dni świąt żadnych nieporządków nie było. Odjeżdżam do Iwangrodu i Lublina, wrócę 23 wieczorem przed przybyciem generał-adjutanta Lüdersa, na którego spotkanie wyprawiam do Brześcia szefa sztabu pierwszej armii. O godzinie 7 wieczorem wysłałem kuryera do Waszej Cesarskiej Mości.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 24 października 1861 r.

W Warszawie i Lublinie spokojnie, wojska w stanie znakomitym. Wróciłem wczoraj o północy. Generał-adjutant Lüders przybył o godzinie 2-giej po północy. Margrabia wyjechał wczoraj rano. Gerstenzweig kona.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 24 października 1861 r.

Przybyłem 24, o godzinie 2 rano. Wstrzymałem się do 27 (8 listopada) z objęciem zarządu kraju i armii. Potrzebuję się pierwej rozpoznać z osobami i ze stanem spraw. Proszę o polecenie, ażeby

minister wojny po zdaniu zarządu zasiadał w Radzie administracyjnej aż do swego odjazdu.

Generał-adjutant *Lüders.*

Carskie Sioło — Warszawa. Do gen. adj. Suchozaneta.

24 października 1861 roku.

List Pański z dnia 21 (2) otrzymałem. — Kościoły czy otwarte?—Czekam urzędowego przedstawienia co do Karnickiego. — O wsparcie dla Dembowskiego wnieść przez Tymowskiego.

Aleksander.

Carskie Sioło — Warszawa. Do gen.-adj. Lüdersa.

24 października 1861 roku.

Cieszę się z waszego przybycia, daj Boże w dobrą godzinę. Zgadzam się aby generał-adjutant Suchozanet aż do odjazdu zasiadał w Radzie administracyjnej.

Aleksander.

Warszawa—Carskie Sioło. 25 października 1861 r.

Kościoły na Pradze i na Powązkach nie były zamknięte, wszystkie inne są jeszcze zamknięte, gdyż proponowane warunki odrzucono. Lud nie sympatyzuje z zamknięciem kościołów, a zdyskredytowanie duchowieństwa wychodzi na korzyść rządowi. Wskutek skasowania wyboru księdza Białobrzeskiego na administratora, oczekują, że kościoły zostaną bezwarunkowo otwarte.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 25 października 1861 r.

W mieście spokój zupełny. Donoszę z bólem serca, że wczoraj o godzinie 2 po południu Gerstenzweig zakończył życie. Zwłoki jego odwiozą do

Petersburga żona i siostra z mężem. W tej chwili przybył kuryer z listem Waszej Cesarskiej Mości z datą 21 b. m.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 25 października 1861 r.

Ogólne posiedzenia Rady stanu były odroczone na trzy tygodnie, jutro kończy się termin. Mają być zwołane dla rozpatrzenia projektów Wielopolskiego i innych spraw przygotowanych. Czy zgoda na to? Wyrazy w liście Waszej Cesarskiej Mości „teraz nie czas na jakiekolwiek reformy" pobudzają nas gwoli ostrożności do postawienia tego zapytania. Jesteśmy jednak zdania, że otwarcie posiedzeń byłoby korzystne.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa — Carskie Sioło. 25 października 1861 r.

Generał-major Rożnow, prezes nadzwyczajnej śledczej komisyi w Cytadeli, złamał rękę. Trudny nadzwyczaj wybór jego zastępcy. Zarządziliśmy, by dyrektor kancelaryi, tajny radca Kazaczkowski, objął ten obowiązek i upraszamy o telegraficzne upoważnienie Waszej Cesarskiej Mości.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Carskie Sioło— Warszawa. 25 października 1861 r.

Na Kazaczkowskiego się zgadzam. Wymagam, ażeby przy otwarciu ogólnych zebrań Rady stanu były wykluczone wszelkie polityczne rozprawy.

Aleksander.

Warszawa—Carskie Sioło. 26 października 1861 r.

W mieście spokojnie. Z pewnych względów ksiądz Białobrzeski dotychczas nie został skazany,

lecz słuszna i surowa kara, chociaż o kilka dni później, będzie wymierzona.

Generał-adjutant *Suchozanet.*

Warszawa—Carskie Sioło. 27 października 1861 r.

Z powodu nieobecności margrabiego Wielopolskiego, wiceprezesa Rady stanu, mam szczęście najpoddaniej upraszać Waszą Cesarską Mość, dla zapobieżenia mogącym zajść trudnościom o zezwolenie, ażeby w razie nieobecności namiestnika i wice-prezesa, przewodniczył zebraniu najstarszy z członków Rady administracyjnej, jak obecnie tajny radca Łęski.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa—Carskie Sioło. 28 października 1861 r.

W mieście wszystko w porządku. Wczoraj objąłem zarząd kraju.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa—Carskie Sioło. 29 października 1861 r.

W mieście spokój zupełny. Wczoraj odbyłem przegląd 12-tu batalionów i dwóch bateryi warszawskiej załogi, znalazłem wszystko we wzorowym porządku. O godzinie 7 wieczorem wysłałem kuryera do Waszej Cesarskiej Mości.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa—Carskie Sioło. 29 października 1861 r.

Wczorajszej nocy zostali uwięzieni za zamknięcie synagog: kaznodzieja Kramsztyk, Jastrow, starszy rabin Majzels i prezes dozoru bóżniczego Feiking.

Gen.-adj. *Lüders.*

Carskie Sioło—Warszawa. 31 października 1861 r.

Listy Pana i generał-adjutanta Suchozaneta z dnia 28 (9) b. m. otrzymałem, za kilka dni na nie odpowiem. Timaszew stanowczo odmówił, innego wyboru jeszcze nie zrobiłem. Nierad jestem, że kościołów dotychczas nie otwarto. Żądam, aby Białobrzeskiego uwięzić i oddać pod sąd. Spodziewam się, że wybór jego następcy nastąpi z należytą rozwagą i ostrożnością. Wielopolskiego zobaczę pojutrze.

Aleksander.

Warszawa—Carskie Sioło. 31 października 1861 r.

W mieście spokojnie. Kościoły, z wyjątkiem praskiego, zamknięte. Na Pradze w czasie nabożeństwa było do 5,000 ludzi. Śpiewów nie było. W kościele ewangelickim również wielki napływ ludu, nabożeństwo odbyło się zupełnie przyzwoicie.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa—Carskie Sioło. 31 października 1861 r.

W mieście spokojnie. Kościoły zamknięte. Wczoraj odbyłem przegląd sześciu batalionów, pół bateryi i gimnastycznej komendy, wszystko znalazłem w znakomitym stanie. Generał Suchozanet odjechał do Brześcia litewskiego dla opatrzenia twierdzy.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa—Carskie Sioło. 1 listopada 1861 r.

Białobrzeski zeszłej nocy uwięziony. W mieście spokojnie. Kościoły jeszcze zamknięte. Wczoraj odbyłem przegląd 3 batalionów, 7 szwadronów, 12 sotni i 6 dział. Wojska znakomite. Wczoraj

odbyło się otwarcie ogólnych zebrań Rady stanu. Odczytano projekt reformy szkolnej.

Generał-adjutant *Lüders*.

Warszawa—Carskie Sioło. 2 listopada 1861 r.

W mieście zupełny spokój. Wczoraj odbyłem przegląd reszty wojsk załogi warszawskiej, znalazłem wszystko we wzorowym porządku, Minister wojny odjeżdża dzisiaj o godzinie 8-ej rano.

Generał-adjutant *Lüders*.

Warszawa—Carskie Sioło. 6 listopada 1861 roku.

Spokój w mieście trwa dalej. Wczoraj w Cytadeli zwiedziłem szpital wojskowy i więzienia przestępców politycznych. Szpital w porządku, więzienia dogodne, o ile okoliczności na to pozwalają.

Generał-adjutant *Lüders*.

Carskie Sioło—Warszawa. 7 listopada 1861 roku.

Wczoraj rano przybył generał-adjutant Suchozanet, wieczorem zaś otrzymałem list Pański z d. 3 (15) b. m. Zgadzam się na ostateczne nominacye Kryżanowskiego i Kruzensterna. O innych napiszę przez kuryera.

Aleksander.

Warszawa—Carskie Sioło. 7 listopada 1861 roku.

O godzinie 12 w nocy umarł tutejszy sufragan Deckert. Zarządziłem, aby na pogrzeb, który odbędzie się w piątek dnia 10-go b. m., oprócz duchowieństwa puszczano publiczność tylko za biletami.

Generał-adjutant *Lüders*.

Warszawa—Carskie Sioło. 11 listopada 1861 roku.

W mieście spokojnie. Eksportacya zwłok sufragana Deckerta do kościoła na Powązkach przy

udziale jakich 2,000 publiczności, odbyła się w zupełnym porządku.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa—Carskie Sioło. 17 listopada 1861 roku.

W mieście wszystko spokojnie. Niema oznak, by miano obchodzić rocznicę powstania 1830 r.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa—Carskie Sioło. 18 listopada 1861 roku.

Wczorajszy dzień przeszedł zupełnie spokojnie, bez żadnych zachcianek obchodów.

Generał-Adjutant *Lüders.*

Petersburg—Warszawa. 3 grudnia 1861 roku.

Kiedy Płatonow może ze wszystkiemi rozpatrzonemi projektami wyjechać? Proszę tu przysłać także oryginał projektu Wielopolskiego o oczynszowaniu włościan.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 3 grudnia 1861 roku.

Projekt o urządzeniu szkół już wysłany, projekt zaś o Żydach i oryginał projektu Wielopolskiego o oczynszowaniu włościan, wyślę najbliższym kuryerem. Najusilniej upraszam o pozostawienie tu Płatonowa do czasu rozpatrzenia w Radzie administracyjnej uwag komisyi spraw wewnętrznych nad projektem o oczynszowaniu To ma w tych dniach nastąpić.

Generał-adjutant *Lüders.*

Petersburg—Warszawa. 4 grudnia 1861 roku.

Pisałem, że oczekuję powrotu Płatonowa dopiero po rozpatrzeniu wszystkich projektów.

Aleksander.

Petersburg— Warszawa. 5 grudnia 1861 roku.

Telegrafować, jaki wyrok zapadł w sprawie Białobrzeskiego.

Aleksander.

Warszawa—Peterrburg. 5 grudnia 1861 roku.

Sprawa Białobrzeskiego będzie ostatecznie sądzona dnia 7-go grudnia. Wyrok zapadnie na karę śmierci, który ze względu na wiek i chorobę myślę złagodzić na zsyłkę na Sybir, na osiedlenie przy pozbawieniu godności i wszelkich praw stanu.

Generał-adjutant *Lüders.*

Petersburg— Warszawa. 6 grudnia 1861 roku.

Dziękuję za życzenia. Wyroku na Białobrzeskiego nie wykonywać, lecz nadesłać tu wszelkie akta, sprawy tej dotyczące.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 7 grudnia 1861 roku.

Mszę i nabożeństwo odprawiono wczoraj w nowo odrestaurowanym soborze. Bez nacisku ze strony policyi, większa część domów była dobrowolnie iluminowaną. W mieście spokój.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 7 grudnia 1861 roku.

O godzinie 5-ej wyprawiam kuryera z aktami sprawy Białobrzeskiego.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 12 grudnia 1861 roku.

Czy nie raczy Wasza Cesarska Mość ofiarować z sum własnych 20,000 rubli sr. dla biednych, przy nadchodzących świętach, zważając, że z powo-

dów nieodwiedzenia w tym roku Warszawy, zostali pozbawieni zwykłych w takim wypadku datków.

Generał-adjutant *Lüders.*

Petersburg— Warszawa. 12 grudnia 1861 roku.

Dać na biednych z moich sum 20,000 rubli sr.

Aleksander.

Petersburg— Warszawa. 17 grudnia 1861 roku.

Kuryer przybył wczoraj wieczorem, za kilka dni odpowiem. Płatonow niech wraca, jak tylko Rada administracyjna rozpatrzy projekt o oczynszowaniu.

Aleksander.

Petersburg— Warszawa. 20 grudnia 1861 roku.

Zezwalam na otwarcie szkół na nowych zasadach, wyłożonych w Pańskiem przedstawieniu. Kiedy Płatonow wyjeżdża z Warszawy? Kuryera wyślę jutro.

Aleksander.

Warszawa— Petersburg. 24 grudnia 1861 roku.

W mieście spokojnie. Płatonow przybędzie do Petersburga dnia 6 stycznia.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa— Petersburg. 5 stycznia 1862 roku.

Wskutek dodatkowych czynności Płatonow przed 7-mym b. m. nie będzie mógł wyjechać, stanie więc w Petersburgu zaledwie 10-go.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa— Petersburg. 14 stycznia 1862 roku.

Gazety zagraniczne podają, że w ogłoszonym przez nas wyroku, zeznania Białobrzeskiego i od-

wołanie się jego do łaski Waszej Cesarskiej Mości, są zmyślone. Upraszam o zezwolenie na ogłoszenie w tutejszych dziennikach szczegółowych i własnoręcznych zeznań tegoż przed sądem wojennym

Generał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 14 stycznia 1862 roku.

Własnoręczne zeznania Białobrzeskiego można ogłosić. Wczoraj przyjmowałem Felińskiego i osobiście dałem mu wskazówki.

Aleksander.

Warszawa — Petersburg. 1 lutego 1862 roku.

O godzinie 9 po poświęceniu otwarto kościoły św. Jana i Bernardyński. U św. Jana nabożeństwo celebrował arcybiskup Feliński, u Bernardynów biskup Plater. Po nabożeństwie arcybiskup wygłosił kazanie w myśl wskazówek Waszej Cesarskiej Mości. Wszystko odbyło się uroczyście i spokojnie.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 5 lutego 1862 roku.

W mieście spokojnie. Wczoraj we wszystkich kościołach odprawiono nabożeństwa przy wielkim napływie ludu.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa — Petersburg. 7 lutego 1862 roku.

W mieście spokojnie. Wczoraj wysłałem jako kuryera do Waszej Cesarskiej Mości mego adjutanta Muchanowa.

Generał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 10 lutego 1862 roku.

Zgadzam się na zamianowanie Kretkowskiego. Księżna Gorczakowa pisze do Felińskiego, że ży-

czę, aby treść jego listu pasterskiego była taką, jak mi ją przedstawił. Kuryera odeślę za jakie trzy dni.

Aleksander.

Petersburg — Warszawa. 13 lutego 1862 roku.

Na list z d. 6 (18) b. m. odpowiem po otrzymaniu następnego kuryera. Zgadzam się na zaprowadzenie złagodzeń. Chciałbym wiedzieć, jakiemi drogami list pasterski Felińskiego, jeszcze nieogłoszony w Warszawie, mógł się dostać do dzienników zagranicznych?

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 13 lutego 1862 roku.

List Felińskiego prawdopodobnie z Petersburga został przesłany za granicę. Tutaj, o ile zbadałem, Feliński nikomu go nie pokazywał.

Generał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 16 lutego 1862 roku.

Goniec wasz przybył wczoraj. Proszę nie robić żadnego ogłoszenia w imieniu Felińskiego przed otrzymaniem mej odpowiedzi.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 24 lutego 1862 roku.

Mam szczęście upraszać z okazyi dnia jutrzejszego o zezwolenie na ułaskawienie lub złagodzenie kar, skazanym wyrokami sądu, nie wyłączając i zesłanych do Cesarstwa. Listę ułaskawionych przedstawię.

Generał-adjutant *Lüders.*

Petersburg — Warszawa. 24 lutego 1862 roku.

Postąp, jak żądałeś.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 26 lutego 1862 roku.

W mieście spokój. Wczoraj, po nabożeństwach w kościołach, przyjmowałem powinszowania z powodu rocznicy wstąpienia na tron Waszej Cesarskiej Mości od naczelników władz wojskowych i cywilnych, znajdujących się w Warszawie. Zebranie było bardzo liczne, przyczem składali życzenia i główniejsi dygnitarze kościoła katolickiego. Następnie po odprawieniu modłów w soborze, odbyłem przegląd kombinowanego batalionu z wojsk załogi warszawskiej. Wieczorem miasto było oświetlone, w teatrze przedstawienie bezpłatne, na które zebrała się liczna publiczność, głównie ze średnich i niższych warstw ludności.

Generał adjutant *Lüders.*

Petersburg—Warszawa. 27 lutego 1862 roku.

№ 5. Kuryer wasz przybył wczoraj wieczorem. Pochwalam zupełnie zdanie, wyłożone w piśmie waszem. Proszę donieść, kogo zamierzasz powołać do projektowanego komitetu. Tu się przygotowują projekta dla ustanowienia przy namiestniku zarządcy cywilnego; w swoim czasie zostaną wam zakomunikowane.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 5 marca 1862 roku.

Sprawozdanie w przedmiocie depeszy Waszej Cesarskiej Mości № 5 wyślę kuryerem dnia 7 (19) marca, tak, aby mogło być otrzymanem jeszcze przed odjazdem Płatonowa, któremu może raczy Wasza Cesarska Mość objawić swą wolę.

Generał-adjutant *Lüders.*

Petersburg—Warszawa. 10 marca 1862 roku.

Kuryera wysłałem w czwartek. Wielopolskiemu na własne jego żądanie zezwoliłem udać się do

Warszawy dla wzięcia udziału w ogólnych posiedzeniach Rady stanu, poczem ma tu znów powrócić.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 30 marca 1862 roku.

Wczoraj w kościele św. Jana, gdy Feliński rozpoczynał kazanie, młodzież hałaśliwie zaczęła wychodzić, wypychając i głośno wzywając innych do wyjścia. Zamiar wywołania demonstracyi zawczasu był wiadomy. Czternastu agitatorów uwięziono.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa—Petersburg. 14 kwietnia 1862 roku.

W mieście spokojnie. Wczoraj zapowiedziano procesye kościelne po mieście, które wskutek poczynionych zarządzeń nie przyszły do skutku.

Generał-lejtnant *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. 21 kwietnia 1862 roku.

Z dniem 19 kwietnia (1 maja) rozpoczęły się po kościołach nabożeństwa majowe. Wczoraj w jednym kościele późno wieczorem ksiądz zaintonował zwykłą pieśń kościelną na nutę hymnu zakazanego; w drugim zaś kościele jedna kobieta zaczęła śpiewać hymn zabroniony, ksiądz jednak dalsze śpiewanie powstrzymał. W trzecim kościele lud prześpiewał jednę strofę hymnu. W tym ostatnim kościele aresztowano jednego studenta. Księdza z pierwszego kościoła kazałem uwięzić aż do powrotu Felińskiego.

Generał-lejtnant *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. 22 kwietnia 1862 roku.

Wczoraj rano uczniowie gimnazyalni i kobiety śpiewali hymn zabroniony w kościele św. Krzyża. Przy wyjściu z kościoła aresztowano pięciu młodych ludzi i dwie kobiety. Tłum chciał uwolnić aresztowanych, lecz to mu się nie udało. Zresztą bójki

przytem nie było. O godzinie 10-ej uczniowie gimnazyów: realnego i gubernialnego, stojąc za ogrodzeniem, wymyślali na wojsko i policyę i ciskali kamieniami. Wieczorem gromadziły się liczne zbiegowiska u św. Krzyża i w ogrodzie botanicznym, jednak rozesłane liczne patrole wraz z policyą nie dopuściły do rozruchów.

Generał-lejtnant *Kryżanowskij*.

Warszawa—Petersburg. Do ministra wojny.

24 kwietnia 1862 roku.

Podporucznicy Arnhold i Śliwicki z czwartego batalionu strzelców celnych dzisiaj osadzeni w X pawilonie za podmawianie żołnierzy do buntu. Za to samo osadzeni na głównej strażnicy: porucznik Niepienin, podporucznik Pleszkow, oraz kilku żołnierzy.

Dzisiaj pogrzeb hrabiny Walewskiej, damy orderowej.

W czwartym batalionie strzelców celnych wysadzę komisyę śledczą. To są owoce odezw. Cesarzowi nic jeszcze nie donoszę.

Uwięzieni z czwartego batalionu strzelców celnych:

1) Sztabskapitan Niepenin z guberni pskowskiej, prawosławny, mianowany oficerem 6 czerwca 1857 r. po ukończeniu pawłowskiego korpusu kadetów;

2) Porucznik Arnhold z guberni petersburskiej, prawosławny, mianowany oficerem 16 czerwca 1859 r., po ukończeniu pawłowskiego korpusu kadetów;

3) Podporucznik Sliwicki II z guberni charkowskiej, prawosławny, mianowany jednocześnie z Arnholdem z tegoż samego korpusu;

5) Podporucznik Pleszkow z gubernii czerni-

chowskiej, prawosławny, mianowany oficerem jednocześnie z Niepeninem, z tegoż samego korpusu.

Minister wojny z Petersburga do szefa głównego sztabu w Warszawie.

25 kwietnia 1862 roku.

Z rozkazu Cesarza polecam winnych oficerów oddać pod sąd polowy kryminalny i wyroki według całej surowości natychmiast wykonać.

Warszawa—Petersburg. 26 kwietnia 1862 roku.

Wczoraj późno wieczorem w kościele Karmelitów same kobiety zaśpiewały zabronione strofy. Trzy z nich uwięziono. Zresztą spokojnie.

Generał-porucznik *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. 27 kwietnia 1862 roku.

Wczoraj z powodu świętego Stanisława tłumy ludu po kościołach i na ulicach. Silne patrole krążyły po mieście i spokój nigdzie nie został naruszony.

Generał-porucznik *Kryżanowskij.*

Warszawa—Petersburg. 3 maja 1862 roku.

W mieście spokojnie. Wysłałem o godzinie 5 rano kuryera do Waszej Cesarskiej Mości.

Generał-adjutant *Lüders.*

Warszawa—Petersburg. 4 maja 1862 roku.

Wczoraj w kościele Karmelitów śpiewano pieśń kościelną na nutę zabronioną, przytem z różnemi dodatkami. Uwięziono osiem kobiet i dwóch mężczyzn. Zresztą w mieście spokojnie.

Generał-adjutant *Lüders.*

Carskie Sioło—Warszawa. 11 maja 1862 roku.

Pochwalam zarządzenia Felińskiego i duchowieństwa.

Aleksander.

Carskie Sioło—Warszawa. 16 maja 1862 roku.

Wysyłam pojutrze generał-adjutanta hr. Adlerberga II z listem i specyalnem osobistem poruczeniem.

Aleksander.

Warszawa—Petersburg. 20 maja 1862 roku.

Powinszowania imienin W. księcia Aleksego Aleksandrowicza.

Generał-adjutant *Lüders.*

Carskie Sioło—Warszawa. Do generał-adjutanta hr. Adlerberga II.

21 maja 1862 roku.

Wiadomości odebrane bardzo mnie ucieszyły. Szczerze dziękuję generał-adjutantowi Lüdersowi za jego gorliwość i gotowość wypełnienia mych życzeń.

Aleksander.

Carskie Sioło—Do generał-adjutanta Lüdersa.

25 maja 1862 roku.

Szczerze wam dziękuję za list przysłany przez generał adjutanta hrabiego Adlerberga II. Mianowania W. księcia Konstantego Mikołajewicza i Wielopolskiego niebawem nastąpią. Również zapadnie decyzya co do terminu ich wyjazdu. Zgadzam się na uwolnienie tajnego radcy Kruzensterna, na jego prośbę, od obowiązków głównego dyrektora komisyi spraw wewnętrznych z pozostawieniem go członkiem Rady stanu.

Aleksander.

Carskie Sioło—Warszawa. Do gen.-adj. Lüdersa.

27 maja 1862 roku.

Dzisiaj W. książę Konstanty Mikołajewicz zamianowany namiestnikiem Królestwa Polskiego, mar-

grabia zaś Wielopolski naczelnikiem rządu cywilnego. Do czasu przybycia Jego Wysokości do Warszawy będziesz Pan po dawnemu pełnił swe obowiązki. W dowód mego szczególnego uznania za usługi, oddane w zarządzie Królestwa Polskiego i pierwszej armii, nadaję Panu godność hrabiowską. W. książę nie może przybyć do Warszawy prędzej niż za 6 tygodni. Wielopolski wyjeżdża w przyszłą środę. Projekt Pana, co do zwinięcia warszawskiego generał-gubernatorstwa, w zasadzie trafia mi do przekonania. Czekam na stanowcze przedstawienia wraz ze wskazaniem osób, którym należałoby powierzyć różne stanowiska.

Aleksander.

Carskie Sioło — Warszawa. 4 czerwca 1862 roku.

Kuryer wasz przybył. Zgadzam się na przysłanie Kryżanowskiego z doświadczonymi urzędnikami. Mam nadzieję, że skrywający się dwaj oficerowie z 6-go batalionu strzelców celnych zostaną wykryci i oddani pod sąd. Kiedy się ukończy sprawa sądzonych oficerów z 4-go batalionu strzelców celnych?

Aleksander.

Carskie Sioło — Warszawa. Do gen.-adj. Merchelewicza.
15 czerwca 1862 roku.

Zaraz donieść, co się stało z hrabią Lüdersem i co się dzieje w mieście i Królestwie?

Aleksander.

Carskie Sioło — Warszawa. Do gen.-adj. Lüdersa.
16 czerwca 1862 roku.

Nadzwyczaj jestem zmartwiony Pańską raną. Daj Boże, abyś jak najprędzej wrócił do zdrowia. Codziennie proszę mnie zawiadamiać o swoim sta-

nie. Czy zbrodniarz schwytany i kto on jest? Kryżanowskiego wyślę w niedzielę dla objęcia dowództwa armii aż do przyjazdu mego brata, który wyjeżdża we wtorek. Generał-adjutant Ramzay jednocześnie otrzymuje rozkaz, by się niezwłocznie stawił w Warszawie.

Aleksander.

KONIEC CZĘSCI CZWARTEJ.

KSIĘGA VI.

Ogólne współczucie dla wielkiego księcia.—Reformy i ustępstwa.—Nowe wybory.—Komitet centralny i jego działalność. Zachowanie się Białych. — Zamachy na Wielopolskiego. — Stracenie przestępców.—Odezwa namiestnika do Polaków.—Komunały i Miniszewski.—Adres szlachty.—Wywiezienie Andrzeja hr. Zamoyskiego.—Angielscy policyanci.—Ogłoszenie branki na prawach wyjątkowych. — Stanowcze przerzucenie się duchowieństwa na stronę partyi ruchu.—Dążenie do powstania. — Plan Padlewskiego — Uwięzienie Godlewskiego w Paryżu.—Nowy komitet centralny. — Organizacya wojskowa. — Branka. — Ustanowienie tymczasowego rządu narodowego.—Odezwa tegoż do narodu.

Od 9 lipca 1862 roku do 22 stycznia 1863 roku.

Wieść o zamachu na wielkiego księcia, który że nietylko żadnej krzywdy nie wyrządził Polakom, lecz owszem, przybywał do kraju z nadzwyczajnemi ustępstwami i zapowiedzią doniosłych reform, przygnębiająco i ponuro rozniosła się po kraju i wywołała powszechne oburzenie. Nawet czerwoni czyn ten potępiali i byli radzi, że się Chmieleński wyniósł za granicę [1]).

[1]) „I my uważamy sprawców podobnych egzekucyi i zamachów, jak Ignacy Chmieleński, a w czasie powstania Paweł Landowski, który w czerwcu 1863 roku sformował

Nazajutrz po zamachu, dnia 4 lipca, wszystko, co było znakomitego w Warszawie, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, Rada miejska z Wielopolskim na czele, przybyło do zamku dla wyrażenia wielkiemu księciu uczuć najgłębszego współczucia i powinszowania mu cudownego prawie ocalenia [1]).

Wielki książę przyjmując zebranych wyrzekł, zwracając się głównie do członków rady stanu, że zaszły wypadek bynajmniej nie wstrzyma pracy nad wprowadzeniem w życie zapowiedzianych reform. Byłoby tylko do życzenia, ażeby zamiary rządu znalazły poparcie w kraju.

Tegoż samego dnia arcybiskup Feliński po odprawieniu uroczystego dziękczynnego nabożeństwa, z ambony surowo potępił mordercę.

---

w Warszawie oddział sztyletników, za ludzi, którzy zwichnęli i sponiewierali natchnione pokuszenia narodu i zepchnęli go moralnie i materyalnie z drogi, wskazanej mu przez historyę". *Giller* tom I, str. 63. Nieco zaś dalej powiada: „Nieprawda, aby zamachy na wielkiego księcia i Wielopolskiego, wychodziły z komitetu centralnego. Komitet w pełnym swym składzie ani razu nie był uprzedzony, że są w zamiarze takie zamachy, chociaż nie bez tego, aby czerwieńsi członkowie komitetu nic o tem nie wiedzieli".

[1]) *Spasowicz* w dziele swem o Wielopolskim na str. 285—288 powiada: „Deputacya ta wyrażała nieobłudne potępienie zamachu, a jednak nie wyrzeczono ani jednego słowa po za ramy oficyalnego szablonu i nie było ani jednego serdeczniejszego objawu. Przyjęcie jak się zaczęło, tak się skończyło banalnie, jako czcza forma. Andrzej hr. Zamoyski, któremu wielki książę podał rękę, gdy jednocześnie drugą wyciągnął do Wielopolskiego, przez cały czas nie odezwał się ani słowa, stojąc z lekko pochyloną głową. Po pożegnaniu wielkiego księcia wszyscy czuli, że brak czegoś jeszcze, że należało coś zrobić, czego jeszcze nie spełniono.. I wtedy powstała myśl wystosowania adresu do wielkiego księcia. Zaczęto go nawet układać, wprowadzając doń co dnia coraz to inne zmiany. Nakoniec napisano coś takiego że Wielopolski, na którego ręce miał być wniesiony, odmówił przyjęcia".

Dnia 5 czerwca na posiedzeniu pełnej rady stanu, Wielopolski wypowiedział mowę, zaczynając od tego, że nie on, lecz wielki książę miał zagaić to zebranie i zaraz dotknął oburzającego czynu następnemi słowy: „W ciemnościach nocy, z tajnych kryjówek wyłągł się zamach, którym cały kraj się przeraził. Najdostojniejszy namiestnik, nie złamany ani zatrwożony w duchu, oświadczył nam, jakeście to panowie sami słyszeli, że on nie obwinia narodu polskiego o tę zbrodnię, ufa jego z dawna znanej szlachetności i gotów wspólnie z nami pracować dla dobra kraju. Miejmy więc nadzieję, że Opatrzność ocalając cudownie prawie życie wielkiego księcia, doda nam sił do zwalczenia zbrodniczych i podziemnych knowań.—Słońce prawdy oświeci umysły w błąd wprowadzone, a siła sumienia skruszy i wytrąci broń z ręki uwiedzionych, wzmacniając nasze społeczne stosunki".

Nadto wielki książę otrzymał od wszystkich mocarstw depesze gratulacyjne.

Zapowiedziane reformy ani na chwilę nie zostały wstrzymane. Radę stanu uzupełniono, powołując do niej najwybitniejsze osobistości ze wszystkich warstw społecznych. W trzech guberniach usunięto gubernatorów Rosyan, a zastąpiono ich Polakami. Wogóle Margrabia zarządził najenergiczniejszą, niebywałą w dziejach ruskiej administracyi, puryfikacyę urzędników w Warszawie i w całym kraju. W gazetach czytano całe kolumny nazwisk urzędników, uwolnionych dla dobra służby [1]).

Zapewne, ogłaszało się to o urzędnikach niezbyt wysokich, lecz wreszcie uwolniono dla dobra

---

[1]) *Dziennik Powszechny* nr 168 z roku 1862, zawiera całą listę takich urzędników, uwolnionych przez radę stanu. Nr 149 i 186 o gubernatorach.

służby prezydenta miasta Warszawy, Woydego, urzędnika w stopniu generała, którego następnie zastąpił hrabia Zygmunt Wielopolski, syn Margrabiego [1]).

Organ urzędowy Królestwa Polskiego *Dziennik Powszechny*, wydawany wyłącznie w polskim języku, doborem i rozmaitością treści dorównywał najlepszym prywatnym czasopismom. Były to najświetniejsze czasy dziennika, przezwanego następnie „warszawskim". Naczelnik rządu cywilnego, lubiący wszystkiem owładnąć, wziął w szczególniejszą swą opiekę ten Dziennik, wchodził w najdrobniejsze szczegóły wydawnictwa, chciał wiedzieć o wszystkiem i wszystkiem kierować wedle swego rozumienia. Redaktor Dziennika, znany z wielu prac historycznych, Franciszek Sobieszczański, codziennie musiał przychodzić do Margrabiego ze sprawozdaniem, co mianowicie zamieścił w numerze bieżącym i co ma przygotowanego na dzień jutrzejszy i następne. Wielopolski żądał przedewszystkiem dokładnych wiadomości z kraju w sprawach rolniczych, ekonomicznych i przemysłowych. Z polityki zagranicznej należało zamieszczać wszystko dotyczące Słowian. Redaktor nie podpisywał dziennika, gdyż Wielopolski właściwie siebie uważał za rzeczywistego redaktora pisma, które było jego organem [2]). Cenzura

---

[1]) *Dziennik Powszechny* nr 183. Woyde został zamianowany prezydentem Warszawy w kwietniu 1862 roku na miejsce uwolnionego Andreau. Przedtem był naczelnikiem powiatu w Włocławku. Zygmunt Wielopolski, mianowany dnia 6 sierpnia 1862 roku, był wtedy dyrektorem wydziału w komisyi spraw duchownych i oświaty i miał stopień porucznika. Jako prezydent pobierał 25,000 złp., czyli 3,750 rubli sr. pensyi.

[2]) *Lisicki* powiada, że Wielopolski zamieścił własne artykuły w Dzienniku: „o teatrze", „o równouprawnieniu Żydów", „o mandacie dla członków rad powiatowych". — Tom I, str. 248.

nietylko dla Dziennika, lecz wogóle była o wiele łagodniejszą niż następnie. Cenzorzy otrzymali wskazówkę, że mogą wogóle przepuszczać wszystko, czego nie zrozumieją. Cenzor Kozicki, który się odwołał do Margrabiego w pewnym dosyć drażliwym wypadku, otrzymał taką odpowiedź: „pan tego nie rozumiesz" a więc i ja nie rozumiem i nikt nie zrozumie, a zatem napróżno o tem mówić. Zresztą jutro dostaniesz pan instrukcyę, jak się w takich wypadkach należy zachowywać". Nazajutrz Kozicki został uwolniony ze służby [1]).

Nowa ustawa organizacyjna szkół Królestwa Polskiego została energicznie przeprowadzoną. Dla szkoły głównej, którą Wielopolski chciał postawić na równi z najlepszymi uniwersytetami i uczynić ją punktem przyciągającym dla całej młodzieży słowiańskiej, wyszukano najwybitniejszych profesorów. W części znaleziono odpowiednich ludzi w kraju, po części przywołano z Krakowa, Lwowa i Poznania. Na katedrę prawa międzynarodowego został wezwany Henryk Wyziński z Paryża [2]). Na katedrę prawa kryminalnego wezwany z Petersburga Włodzimierz Spasowicz [3]). Wszyscy profesorowie byli Polacy, tylko dla wykładów rosyjskiej i czeskiej literatury powołano Rosyanina i Czecha, a i ten Rosyanin od dawna mieszkał w Warszawie i prawie zupełnie się wynarodowił. Po rosyjsku wydał tylko polską gramatykę, zaś po polsku pisał dużo dobrych artykułów, odnoszących się do ruskiej literatury dla Encyklopedyi powszechnej Orgelbranda, podpisując je literami I. Sa.

Dnia 13 lipca Wielkiemu księciu przybył syn.

---

[1]) Wiadomość z redakcyi *Dziennika Powszechnego*.
[2]) Wykładał atoli zaledwie kilka tygodni.
[3]) Nie wykładał wcale.

Wielopolski doradził rodzicom, by mu dali imię Wacława, mające szczególnie dla Czechów urok historyczny i narodowy. Chrzest odbył się ze szczególniejszą uroczystością i wspaniałością. Namiestnik, wyleczony prawie zupełnie z otrzymanej rany, brał osobisty udział w uroczystości. Gdy dnia 28 lipca pozwolono namiestnikowi wyjechać, odwiedził Wielopolskiego, dowódcę wojsk generała-adjutanta Ramzaya, oraz obu arcybiskupów: Joannicyusza i Felińskiego. Tegoż dnia zniesiono zakaz chodzenia po ulicach wieczorem bez latarek [1]).

Wkrótce potem, na żądanie namiestnika, warszawska publiczna biblioteka, mieszcząca się w pałacu Kazimirowskim, otrzymała w darze, z cesarskiej biblioteki w Petersburgu, dublety rzadkich dzieł, odnoszących się do językoznawstwa i nauk przyrodniczych. Dnia 14 sierpnia 1862 r. przybył do Warszawy pierwszy transport tych dubletów w ilości 17,000 tomów.

Jednocześnie wznowiono dalsze wybory do rad powiatowych i miejskich, które zostały przerwane pod koniec rządów hrabiego Lamberta. Zebrania szlachty na tych wyborach częstokroć przypominały dawne polskie sejmiki, lecz władze administracyjne i policya otrzymały rozkaz pozostawienia zupełnej swobody wyborom.

Cały ten szereg ustępstw i reform, sypiąc się co chwila jak z rogu obfitości, musiał ostatecznie sprawić pewne wrażenie w kraju. Znaczna bardzo część białych zbliżyła się do rządu, starając się wszelkiemi sposobami uspokoić i przekonać czerwonych, którzy nie zaprzestali krzyków i uparcie powtarzali, że to wszystko są blichtry i w końcu Ro-

---

[1]) Nakaz używania latarek obowiązywał pięć miesięcy, od lutego 1862 roku.

syanie wyprowadzą Polaków w pole; że niech tylko ruch przycichnie i kraj się uspokoi, wnet wrócą dawne porządki; że panująca obecnie w wybranych radach swoboda słowa, trwać długo nie będzie i same rady zmienią się na instytucye na wzór rosyjskich, a Wielopolski albo zostanie rosyjskim czynownikiem, albo będzie zupełnie usunięty, a na jego miejsce przyszlą jakiego Rosyanina. Nie należy się więc łudzić jakiemiś zwodnemi nadziejami, lecz iść wytrwale dalej raz obraną drogą, nie przerywać tajemnych działań, owszem, zaznaczać je jeszcze wyraźniej, by pod naciskiem niepokoju i przerażenia wymódz na Rosyi coś istotniejszego, niż dotychczasowe ustępstwa, a mianowicie: połączenie z Litwą i Rusią, sejm, a nawet i swoje wojsko!...

Dziś trudno uwierzyć, do jakiego stopnia zaślepienia i dziecinnego nierozumu dochodziły twierdzenia czerwonej, niespokojnej części ludności, szczególnie zaś rozprawy prowadzone w Resursie kupieckiej, owem warszawskiem forum. Biali odpowiadali jak mogli, nieraz bardzo trafnie, ale to wcale nie pomagało. Warszawa stanowczo była czerwoną. Potajemny komitet Chmieleńskiego nie zaprzestawał działania.

Raz wśród sporów i hałasów w Resursie kupieckiej, Maciej Rosen, dawniejszy delegat, a obecnie czasowy członek rady stanu i stały członek rady miejskiej, powiedział do burzącej się młodzi wszelkiego wieku: „wszystko bierzmy, z niczego nie kwitujmy".—Frazes ten niezmiernie podobał się zebranym i wkrótce obleciał całe miasto, wywołując nawet uśmiech na ponurem obliczu „Jowisza"—Wielopolskiego.

Komitet czerwonych, skład którego po ustąpieniu Chmieleńskiego podaliśmy w księdze V, obawiając się przerzucenia się umysłów na stronę rządu postanowił wyjść z dotychczasowego niezdecydowa-

nego stanowiska i stać się rzeczywiście punktem środkowym całego ruchu, istotną władzą rządzącą. By tego dopiąć, potrzeba było wytknąć ściśle jakiś system postępowania i nadać wyraźny kierunek swym działaniom, oznaczając cel, do którego się zdąża.

Kierownicy organizacyi zawezwali Gillera, jako literata, Sybiraka i doświadczonego spiskowca, do ułożenia ustawy i programu działania, co tenże uskutecznił, trzymając się głównie rzeczy już istniejących i stwierdzonych praktyką tak dobrze w organizacyi czerwonej jak białej od końca 1861 roku.

Organizacya oparła się na dziesiątkach i setkach, znacznie już rozpowszechnionych, których zawiązywanie rozpoczęło się w marcu 1862 roku.

Kilka setek stanowiło okrąg.

Warszawa dzieliła się na trzynaście okręgów, stosownie do liczby miejskich cyrkułów. Trzy do czterech okręgów składało wydział; tych było cztery; na czele każdego stał wydziałowy. Na czele zaś wszystkich czterech wydziałów, czyli całej miejskiej organizacyi miasta Warszawy stał naczelnik miasta.

Naczelnik policyi odpowiadał stopniem wydziałowym i zostawał pod rozkazami naczelnika miasta.

Dziesiętników mianował setnik, setników okręgowy, za uwiadomieniem naczelnika wydziału. Okręgowych mianował naczelnik miasta na przedstawienie naczelnika wydziału. Naczelnicy zaś wydziałów byli mianowani przez komitet w porozumieniu z naczelnikiem miasta.

Poczynając od setnika, każdy członek organizacyi miał swego zastępcę. — Oprócz zastępcy przy każdym miało być kilku agentów, tak zwanych galopenów.

Wszelkie rozkazy starszego, podwładny obowiązany był wypełnić bez żadnej wymówki.

O sposobach wykonania postanowionych lub

otrzymanych zarządzeń, członkowie organizacyi naradzają się między sobą; setnicy z dziesiętnikami, okręgowi z setnikami, naczelnicy wydziałów z podwładnymi sobie okręgowymi i t. d.

Naczelnik miasta jest stałym członkiem komitetu, który, przyjąwszy nazwę centralnego, stanął na czele całej organizacyi.

Skład komitetu centralnego został oznaczony na siedmiu członków, pięciu dla Królestwa, po jednym zaś dla Litwy i Rusi. — Każdy z członków ma swego zastępcę.

W komitecie przewodniczą wszyscy członkowie po kolei. Przewodniczący zwie się regulatorem. — Przysięga członków komitetu tak brzmiała: „Ja N. N. przysięgam Bogu wszechmogącemu w Trójcy świętej jedynemu, Przenajświętszej Dziewicy i Wszystkim Świętym, że od tej chwili staję się rzeczywistym członkiem centralnego narodowego komitetu. Przysięgam, że nie zdradzę tajemnicy, ani w więzieniu, ani na wolności, i że nie przyjmę żadnych propozycyi wroga. Powtóre przysięgam bronić ojczyzny wszelkiemi sposobami, a jeśli tego nie spełnię, niech mnie dosięgnie zasłużona kara Boża, tak tu na ziemi, jak i w przyszłem życiu. Tak mi Panie Boże dopomóż, Przenajświętsza Maryo Dziewico i Wszyscy Święci. Amen".

Komitet centralny z natury swych zajęć dzieli się na pięć wydziałów, czyli departamentów: Pierwszy departament zajmuje się wszelkiemi sprawami miasta Warszawy; drugi departament dla spraw prowincyi; trzeci departament dla spraw zagranicznych; czwarty departament skarbowy; piąty departament policya.

Nadto w Warszawie zostanie zawiązany oddzielny komitet wojenny w charakterze departamentu wojny, zachowując wszakże aż do dnia wybuchu zupełną niezależność w działaniu. Komitet ten wszakże

nie mógł się odpowiednio zorganizować. Dąbrowski do czasu swego uwięzienia, które nastąpiło dnia 14 sierpnia 1862 roku, uważał się za dyrektora tego komitetu, złożonego z kilku oficerów. (Podają, że członkami tego komitetu byli oficerowie: Dąbrowski, Heidenreich, Zwierzdowski, Warawski i Potebnia).

Wszelkie sprawy w komitecie mają się rozstrzygać większością głosów rzeczywistych członków. Zastępcy uczestniczą w naradach z głosem doradczym.

Komitet centralny będzie używał trzech pieczęci: jedną, średniej wielkości z herbem Polski i Litwy i z napisem w otoku „Narodowy komitet centralny: drugą, mniejszą, tak zwaną organizacyjną, z godłem dwóch rąk połączonych w uścisku i z napisem „Wolność, równość i niepodległość"; trzecia, niewielka pieczęć, nosiła monogram z początkowych liter nazwisk pierwszych założycieli, najwyraźniejsze litery były M. i D., Marczewski i Dąbrowski. Pieczęcie te były bardzo dobrze rytowane przez najlepszego rytownika mennicy warszawskiej, Tyca. Pierwszej używano do najważniejszych dokumentów, drugiej do ogłoszeń mniejszej wagi, trzeciej zaś do blankietów i papieru, wysyłanego przez komitet centralny na prowincyę.

Wewnątrz kraju organizacya zawiązała się w sposób następujący:

Królestwo Polskie dzieli się na osiem województw, województwa na powiaty, powiaty na okręgi. W okręgach tworzą się setki i dziesiątki. — Każdy podział ma swego naczelnika, ten zaś zastępcę.—Naczelników województw mianuje komitet centralny; powiatowych wojewoda i t. d.—Naczelnikami w miastach wojewódzkich są wojewodzi, w powiatowych naczelnicy powiatów. — Miasteczka ze swymi naczelnikami podlegają władzy okręgowych.

Na czele Litwy i Rusi stoją komitety prowincyonalne, złożone każdy z pięciu członków i tyluż zastępców. Przy każdym z tych komitetów ustanowieni są mężowie zaufania, czyli agenci władzy centralnej, celem zachowania z nią stałego związku i porozumienia[1]).

Prowincye zakordonowe, to jest Galicya i Poznańskie, zorganizowały się na swój sposób, niezależnie od komitetu centralnego a nawet w początkach nie utrzymywały z nim żadnych stosunków.

Zadanie organizacyi polegało głównie na wciągnięciu do współudziału w przyszłem powstaniu wszystkich stanów i warstw społeczeństwa, oraz na dążeniu do jaknajprędszego usamowolnienia włościan, ażeby ten główny stan narodu, dotychczas zachowujący się obojętnie wobec poprzednich polskich powstań, zrobić podstawą tego, a szczególniej przyszłych powstań i walk za niepodległość[2]).

Nie zważając wszakże na tak prawidłowy podział czynności w projekcie, maszyna jeszcze długo funkcyonowała po dawnemu, to jest dosyć chaotycznie. Mianowicie dawał się uczuwać wielki brak ludzi rozumiejących dokładnie i zdających sobie sprawę, na czem głównie polega istota rewolucyjnego działania, i mogących odpowiednio zająć takie mnóstwo stanowisk rewolucyjnej organizacyi. Najtrudniejsze były do obsadzenia stanowiska wyższe. W centralnej organizacyi w Warszawie, o ile wiadomo, jedynie departament skarbowy zorganizował się prawidłowo pod dyrekcyą Franciszka Godlew-

---

[1]) *Aweyde* powiada, że władze tych agentów i ich stosunek do różnych członków organizacyi nie były dostatecznie określone w statucie *Gillera*, wskutek czego agenci bardzo często mieszali się do spraw do nich nienależących, z czego wynikały nieporozumienia i porządne zamięszanie.

[2]) *Giller* strona 66—67.

skiego; członkami wydziałów byli w nim Władysław Jeske i Mikołaj Epstein —Doprowadzono do pewnego ładu rachunkowość poborców, jednakże zupełnie ścisłego porządku niepodobna było utrzymać, tak dla trudności kontroli, jakoteż i z tego powodu, że nie dało się następnie sprawdzić, komu w pierwszych chwilach gorączkowej działalności komitetu centralnego dane były upoważnienia do wybierania składek w kraju. Co zaś do samych składek, to te między czerwonymi nigdy nie wydały donośnych rezultatów i kasy komitetu słabo były zaopatrzone.

O dyrekcyach innych departamentów nie wiemy, prócz o wątpliwej dyrekcyi Dąbrowskiego.

Na prowincyi także przez dłuższy czas nie można było uzupełnić organizacyi. Na ośmiu wojewodów, przewidzianych w statucie, zaledwie trzech zdołano wynaleźć i tak było aż do wybuchu powstania, to jest przez siedem miesięcy. Naczelników powiatów zamiast przewidywanych trzydziestu dziewięciu, ustanowiono tylko piętnastu[1]).

Jedni z nich nic nie robili, drudzy robili nie to co potrzeba, inni zaś więcej niż należało, uważali się za wszystko, do wszystkiego się mięszali i przez swoją nadzwyczajną gorliwość i zapał narażali siebie i drugich co chwila na wielkie niebezpieczeństwo.

---

[1]) Podług *Aweydy*, tom III, str. 112, byli wojewodami: w krakowskiem Władysław Janowski, sędzia trybunału w Kielcach; w lubelskiem Kazimierz Gregorowicz, patron trybunału w Lublinie; w płockiem obywatel ziemski Tłuchowski.—Agentami komitetu centralnego po województwach byli: Józef Narzymski, Władysław Jeske, Stanisław, Jan i Leon, trzej bracia Frankowscy, Edward i Erazm, bracia Rolscy, ksiądz Rafał Drewnowski, Tomasz Burzyński, Julian Wereszczyński, Edward Lisikiewicz, Alfred de Rostein i Wojciechowski.

Jeden z takich zapaleńców, Bronisław Szwarce, dostał się nawet do składu komitetu centralnego. Był to syn emigranta z 1831 roku, urodzony w Paryżu, bardziej Francuz niż Polak, żywy, pełen zapału, brunet, o postaci jakby stworzonej do barykad, czem właśnie swoim podwładnym głównie imponował. Przybył do Warszawy w pierwszych chwilach rozpoczynającego się ruchu i natychmiast przez pewne wpływy uzyskał posadę przy drodze żelaznej warszawsko-petersburskiej, na przestrzeni między Warszawą a Białymstokiem, przy której teżsame wpływy pomieściły wydalonego z wojska, wskutek zajść kwietniowych, kapitana z kostromskiego pułku piechoty, Leona Kulczyckiego, na przestrzeni między Białymstokiem a Grodnem.—Szwarce cały się oddał na usługi komitetu centralnego, nietylko jako członek takowego, lecz nadto jako kuryer i agent, szczególniej dla stosunków z Litwą, w końcu zaś jako sekretarz. W jego mieszkaniu przy ulicy Widok, przechowywały się pieczęcie komitetu, wszelkie blankiety, oraz ruchoma pieczęć wójta gminy, dla wygotowywania fałszywych paszportów dla osób wyprawianych do kraju. Nazwa dowolnej gminy dawała się wstawiać do pieczęci.

Miał on także drugie mieszkanie w domu Grabowskiego nr. 495, przy ulicy Miodowej. Dom ten był przechodnim do ulicy Daniłowiczowskiej i miał nadto wejście do ogrodu księży Kapucynów. W tem mieszkaniu, jako bezpieczniejszem, Szwarce najczęściej przebywał. W tym domu nadto mieszkali: Karol Ruprecht, Edward Jurgens, Bolesław Denel i powieściopisarki: Zofia Kaplińska i Gabryela. Trzecie piętro w oficynie, gdzie obok siebie mieszkały wyżej wymienione osoby, nazywało się w języku spiskowym: „Miodową górką". Nieopodal ztamtąd, przy ulicy Daniłowiczowskiej, w klasztorze Felicyanek, w celi zakonnicy Tekli Trochanowskiej,

ukryte były dwie drukarnie komitetu centralnego, przeniesione z ulicy Brackiej, a urządzone jeszcze przez akademików w jesieni 1861 roku, kosztem Adama hr. Grabowskiego. W drukarni pracował głównie Jan Przysuszyński, zecer z *Gazety polskiej*. W celi siostry Trochanowskiej wydrukowano nr. 2. *Ruchu* i nr. 1. *Słowa*, a w styczniu 1863 roku drukowano tam różne odezwy i plakaty, odnoszące się do zbrojnego powstania. Nieco później obie drukarnie przeniesiono z celi siostry Trochanowskiej do podziemnego przejścia, istniejącego między klasztorami Felicyanek i Kapucynów, które obecnie jest zamurowane.

Szwarce odbierał raporty, prośby, wysyłał ekspedycye i listy, zawiadywał wszystkiemi drukarniami komitetu, których wówczas było trzy, od czerwca zaś 1862 roku zaczął wydawać oficyalny niejako organ spisku *Ruch*, zewnętrznie prawie niczem nie różniący się od jawnie drukowanych dzienników.

Drugim takim nadzwyczaj gorliwym i kompromitującym członkiem komitetu był Jarosław Dąbrowski, tolerowany jedynie dla swych licznych stosunków w mieście i niesłychanej energii. Przy wszystkich swoich wadach, miłości własnej, niecierpliwości i pokuszeniach terorystycznych, w których upatrywał jedyny ratunek, Dąbrowski w każdym razie przedstawiał nadzwyczajną rewolucyjną siłę, której samowolnie żadne stronnictwo czerwone pozbyć się nie mogło. Do tego w owym czasie złagodniał, zgadzał się jakby na wszystko, co mu nie przeszkadzało znosić się potajemnie z Chmieleńskim i snuć dalej różne terorystyczne plany. Ludzie jemu podobni żyli podówczas ciągle pod grozą jakiegoś przez się wymarzonego zamachu stanu ze strony białych, którym ani się śniło zaczepiać czerwonych. Biali zbliżyli się wprawdzie do rządu i Wielopolskiego, lecz wcale nie wszyscy. Niektórzy przyj-

mowali ofiarowane im urzędowe stanowiska, lecz większość trzymała się zdala na uboczu, wszyscy zaś, bliżsi i dalsi, zarówno nie ufali rządowi, w czem się nie różnili od czerwonych. Ci ostatni byli nawet potrzebni białym, jako rodzaj straszaka dla rządu i mieli służyć za ciągłe przypomnienie, że dane obietnice winny być spełnione; potrzebni byli do odegrywania roli, do której biali wcale się nie nadawali. Kto wie, czy nawet i sam Wielopolski nie w taki sposób zapatrywał się na czerwonych. I on miał powody do nieufności i pragnął, aby polityczna atmosfera w Polsce nie uległa zmianie, dopókiby nie przeprowadził wszystkiego co zamierzał, dopóki ogłoszone projekta nie urzeczywistnią się, nie przejdą w krew i rdzeń narodu. Są nawet pewne wskazówki, że Wielopolski znał niektórych przewódców ruchu... co zaś nie ulega najmniejszej wątpliwości, to to, że biały komitet znosił się z nim przez Kronenberga i otrzymywał tą drogą pewne wskazówki[1]).

Z ówczesnych zarządzeń białego komitetu widoczne, że stronnictwo konserwatywne wcale nie zamierzało zniszczyć przeciwników, lecz dążyło jedynie do zdobycia przewagi i kierowania nimi, jak pionami. Na jednem z posiedzeń szlacheckiej dyrekcyi, wkrótce po wyjściu statutu organizacyjnego Gillera, gdy wśród czerwonych widoczny był silniejszy ruch i zajęcie, postanowiono zebrać jak najprędzej fundusz żelazny, kapitał nietykalny, jakim jeszcze żadne stronnictwo nie rozporządzało. Wszystkim nieco czerwieńszym członkom dyrekcyi zdawało się rzeczą wcale nie trudną zebrać w jednej chwili miliony, jeśli się tylko zaprzestanie wszelkich

[1]) Stwierdza to i Gregorowicz w swym *Poglądzie krytycznym na wypadki z lat 1861, 1862 i 1863.*

ceremonii z bogatszą szlachtą i kapitalistami. Większość wszakże uchwaliła składkę umiarkowaną, po 25.000 rubli sr. rocznie z każdego województwa, z Augustowskiego zaś, jako najmniej zamożnego, tylko 20.000 rubli sr. Najbogatsi kapitaliści warszawscy wezwani zostali do złożenia po 25.000 rubli sr. każdy. Zebrano rzeczywiście z województw do 150.000 rubli sr., ile zaś wyniosła składka od kapitalistów, niewiadomo[1]).

Oprócz tego dyrekcya biała starała się pozyskać głównych przewódców stronnictwa ruchu na emigracyi. Szczególnie chodziło im o generała Wysockiego, dyrektora szkoły wojskowej w Cuneo, lecz stale przebywającego w Paryżu. Jemu nie było tajnem, że fundusze na utrzymanie szkoły pochodzą od białych, że oni nader czynnie współdziałali przy założeniu szkoły i, że bez ich zachodów i pomocy szkoły prawdopodobnie wcale by nie było. On wiedział także i o innych zachodach tego stronnictwa, dążących jakby do powstania, wszakże zachowywał się wciąż niedowierzająco, gdyż i jemu od czasu do czasu migała przed oczyma reakcya, zdrada białych i przejście ich *en masse* na stronę Wielopolskiego i rządu.

Nie uwzględniając zdania i poglądów starego generała co do położenia spraw w kraju i istniejących stronnictw, a nawet nie wiedząc dokładnie, do jakiego właściwie stronnictwa sam generał należy, dyrekcya wysłała doń jednego z najdzielniejszych swych członków, Jurgensa, który go miał wtajemniczyć w arkana białej organizacyi, a jeśli się da i pozyskać dla swych zamiarów. Jurgens, opisując generałowi położenie spraw w Królestwie Polskiem, przedstawił szlachecką dyrekcyę jako punkt

---

[1]) *Aweyde* tom III, str. 53.

środkowy całego ruchu, nazywał ją narodową i szeroko się rozwodził o jej potędze i środkach. Z jego słów wypadało, że tylko od dyrekcyi zależy wywołać powstanie lub do takowego wcale nie dopuścić. Dotychczas dyrekcya dąży do powstania i w tym celu przesyła na ręce generała 40.000 franków czy to na potrzeby szkoły, czy też na inny jaki użytek odpowiedni.

W dalszych swych rozmowach z Wysockim, Jurgens starał się wybadać jego zdanie co do stosunków różnych stronnictw na emigracyi, wywiedzieć się o ich związkach z komitetem centralnym i czy liczą one na blizkie powstanie w Królestwie lub przeciwnie, w razie zaś wybuchu w jaki sposób zamierzają nieść pomoc takowemu, jakie mają środki do rozporządzenia i t. p. Lecz wytrawny spiskowiec i rewolucyonista niczem się nie zdradził; więcej słuchał niż mówił, a jeżeli się z czemś odezwał, to w najwyższym stopniu ogłędnie i ogólnikowo, tak, że ostatecznie własnego zdania wcale nie wyjawił. Pieniądze wszakże przyjął, nie powiedziawszy na jaki cel je użyje[1]).

---

[1]) Autor *Porozbiorowych aspiracyi politycznych* str. 210—211 powiada, że „hrabia Andrzej Zamoyski posyłał do Wysockiego jakiegoś obywatela W. z Radomskiego. Misya polegała na tem, ażeby skłonić generała do powstrzymania młodzieży od marzeń o prędkiem wywołaniu powstania w Polsce, które jest nie na czasie. Niech młodzież spokojnie dalej się kształci, chociażby w szkole wojskowej w Genui, względnie w Cuneo, lecz niech się nie rwie do walki z Rosyanami, bo jeszcze niema czem i o czem walczyć. Że na utrzymanie tej i innych szkół, które powstaną za granicą, kraj będzie dawał milion franków rocznie, pod warunkiem wszakże, że Wysocki na piśmie da zapewnienie, że będzie działał w duchu i kierunku stronnictwa. W razie dojścia do skutku układu, pełnomocnik był upoważniony do wyasygnowania tytułem zaliczki 25).000 franków. Wysocki na to oświadczył, że ani myśli stawić jakichkolwiek prze-

Czy Jurgens widział się z kim jeszcze z wybitniejszych osób stronnictwa ruchu na emigracyi, niewiadomo. Po wysłuchaniu sprawozdania Jurgensa z jego pobytu w Paryżu, dyrekcya uchwaliła pozostawić zupełnie czerwonych na stronie, natomiast zaś nawiązać ściślejsze stosunki z księciem Władysławem Czartoryskim, które chwilowo osłabły, gdy tenże nie przychylił się do programu, przesłanego w lutym 1862 roku.

Tym razem wysłano do Paryża Józefa Kołaczkowskiego, zwykłego kuryera białych. Policya wszakże paryska zasadziła go za jakieś dawne, niepopłacone długi, do Clichy. Wysłano więc Łucyana Hordyńskiego, a następnie Augusta Trzetrzewińskiego, lecz niema śladu, co wskórali obaj wysłannicy.

Jednocześnie zaś ze swej strony Wysocki wysłał do Warszawy Włodzimierza Milowicza, bardzo bystrego i zdolnego ucznia szkoły wojskowej[1]) dla najdokładniejszego, o ile się da, zbadania składu dyrekcyi szlacheckiej i jej stosunków z komitetem centralnym.

---

szkód powstaniu, które musi nastąpić, czy tego chce lub nie chce hrabia Andrzej i stronnictwo zachowawcze w Królestwie. Młodzież polska nie może dopuścić, ażeby kompromis zawarty z rządem przez Wielopolskiego miał przyjść do skutku i gotowa jest przelać najserdeczniejszą krew swoją, byle przeszkodzić zgubnemu sojuszowi Polski z Rosyą. Nie obawia się Wysocki złych następstw powstania, gdyż z Palais-Royal otrzymał bardzo kompetentne zapewnienia, że jak tylko wybuchnie powstanie, Francya pośpieszy ze zbrojną pomocą. — Autor *Aspiracyi* zapewnia, że wszystko to słyszał od samego pana W. w Paryżu zaraz po konferencyi tegoż z Wysockim.—Pieniądze wróciły do Warszawy.

[1]) Uczniem nie był, lecz w radzie nadzorczej szkoły *Przyp. tł.*

Milowicz dotarł szczęśliwie do Warszawy i zebrał żądane wiadomości. Według jego zdania dyrekcya była tajemnem narzędziem Wielopolskiego, który za jej pomocą podminowuje stanowisko czerwonych w kraju, a jednocześnie straszy rząd różnymi majakami. Gdy zaś raz dościgne zamierzonego celu i otrzyma od rządu wszystko i w takiej mierze, jaką uważa za niezbędnie potrzebną i możliwą do osiągnięcia, natychmiast zmieni sposób postępowania, nakaże dyrekcyi by się rozwiązała; wspaniała demonstracya ze wszelkiemi akcesoryami, szkołami wojskowemi, wojewodami, komitetami i t. p., ustanie, a czerwoni, osamotnieni, zniewoleni zostaną do zaprzestania robót, w które włożyli tyle trudu i starań, i gwoli którym zginęło już tylu znanych, odważnych i pełnych poświęcenia patryotów.

Wysocki ze swej strony uznał za stosowne przestrzedz kogo potrzeba o grożącem czerwonem niebezpieczeństwie. Wysłannik dodał coś jeszcze od siebie dla zwiększenia grozy. Jednocześnie na emigracyi rozeszły się pogłoski o układach białych z księciem Czartoryskim. Zmora reakcyi stanęła znów w całej grozie przed oczami ludzi, którzy już i bez tego usposobieni byli do dostrzegania jej wszędzie i we wszystkiem. Teroryści postanowili więc ponownie zapobiedz zbliżającej się katastrofie, wstrząsnąć kraj cały czemś niezwykłem i przez to oddalić wprowadzenie reform na czas nieograniczony, tem zaś odciągnąć białych od rządu, a nawet podburzyć ich przeciw niemu i zamienić dotychczasowe ich demonstracye w rzeczywiste sprzysiężenie. W tym celu, w przekonaniu terorystów, należało uderzyć w samo centrum stronnictwa białych, w głównego kierownika ich działania.

Zdecydowaną rękę, a nawet dwie, wnet wyszukali agenci Chmieleńskiego i Dąbrowskiego, między niedoszłymi i niezadowolonymi ze swego stanu

i położenia rzemieślnikami, stanowiącymi, jak wiadomo, najodpowiedniejszy materyał do takich przedsięwzięć.

Jednym z takich, na wszystko zdecydowanych patryotów, był Aleksander Ludwik Ryll, dziewiętnastoletni litograf, syn odlewacza z fabryki żelaznej Ewansa. Odlewacz ten wszakże był tylko nominalnym ojcem chłopaka. Urodzony w Warszawie Ludwik Ryll znalazł opiekuna w hrabiu Gutakowskim, który, gdy po roku 1840 z powodów politycznych wyprzedał się w Królestwie i osiadł z żoną na stałe w Poznaniu, wziął ze sobą swego wychowanka, oddał go do szkół niemieckich w Lesznie, a po roku umieścił go w szkole realnej w Poznaniu. Ryll wszakże nie okazywał żadnych zdolności do nauk. Opiekun umieścił go u litografa, a gdy chłopiec i do litografii niechciał się przykładać, znudzony, odesłał go matce do Warszawy, radząc, aby mu tam wyszukała jakie zajęcie. Rzekomy ojciec, ów odlewacz, już nie żył. Powiadają, że pewnego dnia, zabrawszy swe ruchomości, wyszedł z domu i zniknął bez śladu. Matka z bratem swym Ambrożym mieszkała przy ulicy Gołębiej, nader biednie. Gdy Ludwik wrócił z pewnym fundusikiem, danym mu przez hrabiego na drogę, ani myślał szukać pracy, lecz zaczął hulać po ogródkach i bawaryach, pozbywając się stopniowo cenniejszych rzeczy, otrzymanych różnemi czasy od hrabiostwa w czasie swego pobytu w Poznaniu. Lecz i to źródło się wyczerpało i wkrótce znalazł się w jednym surducie. Wtedy wyjechał, niewiadomo dlaczego, do Łodzi i wrócił ztamtąd jeszcze bardziej obdarty. Potrzeba było wziąć się do pracy, po krótkim namyśle wstąpił do kowala, sądząc, że niepotrzeba wielkiej umiejętności do wywijania młotem, lecz już pierwszego dnia poodbijał sobie ręce i nogi. Nie było co jeść. W takim stanie odszukał

go pełnomocnik hrabiego, niejaki Zalewski i oddał go do litografa Regulskiego. Ten wszakże bardzo prędko był zmuszony wydalić Rylla za pijaństwo i łajdaczenie się. Następnie dostał się do malarza Darewskiego, u którego przebył dwa miesiące i przeniósł się do litografa Janiszewskiego, u którego wytrzymał tylko dwa tygodnie. Naraz umyślił wstąpić do warsztatu szewckiego Staniszewskiego.

W tym czasie żona zesłanego na Sybir litografa Fleka, zasypana zamówieniami robót litograficznych, poszukiwała robotników. Wskazano jej Rylla, którego przyjęła z płacą trzy ruble sr. tygodniowo. Było to w wielkim poście 1862 roku. Przez cały wielki post Ryll zachowywał się nienagannie, lecz na Wielkonoc zaczął pić ponownie i został oddalony. Wyszukał zajęcie u litografa Wrońskiego przy ulicy Trembackiej; tam nie widziano go trzeźwego. Już od rana, jak sam o sobie powiadał, był „dobrze usznurowany“, bezustannie zadzierał z kolegami, odgrażał się każdemu, że mu połamie kości i raz się odezwał, że „skończy na tem, że zostanie rozbójnikiem, a wtedy zobaczą, co on potrafi”. Podobne przechwałki nie przechodziły podówczas niespostrzeżenie. Rylla zaczęły śledzić jakieś tajemnicze figury...

W tym czasie przyjechał do Warszawy nowy pełnomocnik hr. Gutakowskiego, Piętka, który miał także polecenie odszukania chłopca i, w razie, gdyby się dowiedział, że się ustatkował i lepiej się prowadzi, płacenia mu miesięcznej pensyi 12—15 rubli sr. Piętka dawał mu po kilka rubli, a nadto oświadczył, że jeśli nie zmieni swego trybu postępowania, zaprzestanie zupełnie pomagać mu. Był także w tym czasie i sam hrabia Gutakowski w Warszawie i widział wychowanka, lecz uznał go niegodnym dalszej opieki. To też wyjeżdżając z Warszawy w końcu czerwca 1862 r. nietylko, że nic nie

dał Ryllowi, lecz polecił Piętce, by także zaniechał wszelkiej pomocy.

Wskutek takiego opuszczenia przez opiekuna dotychczasowego, rozdrażnienie Rylla do całego świata prawie granic nie miało. W takiem usposobieniu umysłu zapoznał się z niejakim Stanisławem Jaczewskim, pomocnikiem w księgarni Friedleina. Ten zaczął go wodzić po ogródkach i zapoznał z Feliksem Kowalskim i litografem Janem Rzońcą, człowiekiem również rozgoryczonym, awanturniczego usposobienia i od dzieciństwa zamiłowanym w wszelakich bójkach. Gdzie tylko zaszła jakaś awanturka, połączona z podbiciem oczu i pokrwawieniem nosów, tam koniecznie musiał należeć Rzońca. Podobne indywidua były jakby stworzone do pułków żuawów, do tych spotkań w pierwszych chwilach boju, charakterystycznie przez nich nazwanych *à la fourchette*.

Lecz Rzońca nie dostał się do żuawów, ale wałęsał się po Warszawie i zwrócił na siebie uwagę werbowników warszawskiego *Vehmgerichtu*. Rzońca w krótkim czasie został dziesiętnikiem w czerwonej organizacyi, zwerbowawszy kilku, jak sam, straceńców, dla przyszłej powstańczej armii; sam ułożył dla nich rotę przysięgi, którą chował pod nogą od łóżka, nareszcie, jakoś w lipcu 1862 roku, objawił swoim nierozłącznym przyjaciołom, że jest gotów do spełnienia w s z e l k i e g o rozkazu swej władzy. Kierownicy czując, że jego awanturnicza, zbójecka natura nie ulegnie zmianie, pozostawili go w rezerwie, wysunęli zaś naprzód Rylla, obawiając się, że tegoż gorączkowe rozdrażnienie łatwiej może minąć.

Stale hulające po ogródkach towarzystwo patryotów składali głównie: Feliks Kowalski, Stanisław Jaczewski, Ludwik Ryll i Jan Rzońca. Oni zwali siebie po imieniu i najczęściej schodzili się

w dużym ogrodzie na Nowym Świecie, Foksalu, w pobliżu ulicy Smolnej[1]). Od czasu do czasu zjawiał się między nimi jakiś jegomość, należący widocznie do lepszych klas towarzyskich i mianujący się wobec nich obrońcą kraju. Przemawiał do nich zwykle kilkoma słowy zachęty i znikał jak senna mara.

Na umysły tych młodych ludzi, zagrzewanych wciąż spirytualiami lub piwem, częstokroć zaprawnym blekotem, niewymownie podniecająco działały te nocne, tajemnicze schadzki w opustoszałym ogrodzie, wśród snujących się postaci takich samych, jak się zdawało, spiskowców, ich ciche szepty i wśród tego zjawienie się naraz, jakby z pod ziemi, jakiejś wyższej osobistości, z rzędu tych, które zdaleka, niewidzialni, rozkazują i rządzą...

W parę tygodni po zamachu na wielkiego księcia, ku końcowi lipca, Ryll już był stanowczo pozyskany przez agentów partyi Chmieleńskiego i oświadczył swą gotowość służenia sprawie narodowej, jak i gdzie rozkażą. Wtedy oznajmiono mu, że „potrzeba zabić Wielopolskiego", że „wiele na tem zależy". — Ryll nie oponował.

Tamże, w Foksalu, obmyślono cały plan działania. Z początku próbowano przebrać Rylla za oficera, i uzbroiwszy go w rewolwer, projektowano wysłać do Belwederu, gdzie się zwykł przechadzać Wielopolski po wyjściu z audyencyi u wielkiego księcia. Ale Ryll tak śmiesznie wyglądał w mundurze, który nadto miał jakieś niedostatki, mogące wpaść w oko komukolwiek z wojskowych i doprowadzić do wykrycia przebrania, że ostatecznie pla-

---

[1]) Obecnie przez ogród ten przeprowadzona ślepa ulica tej samej nazwy, zabudowana ładnemi pałacykami i wilami hrabiów Przeździeckich, Wołowskiego i innych.

nu tego zaniechano i postanowiono wykonać zamach w komisyi skarbu przy ulicy Rymarskiej, wcale Rylla nie przebierając.

Dnia 7 sierpnia 1862 roku, po rannej przekąsce w Foksalu, w której wziął udział oprócz całej grupy spiskowców i tajemniczy „obrońca kraju", powiedział tenże Ryllowi, że do Wielopolskiego strzelić potrzeba dziś jeszcze o godzinie 1-szej po południu, w przedsionku komisyi skarbu, gdy Margrabia będzie przechodził na posiedzenie komisyi, i zawezwał go, ażeby zaraz poszedł obejrzeć miejscowość.

Ryll był dobrze podochocony. W Foksalu wypił trzy wielkie kufle piwa, po drodze do komisyi „obrońca" częstował go w trzech cukierniach wódką i ponczem, do którego dosypywał coś odurzającego i w takim stanie wprowadził go na miejsce projektowanego zamachu. Tutaj wskazał szczegółowo co i jak ma robić, wsunął mu do kieszeni rewolwer i po strzale kazał uciekać dziedzińcem w stronę Banku polskiego, gdzie w pobliżu, na ulicy Elektoralnej będą „nasi" oczekiwać z pomocą. Poczem się rozstali[1]). Była godzina 1 po południu Ryll pozostawszy sam jeden, raz jeszcze opatrzył miejscowość i wyszedł na ulicę. Męczyło go straszne pragnienie, w najbliższym więc szynku wypił jeszcze jeden kufel piwa, poczem wrócił na dziedziniec przed gmachem komisyi i tam jeszcze blizko godzinę oczekiwał, przechadzając się w różnych kierunkach. Już chciał wracać do domu, straciwszy cierpliwość, gdy podszedł ku niemu jakiś młody człowiek mówiąc: „Margrabia jedzie".

Rzeczywiście w kilka minut potem rozległ się

---

[1]) Zeznania Rylla. Patrz *Dziennik powszechny* r. 1862, nr. 190.

turkot powozu. Wielopolski jechał w odkrytym powozie, obok stangreta na koźle siedział woźny z teką. Ryll wszedł śpiesznie do przedsionka i stanął z lewej strony, za małemi oszklonemi drzwiczkami. Gdy Margrabia zaczął wstępować na schody, Ryll wyszedł z ukrycia i wymierzył nań rewolwer, z odległości dwu kroków. Margrabia nie stracił przytomności, podniósł do góry potężną swą laskę i krzyknął groźnie „a ty co tu robisz zbóju?" To proste zapytanie, wyrzeczone energicznie, i groźna laska nad głową, tak zmięszały Rylla, że spuścił rewolwer i wyskoczył z przedsionka. Strzelił dopiero gdy Margrabia szybko zaczął wchodzić na schody. Jedna kula trafiła w szafę z papierami, stojącą naprzeciw głównych drzwi wchodowych, druga zaś w drewniane odrzwia, przy drzwiach prowadzących z przedsionka. Działo się to o trzy kwadranse na trzecią. Po danych strzałach, stosownie do otrzymanej instrukcyi, Ryll rzucił się ku Elektoralnej ulicy, minął wszystkie trzy dziedzińce, grożąc trzymanym w ręku rewolwerem, tym, którzy starali się go zatrzymać, w bramie wszakże został zatrzymany przez stróża.

Przy śledztwie Ryll nie wydał nikogo. Przy skonfrontowaniu z Dąbrowskim powiedział, że „nie zna tego pana"; toż samo powtórzył sprowadzony z Rzońcą, który także wyparł się wszelkiej znajomości z Ryllem i został wypuszczony.

Podróż wszakże do X pawilonu warszawskiej cytadeli, widok wrót podwójnych, przy których stała straż pod bronią i żandarmi z obnażonemi pałaszami, wszystko to wywarło na Rzońcę tak silne wrażenie, że wróciwszy zachorował, mimo, że był silnej natury i zawsze się przechwalał, że się niczego na świecie nie boi.

Gdy wyzdrowiał i zaczął wychodzić na wpół żywy, właśnie kończył się proces Jaroszyńskiego,

sądzonego jawnie z rozkazu namiestnika, w gmachu sądowym przy ulicy Miodowej.

Dnia 14 sierpnia 1862 roku przywieziono tam Jaroszyńskiego w karecie, otoczonej szwadronem huzarów, pod strażą kilkunastu żandarmów. Przy przejeździe lud wznosił okrzyki na cześć Jaroszyńskiego. Na dziedzińcu pałacu sprawiedliwości ustawiono batalion piechoty. Ulicę Miodową zapełniła publiczność, tłum się dostał i na dziedziniec pałacu, między wojsko, a w tym tłumie znajdował się także Rzońca ze swymi przyjaciółmi z Foksalu. Przyjaciele ci nie opuszczali go ani na chwilę, mając go upatrzonego do dalszych swych celów, ponieważ Rzońca miał zastąpić Rylla, w razie, gdy temu zamach na Wielopolskiego się nie powiedzie.

Można sobie wyobrazić tę gorączkową ciekawość, połączoną z grozą i niepokojem, z jakiemi się snuł po dziedzińcu przed gmachem, w którym odbywał się sąd nad znanym mu dobrze patryotą. Zdawało mu się, że za temi oknami sądzą jego samego, wydanego przez Rylla, lub którego ze sprzysiężonych. Wprawdzie raz udało wywinąć się szczęśliwie, ale czy zawsze tak będzie?...

Przyjaciele, śledzący pilnie tego człowieka, jakby czytali w jego duszy. Jeden z nich odezwał się: „decyduj się! masz ginąć, niechże nie będzie to napróżno, bez żadnej korzyści dla ojczyzny! zapędzą cię gdzieś na Sybir albo wpakują do kazamat i zgnijesz tam bez śladu".

Rzońca raz jeszcze rzucił okiem na otaczającą go scenę, na okna, za któremi wyrokował straszny sąd... na ponurą karetę, w której przywieziono delikwenta... na błyski poruszających się bagnetów i pałaszy, wreszcie na te okrutne w swej ciekawości twarze bezimiennego tłumu, oblegające dziedziniec i zapełniające ulicę Przypatrywał się temu obrazowi przez kilka minut dzikim wzrokiem, wydo-

bywającym się z głęboko zapadłych oczu, nakoniec odezwał się do towarzyszy: „jutro pójdę zabić Wielopolskiego".. i dotrzymał słowa.

Nazajutrz, dnia 15 sierpnia, o godzinie 8 rano, Rzońca zupełnie już zdecydowany, poszedł do matki, przekupki na Starem Mieście, wziął od niej książkę do nabożeństwa i na klęczkach wysłuchał całej Mszy Świętej w katedrze św. Jana.

Wogóle bardzo rzadko widywał się z matką, rzadziej jeszcze zaglądał do kościoła i dawno zapomniał o tych czasach, gdy dzieckiem będąc modlił się na klęczkach A teraz, dziwna ludzka natura, naraz zatęsknił i do matki, i do kościoła, i do gorącej modlitwy na klęczkach.

Wyszedłszy z kościoła, połączył się z towarzyszami i do wieczora przewałęsał się po ulicach, wstępując przytem często na wódkę, tym razem, jak się zdaje, bez wszelkiej przyprawy.

O godzinie 6 wieczorem cała kompania zawróciła do Alei Ujazdowskich i rozsiadła się na ławkach naprzeciw Szwajcarskiej Doliny. Około godziny 8 ukazał się od ulicy Pięknej powóz Wielopolskiego, jadącego z żoną do Łazienek. Gdy powóz Margrabiego zrównał się z ławką, na której siedział Rzońca, ten szybko przeskoczył rów, dzielący Aleje od ulicy, podbiegł do powozu i wskoczywszy na stopień chciał ugodzić zatrutym sztyletem Margrabiego w szyję. Margrabia się uchylił i żelazo ześlizgnęło się po kapeluszu. Wówczas Wielopolski nie tracąc zimnej krwi i przytomności, powstał w powozie i zmierzył do napastnika z rewolweru. W tej samej chwili stangret zaciął go biczem po twarzy. Rzońca się stropił, zeskoczył ze stopnia i zaczął biedz Alejami ku miastu, następnie skręcił na ulicę Piękną. Tam został schwytany przez hrabiego Józefa Wielopolskiego, młodszego syna Margrabiego, który jechał w drugim powozie za ojcem.

Wówczas znaleźli się i policyanci, których w pierwszej chwili, pomimo krzyków, wcale nie było[1]).

Lecz i te zamachy nie powstrzymały rozpoczętych reform, ani nie wpłynęły na zmianę systemu rządowego. Przewidywania terorystów okazały się płonnemi.

Na drugi dzień po pierwszym zamachu na naczelnika władzy cywilnej, w dzień urodzin cesarzowej, cesarz ułaskawił 114 politycznych skazańców, siedmiu zaś otrzymało złagodzenie kary[2]). Nazajutrz dnia 9 sierpnia, namiestnik przesłał na ręce magistratu 3.000 rubli sr. dla biednych, oraz oddał dawny pałac prymasowski na umieszczenie którego z gimnazyów. W tym pałacu za rządów księcia Paskiewicza i księcia Gorczakowa mieściły się: sztab główny, dyżurstwo pierwszej armii i archiwum wojenne. Za hrabiego Berga był tam umieszczony zarząd oberpolicmajstra miasta Warszawy. Obecnie zajęty jest na szkołę junkrów.

Wielki książę nalegał, ażeby Wielopolski przedsięwziął wszelkie kroki ostrożności. Margrabia odtąd zamknął się w Brylowskim pałacu, na dziedzińcu stała stale kompania piechoty, a zawsze zamkniętej bramy strzegło dziesięciu policyantów, wpu-

---

[1]) Szczegóły te przeważnie wyjęte są z aktów śledczych sprawy. Wyjątki z nich ogłoszone były w *Dzienniku powszechnym* nr 190 z 1862 roku. Sztylet Rzońcy pokryty był gęstą masą, trudno rozpuszczającą się w wodzie, która zbadana w aptece Aleksandrowskiego wojskowego szpitala i w chemicznem laboratoryum medyko-chirurgicznej akademii okazała się mięszaniną czegoś tłustego ze strychniną. Jeden gran tej masy, zadany dwumiesięcznemu szczenięciu, spowodował śmierć natychmiastową. Masa, pokrywająca ostrze sztyletu ważyła 20 granów, w czem było czystej strychniny co najmniej 10 granów.

[2]) *Dziennik powszechny* z roku 1862, nr 177. Wymienieni są wszyscy z imienia i nazwiska.

szczając przychodzących po wylegitymowaniu się i sprawdzeniu tożsamości osoby. W dwóch ogródkach, dotykających pałacu od ulicy Wierzbowej, ustawiono szyldwachów, od tyłu zaś zniesiono schody, które prowadziły z balkonu pierwszego piętra wprost do ogrodu.

Wielopolski wyjeżdżał w szczelnie zamkniętej karecie, otoczony żandarmami, których ciężkie konie pędząc przy karecie, napełniały ulicę brzękiem i „tententem. Zwykłą eskortę stanowiło dziesięciu żandarmów. Wszyscy się uśmiechali na zdala rozlegający się znany odgłos; głowy mimowolnie zwracały się w tę stronę, przechodnie się zatrzymywali.

To był stanowczy zwrot w dziejach sprzysiężenia. Od tej chwili rosyjskie interesa w Polsce, w niespostrzeżony prawie dla nikogo sposób, przyjęły inny, szczęśliwszy kierunek. Zręczny system, który kosztował tyle pracy, wysileń i walki ze strony Margrabiego, zaczął konać śmiercią powolną. Sam genialny twórca takowego, zamknięty w swoim pałacu jak w grobie, za palisadą rosyjskich bagnetów i szabel, zaczął także omdlewać i z sił opadać i stawać się coraz mniej podobnym do tego, tak jeszcze niedawnego Wielopolskiego, pełnego energii i sił żywotnych, przebywającego w tych samych ścianach, lecz w zupełnie innych warunkach, jeżdżącego po mieście w otwartym powozie, śmiało patrzącego wszystkim w oczy, śmiało podającego rękę każdemu, nietylko białym, lecz i czerwonym.

Teraz już tego dokazać nie potrafił. Stronnictwo, dotychczas go popierające, naraz znalazło się Bóg wie w jakiem oddaleniu od niego i od rządu, przeczuwając instynktowo, że zaprowadzone porządki jeśli nie zaraz, *ex abrupto*, to stopniowo, a może nawet w bardzo niedalekiej przyszłości muszą być wstrzymane i zawieszone.

Biała dyrekcya po ożywionych naradach nad

smutnym i niepewnym stanem rzeczy w kraju, postanowiła raz jeszcze porozumieć się z księciem Czartoryskim i wysłała po raz czwarty jednego ze swych członków, Jurgensa, który zawsze krytykował miękkie i niezdecydowane postępowanie swoich kolegów, a na swoją rękę formował osobne kółko, coś w rodzaju drugiej białej dyrekcyi, żywszej i czynniejszej, spodziewając się z pomocą tegoż zwyciężyć czerwonych, przeciągając na swą stronę rzemieślników[1]). Dyrekcya pragnęła chociażby chwilowo oddalić z Warszawy tego ruchliwego i pełnego pomysłów człowieka, spożytkowując go wszakże dla swoich celów.

Jurgens przedstawił księciu Czartoryskiemu niebezpieczeństwo grożące reformom, które rząd, jak się zdaje, z zupełnie dobrą wiarą dalej przeprowadzał. Proponował, by książę zawiązał w Paryżu rodzaj komisyi redakcyjnej, mającej za zadanie wpływać za pośrednictwem prasy na opinię w Europie, oraz wywierać nacisk na rząd rossyjski przedstawieniami, wykazującemi, jak pożar niezadowolenia przyjmuje coraz szersze rozmiary, że wstrzymanie się wpół drogi niczemu nie zapobieży, lecz owszem stan pogorszy, i że tylko wytrwałe postępowanie w raz wytkniętym kierunku, może w końcu

---

[1]) Nowe kółko Jurgensa, nazwane kołem miejskiem, składali sami przyjaciele założyciela: Karol Ruprecht, Józef Grabowski, Stanisław Jarmund, ksiądz Kazimierz Żuliński, Roman Żuliński, brat księdza, Rafał Krajewski, Henryk Wohl, adwokat Wolf, Berendt i kilku jeszcze innych, przekonaniami nadzwyczaj zbliżonych do czerwonych. Kilku z nich skończyło życie na rusztowaniu. (Zeznania *Aweydy*). *Geller* tom I, str. 68, także przytacza, że zanim komitet czerwony przekształcił się na komitet centralny, istniało obok niego jakieś koło wpływowe, pobudzające wciąż czerwonych i żądające częstokroć od nich rzeczy niemożliwych.—Koło to przestało istnieć w kwietniu 1862 roku.

doprowadzić do uspokojenia. Książę, po pewnem wahaniu się, zgodził się na propozycyę...

A dorosłe i niedorosłe dzieci, nabroiwszy to wszystko, gdy osadzili Wielopolskiego za kraty, jak jakie niebezpieczne i szkodliwe dla nich i dla Polski zwierzę, byli przekonani, że dokonali bohaterskiego czynu, że uratowali ojczyznę. W istocie uratowali, ale nie siebie, lecz rząd rosyjski; ocalili go od jeszcze gorszych pomyłek, przeszkodzili maszynie rządowej zabrnąć w trzęsawiska, zkądby nie potrafiła się wydobyć, albo nieprędko wydobyła na ubitą drogą.

Po straceniu Jaroszyńskiego dnia 21 sierpnia, Rylla i Rzońcy dnia 26 sierpnia 1862 roku, stosunek między ludnością a rządem stał się jeszcze bardziej naprężony i nieprzyjazny[1]). Ludność zbałamucona dotychczasowem zachowywaniem się rządu, ustępstwami, ułaskawieniami dziesiątków i setek skazańców naraz, oczekiwała jeżeli nie ułaskawienia przestępców, (o których, a przynajmniej o Jaroszyńskim wiedziano, że działał prawie bezwiednie pod wpływem zadanego blekotu i któremu zresztą obiecano ułaskawienie, jeżeli wyjawi całą prawdę), to przynajmniej złagodzenia kary.

Ktoś z czerwonych puścił pogłoskę, że namiestnik domagał się ułaskawienia Jaroszyńskiego, z tym atoli warunkiem, żeby i dwóch drugich ułaskawić, lecz Wielopolski miał się temu stanowczo sprzeciwić.

Puszczono tę dziką pogłoskę, aby jak najbardziej wrogo usposobić społeczeństwo względem naczelnika rządu cywilnego, najniebezpieczniejszego wroga sprzysiężenia. W owym czasie wierzono śle-

---

[1]) Szczegóły egzekucyi podane w *Ruskim archiwie* za rok 1873, str. 1315—1317.

po każdej bajce, uwierzono i tej, i jeszcze bardziej wszystko się rozjątrzyło na Margrabiego.

Na jego poniedziałki nikt nie uczęszczał z cokolwiek wpływowych osób, ztąd stały się te zebrania dziwnie sztywne i nudne. Rewolucyjne ilustracye rozpowszechniły rysunki karety Margrabiego, otoczonej żandarmami. Opowiadano, że jest cała z blachy stalowej, dlatego tak huczy i dudni. Mówiono, że i obiady Margrabia spożywa z zachowaniem największych ostrożności i że mu potrawy podają w naczyniach na klucz zamykanych. Rzeczywiście zachowywano pod tym względem wielką ostrożność, gdyż w domu margrabiego zaszedł wypadek otrucia Prowadzono z tego powodu dochodzenie, lecz urzędownie tego nie rozgłoszono.

Dla uśmierzenia choć w części umysłów, nazajutrz po egzekucyi Rzońcy i Rylla, dnia 27 sierpnia, namiestnik wydał następującą odezwę:

„Polacy! Najmiłościwiej nam panujący Cesarz i Król, Najdostojnieszy brat mój, naznaczając mnie namiestnikiem swoim w Królestwie Polskiem, chciał dać dowód swoim polskim poddanym swej szczególniejszej łaski.

Przyjmując włożony na mnie przez Najjaśniejszego Pana obowiązek, nie ukrywałem przed sobą połączonych z nim trudności, ufałem jednak, że prawość moich zamiarów, łaska Boża i pomoc wszystkich, szczerze miłujących kraj swój Polaków, dopomogą mi w tem trudnem zadaniu.

Z takimi zamiarami, przejęty taką wiarą, usłuchałem głosu mego Monarchy i na dowód moich szczerych uczuć, przybyłem w pośród was z tymi, którzy są najdroższi sercu memu, z żoną moją i dziećmi, i to prawie nazajutrz po zamachu na życie cesarskiego zastępcy w tym kraju.

Ze spokojnem sumieniem, z zamiarem bezgranicznego poświęcenia się waszemu szczęściu, staną-

łem wśród was, pod ochroną jedynie zupełnego ku wam zaufania. Lecz nim noga moja dotknęła się waszej ziemi, już była uzbrojona ręka, mająca mi cios morderczy zadać.

Śmierć groziła mi z tłumu zebranego na moje spotkanie, szła w ślad za mną do progów świątyń Bożych.

Opatrzności Bożej jedynie zawdzięczam moje ocalenie.

Następnie spełniono dwa zamachy na życie męża, którego zaufanie Cesarza i Króla powołało z pośród was, by mi stał ku pomocy w wypełnianiu mego trudnego zadania.

Ręka sprawiedliwości dotknęła winowajców.

Rząd Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości znajdzie środki dla powstrzymania zbrodniczych zamysłów i ochronienia praw ludzi spokojnych i dobrze myślących.

Polacy! Czyż dozwolicie, by szajka ludzi przewrotnych, nieliczna lecz zuchwała i posługująca się najhaniebniejszymi środkami, stanęła zaporą między Tronem i narodem i przeszkodziła spełnieniu wspaniałomyślnych zamiarów Monarchy?

Czyż dopuścicie, aby pod maską wolności i miłości ojczyzny, dzikie sprzysiężenie kierowało na bezdroża bezwiedne masy narodu?

Bądźcie godnymi potomkami waszych sławnych przodków i pamiętajcie, że dotychczas karty waszych dziejów nie były skalane niczem podobnem do tego, co się teraz dzieje.

Dowiedźcie całemu światu, że nic nie macie wspólnego ze zbrodniami, piętnującemi cały naród.

Wielkie i doniosłe reformy, nadane przez Cesarza i Króla dla zadosyćuczynienia istotnym potrzebom narodu, a mianowicie: ustanowienie rady

stanu, organizacya szkół, wydziału narodowej oświaty i wyznań, oczynszowanie włościan, emancypacya Żydów, zaprowadzenie rad powiatowych i miejskich, przekształcenie administracyi, zaczynają już wchodzić w życie i są najlepszym dowodem pieczołowitości o wasze dobro naszego najmiłościwszego Monarchy.

Przedsieweźcie więc potrzebne środki, ażeby dopełnienie tych reform i dalszy ich rozwój, nie napotykały na przeszkody ze strony przewrotnych ludzi, poświęcających szczęście ojczyzny dla swych mrzonek rewolucyjnych; ze strony ludzi, którzy tylko niszczyć a nic zbudować nie potrafią.

Polacy! zaufajcie mi, połączcie się ze mną w jednem i tem samem uczuciu, zacznijmy pracować zgodnie i przyjaźnie dla dobra Polski, prosząc Boga, by pobłogosławił naszym wspólnym staraniom, a wówczas zajaśnieje nowa epoka pomyślności i szczęścia dla ojczyzny, którąście tak umiłowali!" [1]).

Na drugi dzień po ogłoszeniu tej proklamacyi, namiestnik pozwolił na powrót do Warszawy księdza kanonika Wyszyńskiego, Kramsztyka, Majzelsa i Jastrowa [2]).

Niestety, wszystko to nie zdołało wywołać tego wrażenia, jakie wywarły dwa miesiące przedtem pierwsze rozporządzenia o reformach. Nastrój ludności silnie się zmienił. Wprowadzono tyle tru-

[1]) *Dziennik Powszechny* z 1862 roku, Nr. 192.

[2]) Ksiądz Wyszyński był przedtem ihumenem Bazylianów w Połocku i członkiem białoruskiego unickiego konsystorza Jednocześnie zesłany z nim kanonik ksiądz Stecki, pozostał na Syberyi do 1880 r. i umarł tam na porażenie serca w chwili, gdy otrzymał ułaskawienie i zezwolenie na powrót do kraju. — (*Nowoje Wremia* z 1880 roku Nr. 1690, strona 1, szpalta 3).

cizny w życie miasta, w jego organizm, zapatrywania i obyczaje, że dla uratowania go już nie wystarczały zwyczajne, codzienne środki rządowych aptek, potrzebna snać była energiczniejsza kuracya. Partya „ludzi wywrotu," o których wspominała odezwa namiestnika, wcale nie była tak nieliczną; przeciwnie, należało raczej zapytać, gdzie owych przewrotnych nie było? Spotykało się ich nawet ubranych w eleganckie fraki, na szklących posadzkach zamku, należeli do wszystkich towarzystw. Przykładny, wzorowy i najlepiej wychowany hrabia Andrzej, i on przejął się po części tym duchem i to tak dalece, że najbliżsi i najpoufalsi nieraz nie mogli połapać się z tą zmianą. Każde dziecko wiedziało i pojmowało, co się w około dzieje, czem są wszyscy zajęci i co z tego wkrótce ma wyniknąć. Nieliczne koło, od początku przeciwne powstaniu i zapatrujące się na te zabiegi swych współrodaków jako na sztuczną demonstracyę i fałszywy atak, kierowany ręką wytrawnego wodza, spostrzegło z przerażeniem, że skutkiem jakichś błędów taktycznych fałszywy atak zaczyna zamieniać się na rzeczywisty i że przemiana kierunku już prawie niepodobna. Nie zmieniając więc przekonania, że powstanie nie pożądane i tylko zgubę sprowadzi, ciż sami ludzie rzucili się szukać sposobów ratunku.

Wysłali więc do namiestnika deputacyę z prośbą o zniesienie na trzy miesiące cenzury dla dzienników, w przekonaniu, że słowo wolne skutecznie podziała na masy i zdoła je uspokoić.

Namiestnik zapytał się Wielopolskiego o ile można na to zezwolić? Wielopolski obawiając się przedewszystkiem napadów na własną osobę, a które nieodmiennie by nastąpiły, odpowiedział stanowczo odmownie i oświadczył, że „poprobuje obejść się bez tych panów."

Wkrótce potem Margrabia przywołał swego prywatnego sekretarza, Miniszewskiego, człowieka z talentem i mającego bardzo ostre pióro, i polecił mu napisanie artykułu, broszury, listu, zresztą w jakiej chce formie czegoś, co koniecznie zwróciłoby uwagę ogółu i wywołało wrażenie w tej części społeczeństwa, która jeszcze nie zeszła ostatecznie na manowce i w której ocalała jeszcze chociażby iskra zdrowego rozsądku.

Zanim jednakże rozpatrzymy w jaki sposób polecenie to zostało wykonane, należy nam bliżej poznać tę ciekawą osobistość, jeden z ówczesnych polskich typów, za młodu dziką i nieobuzdaną, z wiekiem i doświadczeniem uchodzoną.

Miniszewski pochodził z średnio zamożnej szlacheckiej rodziny z Kaliskiego. Gimnazyum ukończył w Warszawie i zaraz z ławy szkolnej zapisał się do cechu braci literatów. Między 1842 i 1848 rokiem napisał kilka poczytnych powieści historycznych i innych [1]). Burzliwe wichry 1848 roku uniosły zapalonego marzyciela za granicę. Zamyślał o jakiemś działaniu na Węgrzech, spotykał się w Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie i Berlinie z agitatorami wszelkich narodowości, a przytem hulał po zwyczaju i wkrótce przetrwonił całą, odziedziczoną po ojcu majętność w Kaliskiem. Po rozwianiu się w nicość mrzonek węgierskich, potrafił dostać się napowrót do Królestwa w 1852 roku i osiąść na jakiś czas cicho i spokojnie na wsi przy swoich synowcach (gdy własnej wsi już dawno nie stało) i ztamtąd od czasu do czasu wysyłał

---

[1]) *Jan Pieniążek* w 3 tomach, 1843 rok; *Jadźwingowie* w 2 tomach, 1845 rok; *Domowa zagroda*, rysy dziejów polskich, w 2 tomach, 1847 rok. Pisał pod pseudonimem *Starży*.

cięte artykuliki do różnych pism peryodycznych w Warszawie [1]). Wtedy pojawiły się znane czytającej publiczności *Listy Cześnikiewicza* do *Marszałka*, które mu wyrobiły pewne imię literackie.

Od czasu do czasu, gdy był przy pieniądzach, zaglądał do Warszawy i wtedy pełno go było wszędzie, gdzie tylko było wiele ruchu, gwaru i gadania. Najczęściej wszakże przebywał w resursie kupieckiej, w kółku literatów, inteligentnych kupców i urzędników średnich i niższych stopni. Miniszewski stawał się zwykle punktem środkowym, z którego dniem i nocą rozbiegały się ciekawe i zabawne anegdoty o różnych osobach i o samym autorze: anegdoty, dowcipy, wierszem i prozą. Pod tym względem był niewyczerpany, dosyć było postawić buteleczkę i nakręcić pozytywkę, a mógł wypić niemało. Z powierzchowności był to mężczyzna zdrów, tęgi, zawsze wesół, charakteru dobrego i otwartego; ztąd też powszechnie był lubiany, a w resursie kupieckiej miał nawet kółko swych formalnych wielbicieli.

W latach manifestacyjnych (1859 1861), zapalony ten marzyciel, mimo przeświecającej łysiny i siwiejących skroni, zawsze pełen fantazyi, zjawił się w Warszawie, przybrany w długie buty z podkówkami, w szerokim pasie i konfederatce i zaraz znalazł się w pierwszych rzędach tych *enfants terribles* rewolucyi, którzy wszędzie wysuwają się naprzód, najwięcej krzyczą a bardzo mało działają, gdyż do prawdziwych prac rewolucyjnych zupełnie są niesposobni. Dlatego też rządy rozumne podobnych facetów zwykle pozostawiają w spokoju, uważając, że oni więcej korzyści niż niedogodności przy-

[1]) Od 1850 do 1855 roku napisał: *Grzechy powszednie*; *Legenda o królu Lechu*; *Stanisław Żółkiewski*.

noszą. Miniszewskiego, nawet ówczesny rząd, wcale nie grzeszący politycznym rozumem, pozostawił w spokoju; chyba na chwilę mógł być przychwycony w czasie aresztowań kościelnych za hrabiego Lamberta.

Niepraktyczne ożenienie, oraz wzgląd, że tak dalej z dnia na dzień, bez jakiegoś stalszego zajęcia, żyć niepodobna, wpłynęły na zmianę zapatrywań Miniszewskiego. Z czerwonego krzykacza przeistoczył się powoli na spokojnego rzecznika resursy kupieckiej, a następnie został gorącym zwolennikiem Wielopolskiego, wskutek czego niebawem otrzymał posadę urzędnika do szczególnych poruczeń przy głównym dyrektorze komisyi spraw wewnętrznych, hrabiu Kellerze [1]). Następnie naczelnik rządu cywilnego wezwał go na swego przybocznego sekretarza i codziennie poruczał mu różne temata do obrobienia. Wówczas to, z polecenia Margrabiego, Miniszewski ogłosił w *Dzienniku Powszechnym* cały szereg politycznych rozpraw pod tytułem „Rzeczy społeczne," oraz wydał oddzielną broszurę „Ruch polski w 1861 roku," w której wykazując doniosłe zasługi Wielopolskiego dla kraju, zastanawiał się dlaczego one nie znalazły ani uznania ani poparcia [2]).

Prace te nie znalazły już dawnego uznania i mało je kto czytał, zaś samego Miniszewskiego, jako zdeklarowanego zwolennika i sługę coraz bardziej przez ogół znienawidzonego Margrabiego, dawni jego przyjaciele i wielbiciele odstąpili, unikali jak zapowietrzonego, a nawet wprost się go obawiali.

---

[1]) Poprzednika jego na tej posadzie uwolniono dla dobra służby. *Dziennik Powszechny* z 1862 roku, Nr. 183,

[2]) Lipsk, 1863 rok, str. 51.

Miniszewski, znając Wielopolskiego, wiedział, że ten, gdy raz co postanowił, opozycyi nie znosi. Milcząc więc wrócił do swego gabinetu i zasiadł do pracy, chociaż w głębi ducha był przekonanym, że pisać obecnie podobne rzeczy, komuś zbliżonemu do rządu, na nic się nie zdało. Fala huczała, fala straszna, epokowa; naród aż nadto miał swego czytania, może nie bardzo rozumnego, pisanego z dnia na dzień, byle jako, przez różnych gimnazistów; lecz to niemądre pisanie było podówczas chlebem powszednim kraju, bardziej drogocennym i pożądanym, niż najbardziej obmyślane, jasne jak dzień utwory, chociażby geniuszów... była to pora, że nie geniuszów, lecz gimnazistów kraj słuchał. Cóż więc na to mógł poradzić jakiś tam Miniszewski? lecz rozkaz stanowczy był dany, należało go spełnić, chociażby bez wiary w skuteczność swej pracy.

Rzucił więc na papier kilka artykulików politycznej i belletrystycznej treści, kilka krótkich dyalogów i wierszyków. W paru miejscach wykazał współrodakom zgubne skutki wybranego przez nich sposobu działania; wskazał na przykład Irlandyi. Wszystko razem było jakieś niejasne, nudne i nieciekawe, a nawet, napisane bez talentu. Ani śladu tego ciętego i dosadnego stylu, jakim przed paru laty pisywał ten sam, dziś już dla kraju nieistniejący, raz na zawsze pogrzebany, Miniszewski...

Poszyt czyli „wiązka" nosiła tytuł *Komunały*.—„Wiązka pierwsza, zbiór różnych różności, mających służyć nietylko ku rozrywce, lecz i do zamroczenia rozumów, pomagających najskuteczniej do dźwigania ciężaru tego żywota. Wydanie tanie, nie kłamliwe, niezwykłego dowcipu, a mimo to bez wszelkich pretensyi, walczące o ile sił starczy za prawa ludzkości, rzeczywistą oświatę, rolnictwo, przemysł i handel. Przywodzi do zbawienia mężów sprawiedliwych, chłoszcząc ich bez litości; nędzni-

kom wskazuje drogę do dyabła, podchlebiając im bez miary; najważniejsza zaś, że pozostawia w spokoju osobistości, wyrażając się o nich z pełnym szacunkiem, bez zaczepek. Fabrykuje się w Warszawie, drukuje się w Warszawie i sprzedaje się w Warszawie. Dostać można we wszystkich księgarniach. Miejscowi i zagraniczni księgarze, a także i prywatni protektorowie, prenumerujący całemi kopami, otrzymują 10% rabatu. Kto poczeka, to za pół roku dostanie tego towaru jeszcze taniej, jako makulaturę, stosownie do cen na rynku za Żelazną Bramą i w sklepikach prowizyą. Cena Komunałów, bez targu, *prix fixe*, 1 złp. 10 gr. za wiązkę. Po siewach, cena przyszłych wiązek, najprawdopodobniej się obniży. Będzie to zależało od odbytu."

„Zamiast zwykłego ogłoszenia: „adnotacye."

„Adnotacya I. Otwarcie wyznajemy, że ponieważ nie święci garnki lepią, komunały, jak zresztą wszystko na ziemi, między innemi mają także na celu wypróżnianie kieszeni obywatelskich."

„Adnotacya II. Upraszamy panów artystów, aby nie zarzucali nam obojętności dla sztuki, ze względu, że nie dajemy illustracyi. Pamiętajcie panowie o sobie i pracujcie dla siebie. Gdy się okaże potrzeba, zaprosimy uzdolnionych rysowników, z gotowem w każdej chwili natchnieniem, ażeby złączyć w jedną całość komunały pióra, pędzla, ołówka i rylca z obecnej chwili. Z tego związku muzyka jest raz na zawsze wykluczoną, mając stale na swe rozkazy pozytywki."

„Adnotacya III. W roku tak płodnym w niepospolite geniusze, jak obecny, będziemy podawali w tekście portrety o ile można najmniej podobne i zagwazdane, stosownie do obowiązujących przepisów najnowszej warszawskiej szkoły, wraz z biografiami, wynoszącemi bohaterów pod niebiosa. Za

stosowną opłatą i notoryczni głupcy będą apoteozowani. *Sapienti sat...*"

„Adnotacya IV i najważniejsza. Współpracownicy i korespondenci, narzucający się, nie proszeni i nie wołani, ze swojemi pracami mogą nie wiedzieć adresu redakcyi Komunałów. Wystarczy, gdy złożą swe artykuły na chodnikach przy rynsztokach, albo też w dziedzińcach na śmietnikach. Po pierwszym deszczu woda spławi, albo też gałganiarki przyniosą je do głównego kantoru warszawskich wiadomości. Z kantorem tym Komunały pozostają w najściślejszych stosunkach, na mocy powszechnie w pismach peryodycznych obowiązujących zasad: § 1. Zawsze się włóczyć w ślad za tłumami. § 2. Słuchać zdania tłumów. § 3. Oczekiwać wyroku tłumów. § 4. Powtarzać to, co tłumy mówią. —Ponieważ każda chwila ma swe charakterystyczne oznaki i właściwości, obecnie kwitnie fotografia, a ponieważ wszyscy posiadają fotograficzne albumy mniejszych lub większych rozmiarów, nie potrzebuje przeto nikt trudzić siebie twórczością lub uciążliwem dla głowy myśleniem. A zatem szeregowcy i hetmani pióra fotografujmy zgodnie, jednakowo i w umówiony sposób."

„Adnotacya V i ostatnia. Nie należy wyrzucać Komunałów na ulicę, jak to się czasem dzieje z gazetami, gdyż... w rynsztoku Komunały są jak u siebie, a tylko w gościnę dostają się ludziom do rąk, należy się więc znać na gościnności."

„Ku wiekopomnej i niezatartej pamięci przyszłych pokoleń wypisujemy rok i datę: Varsoviae, anno Domini MDCCCLXII. Dnia wiecznie kłamiącego miesiąca, to jest septembra, który ani od początku, ani od końca roku nie jest siódmym, w rocznikach zaś świata pozyskuje tę sławę, że jest świadkiem narodzin pierwszej wiązki Komunałów."

„Pan i samowładny gospodarz w redakcyi,

przemawiający do wszystkich imieniem wszystkich, główny i jedyny redaktor, Achilles Katzenbergovius, rodowity Polak."

Czy odwrócić okładkę i zajrzeć do środka? Zdaje się, że wystarczą te urywki, aby poznać z czem mamy do czynienia, jakiego to rodzaju dowcip i jakie żarty. Trudno się dziwić, że Miniszewski postawiony wobec nierozwiązalnego dylematu, nie potrafił go rozwiązać. Dziwne tylko i godne uwagi, że Wielopolski, człowiek niezaprzeczenie rozumny, najdzielniejszy rewolucyonista swoich czasów, twórca śmiałego i przebiegłego planu politycznego, który w znacznej części potrafił przeprowadzić, nie dostrzegł najprostszej rzeczy, wpadającej na pierwszy rzut oka pierwszemu lepszemu gimnaziście, nie pojął odrazu, że taka godna politowania „wiązka Komunałów," którą mu do aprobaty przedstawi sekretarz, nie zdoła w ówczesnej publiczności wywołać nic innego prócz śmiechu i nie przysporzy rządowi ani jednego stronnika.

Owszem, wysłuchał je spokojnie i... potwierdził! To właśnie zadziwia! Była li to taka chwila złowroga chwilowej bezczynności zdania? niewytłómaczony stan ducha, w którym człowiek niezdolny jest do odróżnienia zła od dobra, w którym mu obojętne, czy spełniany krok przyniesie korzyść lub stratę, w którym go nie obchodzą przeszłość ani przyszłość; historya jego przodków, ani dzieje całego świata, ni własna przyszłość i powodzenie; jakiś strasznie niemiły stan duszy, a przed oczami mgła gęsta... czy to więc była taka chwila przeklęta, czy też fatalny skutek niezwykłego, przechodzącego wszelką miarę uporu, który spowodował Wielopolskiego, że się nie cofnął nawet z fałszywej drogi, skoro chociażby jednym krokiem na nią wstąpił!

Cokolwiek bądź, Margrabia podpisał Komunały i one nazajutrz rozleciały się po Warszawie.

Komitet centralny zakazał ich kupowania a nawet wzbronił księgarzom przyjmowania ich w komis. Było to zbyteczne, i bez zakazu nikt ich nie kupował. Chłopaki roznoszący po ulicach ten płód Miniszewskiego wywoływali: „kupujcie panowie gazetę, w której poniewierają Polaków."

Wielki książę zapewne wiedział o broszurze zanim jeszcze wydaną została, lecz z różnych względów nie mięszał się w tę sprawę... zresztą w owych chwilach był zaprzątnięty inną sprawą. On chciał przez kogoś bardzo wpływowego zapytać ogółu Polaków „czego chcą właściwie, co ich może zadowolnić i skłonić do zgodnego postępowania z rządem?" Wyszukanie podobnej osobistości nie wymagało wielkiego namysłu ani trudu, ona była tuż pod ręką.

W pierwszej połowie sierpnia wielki książę polecił swemu ochmistrzowi hr. Chreptowiczowi, aby przy sposobności zapytał Andrzeja hr. Zamoyskiego dlaczego stroni od Belwederu i upoważnił go do oświadczenia, „że wielki książę radby go widzieć u siebie dla rozmówienia się w sprawach krajowych."

Chreptowicz po kilkakroć zaczepiał o to Zamoyskiego i zawsze otrzymywał jednaką odpowiedź, że „dlatego nie bywa u namiestnika, aby Wielopolski nie posądził go o jakie intrygi, lecz, że w każdej chwili gotów jest na rozkazy wielkiego księcia do dania zażądanych wyjaśnień co do stanu kraju, gdyż sprawy te są mu droższe nadewszystko."

Wskutek tego Zamoyski przez Chreptowicza otrzymał zrana dnia 2 września zaproszenie na godzinę ósmą wieczór. Gdy przybył do pałacu, zaraz został wprowadzony do gabinetu wielkiego księcia. Jak miał zwyczaj, hrabia stanął na progu i nie szedł dalej. Wielki książę podszedł do niego, wziął go za rękę i podprowadziwszy do biurka

wskazał mu ręką fotel. Zamoyski spostrzegł na biurku pistolety, schylił się nad nimi i zapytał: „A to co takiego, *Altesse?*"—(Rozmowa toczyła się po francusku).

— To, tak! — odrzekł wielki książę i wsunął pistolety pod leżące papiery na biurku. — Czemu hrabio u mnie nigdy nie bywasz?

Odpowiedź nastąpiła ta sama, jaką otrzymał Chreptowicz. Poczem wielki książę prosił o przedstawienie mu sprawy, jak się na nią hrabia Zamoyski zapatruje, a to zupełnie szczerze i otwarcie, wyjaśniając przyczyny istniejącego w narodzie niezadowolenia i powody ogólnego wrogiego usposobienia dla rządu, który jednak z zupełną dobrą wiarą chce działać dla dobra Polaków nietylko w Królestwie, lecz i cesarstwie, zaprowadza reformy, łagodzi losy skazańców, a nawet zupełnie ułaskawia winnych, i to w rozmiarach niepraktykowanych dotychczas... Tymczasem nieukontentowanie zamiast zmniejszać się, wzrasta coraz bardziej. Czegoż jeszcze żądacie? Czego żądają ci, których głowy jeszcze nie są przewrócone fantazyami, przychodzącemi z Zachodu?

Hrabia odpowiedź swą rozpoczął od skreślenia porozbiorowych dziejów Polski od czasów cesarza Mikołaja, przeszedł potem czasy jego panowania, a gdy doszedł z opowiadaniem do najświeższych czasów, przedstawił obraz, nieustępujący jaskrawością przedstawieniom najczerwieńszych zapaleńców. Na koniec dodał: „potrzeba raz już skończyć tę komedyę!" (*Il faut que cette comédie cesse*).

— Coś pan wyrzekł? – przerwał książę—jaka komedya? Cofnij pan to słowo.

— Lecz to są słowa własne ś. p. waszego rodzica, cesarza Mikołaja Pawłowicza, powiedziane zaraz po 1831 roku.

Nastąpiło chwilowe milczenie, które przerwał książę:

— Wiem dobrze, u was wszystkich Litwa, t. j. Wielkie Księstwo Litewskie w głowie.

I na to hrabia odpowiedział jak pierwszy lepszy czerwony zapaleniec.

W najwyższym stopniu było niezręcznie słuchać takiej mowy bratu cesarza, rosyjskiemu wielkorządcy Polski. Oświadczył więc hrabiemu Zamoyskiemu, że zawezwał go nie w celu wysłuchania wykładu o dawnych polskich granicach i nie dla przedstawienia sobie stanu z przed roku trzydziestego i następnych, gdyż to wszystko zna doskonale, lecz prosił go o przedstawienie chwili obecnej, o wskazanie, czy niema środków do prędszego uspokojenia kraju, ku zadowoleniu żądań rozsądniejszych warstw ludności, celem ostatecznego urzeczywistnienia zamierzonych przez rząd reform.

„Sądzę, że gdybyś tylko zechciał, hrabio, mógłbyś uspokoić umysły, umiarkować żądania, przechodzące granice politycznej możliwości, pouczyć tych, którzy nie rozumieją, jak daleko w ustępstwach rząd iść może i powinien. Pana wszyscy lubią i bezwątpienia usłuchają, potrzeba tylko, powtarzam to z naciskiem, byś tego szczerze zapragnął, a... może nawet i sam głębiej i spokojniej wmyślał się i rozważył, przezwyciężywszy nawet w samym sobie i jedno i drugie, gdyż ostatecznie to... konieczne. Bez tego otwiera się przed nami przepaść, w którą wpadniemy... nie my, lecz wy. Pomyśl i zdecyduj się hrabio!"

— Ja szczerze pragnę dla mej ojczyzny spokoju—odrzekł Zamoyski — i nie sądzę, ażeby ktokolwiek o tem powątpiewał. Wpływ mój wszakże na umysły nie jest tak wielki, jak wasza książęca mość raczysz to uznawać. Bardzo mi było pochle-

bne usłyszeć to wszystko z ust waszej książęcej mości, niestety jednak, nie wszystko ma się tak w rzeczywistości. Gdyby mnie osobiście zapytano co zrobić dla uspokojenia kraju? powiedziałbym: połączyć wszystkie prowincye Polski, pod zarządem waszej książęcej mości, z Warszawą jako stolicą. Lecz to tylko moje osobiste zdanie. Kto wie, czy inni je podzielają. Mogę zresztą zwołać moich przyjaciół i znajomych i zażądać od nich szczerego wypowiedzenia pod tym względem. Otrzymaną odpowiedź przedstawić waszej wysokości. Innego sposobu nie widzę.

— Zwołaj i zapytaj — zakonkludował wielki książę.

Na tem się skończyła pierwsza rozmowa namiestnika z Zamoyskim [1]).

Nazajutrz cała Warszawa mówiła o wizycie hrabiego Andrzeja u namiestnika, jak o wypadku pierwszorzędnego znaczenia. Każdy ztąd wyprowadzał różne wnioski. Większość jednak widziała w tem ostatecznie słabość rządu i strach przed rozpoczęciem walki, wobec politycznych warunków panujących w Europie; nareszcie gotowość tegoż do wszelkich ustępstw.

Rozważywszy to wszystko, dyrekcya białych wezwała na zjazd do Warszawy wszystkich naczelników wojewódzkich, powiatowych i miejskich.

---

[1]) Notatka Radomińskiego, spisana ze słów Garbińskiego, sekretarza hrabiego Andrzeja, któremu tenże powtórzył całą swą rozmowę z wielkim księciem zaraz po powrocie z Łazienek. *Gazeta Narodowa* z 1874 roku Nr. 259. — *Lisicki*, tom II, strona 338, przedstawia przybycie Zamoyskiego do wielkiego księcia i początek rozmowy nieco inaczej. O pistoletach na stole powiada, że to były rewolwery Jaroszyńskiego i jego towarzysza, które wielki książę zachował u siebie na pamiątkę.

Wezwani zebrali się w liczbie około dwieście osób i zaraz zaczęli naradzać się nad projektem adresu, (któryby wręczono namiestnikowi), przedstawionym przez Stanisława Zamoyskiego, w imieniu ojca, hrabiego Andrzeja [1]).

Obrady odbywały się województwami, następnie w kole delegatów wybranych po dwóch lub trzech z każdego województwa, w końcu zaś w kole wojewódzkiem, które miało rzecz ostatecznie rozstrzygnąć [2]). Trudno sobie przedstawić większą mięszaninę żywiołów, jak tę, które wzięły udział w tych naradach. Byli tam i stronnicy Wielopolskiego, i ukryci zwolennicy komitetu centralnego, i różne nieokreślone osobistości, nie zdające sobie

---

[1]) *Giller* w *Gazecie Narodowej* 1875 roku, Nr 135, Inne szczegóły o tym adresie w tejże *Gazecie Narodowej* rok 1878, Nr. 38.

[2]) *Aweyde.* Już powyżej była mowa o tem, że wojewódzcy powinni byli zjeżdżać się w pewnych terminach, mniej więcej co sześć tygodni do Warszawy, i zjazdy takie stanowiły „koło wojewódzkie." W posiedzeniach koła uczestniczyła i dyrekcya. Na kole decydowały się wszystkie ważniejsze sprawy białej organizacyi. Koło odbierało sprawozdania od dyrekcyi i pojedynczych województw, rozpatrywało i zatwierdzało wnioski i projekta jednej i drugich; wytykało plan postępowania i wydawało odpowiednie zarządzenia. Między zebraniami koła dyrekcya posiadała pełną władzę wykonawczą i w nagłych wypadkach miała prawo uchwalania i wydawania rozkazów, wiążących wszystkich bez wyjątku członków organizacyi, obowiązaną wszakże była do zdania szczegółowej sprawy ze swych zarządzeń i czynności na najbliższem posiedzeniu koła. Wojewódzcy pojedynczo byli tylko organami wykonawczymi koła i dyrekcyi. Stosunki ich do dyrekcyi były w ogóle jako organów wykonawczych do władzy ustawodawczej. Na żądanie już trzech wojewódzkich musiało być zwołane koło. We wszystkich naradach koła uczestniczyli i zastępcy wojewódzkich, lecz tylko z głosem doradczym. — *Aweyde* tom III, str. 27—29.

sprawy z niczego, wreszcie biali ze stronictwa Zamoyskiego i najpowolniejsi adepci dyrekcyi.

Jedni proponowali podać wielkiemu księciu adres jawny, z podpisami, żądający zwołania przedstawicieli kraju. Drudzy byli za starym, lakonicznym adresem, takim, jak podpisywany w czasie wyborów do rad powiatowych i miejskich w jesieni 1861 roku, tak zwany adres Lambertowski [1]). Inni wreszcie radzili prosić wielkiego księcia, z zachowaniem wszelkich form dyplomatycznych, o sejm i przyłączenie do Królestwa, Litwy i Rusi. Ale byli i tacy, którzy chcieli urządzić jedynie polityczną demonstracyę: udać się do wielkiego księcia *in gremio*, albo przynajmniej wysłać z każdego województwa pewną liczbę deputatów z dokumentem w rodzaju narodowego manifestu, w którymby szczerze i poważnie wypowiedziano wszelkie dawne i nowe żądania, oraz proszono o sejm, wojsko i przyłączenie oderwanych prowincyi [2]).

Jednem słowem, zebrani w pierwszej chwili działali jak waryaci, zapominając o warunkach, wśród których się znajdują i o stosunku swym do rządu. Gdy jednak zapał trochę ochłonął i dyrekcya zmierzyła niebezpieczeństwo tak długo przeciągających się narad nad kwestyami drażliwemi i delikatnej natury, postanowiono skrócić narady i powierzono Edmundowi Stawiskiemu, redaktorowi lutowego adresu do cesarza Aleksandra, sformułowanie życzeń kraju. Ostatecznie zredagowano coś w rodzaju listu do hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, w którym zebrani przedstawiciele umiarkowanej opinii w kraju, proszą go, by się podjął, wobec

---

[1]) Autor nie mógł nigdzie wyszukać tekstu tego adresu.

[2]) *Ateneum* tom III, str. 56—57.

wielkiego księcia namiestnika, być tłómaczem istotnych i żywotnych potrzeb i żądań narodu w obecnej chwili [1]).

„Bezprzykładne klęski, które spadły na Polskę i pozbawiły ją bytu politycznego, nie mogły jednak osłabić ducha narodu i zachwiać wiary w jego historyczne posłannictwo."

„Ta wiara i te uczucia bardziej się jeszcze spotęgowały i wzmogły wskutek strat poniesionych i zawodów doznanych i wyrodziły niegasnącą nadzieję lepszej przyszłości."

„W uroczystą tę chwilę, głos narodowego sumienia głośno się domaga przywrócenia dawnych praw i przywilejów."

„W roku zeszłym, w adresie podanym do stóp tronu, Polska powiedziała swe żądania. Deputaci, zebrani dla przeprowadzenia wyboru rad powiatowych i miejskich, przedstawili namiestnikowi memoryał, noszący przeszło dwadzieścia tysięcy podpisów, w którym wykazali, że tylko zgromadzenie, złożone z ludzi wysłanych i upoważnionych przez naród, nie krępowane w swobodnem i szczerem objawieniu swych myśli, może skutecznie przedstawić rzeczywiste potrzeby kraju. — Wprowadzone zaś przez rząd instytucye nie odpowiadają zamierzanym celom i nie potrafią zapobiedz nieszczęściom, grożącym krajowi."

„Ogłoszenie stanu wojennego przeszkodziło podaniu tego memoryału. Ludność nic nie otrzy-

---

[1]) Zeznanie *Aweydy*. *Giller* zaś powiada, że projekt adresu wyszedł z pod pióra Karola Ruprechta i został przyjęty przez dyrekcyę. *Gazeta Narodowa*, rok 1875, Nr. 135. — Toż samo powtarzają *Roczniki towarzystwa literacko artystycznego* w Paryżu za r. 1879 tom II, str. 388 — 400. Życiorys Ruprechta.

mała i to doprowadziło kraj do tych smutnych wydarzeń, które wszyscy z trwogą przewidywali."

„Obecnie, odpowiadając na wezwanie wielkiego księcia, my, przedstawiciele różnych prowincyi Polski, postanawiamy wypowiedzieć nasze zdanie, z nadzieją odwrócenia zguby ojczyzny, lecącej w przepaść otwartą. W braku wszelkiego prawnego organu, który mógłby być wyrazem naszych myśli, udajemy się do Ciebie, hrabio, z prośbą i żądaniem, byś, podjąwszy się roli przedstawiciela i tłómacza narodowego ducha, wyjaśnił Jego Cesarskiej Wysokości nasze najgwałtowniejsze potrzeby i skargi, których dłużej taić nie możemy i gotowi jesteśmy wypowiedzieć je przed całym światem."

„Nie odmawiamy, udziału w nowych instytucyach, lecz oświadczamy, że środki dotychczas używane nie są odpowiednie i wywołały w umysłach ludności takie rozdrażnienie, że ani siła wojskowa, ni sądy, oparte na prawach wyjątkowych, ani więzienia, ni zsyłki lub rusztowania, nie naprawią stanu rzeczy, przeciwnie, raczej doprowadzą naród do kresu rozpaczy i wtrącą go na drogę, zarówno zgubną dla rządzonych jak i dla rządzących."

„Jako Polacy nie możemy znosić innych rządów jak polskie, przyczem wszystkie prowincye, wchodzące w skład naszej ojczyzny, powinny być połączone i uzyskać prawa konstytucyjne i swobodne instytucye."

„Sam wielki książę w swem wezwaniu przyznał nam cnotę miłości ojczyzny, górującej po nad wszystko. Miłość ta nie dopuszcza podziału jej na części. Miłując, miłujemy ją całą w granicach, które Bóg jej nakreślił a dzieje uświęciły."

Adres ten podpisało trzysta osób, następnie jednak podpisy te zniszczono, sam zaś dokument bez podpisów, hrabia Andrzej Zamoyski zakomuni-

kował wiekiemu księciu Konstantemu [1]). — Zebrani członkowie białej organizacyi zaraz się potem rozjechali, członek zaś dyrekcyi, Paszkiewicz, który ciągle dowodził, że podanie takiego adresu jest rzeczą conajmniej beztaktowną, jeśli nie zupełnie bezzmyślną, wystąpił z jej składu.

Na opróżnione miejsce Paszkiewicza do składu dyrekcyi wszedł Ruprecht

Wielki książę po przeczytaniu adresu, widząc, że to już nie utwór, wychodzący z narad zwykłego zebrania obywatelstwa, lecz program rewolucyjnego stronnictwa białych, ugrupowanego koło osoby hrabiego Andrzeja, jako swego kierownika i wodza, uznał za stosowne wysłać tegoż do Petersburga dla osobistego wytłómaczenia się przed cesarzem.

Dnia 14 września o godzinie 10 wieczorem został przywołany do Łazienek przyboczny adjutant wielkiego księcia, rotmistrz Sierzputowski i otrzymał polecenie, by się przygotował nazajutrz o godzinie 10 rano towarzyszyć hrabiemu Andrzejowi Zamoyskiemu do Petersburga. — „Bądź na dworcu o godzinie 9 rano. Zamoyski nie jest aresztowany, lecz w każdym razie w tylnym wagonie będziesz miał sześciu żandarmów z oficerem pod ręką" — dodał wielki książę.

— Niech wasza wysokość zezwoli na pozostawienie ich w Warszawie, ich wcale nie potrzeba — odpowiedział Sierzputowski.

— A jeśli przyjaciele Zamoyskiego, których ma wszędzie, zechcą go uwolnić? — zauważył wielki książę.

---

[1]) *Czas* z roku 1862 Nr. 217. — *Aweyde* tom III, str. 57. — Uwaga. Oryginalny tekst adresu umieszczony w *Affaires de Pologne. Exposé de la situation suivi de documents et de pièces justificatives.* — Paris, rok 1863, str. 33.

— Nikt nie będzie uwalniał, a zresztą sam Zamoyski, jako człowiek porządny i gentleman, do tego niedopuści i nie będzie uciekał.

— Rób jak chcesz! — zakonkludował wielki książę—spuszczam się na twe doświadczenie i roztropność.

Nazajutrz rano, dnia 15 go września, gdy Sierzputowski udawał się już na kolej, wielki książę przywołał Zamoyskiego do Łazienek.

Gdy tenże stanął w progu tego samego gabinetu, w którym przed paru tygodniami tak był łaskawie przyjęty, wielki książę przywitał go słowami *vous êtes chef d'un partie.*

— *Votre Altesse est mal informé* — zaczął Zamoyski, lecz wielki książę mu przerwał.

— *On ne dement pas un Grand Duc... vous êtes chef d'un patrie, vous irez à St. Petersbourg rendre compte de votre conduite á mon frère Empereur* [1]).

Dano hrabiemu dwie godziny czasu dla zebrania się do podróży i pożegnania rodziny. Synowi Stanisławowi pozwolono, by towarzyszył ojcu.

O samem południu przed bramą pałacu Zamoyskich wychodzącą na ulicę Świętokrzyską, która zwykle bywała zamkniętą, stanęły dwie karety. W jednej był oberpolicmajster Muchanow, w drugiej komendant miasta Warszawy, książę Bebutow. Hrabia Andrzej siadł z tym ostatnim, syn Stanisław z Muchanowem, i obie karety pomknęły na dworzec na Pragę, gdzie już od dawna oczekiwał Sierzputowski, nie mogąc wytłómaczyć powodów takiego spóźnienia.

Wówczas droga żelazna warszawsko-petersbur-

---

[1]) *Lisicki* podaje, że rozmowa ta toczyła się wobec hrabiego Chreptowicza. *Le marquis Wielopolski*, tom II-gi str. 338.

ska zaledwie była ukończona i ruch pociągów nie był jeszcze ściśle uregulowany. Dla hrabiego Zamoyskiego przygotowano osobny, zaopatrzony we wszelkie wygody wagon pierwszej klasy, tak, że nie było potrzeby wysiadania gdziekolwiek na stacyach. Jedzenie i wszelkie potrzeby podawano do wagonu na telegraficzne zamówienia.

Obliczono, że pociąg stanie w Carskiem Siole dnia 16 września o godzinie 11 w nocy. Ponieważ Sierzputowski wiózł depesze namiestnika do Cesarza, bawiącego podówczas w Carskiem Siole, więc nie mógł eskortować hrabiego Zamoyskiego do samego Petersburga, lecz zażądał od szefa żandarmów wysłania jakiego oficera. Dla większego znaczenia przybył jakiś generał żandarmów, i gdy pociąg stanął w Carskiem Siole, Sierzputowski wprowadził go w pełnej paradzie do wagonu i przedstawił hrabiemu Zamoyskiemu. Ten się widocznie zmięszał i powiedział: *maintenant je suis vraiement arrêté.*

— Bynajmniej — odparł Sierzputowski — lecz muszę opuścić hrabiego, gdyż mam do doręczenia cesarzowi depesze jego brata namiestnika; jak tylko mnie cesarz uwolni, zaraz pośpieszę złożyć hrabiemu moje uszanowanie w Petersburgu; poczem się rozstali, pociąg podążył do Petersburga, Sierzputowski zaś udał się do pałacu cesarskiego [1]).

Z powodu balu u cesarzowej, cesarz przyjął Sierzputowskiego dopiero o godzinie pierwszej po północy. Rozpytywał go dość długo i w końcu polecił jechać zaraz do Petersburga, widzieć się jak najprędzej z Zamoyskim i oświadczyć mu, że cesarz dopiero za kilka dni zawezwie go do siebie po powrocie z Nowogrodu, dokąd właśnie wyjeżdża na

---

[1]) *Spasowicz* przytacza, że Zamoyski zatrzymał się w hotelu Kley'a, obecnie Europejskim.

odsłonięcie pomnika tysiącletniego istnienia Rosyi. „Ty zaś wracaj do Warszawy, byś tam był koniecznie 19, na urodziny wielkiego księcia, zawieziesz mu moje powinszowania i życzenia."

— W razie gdyby Zamoyski prosił mnie o zabranie jakiej przesyłki do rodziny, czy mam ją przyjąć, najjaśniejszy panie? — zapytał Sierzputowski.

— Ależ wszystko, cokolwiekby dał — powiedział cesarz.

Przed obiadem dnia 17 września, Sierzputowski przybył do hotelu i tam od odźwiernego dowiedział się, że hrabiemu złożyli już wizyty wszyscy najwyżsi dostojnicy i dygnitarze, nie wyłączając nawet samego księcia kanclerza.

Oświadczywszy hrabiemu wszystko, co miał od cesarza polecone, dodał, że pojutrze wraca do Warszawy. Oczekiwał jakich poruczeń, ale nie było żadnych. — Tegoż dnia rotmistrz spotkał się gdzieś w towarzystwie z księciem kanclerzem. Ten go zasypał pytaniami o wypadkach w Warszawie i w Królestwie Polskiem, w końcu zaś powiedział:

— Wiesz zapewne, że jest tu hrabia Andrzej Zamoyski?

— *C'est moi qui l'ai amené* — chciał się pochwalić Sierzputowski.

— *Ah c'est vous qui l'avez accompagné!* — poprawił książę kanclerz.

Wieczorem tegoż dnia Sierzputowski był znowu w Carskiem Siole i ponownie miał dosyć długie posłuchanie u cesarza, podczas którego była mowa o Zamoyskim i o Polsce. Opowiedział więc, że u Zamoyskiego w Petersburgu znalazł na stole karty wizytowe wszystkich ministrów i kanclerza.

Kiedy właściwie Zamoyski został zawezwany do cesarza, dokładnie nie mogliśmy się dowiedzieć. Mogło to być w pierwszych dniach października. O ich

rozmowie, trwającej sam na sam więcej niż dwie godziny, krążyło potem mnóstwo rozmaitych wersyi, nawet coś z tego ogłoszono drukiem. Co prawda, a co zmyślenie niepodobna osądzić. Zamoyski w ostatnich latach swego życia, opowiedział coś z tego najbliższym swoim przyjaciołom, od tych rzecz rozniosła się dalej. Wszystko mniej więcej da się sprowadzić do tego, że gdy cesarz usłyszał od Zamoyskiego wyjaśnienie tych miejsc adresu, w których mowa o połączeniu w jedną całość prowincyi, niegdyś składających Polskę, miał wyrzec: „nie myśl abym pochwalał rozbiór Polski, dokonany przez cesarzową Katarzynę, ani trochę! Sam go potępiam, co więcej uznaję, że oprócz niesprawiedliwości był zarazem fałszywym politycznie. Lecz fakt stał się, i nie w mocy mojej odrobienie dziejów. Nie ja zdobywałem te kraje, otrzymałem je w spadku wraz z rosyjską koroną, nie mogę więc z nimi zrobić cokolwiekby mogło przynieść uszczerbek interesom Rosyi, ochronę których zaprzysiągłem i uważam za mój najpierwszy i najświętszy obowiązek. Mogę myśleć tylko o poprawie losu krajów, o których mowa, o nadaniu im możliwych praw i przywilejów, i myślę też wciąż o tem. Nadzwyczajne reformy wprowadzają się w Królestwie. Spodziewałem się, hrabio, że znajdę ciebie po stronie znacznej większości umiarkowanych i rozsądnych przedstawicieli społeczeństwa, i że wesprzecie mojego namiestnika i naczelnika rządu cywilnego w jak najprędszem rozwiązaniu poruczonego im zadania. Tymczasem zamiast tego, poprowadziłeś pan swoich stronników nader ostrożnie a nawet lekkomyślnie na drogę nie dających się urzeczywistnić marzeń. Jednak nic nie jest jeszcze stracone, sprawy nie są do tego stopnia zagmatwane, by się przy dobrej woli nie dało wszystko naprawić. Zostaną one rozwikłane, lecz bez pana. Postępowałeś pan tak niezręcznie względem siebie,

a nawet względem własnego stronnictwa, że ja nie mogę zezwolić na pański powrót do Warszawy. Wybierz pan sobie na pobyt jakie chcesz miasto w Rosyi, lub wyjedź za granicę. Do mnie osobiście, sądzę, że nie masz hrabio żalu i urazy."

Zamoyski wkrótce potem wyjechał przez Berlin do Paryża, gdzie stanął dnia 18 października 1862 roku. W Paryżu krótko bawił, wyjechał niebawem do Londynu i tam napisał obszerne dzieło *O systemie poprawczych więzień irlandzkich.* W 1867 roku przeniósł się do Drezna i był u Wielopolskiego, chcąc, jak powiadali, pogodzić się z nim przed śmiercią. Wielopolski wszakże uniknął spotkania i kazał tylko powiedzieć: „Teraz zapóźno." Spotkawszy się jednak w kościele, powitał go niemem skłonieniem głowy [1]). Z Drezna hrabia Andrzej przyjechał do Krakowa i tam umarł dnia 29 października 1874 [2]) roku.

W tak nagły i niespodziewany sposób zakończyły się losy tego świetnego polskiego arystokraty, imię którego długi czas służyło za hasło dla licznego stronnictwa; ulubieńca kraju, potężnego zastępcy narodu w najtrudniejszych okolicznościach; sympatycznego, popularnego magnata; tego króla Zamoyskiego, jak go gdzieś raz a może i częściej w zbytecznym zapale okrzyknięto; króla z właściwym dworem i całem dworskiem otoczeniem.

---

[1]) *Lisicki* tom II, str. 410.

[2]) *Górski Ludwik* w „Niwie" 1879 roku, nr 109, o jego zasługach jako gospodarza i rolnika.

Tak ważny wypadek nie mógł przejść niespostrzeżenie, nawet w tak burzliwych czasach. Dostrzegł też go i odczuł każdy, bez względu na stronnictwo, do którego należał. Wygnanie Zamoyskiego stało się przedmiotem rozmów Warszawy i całego Królestwa i długo nie potrafiono pogodzić się z myślą, że brak hrabiego Andrzeja wśród warszawskiego społeczeństwa. Natomiast pozostała nienawistna dumna i oziębła postać Wielopolskiego, która od tej chwili stała się, jeśli to było możliwe, jeszcze bardziej dla wszystkich nienawistną. Partya rewolucyjna skorzystała z tego ogólnego usposobienia i dolewała oliwy do ognia, wymyślając różne historye, wyjaśniała zaś powody podania adresu w sposób tak niekorzystny dla rządu, że namiestnik był zmuszony zażądać od hrabiego Zamoyskiego oświadczenia, że tenże działał bez wszelkich pełnomocnictw. Hrabia pod dniem 23 września napisał także lakoniczne oświadczenie: „Pośpieszam oświadczyć, że nie otrzymałem żadnego upoważnienia od jego cesarskiej wysokości i nikogo na zjazd nie zwoływałem.“

Dla uciszenia niepotrzebnych gawęd, namiestnik, zagajając dnia 1 października posiedzenia ogólnego zebrania członków rady stanu, wypowiedział po polsku mowę, rodzaj ponownego odezwania się do kraju, w którem zapewniał, że rząd zawsze jest ożywiony najlepszemi zamiarami i ani myśli o zmianie przyjętego systemu i wstrzymaniu wprowadzenia postanowionych reform.

Mowa ta brzmiała:

„Panowie! Zabierając po raz pierwszy głos w tem zebraniu, przedewszystkiem pragnę was zapewnić, że ostatnie, godne pożałowania zajścia w niczem nie osłabiły moich najlepszych życzeń dla kraju. Ufam w łaskę Opatrzności i polegam na

szczerze obywatelskich uczuciach, których tylokrotne dowody jawnie już panowie złożyliście.

Spełniając obowiązki powierzone mi wolą mego najdostojniejszego brata, a naszego najmiłościwszego monarchy, nie przestanę troszczyć się o dobro Królestwa. Rządy moje nie zboczą z drogi prawem wskazanej i nikomu nie pozwolą z niej zboczyć. Byłbym najszczęśliwszym, gdybym mógł zrobić jak najszerszy użytek z nadanej mi prerogatywy prawa łaski. Muszę wszakże mieć na względzie i wrodzone poczucie sprawiedliwości i spokój ogólny.

Mimo to mogę wam oświadczyć, że od czasu ogłoszenia stanu wojennego na 499 wydanych orzeczeń, 134 uniewinniono, 289 ułaskawiono, 7 uszło z pod sądów, a tylko 69 ponosi orzeczoną karę.

Nadane Królestwu w roku zeszłym instytucye, zaczynają wchodzić w życie. W większej części kraju rady powiatowe odbyły już swe pierwsze posiedzenia. Wybrane przez nie delegacye czynszowe, rozpoczynają już swą niezmiernej doniosłości czynność oczynszowania włościan z urzędu i niewątpliwie odpowiedzą położonemu w nich przez prawodawcę zaufaniu.

Rady miejskie pracują skutecznie. — Otrzymane nowe prośby od 17 miast, o zaprowadzenie w nich rad miejskich, są dalszym dowodem, że kraj uznaje skuteczność nadanych mu instytucyi.

Jednocześnie z otwarciem obecnych posiedzeń, otwierają się: szkoła główna, instytut politechniczny i inne szkoły pomocnicze w kraju, których ustawy uchwalone zostały na zeszłorocznych zebraniach rady stanu, przy roztrząsaniu projektu zasad wychowania. Szczegółowe przeprowadzenie tych ustaw, stanowi jedną z wielkich zasług mego współpracownika, naczelnika rządu cywilnego.

W dalszym ciągu ojcowskiej pieczołowitości najjaśniejszego pana, samodzielność administracyjna

Królestwa Polskiego rozszerzoną została przez wydzielenie agend poczt i komunikacyi z głównych centralnych zarządów Cesarstwa.

Dokonane w roku ubiegłym reformy wymagają także zmian finansowych. Zniesienie pańszczyzny, a ztąd konieczność zastąpienia jej najmem, dało uczuć cały ciężar podatku, nałożonego na służbę dworską.

Podatek zwany koszernym, ciążący wyłącznie na jednem wyznaniu, nie odpowiada duchowi nowoczesnego prawodawstwa o równouprawnieniu Żydów, na co panowie zapatrujecie się zgodnie z rządem jego cesarsko-królewskiej mości.

Zniesienie obu tych poborów jest właśnie projektowane, a na zapełnienie wynikającego ztąd ubytku w dochodach, ma się podwyższyć opłata akcyzy od wyrobu spirytusu. Żywotne zasady obyczajowe, oraz należyte uwzględnienie interesów właścicieli ziemskich i dzierżawców, wymagają koniecznie tych zmian.

Oprócz powyższych projektów przedstawione panom zostaną sprawozdania władz miejscowych za rok ubiegły, a także budżet przychodów i wydatków na rok przyszły.

Projekta do praw o oczynszowaniu włościan z urzędu, o egzekucyi podatków i rządowych powinności, o ustanowieniu przy radzie stanu instancyi kasacyjnej, będą panom z kolei także przedstawione.

Ogłaszam posiedzenie rady stanu za otwarte!" [1]).

---

[1]) Cały tekst przemówienia w numerze 220 *Dziennika Powszechnego* z 1862 r. Mowę tę ułożył główny dyrektor oświecenia i spraw duchownych, członek rady stanu, rzeczywisty radca stanu Krzywicki, bardzo zbliżony z Wielopolskim. W dziesięć lat potem, ten sam Krzywicki wydał

W istocie w szkole głównej, o której wspomniał w swej mowie namiestnik, rozpoczęły się wówczas wykłady na skalę prawdziwie uniwersytecką [1]). Wkrótce przybył do Warszawy nowo-mianowany rektor szkoły głównej, zasłużony profesor wileńskiej i petersburskiej akademii medyko-chirurgicznej, rzeczywisty radca stanu doktór Józef Mianowski [2]).

Jednocześnie zniesiono stan wojenny w ośmiu powiatach gubernii radomskiej, oraz w guberniach lubelskiej i augustowskiej, z wyjątkiem samych miast Lublina, Siedlec i Suwałk.

Wielu politycznym skazańcom darowano kary, wielu zaś skompromitowanym pozwolono na powrót do kraju.

Jednocześnie wszakże z tem wszystkiem, rząd postanowił surowiej postępować, koniecznie dążyć do wykrycia kierowników obu organizacyi i postąpić z niemi stanowczo i bezwzględnie, jak z wrogami społeczeństwa i państwa. Nie było to rzeczą wcale łatwą przy ówczesnem zupełnem rozprzężeniu policyi. Jawna policya umiała tylko powtarzać, „że ludność do czegoś się gotuje, lecz co mianowicie

---

w Dreznie broszurę p. t. *Polska i Rosya w 1872 r.*, w której radzi rodakom pogodzenia się z losem, zapomnienie o przeszłości i szczere zjednoczenie się z Rosyą. Wszyscy uznali, że to „zanadto.“ Kraszewski zaś wyraził się, że zamiast *modus vivendi*, do którego wszyscy dążą, Krzywicki szuka *modus moriendi*. — (Program Polski. Poznań, 1872 rok, str. 16).

[1]) *Dziennik Powszechny* z 1862 roku, nr. 213. Mowa inauguracyjna dyrektora głównego komisyi spraw duchownych i oświaty przy otwarciu szkoły głównej, a właściwie dwóch jej fakultetów: fizyczno-matematycznego, oraz prawa i administracyi.

[2]) Umarł dnia 8 stycznia 1879 r. we Włoszech.

zamyśla, niewiadomo [1]). Tajna policya prawie nie istniała. Generał Paulucci, słaby i zawsze pobłażliwy dla Polaków, teraz zupełnie opuścił ręce i udawał chorego, następnie wziął czteromiesięczny urlop i wyjechał do wód do Niemiec i Włoch. Dnia 6 lipca 1862 roku został zaliczony do wojsk zapasowych. Następca jego Podwysocki był zarazem i niesumienny i niezręczny. Często wymyślał wypadki i działania nieistniejących spiskowców, albo też oskarżał zupełnie niewinnych. Opowiadają, że znaleziono go już raz wiszącego na haku we własnem mieszkaniu, lecz jeszcze na czas zdołano go uwolnić ze stryczka. Po tym wypadku domagał się usilnie, by go przeniesiono do Petersburga, gdzie też został zaliczony do trzeciego oddziału kancelaryi jego cesarskiej mości. Naczelnikiem tajnej policyi w Warszawie został Felkner, wypędzony przez Wielopolskiego inspektor szkół w Łodzi, a przedtem w Lipnie. Nim się ten rozpatrzył w stanie rzeczy, czyniąc to bez chęci i zapału, sprzysiężenie postąpiło o znaczny krok naprzód. Obie organizacye, biała i czerwona zaczęły się jednoczyć, było to widoczne dla każdego nieuprzedzonego. Wielopolskiemu i rządowi z dniem każdym ubywało stronników. Ktoś ze zbliżonych do wielkiego księcia poradził poszukać szczęścia za granicą, udać się o pomoc policyi państwa najbardziej ucywilizowanego w Europie, w którem wszystko wydoskonalono do najwyższego stopnia, od gwoździa na dachu do szpiega najskrytszych policyjnych zakamarków. Namiestnik zapytał Wielopolskiego o zdanie, ten uznał, że w tem nie będzie nic dziwnego ani niestosownego. Przecież zamawiają u Anglików parowce, strzel-

[1]) Ulubione wyrażenie ówczesnego naczelnika policyi, oberpolicmajstra pułkownika Muchanowa

by, scyzoryki, maszyny do szycia i inne, gdy się niema zaufania co do dobroci własnych, dlaczegóż nie skorzystać i z żywych doskonałości, gdy swoje narzędzia tego rodzaju są stanowczo do niczego. Wezwano więc posła rosyjskiego w Londynie, ażeby się pod tym względem porozumiał z prezesem ministrów, lordem Derby. Derby na razie się żachnął, lecz wkrótce uspokoił się pod wpływem uczucia patryotycznej dumy, że nawet i tego dobra nie gdzieindziej, lecz tylko w Anglii szukają.

W październiku więc 1862 roku wysłał do Warszawy dwóch wypróbowanych urzędników wyższej policyi, a mianowicie: Walkera, naczelnika cyrkułu westminsterskiego i Webichera, dziesiętnika w korpusie szpiegów londyńskich, ludzi nadzwyczaj zręcznych i roztropnych, mówiących różnemi językami i wyglądających zupełnie przyzwoicie [1]).

Zaraz na wstępie w mieszkaniu oberpolicmajstra zażądali, aby im dano do dyspozycyi dziesięciu ludzi, wyglądających mniej więcej jak oni, t. j. przyzwoitych, pojętnych, zdrowych, posiadających w pełni krew zimną i umiejących panować nad sobą, a nadto rozumiejących doniosłość i znaczenie europejskiej policyi jawnej i tajnej.

Oberpolicmajster odpowiedział, że nietylko dziesięciu, ale nawet pięciu podobnych ludzi dostarczyć nie potrafi.

— Nawet pięciu nie macie? — Gentlemeni spojrzeli znacząco po sobie — a więc dajcie nam chociażby dwóch, poprobujemy rozpocząć we czwórkę.

---

[1]) Tytuły te nosili na biletach wizytowych i na fotografiach, które autor miał w ręku. *Gregorowicz* w książce „Pogląd krytyczny na wypadki 1861—1863 roku," tom I, str. 120 cytuje „Parę czerwoną" *Bolesławity*, który pisze „Rządy Margrabiego... wzmacniają policyę, urządzając ją to na wzór pruski, to na sposób angielski."

— I dwóch, zupełnie pewnych nie mam — odrzekł oberpolicmajster.

— W takim razie i my nie mamy tu co robić.

I udoskonaleni angielscy szpiedzy wrócili do domu, dostawszy po tysiącu funtów szterlingów na osobę. I co za siła w tym „pogardzanym metalu;" mimo całej przyzwoitości i wydoskonaleniu w panowaniu nad sobą, wewnętrzna podłość jednego z nich wyszła na jaw w chwili dotknięcia się złota. Pocałował on w rękę wypłacającego mu pieniądze. — (Wiadomość od samego płatnika).

Wszelako gentlemeni na odjezdnem dali pewne instrukcye policyi, które sprawiły, że potrafiono wyśledzić kilka podejrzanych osobistości między wojskowymi, a mianowicie: Ferdynanda Warawskiego, porucznika w ładowskim pułku piechoty; Michała Heidenreicha, sztabskapitana w jekaterynosławskim pułku dragonów; Łątkiewicza, podporucznika z pierwszej bateryi siódmej artyleryjskiej brygady; Krygera, porucznika w muromskim pułku piechoty i księżniczkę Kamilę Czetwertyńską. Nadto różnemi czasy uwięziono: Czesława Pławskiego, porucznika artyleryi z czwartej lekkiej artyleryjskiej brygady i Benedykta Kuczkowskiego, assauła dowódcę pierwszej sotni kubańskich kozaków. Dobierali się także do Zwierzdowskiego, kapitana generalnego sztabu, lecz na razie ochroniła go protekcya wileńskiego generał-gubernatora, generał-adjutanta Nazimowa, później Zwierzdowski uszedł.

Energia taka okazana przez policyę, spowodowała nowe ofiary w jej łonie. Dnia 8 listopada 1862 roku, nowy naczelnik tajnej policyi, Felkner, został zasztyletowany przed własnem mieszkaniem przy ulicy Twardej [1]). Wakujące miejsce szefa taj-

[1]) Szczegóły tego zabójstwa w dodatku l. 24.

nej policyi zaproponowano generałowi S., lecz ten odpowiedział, „że słuchał wykładów w szkole artyleryi w zamiarze służenia ojczyźnie na polach bitwy, lecz nigdy i nigdzie nie przechodził studyów, jak dowodzić zastępem szpiegów i dlatego nie czuje się uzdolnionym do objęcia ofiarowanego mu stanowiska" [1]).

Szukano więc odpowiedniego człowieka dalej i skończono na powołaniu ponownem generała margrabiego Paulucciego, który po czteromiesięcznych podróżach, mieszkał bezczynnie w Petersburgu. W początkach 1863 roku generał Paulucci zjawił się w Warszawie i w pierwszych chwilach rozwinął nader energiczne działanie.

Wielopolski uznawał, że wszystkie te zarządzenia wcale nie przyspieszają ostatecznego rozwiązania, nie prowadzą do tego, „ażeby wrzód raz pękł." Wyrywają się w sprzysiężeniu pojedyncze ogniwa, lecz łańcuch zawsze cały i nietknięty. Margrabia zaproponował więc namiestnikowi, ażeby wykonać pobór do wojska na prawach wyjątkowych w miejsce zwykłej branki, która powinna już była się odbyć, lecz której przy istniejących dwóch rewolucyjnych organizacyach w kraju niepodobna było przeprowadzić. Wyjątkowym poborem można było sprzysiężenie zgnieść od razu. Część niebezpiecznych indywiduów schwycić w mieście, co zaś ujdzie w lasy, tych się wyłowi lub wyginą [2]).

---

[1]) Wiadomość od generała S.

[2]) Podobny pobór był dokonany po raz pierwszy po rewolucyi 1831 roku. Wówczas wzięto do wojska wszystkich polskich żołnierzy, którzy nie zdołali schronić się za granicę. W ten sposób powtarzano branki przez czas dłuższy. Dopiero na przedstawienie księcia Gorczakowa, cesarz ukazem z dnia 15 marca 1859 roku zniósł rekrutowanie na prawach wyjątkowych. Podczas zamieszek w kraju nie było

Wielki książę zgodził się na taki wyjątkowy pobór [1]). Zaczęto formować spisy, a tymczasem dla wzmocnienia wojsk konsystujących w Polsce, wysłano z Petersburga do Warszawy trzecią dywizyę gwardyi, już od czerwca gotującą się do wystąpienia. Lecz, jak wszystkie, tak też i tę pigułkę starano się ozłocić. Były to pułki, które konsystowały w Warszawie przed rokiem 1831, za wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, i którym przywrócono dawne kolory, żółte wypustki i rabaty zamiast czerwonych [2]). Jednocześnie też zmieniono kolory w podolskim pułku kirasyerów, chociaż ten wcale nie był przeznaczony do Królestwa, lecz przed 1831 rokiem konsystował w Polsce. Kozacy kubańscy z konwoju wielkiego księcia namiestnika dostali także żółte czerkieski. Wielki książę fotografował się u historycznego Bayera w mundurze litewskiego pułku piechoty gwardyi, z żółtym kołnierzem i takiemiż wyłogami i portret ten umieszczono na najwidoczniejszem miejscu. Obok, na drugiej ścianie wisiała fotografia Wielopolskiego w fotelu, z orłem na oparciu.

---

czasu myśleć o poborze. Z końcem 1861 roku, za hrabiego Lamberta, zaczęto mówić o brance, aby się tym sposobem uwolnić od czerwonych, lecz hrabia Lambert stanowczo oświadczył, że nie zarządzi poboru do wojska, dopóki się nie ukonstytuują rady powiatowe i miejskie. Tak nadszedł 1862 rok, w którym wypadał zwyczajny pobór rekrutów w całej Rosyi. W analogii musiała się odbyć branka i w Królestwie Polskiem, gdyż w przeciwnym razie na pewno zapytanoby, „a cóż to? buntujących się Polaków pozostawiają w domu, a nas, spokojnych, pędzą w rekruty!“

[1]) *Lisicki* tom II, str. 343, powiada, że wielki książę długo się opierał Margrabiemu, który sam się wyrażał, że to będzie „nie konskrypcya, lecz proskrypcya, ale ona konieczna.“

[2]) Pułki litewski i wołyński gwardyi nigdy nie przestawały nosić żółtych kolorów.

Pierwszy przybył do Warszawy batalion carskosielskich strzelców celnych, w mundurach o amarantowych kolorach, dnia 29 października 1862 r. Następnie przybyły dwa pułki: litewski i wołyński gwardyjskie, potem zaś pruski i austryacki grenadyerskie. Codziennie koleją przybywał jeden batalion. Namiestnik spotykał nadchodzące wojska na Pradze.

Nieco później nadciągnęły dwa pułki jazdy gwardyi: pułk grodzieński huzarów i pułk ułanów, imienia jego cesarskiej mości. Muzyka tego ostatniego pułku, wchodząc do Warszawy, grała marsza pułkowego na nutę „Jeszcze Polska nie zginęła."

Wszystko to wszakże: żółte i amarantowe rabaty i marsz legionów Dąbrowskiego, grany przez rosyjskich trębaczy, i uzupełniające wydziały przy szkole głównej, i ułaskawienia politycznych skazańców, już nie wywierało żadnego wpływu na ludność Królestwa i Warszawy, umysły bowiem wszystkich już tylko były zaprzątnięte przygotowaniami do powstania.

Ludzie wszelkiego stanu i wieku, mężczyźni i kobiety, starcy i dzieciaki z zapałem czytali rady i wezwania *Ruchu* i innych podobnych pisemek, w najzupełniejszem przeświadczeniu o bezskuteczności pogróżek rządowych i zupełnej tegoż bezsilności. Przeciwnie, wszystkim się zdawało, że strach przejmujący najwyższe sfery rządowe, doprowadzi w bardzo prędkim czasie do zadosyćuczynienia wszelkim żądaniom Polaków.

Naraz w numerze 224 *Dziennika Powszechnego*, ogłoszono urzędowe rozporządzenie o poborze rekruta. Żaden z Polaków tego nie przypuszczał, to też czytając nie wierzyli własnym oczom, i zapanowało powszechne zaniepokojenie i zamieszanie. Krakowski *Czas*, wspominający dotychczas o brance jako o nieuzasadnionej pogłosce, wystąpił z szere-

giem piorunujących artykułów przeciw Wielopolskiemu i doradzał powszechną dezercyę [1]). W numerze 6 *Ruchu* ogłoszono rozkaz władz narodowych „zaprzestania służby z wyborów i rozjechania się do domów." Na razie nikt tego rozkazu nie usłuchał, lecz gdy w połowie października rozpoczęto tak zwaną superrewizyę, to jest przygotowawcze zestawienie spisów popisowych, członkowie rad powiatowych i miejskich zaczęli tłumnie składać mandaty. To zastanowiło namiestnika i Wielopolskiego. Pomimo, że te rady bardziej wyglądały na dawne polskie sejmiki niż na zorganizowane instytucye, mimo, że w niektórych z nich panował istny chaos, były one potrzebne naczelnikowi rządu cywilnego, który je uważał niejako za rusztowanie do przyszłej właściwej budowy. Otóż, gdy te rusztowania zatrzeszczały, margrabia pośpieszył je podeprzeć. Nakazał zaprzestania superrewizyi, w pałacu zaś Paca, gdzie niedawno sądzono Jaroszyńskiego, Rzońcę i Rylla, wytoczono jawny proces 66 przestępcom politycznym, przychwyconym przez policyę na gorącym uczynku składania przysiąg rządowi narodowemu. Przez kilka dni z rzędu przywożono oskarżonych na miejsce sądu, w grupach po piętnastu, w karetach otoczonych żandarmami. Najzdolniejsi adwokaci podjęli się obrony i wygłaszali długie, pełne omówień i dwuznaczników mowy. Pewien obrońca, Radgowski, do łez poruszył zebraną publiczność [2]). Były to zwykłe zarządzenia, oprócz których Wielopolski uciekł się i do niezwykłych środków, chwycił za tę słomkę, której tonący się chwy-

---

[1]) *Czas* z roku 1862, w numerze 282 i następnych.

[2]) Wiadomość od K. P. Afanasjewa, ober-audytora, biorącego z urzędu udział we wszystkich posiedzeniach sądu.

ta, podpisał i kazał wydać jeszcze dwa zeszyty komunałów. Jeden z tych zeszytów, chociaż z trudnością, zdołano jeszcze wydrukować w Warszawie, lecz drugiego (z porządku trzeciego) już żadna drukarnia, nawet drukarnia *Gazety Rządowej Królestwa Polskiego* nie podjęła się drukować. Fakt nie do uwierzenia, a jednak niewątpliwy. Uparty przy raz powziętem postanowieniu margrabia, wysłał redaktora *Dziennika Powszechnego* z rękopismem za granicę i tak kazał wydrukować ten nowy zeszyt komunałów. Sobieszczański wydrukował je w Neuburgu w drukarni Patza, w liczbie 600 egzemplarzy [1]).

[1]) Na pierwszej stronnicy zeszytu wydrukowano tylko Varsoviae, anno Domini MI CCCLXIII, bez oznaczenia miesiąca. Treść zawiera:

1. Odezwa do publiczności, jako odpowiedź generalna krytykom i recenzentom *in partibus*, napastującym komunały w powszednich pogawędkach.
2. Przegląd polityczny.
3. Sprawozdanie z pracy wewnętrznej narodu, manifestującej się w Warszawie.
4. Pocieszające wiadomości z dziedziny naukowej.
5. Zrokoszowana mitologia, czyli nowa *Boska komedya* z finałem uciętym.
6. Królestwo podziemne. Część urzędowa.
7. Poezya romantyczna jako słowa do muzyki z adnotacyami w nawiasach dla kompozytora.
8. Kwitensencya filozoficznych rozmyślań filozofa bez stałego zatrudnienia, i zamieszkania, tymczasowo przebywającego na warszawskim bruku.

Na dole: Za pozwoleniem cenzury rządowej. Lipsk. W drukarni Beera i Hermana.

Zeszyt ten jest bibliograficzną rzadkością. Wszystkie trzy zeszyty posiada biblioteka uniwersytecka w Warszawie. Sobieszczański opowiadał autorowi, że w owym czasie jakiś Niemiec prosił o pozwolenie założenia nowej drukarni w Warszawie. Przyobiecano mu konsens pod warunkiem drukowania komunałów. W mieście wszakże oświadczono mu, że jeśli podejmie się tego druku, to nie dostanie żadnej innej roboty. Wskutek tego Niemiec cofnął podanie.

Los nie sprzyjał temu trzeciemu zeszytowi. Sprowadzona paka została rzucona gdzieś do kąta w Warszawie i zapomniano o niej. Rządzącym Polską podówczas nie było już w głowie rozrzucenie jakiejś tam broszury po kraju, gdy się musieli gotować do jawnej walki ze sprzysiężeniem, które groziło, że lada chwila zamieni się w zbrojne powstanie.

Podpory nie dopisały. Pomimo zarządzeń naczelnika rządu cywilnego, rady rozwiązywały się jedna po drugiej. Przybyli z zagranicy, ułaskawieni przez namiestnika, dawniej skompromitowani, wyglądali na emisaryuszów emigracyi i byli nimi rzeczywiście. Komitet centralny ogłosił postanowienie, zarządzające pobór ogólnego podatku na sprawę narodową w stosunku 5 do 6 procent dochodu, i składki popłynęły obficie. Wreszcie wyszło wezwanie komitetu do narodu, w którem komitet występował już jako rzeczywisty, rewolucyjny rząd kraju, mający moc zasłonięcia obywateli od ucisku. Obiecywał, że niedopuści do branki i oświadczał, że „zanim wróg zdąży wykonać swój zamysł barbarzyński godzina wyzwolenia wybije.” Wezwanie to znane jako „Kartka o poborze” rozleciało się w kilku tysiącach egzemplarzy i wywarło wstrząsające wrażenie na umysły niższych warstw spiskowych [1]).

---

[1]) Według zeznań Janczewskiego, kartkę tę wydał Józef Rolski po uwięzieniu Dąbrowskiego w sierpniu 1862 roku, pełniący obowiązki naczelnika m. Warszawy, człowiek niespokojny, we wszystko się mieszający i dniem i nocą bredzący tylko o reakcyi. Komitet zaś centralny, nie spodziewając się, że pobór tak bliski i nie przewidując z odezwy Rolskiego jakichś następstw poważniejszych, a raczej ani przypuszczając, ażeby przechwałkom tym ktokolwiek uwierzył, przyjął na siebie odpowiedzialność za to ogłoszenie. Dlatego to później wymawiano że komitet centralny lud zdradził, obiecał przeszkodzić poborowi, a mimo to branka przyszła do skutku.

Prostemu ludowi w rzeczy samej komitet wydawał się jako niezwykła potęga. Dziesiątki zawierzyły kartce na ślepo i nikt ani myślał się skrywać lub uporządkować swe dokumenta, mogące ochronić od poboru. Gdy to spostrzegli ludzie zajmujący wyższe stanowiska w organizacyi, ostro się rozmówili z członkami komitetu, i wskutek tej rozmowy Józef Rolski i Gustaw Wasilewski widzieli się spowodowani wystąpić z komitetu [1]). W ich miejsce weszli w skład komitetu: Aleksander Bernawski, student medycznej akademii i Zygmunt Padlewski, były oficer artyleryi [2]). Zastępcami członków komi-

---

[1]) Po uwięzieniu Dąbrowskiego i wyjeździe Gillera za granicę, komitet centralny składali: Witold Marczewski. Bronisław Szwarce, Gustaw Wasilewski, Joachim Szyc (jako zastępca) i Józef Rolski, zarazem naczelnik miasta Warszawy.

[2]) Padlewski był synem kijowskiego obywatela, Władysława, który w swoim czasie należał do kilku spisków, a także i do powstania 1863 roku. Zygmunt urodził się 1835 roku we wsi Czerniawce pod Berdyczowem. Oddany do korpusu kadetów w Brześciu Litewskim w 1854 r. przeszedł do szkoły pułku szlacheckiego w Petersburgu, w której odznaczył się postępami głównie w matematyce, wykładanej przez znanego Piotra Ławrowicza Ławrowa. Już w szkole odznaczał się szczerością i prawością charakteru, a także skrajnie rewolucyjnemi poglądami. W 1857 roku został zaliczony do gwardyi podobno pułku finlandzkiego strzelców celnych. Ztamtąd wstąpił do akademii artyleryjskiej, którą ukończył z wyszczególnieniem. Następnie służył w 3-ciej konnej bateryi gwardyjskiej i podczas tego wskutek jakiegoś skandalicznego zajścia pieniężnego, wydalił się w 1861 roku za granicę. Po przybyciu do Paryża spotkany został przez polską młodzież z pewnem niedowierzaniem, lecz wkrótce wykazawszy swe zdolności, został wybrany na przewodniczącego w jednem z kółek i był nim aż do marca 1862 roku. W tym czasie przeniósł się do Genui, gdzie w polskiej wojskowej szkole wykładał artyleryę i historyę wojenną. W Cuneo prowadził dalej te same wykłady, a w połowie 1862 roku został wezwany do Warszawy, zkąd

tetu centralnego byli: Jan Bohdanowicz, obywatel z lubelskiego, Oskar Aweyde, były student petersburskiego uniwersytetu, Joachim Szyc, Władysław Daniłowski i Franciszek Godlewski.

Wkrótce Szyc i Godlewski zostali usunięci [1]). Biernawski sam ustąpił a Bohdanowicz został uwięziony. W miejsce ich wybrano: Władysława Jeskego, kandydata nauk uniwersytetu moskiewskiego, Jana Wernickiego, Józefa Narzymskiego i Tomasza Winnickiego, urzędnika pocztowego.

Zmiany te dokonane w łonie komitetu centralnego nazywają się październikowemi.

Wraz z przeistoczeniem składu głównego ogniska, zaszły zmiany w niektórych działach, przedewszystkiem zaś w policyi, której naczelnikiem został Feliks Kowalski [2]). Kowalskiemu dodano trzech pomocników z nazwą inspektorów, nadto zamianowano trzynastu cyrkułowych komisarzy. Każdy z komisarzy miał do pomocy dwóch do trzech agentów i po tyluż galopenów do rozsyłek. Wówczas też

---

znów w jakiejś misyi komitetu centralnego jeździł do Paryża. Zawezwany napowrót do Warszawy w październiku 1862 roku, wrócił pod przybranem nazwiskiem Skurzyńskiego. — (*Pamiątka dla rodzin polskich.* Kraków 1868 rok. tom I, str. 115 — a także opowiadania jednego z kolegów korpusu).

[1]) *Giller* tom I, str. 41 powiada, że Daniłowski został wydalony za dwulicowe postępowanie; dowiedziano się bowiem, że będąc członkiem komitetu centralnego, pozostawał w najściślejszych stosunkach ze stronnictwem Mierosławskiego, a nawet wszedł do komitetu zawiązanego przez Jana Kurzynę, gdy komitet centralny ze śmiechem odrzucił zrobioną przez tegoż w lipcu 1862 roku propozycyę uznania Mierosławskiego swym prezesem.

[2]) Ten sam, który wodził Rylla i Rzońcę po ogródkach, i był zwany tylko po imieniu, Feliks. — *Giller* twierdzi, że Władysław Jeske nie należał nigdy do składu komitetu centralnego.

przystąpiło do organizacyi powstańczej coś około 60-ciu policyantów rządowych.

Następnie zwrócono usiłowania na wykończenie i wzmocnienie organizacyi po województwach. Członek komitetu centralnego Marczewski, z zastępcą swoim Aweydą, otrzymali zarząd 4 województw: mazowieckiego, kaliskiego, krakowskiego i sandomierskiego; Szwarce został zamianowany na województwa: płockie, augustowskie i Litwę, zaś Bohdanowicz, a po jego uwięzieniu Wernicki, na Podlasie, lubelskie i Ruś.

Aweyde, obdarzony literackiemi zdolnościami, lubiący pisać, projektować i doradzać, ułożył „instrukcyę dodatkową" do czerwcowej ustawy Gillera, w myśl której na czele każdego województwa miał stanąć komitet, złożony z pięciu członków: wojewody, trzech wydziałowych: wojny, administracyi i finansów, i komisarza z ramienia władzy centralnej.

Wszystkie sprawy rozstrzygały się większością głosów, a tylko w wypadkach nagłych i nie cierpiących zwłoki, mógł wojewoda na własną odpowiedzialność wydawać rozkazy.

Uchwały, instrukcye i wszelkie dokumenta komitetów wojewódzkich miały się wydawać pod pieczęcią wojewody.

Dotychczasowi agenci komitetu centralnego po województwach albo zostali usunięci, lub też w stopniu zastępców przeszli pod bezpośrednie kierownictwo komitetu centralnego.

Komisarz miał prawo powstrzymywania zarządzeń komitetu wojewódzkiego z obowiązkiem natychmiastowego zawiadomienia o tem władzy centralnej, w razach gdy zachodziła sprzeczność z otrzymanemi instrukcyami z Warszawy, lub gdy naruszono postanowienia lub ducha którego z dziewięciu artykułów zasadniczych Gillerowskiej ustawy.

Nadto komisarze mieli sobie poruczony naj-

ściślejszy nadzór i kontrolę nad sprawami organizacyi po województwach. Komisarz był obowiązany do objeżdżania powiatów odnośnego województwa, dokonywania rewizyi, żądania wyjaśnień i sprawozdań od wszelkich władz i członków organizacyi.

Komisarze mieli swe odrębne pieczęcie.

Wszyscy członkowie komitetów wojewódzkich byli mianowani przez komitet centralny, lecz w bezpośrednich stosunkach z nim pozostawali tylko: wojewódzki i komisarz.

Dodatkowa ta instrukcya natrafiła na opór ze strony czterech członków komitetu, którzy byli zdania, że nieprzyzwoicie i nie uchodzi wprowadzać zmiany w ustawie Gillerowskiej w nieobecności jej twórcy, przebywającego podówczas za granicą, tembardziej, że ustawa ta mimo zarzucanych jej wad i niedostatków wniosła pewien ład i życie w chaotyczną dotychczas działalność czerwonej organizacyi i dźwignęła nader skutecznie sprawy sprzysiężenia. Szczególniej Szwarce bronił nietykalności Gillerowskiej ustawy. Jeden Marczewski popierał wprowadzenie zmian instrukcyi dodatkowej, wskutek czego w województwach: kaliskiem, sandomierskiem i krakowskiem, któremi zawiadywał sam autor instrukcyi, Aweyde, potworzyły się komitety wojewódzkie, i to niekompletne, w innych zaś częściach kraju rzeczy pozostały po dawnemu, uzupełniono wszakże nominacye wojewódzkich. W sandomierskiem został mianowany wojewódzkim ksiądz kanonik Kotkowski, komisarzem Maciejowski. Jako członkowie komitetu tego województwa wiadomi: Włodzimierz Aleksandrowicz, nauczyciel gimnazyalny z Radomia, Waleryan Tomczyński, urzędnik radomskiego zarządu gubernialnego i jakiś inny urzędnik z Radomia Lewkowicz.

Kaliskim wojewódzkim został zamianowany ksiądz kanonik Cent, komisarzem Gustaw Wasilew-

ski; członkami komitetu wojewódzkiego: Turczynowicz, obywatel ziemski z piotrkowskiego, Grzywiński, urzędnik pocztowy w Piotrkowie i obywatel Bogucki.—(Aweyde).

Mazowieckim wojewódzkim został obywatel ziemski Ludwik Świątkowski, komisarzem Stanisław Frankowski.

Wojewodą podlaskim naznaczony początkowo Teodor Jasiński, obywatel ziemski, następnie sąsiad jego Bronisław Deskur; komisarzem był początkowo Lisikiewicz, następnie Roman Rogiński.

Augustowskie nie miało wojewody. Komisarzem był Józef Piotrowski, agentami przy nim Mroczkowski i Kamiński. Następnie wysłano tam Skulteckiego.

W białostockiem nie było regularnej organizacyi, mniej lub więcej wybitne stanowiska w tamtejszej organizacyi zajmowali: obywatel Konarzewski, białostocki sprawnik Białokos i urzędnik na stacyi kolei żelaznej w Łapach Pisanko.

Następnie komitet centralny zajął się zorganizowaniem w całym kraju poczty narodowej, dla przesyłania mniej ważnych pism i posyłek, oraz dla przewożenia kuryerów i wszelkich osób pożytecznych sprawie. Wyznaczono stacye, na których miała być zawsze w pogotowiu pewna liczba koni, zwykle po dworach obywatelskich. — Długo wszakże nie było w tem należytego porządku i ładu, i dopiero przed samem powstaniem, gdy obie organizacye zlały się prawie w jedną, w tej poczcie obywatelskiej przyszło do pewnego ładu. Przedtem listy i mniej ważne przesyłki wysyłano zwykłą pocztą do pewnych urzędników pocztowych. Ważniejsze depesze powierzano umyślnym gońcom.

W obec tak rozwiniętej działalności komitetu centralnego, cel której aż nadto każdemu był widoczny, duchowieństwo w przeważnej swej części

trzymające się dotychczas na uboczu, zaczęło się zastanawiać jak się ma zachować względem przewidywanego ruchu i w tym celu we wszystkich guberniach nastąpiły zjazdy dla omówienia kwestyi i powzięcia jakichś postanowień. Dnia 14 września 1862 roku odbył się taki zjazd w świętokrzyskim klasztorze na Łysej górze, na który miało przybyć do trzystu księży i kilkuset szlachty [1]). W późniejszych zjazdach brało udział po 50 do 100 księży [2]).

Skoro się tylko komitet centralny dowiedział o tych zjazdach, natychmiast polecił wojewódzkim, by koniecznie brali udział w zebraniach i rozwinęli agitacyę w duchu swego stronnictwa. Nadto na niektóre zjazdy wysyłał agentów bezpośrednio ze swego ramienia i tak na zjazd duchowieństwa w podlaskiem w połowie listopada 1862 r. został wysłany Jan Majkowski, urzędnik warszawskiej komisyi skarbu; w lubelskie Józef Janowski, budowniczy. Czy to dzięki zręczności wysyłanych agentów, czy też już taki był nastrój ogólny umysłów, całe prawie duchowieństwo stanęło po stronie czerwonych.

Pierwsza dyecezya sandomierska w początkach listopada 1862 roku oświadczyła się za komitetem centralnym. Za jej przykładem poszły dyecezye: krakowska, podlaska, chełmska, lubelska i częściowo kalisko-kujawska. Wszędzie, przy pomocy agentów komitetu centralnego i wojewódzkich, ustanowiono „organizacyę duchowieństwa" na zasadach przyjętych przez komitet centralny. Jednakże w dyecezyach: warszawskiej, płockiej i augustowskiej nie zdołano zaprowadzić regularnej organizacyi, mimo to i tam wielu księży działało w duchu czerwonych i na korzyść powstania.

---

[1]) Zapiski naocznego świadka, str. 76 — 80.
[2]) Aweyde.

Statut „Organizacyi duchowieństwa polskiego" w pięciu czy siedmiu artykułach zawierał następujące postanowienia:

Organizacya duchowieństwa [1]) przyjmowała jako podstawową jednostkę dekanat. Księża dekanatu wybierali jednego delegata czyli męża zaufania, dekanalni zaś delegaci wybierali dyecezyalnego. Delegaci dyecezyalni pozostawali w bezpośrednich stosunkach z wojewódzkim, komisarzem i z komitetem centralnym [2]). Komitet centralny w stosunkach swych z duchowieństwem miał się stosować do wszystkich praw i zwyczajów kościoła katolickiego, duchowieństwo zaś ze swej strony zobowiązywało się wypełniać ściśle polecenia komitetu, przyjmować stanowiska w organizacyi, zbierać składki i odbierać od sprzysiężonych przysięgi. — Wielu jednak księży wahało się z przystąpieniem do tej organizacyi, pomnąc, że bulle papieskie wyraźnie zabraniały udziału w tajnych stowarzyszeniach. Innym niepodobał się związek z komitetem, skład którego był im nieznany.

Dla uchylenia tych wątpliwości i nieporozumień, księża Kotkowski i Paszkowski udali się do komitetu centralnego z żądaniem, by tenże z grona swego wydelegował pełnomocnika dla przeprowadzenia ściślejszych rokowań. Wyznaczono Oskara Aweydę. Narady odbywały się w klasztorze OO. Dominikanów przy ulicy Freta. Księża przedstawili następujące warunki, mające utrwalić stosunki z komitetem:

---

[1]) Podług przyjętych form organizacyi stronnictwa białych.

[2]) Na delegatów dyecezyalnych zostali wybrani: w dyecezyi sandomierskiej ks. kan. Kotkowski; w krakowskiej ks. Wnorowski; w lubelskiej ks Sosnowski; w podlaskiej ks. Paszkowski; delegaci z chełmskiej i kalisko-kujawskiej dyecezyi niewiadomi.

Organizacya duchowna wystosuje do papieża list wyjaśniający i prześle go na ręce poznańskiego arcybiskupa Przyłuskiego. W liście tym ma być wyjaśnione znaczenie organizacyi polskiego duchowieństwa i przedstawione, że takowa nie narusza w niczem organizacyi kościelnej i nie stoi w sprzeczności z postanowieniami papieskiemi, co do tajnych towarzystw karbonarów i massonów.

Aweyde zgodził się na to, zażądał tylko, ażeby list ten, zanim zostanie wysłany do Rzymu, był zakomunikowany komitetowi centralnemu i żeby w nim nie było wzmianki ani o świeckiej władzy papieża, ani o innych jakichkolwiek włoskich sprawach.

Księża przyrzekli, lecz komitet nie otrzymał tego listu i niewiadomo, czy wogóle został on wysłany.

Dalej zażądano, ażeby delegaci dyecezyalni mogli wydelegować jednego z pośród siebie do komitetu centralnego, w rodzaju przedstawiciela i zastępcy spraw i interesów kościoła w rządzie.

Żądaniu temu Aweyde wręcz odmówił, oświadczając, że komitet sam wyznaczy naczelnika spraw duchownych i zaopatrzy go w odrębną pieczątkę, przyczem zobowiąże się nie wydawać żadnych zarządzeń co do spraw duchownych bez wiadomości takiego naczelnika.

Na to księża się zgodzili i komitet zamianował naczelnikiem sekcyi spraw duchownych księdza Mikoszewskiego, oddawna ściśle złączonego z partyą czerwoną i nadał mu osobną pieczęć z napisem: X. Sykstus[1]).

Pozyskawszy w ten sposób duchowieństwo, czerwoni wyobrażali sobie, że główne siły kraju są w ręku komitetu, i że należy już tylko energicznie po-

[1]) Głównie z zeznań Aweydy.

przeć ostatnie przygotowania, wprowadzić jak najprędzej czysto wojskową organizacyę i dać sprzysiężonym hasło do zbrojnego wystąpienia, a tem samem przyprzeć białych do ściany i pozbawić ich możności wszelkiego oporu.

Już od dłuższego czasu odzywały się z różnych stron głosy niezadowolenia na niezdecydowane i wahające się postępowanie komitetu centralnego. Obecnie głosów tych przybyło i w Warszawie i w kraju. Niektórzy z komisarzy grozili wypowiedzeniem posłuszeństwa i rozpoczęciem na własną rękę powstania, gdyż komitet bawi się tylko pisaniną i tworzeniem coraz to nowych planów bez końca, nic zaś nie zarządza stanowczego. Wskazywali przytem na niebezpieczeństwo grożące organizacyi ze strony Mierosławskiego i jego warszawskiego komitetu [1]).

Nie posiadali oni wprawdzie silnej organizacyi, lecz korzystając z opieszałości komitetu centralnego, bardzo łatwo mogli wzrość w siłę i pokrzyżować, a nawet udaremnić, wszystkie dotychczasowe roboty sprzysiężenia. W chwili najważniejszej stronnictwa rozpoczną z sobą walkę, coś w rodzaju wojny domowej, czemu się tylko da zapobiedz i uprzedzić przez przyśpieszenie wybuchu powstania; dla tem pewniejszego zaś uspokojenia mas i pozyskania stronników Mierosławskiego, najpraktyczniej będzie ofiarować temuż dyktaturę.

Centralny komitet zwołał z tego powodu zebranie, na którem, po wszechstronnem omówieniu

[1]) Komitet ten składali: Zygmunt Rościszewski, obywatel ziemski z płockiego; Stanisław Kaczkowski, buchalter jakiegoś banku w Warszawie; Władysław Daniłowski, student medycznej akademii z Petersburga i Feliks Bauerfeind, bogaty białoskórnik z Warszawy.—Nadto jako agenci do szczególnych poruczeń Marchwiński i Józef Rościszewski, synowie obywateli ziemskich.

sprawy, postanowiono większością głosów niezwłoczne powstanie. Właściwie zaś tylko Szwarce i Padlewski byli za powstaniem, lecz namiętni i energiczni przekrzyczeli innych, którzy oponowali coraz słabiej, a w końcu zupełnie umilkli.

Wieść o postanowionem zimowem powstaniu rozeszła się szybko wszędzie. Wszystko, co było choć cokolwiek rozważniejszego w kraju, zatrwożyło się na prawdę. Komitet ze wszystkich stron otrzymywał listy zaklinające, „by nie popełniać głupstwa i nie rozpoczynać powstania bez dostatecznego przygotowania." Szczególniej stary Wysocki „błagał, jak ojciec swe dzieci, by się nie zabijali własnemi rękami" [1]).

Najbardziej przeraziły się Ruś i Litwa, gdzie organizacya zaprowadzona późno, w zupełności jeszcze nie przeprowadzona, nie miała nawet czasu, aby pomyśleć o właściwych przygotowaniach wojennych.

W Rosyi zwykle uważają Polaków z Litwy i Rusi za takichże Polaków, jak i inni z Królestwa Polskiego, podejrzewając, „że udają tylko, iż są innymi Polakami, dla pozyskania względów u rządu, w rzeczywistości zaś i u nich siedzi takiż sam dyabeł za skórą." Tymczasem rzecz się ma nieco inaczej. Polacy z Litwy i Rusi właściwie innymi są Polakami, niż ich bracia koroniarze. Najlepsi z nich bezwątpienia, są Litwini. Tak wytworzyły dzieje. Wiadomo, jak korzystne jest krzyżowanie ras. Jak do złota, chcąc go uczynić zdolnem do praktycznego użytku, potrzeba dodać innego metalu, tak też i u ludzi domieszka krwi innej, chociażby i nie tak szlachetnej rasy, wpływa na wzmożenie sił i charakterów. Zaślepieni tylko mogą obstawać za zachowaniem zupełnej czystości rasy. Saksoni, przechodząc

[1]) *Awcyde* tom III, str. 175.

z europejskiego lądu na wyspy brytyjskie i zmięszawszy się tam z różnemi tubylczemi plemionami, pod każdym względem niżej od nich stojącemi, nietylko nic nie stracili na tem skrzyżowaniu, lecz owszem, wytworzyli dzielne plemię angielskie, które wydało: Shakespearea, Byrona, Bacona, Walter-Scotta, Dickensa, Macaulay'a, Moora i takie mnóstwo najznakomitszych mówców, uczonych i mężów stanu. Jednem słowem wydali na świat Anglię.

To samo zaszło i tutaj. Stały ląd Polski, Korona, w pewnej epoce dziejowej wydzieliła z siebie masę dzielnego słowiańskiego plemienia do pozyskanych polityką i orężem krain, niejako wysp cudzoplemiennych, zamieszkałych przez różnorodną i nie tak inteligentną ludność, i wtedy to przyszli na świat polscy anglicy. Gdyby nie to skrzyżowanie czystej słowiańskiej rasy z plemionami, rozsiedlonemi na ogromnych przestrzeniach, gdzie szumią

„Rówieśniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa,
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy"

Polacy nie mieliby Mickiewicza, Słowackiego, Syrokomli, Naruszewicza, Sapiehy, Gosiewskiego, Kościuszki, Czartoryskich i wielu, wielu innych.

Kaprys dziejowy zmusza tych polskich anglików do ulegania wpływom Warszawy, tego ogólnego polskiego ogniska i oni, tacy rozumni, ostrożni i rozważni, wprawdzie z bólem serca, na dnie którego u każdego z nich tkwi jeszcze druga, swoja Warszawa, z mogiłą Kiejstuta, zwaliskami świątyni Znicza i prześliczną okolicą—Warszawa,

. . . „która w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, wilków i niedźwiedzi"

ulegają i w epoce, którą opisujemy, tak samo ule-

gli i z Warszawy oczekiwali rozstrzygnięcia swych losów.

Na Litwie już od sierpnia 1862 roku istniał komitet prowincyonalny, złożony z Edmunda Weryhy i Konstantego Kalinowskiego, kandydatów nauk z petersburskiego uniwersytetu; Zygmunta Czechowicza, właściciela ziemskiego; Achilesa Bonoldi'ego, muzyka i fotografa; Jakóba Koziełły, dymisyonowanego oficera inżynierów i Bolesława Dłuskiego, doktora exżołnierza z Kaukazu [1]). Ponieważ komitet ten zostawał w ścisłych stosunkach z warszawskim komitetem centralnym, więc był nadzwyczaj niezadowolony, że ten ostatni wydał zarządzenie o rozpoczęciu powstania bez porozumienia i z najwyższą lekkomyślnością wobec zupełnie niedostatecznych przygotowań ku temu, szczególniej na prowincyi. Wskutek też tego komitet litewski w połowie listopada 1862 roku, wysłał do Warszawy Weryhę i Wilkoszewskiego [2]), z poleceniem, by dokładnie zbadali o co właściwie chodzi, i aby starali się powstrzymać wybuch, gdyby zaś to było zupełnie niemożliwe, mieli się zastosować do zarządzeń komitetu centralnego

Wysłańcy za przybyciem do Warszawy zaraz zażądali, ażeby komitet centralny wydelegował kogo dla porozumienia się z nimi. Komitet wyznaczył Szwarcego, jako najlepiej obeznanego ze stosunkami na Litwie i tamtejszą organizacyą. Jednakże po kilku starciach z tem zapalonem i gwałtownem dzieckiem emigracyi, Weryho zażądał wyznaczenia innego delegata. Wyznaczono Aweydę i z tym przeprowadzone zostały dalsze pertraktacye.

---

[1]) *Aweyde.* Giller dodaje jeszcze Ludwika Zwierzdowskiego, kapitana sztabu generalnego.

[2]) Wilkoszewski był zastępcą ówczesnego agenta komitetu centralnego Du Lorana.

Przedewszystkiem Weryho przedstawił, że litewska organizacya zaczęła się dopiero tworzyć, że nie wszystkie województwa są jeszcze zorganizowane, że takowa wprowadzona zaledwie w kowieńskiej, wileńskiej, grodzieńskiej i kilku powiatach mińskiej gubernii. Dziesiątki tylko wśród katolickiej ludności jako tako dają się zawiązywać. Liczba sprzysiężonych nie przewyższa trzech tysięcy ludzi. Pieniędzy brak zupełny. Wychodzą trzy podziemne gazetki: *Chorągiew swobody*, w języku polskim i pod redakcyą całego komitetu, zaś po białorusku: *Hutorka staroho dida i Mużyćkaja prawda*, pod redakcyą Kalinowskiego.

Poczem Weryho postawił następujące żądania:

1. Ustawa ma określić szczegółowo wzajemny stosunek obu komitetów;
2. Oba komitety mają być uznane za równorzędne;
3. Pełnomocni komisarze lub agenci obu komitetów mają być tak co do swych praw przedstawicielskich jak i co do sposobu mianowania najzupełniej zrównani;
4. Termin powstania może być oznaczony tylko za zobopólnem porozumieniem;
5. Warszawski komitet oprócz stałego pełnomocnego komisarza w Wilnie, nie może wysyłać żadnych innych agentów na Litwę;
6. Komitet Warszawski odwoła natychmiast swego komisarza Du Lorana;
7. Obwód białostocki pozostanie pod władzą komitetu wileńskiego [1]).

---

[1]) Od początku komitet litewski był przeciwny nominacyi Du Lorana na komisarza. Litwini przeczuwali, że nastąpią z nim starcia i walka, co się też w zupełności sprawdziło. Szwarce wdawszy się w tę sprawę jeszcze ją bardziej zaognił. Doszło do tego, że komitet litewski zerwał wszel-

Żądania te Aweyde przedstawił komitetowi centralnemu, który na razie dał na wszystko odmowną odpowiedź. Wszakże polecono Aweydzie, aby się starał doprowadzić do porozumienia z Litwinami i ułożenia wspólnej ustawy.

Po długich i burzliwych rokowaniach, Aweyde z Weryhą zgodzili się nakoniec na następujące unormowanie stosunków między obu komitetami:

1. Bezwarunkowo przyznane pierwszeństwo i władza komitetu centralnego;
2. Komisarz komitetu centralnego w Wilnie ma większe prawa i przywileje niż komisarz litewski w Warszawie;
3. Władza komitetu litewskiego w granicach Litwy jest zupełną, lecz winna się stosować do zarządzeń komitetu centralnego. — Komitet zostaje pod kontrolą komisarza i przy powzięciu ważniejszych postanowień potrzebną jest aprobata tegoż komisarza;
4. Oprócz pełnomocnego komisarza, komitet centralny żadnych innych agentów na Litwę wysyłać nie będzie;
5. Termin powstania oznaczony zostanie w porozumieniu z komisarzem litewskim. Gdyby zgoda nie nastąpiła, Litwa może nie brać udziału w powstaniu;
6. Na miejsce Du Lorana zostanie zamianowany Wereszczyński;

---

kie stosunki z Du Loranem i ignorował go zupełnie, na Szwarcego zaś podobno wydał wyrok śmierci. *Aweyde.* — *Ralcz* zaś powiada, że pierwsze nieporozumienia Du Lorana z komitetem litewskim zaszły z powodu wybierania składek dla Warszawy i wcielenia obwodu białostockiego do organizacyi warszawskiej. Kalinowski dowiedziawszy się, że Du Loran zebrane pieniądze odesłał do Warszawy, ostro się z nim przemówił, w końca zaś powiedział, aby się wynosił z komitetu.—Tom I, str. 186.

7. Obwód białostocki wraca pod władzę komitetu litewskiego, zaraz po przyjęciu warunków ugody przez oba komitety.

Weryho zgodziwszy się na te warunki, powrócił do Wilna i przedstawił, kolegom zawartą z komitetem centralnym ugodę. Wybuchła burza. Najbardziej oponował Kalinowski. W rezultacie postanowiono wysłać do Warszawy nowego pełnomocnika w osobie Dłuskiego. Z tym człowiekiem komitet centralny w żaden sposób nie mógł przyjść do porozumienia i cała sprawa polsko-litewskich układów na tem się zatrzymała [1]). Za Litwą i Ruś się poruszyła.

I tam, dopóki trwało połączenie z Litwą, było wielu polskich Anglików, późniejsze wszakże warunki polityczne, bliższe zetknięcie się z Rusinami i Rosyanami wpłynęły na zmianę ich bytu i charakteru. Zapał powoli przygasł; materyalne interesa wysunęły się na plan pierwszy, a sprawy szerszej ojczyzny znalazły się na drugim planie. Jeśli od czasu do czasu i na Rusi przebudzało się polskie uczucie, przybierało ono jakieś nieokreślone formy, bez zdawania sobie jasno sprawy z celów, do których się ma dążyć. Zrywali się więc, by się nie odróżniać od braci, by okazać światu, że i tam nie wymarli wszyscy zapaleńcy, gotowi dla idei iść na złamanie

---

[1]) *Aweyde* tom III, str. 174 — 182 pisze: Dłuski za udział w jakimś spisku, bodaj czy nie za próby wywołania powstania w gubernii kowieńskiej w czasie wojny krymskiej, został zesłany na Kaukaz i tam służył jako prosty szeregowiec. Amnestyonowany w 1856 roku wstąpił na wydział medyczny w uniwersytecie moskiewskim, po ukończeniu go osiadł na Litwie i. zaraz przyłączył się do stronnictwa czerwonych. — Gdy wybuchło powstanie, znalazł się w oddziale Sierakowskiego, po rozbiciu zaś tegoż dowodził w kowieńskiej gubernii oddziałem, pod przybranem nazwiskiem Jabłonowskiego.

karku na każdą awanturę. Polaków walczących za sprawę z zupełną wiarą w możliwość powodzenia, jak naprzykład Koroniarze, na Rusi jest bardzo niewielu. Znikają oni coraz bardziej, wymierają z każdym rokiem, jak przedpotopowe mamuty lub ichtyosaury.

Z takich to przedpotopowych zabytków, na długo przed opisywanemi wypadkami składało się kółko „Trojnickiego".

Z resztek tego kółka pod wpływem wypadków 1861 i 1862 roku, za pobudką wysłańców komitetu centralnego: Tomasza Burzyńskiego, Leona Frankowskiego i jakiegoś Strojnowskiego, zawiązała się konfederacya św. Włodzimierza [1]), rej w której wiedli studenci kijowskiego uniwersytetu i inna polska a po części i ruska młodzież. Za przybyciem na Ruś w lipcu 1862 r. najczynniejszego i najenergiczniejszego agenta komitetu, Bobrowskiego, zawiązał się zaraz „ruski prowincyonalny komitet", w skład którego weszli: Edmund Rożycki, pułkownik w. r.; Czyński i Jabłonowski, obywatele ziemscy z gubernii wołyńskiej; Izydor Kopernicki, profesor uniwersytetu kijowskiego i jakiś ksiądz z Żytomierza.—Posiedzenia tego komitetu odbywały się kolejno w Żytomierzu, Kijowie i Kamieńcu Podolskim.

Przyjęta na razie ustawa komitetu centralnego uległa następnie pewnym zmianom. Ruś dzieliła się nie na województwa lecz na prowincye: Ukrainę, Wołyń i Podole. Prowincye dzieliły się dalej na powiaty, powiaty na okręgi.

Na czele prowincyi stały zarządy, złożone

---

[1]) Szczegóły o tem kółku podaje *Giller*, tom I, str. 148 i następne. — Tamże „wezwanie rządu narodowego do Rusinów", pióra *Gillera*, wysłane na Ruś w lutym 1863 r.— om I. str. 155 i 156.

każdy z trzech członków, mianowanych przez komitet dla Rusi.

Oddzielnych komisarzy lub agentów na Rusi wcale nie było.—Dziesiątków nie formowano z braku odpowiedniego żywiołu, t. j. polskich rzemieślników i mieszczaństwa.

Liczba sprzysiężonych była bardzo niewielka. Wydawnictw podziemnych nie było, pieniędzy nie zbierano, do ludu nie miano żadnego zaufania.

Nic więc dziwnego, że przy takim stanie organizacyi, Ruś bardziej niż inne prowincye ze zdziwieniem i trwogą usłyszała o nastąpić mającym wybuchu powstania. Ze swej strony więc wysłała w końcu listopada 1862 roku, pułkownika Różyckiego i obywatela ziemskiego Chamca, aby ci w Warszawie dowiedzieli się u źródła, jak właściwie rzeczy stoją.

Komitet centralny nie miał żadnych sporów ze skromnymi wysłańcami Rusi. Oni z poddaniem się uznali jego władzę naczelną i tylko prosili, aby, jeśli to możliwe, nie rozpoczynać powstania przed kwietniem, w razie zaś gdyby nie dało się odroczyć wcześniejszego wybuchu, oświadczyli stanowczo, że Ruś w żaden sposób przed marcem nie będzie gotowa, w marcu zaś gotowa rozpocząć walkę, nie wierząc jednak w jej powodzenie, lecz tylko dla zrobienia dywersyi i zatrzymania części wojsk rosyjskich u siebie [1]).

W Galicyi w tym czasie istniały dwie organi-

---

[1]) Z zeznań Aweydy. — *Giller* tom I, str. 159 — 160 powiada, że Rusi pozostawiono wszelką swobodę działania. Wysłannikom oświadczono, że gdy nie mogą z pewnością liczyć na pomoc włościan i nie wierzą w możność powodzenia, więc niech lepiej siedzą spokojnie. Na to odpowiedzieli wysłańcy, że „jeśli wy powstaniecie i my chwycimy za broń i uścielimy naszymi trupami drogi, do których Rosyanie kroczyć będą z Rusi do Polski“.

zacye, biała i czerwona, pierwsza złożona z ziemian i szlachty, druga z mieszczaństwa i młodzieży.

Na czele białej organizacyi stały dwa komitety: krakowski, w którym najbardziej wpływową osobistością był Leon Chrzanowski, współredaktor *Czasu*, i lwowski, albo Sapieżyński, zawiązany przez księcia Adama Sapiehę.

Na czele organizacyi czerwonej stała „galicyjska rada narodowa", w której wybitniejszą osobistością był Alfred Szczepański. Rada dzieliła się na ławy i inne kółka. Czynną bardzo była ława lwowska. Po za ławą Kurzyna zawiązał we Lwowie, przy współudziale obywatela ziemskiego Czarneckiego, niewielkie, lecz nader radykalne kółko zwolenników Mierosławskiego.

Cała ta organizacya działała niezależnie od komitetu centralnego i nie uznawała tegoż władzy nad sobą; a nawet nie przypisywała mu wielkiego znaczenia. Szczególniej niezawiśle występował komitet Sapieżyński, w skład którego wchodziły najwybitniejsze osobistości ze wschodniej Galicyi i miasta Lwowa, jak: Aleksander hr. Dzieduszycki, Floryan Ziemiałkowski i Franciszek Smolka. To też gdy się Galicya dowiedziała o zamierzonem powstaniu, nawet nie uznano za stosowne mięszania się w tę sprawę, uważając powzięte postanowienie za wyskok waryatów, których kraj nie usłucha. Nie wysłano też wcale delegatów ani przedstawień do Warszawy[1]).

W poznańskiem, w jesieni 1862 roku istniały również dwa rewolucyjne komitety: biały i czerwony; szły one jednak z sobą ręka w rękę, dążąc różnemi drogami do wspólnego celu. Biały komitet, zwany także komitetem Goutrego, składał się z nastę-

---

[1]) *Giller* t. I, str. 107 i 108. Po części także zeznania Aweydy.

pujących członków: Aleksander Goutry, bogaty obywatel ziemski; Jan hr. Działyński, zięć księcia Adama Czartoryskiego i ściśle złączony z hotelem Lambert; Władysław Niegolewski, poseł sejmowy; Władysław Kosiński, który po roku 1846 był skazany na śmierć; Zygmunt Jaraczewski, Władysław Wolniewicz, Roger hr. Raczyński i Domontowicz; byli to ludzie wybitni i mający znaczenie w kraju. — Wewnętrzny podział pracy był następujący: Działyński i Jaraczewski objęli skarbowość i stosunki z Europą; Kosiński i Goutry sprawy wojskowe; Niegolewski policyę; Raczyński stosunki wewnątrz kraju; Domontowicz był agentem komitetu centralnego.

Czerwony komitet poznański składali: krawiec Matuszewski, nauczyciel rysunków Jaroszyński i właściciel zakładu litograficznego oraz literat Żurowski. Komitet ten spełniał właściwą pracę wykonawczą: zbierał podatki, zakupywał konie, siodła, umontowanie, werbował ochotników, dawał im zadatki, jednał policyę, ekwipował i uzbrajał oddziały, wyprawiał je do Królestwa, w niczem nie krzyżując działań komitetu Goutrego, owszem otrzymując wciąż od tego fundusze i polecenia [1]).

---

[1]) Żurowski na ten cel otrzymał 6,220 talarów, Jaroszyński zaś 6,360 talarów. *Rałcz* tom II, str. XXXII twierdzi, że roboty rewolucyjne 1863 roku kosztowały w pruskim zaborze 15 milionów talarów, i że z tej epoki pochodzi zachwianie wielu fortun szlacheckich. Hrabia Działyński i hrabia Raczyński mieli dać po 50,000 talarów. (Tamże str. 726). — *Moller* w dziele swoim *Situation de la Pologne*, na stronie 222 powiada, że ze składek W. Księstwa Poznańskiego wysłano za granicę 21 milionów złp. Autorowi opowiadano ze strony zupełnie kompetentnej, że biali wysyłali do Paryża Stanisława hr. Platera dla rozmówienia się z kierującemi osobistościami w sprawie Polski. Plater widział się z księciem Napoleonem i z hrabią Walewskim i ci go zapewniali, że jak tylko nastąpi wybuch powstania w Królestwie, Fran-

Oprócz tych dwóch komitetów był jeszcze w Poznaniu biały także komitet, Łączyńskiego i Bogusława Łubieńskiego, mający swe odrębne cele i występujący gwałtownie przeciw stronnictwu Goutrego i Działyńskiego [1]).

Poznańskie ruszyło się nie zaraz. W grudniu 1862 roku, gdy zebrano dostateczne wiadomości o zamysłach i działaniach komitetu centralnego przybył do Warszawy stary i doświadczony spiskowiec, bywalec nie w jednem więzieniu, Aleksander Goutry, i przy pierwszem spotkaniu się z członkami komitetu centralnego, postawił pytanie: „dokąd prowadzi ta, coraz bardziej rozwijająca się, agitacya i narodowa organizacya w Królestwie Polskiem?" Wskutek atoli jakiegoś niedowierzania nie otrzymał szczerej i stanowczej odpowiedzi, nawzajem też i on na różne zapytania komitetu odpowiadał wymijająco i z tem wrócił do Poznania [2]).

W tym samym czasie (grudzień 1862 roku) przybył do Warszawy, zawezwany przez komitet, energiczny Zygmunt Miłkowski, agent komitetu w Mołdawii. I ten, na wielu konferencyach, starał się przekonać władze rewolucyjne, że wybuch należy odłożyć chociażby tylko do wiosny 1863 roku, i podejmował się zorganizować do tego czasu z polskiej emigracyi, znajdującej się w Mołdawii i na Wołoszczyźnie, oddział złożony z dwóch tysięcy ludzi i z tym oddziałem wkroczyć na Ruś [3]). Nadto

---

cya nieodmiennie pośpieszy z pomocą. Na takie zapewnienie dopiero Poznańskie wzięło się do dzieła i ofiary się posypały.

[1]) *Ratcz* tom II, str 712—718.

[2]) Zeznania Aweydy i Zdzisława Janczewskiego.

[3]) Miłkowski urodził się na Podolu dnia 23 marca 1824 roku we wsi Saraceja nad Dniestrem. Oddany do szkół w Niemirowie, już w wieku lat 13 należał do spisku,

sądził, że można będzie przez Konstantynopol sprowadzić broń i amunicyę na Ruś, i doradzał utworzenie agencyi w tem mieście.

Tak powszechne odradzania i prośby, żądające odroczenia powstania, nie mogły pozostać bez wpływu na komitet centralny, który również uznawał niedostateczność poczynionych przygotowań. Spokojniejsza i rozważniejsza partya przemogła. Mił-

---

zawiązanego przez ucznia starszej klasy, Ordyńskiego. Ordyński został zesłany na Kaukaz na prostego żołnierza, a co się z innymi spiskowcami stało niewiadomo. Nieco później spotykamy Miłkowskiego w Richelieu'wskiem lyceum w Odesie na wydziale fizyczno-matematycznym. Po ukończeniu nauk w 1846 roku wyjechał do Kijowa i tam jako wolny słuchacz uczęszczał do uniwersytetu. W czasie wojny węgierskiej 1848—1849 roku znalazł się w legionach Wysockiego. Około 1858 roku wraz generałem Wysockim, Sewerynem Elżanowskim, Józefem Ordęgą i Wincentym Mazurkiewiczem był członkiem jednego z czerwonych komitetów emigracyjnych, wydającego *Przegląd rzeczy polskich*, pismo bardzo rozpowszechnione tak na emigracyi jak i w kraju we wszystkich trzech zaborach. Miłkowski od czasu do czasu zamieszczał w niem artykuły treści wysoce rewolucyjnej, z których najbardziej zwracającymi uwagę była cała seryą rozpraw „O potrzebie i możliwości polskiego powstania". W nich było wyrażone zdanie, „że w takich chwilach emigracya powinna odegrać rolę najdzielniejszego pomocnika i że kraj bez emigracyi obejść się nie może". W tym samym czasie Miłkowski zbliżył się do Towarzystwa Demokratycznego i dostał się na członka centralizacyi, w czasie, gdy ta przeniosła się z Poitiers do Londynu. Niewiadomo z jakich powodów znalazł się we wrześniu 1859 roku w Rumunii, w charakterze poborcy składek na cele przewidywanej walki z Rosyą. Składki szły tępo, a właściwie nie szły wcale; Miłkowskiego nikt nie znał, a zresztą i samo powstanie wydawało się jeszcze na tak dalekim planie. W każdym razie doszła do Warszawy wiadomość, że po Rumunii się kręci, zaglądając nawet na Ruś, jakiś dzielny i obrotny emisaryusz, i działa w kierunku dążeń stronnictwa czerwonego. W styczniu więc 1862 roku odwiedził Miłkowskiego w Michalenach Bobrowski, a następnie Leon Frankowski. Ten ostatni wprowadził go w bezpośrednie stosunki z komitetem

kowskiemu dano 5,000 rubli sr. i polecono przygotowywać oddział na wiosnę 1863 roku, mianując go zarazem naczelnikiem sił zbrojnych na Wschodzie i Rusi. Komitet nie przyjął projektu sprowadzania broni przez Konstantynopol i sam się zobowiązał dostarczyć uzbrojenie dla oddziału mołdawskiego [1]). Wszyscy wszakże czuli, że stan takiego naprężenia długo trwać nie może, że najmniejsza okoliczność może wywołać burzę; dziesiątki wciąż się dopytywały u swych bezpośrednich naczelników „czy prędko nastąpi powstanie?" więc też i komitet centralny ani na chwilę nie przerywał gorączkowych przygotowań do wybuchu.

Największy brak dawał się uczuwać w odpowiednich kandydatach na dziesiętników, podczas gdy dziesiątki wciąż rosły w liczbę tak w Warszawie, jak i na prowincyi, oraz dotkliwy brak oficerów. Wezwanie komitetu rosyjskich oficerów w Polsce do oficerów wojska rosyjskiego, wydrukowane w Londynie [2]), przywiezione do Królestwa Polskiego w grudniu 1862 roku przez byłego kwatermistrza schlüsselburskiego pułku p. Potebnię, nie wywarło żadnego wrażenia i przynajmniej na razie nie dostarczyło powstaniu ani jednego oficera [3]).

---

centralnym, który w sierpniu zaproponował mu oficyalnie: „Objęcie kierunku wszystkich przygotowań do powstania na Wschodzie i Rusi". Miłkowski propozycyę przyjął z tem atoli zastrzeżeniem, że wybór środków jemu pozostawionym zostanie. Na to się zgodzono i w listopadzie 1862 roku zawezwano go do Warszawy dla bliższego omówienia sprawy. *Giller* tom III. str. 38—39, oraz broszura Miłkowskiego. *W Galicyi i na Wschodzie*, strona 5—8.

[1]) Aweyde.

[2]) Znajduje się w *Supplement to the Bell*. 1862 rok, Nr. 152, strona 42.

[3]) *Kołokoł* nadzwyczaj podnosi Potebnię, w rzeczywistości jednak był to człowiek najzwyklejszych zdolności.

Z emigracyi pomimo gorących zapewnień przysłania broni i oficerów, w rzeczywistości nic nie nadchodziło.

Padlewski, jedyny w komitecie wojskowy, czując i najlepiej oceniając niezbędną potrzebę oficerów dla przyszłej powstańczej armii, postanowił popróbować szczęścia w Petersburgu i pojechał tam pod przybranem nazwiskiem hrabiego Matusewicza. Odszukał tam resztki kółka oficerskiego, założonego niegdyś przez Dąbrowskiego a noszącego miano „komitetu kossowskiego [1])". Wobec komitetu oficerów, Padlewski wykazał się pełnomocnictwem centralnego, wyjaśnił swym nowym „kolegom" stan sprzysiężenia w Królestwie Polskiem i prosił ich o możliwą pomoc i współdziałanie z rodakami, aby, utworzywszy jedną rewolucyjną falangę pod naczelnym kierunkiem komitetu centralnego, nieść pomoc sprawie wszelkimi możliwymi sposoby, gdyż wielka i stanowcza chwila się zbliża.

Komitet oficerów odpowiedział Padlewskiemu, że w danej chwili nie może być mowy o poddaniu się pod rozkazy komitetu centralnego, albowiem wcale jeszcze nie wiadomo, w jaki sposób i na czem

---

Andrzej Atanazowicz Potebnia, Małorusin z połtawskiej gubernii, stał z pułkiem naprzód w Żytomierzu a następnie w Warszawie. Obrany kwatermistrzem pułkowym, zaczął strasznie hulać i bawić się w miłostki, zabrnął w długi i dla wyzwolenia się ze szpon lichwiarskich wziął z funduszów pułkowych 11,000 rubli sr., mając nadzieję zwolna pokryć ten deficyt. To się wszakże wykryło i Potebnia został zaaresztowany i osadzony na odwachu przy placu Krasińskich, zkąd uciekł w nocy z dn. 30 czerwca na 1 lipca 186[illegible] r. Znalazł się następnie w szeregach powstańczych.

[1]) Po Dąbrowskim przewodniczyli w tem kółku z kolei następujący oficerowie Polacy: Pogorzelski, Kapliński, Czerniak, w końcu zaś porucznik z gwardyjskiej artyleryi konnej, Władysław Kossowski.

się całe sprzysiężenie zakończy. Jest do przewidzenia, że wybuch w pierwszej chwili stłumionym zostanie, gdyż powstanie niema ani ludzi, choć cokolwiek wyćwiczonych wojskowo, ani oficerów, a broni i pieniędzy ma bardzo mało. Jednakże, jeżeli się tylko okaże, że powstanie potrafi się utrzymać i rozszerza, oficerowie natychmiast zostaną wysłani do Warszawy, a komitet okaże powstaniu możliwą pomoc i poparcie.

Na tem się skończyły pertraktacye Padlewskiego z polskimi rewolucyonistami w Petersburgu.

Wyszukał on następnie i ruski komitet rewolucyjny, któremu przedstawił listy Bakunina i Hercena, przywiezione przez Potebnię z Londynu. Rus-cy rewolucyoniści oświadczyli Padlewskiemu, że oni chętnie pójdą zgodnie z Warszawą, lecz ich organizacya jeszcze bardzo słaba, a właściwie prawie nie istnieje i wskutek tego na razie żadnej pomocy udzielić Polakom nie są w stanie. W końcu prosili Padlewskiego, by użył wszelkich swych wpływów do odroczenia zbrojnego powstania przynajmniej do maja 1863 roku, gdyż w przeciwnym razie wybuch w Polsce sparaliżuje wszystkie rewolucyjne przygotowania w Rosyi. W maju można będzie spróbować wywołania zamieszek na Donie, gdzie rewolucyjna organizacya już nieco silniej jest rozwinięta [1]). Przy pożegnaniu ruski rewolucyjny komitet, wręczył Padlewskiemu list we francuskim języku do komitetu centralnego pełen zapewnień sympatyi i życzeń wszelkiego powodzenia.

Za powrotem Padlewskiego do Warszawy, na wstępie okazano mu odezwę, podpisaną przez kilku

---

[1]) Aweyde.

komisarzy, zapytującą: „co komitet centralny zamierza począć na wypadek niespodziewanego poboru do wojska na prawach wyjątkowych, który lada dzień jest spodziewany? Czy będzie, lub niebędzie, spełnona obietnica dana popisowym, że się ich ochroni od poboru?" Jednem słowem, zapytywano stanowczo, czy nastąpi, lub nie, zimowe powstanie!

Jednocześnie otrzymano doniesienia, że komisarze przekraczają pozostawiony im zakres działania, zwołują zjazdy, na których wzywają do natychmiastowego powstania. Komisarz płocki, Edward Rolski, zatrzymał u siebie zebrane ze składek pieniądze narodowe i zawarł z zagranicznymi dostawcami umowę o dostarczenie broni na własną rękę, podczas gdy komisya komitetu centralnego w Paryżu traktowała o to samo z Bonfort'em, angielskim fabrykantem broni.

Burza wybuchła głównie z powodu zarządzenia komitetu, aby zaprzestano dalszego werbowania dziesiątków, a to na wniosek Bohdanowicza i Aweydy, wychodzących z tej zasady, że takie nieograniczone werbowanie, dokonywane bez wyboru i porządku, szkodę tylko przynosi sprawie. Policya chwytała przyszłych żołnierzy powstania całemi gromadami i ci zdradzali tajemnicę, wydając częstokroć i swych najbliższych przełożonych. Do tego rozpuszczono pogłoskę, że pobór naznaczony na dzień 27 grudnia 1862 r. Następnie zaprzeczono tej wieści, lecz rozgłoszono, że rzeczywista branka nastąpi w nocy z 26 na 27 stycznia 1863 roku. Wszystko to razem wzięte wywołało w organizacyi niepokój i zamięszanie.

Wobec tych różnorodnych pogłosek i pogróżek ze strony komisarzy, nie pozostawało nic innego, jak tylko zwołać nadzwyczajne posiedzenie komitetu centralnego, na którem jednomyślnie uchwa-

łono rozpoczęcie zimowego powstania [1]). Padlewski na tem posiedzeniu wypowiedział mowę, drukowaną następnie w *Głosie wolnym* [2]).

O ile środki starczyły, przyśpieszano gorączkowo przygotowania wojenne. Wysłano znaczną sumę do Bonfort'a, oraz dano 5,000 rubli sr. Jackowskiemu, obywatelowi z lipnowskiego, na kupno 200 sztuk różnej broni dla województwa płockiego, a to na mocy umowy zawartej przez Edwarda Rolskiego z którymś fabrykantem broni w Liège [3]).

Nadto komitet zalecił wszystkim władzom wojewódzkim skupowanie wszelkiej broni, jaka się nadarzy, częścią za fundusze, jakie dostarczyli osobiście członkowie organizacyi, częścią z wpływów oddzielnej, wyłącznie na ten cel rozpisanej 10% składki w każdej prowincyi. Każde województwo otrzymało mniej więcej po 2,000 rubli sr. do swej dyspozycyi na przygotowania wojenne [4]). Rusznikarze i ślusarze w Królestwie Polskiem mieli sobie poruczone sporządzanie miejscowej broni, t. j. kos, pik i t. p. W Warszawie pewną ilość siecznej broni przygotowano w warsztacie ślusarskim, istniejącym na rogu Jerozolimskich Alei i ulicy Brackiej, w domu Maciejowskiego. Znaczniejszą ilość kos i pik odkuto w warsztatach ślusarskich na stacyi Łapy, kolei warszawsko-petersburskiej, z zarządzenia Leo-

---

[1]) *Aweyde*. Giller wszakże powiada, że niejednogłośnie. *Gazeta Narodowa* z roku 1875, Nr. 137.

[2]) *Londyn* Nr. 101 z dnia 30 kwietnia 1866 roku. — Także w *Historyi powstania narodu polskiego 1861 — 1864*. Lwów 1882, tom II, str. 236—241. Dokument III.

[3]) Umowę tę po wielu korowodach potrafiono wydobyć od Rolskiego, który długo nie dowierzał w szczerość zamiarów komitetu i chciał działać na własną rękę.— *Aweyde* powiada, że komitet ostatnich dni grudnia 1862 roku wydał na zakupno broni przeszło 45,000 rubli srebrnych.

[4]) *Aweyde* tom III, str. 194—196.

na Kulczyckiego. Wreszcie kosy i piki wyrabiano w fabrykach żelaza w Radomskiem, gdzie całe górnictwo nader czynny brało udział w organizacyi, a następnie w powstaniu.

Wówczas także polecono Ksaweremu Łukaszewskiemu, późniejszemu komisarzowi poznańskiemu, by w porozumieniu z władzami pogranicznych województw lewego brzegu Wisły, urządził na granicy kilka dogodnych punktów dla przewozu broni i amunicyi.

Punktów takich wyszukano sześć, z których wiadome: Łapiniszki w lipnowskiem, na granicy Prus zachodnich; komora Szczypiorno w pobliżu Kalisza, na granicy poznańskiego i jakaś wieś koło Mysłowic, na granicy Śląska. W Mysłowicach komitet centralny miał stałego agenta Stanisława Maciejowskiego, kupca z Poznania [1]).

W końcu komitet zajął się ułożeniem planu powstania, co zostało poruczone Padlewskiemu. Ten po niejakim czasie przedstawił następujący projekt:

1. Ponieważ wszystkie potrzebne przygotowania do powszechnego powstania nie są ukończone i dużo jeszcze pozostaje do zrobienia w tym celu, więc w chwili branki kraj powinien zachować najzupełniejszy spokój i oczekiwać rozporządzeń komitetu. Tajna zaś organizacya ma dołożyć wszelkich możliwych starań, by z jednej strony zatrzymać sprzysiężonych w miejscach, gdzie się ukrywają, z drugiej zaś strony gromadzić fundusze i uzupełniać jak najenergiczniej przygotowania wojenne.

2. Sprzysiężeni, zagrożeni poborem do wojska, opuszczą dotychczasowe swe miejsca pobytu i pod

---

[1]) *Aweyde* tom III, str. 199—200.

nadzorem władz wojewódzkich zostaną rozmieszczeni na przygotowanych tajnych kwaterach.

3. Punkta zborne dla takich osób zostaną wskazane w południowej części województwa radomskiego, najwłaściwiej w okolicy górzystej Dąbrowy i Suchedniowa.

4. Wszelkie przesyłki broni i amunicyi, oraz oficerowie, mają być również do tych wyznaczonych punktów zbornych kierowane, gdzie prawdopodobnie z chwilą poboru sformuje się należycie uzbrojony, co najmniej 10 tysięcy ludzi liczący obóz dezerterów.

5. Oddział ten, mający do wyboru albo służbę w wojsku rosyjskiem i kary za zbiegostwo, albo walkę z nieprzyjacielem; składając się nadto z ludzi, przejętych nieograniczoną miłością ojczyzny i ożywionych chęcią walczenia za nią, może być nazwanym śmiało: armią desperatów; dowodzony przez ludzi odpowiednich będzie się bił doskonale i zwyciężać.

6. Ztąd mogą wyniknąć takie następstwa: Jeśli przy Bożej pomocy armia straceńców zdoła działać zaczepnie, rosnąć w siły w miarę posuwania się naprzód, to wszelkie obawy ze strony włościan odpadają. Powstanie opromienione chwałą zwycięztw, zdobędzie sympatye włościan; również i organizacya z większą łatwością potrafi zbierać potrzebne funduszę i dostarczać broni. Na Rusi i Litwie przygotowania do powstania zostaną dokończone i za dwa do trzech miesięcy komitet będzie mógł zawezwać kraj cały do ogólnego powstania, dla którego podstawą i kierownikiem będzie zwycięzka armia straceńców.

7. Jeśli zaś przewaga sił rosyjskich zmusi powstańców do odwrotu i armia straceńców zacznie się zmniejszać liczebnie, wówczas rozdzieli się ją na

drobne partyzanckie oddziały, lub też poprostu ukryje w lasach i na tajnych kwaterach aż do czasu ogólnego powstania. W tym drugim wypadku, porwanie się do walki z potężnym wrogiem nie będzie miało znaczenia wybuchu rewolucyi, lecz tylko rozpaczliwego protestu przeciw poborowi do wojska. Sprzysiężeni przekonają się, że komitet spełnił wszystko, co było w jego mocy, dla wywiązania się z danego w październiku słowa. Organizacya zostanie ocalona, termin zaś powstania odroczy się do chwili sposobniejszej. Kraj oceni, że przywódcy sami się znajdowali w największem niebezpieczeństwie i ginęli, byle tylko nie narazić ojczyzny na wszystkie klęski przedwczesnego wybuchu rewolucyi. Wobec więc przewidywanej, ewentualnej zguby straceńców, komitet nie powinien wydawać żadnej odezwy do narodu, gzyż takowa nadawałaby wątpliwemu w swych skutkach wybuchowi cechę narodowego powstania.

Do tego projektu zrobił Narzymski następujący dodatek:

Ponieważ mieszkańcom z po za Wisły i Buga trudno przedostawać się na południe Królestwa, do gubernii Radomskiej, więc byłoby może właściwiej zamiast jednej, sformować dwie armie, południową i północną, co nawet tę przedstawia dogodność, że zmusi wroga do rozerwania swych sił. Jako punkt zborny na północy mogą doskonale służyć puszcze powiatu ostrołęckiego i sąsiednich, szczególniej zaś Myszyniecką i Kampinowska, zamieszkałe przez patryotycznych Kurpiów, urodzonych strzelców, którzy pomimo często powtarzanych odbierań broni, na pewne mają jej jeszcze sporo poukrywanej [1]). I plan i poprawkę komitet przyjął. Padlewski zaraz zo-

---

[1]) *Aweyde* strona 199—200.

stał zamianowanym dowódcą armii południowej i zawezwano go, aby jak najśpieszniej przedstawił wykaz, czego najgwałtowniej w tych przygotowaniach potrzeba.

W wykonaniu tego polecenia wskazał, że przedewszystkiem należy się zakrzątnąć około dostarczenia we wskazane punkta jaknajwiększej ilości broni i amunicyi. Następnie należy przygotować kwatery i rozpisać jaknajdokładniejsze marszruty dla podążających na punkta zborne.

Dla zamówienia, ile się da broni, wysłano do Francyi Franciszka Godlewskiego z kwotą 60,000 franków.

Padlewski podjął się wygotowania marszrut i w istocie wypisał je wraz z instrukcyami, jak się zachowywać w czasie drogi. Przygotował również mnóstwo paszportów z podpisami i pieczęciami wójtów gmin.

O wyjeździe Godlewskiego pod przybranem nazwiskiem do Paryża, została przez kogoś uwiadomiona policya paryska i ta, niezważając na sekretną pomoc, udzielaną przez rząd cesarski Polakom, natychmiast po przyjeździe do Paryża Godlewskiego uwięziła. Pieniądze i papiery, które miał przy sobie, zabrano i na podstawie tychże natychmiast przyaresztowano Włodzimierza Milowicza, Zygmunta Chmieleńskiego i Józefa Ćwierciakiewicza. Jedynie Zygmunt Sierakowski potrafił uniknąć aresztowania [1]).

---

[1]) Zygmunt Sierakowski w 1849 roku w sprawie Franciszka Dalewskiego zesłany na prostego żołnierza da orenburskich batalionów, dosłużył się tam stopnia oficera Amnestyonowany w 1856 roku wrócił do Petersburga i wstąpił do wojennej akademii, uczył się doskonale, ale nie odstąpił swych rewolucyjnych zasad. W akademii zawiązał liberalny związek. Koledzy pamiętają, gdyż to zwracało po-

Aresztowanych przetrzymano w więzieniu bardzo krótko. Naprzód uwolniono Milowicza, Chmieleńskiego i Ćwierciakiewicza, następnie zaś i Godlewskiego, lecz kazano wszystkim opuścić natychmiast Francyę. Przytrzymane papiery zwrócono, lecz pieniądze przepadły. W ten sposób tajemnica umów

---

wszechną uwagę, że u niego puls nawet uderzał inaczej i stanowił w tym względzie ciekawy fizyologiczny wyjątek. Po ukończeniu akademii w początkach 1861 roku został wysłany kosztem rządu za granicę dla wzięcia udziału w kongresie statystycznym, zebranym w Londynie. Tam się spotkał z centralizacyą towarzystwa demokratycznego i z rosyjskimi emigrantami. Ci dali mu listy polecające do przewódców różnych rewolucyjnych stronnictw we Francyi i Włoszech. Korzystając z takowych, poznał się w Paryżu z generałami Mierosławskim i Wysockim. Później odbył pielgrzymkę na Caprerę i tam, uroczyście, klęcząc, jak to sam kolegom opowiadał po powrocie do Petersburga, otrzymał od Garibaldiego błogosławieństwo na przyszłe walki z wrogami swobody i cywilizacyi. Ma się rozumieć że zachowanie się podobne nie uszło oka rosyjskich stróżów bezpieczeństwa za granicą. Lecz ówczesny minister wojny, Milutin, lubił Sierakowskiego za jego jasny zawsze pogląd na rzeczy, za świetne i treściwe wysłowienie się i za jego śmiałe plany reorganizacyjne, więc wytłómaczył te wybryki uniesieniami młodości, zawsze skorej do marzeń i wolnomyślności Nie zląkł się nawet zamianowania Sierakowskiego swoim adjutantem. W 1862 roku, Sierakowski z polecenia cesarza zwiedza więzienia i zakłady karne do ciężkich robót w różnych państwach, w końcu zaś we Francyi i w Algierze. Zasiada w wojenno-statystycznym komitecie w Paryżu i stale się znosi z rosyjską ambasadą tamże. Gdy policya francuska przyaresztowała Godlewskiego i zabrała od niego wszystkie papiery, Sierakowski pośpieszył do rosyjskiego posła w Paryżu, hrabiego Budberga, który mu najnaiwniej opowiedział, że dostał kopie wszystkich przychwyconych papierów. Wtedy Sierakowski nie zwlekając chwili, popędził do Warszawy i zawiadomił komitet centralny o zaszłej katastrofie. (Broszura *Cylowa*: Zygmunt Sierakowski. Wilno 1867. str. 45—46. — *Giller* tom I, str 270, uwaga. Opowiadania generała Dobrowolskiego i niektóre inne źródła).

z różnymi dostawcami broni, nazwy przygotowanych punktów do przeprawy i wiele innych ważnych szczegółów dostało się do wiadomości trzech państw rozbiorowych.

Wkrótce nowy grom spadł na sprzysiężonych. Warszawska policya odkryła główną drukarnię komitetu centralnego w mieszkaniu krewnych Szwarcego, przy ulicy Widok, przyczem uwięziono i samego Szwarcego.

W komitecie centralnym zapanowało przerażenie. Członkowie komitetu: Marczewski, Narzymski, Winnicki i Wernicki gdzieś się skryli. Na miejsce ich i uwięzionego Szwarcego powołano nowych członków, wskutek czego skład komitetu zmienił się. Odtąd składali go: Padlewski, Giller, Jan Majkowski, Józef Janowski, Stefan Bobrowski i ks. Mikoszewski. Giller i Padlewski zawiadywali prasą, stosunkami z Europą i sprawami wojskowemi [1]);

[1]) Z ich zarządzenia drukarz Harasimowicz wynalazł dla ocalonej z pogromu drukarni spokojniejsze i bezpieczniejsze schronienie za Warszawą po drodze do Jabłonny, na kolonii Zastawie, która należała do rybaka Józefa Wójcickiego, w której mieszkał wraz z bratem Józefa, Janem, także rybakiem, należącym później do korpusu sztyletników w Warszawie. Jan Wójcicki wskazał to ustronie Harasimowiczowi. Koło połowy grudnia 1862 roku przewieziono drukarnię do Zastawia i od dn. 1 stycznia 1863 roku tam się rozpoczęła tajemna praca. Zecerami byli: Harasimowicz, Jan Nidziacki i Jan Wojcicki. Przez pierwsze dwa miesiące tam się drukowały: *Rozkazy naczelnika miasta, Dzwon duchowny, Głos kapłana* i pierwszy numer *Partyzanta*. Druki przywoził do miasta Jan Wojcicki, bądź na sobie, bądź w konewkach z mlekiem, przebywając rogatkę jako podmiejski kolonista. Czasem Nidziacki dostarczał je na Saską Kępę, znaną sobie mielizną piasczystą, ztamtąd zaś on, lub Wójcicki, przewozili je do miasta w łodzi. Gdy Józef Wójcicki posłyszał, że u niego na kolonii coś podejrzanego robią i zajrzawszy tam, zastał drukarnię, oświadczono

Janowski miał sobie przydzielone sprawy Litwy i Rusi; Majkowski, skarbowość i pieczęć komitetu; księdzu Mikoszewskiemu poruczono organizacyę duchowieństwa i propagandę między włościaństwem.

Nowy komitet dalej prowadził rozpoczęte roboty, pilnie gromadził fundusze i starał się o przysposobienie broni, chociażby tylko na pierwszą chwilę wybuchu. Padlewski pracował nad ułożeniem nowego planu działań wojennych.

Naraz komitet otrzymuje z cytadeli, ręką Dąbrowskiego, ołówkiem skreślony cały plan powstania, który się opierał na napadzie na Modlin w cztery tysiące odważnych i na wszystko zdecydowanych ludzi. Dąbrowski uważał za możliwe opanowanie tej fortecy, gdyż nie była wcale przygotowaną do obrony, a załoga składała się zaledwie z dwóch tysięcy ludzi, nie mogących przypuszczać nawet takiego zuchwalstwa ze strony powstańców. Nadto można było liczyć na współudział pewnej liczby żołnierzy i oficerów. Znaczne zapasy wojenne przechowywane w fortecy, pozwolą wysztyftować armię co najmniej pięćdziesięciotysięczną.

Pomimo całej swej fantastyczności, plan ten wszelako został przyjęty. W tem usposobieniu i nastroju ducha, w jakim znajdowali się członkowie komitetu, każdej chwili oczekujący uderzenia gromu ze strony Wielopolskiego, każdy plan byłby uzyskał zatwierdzenie [1]).

---

mu, że to z polecenia rządu narodowego, któremu należy być posłusznym. Mimo to Józef był niekontent, sarkał i odgrażał się, że o wszystkiem zawiadomi policyę. Bojąc się spełnienia tej groźby, zabrano drukarnię i przeniesiono do domu Kwiatkowskiego, przy ulicy Żórawiej, gdzie się już drukowały *Prawda* i *Niepodległość*.

[1]) Także namiestnik hrabia Berg, mówił autorowi, że 4,000 dobrych żołnierzy, mogło opanować nagłym i nie-

Padlewski rad, że się pozbył na nic nie przydatnej roboty, kazał wybrać w Warszawie z zaprzysiężonych trzy tysiące ludzi najodpowiedniejszych, którzyby byli gotowi na dany znak wyruszyć z Warszawy. Czwarty tysiąc miał się dopełnić z zaprzysiężonych w Płockiem, co zostało poruczone płockiemu powiatowemu naczelnikowi Grothusowi Inni naczelnicy mieli się zająć przygotowaniem kwater w okolicy Modlina, oraz zebraniem potrzebnej ilości broni, ciepłego ubrania i wyszukaniem... oficerów.

Wówczas także osobnym dekretem komitet zamianował naczelników wojskowych, czyli wojewodów dla czterech województw. W płockiem naznaczony Konrad Bończa Tomaszewski [1]); w podlaskiem, Walenty Lewandowski, emigrant; w krakowskiem, Apolinary Kurowski, dzierżawca dóbr [2]); na sandomierskie zaś Maryan Langiewicz, dymisyonowany oficer artyleryi pruskiej. Na trzy pozostałe województwa

---

spodziewanym napadem ówczesną twierdzę modlińską. Cztery tysiące dobrych, wyćwiczonych żołnierzy, należycie uzbrojonych i dowodzonych przez równie dzielnych oficerów. — Należałoby przedewszystkiem zapytać Dąbrowskiego gdzie miał uzbrojenie na taką liczbę ludzi? gdzie byli oficerowie, których potrzeba od 50 do 80 na taką ilość żołnierzy? gdzie proch i naboje, po 80 sztuk na żołnierza, czyli 320,000 sztuk patronów, nie licząc zapasowych!

[1]) Pseudonim Konrada Błaszczyńskiego h. Bończa, porucznika artyleryi i komendanta włodzimierskiego fortu w cytadeli warszawskiej.

[2]) Właściwie na krakowskie województwo miał być naznaczony pułkownik Józef Czapski, lecz gdy ten nie przybył, jego miejsce zajął Kurowski. Krótką biografię Kurowskiego podaje nekrologia *Rocznika towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu* z roku 1879, tom II, str. 361 — 362. Najsprawiedliwiej jednak został oceniony przez Józefa Radomińskiego w Nr. 218 *Gazety Narodowej* z 1875 roku. Kurowski umarł w Baden w Szwajcaryi dnia 11 maja 1878 roku.

nie naznaczono naczelników z braku choć cokolwiek odpowiednich kandydatów.

Padlewski z dowódcy armii południowej został przemianowany na naczelnika województwa mazowieckiego i naczelnika, zdobyć się mającego, Modlina. Jego miejsce w komitecie zajął Władysław Daniłowski (?) głównie dlatego, że posiadał dwieście sztuk palnej broni, którą zbierał od dłuższego już czasu i gdzieś skrycie przechowywał.

Następnie zwołano do Warszawy wojennych i cywilnych naczelników województw i komisarzy, i tutaj komitet uzupełnił ustnie dane instrukcye co do rozmieszczenia sił zbrojnych, ich ruchu i o innych szczegółach początkowych działań wojennych.— Instrukcye te głównie się odnosiły do następujących rzeczy:

1. Przemarsz oddziałów odbędzie się nie według dawnej, przez Padlewskiego sporządzonej marszruty, przesłanej władzom rewolucyjnej organizacyi jeszcze przed wyjazdem Godlewskiego do Paryża, lecz według nowego zupełnie planu. Przerzucenie to oddziałów odbędzie się w każdej miejscowości podług wskazówek naczelników wojennych, na kilka dni przed spodziewanym poborem

2. Oddziały, nie liczące co najmniej stu ludzi, nie będą ogłaszały powstania, ani wydawały jakichkolwiek odezw do włościan. Wzywania włościan do powstania pojedyńczym osobom, chociażby uzbrojonym, najsurowiej się zabrania. Jedynie księża i to tylko w kościołach mogą wzywać lud do wzięcia udziału w powstaniu i to mniej więcej w duchu, jak wskazuje rozesłane na wzór kazanie księdza Mikoszewskiego.

3. Z pierwszą chwilą wybuchu dowódcy oddziałów osobiście, albo za pośrednictwem silnych podjazdów, rozsyłanych w okolice, ogłoszą dekret

komitetu centralnego o uwłaszczenie włościan.—Protokuł ogłoszenia ma być spisywany w trzech egzemplarzach, jeden dla pozostawienia gminie, drugi dla właściciela dóbr, a trzeci ma być odesłany naczelnikowi cywilnemu powiatu, dla należytego przechowania.

4. Niedopuszczać najmniejszych oznak socyalnego przewrotu. W razie zaś jakichkolwiek pokuszeń tego rodzaju, np. grabieży lub zabójstwa obywatela przez włościan, dowódca najbliższego oddziału obowiązany będzie natychmiast przeprowadzić najściślejsze dochodzenie, winnych doraźnie ukarać śmiercią, a gdyby gmina cała w zbrodni udział brała, wieś winną spalić (?).

5. Z chwilą wybuchu wszelkie władze i urzęda wojewodzkie i powiatowe, nie wyłączając komisarza, znpełnie podlegają wojennemu naczelnikowi województwa (?). On mianuje i oddala wszelkich urzędników, nie odnosząc się wcale do rządu rewolucyjnego. Tylko w razie zmiany komisarza winien będzie zawiadomić rząd centralny o przyczynach, które zmianę tę spowodowały.

6. W każdej okolicy, zajętej przez siły powstańcze, należy natychmiast zmienić istniejące władze, wprowadzając władze narodowe. Również należy pozmieniać napisy i herby na urzędach. Ważniejsze urzęda, jak: naczelnika powiatu, burmistrza, wójta gminy, należy powierzać ludziom w pełni zasługującym na zaufanie, urzędnicy podrzędni mogą pozostać bez zmiany. Wszyscy powinni być zaraz zaprzysiężeni.

7. W miarę opanowywania miast powiatowych, zaraz ogłosić i wykonać pobór do wojska. Popisowi dzielą się na trzy kategorye: od 18 do 30 lat, od 30 do 40 i od 40 do 45 lat. Powszechnej służbie wojskowej podlega tylko pierwsza kategorya. Popisowi i ochotnicy zaraz mają złożyć przysięgę.

Roty przysięgi, jak się zdaje były bardzo rozmaite.—W oddziale Rogińskiego składano następującą przysięgę: „My, niżej podpisani, zawezwani przez rząd centralny, przysięgamy Panu Bogu wszechmogącemu, w Trójcy Świętej jedynemu, Przenajświętszej Dziewicy i Wszystkim Świętym, że włożoną na nas przez rząd centralny Królestwa Polskiego służbę, pełnić będziemy wiernie i uczciwie; że wszelkie powierzone nam tajemnice dochowamy święcie i nienaruszenie, i że dla dobra ojczyzny gotowi jesteśmy poświęcić życie i przelać krew naszą do ostatniej kropli. Jeśli w czem nie dochowamy niniejszej przysięgi, tak nas skarz Panie Boże i Jego Swięta Męka. W dowód czego całujemy krzyż i świętą ewangelię".

W końcu oświadczono naczelnikom wojskowym, że wybuch ma nastąpić wszędzie jednego dnia i o oznaczonej godzinie, i rozpocznie się nagłym i niespodziewanym napadem na wojska rosyjskie. Będzie na to dane hasło i dwa znaki, o dniu zaś wybuchu komitet zawczasu uwiadomi kogo będzie potrzeba.

Zaprzysiężonych, gotowych na pierwsze hasło, ludzi, było podług list, dostarczonych komitetowi centralnemu: w województwie mazowieckiem, cztery tysiące; w krakowskiem i sandomierskiem od tysiąca do dwóch; w lubelskiem do pięciu tysięcy; w podlaskiem trzy do czterech tysięcy; w płockiem koło pięciu tysięcy; w augustowskiem kilkuset. Kaliskie nie dostarczyło wykazów. Razem więc w całem Królestwie Polskiem w pierwszej chwili mogło być do 20,000 sprzysiężonych.

Około Trzech Króli 1863 roku wszyscy komisarze, wojenni i cywilni naczelnicy województw, otrzymali z komitetu rozkaz udania się na miejsca przeznaczenia. Padlewski rozdał im nieco egzemplarzy znanego już nam „wezwania komitetu ruskich

oficerów w Polsce do oficerów wojsk rosyjskich", dla rozdania ich, komu i gdzie uznają za stosowne.

Po przybyciu na miejsca i rozpatrzeniu się, o ile to było możliwe, w siłach i zasobach powstania, naczelnicy wojenni znaleźli bardzo niewielką ilość broni palnej, a jeszcze mniejszy zapas prochu i ołowiu, zaraz więc zarządzili uzupełnienie braków, skupując, gdzie się dało, proch i ołów od Żydów, nieraz nawet po bardzo wygórowanych cenach. (Przyjęto za normę: dwa funty prochu i sześć funtów ołowiu na strzelbę).

Wszystkich, którzy nie byli jeszcze zaprzysiężeni, wezwano do wykonania przysięgi i podpisania roty. Podpisywało się naraz po 10 do 15 ludzi, w następujący sposób: Na tę rotę wykonaliśmy przysięgę (podpisy).—Przysięgę przyjął wobec urzędnika, przysłanego przez polski rząd narodowy (data i podpis księdza).

Nie wszędzie z jednakową łatwością dawały się przeprowadzać te przygotowawcze działania. Najodpowiedniejszą ku temu miejscowością okazały się południowe części gubernii radomskiej, górzyste, pokryte lasami, bogate w huty i kopalnie [1]). Tam w podziemnych sztolniach i chodnikach, koło pałających z hukiem wysokich pieców, wre życie gorączkowe, rusza się oddzielna okopcona i zasmolona, a w skutek ciężkiej, prawie katorżniczej pracy, w znoju i trudzie zahartowana ludność, biedna, rozgoryczona, odcięta od świata i ludzi, zapomniana i zacofana.

---

[1]) Górnicy w rządowych zakładach górniczych obowiązani byli do pracy dożywotniej, za co nie podlegali poborowi do wojska. Wielopolski chciał prawo to zastosować i do prywatnych przedsiebierstw, lecz nie zdołał tego przeprowadzić.—(Wiadomość od urzędników górnictwa).

Ludność ta często nie wiedziała jak pięknie świat Boży w jasnych promieniach słońca wygląda, ale też nie znała nawzajem co to policya, żandarmi i wiele innych podobnych urządzeń, znanych tak dobrze innym szczęśliwcom, żyjącym na Bożym świecie.

O, jakże rozradowali się ci osmoleni biedacy, gdy naraz wśród nich napłynął tłum rodaków, odezwał się do nich żywą, natchnioną mową. Biedacy ci usłyszeli, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że przecież nie są zupełnie zapomnieni od świata, że mają także ojczyznę, że i oni na coś się jeszcze jej przydać mogą, nietylko do samej podziemnej pracy; że i oni, ludzie jak inni, stanowią cząstkę jakiejś całości, jakiejś wielkiej rodziny. Rzucili się też z zapałem do służby rodakom i odnalezionej ojczyźnie, która ich przyzywała do siebie. Nietylko więc wyrabiali dla powstania wszelką broń i przyrządy, jakich od nich zażądano, lecz nadto w swych niedostępnych kryjówkach ułatwiali schadzki władz z podwładnymi. Gdyby nawet jakie ciekawe policyjne oko, mające dosyć czasu i ochoty potemu, zechciało zajrzeć do ich zapadłych wąwozów, cóżby zobaczyć mogło w tym labiryncie ponurych zaułków i posępnych urwisk, gdy ówczesne policyjne oczy na Bożym świecie, przy jasnym blasku słońca niczego należycie dostrzedz nie potrafiły.

Pamiętać także należy, że krótko przedtem, jakby rozmyślnie dla ułatwienia działań spiskowcom, właśnie w gubernii radomskiej został stan wojenny zniesiony, czyli polecono zmniejszyć w niej nadzór rządowy.

W północnej stronie Królestwa, najdogodniejszem miejscem dla powstańców były ciemne debry lasów guberni płockiej. Równie niektóre leśne i błotniste okolice Podlasia nadawały się doskonale dla sprzysiężonych. Zdawało się, że spisek ogarną

wszystkich i wszystko; do rzemieślników zwolna przyłączali się prywatni oficyaliści, ekonomi, karbowi, służba dworska, a także gdzieniegdzie klerycy. Znaczna część obywatelstwa ziemskiego stanęła także po stronie powstania. Nieruchomi pozostali tylko chłopi, zwykle najkonserwatywniejsza i najtrudniej poddająca się podszeptom rewolucyjnym część społeczeństwa, nietylko w samej Polsce. Oni z ukosa i z pewnem niedowierzaniem przypatrywali się tym gorączkowym przygotowaniom „panów" do czegoś, w czem instynktownie, swym prostym, chłopskim rozumem przewidywali klęski i zniszczenie dla kraju. W jednej miejscowości (zdaje się we wsi Sędowie w Opoczyńskiem) doszło do tego, że chłopi otoczyli dwór obywatela, w którym podług ich rozumienia dziać się miało coś nieprawnego i powiązawszy wszystkich obecnych, odstawili ich do miast: Opoczna, Kielc i Końskich, jako buntowników.

Władze miejscowe zatrzymały wszystkich odstawionych w liczbie około stu w więzieniu, zaś radomski gubernator cywilny, Ostrowski, zawiadomił o całem zajściu Wielopolskiego.

Autor listu szlachcica polskiego do księcia Metternicha, żywo przypomniał sobie okoliczności, które go przed laty skłoniły do napisania tego listu; nakazał on natychmiast uwolnić uwięzionych obywateli, włościan zaś, którzy się dopuścili tej samowoli, osadzić w Ostrogu aż do dalszego zarządzenia.

Wypadek ten, sam przez się małoznaczący, wówczas narobił wiele hałasu, w rezultacie zaś na czas pewien zapewnił spokój i zasłonił od jakichkolwiek nagabywań tę klasę społeczeństwa, która dla swych moralnych i materyalnych zasobów była najbardziej potrzebną i pomocną powstaniu. Dosyć długo nietylko włościanie, lecz władze, a nawet rosyjskie oddziały wojskowe obawiali się zaczepiać

obywateli, spisek zaś natychmiast skorzystał z tego. Dnia 10 stycznia 1863 r. wojenni naczelnicy województw otrzymali urzędowe nominacye, zaś 16 stycznia nakazano sprzysiężonym w Warszawie wyruszyć z miasta.

Był to już jakby początek walki, krok, po którym cofnięcie się... było już prawie niemożliwe.

Stronnictwo, a raczej resztki stronnictwa białych, nie pragnące do ostatka walki orężnej z rządem, dowiedziawszy się o tych zarządzeniach komitetu centralnego, postanowiło użyć ostatecznego środka i odezwać się raz jeszcze głośno i jawnie do szaleńców, już nie zważając na następstwa takiego kroku.

Zredagowania odezwy podjął się Kraszewski, który *de facto* przestał już być redaktorem *Gazety Polskiej*. Jako człowiek rozumny i przewidujący, spostrzegł on oddawna w czem leżało największe niebezpieczeństwo dla ogółu i starał się je zażegnać środkami, jakiemi rozporządzał. Pisał więc i mówił, mówił i pisał, nie spostrzegając, że zamiast gaszenia płomieni, dolewał tylko oliwy do ognia. Droga, którą on przez całe życie uważał za skuteczną dla służenia ojczyźnie, nie doprowadziła do celu, natomiast sprowadziła nań gromy.

Gdy Wielopolski nie zgodził na trzechmiesięczne zawieszenie cenzury dla gazet, rozgoryczenie i oburzenie stronnictwa, do którego także należał i redaktor *Gazety Polskiej*, prawie granic nie miały. Plotki goniły za plotkami, opowiadaniom nie było końca; czasem przez siatkę cenzury potrafił się przedostać i jakiś gazeciarski artykuł, natrącający półsłówkami, czego brak panu ministrowi ministrów dla uspokojenia i uszczęśliwienia kraju. Teraz na takie artykuły niktby nie zwrócił uwagi, niktby ich może nie czytał, a przeczytawszy niczegoby się nie domyślił. Lecz podówczas, przy tak

niezwykłem, nadnaturalnem, można powiedzieć, podnieceniu nerwów, zwracano uwagę na najmniejszą aluzyę, natychmiast odszukiwano ukryty między płaczącemi wierzbami „cień Napoleona". Obecnie minister ministrów nie zwróciłby uwagi na takie drobnostki, uważałby to za ubliżające dla siebie; lecz wtedy osadzony jak w grobie, za żelaznemi kratami i bagnetami straży, drażniony ciągle, zrozpaczony tem, że żadne przedsiebrane środki skutku nie odnoszą, że wszystko mu się rwie w ręku, minister zwracał uwagę i na to, co wcale na uwagę nie zasługiwało. Wszędzie dostrzegał podstęp i przekorę, każdej drobnostce nadawał wagę nadmierną. Szczególniej był drażliwy na wszystko, co o nim piszą, właściwie zaś na to, co o nim pisze Kraszewski. Tutaj jedna kropla mogła przepełnić czarę... i kropla ta spadła w wilię Bożego Narodzenia, gdy cała Polska zebrana przy uroczystej postnej wieczerzy, oczekując wejścia na niebie gwiazdki, przypominającej jej przyjście na świat Zbawiciela.

W naczelnym artykule *Gazety Polskiej* czytano następujące słowa:

„Przedewszystkiem brak nam cierpliwości, tej cnoty, prowadzącej do miłości. Egoizm ścianą granitową dzieli nas od świata.

„Człowiek tylko skromnością unika poniżenia; tylko skromni duchem zdolni są dojścia do doskonałości, do przezwyciężenia samego siebie, bez czego nikt nie jest w stanie do zapanowania nad niczem i nad nikim"...

„Gwiazda wschodzi, z nią brzask nadziei... przyszłość w rękach naszych"[1]).

---

[1]) *Gazeta Polska* z dnia 24 grudnia 1862 r. Nr 294. W następnym numerze Kraszewski już się żegna ze swoimi czytelnikami

Cóż zdaje się w tem być mogło?... teraz tak sądzimy, lecz czasy są niejednakie. Wielopolski przeczytawszy ten artykuł, natychmiast udał się do namiestnika z oświadczeniem: „On, albo ja, jeden z nas musi ustąpić!"

Kraszewskiemu rozkazano wystąpić z redakcyi i wyjechać za granicę. Rozkazu tego usłuchał o tyle, że redakcyę opuścił natychmiast, ale z wyjazdem się nie śpieszył, mając różne kłopoty. Musiał uporządkować interesa, sprzedać dom, pozbyć się koni, mebli, wszystkiego zbytecznego. Należy też dodać, że i wyjeżdżający był w usposobieniu nienormalnem, rozdrażniony, złorzeczył w chwili, w której zdecydował się na opuszczenie żytomierskiego ustronia..

W takiem usposobieniu spadło nań niespodziewanie żądanie przyjaciół napisania odezwy... czyli napisania czegoś niemożliwego, nie prowadzącego do celu, istnego wystrzału w powietrze. Nie namyślając się wszakże długo, napisał. Było mu już obojętne, jakie wrażenie to jego pismo wywoła; jedną nogą znajdował się jeszcze wprawdzie w kraju, wśród swych warszawskich przyjaciół, lecz druga już była podniesiona do kroczenia gdzieś w świat.. bez jasnego celu i widoków przyszłości. Część rzeczy była już upakowana.

Odezwa ta do narodu, jak ją napisał Kraszewski, została wydrukowaną potajemnie i w tysiącznych egzemplarzach natychmiast rozpowszechnioną po mieście i rozlepioną nawet po rogach ulic. Lecz nikt już jej nie czytał. Młodzież pośpiesznie gotowała się do wyjścia, starsi zaś przypatrywali się w oczekiwaniu, co z tego wyniknie..

Wielopolski uwiadomiony przez policyę, że młodzież dnia 16 stycznia ma opuścić miasto, nakazał przeprowadzić brankę w nocy z 15-go na 16 stycznia. Wywołało to straszne zamieszanie i po-

płoch między spiskowcami, które najlepiej odzwierciadlają słowa naocznego świadka:

„Niesłychany i nie dający się opisać popłoch, trwoga i zamieszanie zapanowały w organizacyi. Ludzie pchali się przez okopy i rogatki, byle czemprędzej wydostać się z Warszawy, lecz ani w tym porządku, ani w takiej ilości, jak wskazywał Padlewski, jeno całemi setkami, jak stado baranów". Wszelkie usiłowania wyższych władz w organizacyi, by powstrzymać uchodzących, okazały się bezsilnemi. Na rozkazy i prośby odpowiadano wyzywaniami i przekleństwy za wrzekomą zdradę i oszukaństwo; odgrażano się zemstą komitetowi centralnemu i wszystkim naczelnikom. Komitetowi zupełnie potracili głowy.

Mrzonki o wzięciu Modlina natychmiast się rozchwiały. Rzeczywistość po raz pierwszy groźnie przemówiła. Komitet w dniu 16 stycznia po dwakroć czy po trzykroć zbierał się na narady. Padlewski bardziej do cienia swego, niż do człowieka podobny, każdym razem przedstawiał swym kolegom opłakany stan organizacyi miejskiej, prosił o radę i rozkazy i ani razu nie otrzymał odpowiedzi.

Wtedy Jeziorański, zebrawszy resztki sił i kombinacyi, ażeby w jakikolwiek sposób wybrnąć z tych rozpaczliwych warunków, w jakich naraz wszyscy się znaleźli, przedstawił komitetowi plan następujący:

Przedewszystkiem odroczyć termin wybuchu powstania, zerwać z przeszłością, zająć się radykalnem usunięciem dotychczasowych niedostatków i publicznie oznajmić swe zamiary wszystkim bez wyjątku członkom organizacyi. Następnie wysłać dwóch albo trzech członków komitetu, albo też ludzi cieszących się największem zaufaniem do rozjątrzonych tłumów z przedstawieniem dokładnego stanu rzeczy, bez żadnych upiększeń i nic nie ukrywając. Mają

się oni starać powstrzymać tłumne wychodzenie z miasta i jeśli się uda, zwrócić rozgoryczenie tłumów z przewódców organizacyi na rządowych sprawców nieszczęścia czyli branki. Jeśli się powiedzie wysłańcom komitetu osiągnąć cel zamierzony, to powinni utworzyć kilka grup, rozbiedz się po mieście, zabijając kogo się uda z wyższych dygnitarzy, zaczynając od obu Wielopolskich, ojca i syna [1]).

Komitet niczemu nie oponował i w wykonaniu tego planu polecił Jeziorańskiemu i Padlewskiemu, jako najbardziej znanym w organizacyi, udać się do zebranych ludzi, dla wykonania drugiej połowy planu, pierwszą zaś część mieli przeprowadzić pozostali członkowie komitetu.

Wysłańcy, do których z własnej chęci przyłączył się Stefan Bobrowski, wieczorem dnia 16 stycznia udali się na punkta zborne. Na szczęście burza, której się obawiano, minęła. Osobistości najbardziej skompromitowane potrafiły się ukryć. Pozostali byli zupełnie spokojni i przyrzekli posłuszeństwo, prosząc tylko, by już nie odraczano terminu powstania, nie zważając, że na razie nie będzie sił dostatecznych. Komitet także się uspokoił. O mordach nikt nie pomyślał.

Nazajutrz, komitet widząc, że walki nie da się już uniknąć, postanowił oznaczyć termin wybuchu. Wybrano północ z 22 na 23 stycznia i rozesłano natychmiast do naczelników województw hasła i znaki. Tegoż samego dnia komitet polecił Padlewskiemu, by objął dowództwo nad warszawsko-błońskiemi zbiorowiskami; Józefa Janowskiego wysłano do Serocka, by uspokoił i wprowadził jakikolwiek ład

---

[1]) Daniłowski powiada, że była mowa także o schwytaniu wielkiego księcia i wymuszeniu na nim pod grozą śmierci pewnych warunków.

i porządek między tam zebranymi; zaś Antoniemu Jeziorańskiemu, oficerowi legionów węgierskich, dano do wyboru, gdzie zechce dowództwo objąć. On wybrał lasy radziwiłłowskie w powiecie rawskim, w guberni warszawskiej, i dnia 18 stycznia wyjechał z Warszawy koleją wraz z Tomaszem Winnickim i Romanem Kołakowskim [1]).

Po oznaczeniu terminu powstania komitet musiał obmyśleć i rozstrzygnąć kwestyę naczelnego dowództwa w zamierzonej walce. Postanowiono:

a) Zaproponować Mierosławskiemu naczelne dowództwo wraz z dyktaturą. W parę dni wysłano do Paryża Władysława Janowskiego, a nieco później, już po wybuchu, takież same wezwanie powiózł do Paryża Władysław Daniłowski, dnia 27 czy 28-go stycznia [2]).

b) Do czasu przybycia Mierosławskiego, ustanawia się tymczasowy rząd narodowy, w skład

---

[1]) *Pamiętniki generała Antoniego Jeziorańskiego*. Lwów 1880 r., część IV, str. 144—149.

[2]) Daniłowski opowiada, że nazajutrz po brance dnia 17 stycznia, komitet centralny, powodując się różnemi względami, przybrał do swego grona Daniłowskiego i Władysława Janowskiego z Kielc. Obaj jednak oświadczyli, że ofiarowanej godności dla różnych przyczyn przyjąć nie mogą, lecz pomocy swej nie odmawiają i na posiedzenia komitetu uczęszczać będą. Na pierwszem zaraz posiedzeniu, Janowski zaproponował oddanie dyktatury Mierosławskiemu, przy głosowaniu wszakże wraz z Daniłowskim, jako nie należący do komitetu, udziału nie brał. Wszyscy inni (ksiądz Mikoszewski, Awedyk, Józef Janowski i Majkowski) z wyjątkiem Bobrowskiego głosowali za Mierosławskim. Było to 21 stycznia. Wieczorem tegoż dnia zebrali się ponownie wszyscy u Józefa Janowskiego i uchwalili niezwłoczne wysłanie Władysława Janowskiego do Paryża z ofiarowaniem Mierosławskiemu dyktatury. Toż samo opowiada *Giller*, t. I, str. 41.

którego weszli: ksiądz Karol Mikoszewski, Oskar Aweyde i Józef Janowski, jako członkowie, zaś Jan Majkowski jako sekretarz [1]).

c) Rząd tymczasowy miał być jawny i otrzymał osobną pieczęć. Pieczęć ta mało się różniła od pieczęci używanej począwszy od dnia 10 maja 1863 r. Oprócz dekretu, oddającego dyktaturę Mierosławskiemu, żaden inny dokument nie był tą pieczęcią stwierdzony. Siedzibę rządu naznaczono w Płocku, który, wedle zapewnień naczelnika województwa, Bończy-Tomaszewskiego, spodziewano się w dzień wybuchu opanować.

d) Bobrowski z pomocnikiem miał pozostać w Warszawie, jako naczelnik miasta i pełnomocny komisarz komitetu, z prawem działania w imieniu tegoż, dopóki rząd tajny nie ogłosi się jawnym. Dlatego Bobrowskiemu wręczono dawne pieczęcie komitetu.

Nakoniec dnia 22 stycznia o godzinie 5 wieczorem rząd tymczasowy opuścił Warszawę, udając się do Kutna, zkąd już tylko 45 wiorst do Płocka, mając tam oczekiwać na opanowanie Płocka przez powstańców. Wraz z członkami rządu tymczasowego pojechało kilku kuryerów i dwóch zecerów z małemi ręcznemi prasami drukarskiemi [2]).

W kilka godzin po wyjeździe rozeszło się po Warszawie następujące wezwanie do narodu, wydane przez komitet centralny: [3])

---

[1]) Właściwie zaś Majkowski był członkiem a Janowski sekretarzem tego rządu.

[2]) *Aweyde* t. III, str. 213—218.

[3]) O godzinie 9-ej wieczorem dnia 22 stycznia 1863 roku. (Zeznanie Zdzisława Janczewskiego).

Komitet centralny jako tymczasowy Rząd narodowy.

„Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieklony oporem męczonej przezeń ofiary, postanowił zadać jej cios stanowczy, porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec ich w nienawistny mundur rosyjski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie".

„Polska nie chce, nie może poddać się bezopornie temu sromotnemu gwałtowi; pod karą hańby przed potomnością, powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznej, młodzieży poświęconej, ożywionej gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przeklęte jarzmo, lub zginąć. Za nią więc, Narodzie Polski, za nią!"

„Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny komitet narodowy, obecnie jedyny legalny Rząd Twój narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięztwa, które Ci da i przez Imię Boga na niebie dać przysięga, bo wie, że Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem!"

„Tak, Ty wolność Twoją, niepodległość Twoją zdobędziesz wielkością takiego męztwa, świętością takich ofiar, jakich żaden jeszcze lud nie zapisał na kartach dziejów swoich. Powstającej Ojczyźnie Twojej dasz bez żalu, słabości i wahania, wszystką krew, życie i mienie, jakich od Ciebie zapotrzebuje".

„Wzamian Komitet centralny narodowy przyrzeka Ci, że siły dzielności Twej nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dzierżyć będzie dłonią. Złamie wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a każdą nie-

przychylność dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrażonej Ojczyzny".

„W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, Komitet centralny narodowy ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili jego własnością, dziedzictwem wieczystem. Właściciele poszkodowani, wynagrodzeni będą z ogólnych funduszów Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub, w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały, rodziny ich, otrzymają z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi".

„Do broni więc Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni! Godzina wspólnego wyzwolenia wybiła; stary miecz nasz wydobyty, sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty!"

„A teraz odzywamy się do Ciebie, narodzie rosyjski; tradycyjnem hasłem naszem jest wolność i braterstwo Ludów; dlatego przebaczamy Ci mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony. Trupy dzieci Twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Lecz jeśli w tej stanowczej godzinie, nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas, a depce po Tobie, biada Ci! bo w obliczu Boga i świata całego, przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli i wezwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni

europejskiej cywilizacyi z dzikiem barbarzyństwem Azyi!

(L. S.). Warszawa, d. 22 stycznia 1863 r."

Bez zaprzeczenia, w czytaniu odezwa ta musiała wywoływać silne wrażenie. Janczewski opowiada, że ksiądz Mikoszewski dał ją do druku jako odezwę komitetu centralnego. Wydrukowano już jakie dwieście egzemplarzy, gdy ją zmieniono na odezwę komitetu, jako tymczasowego rządu narodowego i tę wydrukowano w znacznej bardzo ilości egzemplarzy, początkowy zaś nakład zniszczono. Jednocześnie z rozdawaniem tej odezwy po Warszawie, rozesłano ją przez kuryerów na prowincye [1]).

---

[1]) *Giller* powiada, że odezwę zredagował Majkowski. Tom I, str. 312.

DODATEK.

PRZYPISEK DO KSIĘGI VI.

Szczegóły zamordowania szefa tajnej policyi Felknera i Anny Wiśniewskiej.

Około połowy października 1862 r., szef tajnej policyi w Warszawie, Felkner, wpadł na ślad jakiejś ważnej przesyłki za granicę. Dowiedziawszy się o tem komitet centralny, nakazał jego sprzątnięcie dla zapobieżenia mogącemu ztąd wyniknąć niebezpieczeństwu dalszych odkryć. Wskutek otrzymanego polecenia, tysięcznik organizacyi narodowej, aplikant przy warszawskim magistracie, Jan Mękarski, dwudziestoletni chłopak, zwołał do swego mieszkania, przy ulicy Chłodnej, kilku znanych sobie, odważnych ludzi, a mianowicie: Władysława Kotkowskiego, aplikanta przy urzędzie cłowym; Romualda Dzwonkowskiego i Józefa Marcinkiewicza, urzędników magistratu; Marcelego Stanisława Szulca,

syna rachmistrza przy rządzie gubernialnym; Stanisława Rabińskiego, gimnazistę i jakiegoś Jana, zwanego „Mularzem", lecz którego nazwiska nikt nie znał.

Zasłoniwszy starannie okna mieszkania, Mękarski ustawił na stole krucyfiks, położył obok 6 sztyletów, z których dwa były zatrute i oświadczył zebranym, że „centralny komitet nakazał sprzątnięcie szefa tajnej policyi, Felknera, i polecił im wykonanie tego wyroku. Kotkowski, Dzwonkowski, Marcinkiewicz i Mularz znani są komitetowi ze swego poświęcenia dla sprawy, spodziewa się zaś, że i dwaj ostatni złożą też same dowody uczuć swych i odwagi [1]). Przed przystąpieniem jednak do dzieła wszyscy są obowiązani złożyć przysięgę na dochowanie tajemnicy".

Pomimo, że Mękarski nie okazał wyroku śmierci na Felknera na piśmie, obecni nie sprzeciwiali się i oświadczyli gotowość wykonania przysięgi. Wówczas Mękarski ukląkł i głośno odczytał rotę przysięgi, którą obecni słowo za słowem za nim powtórzyli.

„A teraz, panowie, rzecz skończona, ktokolwiek parę z ust puści o tem, co tu zaszło, pożegna się z życiem. Jeden z tych sztyletów wymierzy mu sprawiedliwość" — powiedział Mękarski i dodał — że wykonawcy wyroku otrzymają od komitetu centralnego po 100 rubli sr., zaś ich pomocnicy po 20 rubli sr.

Ponieważ nie wszyscy z zaprzysiężonych znali z twarzy Felknera, więc Kotkowski, najenergiczniejszy ze sztyletników wskazał innym ofiarę, po kilka razy przeprowadzając ich wieczorami pod okno, przy

[1]) Szulc i Rabiński mieli zaledwie po 17 lat.

którem pracował Felkner. Następnie pokazał go im jeszcze przechodzącego na ulicy.

Tym wycieczkom towarzyszyły zawsze małe poczęstunki całego towarzystwa w cukierni przy placu Dzieciątka Jezus.

Dnia 7 listopada Mękarski zebrał ponownie wszystkich w swojem mieszkaniu i w imieniu komitetu zrobił im wymówkę, że hulają tylko po cukierniach, a wyroku dotychczas nie wykonali.

— Ależ nie wiedzieliśmy wcale, że to tak pilno—odrzekł któryś ze sztyletników—gdy o to chodzi, wyrok możemy wykonać choćby jutro.

— A więc dobrze, jutro – zakonkludował Mękarski i ponownie wziął od nich przysięgę na krzyż i sztylety, a Kotkowskiego wyznaczył naczelnikiem całego przedsięwzięcia.

Dnia 8 listopada od wczesnego rana, Kotkowski rozstawił sprzysiężonych, uzbrojonych w sztylety, na różnych punktach przy ulicy Twardej i sąsiednich. Felkner kilka razy przechodził mimo czatujących, lecz zawsze w takich okolicznościach, że napad nie dawał się wykonać. Starsi sztyletnicy, pozostawiwszy dwóch najmłodszych na straży, poszli do restauracyi posilić się. O godzinie 5-ej wieczorem czaty znać dały, że ofiara zdala widna, jak się zdaje wraca do domu.

Kotkowski pośpieszył z Szulcem i Mularzem do domu, w którym mieszkał Felkner, a zostawiwszy towarzyszy na ulicy, sam stanął za furtką dla dokończenia sprawy, gdyby ci stchórzyli i nie wykonali ukartowanego zamachu.

Zuchy w istocie stchórzyli, co spostrzegłszy Kotkowski, wyskoczył z ukrycia i schwyciwszy Felknera za gardło, trzykrotnie przebił go sztyletem. Widząc to Szulc i Mularz podskoczyli i jeszcze wymierzyli kilka ciosów.

Felkner krzyknął „puszczaj bestyo!" i zwalił się martwy w bramie. Zbójcy rozbiegli się w różne strony. Kotkowski jednak spostrzegł, że u bramy zostawił burkę, a nadto przypomniał, że przyrzekł Mękarskiemu na dowód spełnionego wyroku przynieść *corpus delicti* „ucho szpiega rosyjskiego", wrócił więc na miejsce czynu i nie zważając na gromadkę ludzi skupionych nad trupem, podjął z ziemi leżącą burkę i sztyletem uciął trupowi ucho, poczem, nie zatrzymany przez nikogo, oddalił się śpiesznie.

Do godziny 9 wieczorem sztyletnicy napróżno szukali Mękarskiego, lecz gdy o 9-ej wrócił do mieszkania, wysłuchał sprawozdania Kotkowskiego, odebrał *corpus delicti*, dla przedstawienia go komitetowi centralnemu wykonawcom zaś wyroku zamiast stu rsr. dał po trzydzieści i jakąś bagatelkę czatującym. W 3 dni potem zniknął gdzieś bez śladu, nie opowiedziawszy się nikomu, ani nawet swojej kochance Annie Wiśniewskiej. Ta jednak, zaczęła się dopytywać, co się stało z jej kochankiem. Ktoś powiedział, że Mękarski wyjechał do Lublina; energiczna kobieta pożyczyła od Marcinkiewicza kilka złotych i pojechała do Lublina, rozpytując o swojego Jasia! Gdy wszelkie poszukiwania okazały się daremnemi, wróciła do Warszawy z ostatnią złotówką w kieszeni i stanowczo oświadczyła Marcinkiewiczowi, „że jeżeli jej nie wskażą miejsca pobytu Jasia, to ona ich wszystkich nauczy!"

Marcinkiewicz na razie obiecał zasięgnąć potrzebnych wiadomości, lecz zaraz ostrzegł Kotkowskiego o grożącem im z niespodziewanej strony niebezpieczeństwie. Po krótkiej naradzie stanęło, że „trzeba skończyć z Anusią".

Umówiwszy więc, należącego także do organizacyi dorożkarza, Wnorowskiego, oświadczyli Wiśniewskiej, że Jaś jej ukrywa się za rogatką Ząb-

kowską w lesie u miejscowego leśnika i zaproponowali jej, że ją tam zawiozą. Nie przeczuwając nic złego, Anna siadła do dorożki. Tymczasem inni sztyletnicy, widząc zaniepokojenie Marcinkiewicza i Kotkowskiego, i obawiając się z ich strony zdrady, zaczęli ich śledzić, a gdy spostrzegli, że ci z Wiśniewską gdzieś się wybierają, Szulce, Mularz i Rabiński wsiedli do innej dorożki i udali się za niemi. Jednakże konie Wnorowskiego były lepsze i prędko zniknęli im z oczu.

Ujechawszy 6 wiorst za rogatką Ząbkowską, Kotkowski kazał Wnorowskiemu skręcić z szosy na prawo w kierunku widniejącego światła. Noc już zapadła. W głębokim piasku konie ustały, więc wszyscy wysiedli, nawet i dorożkarz, i poszli piechotą ku połyskującemu światłu. Ażeby i Wnorowskiego zrobić współuczestnikiem zbrodni, Kotkowski szepnął do niego, pokazując pod ubraniem sztylet „wal ją z nóg". Wnorowski z łatwością przewrócił Wiśniewską, która wówczas dopiero domyśliła się, co ją czeka i zawołała żałośnie: „Ojcze daruj! już nie powiem". Kotkowski kilka razy ugodził ją sztyletem. Po krótkim jęku, wszystko ucichło.

Zostawiwszy na trupie kartkę, dlaczego został dokonany wyrok śmierci, Kotkowski z Marcinkiewiczem wrócili do Warszawy i gdy spotkali Szulca i dwóch innych towarzyszów, powiedział im Kotkowski: „Osły! jeździliście za nami, a nie wiedzieliście że to i o waszą skórę chodziło! Teraz nie bójcie się Andzi Mękarskiego, ona już pojechała do Bozi!"

Należało jednak po dokonaniu dwóch takich zbrodni, pomyśleć o zabezpieczeniu własnej skóry. Wszyscy sztyletnicy pośpiesznie opuścili Warszawę, zmieniając nazwiska, Kotkowski zaś dał się najspokojniej wziąć w dzień branki do wojska i w Pe-

tersburgu na przeglądzie przed carem, głośniej od innych krzyczał „hurra!"

Odtąd widzimy w nim sprawnego żołnierza, dzielnego, pojętnego i uczciwego, z którego, zacząwszy od bezpośredniego przełożonego podoficera, do dowódcy oddziału, wszyscy byli zadowoleni.

W marszu do Charkowa, dokąd był skierowany trasport rekrutów, w którym się znajdował Kotkowski, jemu powierzano nieraz dosyć znaczne fundusze dla zakupna prowiantów i wypłaty gaży towarzyszom, gdyż dobrze pisał, rachował, a przytem mówił po rosyjsku i był wypróbowanej uczciwości. Z każdego grosza powierzonego mu, umiał się zawsze najdokładniej wyrachować. W Charkowie wkrótce dostał się do sztabu garnizonowego. Była to już karyera, najprostsza droga do zostania oficerem. Jako człowiek inteligentny, roztropny i żądny nauki, mógł dojść do tego, do czego swego czasu doszedł Sierakowski, z pisarza podpułkownik generalnego sztabu, nawet mimo nieszczęścia, że był zesłany na żołnierza do orenburskich batalionów. Kotkowski zaś w niczem nie był źle zapisany u władzy.

Przeznaczenie jednak inaczej zrządziło.

Ku końcowi 1865 r., gdy już powstanie ostatecznie było stłumione, a komisya śledcza pod prezydencyą strasznego, nieubłaganego i niedającej go się przekupić generała Tuchołki, coraz bardziej rozkrywała tajemnice dawnych, lepszych czasów, w Grodzisku uwięziono Szulca, ukrywającego się tam pod przybranem nazwiskiem Zaleskiego. Ten powoli wygadał „sekret". Uwięziono Marcinkiewicza, Robińskiego i Wnorowskiego. Ci wykryli nowe szczegóły. Poznano i głównego naczelnika i wykonawcę dwóch politycznych mordów. Lecz gdzie on jest? Po różnych poszukiwaniach w Warszawie i w kraju, wpadnięto na domysł, czy nie uległ on konskrypcyi Wielopolskiego i rozesłano do różnych

sztabów jego fotografię wraz z krótkim opisem czynów, o które go oskarżano.

Wkrótce otrzymano z Charkowa wiadomość, że tam w istocie, przy sztabie garnizonowym jest pisarz Kotkowski, rodem z Warszawy i nieco podobny do przysłanej fotografii, lecz jest to człowiek najporządniejszy i wcale na mordercę nie wygląda, owszem, za odznaczenie został już przedstawiony do awansu na oficera, na co ze wszeech miar zasługuje.

Mimo tak pochlebnej odezwy sztabu charkowskiego, Tuchołko zażądał sprowadzenia Kotkowskiego do Warszawy. Pomimo zaprzeczeń, gdy współtowarzysze jednogłośnie oświadczyli, że to ich dawny naczelnik i bohater czynów z Twardej ulicy i z za rogatki ząbkowskiej, Kotkowski ostatecznie przyznał się do wszystkiego.

Sprawa się toczyła, gdy już w Warszawie, wskutek Najwyższego polecenia z Petersburga, wyroków śmierci na nikim nie wykonywano. Wszyscy współwinni w tej sprawie zostali skazani do ciężkich robót w oddalonych miejscowościach Syberyi wschodniej. Kotkowski brał udział w powstaniu nad Bajkałem i został rozstrzelany w Irkucku dnia 27 listopada 1866 r.

KONIEC CZĘSCI PIĄTEJ.





6864/1